

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Charles Dickens

Klub Pickwicka

Tom II

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Rozdział pierwszy

Jak pickwickczycy zaznajomili się z dwoma młodymi ludźmi należącymi do profesji wyzwolonej, jak swawolili na lodzie i jak skończyła się ich pierwsza wizyta

– No cóż, Samie, czy wciąż jest tak zimno? – zapytał pan Pickwick swego ulubionego służącego, gdy ten w dzień Bożego Narodzenia przyniósł mu rano potrzebną do toalety gorącą wodę.

– Woda w kadzi przybrała prawdziwą maskę lodową.

– Mroźno, Samie – zauważył pan Pickwick.

Piękny czas dla tych, co mają ciepłe ubranie, jak mówił biały niedźwiedź ślizgając się na łyżwach.

– Za kwadrans zejść – rzekł pan Pickwick, zdejmując szlafmycę.

– Bardzo dobrze, panie. Na dole znajdzie pan dwóch rzezignatów.

– Dwóch – co? – zawołał pan Pickwick, podnosząc się na łóżku.

– Dwóch rzezignatów – rzekł Sam.

– Co to znaczy „rzezignatów”? – zapytał pan Pickwick, niezupełnie pewny, czy to jest jakaś żywa istota, czy też coś do jedzenia.

– Co? Pan nie wie, co to są rzezignaty? – zapytał Weller. – Myślałem, że wszyscy wiedzą, iż każdy chirurg jest rzezignatem.

– Ach, tak! A więc dwóch chirurgów – rzekł z uśmiechem pan Pickwick.

– Tak, panie – odparł Sam. – Ale ci na dole to jeszcze niezupełnie skończone rzezignaty, ale dopiero w chirurgii zarodku.

– Chcesz zapewne powiedzieć: studenci medycyny?

Sam potwierdzająco kiwnął głową.

– Bardzo mnie to cieszy – rzekł pan Pickwick. – Tacy młodzi ludzie mają zdanie wyrobione dzięki obserwacjom i rozważaniom, a smak dzięki studiom; bardzo będę rad, gdy ich poznam.

– Pałą cygara przed kominkiem w kuchni – rzekł Sam.

– A! – zawołał pan Pickwick, zacierając ręce – to właśnie lubię; nadmiar żywotności i towarzyskości.

– Jeden z nich – mówił dalej Sam, nie zwracając uwagi na słowa filozofa – położył nogi na stole i ostro popija wódkę; drugi, ten w okularach, jak się zdaje amator mięczaków, postawił sobie między nogami baryłkę ostryg, które otwiera z szybkością parowej maszyny, połyka równie prędko, a skorupami ciska na naszego hipopotama śpiącego w kącie.

– Ekscentryczność geniusza! Samie... możesz odejść.

Sam odszedł; po kwadransie pan Pickwick zszedł na śniadanie.

– Otóż i on! – zawołał stary Wardle. – Pickwick! Przedstawiam ci brata panny Allen, pana Beniamina Allen. My nazywamy go po prostu Ben i ty możesz go tak nazywać, jeżeli chcesz. Ten gentleman to jego przyjaciel, pan...

– Pan Bob Sawyer – odrzekł Benjamin Allen, po czym panowie Bob Sawyer i Benjamin Allen wybuchnęli śmiechem.

Pan Pickwick uklonił się panu Bobowi Sawyerowi, pan Bob Sawyer uklonił się panu Pickwickowi, następnie Ben i jego przyjaciel zajęli się gorliwie jedzeniem, co dało filozofowi możliwość przyjrzenia się im bliżej.

Pan Benjamin Allen był to młodzieniec silnie zbudowany, krępy, o gęstych, czarnych i krótko ostrzyżonych włosach, twarzy białej i nieproporcjonalnie długiej. Prócz tego zdobiła go para okularów i biała chustka na szyi. Poniżej czarnego fraka, zapiętego na wszystkie guziki, posiadał zwykłą ilość nóg w spodniach popielatego koloru, zakończonych parą butów niezbyt starannie wyczyszczonych. Chociaż rękawy fraka były bardzo krótkie, nie było jednak widać ani śladu mankietów, a chociaż szyję miał dość długą, nie pozwolił na skrócenie jej za pomocą kołnierzyka, wskutek czego niepodobna było dojrzeć najmniejszego śladu tej części garderoby. W całości ubiór jego był mocno zużyty i rozsiewał dokoła zapach tanich cygar.

Pan Bob Sawyer, okryty niebieskim ubraniem, coś jakby surdudem i jakby paltotem, szerokimi szkockimi spodniami i kamizelą z wylogami, miał minę mieszczańsko-prentensjonalną i ruchy fanfarońskie, właściwe młodym gentlemanom, we dnie palącym cygara na ulicy, a w nocy wyśpiewującym i hałasującym tamże, nazywającym po imieniu garsonów hotelowych i wykonywującym rozmaite inne tym podobne żartobliwe czynności. Miał grubą łaskę z wielką gałką, wystrzegął się rękawiczek, i w ogóle podobny był do Robinsona Cruzoa.

Takie to dwie znakomitości przedstawiono panu Pickwickowi w dzień Bożego Narodzenia przy śniadaniu.

– Śliczny poranek, panowie – zawołał filozof.

Pan Bob Sawyer lekko kiwnął głową i zażądał od Allena musztardy.

– Panowie przybyli z daleka? – zapytał znów pan Pickwick.

– Z oberży „Pod Błękitnym Lwem” – odrzekł krótko pan Allen. – Bylibyśmy tu jeszcze wczoraj wieczorem, ale wódka „Pod Błękitnym Lwem” jest zanadto dobra, by móc się z nią tak prędko rozstać; prawda, Bob?

– O tak – odrzekł zapytany – cygara i wieprzowe kotlety także.

I dwaj przyjaciele energicznie zaatakowali śniadanie, jak gdyby przypomnienie wczorajszej wieczerzy dodało im nowego apetytu.

– Pałaszuj, Bob – rzekł Allen w sposób zachęcający.

– Chętnie – odparł Bob Sawyer i uczynił to natychmiast, by zaspokoić życzenie przyjaciela.

– Nie ma to jak sekcja, strasznie zaostrza apetyt! – wykrzyknął Bob Sawyer, rozglądając się po stole. Pan Pickwick drgnął lekko.

– *A propos*, Bob – zapytał Ben Allen, biorąc na talerz pół kapłona – czyś już skończył tę nogę?

– Prawie skończyłem, ale bardzo żyłasta jak na nogę dziecka.

– Tak? – rzekł obojętnie Allen.

– Tak – odpowiedział Bob z pełną gębą.

– Ja zapisałem się na łopatkę – zaczął znowu Allen. – Rozdzieliliśmy całego trupa pomiędzy siebie, tylko na głowę nie ma amatora. Może ty ją weźmiesz?

– Dziękuję – odrzekł Bob – za wiele kłopotu.

– Ba!

– Co nie, to nie; mózg to jeszcze... Ale cała głowa!

– Tss, panowie – rzekł pan Pickwick – słyszę, że damy nadchodzą.

I rzeczywiście, w tej chwili damy powróciły z rannej przechadzki w towarzystwie panów Snodgrassa, Winkle'a i Tupmana.

– Ben? Jesteś tu? – zawołała Arabella tonem, w którym było więcej zdziwienia niż radości.

– Jutro zabieram cię do domu, Arabello – rzekł brat.

Pan Winkle zbladł.

– Czy nie zechcesz się przywitać z Bobem Sawyerem? – z wyraźną wymówką zwrócił się student do siostry.

Arabella uprzejmie podała rękę, a gdy pan Sawyer ścisnął ją w sposób bardzo widoczny, pan Winkle uczył w sercu spazm nienawiści.

– Kochany Ben – zaczęła Arabella, rumieniając się – czy... czy przedstawiono cię panu Winkle'owi?

– Nie, ale bardzo się będę cieszył, gdy się to stanie – odpowiedział Ben z powagą, po czym oziębło uklonił się panu Winkle'owi.

Przybycie dwóch nowych osób oraz wynikłe stąd przykre położenie Arabelli i pana Winkle'a wywarłoby pewno niemiły wpływ na towarzystwo, gdyby uprzejmość pana Pickwicka i dobry humor gospodarza nie rozwinęły były jednocześnie wszystkich swych czarów. Pan Winkle powoli wkradł się w łaski pana Beniamina Allena i nawet nawiązał przyjacielską rozmowę z panem Bobem Sawyerem, który dzięki wódce, śniadaniu i pogawędce znajdował się w nadzwyczaj żartobliwym usposobieniu. Z wielką werwą opowiadał, jak pewnemu starymu gentlemanowi wyciął narośl na głowie, ilustrując tę miłą anegdotę za pomocą noża do ostryg i bochenka chleba, ku wielkiemu zbudowaniu całego towarzystwa. Potem wszyscy udali się do kościoła, gdzie pan Ben Allen natychmiast usnął, pan Bob zaś usiłował oderwać myśli od rzeczy ziemskich, wycinając na ławce swoje nazwisko wielkimi na cztery cale literami.

– No – powiedział pan Wardle po treściwym śniadaniu, w którym mocne piwo i wiśniówka odegrały najważniejszą rolę – co powiedzielibyście o godzinie ślizgawki? Mamy dość wolnego czasu!

– Bajecznie! – zawołał Beniamin Allen.

– Pysznie! – dodał Bob Sawyer.

– Oczywiście, pan się ślizga, panie Winkle? – zapytał pan Wardle.

– Tak, o tak! – powiedział pan Winkle. – Ale wyszedłem z wprawy.

– Och, proszę, niech się pan ślizga! – prosiła panna Arabella. – Tak lubię patrzeć na łyżwiarzy!

– To takie ładne! – dodała druga panna.

Trzecia powiedziała, że to eleganckie, a czwarta, że jest w tym coś łabędziego...

– Ślizgałbym się z przyjemnością – powiedział pan Winkle, czerwieniąc się – ale nie mam łyżew.

Przeszkodę tę natychmiast usunięto: Trundle miał dwie pary łyżew, a pyzaty chłopiec oznajmił, że pełno ich jest na górze. Pan Winkle powiedział na to, że jest zachwycony, ale wyglądał bardzo nieswojo.

Pan Wardle poprowadził gości nad potężną taflę lodu. Kiedy Sam i pyzaty chłopiec zmiotli śnieg, który napadał w nocy, pan Bob Sawyer przypiął łyżwy ze zręcznością, która panu Winkle'owi wydała się czymś cudownym, po czym lewą nogą zaczął kręcić koła, potem ósemki, nie odpoczywając ani chwili, wreszcie wypisywać na lodzie rozmaite esy-floresy i pokazywać wiele innych, równie zdumiewających sztuk ku wielkiemu zadowoleniu pana Pickwicka, pana Tupmana i dam. Zadowolenie to doszło zenitu, kiedy stary pan Wardle z tymże panem Bobem Sawyerem, a w asyście Beniamina Allena, wykonali jakąś mistyczną ewolucję, którą nazwali „tańcem szkockim”.

Tymczasem pan Winkle, z twarzą i rękoma czerwonymi od zimna, usiłował przymocować sobie łyżwy tyłem do przodu za pomocą bardzo skomplikowanych węzłów. Pomagał mu w tym pan Snodgrass, znajdujący się na łyżwach tyle co Hindus. Wreszcie przy pomocy Sama nieszczęsne łyżwy zostały przymocowane, a pan Winkle postawiony na nogi.

– Teraz – rzekł Sam – niech im pan pokaże, co umiemy.

– Czekaj no, czekaj! – wołał pan Winkle drżąc gwałtownie i chwytając Sama za rękę z energią topielca. – Jak tu ślisko!

– Tak właśnie bywa na lodzie. Niech się pan trzyma! – odparł Sam.

To ostatnie wezwanie Sama spowodowane było nagłym ruchem łyżwiarza, który zdawał się chcieć obie nogi podnieść razem do góry i rozbić lód tyłem głowy.

– Jakieś... jakieś nie bardzo pewne łyżwy, Samie – rzekł pan Winkle, chwiejąc się.

– Sądziłbym, że to raczej gentleman przywiązany do nich nie bardzo jest pewny siebie.

– No, cóż, Winkle! – wołał pan Pickwick, nie wiedząc, co się dzieje. – Zaczynaj! Damy się niecierpliwiać.

– Zaraz, zaraz – odrzekł młody człowiek z uśmiechem, na który przykro było patrzeć.

– Już zaczyna! – rzekł Sam, usiłując uwolnić się od pana Winkle'a.

– Zaczekaj no, Samie – szepnął pan Winkle, chwytając się swej podpory jak bluszcz dębu.

– Przypominam sobie, że mam w domu dwa ubrania, których nie używam; dam je tobie, Samie.

– Dziękuję panu.

– Nie uchylaj kapelusza – rzekł żywo pan Winkle – nie puszczaj mnie... Dziś rano chciałem ci dać pięć szylingów na kolędę, dam ci je po obiedzie, Samie.

– Bardzo pan łaskaw.

– Tylko trzymaj mnie, Samie. Tak!... Nie tak prędko, Samie, nie tak prędko!

Pan Winkle, pochylony naprzód, zgięty we dwoje i podtrzymywany przez Sama, sunął po lodzie w sposób bardzo oryginalny, gdy wtem pan Pickwick z drugiego końca stawu zawołał najniewinniej:

– Sam!

– Jestem, panie!

– Chodź tu, potrzebuję ciebie.

– Puść mnie pan! Czy słyszy pan, że mnie mój gentleman woła! Puść mnie pan!

To mówiąc, Sam wyrwał się z objęć pana Winkle'a, nadawszy mu przy tym wielką szybkość. Nieszczęśliwy pan Winkle wpadł pomiędzy innych łyżwiarzy, i to w chwili, gdy pan Bob Sawyer wykonywał figurę niezrównanej piękności, potracił go i obaj upadli na lód. Nadbiegł pan Pickwick. Bob Sawyer stał już na nogach, ale pan Winkle zanadto był przezorny, by uczynić to samo. Siedział na lodzie siłąc się na uśmiech, gdy tymczasem każdy rys jego twarzy zdradzał najgłębsze przerażenie.

– Czy pan nie ranny? – zapytał niespokojnie Ben Allen.

– Nie bardzo – odrzekł pan Winkle, rozcierając sobie grzbiet.

– Może panu krew puścić? – zapytał wspaniałomyślny Ben.

– Nie, nie, dziękuję! – odrzekł rozstrzęsiony pickwickczyk.

– Co pan powie na to, panie Pickwick? – zapytał Bob Sawyer.

– Zdejm mu łyżwy!

– Zdjąć łyżwy! Ależ dopiero zacząłem! — odezwał się pan Winkle.

– Zdejm mu łyżwy! – powtórzył pan Pickwick z mocą. Sam w milczeniu wykonał rozkaz.

– Podnieś go! – rzekł pan Pickwick.

Podniesiono pana Winkle'a.

Pan Pickwick odszedł kilka kroków i skinieniem wezwawszy do siebie młodego swego przyjaciela, ostro spojrzał mu w oczy, po czym powiedział cicho, ale dobitnie:

– Pan jesteś blagier!

– Co?! – zapytał pan Winkle z drżeniem.

– Blagier, panie. Powiem nawet więcej: pan jesteś kłamca.

To powiedziawszy, filozof odwrócił się z pogardą i poszedł ku reszcie towarzystwa.

Tymczasem w innej stronie stawu Sam wraz z pyzaty młodym chłopcem urządzili sobie także ślizgawkę i wykonywali tam wprost mistrzowskie ewolucje. Sam upodobał sobie nade wszystko

ten rodzaj ślizgawki, który nazywa się „pukanką”. Polega on na tym, że jedzie się po lodzie jedną nogą, a drugą co pewien czas odbija się dwukrotnie. Ślizgawka była dobra, a ruch wydał się panu Pickwickowi, który przemarzł, czymś bardzo pożądanym.

– Sądząc z pozorów, doskonale to ćwiczenie, by się rozgrzać – rzekł do pana Wardle'a, który wskutek nieustannych wysiłków ekwilibrystyczno-ślizgawkowych nie mógł już oddychać.

– A tak – rzekł pan Wardle. – Czyś się pan kiedy ślizgał?

– Kiedyś w rynsztoku, kiedy byłem jeszcze dzieckiem.

– Spróbuj teraz – rzekł Wardle.

– Już ze trzydzieści lat nie ślizgałem się!

– Co to znaczy? Furda! – powiedział pan Wardle z energią, która charakteryzowała wszystkie jego poczynania. – Dotrzymam panu towarzystwa! – i poczciwy staruszek pobiegł po lodzie z szybkością dorównującą szybkości Sama Wellera, a o wiele przewyższającą szybkość puzatego chłopca.

Pan Pickwick spojrział na niego uważnie, zamyślił się, zdjął rękawiczki i włożył je do kapelusza. Pośliznął się trzy czy cztery razy, zatrzymał się, znów spróbował, wreszcie zaczął się ślizgać z powagą, okropnie rozstawiając nogi. Grzmot oklasków towarzyszył tej próbie.

– Gęsiego, proszę pana! – zawołał Sam.

Całe towarzystwo wzięło udział w tej zabawie: najpierw pan Wardle, potem pan Pickwick, potem Sam, potem pan Winkle, potem pan Sawyer, potem puzaty chłopiec, a wreszcie pan Snodgrass biegli jeden za drugim, a wkładali w to tyle zapału, jak gdyby całe ich życie zależało od tej imprezy.

Było to widowisko nader interesujące, gdy patrzyło się na pana Pickwicka biorącego udział w całej tej ceremonii; śledziło tortury niepokoju, z jakim spoglądał na osobę ślizgającą się za nim, czy czasem nie wpadnie na niego; współczuło naszemu filozofowi, w miarę jak zanikały jego siły, a on sam coraz częściej spoglądał na punkt, z którego ekspedycja wyruszyła; gdy się chwyciło swawolny uśmiech, który zakwitał na obliczu pana Pickwicka, kiedy obliczał przebytą przestrzeń, z zapałem doganiając biegnącego przed nim. Brązowe jego kamasze mięły wesoło po śniegu, a oczy zza okularów jaśniały weselem i pogodą. A gdy pan Pickwick wyrócił się (co się zdarzało w stosunku jeden do trzech), co za miły widok – pan Pickwick zbierający z uroczym uśmiechem rękawiczki, kapelusz, chustkę. Potem znów zajmował w kolejce swe miejsce z zapałem, którego nic nie mogło ostudzić.

Bawiono się coraz lepiej, ślizgano się coraz szybciej, śmiano coraz głośniej, gdy wtem usłyszano okropny trzask. Wszyscy rzucają się do brzegu, damy krzyczą, pan Tupman wrzeszczy. Ogromny kawał lodu znika. Woda bulgocze nad nim, kapelusz, rękawiczki i chustka pana Pickwicka wypływają na powierzchnię. To było wszystko, co z niego zostało.

Przestach i rozpacz wryły się na twarzach obecnych. Mężczyźni zbledli, kobiety mdlały. Pan Snodgrass i pan Winkle chwycili się konwulsyjnie za ręce, przerażonym wzrokiem spoglądając na miejsce, gdzie znikł ich mistrz; a tymczasem pan Tupman, powodowany chęcią udzielenia skutecznej pomocy swemu przyjacielowi, popędził polem jak szalony, krzycząc na cały głos: – Pali się!

Pan Wardle i Snodgrass podeszli ostrożnie do otworu. Pan Bob Sawyer i Ben Allen narażali się, czy nie należałoby puścić krwi całemu towarzystwu, gdy barki i głowa wynurzyły się spod wody i ukazały się obecnym rysy i okulary pana Pickwicka.

– Tylko chwilkę trzymaj się pan nad wodą! Tylko chwilkę! – krzyczał pan Snodgrass.

– Tak! Tak! – dodał pan Winkle, głęboko wzruszony. – Zaklinam pana, trzymaj się nad wodą! Zrób to dla mnie!

Zakłęcie to było zbyteczne, gdyż według wszelkiego prawdopodobieństwa pan Pickwick zrobiłby to i dla samego siebie.

– Czy czujesz pod sobą dno? – zapytał pan Wardle.

– Czuję – odrzekł filozof, głęboko oddychając – upadłem na wznak i nie mogłem od razu stanąć na nogi.

O prawdzie tego twierdzenia świadczyła gruba warstwa gliny pokrywająca widoczną część grzbietu pana Pickwicka. A gdy wkrótce pyzaty chłopiec przypomniał sobie, iż staw w żadnym miejscu nie ma więcej nad cztery stopy głębokości, dokonano cudów odwagi, by wydobyć zabloconego filozofa. Wśród obryzgiwania się błotem i trzasku lodu dokonano wreszcie tego, że wydobyto z tej niewygodnej pozycji pana Pickwicka, który wreszcie stanął znów na stałym lądzie.

– Ach, Boże! On umrze z przeziębienia! – zawołała panna Emilia.

– Owiń się pan moim szalem, kochany panie – dodała panna Arabella.

– Tak będzie najlepiej! – zauważył pan Wardle – potem biegnij do domu, ile masz sił, i pakuj się do łóżka.

Tuzin szalów podano bezzwłocznie panu Pickwickowi, który owinąwszy się w trzy czy cztery najcieplejsze popędził w towarzystwie Sama do domu, przedstawiając po drodze szczególny okaz człowieka w wieku dojrzałym, zabloconego, z odkrytą głową, w kobiecym szalu na ramionach, robiącego bez żadnego widocznego powodu sześć mil na godzinę. Ale w wypadku tak ważnym pan Pickwick nie dbał o pozory. Wkrótce dopadł do bramy Manor Farm, gdzie znajdował się już pan Tupman, który przybył tu przed pięcioma minutami i przypisał o bicie serca starą damę, gdyż wskutek swej głuchoty zrozumiała, iż zapaliły się sadze w kominie – nieszczęście, które malowało się w jej umyśle w najjaskrawszych barwach, ilekroć ktoś z otoczenia okazał najmniejsze bodaj zaniepokojenie.

Nie tracąc ani chwili, pan Pickwick położył się w ciepłym łóżku. Sam rozniecił na kominie ogień i przyniósł obiad. Wkrótce potem wniesiono wazę ponczu dla uczczenia szczęśliwego wyratowania filozofa. Stary Wardle nie pozwolił mu wstać z łóżka, które uznano za krzesło, i pan Pickwick został jednogłośnie obrany prezydentem zgromadzenia... Potem przyniesiono drugą i trzecią wazę, tak że nazajutrz rano prezydent, przebudziwszy się, nie czuł w sobie najmniejszego symptomu reumatyzmu, co dowodzi, jak trafnie zauważył pan Bob Sawyer, że w podobnych wypadkach nie ma nic lepszego nad gorący poncz i jeżeli nie sprawia on czasem pożądanego skutku, to tylko dlatego, że pacjent wpada w bardzo pospolity błąd i używa go za mało.

Na drugi dzień wesołe towarzystwo rozjechało się. W młodości nie bierze się tego zbyt poważnie, ale tym boleśniejsze są rozstania w późniejszym życiu. Śmierć, egoizm i zmienne koleje losu rozrzucają co dzień po świecie szeroko i daleko niejedną szczęśliwą gromadkę, a chłopcy i dziewczęta nie wracają już więcej. Nie chcemy przez to powiedzieć, że i w tym wypadku było tak samo, chcemy tylko uświadomić czytelników, że poszczególni członkowie towarzystwa rozproszyli się po swych mieszkaniach; pan Pickwick i jego przyjaciele znów wsiedli do dylżansu w Muggleton; panna Arabella w towarzystwie brata i jego serdecznego przyjaciela odjechała również. Dokąd? Nie wiemy, ale mamy wszelkie powody przypuszczać, iż pan Winkle wiedział.

Przed samym odjazdem Bob Sawyer i pan Benjamin Allen z tajemniczymi minami wzięli pana Pickwicka na bok. Pan Bob Sawyer wetknął panu Pickwickowi palec wskazujący między żebra, a rozwijając przy tym w sposób wysoce żartobliwy swą znajomość anatomii, zapytał:

– Staruszk, gdzie pan rozbił swe namioty?

Pan Pickwick odpowiedział, że obecnie mieszka „Pod Jerzym i Jastrzębiem”.

– Chciałbym, żeby pan mnie odwiedził – rzekł Bob Sawyer.

– Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności – odparł pan Pickwick.

– Mam mieszkanie – rzekł Bob Sawyer, wyciągając bilet – przy gościńcu w Borough blisko Guys, dlatego bardzo dla mnie wygodne. Gdy minie pan kościół św. Jerzego, skręci pan trochę na prawo od gościńca.

– Zorientuję się – rzekł pan Pickwick.

– Niech pan przyjdzie do mnie za dwa tygodnie od przyszłego czwartku i niech pan przyprorowadzi ze sobą innych panów – powiedział – odbędzie się u mnie zebranie medyczne.

Pan Pickwick oświadczył, że będzie to dla niego prawdziwą przyjemnością, gdy będzie mógł wziąć udział w zebraniu medycznym. Pan Bob Sawyer zapewnił go, że czas zejdzie bardzo wesoło, a Ben będzie również obecny. Potem uściśnięto sobie ręce i pożegnano się.

W tym miejscu można by nas zapewne zapytać, czy przez ten czas pan Winkle szeptał z Arabellą Allen i czy pan Snodgrass rozmawiał na stronie z panną Emilią Wardle, a jeżeli tak było, to o czym szeptali. Odpowiadamy na to, że w każdym razie żaden z tych dwóch młodych ludzi o tym, co mówił, nie wspomniał ani słowem przed panem Pickwickiem ani przed panem Tupmanem, i to przez całą drogę, że natomiast obaj ciężko wzdychali co trzy minuty i nie chcieli pić ani wódki, ani grogu, i w ogóle wyglądali na bardzo zamyślonych. Jeżeli domyślne czytelniczki nasze mogą wyprowadzić z tego jakie wnioski, to niech je wyprowadzają.

Rozdział drugi

cały o Prawie i o ludziach profesji prawniczej

Po wszystkich kątach i zaułkach Temple gnieźdzą się brudne i ciemne kancelarie adwokackie. W czasie ferii co rano, a w inne dni do późnego wieczora, z kancelarii i do kancelarii biegnie w pośpiechu, z pliką papierów pod pachą lub w kieszeni, tłum kancelistów adwokackich. Istnieje kilka ich kategorii. *Dependent*, który wpłacił kaucję i w przyszłości będzie obrońcą, ma rachunek u krawca, bywa w towarzystwie, ma jednych znajomych na Gower Street, drugich na Tavistock Square, a podczas każdych wakacji odwiedza ojca posiadającego stajnię wyścigową. Krótko mówiąc, jest to arystokrata między kancelistami adwokackimi. Po nim idzie urzędnik na pensji, który większość swego dochodu – trzydzieści szylingów tygodniowo traci na osobiste przyjemności, przynajmniej trzy razy na tydzień bywa w Teatrze Adelphi, resztę zaś pieniędzy wydaje majestatycznie na cydr i jest nędzną karykaturą mody sprzed sześciu miesięcy. Jest również urzędnik w średnim wieku, kopista, obciążony liczną rodziną, zwykle ubogi i często pijany. Wreszcie pomocnik, chłopaczek, który po raz pierwszy w życiu włożył surdut i patrzy pogardliwie na chłopców ze szkoły; w domu upomina się o „kieszonkowe” i porter i mówi, że nie ma nic nad „życie”. Niepodobna wyliczyć wszystkich odmian, tak są liczne, ale choć są tak bardzo rozmaite, możemy zobaczyć je wszystkie w sąsiedztwie miejsc, o których wspominałem na początku tego rozdziału.

Owe zakazane dziury są to publiczne biura profesji prawniczej, gdzie pisze się skargi, podpisuje wyroki, wypełnia deklaracje i wprowadza w ruch wiele innych maszynierii, wymyślonych gwoli torturowania poddanych Jej Królewskiej Mości, a ku radości i pożytkowi ludzi uprawiających zawód prawniczy. Po większej części są tu niskie, sklepione lokale. Niezliczone ilości pergaminów, nie ruszanych przynajmniej od wieków, rozsiewają przyjemną woń, do której w ciągu dnia przyłącza się zapach zgnilizny, w nocy zaś zapach wilgotnych płaszców, schnących parasoli i skwierczących świec lojowych.

Około wpół do ósmej wieczorem, coś w dziesięć dni czy w dwa tygodnie po powrocie pana Pickwicka i jego przyjaciół do Londynu, do jednego z takich lokali wbiegł jegomość w brązowym surducie. Długie, starannie uczesane włosy wymykały się spod runda kapelusza. Jasne spodnie tak cienko opinały nogi nad butami *a'la* Blucher, że zdawało się, iż kolana łąda moment wyswobodzą się z uwięzi. Wyjął z kieszeni długi i wąski pasek pergaminu, na którym urzędnik przyłożył nieczytelną, czarną pieczęć. Następnie wyciągnął cztery paski papieru równego rozmiaru – kopie pergaminowe z wolnym miejscem na nazwiska. Wypełniwszy luki, schował wszystkie dokumenty do kieszeni i wybiegł z biura.

Człowiekiem w brązowym surducie, z kabalistycznymi dokumentami, był nikt inny, tylko nasz stary znajomy od Dodsona i Fogga, Freeman's Court, Cornhill – pan Jackson. Zamiast wrócić do biura, skierował swe kroki do Sun Court i wszedłszy do hotelu „Pod Jerzym i Jastrzębiem”, zapytał o pana Pickwicka.

– Zawołaj służącego pana Pickwicka, Tomie – powiedziała panna siedząca za bufetem.

– Proszę, niech się pani nie fatyguje – powiedział pan Jackson. – Przychodzę w interesie. Jeżeli zechce mi pani wskazać pokój pana Pickwicka, sam tam pójde.

– Pańskie nazwisko? – spytał posługacz.

– Jackson – odpowiedział dependent.

Posługacz poszedł na górę, by zaanonsować pana Jacksona. Ale pan Jackson pragnąc oszczędzić mu trudu, pobiegł w ślad za nim i wszedł do pokoju, nim tamten zdążył powiedzieć jedną sylabę.

Dnia tego pan Pickwick zaprosił na obiad swoich trzech przyjaciół. Właśnie wszyscy siedzieli przy kominku popijając wino, kiedy ukazał się pan Jackson.

– Moje uszanowanie panu! – powiedział pan Jackson, kłaniając się panu Pickwickowi.

Pan Pickwick odklonił się z pewnym zdziwieniem, gdyż fizjonomia pana Jacksona wyszła mu z pamięci.

– Przychodzę od panów Dodsona i Fogga – powiedział pan Jackson tonem dobitnym.

Pan Pickwick ożywił się przy tych nazwiskach.

– Niech się pan zgłosi do mego adwokata pana Perkera, Gray Inn – powiedział. – Garson! Wyprowadź gentlemana!

– Za pozwoleniem, panie – powiedział swobodnym tonem pan Jackson, kładąc kapelusz na podłogę i wyjmując z kieszeni pasek pergaminu. – Ale w tych wypadkach... osobiście dependent lub agent... w kwestiach prawniczych trzeba się trzymać formalności, prawda?

Tu pan Jackson rzucił okiem na pergamin, potem oparł się rękami o stół i rozejrzawszy się dokoła powiedział z uśmiechem uprzejmym i przekonującym:

– Nie będziemy się chyba sprzeczać o taką drobnostkę! Który z panów nazywa się Snodgrass?

Na to pytanie pan Snodgrass zadrzał tak wyraźnie i wymownie, że to starczyło za odpowiedź.

– A! domyślałem się! – zawołał pan Jackson jeszcze uprzejmiej. – Mam wręczyć panu dokument.

– Mnie?! – zawołał pan Snodgrass.

– To tylko *sub poena* w sprawie Bardell *contra* Pickwick – powiedział pan Jackson, wyciągając jeden zwitek pergaminu i wyjmując szylinga z kieszeni kamizelki. – Termin na następną sesję. Spodziewamy się na 14 lutego. Podciągnęliśmy to pod kategorię spraw specjalnej wagi... Proszę, panie Snodgrass! – To mówiąc, pan Jackson machnął papierem przed oczyma pana Snodgrassa i wsunął mu do ręki dokument i szylinga.

Pan Tupman przyglądał się tym czynnościom z milczącym zdumieniem, kiedy pan Jackson szybko zwrócił się ku niemu:

– Zdaje mi się, że nie jestem w błędzie i że nazywa się pan Tupman?

Pan Tupman spojrział na pana Pickwicka. Ale nie znalazłszy w jego oczach, choć szeroko rozwartych, żadnej zachęty do zaprzeczenia, powiedział:

– Tak jest. Nazywam się Tupman.

– A ten drugi gentleman to pewnie pan Winkle?

Pan Winkle wybełkotał odpowiedź twierdzącą. Wtedy obaj gentlemani zostali obdarzeni przez pana Jacksona kawałkiem papieru i szylingiem.

– Teraz – powiedział dependent – obawiam się, bym nie był natrętny, ale potrzeba mi jeszcze jednej osoby. Mam tu zapisane nazwisko, panie Pickwick: Samuel Weller!

– Garson – zawołał pan Pickwick – zawołaj tu mego służącego! – Garson wyszedł bardzo zdziwiony, a pan Pickwick poprosił pana Jacksona, żeby usiadł.

Nastąpiła przykra pauza, którą wreszcie przerwał niewinnie oskarżony.

– Sądzę – powiedział pan Pickwick czując, że w miarę tego, jak mówi, rośnie jego oburzenie – sądzą, że zamiarem pańskich patronów jest przeciwstawić mi jako świadków moich własnych przyjaciół?

Pan Jackson uderzył się kilka razy wskazującym palcem po nosie, chcąc dać tym do zrozumienia, że nie myśli zdradzić tajemnicy. Zauważył tylko niewinnie:

– Nie wiem. Nie mogę powiedzieć!

– W jakimże innym celu, jeżeli nie w tym wręczono im owe *sub poena*? – nastawał pan Pickwick.

– Doskonale sformułowane pytanie – powiedział Jackson, wolno kiwając głową. – Ale do niczego pana nie doprowadzi. Może pan próbować, ale nie dam z siebie nic wyciągnąć.

Tu pan Jackson uśmiechnął się znów do całego towarzystwa i przyłożywszy wielki palec do nosa, prawą ręką bardzo zgrabnie wykonał ruch przypominający mielenie kawy: była to pantomima bardzo wdzięczna (w owych czasach modna, dziś niestety zapomniana), którą popularnie nazywano „starcem na proch”.

– Nie, nie – kończył pan Jackson. – Niech się u Perkera pogłowią, po cośmy wręczyli panom te *sub poena*. Jeżeli nie zgadną – niech czekają procesu!

Pan Pickwick z niesmakiem spojrział na nieproszonego gościa i pewnie by rzucił jakąś straszną anatemę na głowy panów Dodsona i Fogga, gdyby nie przeszkodziło temu nagłe wejście Sama.

– Samuel Weller? – spytał pan Jackson.

– Jest to jedna z największych prawd, jakie w ciągu ostatnich lat udało się panu powiedzieć – powiedział Sam obojętnie.

– *Sub poena* dla pana, panie Weller – powiedział Jackson.

– Jak się to tłumaczy na angielski? – spytał Sam.

– Oto oryginał! – powiedział Jackson, unikając odpowiedzi wprost.

– Gdzie?

– Tutaj! – powiedział Jackson, wymachując pergaminem.

– A więc to jest oryginał? – powiedział Sam. – Bardzo jestem rad, że udało mi się zobaczyć oryginał! To bardzo miła rzecz! – I działa tak kojąco!

– A oto szyling od panów Dodsona i Fogga.

– Bardzo to grzecznie ze strony panów Dodsona i Fogga, którzy znając mnie tak mało przysyłają mi prezenty – powiedział Sam. – Bardzo mi to pochlebia! To bardzo pięknie ze strony panów Dodsona i Fogga, że wynagradzają zasługi wszędzie, gdzie je widzą! Jestem do głębi wzruszony!

To mówiąc, Sam końcem rękawa potarł lewą powiekę, jak to zwykli czynić najlepsi aktorzy w miejscach patetycznych.

Pana Jacksona zdziwiło nieco postępowanie Sama. Ale ponieważ doręczył już przedtem wezwania i nie miał nic więcej do powiedzenia, udał, że nakłada rękawiczkę (jedną jedyną), którą zawsze trzymał w ręku dla zachowania pozorów. Skłoniwszy się, wrócił do swego biura.

Pan Pickwick spał mało tej nocy. Umysł jego otrzymał wielce nieprzyjemne otrzeźwienie w postaci przypomnienia o procesie z panią Bardell. Następnego dnia wcześniej zjadł śniadanie i kazawszy Samowi towarzyszyć sobie, udał się do Gray's Inn.

– Sam! – zawołał pan Pickwick, obejrzawszy się, gdy doszli do Cheapside.

– Słucham pana?

– Którędy?

– Przez Newgate Street.

Pan Pickwick nie od razu skreślił. Przez chwilę patrzył w zamyśleniu w twarz Sama, potem westchnął.

– Co się stało?! – spytał Sam.

– Spodziewają się procesu na czternastego następnego miesiąca.

– Dziwny zbieg okoliczności, proszę pana! – zawołał Sam.

– Dlaczego dziwny?

– Świętego Walentyna, panie – odrzekł Sam. – W sam raz dzień na proces o niedotrzymanie przyrzeczenia małżeństwa!

Uśmiech pana Wellera nie wywołał radości na obliczu jego pana. Pan Pickwick ostro zawrócił i szli dalej w milczeniu.

Upłynął jakiś czas. Pan Pickwick dreptał pierwszy, pogrążony w głębokiej medytacji; za nim szedł Sam z wyrazem twarzy odzwierciedlającym zupełną pogardę dla wszystkiego i wszystkich. W końcu, ulegając właściwej sobie chęci podzielenia się ze swoim chlebobawcą wszystkimi wiadomościami, jakie posiadał, Sam przyspieszył kroku i zrównawszy się z panem Pickwickiem powiedział wskazując na dom, który mijali:

- Bardzo porządna wędliniarnia.
- Na to wygląda – powiedział pan Pickwick.
- Słynna kielbasiarnia.
- Rzeczywiście? – zainteresował się pan Pickwick.

– Rzeczywiście – powtórzył Sam z odcieniem oburzenia. – Ja myślę! Z przeproszeniem pańskich niewinnych oczu. Przecież tutaj nastąpiło przed wielu laty zniknięcie pewnego znakomitego kupca!

– Nie chcesz chyba powiedzieć, że go zaszlachtowano – powiedział pan Pickwick oglądając się niespokojnie.

– Nie! oczywiście, że nie! – powiedział Sam. – Ale żałuję, że nie powiedziałem tego i wiele więcej jeszcze! Był on właścicielem tej masarni i wynalazł patentowany, nigdy nie tępiący się młynek do kielbas! Mógłby pan wrzucić weń kamień, a zmełłby go równie łatwo jak młode, delikatne dzieciątko! Bardzo był dumny z tej maszyny – no, myślę! Stał sobie w piwnicy i patrzył, jak się wesoło obraca – aż zdjęła go melancholia z tej wesołości! Byłby z niego szczęśliwy człowiek, proszę pana, z racji tej maszyny i dwojga milutkich dzieciaków, gdyby nie żona, skończona jędra! Ciągłe suszyła mu łeb i terkotała nad głową, aż nie mógł dłużej tego wytrzymać! – Coś ci powiem, duszko – powiedział do niej pewnego dnia. – Jak nie zaniechasz tej zabawy – mówi – to niech mnie kaczką kopnie, jeżeli nie machnę się do Hameryki! – Jesteś nygus i łajdak – mówi ona. – W Hameryce takich nie potrzebują. – I jazda dalej. Terkotała mu nad głową ze dwie godziny, a potem pobiegnęła do pokoiku za sklepem i dalejże wrzeszczeć, że ją do grobu wpędzi! Potem dostała ataku, który trwał ze trzy godziny... takiego ataku, co to się kopie nogami i wrzeszczy! Dobrze! Nazajutrz mąż zginął jak kamfora. Niczego w domu nie brakowało – nawet surdut wisiał na swoim miejscu – więc oczywiście nie pojechał do Hameryki! Na drugi dzień – nie ma go! Tydzień nie ma go. Pani dała ogłoszenia, że jeżeli mąż wróci – przebaczy mu wszystko (co było bardzo liberalne, jako że nie miała mu nic do wybaczenia!). Przeszukano kanały i przez dwa następne miesiące, jak tylko wyłowiono gdzie topielca, niesiono go jak w dym do masarni. Ale żaden z nich się nie nadał. Więc orzekli, że uciekł od żony, a ona objęła interes. Pewnej soboty wieczorem do masarni wchodzi szczupły staruszek i mówi (a jest okropnie zły): – Pani jest właścicielką tej masarni? – Tak, ja – mówi ona. – Moja pani – mówi on – przyszedłem oznajmić pani, że ja i moja rodzina nie damy się udławić – tak z łaski na uciechę! I jeszcze coś pani powiem, moja pani – mówi – pozwoli pani, że zwrócę jej uwagę; ponieważ, jak mi wiadomo, używacie do wyrobu wędlin najtańszych części mięsa, więc sądzę, że mięso nie wypada wam drożej od guzików... – Od guzików! – mówi ona. – A od guzików – powiada jej na to mały gentleman. Rozwija papier i pokazuje ze trzydzieści połówek guzików. – Doskonała przyprawa do kielbas! – mówi. – Guziki od męskich spodni! – To guziki od spodni mego męża – woła ona i dalejże mdleć! – Co! – woła staruszek, blednąc. – Teraz wszystko rozumiem! – woła wdowa. – W przystępie chwilowego szału zamienił siebie na kielbasy! – I nie myliła się, proszę pana – ciągnął Samuel, patrząc uważnie w przerażone oblicze pana Pickwicka. – Albo raczej porwały go tryby maszyny. Tak czy inaczej, ów staruszek, który całe życie przepadał za kielbasami, wybiegł jak niepyszny zmasarni i noga jego więcej tam nie pozostała!

Ta opowieść o tajnikach życia prywatnego zaprowadziła pana i służę do biura pana Perkerę. Lowten, uchylwszy drzwi, rozmawiał z ubogim ubranym jegomościem w butach bez przy-

szew i rękawiczkach bez palców. Na jego zbiedzonym obliczu czytałeś ślady nędzy i cierpień, niemal rozpaczy. Widać zdawał sobie sprawę ze swego ubóstwa, gdyż cofnął się na widok pana Pickwicka.

– To prawdziwe nieszczęście! – powiedział z westchnieniem.

– Prawdziwe! – powtórzył pan Lowten, pisząc ołówkiem na drzwiach swoje nazwisko i natychmiast ścierając je. – Chce pan zostawić mu polecenie?

– A kiedy przypuszcza pan, że wróci? – dopytywał się nieznajomy.

– Nie mam pojęcia – powiedział pan Lowten i mrugnął na pana Pickwicka korzystając, że nieznajomy utkwiał wzrok w ziemię.

– A może bym poczekał na niego? – zapytał nieznajomy, zerkając do biura.

– Ach nie! To daremne! – powiedział Lowten, zasłaniając sobą drzwi. – Nie wróci w tym tygodniu, a kto wie, czy wróci w przyszłym?! Bo jak Perker raz wyrwie się z miasta, to mu się nie spieszy z powrotem!

– Perkera nie ma w mieście! – zawołał pan Pickwick. – A to nieszczęście!

– Niech pan nie odchodzi, panie Pickwick, mam dla pana list! – powiedział Lowten. Ponieważ nieznajomy jakby jeszcze się wahał, Lowten mrugnął na pana Pickwicka, dając mu w ten sposób do zrozumienia, że to doskonała zabawa, ale jaka – tego nie zgadłby pan Pickwick za cenę swego życia!

– Proszę, niech pan wejdzie, panie Pickwick! A pan, panie Watty, zostawi pan słówko, czy sam się pan pofatyguje?

– Może zechce pan go spytać, czy zrobił coś w mojej sprawie – powiedział nieznajomy. – Na miłość Boga, nie zapomnij pan tego, panie Lowten!

– Nie, nie zapomnę! Proszę, panie Pickwick! Proszę! Do widzenia, panie Watty, śliczna pogoda, co? – a widząc, że pan Watty jeszcze się ociąga, kazał panu Wellerowi wejść za swoim panem i zamknąć drzwi.

– Nie ma chyba na świecie drugiego tak dokuczliwego bankruta jak ten tutaj! – zawołał Lowten, odrzucając pióro ruchem człowieka obrażonego. – Papiery jego tkwią w sądzie niespełna cztery lata, a nie ma tygodnia, żeby przynajmniej dwa razy nie wpadł do nas! Tędy, panie Pickwick! Perker jest i zaraz pana przyjmie. Diabelnie zimno! – dodał. – Stać we drzwiach i tracić czas na ujadanie się z tym nudziarzem! – Roznieciwszy bardzo wielki ogień przy pomocy bardzo małego pogrzebacza, dependent poprowadził pana Pickwicka do prywatnych apartamentów szefa i zaanonsował go.

– A! kochany pan Pickwick! – zawołał mały adwokat, widząc wchodzącego filozofa. – No, kochany panie, co słyhać z procesem? Co porabiają nasi przyjaciele Dodson i Fogg? Nie zasypiają sprawy! Wiem, wiem! O! To ludzie obrotni! Bardzo obrotni!

Kończąc te pochwały, pan Perker zażył szczyptę tabaki w uznaniu obrotności panów Dodsona i Foga.

– To wielkie łotry! – rzekł pan Pickwick.

– Tak, tak – odpowiedział mały człowieczek. – Zależnie od osobistego zapatrywania. Rzecz jasna, że pan nie zapatruje się na to ze stanowiska profesjonalnego. Zresztą zrobiliśmy, co należy. Zamówiłem pana Snubbina.

– Czy to dobry adwokat? – zapytał pan Pickwick.

– Czy dobry? Wielki Boże! Ależ pan Snubbin to głowa palestry we wszystkich procesach tego rodzaju. Nie potrzebuje pan tego powtarzać, ale między nami mówiąc, pan Snubbin wodzi za nos cały trybunał.

To mówiąc mały człowieczek zażył szczyptę tabaki i mrugnął porozumiewawczo w kierunku pana Pickwicka.

– Przysłali wezwanie moim trzem przyjaciółom – rzekł filozof.

– A! Naturalnie, to ważni świadkowie. Widzieli pana w delikatnym położeniu.

– Ależ czy to moja wina, że się jej źle zrobiło i padła mi na ręce?

– Tak, tak, to bardzo prawdopodobne, kochany panie, bardzo prawdopodobne. Ale kto tego dowiedzie?

Pan Pickwick przeszedł do innego przedmiotu, bo pytanie pana Perkera zbiło go nieco z tropu.

– Wezwali także mego służącego – powiedział.

– Sama? – zapytał Perker.

Pan Pickwick kiwnął głową.

– To jasne, kochany panie. Z góry wiedziałem, że tak zrobią, i mogłem to panu powiedzieć miesiąc temu. Ale jeżeli uparł się pan, by zajmować się na własną rękę tą sprawą, oddawszy ją adwokatowi, to musi się pan przygotować na konsekwencje.

Tu pan Perker podniósł się z wielką godnością i strzepnął nieco tabaki z koszuli.

– A czego chcą od Sama? – spytał pan Pickwick po dwu czy trzech minutach milczenia.

– Chcą z niego wyciągnąć, że posyłał go pan do strony skarżącej, szukając drogi kompromisowego załatwienia sprawy – odrzekł Perker. – To nic ważnego ostatecznie. Wątpię, czy komukolwiek udałoby się coś z niego wydobyć.

– I ja o tym wątpię – rzekł pan Pickwick. I pomimo kłopotów uśmiechnął się na myśl, że Sam będzie figurował jako świadek. – Co pan przedsięwzięmie?

– Jedyna pozostaje nam droga, kochany panie; zażądamy powtórnego przesłuchania świadków, położymy całą ufność w wymowie pana Snubbina, zamydlimy oczy sędziom i spuścimy się na przysięgłych.

– A jeżeli wyrok zapadnie przeciw nam?

Pan Perker uśmiechnął się, zażył wielką szczyptę tabaki, poprawił ogień w kominie, wzruszył ramionami i zachował milczenie.

– Zapewne jest pan zdania, iż w takim razie zapłacę wynagrodzenie i kosztą procesu? – zawołał pan Pickwick, który gniewnie przypatrywał się tej wymownej odpowiedzi.

Perker po raz drugi poprawił ogień i odrzekł:

– Tego się obawiam.

– A ja – odrzekł pan Pickwick z energią – oświadczam tu panu, iż mam niezłomne postanowienie nie płacić ani grosza, panie Perker. Ani funt, ani pens z mych pieniędzy nie znajdzie się w kieszeni Dodsona i Fogga. Takie jest moje postanowienie przemyślane i niewzruszone!

To mówiąc pan Pickwick z wielką mocą uderzył pięścią w stół, jakby dla potwierdzenia niezłomności swego postanowienia.

– Bardzo dobrze, kochany panie, bardzo dobrze; pan sam najlepiej wie, jak ma postąpić – rzekł pan Perker.

– Rozumie się! – powiedział żywo nasz bohater. – Gdzie mieszka pan Snubbin?

– W Lincoln Inn, Old Square.

– Muszę się z nim zobaczyć!

– Zobaczyć się z panem Snubbinem, kochany panie! – zawołał pan Perker, nadzwyczaj zdziwiony. – Ph, ph, kochany panie, niemożliwe! Zobaczyć się z panem Snubbinem! Czy kto kiedy słyszał coś podobnego? Tego nigdy jeszcze nie było! Bez uprzedniego uiszczenia honorarium za konsultację i wyznaczenia jej terminu! Niemożliwe, kochany panie, niemożliwe! Tego się nie da zrobić!

Pan Pickwick uparł się jednak, że to da się zrobić i że musi się dać zrobić. Rezultat był taki, że w niespełna pięć minut po tym, gdy go zapewniono, że to niemożliwe, adwokat już go prowadził do biura wielkiego Snubbina.

Był to pokój dość obszerny, bez dywanu, z wielkim biurkiem przysuniętym do kominka; sukno, pokrywające biurko, od dawna straciło wszelkie pretensje do swej naturalnej zielonej barwy, kurz i lata nadały mu stopniowo barwę popielatą, z wyjątkiem miejsc zalanych atramentem. Na stole leżało mnóstwo małych pakietów zalakowanych czerwonym lakiem. Za

biurkiem siedział starszy już urzędnik, którego oblicze zarówno jak gruby łańcuch przy zegarku zdradzały, jak lukratywną rzeczą jest praktyka u pana Snubbina.

– Mecenasa u siebie, panie Mallard? – spytał pan Perker jak można najuprzejmiej, podając mu tabakierkę.

– Tak – odpowiedział pan Mallard. – Ale bardzo zajęty. Spójrzysz pan na te pliki! Nie wydał jeszcze o żadnej z tych spraw swojej opinii, a honoraria wplącono od dawna! – Tu dependent uśmiechnął się, wziął szczyptę tabaki z namaszczeniem, w którym było zamiłowanie do tabaki i szacunek dla honorariów.

– To się nazywa praktyka! – powiedział pan Perker.

– Tak! – potakiwał dependent, wyjmując własną tabakierkę i częstując nią serdecznie. – A najlepsze w tym wszystkim jest to, że nikt nie potrafi czytać pisma mecenasa, więc choć nawet wyda opinię, klient musi czekać, aż będę miał czas ją przepisać! Cha, cha, cha!

– Wiadomo, komu sprawa mecenasa służy, i wiadomo, że za to muszą płacić klienci! Hm? – powiedział Perker. – Cha, cha, cha! – Na to sekretarz mecenasa roześmiał się także – ale nie głośno, tylko jakoś milcząco, ukradkiem, co się wcale nie podobało panu Pickwickowi. Kiedy człowiek krwawi wewnątrz – rzecz to niebezpieczna dla niego samego. Kiedy śmieje się wewnątrz – rzecz niebezpieczna dla bliźnich!

– Przygotował pan już spis tego, co jestem wam winien? – spytał pan Perker.

– Jeszcze nie!

– Szkoda! – powiedział Perker. – Przygotuj pan rachunek, to przyślę panu czek! Ale mam wrażenie, iż tak jest pan zajęty chowaniem gotowizny, iż zapominasz o dłużnikach, co? Cha, cha, cha! – Ta osobista wycieczka musiała bardzo zabawić dependenta, gdyż znów zaśmiał się w sobie.

– Ale drogi przyjacielu, panie Mallard – powiedział pan Perker, odzyskując nagle powagę i ciągnąc wielkiego męża w kąt pokoju. – Musi pan koniecznie wpłynąć na mecenasa, aby zaraz nas przyjął, mnie i mego klienta!

– No, no! – powiedział pan Mallard. – Wcale nieźle się zaczyna! Widzieć pana mecenasa! Ależ to nonsens! – Pomimo jednak, że uważał propozycję za nonsens, dependent pozwolił odciągnąć się w kąt pokoju, tak żeby nie słyszał go pan Pickwick. Po krótkiej rozmowie, prowadzonej szeptem, dygnitarz poszedł w głąb małego ciemnego korytarza i zniknął w sanktuarium luminarza. Powrócił stamtąd po chwili i krygując się, oznajmił panu Perkerowi i panu Pickwickowi, że wbrew swoim zwyczajom i przyzwyczajeniom mecenas godzi się przyjąć ich zaraz.

Pan Snubbin należał do tych ludzi bladych, wychudłych, zasuszonych, których twarz podobna jest nieco do narożnej latarni. Mógł mieć lat około czterdziestu pięciu albo – jak to mówią w powieściach – pod pięćdziesiątkę. Oczy miał okrągłe, wypukłe, przyćmione. Takie oczy miewają przeważnie ludzie oddający się długie lata mozolnym studiom. Z oczu tych można było wnioskować, że ich właściciel miał krótki wzrok, choćby się nawet nie zauważyło szkieł wiszących mu na szyi na szerokiej, czarnej wstążce. Włosy miał cienkie i rzadkie, co pochodziło po części stąd, że nigdy nie poświęcał wiele czasu na ich uporządkowanie, a po części, że nosił prawniczą perukę, która i teraz spoczywała obok na krześle. Ślady pudru na kołnierzu i batystowej brudnej chustce; koło szyi świadczyły, iż od chwili opuszczenia sądu nie miał czasu zrobić żadnej zmiany w swojej toalecie; stan zaś reszty jego garderoby dowodził wyraźnie, że zmiany nie byłyby wielkie, gdyby nawet miał czas ich dokonać. Księgi prawnicze, stosy papierów, rozpieczętowane listy rozrzucone były na stole bez żadnego ładu. Meble w pokoju były stare i zniszczone. Drzwiczki szafy na książki kiwały się na zawiasach. Za najmniejszym ruchem wznosiły się z dywanu tumany kurzu. Szyby były żółte od brudu i starości. Wszystko w tym pokoju wskazywało nieomylnie, że pan Snubbin był zbyt zaabsorbowany obowiązkami, by dbać o osobisty komfort.

Mecenas zajęty był pisaniem, gdy weszli jego klienci. Przywitał z roztargnieniem pana Pickwicka, kiedy mu go adwokat przedstawił, gestem wskazał na krzesła, pióro umieścił w kałamarzu, objął swoją lewą nogę i czekał, aż do niego przemówią.

– Panie mecenasie – zaczął pan Perker. – Pan Pickwick jest stroną oskarżoną w sprawie Bardell *contra* Pickwick.

– Czy jestem wezwany do tej sprawy?

– Tak jest, panie!

Mecenas skinął głową i znowu czekał.

– Pan Pickwick bardzo pragnie widzieć się z panem pierwej, nim sprawa jego będzie podjęta, by oświadczyć, iż nie ma żadnych podstaw przeciw niemu w całym tym procesie. Pan Pickwick nigdy nie stanąłby przed sądem, gdyby nie miał przekonania, że sumienie jego jest spokojne, a ręce jego są czyste. Czy dobrze wyłożyłem pańskie zapatrywanie, kochany panie? – mówił pan Perker, zwracając się do filozofa.

– Doskonale!

Mecenas wziął szklę, podniósł je do oczu i przez chwilę przyglądał się ciekawie naszemu bohaterowi. Następnie zwrócił się do pana Perkera i spytał z lekkim uśmiechem:

– Sprawa pana Pickwicka stoi mocno?

Adwokat wzruszył ramionami.

– Ma pan zamiar wzywać świadków?

– Nie.

Uśmiech na obliczu pana Snubbina stał się wyraźniejszy. Adwokat zaczął szybciej kiwać nogą, potem odchyliwszy się w tył na fotelu, chrząknął bardzo wątpliwie.

Te aluzje do przeczuć, jakie pan mecenas żywił co do wyniku sprawy, aczkolwiek słabe, nie uszły uwagi pana Pickwicka. Mocniej nasadził na nos okulary, przez które przypatrywał się demonstrowaniu uczuć adwokata, po czym przemówił z wielką energią, nie zwracając uwagi na znaki i mrugania pana Perkera:

– Życzenie moje, by mię panu przedstawiono w mojej sprawie, wydać się może nadzwyczajne osobie, przez której ręce przechodzi tyle spraw podobnego rodzaju.

Adwokat próbował wpatrywać się w ogień, ale pomimo wszelkich wysiłków nie zdołał powstrzymać się od uśmiechu. Pan Pickwick mówił dalej:

– Gentlemani pańskiej profesji widzą zawsze rzeczy z najgorszej strony natury ludzkiej. Wszystkie spory, wszystkie złość i wszystkie krzywdy roztaczają się przed panami. Panowie wiecie z doświadczenia, jak można sobie ująć przysięgłych efektem, i naturalnie przypisujecie innym chęć użycia we własnym interesie środków, których wartość znacie, ponieważ używacie ich sami w chwalebny i szlachetny zamiar, by zrobić wszystko na korzyść waszych klientów. Sądzę, iż temu należy przypisać ogólnie rozpowszechnione mniemanie, że jesteście zimni, podejrzliwi, samolubni. Pojmuję dobrze całą niewłaściwość tego, że robię panu podobne oświadczenia w okolicznościach, w jakich się znajduję. A jednak pomimo to, jak powiedział panu mój przyjaciel Perker, przyszedłem tu, by stanowczo oświadczyć panu, iż jestem najzupełniej niewinny w sprawie, którą mi wytoczono, i chociaż znam doskonale wysoką wartość pańskiej nauki, pozwól pan, iż dodam, że gotów jestem zrzec się pomocy pańskiego talentu, jeżeli nie jest pan najzupełniej przekonany o mojej szczerości.

Na długo przed zakończeniem tej przemowy (mówiąc nawiasem, tak charakterystycznej dla pana Pickwicka) adwokat wpadł w swe zwykłe roztargnienie. Po kilku wszakże minutach milczenia wziął znów pióro do ręki i, zdawało się, przypomniał sobie, że klient jego jest obecny, gdyż podnosząc oczy znad papieru, powiedział tonem dość ostrym:

– Kto będzie moim pomocnikiem w tej sprawie?

– Pan Phunky – odpowiedział pan Perker.

– Phunky? Phunky? Nigdy nie słyszałem tego nazwiska. Musi to być młody człowiek.

– Tak, bardzo młody. Przed kilkoma dopiero tygodniami dopuszczono go. Niech pan poczeka, przypomnę sobie – a o ile mię pamięć nie myli: nie więcej niż osiem lat temu został adwokatem.

– Tak i ja przypuszczałem – odrzekł pan Snubbin z tym akcentem ubolewania, z jakim mówi się o biednym dziecku bez opieki. – Panie Mallard! Poślij pan do tego pana... pana...

– Phunky, Holborn Court, Gray's Inn – rzekł Perker.

– Tak, Phunky! Powiedz mu, iż proszę, by się tu pofatygował.

Pan Mallard poszedł, by spełnić zlecenie, a pan Snubbin wpadł znowu w zamyślenie, aż dopóki nie zjawił się pan Phunky.

Był to człowiek w wieku dojrzałym, chociaż początkował dopiero w zawodzie adwokackim. Maniery miał niepewne, trwożliwe, a gdy mówił, wahał się. Wady te wszakże nie były, jak się zdaje, wrodzone, lecz wynikały z pewnego rodzaju niemądrej trwożliwości, przyczyną zaś tego była świadomość, że wskutek braku czy to pieniędzy, czy opiekunów, czy stosunków, czy też bezczelności, zawsze był „spychany”. Na adwokata patrzył z czcią, a panu Perkerowi złożył głęboki ukłon.

– Nie miałem przyjemności widzieć dotąd pana – rzekł pan Snubbin z wyniosłą uprzejmością.

Pan Phunky skłonił się. Od ośmiu przeszło lat miał on przyjemność co dzień widywać pana Snubbina.

– Jak słyszę, jesteś pan mi wyznaczony do pomocy w tej sprawie – mówił dalej pan Snubbin.

Gdyby pan Phunky był bogaty, posłałby natychmiast po swego dependenta, by się przekonać, czy tak jest rzeczywiście; gdyby był zręczny, przyłożyłby sobie palec do czoła i starałby się przypomnieć sobie, czy w mnóstwie powierzonych mu spraw nie znajdzie się także i ta, ale ponieważ nie był ani bogaty, ani zręczny (w tym przynajmniej sensie), więc poczerwieniał i ukłonił się.

– Czyś pan czytał akta, panie Phunky? – pytał dalej wielki adwokat.

Tu także pan Phunky powinien był oświadczyć, iż nie pamięta, ale ponieważ przejrzał wszystkie papiery i ponieważ od dwóch miesięcy, odkąd wyznaczono go na pomocnika panu Snubbinowi, dzień i noc myślał o tej sprawie, więc poczerwieniał jeszcze bardziej i ukłonił się jeszcze niżej.

– To jest pan Pickwick – rzekł adwokat, piórem wskazując w stronę, gdzie stał filozof.

Pan Phunky skłonił się panu Pickwickowi z całym szacunkiem, potem znow zwrócił głowę ku panu Snubbinowi.

– Może pan pójdzie z panem Pickwickiem – rzekł adwokat – i... przyjmie do wiadomości to, co panu powie. Potem, naturalnie, odbędziemy wspólną nad tym naradę.

Dając w ten sposób do zrozumienia, iż dość mu już zabrano czasu, pan Snubbin stał się znowu bardzo roztargniony, popatrzył przez chwilę przez okulary, potem skinął lekko głową i zajął się robotą leżącą przed nim. Była to szczególnego rodzaju sprawa, nie skończony proces, wytoczony przez osobę zmarłą w zeszłym jeszcze wieku, o zamknięcie pewnej ścieżki wiodącej do miejsca, skąd nigdy nikt nie wracał i dokąd nikt nigdy nie chodził.

Pan Phunky nie chciał nawet słyszeć o tym, że mógłby przejść przez jakiegokolwiek drzwi przed panem Pickwickiem i jego adwokatem, upłynęło więc sporo czasu, zanim doszli do skweru. Doszedłszy tam, przechadzali się dość długo roztrząsając sprawę. W rezultacie doszli do przekonania, że trudno przewidzieć, jak wypadnie wyrok: że nikt nie może nic powiedzieć, jak się sprawa skończy, nim się sprawa zacznie; że to wielkie szczęście, iż ubiegli przeciwną stronę i pozyskali dla siebie mecenasa Snubbina. Poza tym mówili wiele innych rzeczy pełnych zwątpień i pociech, jak zwykle w takich chwilach.

Pan Pickwick obudził Sama, który spał od godziny. Pożegnawszy Lowtena skierował się do City.

Rozdział trzeci

opisujący o wiele dokładniej, niż to kiedykolwiek czynił sprawozdawca dworski, przyjęcie kawalerskie, jakie urządził pan Bob Sawyer w swoim mieszkaniu w Borough

Spokój i cisza spowijają Lant Street na przedmieściu Borough i ten spokój i cisza napęniają duszę słodką melancholią. Na ulicy tej zawsze jest sporo domów do wydzierżawienia, jest to ulica boczna, a mrok, który tu zawsze panuje, działa kojąco. Domów przy Lant Street nie można by zaliczyć do domów mieszkalnych pierwszej klasy, w ścisłym znaczeniu tego określenia; pomimo to ludzie chętnie tu mieszkają. Jeżeli ktoś pragnie usunąć się od świata, odgrodzić od jego pokus, zamieszkać tak, żeby nic nie ciągnęło go do wyglądanania oknem, radzimy mu zamieszkać na Lant Street.

Szczęśliwe to ustronie zamieszkałe jest przez praczki, kilku introligatorów, dwóch czy trzech agentów urzędu licytacyjnego, wielu pomniejszych urzędników z doków, kilka szwaczek i tyluż krawczyków. Większość tubylców wykazuje dużą skłonność do wynajmowania pokoi umeblowanych i poświęca się zdrowemu i wzmacniającemu zawodowi klepania biedy. W martwej przyrodzie tej okolicy na uwagę zasługują zielone okiennice, napisy: „Do wynajęcia”, miedziane blachy nad drzwiami i uchwyty dzwonek z tegoż samego kruszcu. Główne okazy królestwa zwierzęcego stanowią chłopcy z szynkowni, handlarze sprzedający ciasta i przekupnie pieczonych ziemniaków. Ludność jest koczownicza, znika zwykle przed terminem płacenia czynszu i najczęściej w nocy. Dochody Jej Królewskiej Mości rzadko są pobierane w tej szczęśliwej dolinie. Czynsze są najczęściej tylko problematyczne, a dopływ wody raz po raz zamykany.

Tego wieczora, na który pan Pickwick był zaproszony przez pana Boba Sawyera, młody ten praktyk i przyjaciel jego, pan Ben Allen, siedzieli przed kominkiem na pierwszym piętrze pewnego domu przy opisanej ulicy. Przygotowania do przyjęcia były już jakby ukończone. Parasole z korytarza przeniesiono w ciasny kąt przed drzwiami do pokoju; czepek i szal służącej usunięto z klatki schodowej, tylko dwie pary pantofli stały na macie słomianej przy drzwiach wejściowych, a na gzymsie przy schodach dzielnie sprawowała się świeca o bardzo długim knocie. Pan Bob Sawyer sam zakupił trunki w winiarni na High Street i towarzyszył przeniesieniu ich do domu. Poncz był już przyrządzony w miedzianym rondlu. Mały stolik, nakryty zielonym sukniem, sprowadzono od jednego z lokatorów tego samego domu i przeznaczono do gry w karty; szklanki, wypożyczone z pewnej oberży, stały na tacy umieszczonej na klatce schodowej przed drzwiami mieszkania.

A jednak pomimo pozornie zadowolającego stanu tych przygotowań jakaś chmura zaciemniała oblicze pana Boba Sawyera. Siedzący obok niego Ben Allen patrzył na pałący się w kominie węgiel z wyrazem współczucia, które melancholijnie ujawniło się, gdy po długim milczeniu powiedział:

– Przekłęta historia, że też dziś właśnie ma taki kwaśny humor! Mogłaby poczekać do jutra.

– To na złość! Na złość! – odrzekł Bob Sawyer. – Mówi, że jeżeli mam pieniądze, by dać przyjęcia, to powinienem mieć i na zapłacenie jej rachunku.

– Ile jej się należy? – zapytał Ben Allen.

Rachunek, nawiasem mówiąc, jest najznakomitszym *perpetuum mobile*, jakie kiedykolwiek wymyślił umysł ludzki. Potrafi toczyć się bez przerwy przez najdłuższy żywot ludzki i nigdy sam z siebie nie stanie.

– Tylko za trzy czy cztery miesiące – odparł Bob Sawyer.

Ben Allen odchrząknął rozpaczliwie, po czym skierował badawczy wzrok między dwa pręty kominka i rzekł:

– Diabelnie będzie nieprzyjemnie, jeżeli zaczniesz robić tu gwałt, gdy przyjdą goście.

– Okropnie! – zawołał Bob Sawyer – okropnie! W tej chwili dało się słyszeć lekkie pukanie do drzwi. Pan Bob Sawyer wymownie spojrzał na swego przyjaciela i gdy mówił: – Proszę wejść – we drzwiach ukazała się nieuczesaona głowa służącej, ubranej w czarne pończochy bawełniane i mogącej uchodzić za opuszczoną córkę niezdolnego do pracy zamiatacza ulic, żyjącego w rozpaczliwych warunkach.

– Przepraszam pana Sawyera – rzekła dziewczyna – ale pani Raddle chce z panem mówić.

Jeszcze pan Bob Sawyer nie obmyślił odpowiedzi, gdy dziewczyna znikła nagle, jakby ją kto szarpnął z tyłu, i do drzwi zapukano powtórnie, krótko, stanowczo, jakby chciano powiedzieć: – To jestem ja i teraz ja wejść. – Pan Bob Sawyer spojrzał na swego przyjaciela ze śmiertelnym przerażeniem i znów zawołał: – Proszę wejść!

Pozwolenie to było zbyt cenne, gdyż zaproszenia nie wymówiono, a już wpadła do pokoju młoda kobiecina, blada i drżąca z gniewu.

Panie Sawyer! – zawołała, usiłując zachować spokój – niech pan będzie łaskaw zapłacić rachunek. Bardzo będę panu za to zobowiązana, gdyż dziś wieczorem mam płacić czynsz i właściciel czeka właśnie na dole.

To powiedziawszy, młoda kobieta złożyła ręce i utkwiała oczy w ścianie ponad głową pana Boba Sawyera.

– Przykro mi bardzo, pani Raddle, że narażam panią na nieprzyjemności – zaczął Bob z wielką słodyczą – ale...

– O! Nie byłabym tak natrętna – przerwała mała kobieta słodko-kwaśnym głosem – ale właściciel domu czeka. A przy tym przyrzekł mi pan dziś zapłacić rachunek... Wszyscy gentlemani, którzy tu mieszkali, dotrzymywali zawsze słowa, jak to przystoi prawdziwym gentlemanom.

Powiedziawszy to, pani Raddle przygryzła usta i jeszcze uporczywiej wpatrywała się w ścianę. Widoczne było, iż niewiasta była „pod parą”, jak to stylem wschodnich alegorii określili później sam Bob Sawyer.

– Przykro mi bardzo, pani Raddle – zaczął Bob znowu z jeszcze większym ugrzecznieniem – ale takiego doznałem zawodu dziś w City...

Dziwne miejsce – to City. Znamy całe masy ludzi, którzy zawsze doznają tam zawodu.

– A cóż mi do tego, panie Sawyer? – odrzekła pani Raddle, stojąc mocno na purpurowym kwiecie lichego, kidderrminsterskiego dywanu.

– Nie, nie, nie wątpię – mówił dalej Bob Sawyer, puszczając te słowa mimo uszu – że przed upływem tygodnia będziemy mogli wszystko uregulować, a potem pójdzie już lepiej.

Na to właśnie czekała pani Raddle. Przyszła tu, by zrobić scenę, i niezawodnie zmartwiłaby się, gdyby otrzymała należność. Świetnie też była usposobiana do tego rodzaju rozrywki, gdyż niedawno zamieniła w kuchni z panem Raddle kilka przygotowanych uprzejmości.

– Sądzi pan, panie Sawyer – rzekła pani Raddle, podnosząc głos ku zbudowaniu sąsiadów – że będę bez końca trzymać lokatora, który zalega z czynszem, nie zwraca pieniędzy, które się dla niego wyklada na świeże masło i cukier w kostkach do śniadania ani za mleko, które mu się stawia pod drzwiami? Czy pan sądzi, że kobieta uczciwa i pracowita, która dwadzieścia lat mieszka przy tej ulicy (dziesięć po tamtej stronie, a dziewięć lat i trzy kwartały w tym domu), nie ma nic lepszego do roboty, jak tylko rujnować się, by dawać mieszkanie i wikt

próżniakom ciągle tylko palącym tytoń i wałęsającym się zamiast pracować, by płacić swoje rachunki? Czy pan sądzi...

– Moja droga pani – rzekł Ben Allen łagodnym głosem.

– Zachowaj pan dla siebie swoje uwagi – rzekła pani Raddle, z uroczystą miną zwracając się do Bena i przerywając nagle gwałtowny strumień swojej wymowy. – Zdaje mi się, że nie ma pan żadnego prawa wtrącać się do rozmowy. Nie panu wynajęłam ten pokój.

– Nie, wiem o tym – odrzekł Ben.

– A więc dobrze – odparła pani Raddle z wyniosłą grzecznością – bardzo dobrze! Niech pan sobie tam, w szpitalu, łamie nogi i ręce biednym ludziom, ale tu się nie wtrąca, bo znajdzie się ktoś, kto gotów panu o tym przypomnieć.

– Ależ pani jest nierozsądna – zawołał Ben.

– Za pozwoleniem, mój młody panie! – wycedziła pani Raddle lodowatym tonem. – Powtórz no pan ten wyraz!

– Ależ... nie chciałem pani obrazić – rzekł Ben Allen, który teraz bać się począł o swoją głowę.

– Za pozwoleniem, mój młody panie! – mówiła dalej pani Raddle jeszcze bardziej rozkazującym i doniosłym głosem – kogo to nazwał pan nierozsądną osobą? Czy pan miał mnie na myśli?

– Ale niechże się pani uspokoi – rzekł pan Benjamin Allen.

– Czy pan miał mnie na myśli, pytam raz jeszcze? – krzyknęła rozwścieczona pani Raddle z pasją otwierając drzwi.

– Ależ naturalnie! – odpowiedział pan Benjamin Allen.

– Tak, naturalnie! – rzekła pani Raddle cofając się ku drzwiom i podnosząc głos do najwyższych tonów na wyłączny użytek pana Raddle przebywającego w kuchni. – Naturalnie! przecież wszyscy wiedzą, że można mię obrażać w moim własnym domu, bo mój mąż wyleguje się tam na dole i dba o mnie tyle, co pies o piątą nogę. Powinien by rumienić się (tu pani Raddle poczęła szlochać); powinien by spłonąć ze wstydu widząc, jak pomiatają jego żonę jak najostatniejszą z ostatnich, ci rzeźnicy ciała ludzkiego (nowe szlochy). Tchórz! Bez serca! Naraża żonę na wszystkie krzywdy! Widzicie go! Stary kapłan, boi się nawet wejść tu, by nauczyć moresu tych bandytów. Boi się! Boi!

Tu pani Raddle zatrzymała się, by posłuchać, czy powtórzenie tego wyzwania rozrusza jej lepszą połowę. Widząc jednak, że to się na nic nie zda, poczęła schodzić na dół, szlochając; wtem dwukrotnie zastukano do drzwi od ulicy; wybuchnęła więc histerycznym płaczem i jękami, które udało jej się przeciągnąć tak długo, aż zastukano do drzwi po raz szósty. Natenczas poddając się nieokiełzanej rozpaczycy zaczęła rzucać parasolkami i zniknęła w głębi mieszkania, zamknąwszy za sobą drzwi z niebywałym hukiem.

– Czy tu mieszka pan Bob Sawyer? – zapytał pan Pickwick, gdy otwarto drzwi.

– Na pierwszym piętrze, drzwi naprzeciw schodów – odrzekła dziewczyna, która wyrosła wśród praturyłów z Southwark, i po tej wskazówce znikła w kuchni razem ze świecą, głęboko z siebie zadowolona, gdyż sądziła, iż dokonała tego, czego wymagała od niej sytuacja.

Pan Snodgrass, który wszedł ostatni, po wielu bezowocnych usiłowaniach zamknął wreszcie drzwi na łańcuch, następnie zaś pickwickczycy poszli po omacku po schodach i dopiero we drzwiach przyjął ich Bob, który nie wychodził dalej z obawy, by nie spotkać pani Raddle.

– Witam panów – rzekł jeszcze zmieszany student. – Witam panów. Ostrożnie ze szklankami!

Ta ostatnia uwaga zwrócona była do pana Pickwicka, który właśnie kładł swój kapelusz na tacy.

– Przepraszam – zawołał filozof – bardzo przepraszam.

– To nic! – odrzekł gospodarz. – Mieszkam trochę ciasno, ale trzeba być względnym, gdy się przychodzi do kawalera. Proszę wejść. Tego pana zna pan, prawda?

Pan Pickwick uściskał rękę panu Allenowi, a jego przyjaciele poszli za tym przykładem. Zaledwie goście zasiedli, gdy znowu zapukano do drzwi.

– To zapewne Jack Hopkins – rzekł Bob. – Tak... to on! Chodź, Jack!

Na schodach dały się słyszeć ciężkie kroki i w drzwiach ukazał się Jack Hopkins w aksamitnej kurtce ozdobionej metalowymi guzikami. Pod spodem miał niebieską koszulę i biały fałszywy kołnierzyk.

– Spóźniłeś się – rzekł Ben.

– Zatrzymano mnie w szpitalu.

– Czy zaszło co ważnego?

– Nic nadzwyczajnego. Taki sobie wypadek, nie najgorszy zresztą.

– Cóż takiego? – zapytał pan Pickwick.

– Człowiek spadł z czwartego piętra, nic więcej. Ale to pyszny casus, po prostu doskonały.

– Zapewne chce pan powiedzieć, że pacjent wróci do zdrowia? – zapytał pan Pickwick.

– Nie – odrzekł obojętnie zapytany – raczej sądzę, że umrze, ale jutro czeka nas piękna operacja. Co to będzie za rozkosz, jeżeli zrobi ją Slasher!

– Więc pan Slasher jest tak znakomitym operatorem?

– Najznakomitszym, jakiego zna świat – odparł Hopkins. – Przeszłego tygodnia odjął nogę dziecku, które podczas operacji zjadło pięć jabłek i jeden piernik. Ale nie na tym koniec; w parę minut potem mały bęben oświadczył, iż jeżeli mu nie rozpoczną zaraz drugiej operacji, to się mamie poskarży.

– Zdumiewa mię pan! – zawołał pan Pickwick.

– O, to jeszcze nic! – powiedział Hopkins. – Prawda, Bobie?

– Tak, tak! – odrzekł Bob.

– Wiesz, Bob – ciągnął pan Hopkins, przelotnie spojrzawszy na zaciekawioną twarz pana Pickwicka. – Mieliśmy tamtej nocy dziwne zdarzenie. Przeprowadzono dziecko, które połknęło naszyjnik.

– Co połknęło? – przerwał pan Pickwick.

– Naszyjnik – odpowiedział Jack Hopkins. – Nie od razu – nie cały – tego byłoby za wiele – pan nie potrafiłby połknąć naszyjnika – ale dziecko? Cha, cha, cha! – Pan Hopkins, zdawało się, był niezwykle zachwycony swoim żartem i ciągnął: – Nie, nie – cały od razu. Rodzice tego dziecka byli ubodzy. Siostra dziecka kupiła sobie naszyjnik. Zwykły naszyjnik z wielkich, czarnych, drewnianych paciorków. Dziecko, które bardzo lubiło zabawki, złapało naszyjnik, zaczęło go ciągnąć, przerwało i połknęło jeden paciorek. Widocznie mu smakował, bo na drugi dzień połknęło następny.

– Ależ to straszne! – zawołał pan Pickwick. – Bardzo pana przepraszam! Niech pan mówi dalej!

– Ale następnego dnia łyka już dwa. Potem trzy i tak dalej, aż w końcu tygodnia połknęło cały naszyjnik – dwadzieścia pięć paciorków! Siostra, dziewczyna pracująca, która rzadko kiedy pozwalała sobie na kupno świecidełek, mało oczu nie wypłakała. Gdzie go nie szukała! Nie potrzebuję chyba mówić państwu, że nadaremnie! W parę dni później rodzina siada do obiadu. Pieczona baranina i kartofle. Dziecko nie było głodne, więc się bawi w kąciku. Nagle – piekielny hałas! – Jak gdyby mała burza gradowa. – Nie rób tak, moje dziecko! – mówi ojciec. – Ja nic nie robię! – mówi dziecko. – Nie rób tego więcej! – mówi ojciec. Milczenie, a potem znów hałas, jeszcze gorszy! – Jeżeli nie będziesz zwracał uwagi na to, co mówię, mój chłopcze – mówi ojciec – to się znajdziesz w łóżeczku, zanim się spostrzeżesz! I szarpnął dziecko, by wreszcie posłuchało, a tu ci taki hałas, jak nigdy jeszcze przedtem! – Ależ to nie jego wina! – woła ojciec. – Po prostu dostał krupu nie tam, gdzie należy! – Nie, nie! – woła malec. – To tylko naszyjnik! Połknąłem naszyjnik! – Ojciec łapie malca i pędzi do szpitala. Paciorki w brzuchu dzieciaka przez cały czas dzwonią! A ludzie patrzą w niebo i pod nogi, skąd ten dziwny dźwięk? Leży u nas w szpitalu – kończy Jack Hopkins – a paciorki tak mu

głośno dzwonią w brzuszku, że musimy go otulać grubą kołdrą, bo pobudziłby nam pacjentów!

– Najdziwniejsza historia, jaką kiedykolwiek zdarzyło mi się słyszeć! – zawołał pan Pickwick z emfazą, uderzając w stół.

– O, to drobnostka! – powiedział Hopkins. – Prawda, Bobie?

– Naturalnie!

– Wierz mi pan, że w naszej profesji zdarzają się nieraz wypadki bardzo dziwne!

– Zupełnie panu wierzę – odparł pan Pickwick.

Nowe pukanie do drzwi oznajmiło przybycie otyłego młodego człowieka, z ogromną głową i w czarnej peruce. Przyprowadził ze sobą młodzika w bardzo ciasnym surducie i o skorbutycznej fizjonomii. Potem przybył gentleman mający koszulę upstrzoną w małe, czerwone kotwice; za nim ukazał się blady młodzieniec, ozdobiony ciężkim łańcuchem z połączonej miedzi. Pojawienie się gentlemana wielce wyelegantowanego, w bardzo czystej bieliźnie i sukiennych bucikach, uzupełniło towarzystwo. Wyciągnięto stół nakryty zielonym sukmem; pierwszą porcję ponczu wniesiono w blaszanym dzbanku, przez trzy godziny oddawano się grze w „dwadzieścia jeden”, po pół pensa za punkt. Raz tylko przyjemna ta gra była przerwana małym nieporozumieniem pomiędzy skorbutycznym młodzieńcem a gentlemanem o czerwonych kotwicach, przy czym pierwszy ujawnił nieprzeparte pragnienie rozbicia nosa drugiemu; ale gentleman noszący na koszuli emblematy nadziei oświadczył, iż nie pozwoli sobie obrażać ani gwałtownemu młodemu człowiekowi o skorbutycznej cerze, ani żadnemu innemu indywidualnemu udekorowanemu ludzką głową.

Gdy ukończono grę i obliczono wszystkie punkty, pan Bob Sawyer zadzwonił na kolację, ku ogólnemu zadowoleniu, a goście cofnęli się w kąć, gdy ją zastawiano.

Nie była to operacja tak łatwa, jak by się wydawać mogło. Naprzód trzeba było obudzić służącą, głęboko uspioną pod stołem w kuchni. To zajęło trochę czasu, chociaż bowiem obudzono ją, długo nie zdołano doprowadzić do przytomności. Poza tym przekupniowi, u którego zamówiono ostrygi, nie kazano ich otwierać, a wiadomo, jak trudno otwierać ostrygi zwykłym nożem lub widelcem; toteż sprawa szła ciężko i opornie. Wołowina również nie na wiele się przydała, gdyż była niedopieczona, a i o szynce, chociaż wzięto ją z sąsiedniej niemieckiej wędliniarni, można było powiedzieć, że nie zasługiwała na pochwałę.

Za to posiadano sporą ilość porteru i nie mniej sera, ku zadowoleniu wszystkich biesiadników, tym bardziej, że ser był nadzwyczaj ostry. W ogóle kolacja była o tyle dobra, o ile mogła nią być w takich warunkach.

Po jedzeniu postawiono na stole drugi dzban ponczu, paczkę cygar i dwie butelki wódki. Ale tu nastąpiła niesamowita pauza spowodowana okolicznością bardzo zwyczajną w podobnych razach, niemniej jednak kłopotliwą.

Służąca zajęta była myciem szklanek. Zakład szczycił się posiadaniem czterech naczyń tego rodzaju, z czego jednak nie robimy zarzutu krzywdzącego panią Raddle, gdyż wiadomo, że w podobnych zakładach zawsze daje się odczuwać brak szklanek. Szklanki pani domu były wąskie i wysmukłe, pożyczone zaś z sąsiedniej restauracji – wielkie i pękate. To samo mogło już wyjaśnić prawdziwy stan rzeczy; ale służąca przecięła wszelką możliwość choćby dwuznaczności, gdyż od każdego z gości, zanim jeszcze wypił, niemal przemocą zabrała szklankę i mimo interwencji ze strony Boba Sawyera głośno oświadczyła, że kazano jej szklanki zabrać na dół i umyć.

Stwierdzenie to nie mogło wróżyć nic dobrego. Na próżno wyelegantowany gentleman w sukiennych bucikach wysilał się na dowcip. W chwili gdy szklanki znikły, rozpoczął opowiadanie o tym, jak szczególnie szczęśliwą odpowiedź dała pewna znakomitość polityczna, której nazwiska zapomniał, innej osobistości, także znakomitej, której nazwiska nigdy nie mógł dokładnie się dowiedzieć. Rozwodził się bardzo szczegółowo nad rozmaitymi podrzędnymi okolicznościami, ściśle zresztą związanymi z rzeczoną anegdotą, ale żadną miarą nie mógł

dojść do końca i przypomnieć sobie odpowiedzi, chociaż anegdotę tę opowiadał od dziesięciu lat z wielkim powodzeniem.

– Naprawdę! – rzekł w końcu elegant w sukiennych bucikach – to bardzo dziwna historia.

– Wielka szkoda, że pan ją zapomniał – odpowiedział Bob, z niepokojem spoglądając na drzwi, gdyż zdawało mu się, że słyszy szcęk szklanek. – Bardzo żałuję.

– Ja także bardzo żałuję – dodał opowiadający – gdyż jestem pewny, że rozweseliłoby to panów, ale nie martwcie się: sądzę, że najdalej za pół godziny przypomnę sobie.

W tej chwili szklanki powróciły i Bob Sawyer, dotąd bardzo zakłopotany, odpowiedział z uprzejmym uśmiechem, iż byłby rad usłyszeć koniec opowiadania, które w każdym razie jest nadzwyczaj zajmujące.

Widok szklanek przywrócił Bobowi dobry humor, którego brakowało mu od czasu konferencji z gospodynią. Twarz jego rozjaśniła się i znów się rozruszał.

– Teraz, Betsy – rzekł z wielką słodyczą w głosie, rozstawiając szklanki, które służąca postawiła na środku pokoju – teraz, Betsy, pośpiesz się i daj nam gorącej wody.

– Nie ma gorącej wody – odpowiedziała Betsy.

– Jak to? Nie ma gorącej wody?

– Nie ma! Pani powiedziała, iż pan wody nie dostanie.

Zdumienie, jakie wystąpiło na twarzach gości, dodało odwagi, gospodarzowi.

– Natychmiast przynieś gorącej wody! Natychmiast! – zawołał ze spokojem rozpaczy.

– Nie można! Pani Raddle idąc spać zgasiła ogień i zabrała z sobą kociółek – odparła służąca.

– Mniejsza o to! To drobnostka – rzekł pan Pickwick zauważywszy, że twarz Boba zaczyna się mienić – zimna woda jest równie dobra.

– Tak, tak! – dodał Ben Allen.

– Gospodyni moja podlega chwilowym napadom szału – rzekł Bob z lodowatym uśmiechem. – Obawiam się, iż będę zmuszony wymówić mieszkanie.

– Ale nie, nie! – rzekł Beniamin.

– Boję się, iż do tego dojdzie – mówił Bob z heroiczną stanowczością. – Zapłacę, com wienien, i wyniosę się jutro rano.

Biedny chłopiec! Jakże gorąco tego pragnął!

Usiłowania Boba, by podnieść się po tym ostatnim ciosie, udzieliły się i towarzystwu. Większa część gości dla ożywienia umysłów tym pilniej zajęła się zimnym grogiem, czego pierwsze skutki ujawniły się wznowieniem nieprzyjaznych kroków między skorbutycznym młodzieńcem a właścicielem koszuli pełnej nadziei. Strony wojujące przez jakiś czas okazywały sobie wzajemną pogardę marszczeniem brwi i sapaniem; w końcu skorbutyczny młodzieniec uznał za właściwe zająć wyraźniejsze stanowisko, co doprowadziło do następującej, już niedwuznacznej wymiany zdań:

– Sawyer! – zawołał skorbutyczny młodzian donośnym głosem.

– Co chcesz, Noddy? – zapytał gospodarz.

– Przykro by mi było stać się przyczyną choćby najmniejszego niepokoju przy stole przyjaciela, a zwłaszcza przy twoim, ale sądzę, iż powinienem skorzystać ze sposobności i oświadczyć panu Gunter, iż nie jest gentlemanem.

– A ja, mój kochany Sawyer – odrzekł na to pan Gunter – bardzo bym się zmartwił, gdybym spowodował najmniejszy hałas na ulicy, przy której mieszkasz, ale obawiam się, że będę zmuszony zaniepokoić twoich sąsiadów i wyrzucić przez okno osobę, która właśnie przemówiła.

– Co pan przez to rozumie? – zapytał Noddy.

– To, co mówię – odparł pan Gunter.

– Chciałbym więc widzieć, jak to pan zrobi – rzekł pan Noddy.

– Za chwilę poczuje pan nawet.

- Prosiłbym pana o jego bilet.
- Nic z tego nie będzie.
- Dlaczego, panie?
- Bo pan umieściłby mój bilet za lustrem, aby myślano, że odwiedzają go gentlemani.
- Panie, jeden z moich przyjaciół rozmówi się z nim jutro – rzekł Noddy.
- Dziękuję, żeś mnie pan o tym uprzedził, i zawczasu powiem służącej, by pochowała łyżki – odparł Gunter.

W tym miejscu dialogu wmieszali się obecni, przedstawiając obu stronom niewłaściwość – ich postępowania. Wskutek tego pan Noddy oświadczył, iż ojciec jego był równie szanowany jak ojciec pana Guntera, na co pan Gunter odpowiedział, że jego ojciec był tak samo szanowany jak ojciec pana Noddy'ego. A ponieważ podobną deklarację można było uważać za zapowiedź nowych kroków zaczepnych, więc znów nastąpiła interwencja ze strony towarzystwa; wynikiem jej było wiele hałasu, podczas którego pan Noddy zdołał zapanować nad swym uniesieniem i wyznał, iż zawsze miał dla pana Guntera nieograniczony szacunek. Na to pan Gunter oświadczył, iż prawdę powiedziawszy, woli może pana Noddy'ego niż swego rodzony brata. Usłyszawszy to pan Noddy podniósł się wspaniałomyślnie i podał rękę panu Gunterowi, który ją z zapalem uściśnął, i wszyscy uznali, że sprawa została załatwiona z wielkim honorem dla obu stron.

– Teraz, Bobie – rzekł pan Jack Hopkins – aby nas rozruszać na nowo, proponuję... abyśmy zaśpiewali. – Tu Hopkins wśród głośnych okrzyków zaintonował „Boże, zbaw króla”. Śpiewał, jak umiał najgłośniej, na nową melodię będącą połączeniem „Zatoki Biskajskiej” i „Była sobie raz żabka”. Ponieważ w tych wokalnych produkcjach główna rola przypadła chórowi, każdy zaś z gentlemanów śpiewał na melodię, którą znał najlepiej, efekt był naprawdę wstrząsający.

Gdy chór prześpiewał pierwszą zwrotkę, pan Pickwick podniósł rękę prosząc o głos, a gdy uciszono się, powiedział:

– Przepraszam panów, ale zdaje mi się, iż ktoś krzyczał na dole.

Nastąpiła głęboka cisza. Zauważono, że Bob zbladł.

– Zdaje mi się, iż znowu słyszę ten głos – mówił dalej pan Pickwick. – Proszę otworzyć drzwi.

Kiedy otwarto drzwi, znikła wszelka wątpliwość.

– Panie Sawyer! Panie Sawyer! – wołano z drugiego piętra.

– To moja gospodyni – rzekł Bob spoglądając z niepokojem na gości. – Czego pani sobie życzy, pani Raddle?

– Co to znaczy, panie Sawyer? – ozwał się cierpki głos. – Nie dość tego, że muszę z własnej kieszeni płacić za pana i znosić obelgi pańskich przyjaciół, którzy mają być ludźmi z wykształceniem, ale zdaje się, że chce mi pan dom rozwalić i wyprawia pan o drugiej godzinie rano takie wrzaski, że mógłby pan zaalarmować straż pożarną. Wypędź mi pan zaraz tę hałastę.

– Wstydzili się pan – dodał głos samego pana Raddle, wychodzący jakby spod całego stosu kołder.

– Naturalnie – zawołała czuła jego połowica – bo ty, zmokła kuro, czemu nie pójdziesz sam i nie pozrucasz ich ze schodów! Tak powinien byś zrobić, gdybyś był mężczyzną!

– Zrobiłbym to, moja droga, gdybym był tuzinem mężczyzn – odrzekł małżonek. – Ale w tej chwili oni mają liczebną przewagę...

– Tchórz! – odrzekła pani Raddle z największą pogardą. – Panie Sawyer, czy rozpędzi pan tę hałastę?

– Już idą, idą – odpowiedział nieszczęśliwy Bob. – Sądzę, że najlepiej zrobicie, gdy się rozejdziecie – rzekł następnie do swych przyjaciół – bo doprawdy, zdaje mi się, iż za wiele robimy hałasu.

– Wielka szkoda – rzekł wyelegantowany gentleman – bo właśnie zaczęło nam być tak wesoło.

– Ech! Nie zwracajmy na to uwagi, a zacznijmy lepiej drugą strofę – powiedział Hopkins.

– Nie, dajcie spokój, nie śpiewajcie! – pośpieszył uprzedzić gospodarz. – Piękny to śpiew, ale dość już. Mieszkańcy tego domu są gwałtowni, bardzo gwałtowni.

– Może chcesz, bym poszedł na górę i oporządził gospodarza? – zapytał Hopkins. – Albo począł dzwonić jak na alarm, albo zaczekał na schodach? Rozporządźaj mną. Bobie.

– Dziękuję ci za te dowody przyjaźni – odrzekł nieszczęśliwy Bob – ale sądzę, iż dla uniknięcia zwady najlepiej będzie się rozejść.

– No i cóż, panie Sawyer? – ozwał się znowu cierpki głos pani Raddle. – Czy już się wynoszą ci bandyci?

– Już, już, pani Raddle, szukają kapeluszy. Zaraz odejdą.

– Odejdą! – zawołała pani Raddle, wysuwając przez drzwi swą głowę ozdobioną nocnym czepkiem w tej właśnie chwili, gdy panowie Pickwick i Tupman wychodzili z pokoju. – Odejdą! A po co tu w ogóle przychodzić?

– Moja droga pani – rzekł pan Pickwick, podnosząc głowę.

– Wynoś się pan, stary nicponiu – odpowiedziała na to pani Raddle, szybko zdejmując czepek. – Taki dziad! Mógłby być ich ojcem! Stary rozpustnik! Pan jesteś najgorszy ze wszystkich!

Pan Pickwick uznał za zbyt ciężkie przekonywać o swej niewinności. Zszedł szybko ze schodów na ulicę, gdzie połączył się z panami Tupmanem, Winkle'em i Snodgrassem. Pan Ben Allen, mocno przybity grogiem i zaszłą sceną, towarzyszył im aż do Mostu Londyńskiego, zwierzywszy się w drodze panu Winkle'owi, jako osobie szczególnie zasługującej na zaufanie, iż gotów jest poderżnąć gardło z wyjątkiem Boba Sawyera każdemu gentlemanowi, który ośmieliłby się zalecać do jego siostry, Arabelli.

Oznajmiwszy gotowość spełnienia z należną stanowczością tego przykrego braterskiego obowiązku, zalał się łzami, nasunął sobie na oczy kapelusz i ruszył z powrotem. Po drodze zatrzymywał się przed każdą bramą na placu Borough i aż do świtu pukał energicznie w przekonaniu, iż stoi przed własnym domem i zapomniał klucza od drzwi.

Gdy goście rozeszli się zgodnie z nieco natrętnym życzeniem pani Raddle, nieszczęśliwy Bob Sawyer został sam, aby zastanowić się nad przypuszczalnymi wypadkami następnego dnia i przyjemnościami następnego wieczora.

Rozdział czwarty

Weller starszy wygłasza kilka krytycznych uwag dotyczących utworów literackich, potem przy pomocy swego syna Samuela wywiązuje się z części długu względem czerwono-nosego gentlemana

13 lutego, o czym czytelnicy tej autentycznej historii wiedzą równie dobrze jak my sami, był wigilią dnia, w którym miała być sądzona sprawa Bardell *contra* Pickwick. Nużący to był dzień dla Samuela Wellera, który od dziesiątej rano do drugiej po południu ciągle podróżował z hotelu pana Pickwicka do gabinetu pana Perkera i z powrotem, nie dlatego, by było coś do zrobienia, bo odbyto już naradę i postanowiono, jakiej drogi należy się trzymać, ale że pan Pickwick znajdował się w stanie nadzwyczajnego rozdrażnienia i nieustannie posyłał swemu pełnomocnikowi małe bileciki zawierające jedynie takie pytanie: „Kochany Perker! Jak tam idzie?”, na co pan Perker odpowiadał niezmiennie: „Panie Pickwick! Jak można najlepiej”. Faktem zaś jest, że nie mogło iść ani źle, ani dobrze, aż do dnia następnego. Ale ludziom stojącym przed sądem lub wzywanych tam po raz pierwszy przebaczyć trzeba chwilową irytację i niepokój, jakiego doznają. Sam wiedział o tym i ulegał słabości natury ludzkiej, wykonując wszystkie rozkazy swego pana z niczym nie zamaconym humorem, stanowiącym jeden z najwybitniejszych i najmiłszych rysów jego charakteru.

Właśnie pokrzepił się był smacznym obiadem i czekał w sali bufetowej na pewną gorącą mieszaninę, której zażycie zalecił mu pan Pickwick celem usunięcia śladów porannego znużenia, gdy najpierw w sieni, potem na schodach, potem w korytarzu, wreszcie w sali oberży „Pod Jerzym i Jastrzębiem” ukazał się chłopak w futrzanej czapce i flanelowej kurtce, którego wszystkie ruchy zdradzały chwalebna ambicję dojścia z czasem do godności masztalera. Chłopak spojrzał dokoła, jakby szukał kogoś, do kogo ma polecenie, wobec czego służąca, która nie uważała za nieprawdopodobne, by polecenie to miało jakiś związek z łyżeczkami do herbaty i do czego innego, krzyknęła na chłopaka:

- Hej, ty tam! Co tu robisz?
- Jest tu ktoś, kto się nazywa Sam? – zapytał chłopak cienkim dyszkantem.
- A nazwisko? – zapytał Sam zwracając się do chłopca.
- A czy ja wiem! – odrzekł żywo zapytany.
- Znadtoś dowcipny, mój malcze. Uważaj no tylko, by się dowcip nie obrócił, bo mógłbyś wtenczas dostać jego ostrym końcem. Cóż to znaczy? Przychodzisz do hotelu i pytasz o Sama z uprzejmością dzikiego Indianina?
- Bo mi tak kazał stary.
- Jaki stary? – zapytał Sam z głęboką pogardą.
- Ten, co jeździ po Ipswich i przystaje w naszej oberży – odparł chłopak. – Powiedział mi wczoraj rano, bym poszedł „Pod Jerzego i Jastrzębia” i zapytał o Sama.
- To mój autor – rzekł Sam do panny siedzącej za bufetem. – Obawiam się, że on naprawdę nie zna mego nazwiska. No, młody karczocho, co masz mi jeszcze do powiedzenia?

– Stary powiedział, byście przyszli do nas o szóstej, bo chce widzieć się z wami „Pod Błękitnym Odyńcem” na Leadenhall. Czy mam powiedzieć mu, że tam przyjdziecie?

– Możesz zaryzykować – odrzekł Sam.

Otrzymawszy to pełnomocnictwo, chłopak oddalił się, budząc sąsiednie echa szczęśliwym naśladowaniem piosenek dorożkarskich, co czynił rzeczywiście głosem szerokim i pełnym.

Sam z łatwością otrzymał urlop od pana Pickwicka, gdyż w stanie rozdrażnienia, w jakim znajdował się filozof, nie miał nic przeciwko temu, by być samotnym. Toteż Sam puścił się w drogę na długo przed umówioną godziną, a mając czas, przespacerował się do pałacu mera Londynu. Tu zatrzymał się i z filozoficznym spokojem zajął się oglądaniem niezliczonych kabrioletów i pojazdów wszelkiego rodzaju. Spędziwszy tak z pół godziny, skierował się ku rynkowi Leadenhall przez mnóstwo uliczek i zaułków. Ponieważ pracował nad zabiciem czasu i zatrzymywał się przed każdym prawie przedmiotem, który mu wpadł w oko, nie wyda się więc dziwnym, iż stanął także przed sklepem, gdzie sprzedaje się papier; ale co by bez bliższych wyjaśnień mogło wydawać się dziwne, to to, że zaledwie oczy jego zatrzymały się na pewnych malowidłach wystawionych w oknie, Sam zadrżał, mocno uderzył się prawą ręką po udzie i wykrzyknął:

– Doprawdy, że zapomniałbym jej posłać. Nie przyszło mi do głowy, że jutro właśnie dzień św. Walentyna.

Kolorowany rysunek, na który zwrócone były oczy Sama, gdy to mówił, przedstawiał dwa serca ludzkie jaskrawo wymalowane, osadzone na strzale i piekące się na sutym ogniu. Dwaj ludożercy, męskiego i żeńskiego rodzaju, we współczesnych ubiorach (gentleman w granatowym fraku i białych spodniach, dama w czerwonym płaszczu z takimże parasolem), zbliżali się do tego pieczystego z miną wygłodzoną, po ścieżce wysypanej delikatnym piaskiem. Mały chłopiec, bardzo nieskromny (gdyż za całe ubranie miał tylko parę skrzydeł), doglądał tej kuchni. W głębi widać było dzwonnice kościoła na Langham Place. Słowem, malowidło to przedstawiało miłosny list z rodzaju tych, które nazywa się „Walentynami”. Jak oznajmiono na niewielkiej tablicy, właściciel sklepu podejmował się dostarczenia podobnych wyrobów współobywatelom swoim w każdej żądanej ilości po jednym szylingu i sześć pensów za sztukę.

– Byłbym zupełnie zapomniał posłać jej taki list – powtórzył Sam i wszedł prosto do sklepu. Tam zażądał arkusza najpiękniejszego listowego papieru ze złotymi brzegami i twardego pióra, z zaręczeniem, iż nie będzie pryskać. Otrzymawszy te przedmioty poszedł dalej, ale już nierównie prędzej niż przedtem. Stanąwszy koło rynku Leadenhall, powiódł dokoła wzrokiem i ujrzał szyld, na którym artysta wymalował coś, co miało dalekie podobieństwo do słonia niebieskiego koloru z orlim nosem zamiast trąby. Słusznie przypuszczając, że był to „Błękitny Odyńiec” we własnej osobie, Sam wszedł do wnętrza i zapytał o autora swej osoby.

– Przyjdzie tu chyba za jakie trzy kwadransy – odpowiedziała młoda dama zarządzająca miejscowym gospodarstwem.

– Bardzo dobrze – odrzekł Sam. – Proszę mi dać za dziewięć pensów wódki z gorącą wodą i atramentu.

Gdy przyniesiono wódkę i atrament do osobnego pokoju, młoda dama pieczołowicie przytłumiła ogień, by nie palił się zbyt jasno, i natychmiast odeszła zabierając pogrzebaczkę, aby uniemożliwić wszelkie próby rozniecenia nędznego płomyka bez uprzedniej wiedzy i zgody oberży „Pod Błękitnym Odyńcem”. Sam zasiadł na krześle koło pieca, wydobył z kieszeni papier ze złotymi brzegami i twarde pióro, starannie obejrzał jego koniec, by się przekonać, że nie ma na nim włosa, wytarł stół z obawy, by pod papierem nie znalazły się okruszyny chleba, zawiązał rękawy, wsparł się na łokciach i przygotował się do pisania.

Napisać list nie jest rzeczą łatwą, zwłaszcza dla dam i gentlemanów nie bardzo poświęcających się nauce kaligrafii. W podobnych wypadkach piszący zawsze poczytuje za niezbędne pochylić swoją głowę ku lewemu ramieniu i spoglądając z ukosa na stawiane litery, jednocze-

śnie tworzyć językiem odpowiadające im idealnie kształty. Chociaż jednak tego rodzaju ruchy niezaprzeczenie wielce przyczyniają się do oryginalnej kompozycji, za to z drugiej strony znacznie opóźniają samo pisanie. Już przeszło półtorej godziny Sam wypisywał na papierze drobne litery, małym palcem wycierając te, które się nie udały, i kładąc inne na ich miejscu, gdy zajęcie to przerwało mu wejście szanownego Wellera starszego.

– No, Sammy! – rzekł ojciec.

– No, stary – odrzekł syn, odkładając pióro. – Cóż tam mówi ostatni biuletyn o zdrowiu macochy?

– Pani Weller spędziła noc spokojnie, ale z rana była w szkaradnym humorze. Podpisano pod przysięgą: Tony Weller Esq. Oto ostatni biuletyn, Samie – odrzekł Weller starszy, zdejmując szal.

– Więc nie ma polepszenia?

– Przeciwnie, symptomy coraz gorsze – odpowiedział ojciec, wzruszając ramionami. – Ale co ty tu robisz, Sammy? Chcesz zostać uczonym, co?

– Już skończyłem – odrzekł Sam, nieco zakłopotany – pisałem.

– Widzę, ale spodziewam się, że nie do kobiety?

– Ech! Co tu ukrywać. To Walentyn.

– Co? – zawołał ojciec, którego słowa te, zdawało się, napęłniały przerażeniem.

– Walentyn.

– Samiwelu! Samiwelu! – zaczął znowu ojciec tonem wyrzutu – nigdy nie spodziewałem się tego po tobie. Wobec przykładu, jaki dały ci złe skłonności twego ojca, wobec wszystkiego, com ci o tym przedmiocie powiedział, wobec osobistego poznania twej macochy, co starczy za moralną naukę, której człowiek nie powinien zapomnieć do końca życia, nie przypuszczałem, byś mógł to zrobić, Samiwelu! Nie, nigdy nie przypuszczałem.

Były to zbyt przykre uwagi dla nieszczęśliwego ojca, po ich wygłoszeniu przyłożył więc do ust szklankę Sama i duszkiem wypił wszystko, co w niej było.

– No, a teraz jak ci jest, stary? – zapytał syn.

– O, Sammy, jaki to ciężki cios w moim wieku! Na szczęście jestem łykowaty i to mię pociesza – jak mówił stary indyk gospodarzowi, który mu oznajmił, iż musi go zabić i zanieść na targ.

– Co jest ciężkim ciosem?

– Widzieć cię żonatym, Sammy, widzieć, że jesteś ofiarą i w niewinności swojej wyobrazasz sobie, że tak być powinno. To przerażający cios dla serca ojcowskiego, Sammy!

– Głupstwo! Nie myślę się żenić, nie martw się nadaremnie. Każ sobie lepiej podać fajkę; przeczytam ci list.

Nie możemy stanowczo powiedzieć, czy boleść Wellera uległa złagodzeniu dzięki perspektywie fajki, czy też dzięki przekonaniu, iż w rodzinie jego istnieje jakaś fatalna skłonność do małżeństwa, której na próżno byłoby stawiać opór. Gotowi byśmy niemal przypuszczać, iż szczęśliwy ten rezultat wypłynął jednocześnie z obu tych skombinowanych źródeł pociechy. Weller rzucił okrycie, zapalił fajkę, usiadł plecami do ognia, by czuć jego ciepło, a równocześnie opierać się o gzyms kominka; potem zwrócił ku Samowi twarz znacznie łagodniejszą i wezwał go do bliższych wyjaśnień.

Sam umoczył pióro w kałamarzu, by być gotowym do robienia poprawek, i zaczął z teatralnym patosem:

– Luba...

– Czekaj! – zawołał Weller starszy, ciągnąc za dzwonek. – Dwie szklanki nieomyślnej, moje dziecko!

– Zaraz, panie – odrzekła dziewczyna, która z wielką szybkością zjawiła się i znikła, znów się zjawiła i znów znikła.

– Tu, zdaje się, znają twoje gusta – zauważył Sam.

– Znają – odrzekł ojciec. – Przedtem bywałem tu często. No, teraz zaczynaj.

– Luba istoto!...

– Czy to będą może wiersze?

– Nie, nie!

– Tym lepiej. Wiersze to rzecz nienaturalna. Nie ma ani jednego człowieka, który by mówił wierszami, z wyjątkiem zakrystiana w drugi dzień Bożego Narodzenia i tych, co zachwalają Warrena czernidło do butów, rozmaite olejki i tym podobne rzeczy. Nie zniżaj się nigdy do mówienia wierszami, mój chłopcze, to dobre dla hołoty. Zaczynaj no jeszcze raz.

– Luba istoto! Czuję, że serce moje siarczyście...

– „Siarczyście” to nieprzyzwoicie – przerwał Weller, odejmując fajkę od ust.

– Nie, nie, to nie „siarczyście” – rzekł Sam, zwracając list ku oknu – to „ogniście”, tylko że tu zrobił się kleks. Czuję, że serce moje ogniście zapaliło się...

– Bardzo dobrze! Dalej!

– Ogniście zapaliło się i roz... zapomniałem, jaki tu ma być wyraz – rzekł Sam drapiąc się piórem za uchem.

– Więc czemuż nie popatrzysz?

– Właśnie patrzę, ale tu także jest kleks. Widzę r, o, z...

– Może „rozpędziło” – poddał Weller.

– Nie, to „roznamiętniło”, tak.

– To już nie tak wymowne słowo jak „rozpędziło” – rzekł Weller z powagą.

– Tak sądzisz?

– Niezawodnie.

– A mnie się zdaje, iż „roznamiętniło” więcej wyraża.

– Ech, zresztą – rzekł Weller po krótkim milczeniu – może to bardziej czule. Wal dalej, Sammy.

– Moje serce ogniście się rozogniło i roznamiętniło na wspomnienie o tobie, gdyż jesteś ekstrafajn dziewczyna, i chciałbym, by mi kto powiedział, że tak nie jest...

– To piękna myśl – rzekł Weller, odejmując fajkę od ust, by zrobić tę uwagę.

– Sądzę, że niezła – odpowiedział syn, któremu to bardzo pochlebiło.

– Co mi się podoba w twoim stylu, to że nie ma tu żadnych obcych wyrażen, żadnych Wenusów ani nic podobnego. Bo po co to mówić młodej kobiecie, że jest Wenus albo anioł, Sammy?

– Rozumie się: po co?

– Dlaczegoż by nie nazwać jej od razu gryfem albo jednorożcem? Przecież to także, jak wiadomo, są zwierzęta bajeczne!

– Jedno warte tyle, co i drugie.

– Wal dalej, Sammy!

Posłuszny Sam czytał dalej, podczas gdy ojciec jego palił fajkę z wyrazem mądrości i poślazania, co było szczególnie budujące.

– Nim ciebie ujrzałem, sądziłem, iż wszystkie kobiety są jednakie...

– Są jednakie – zauważył Weller nawiasowo.

– Ale ujrzawszy ciebie, przekonałem się, iż byłem głupi jak korniszon, ponieważ nie ma na świecie osoby, która by tak mi się podobała... Myślę, że należało to wyrazić jakoś dobitniej rzekł Sam, podnosząc głowę.

Weller skinął w milczeniu, syn czytał dalej:

– A zatem korzystam z przywileju, moja kochana Mary – jak mówił pewien gentleman w kłopotach, tylko w nocy wychodzący z domu – by ci powiedzieć, że chociaż widziałem cię tylko jeden raz, obraz twój jest wryty w moim sercu wyraźniej i lepszymi kolorami, aniżeli gdyby zrobiono go maszyną fabrykującą w dwie minuty portrety z ramkami i haczykiem do wieszania.

- Boję się, czy to nie trąci już poezją – zauważył Weller z powątpiewaniem.
 - Nie, nie – odrzekł Sam, zaczynając znów czytać, by uniknąć dalszej dyskusji: – Przyjmij mię, droga Mary, za twego Walentyna i pomyśl o tym, co ci piszę. Moja droga Mary, teraz kończę. – Ot, i wszystko.
 - Zdaje mi się, iż zakończenie jest za nagle, Sammy.
 - O nie! Może by chciała, by było dłuższe, ale na tym właśnie polega cały sekret pisania listów.
 - No, jest w tym coś. Chciałbym, by twoja macocha miała te same zasady. A czy nie podpiszesz?
 - W tym sęk. Nie wiem, jak podpisać.
 - Podpisz „Weller” – rzekł właściciel tego nazwiska.
 - Nie można. Walentyn nigdy nie podpisuje się własnym nazwiskiem.
 - No to podpisz „Pickwick”. To piękne nazwisko i łatwe do wymówienia.
 - Doskonale! A gdybym zakończył wierszami, co?
 - Nie lubię wierszy, mój chłopcze; w całym moim życiu nie znałem żadnego porządnego stangreta, który by pisał wiersze, z wyjątkiem jednego, który napisał bardzo rozczulające wiersze w dniu, w którym go powieszono za rozbój na drodze, ale to był stangret z Camberwell, więc to się nie liczy.
- Ale Sam nie dał sobie wyperswadować poezji i podpisał :

*Miłość przenika
Twego Pickwicka*

- Złożywszy następnie list w sposób bardzo skomplikowany, napisał na nim ukośnie adres:
- Panna Mary, służąca u pana Nupkinsa, burmistrza w Ipswich, Suffolk – potem opatrzył list pieczęcią i włożył go do kieszeni, by odnieść w swoim czasie na pocztę.
- Po załatwieniu tej ważnej sprawy pan Weller senior zaczął przedstawiać drugą, dla której wezwał swego spadkobiercę.
- Pierwsza historia dotyczy twego chlebowdawcy – powiedział. – Jutro ma być sądzony.
 - Niezawodnie.
 - Otóż pewno będzie potrzebował świadków, którzy by zaprzysięgli jego obyczaj albo dowiedli alibi. Już ja to wszystko obmyśliłem i chlebowdawca może być spokojny. Znalazłem kilku przyjaciół, którzy załatwią mu jedno lub drugie. A co do mnie, to takie jest moje zdanie: dajcie pokój obyczajom i weźcie się do alibi. Nie ma nic lepszego jak alibi. Nic, Sammy!
- Pan Weller patrzył bardzo uczenie dokoła, gdy wyrażał tę opinię prawniczą, potem zaś wetknął nos w szklanekę i spoza jej brzegu wyglądał ku zdumionemu synowi.
- Ej, co ci jest, stary? Czy myślisz, że gubernator pójdzie do kryminału i że go sądzić będą w Old Bailey?
 - To wszystko jedno, mój chłopcze. Mniejsza o to, gdzie go sądzić będą; alibi, w tym rzecz. Za pomocą alibi uratowaliśmy Toma Wildsparka, chociaż oskarżony był o zabójstwo, a wszystkie peruki utrzymywały, iż nic mu nie pomoże. Powiem ci, Sammy, że jeżeli twój chlebowdawca nie dowiedzie alibi, to niechybnie zadrze nogi.
- Ponieważ starszy pan Weller żywił głębokie i niewzruszone przekonanie, że Old Bailey jest najwyższym sądem państwowym i do jego praw i norm muszą się stosować wszystkie inne, przeto nawet słuchać nie chciał dowodzeń Sama, iż alibi w tym wypadku na nic się nie przyda. Z wielką gwałtownością twierdził, iż wobec tego pan Pickwick padnie ofiarą sądu. Widząc, że nie ma co dalej dyskutować o tym, Sam zmienił przedmiot rozmowy i zapytał, w jakiej to drugiej sprawie szanowny rodzic pragnie zasięgnąć jego zdania.
- Jest to punkt dotyczący polityki domowej, Sammy – odpowiedział Weller. – Znasz Stiginsa?

– Czerwononosego?

– Tego samego. Czerwononosy odwiedza twoją macochę z dobrocią i łaskawością, jakich nigdy nie widziałem. Tak kocha naszą rodzinę, iż gdy odchodzi, nie może przemóc się, by nie zabrać jakiej pamiętki.

– Gdybym był na twoim miejscu – powiedział Sam – dałbym mu coś, co by dziesięć lat popamiętał!

– Zaraz, zaraz! Otóż, jak mówiłem, teraz przynosi zawsze z sobą płaską butelkę, obejmującą około półtorej kwarty, a gdy odchodzi, napełnia ją starannie naszym grogiem ananasowym.

– I na pewno odnosi próżną?

– Zostaje tylko korek i zapach. Co do tego możesz być zupełnie spokojny. Otóż, mój chłopcze! Dziś te próżniaki będą tu odbywać miesięczne posiedzenie sekcji Brick Lane, oddziału Ebenezer, wielkiego towarzystwa wstrzeźliwości. Miała tam pójść i twoja macocha, ale dostała reumatyzmu i nie może, a ja podchwyciłem dwa bilety, które jej przesłano.

Udzieliwszy synowi tej tajemnicy z nadzwyczajnym zadowoleniem, Weller senior zaczął tak szybko mrugać okiem, iż Sam począł przypuszczać, że dostał nerwowej drżączki w prawej powiece.

– No i cóż z tego? – zapytał.

– Ano – mówił dalej ojciec oglądając się na wszystkie strony – my przyjdziemy we właściwym czasie. A pomocnik pasterza nie! Pomocnik nie!

Tu Weller dostał takiego napadu śmiechu, że omal nie udusił się. Przestraszony Sam począł mu rozcierać grzbiet, jakby chciał z niego wykrzesać ogień, po czym odezwał się:

– Doprawdy, że nigdy w życiu nie widziałem podobnego komika. Czegóż tak chichoczesz, korpulencjo?

– Cicho, Sammy – odrzekł Weller, oglądając się dokoła z wielką ostrożnością i mówiąc stłumionym głosem. – Dwaj moi przyjaciele, jeżdżący oksfordzkim traktem i świetni do wszystkich awantur, wzięli pomocnika na holownik i gdy przyjdzie na posiedzenie Ebenezera (co stanie się niezawodnie, gdyż doprowadzą go do samych drzwi i wepchną tam w razie potrzeby), to zgromadzeni przekonają się, iż jest zalany grogiem, jak nigdy nie był „Pod Markizem Granby”, a to już niemało.

Tu Weller powtórnie wybuchnął śmiechem, narażając się niemal na uduszenie.

Nic nie mogło Samowi tak przypaść do gustu jak zdemaskowanie czerwononosego obłudnika, a ponieważ nadchodziła już godzina, o której posiedzenie miało się rozpocząć, więc ojciec z synem bezzwłocznie poszli ku Brick Lane. Po drodze Sam oddał list na pocztę.

Miesięczne posiedzenia filii Brick Lane, oddziału wstrzeźliwości Ebenezer, odbywały się w miłej i obszernej sali, do której można się było dostać za pomocą pewnej i wygodnej drabiny. Prezydentem był właśnie pan Antoni Humm, nawrócony strażak, obecnie nauczyciel, a przygodnie wędrowny kaznodzieja. Sekretarzem był niejaki pan Janas Mudge, pomocnik blacharski, który był naczyniem bezinteresowności i entuzjazmu, a poza tym sprzedawał herbatę członkom stowarzyszenia. Przed rozpoczęciem zebrania damy, siedząc na taboretach, popijały herbatę, jak mogły najdłużej; wielka drewniana skarbonka stała na zielonym suknie na biurku, przy którym siedział sekretarz, wdzięcznie uśmiechający się przy każdym nowym dodatku do ukrytego wewnątrz skarbonki zbioru miedziaków.

Tego wieczora damy zaczęły od wypicia przerażającej niemal ilości herbaty, ku wielkiemu oburzeniu pana Wellera, który nie zwracając uwagi na znaki Sama, wodził dokoła oczami pełnymi zdziwienia i pogardy.

– Sammy – szepnął do syna – jeżeli niektórym z tych bab nie trzeba będzie robić operacji jako dotkniętym puchliną wodną, to nie jestem twoim ojcem, i basta! Widzisz tę starą babę naprzeciw mnie? Ona utopi się w herbacie.

– Czy nie możesz być cicho? – szepnął Sam.

– Sammy – rzekł znów Weller po chwili, z wyrazem głębokiego wzruszenia – uważaj, co ci powiem, mój chłopcze; jeżeli ten sekretarz jeszcze przez pięć minut będzie tak żarł grzanki i zapijał je gorącą wodą, to niezawodnie pęknie.

– Cóż ci to szkodzi, jeżeli mu się tak podoba? To do nas nie należy – rzekł Sam.

– Jeżeli tak potrwa dłużej – zaczął znów Weller cichym głosem – czuję, iż mój obowiązek, jako człowieka i chrześcijanina, każe mi wstać i powiedzieć parę słów prezydentowi. Tam, na trzecim taborecie, siedzi młoda kobieta, która wypija już piętnaście filiżanek; w oczach rozdyma się.

Nie ma żadnej wątpliwości, że Weller obróciłby w czyn swe życzliwe zamiary, gdyby wielki szmer stukających filiżanek nie oznajmił, że herbata skończona. Po wyniesieniu przyborów i ustawieniu stołu z zielonym sukmem na środku sali posiedzenie zagałę bardzo żywy, mały, łysy człowiek w aksamitnych spodniach. Szybko wszedł po stopniach estrady z narażeniem swych cienkich nóg i przemówił w ten sposób:

– Panie i panowie! Proponuję na przewodniczącego naszego zacnego brata, pana Antoniego Humma.

Na tę propozycję damy zaczęły machać całą kolekcją pięknych chustek, a niespokojny mały człowieczek dosłownie podniósł do góry pana Humma, ujawszy go za barki i wrzuciwszy w głąb mahoniowego fotela, który ongiś należał do tego rodzaju mebli. Powiewanie chustkami powtórzyło się i pan Humm, który miał twarz bladą i wiecznie spotniałą, powitawszy uprzejmie towarzystwo, z powagą zajął swe miejsce. Następnie mały człowieczek wezwał wszystkich do milczenia; pan Humm zaś powiedział, że za przyzwoleniem braci i sióstr sekcji Brick Lane, w tej chwili obecnych, sekretarz tejże sekcji Brick Lane odczyta sprawozdanie. Propozycję tę przyjęto jednogłośnie znów operacją z chustkami.

Gdy sekretarz kichnął w sposób bardzo znaczący, a towarzystwo odchrząknęło, jak to zawsze bywa, gdy ma nastąpić coś ważnego, rozpoczęto czytanie następującego dokumentu:

SPRAWOZDANIE

KOMITETU SEKCJI BRICK LANE, ODDZIAŁU EBENEZER WIELKIEGO TOWARZYSTWA WSTRZEMIEŻLIWOŚCI

Komitet prowadził dalej swe prace w ciągu ubiegłego miesiąca i ku wielkiej swej radości podaje wam następujące nowe wypadki nawrócenia się:

H. Walker, krawiec, żonaty, mający dwoje dzieci. Gdy był zamożniejszy, przyznaje, iż pijał porter i piwo. Powiada, iż nie może zaręczyć, by przez dwadzieścia lat nie używał przynajmniej dwa razy na tydzień „psiego nosa”. Komitet nasz, zarządzwszy odpowiednie poszukiwania, wykrył, iż napój powyższy składa się z gorącego portera, goździków, jałowcówki i muszkatołowej gałki (w tym miejscu jedna z pań wzdycha i mówi: Tak! Tak!). Obecnie jest bez roboty i bez pieniędzy; sądzi, że winą tego jest porter (Oklaski), albo też okoliczność, iż nie może ruszać prawą ręką. Nie wie tego z pewnością, ale przypuszcza, iż gdyby przez całe życie pił tylko wodę, kolega jego nie ukłułby go zardzewiałą igłą, co spowodowało bezwład ręki (Huczne oklaski). Teraz nie ma nic do picia oprócz wody i nigdy nie czuje się podchmielony (Potężne oklaski).

Betsy Martin, wdowa, ma tylko jedno dziecko i jedno oko; pracuje na dniówkę jako praczka, drugiego oka nigdy nie miała, ale wie, że matka jej pijała mocne piwo podwójne, i nie dziwi jej, że z tego powodu jest jednooką (Huczne oklaski). Sądzi, iż prawdopodobnie miała by dwoje oczu, gdyby sama wstrzymywała się od napojów spirytusowych (Gwałtowne oklaski). Zwykle zarabiała dziennie szylinga i sześć pensów, kwartę portera i szklanekę wódki; ale od czasu jak należy do sekcji Brick Lane, żąda zawsze dziennie trzy szylingi i sześć pensów (interesujący ten fakt przyjęto z największym uznaniem).

Henryk Beller przez wiele lat urządzał obiady dawane przez korporacje. W owym czasie pijał wiele win zagranicznych. Być może, iż nawet zanosił czasem do domu jedną lub dwie butelki. Nie może tego powiedzieć z pewnością, ale sądzi, że jeżeli zaniósł, to niezawodnie wypił to, co się w butelkach znajdowało. Obecnie czuje się podupadły na duchu i melancholijny, noce miewa niespokojne i odczuwa pragnienie. Przyczyną tego jest wino, które miał zwyczaj pijać (Oklaski). Teraz jest bez pracy i nigdy nie tknie nawet zagranicznych win (Huczne oklaski).

Tomasz Burton dostawia kocie mięso lordowi majorowi, szeryfom oraz wielu członkom rady (nazwisko to przyjęto z zapierającym oddech zainteresowaniem). Ma drewnianą nogę. Doszedł do przekonania, że nogi drewniane są kosztowne, ponieważ zbijają się na kamieniach. Kupował nogi drewniane gorszego gatunku, a wieczorami wypijał szklanekę gorącej wody z dżinem. Czasami dwie (Głębokie westchnienia). Szybko przekonał się, że nogi drewniane gorszego gatunku są przeważnie spróchniałe i stoczone przez robaki. Wierzył głęboko, że wpływa na to dżin (Długie oklaski). Kupuje od pewnego czasu nogi pierwszego gatunku i pija tylko wodę i lekką herbatę. Nowe nogi służą mu dwa razy dłużej niż stare. Przypisuje to zmianie swoich zwyczajów (Triumfalne okrzyki).

Po odczytaniu tego sprawozdania Antoni Humm zaproponował odśpiewanie pieśni. Mając szczególnie na uwadze duchowo-obyczajowy pożytek, brat Mordlin przystosował piękne słowa:

Któż nie zna go, wioślarza wesolego,

do starej, powszechnie znanej melodii siódmego psalmu, mówca prosi więc, by pieśń tę odśpiewano razem z nim (Powszechne oklaski). Zarazem korzysta ze sposobności, by wypowiedzieć niezachwiane swe przekonanie, iż pieśń tę napisał śp. pan Didin, gdy poznał błędy swego dawnego życia, a uczynił to w tym celu, by przedstawić korzyści płynące ze wstrzeźliwości. Jest to śpiew wstrzeźliwości (Huragan oklasków). Piękny ubiór interesującego młodzieńca, zręczność jego ruchów, zazdrości godny stan ducha, dzięki czemu, mówiąc pięknymi słowami poety:

Przepływa próżen wszelkiej troski

– wszystko to dowodzi, że musiał on pić tylko i jedynie wodę (Oklaski). O, cóż to za stan cnotliwej radości! (Entuzjizm). I jaka nagroda spotkała młodzieńca? Niech wszyscy obecni tu młodzi ludzie zapamiętają to sobie:

Wszystkie dziewczęta w łódź jego się tłoczą.

(Powszechne oklaski, do których przyłączają się także damy). Co za wymowny przykład! Dziewczęta otaczają młodego wioślarza i towarzyszą mu na drodze obowiązku i wstrzeźliwości. Ale czy były to tylko dziewczęta niższego stanu, które go cieszyły, pocieszały i umacniały? O nie!

*Najpiękniejsze kobiety, jakie w mieście były,
Łódź jego wieńczyły.*

– jak pięknie powiada poeta (Oszalamiające oklaski). – Płeć łagodna – tu przeprosił pewną damę – zgromadziła się dokoła młodego wioślarza i z pogardą odwróciła się od pijących napoje spirytusowe (Oklaski). Bracia z sekcji Brick Lane to są tacy wioślarze (Oklaski i

śmiech). Ta sala to ich łódź; ci słuchacze to dziewczęta, a on (pan Antoni Humm), choć niegodny tego – jest pierwszym wioślarem! (Bezgraniczny entuzjazm).

– Sammy, co on rozumiał przez „płec łagodną”? – cicho zapytał pan Weller.

– Kobiety – odrzekł Sam tym samym tonem.

– Co do tego, ma słuszność. Musi być bardzo łagodna, kiedy pozwala wodzić się za nos takiemu cymbałowi.

Sarkastyczne spostrzeżenia starego Wellera przerwało rozpoczęcie pieśni, którą pan Humm podawał po dwa wiersze, by ułatwić śpiewanie tym, którzy nie znali słów. Tymczasem mały łysy człowiek znikł, ale gdy tylko śpiew ukończono, powrócił i począł coś szeptać panu Hummowi z bardzo poważną miną.

– Moi przyjaciele – rzekł następnie pan Humm, podnosząc w górę rękę i znakiem tym wzywając do milczenia te damy, które spóźniły się o parę wierszy i jeszcze je kończyły – moi przyjaciele, delegat sekcji Dorking, brat Stiggins, czeka na dole.

Chustki załopotwały w powietrzu jeszcze silniej, gdyż pan Stiggins był bardzo popularny między damami sekcji Brick Lane.

– Sądzę, że może wejść – rzekł pan Humm, spoglądając dokoła. – Bracie Tadger! Pan Stiggins może wejść i spełnić swe posłannictwo.

Mały człowieczek zbiegł bardzo skwapliwie po schodach, a w chwilę potem usłyszano, jak powracał z wielebnym Stiggensem.

– Idzie, Sammy – szepnął pan Weller, którego twarz nabrała purpurowej barwy, tak mu się chciało śmiać.

– Bądźmy cicho – odrzekł Sam. – Ja sam ledwo mogę się powstrzymać. Słyszę, jak się zatacza.

Gdy Sam to mówił, drzwi się otworzyły i ukazał się brat Tadger, a zaraz za nim wielebny Stiggins. Wejście tego drugiego przyjęto oklaskami, tupaniem nóg i machaniem chustkami. Ale na te wszystkie oznaki uznania Stiggins nie odpowiedział ani słowem, poprzestając na wpatrywaniu się z ogłupiałym uśmiechem w świecę gorejącą na stole i równoczesnym kołysaniem się całym ciałem w sposób dziwnie nieregularny i niepewny.

– Czy ci niedobrze, bracie Stiggins? – zapytał po cichu pan Humm.

– Bardzo mi dobrze, mój panie — odrzekł pan Stiggins głosem tak dzikim, na jaki tylko mógł zdobyć się jego z trudnością obracający się język. – Doskonale mi jest, mój panie!

– Tym lepiej, tym lepiej! – odpowiedział pan Humm, cofając się o kilka kroków.

– Spodziewam się, iż nikt z obecnych nie pozwoli sobie powiedzieć, by mi było źle.

– O, nie! Naturalnie – rzekł pan Humm.

– I nie radzę tego mówić, mój panie, nikomu nie radzę! Podczas tej rozmowy zgromadzenie zachowywało najzupełniejsze milczenie, z pewnym niepokojem czekając na rozpoczęcie przerwanej sesji.

– Bracie – rzekł pan Humm z uprzejmym uśmiechem – czy chcesz przemówić do zgromadzenia?

– Nie chcę! – odparł pan Stiggins.

Zgromadzenie podniosło oczy ku niebu i szmer zdziwienia przeleciał po sali.

– Mój panie – zaczął pan Stiggins, rozpinając surdut i mówiąc bardzo głośno – jestem zdania, iż zgromadzenie to spiło się haniebnie. Bracie Tadger! – mówił dalej ze wzrastającą gwałtownością, zwracając się nagle do łyszego człowieka – jesteś pijany jak bela!

To mówiąc pan Stiggins, w chwalebny zamiarze zachęcenia zgromadzenia do wstrzeźliwości i wyłączenia z niego wszelkich niegodnych osób, uderzył pięścią w sam nos brata Tadgera tak trafnie, iż mały sekretarz znikł w mgnieniu oka, zlatując głową naprzód ze schodów wiodących na estradę.

Oratorska ta scena wywołała rozzwierający krzyk kobiet, które tłumnie rzuciły się ku swemu faworytowi, i otoczyły go, by osłonić przed niebezpieczeństwem. Ten dowód czulego

przywiązania omal nie stał się fatalny dla pana Humma, który był bardzo popularny, tyle bowiem pobożnych piękności rzuciło mu się na szyję i tak się go trzymało, że omal nie został uduszony. Większa część świec zgasła i słychać było tylko straszny hałas.

– Teraz, Sammy – rzekł Weller, uważnie zdejmując surdut – idź i sprowadź nocnego stróża.

– A co ty będziesz robił tymczasem?

– O mnie nie troszcz się, Sammy. Zajmę się wyrównaniem małego rachunku z tym Stigginsem...

Nim Sam miał czas powstrzymać go, bohaterski starzec dotarł do miejsca, gdzie stał Stiggins, i zaatakował go z wielką zręcznością.

– Chodźmy, stary – rzekł Sam.

– Występuj, ty drabie – wołał Weller, nie zważając na słowa syna i bez dalszej przemowy zaaplikował wielebnemu Stigginsowi potężne uderzenie w głowę, potem zaczął uwijać się koło niego z lekkością godną podziwu u gentlemana w tym wieku.

Widząc, że perswazje jego są bezskuteczne, Sam mocno nasunął na głowę kapelusz, zarzucił surdut ojca na ramię i potężnie schwycił stangreta za pas, siłą ściągnął go po schodach na ulicę. Ale i tu nawet nie wypuścił ojca i nie dał mu spokoju, aż dopiero gdy znaleźli się na rogu ulicy. Tu doszedł ich krzyk zgromadzonego tłumu, który był świadkiem, jak wielebnego pana Stigginsa prowadzono do dobrze strzeżonej kwatery nocnej. A potem mogli słyszeć krzyk, z jakim członkowie sekcji Brick Lane, wielkiego połączonego towarzystwa wstrzeźliwości Ebenezer, rozbiegli się we wszystkich kierunkach.

Rozdział piąty

w całości poświęcony dokładnemu a prawdziwemu sprawozdaniu z pamiętnej rozprawy sądowej Bardell contra Pickwick

– Chciałbym bardzo wiedzieć, co przewodniczący sędziów przysięgłych jadł dzisiaj na śniadanie – powiedział pamiętnego poranka 14 lutego pan Snodgrass, zaczynając rozmowę. – Mam nadzieję, że dobrze sobie podjadł – rzekł pan Perker.

– Dlaczego? – zapytał pan Pickwick.

– To rzecz bardzo ważna, nadzwyczajnie ważna, kochany panie. Przysięgli zadowolony i w dobrym humorze to rzecz bardzo dla nas dodatnia. Przysięgli niezadowoleni i głodni zawsze przychylają się na stronę skarżącą.

– Ależ na miłość boską – zawołał pan Pickwick wielce zdumiony – dlaczego tak jest?

– Nie wiem – odparł zimno mały plenipotent. – Może, by prędzej wyjść. Gdy przysięgli udadzą się na naradę do przyległego pokoju, a nadchodzi godzina obiadowa, przewodniczący ich wydobywa zegarek i mówi: – Wielki Boże! Panowie! Już piąta za dziesięć. A ja zwykle jadam obiad o piątej. – Ja także – mówią inni, wyjąwszy dwóch, którzy jadają o trzeciej i którym zatem wyjść jeszcze pilniej. Przewodniczący przysięgłych uśmiecha się i chowa zegarek. – No, panowie – mówi – jakże zawyrokujemy? Kto winien? Skarżący czy oskarżony? Co do mnie, zdaje mi się... ale niech to nie wpływa na panów... ja sędzę, że strona skarżąca ma słuszność. – Wskutek tego dwaj lub trzej przysięgli mówią, że i im tak się wydaje, potem wszystko już idzie jednomyślnie, jak z płatka.

– Już po dziesiątej – mówił dalej pan Perker – pora iść do sądu, kochany panie. Gdy toczy się sprawa o naruszenie przyrzeczenia małżeństwa, sala jest zwykle przepełniona. Dobrze by było wziąć powóz, gdyż inaczej spóźnimy się.

Pan Pickwick zadzwonił. Sprowadzono powóz, do którego wsiedli czterej pickwickczycy i pan Perker. W drugim powozie jechali Sam Weller, dependent pana Perkera, pan Lowten i torba z dokumentami...

– Lowten – rzekł plenipotent do swego dependenta, gdy przybyli na miejsce – umieść przyjaciół pana Pickwicka w ławkach: sam pan Pickwick będzie siedział koło mnie. Tędy, kochany panie.

To mówiąc pan Perker schwycił pana Pickwicka za rękaw i poprowadził go ku niskiej ławce, tuż pod pulpitem królewskiego prokuratora, którą zrobiono ku wygodzie plenipotentów, by mogli adwokatom szeptać do ucha potrzebne szczegóły jeszcze w czasie rozprawy. Dla szerokich mas widzów są oni tu niewidoczni, ponieważ ławka ta jest niższa niż ławki dla publiczności i obrońców. Do tej pierwszej zwracają się więc plecami, do sędziów zaś twarzą.

– To zapewne trybuna świadków? – rzekł pan Pickwick, wskazując na lewo pewnego rodzaju katedrę otoczoną mosiężną balustradą.

– Tak jest, kochany panie – odpowiedział pan Perker, wyjmując papiery z torby, którą mu przyniósł Lowten.

– A tam – rzekł pan Pickwick, wskazując na prawo dwie ławki także ogrodzone balustradą – tam siedzą zapewne przysięgli?

– Tak, zgadł pan, kochany panie – odparł Perker, pukając w wieko tabakierki.

Poinformowany w ten sposób pan Pickwick z wielkim niepokojem powiódł wzrokiem po sali.

Na galerii zebrał się już tłum widzów, a na ławkach adwokatów cała kolekcja panów w perukach, osób wyróżniających się wielką rozmaitością nosów i bokobrodów, z czego tak słynie angielski stan adwokacki. Pomędzy tymi gentlemanami ci, którzy mieli teczki, trzymali je jak można najwidoczniej i od czasu do czasu pocierali sobie nimi podbródki, by sprawić na widzach tym większe wrażenie. Nie mający tek trzymali pod pachą wielkie tomy w ósemce, oprawne w półskórek, a znane pod techniczną nazwą „cieleca skórka prawnicza”. Inni, nie mający ani tek, ani książek, trzymali ręce w kieszeniach i spoglądali dokoła tak mądrze, jak tylko na to stać ich było, gdy jeszcze inni z ogromnym pośpiechem i niesłychanym poczuciem swej ważności biegali tam i z powrotem, zadowoleni, że budzą tym podziw i zdumienie niewtajemniczonych przybyszów. Wszyscy, ku wielkiemu zdziwieniu pana Pickwicka, podzieleni byli na małe grupy i rozmawiali o nowinach z największym spokojem, jak gdyby sądy ich wcale nie obchodziły.

Uklon pana Phunky'ego, gdy ten zajmował wyznaczone mu przez królewskiego prokuratora miejsce, wyrwał pana Pickwicka z zadumy. Zaledwie filozof mu się odklonił, wszedł pan Snubbin ze swym sekretarzem, panem Mallardem, który postawił przed nim ogromną czerwoną torbę, uściśnił rękę pana Perkera i oddalił się. Następnie weszło jeszcze kilku adwokatów, a pomiędzy nimi jeden z zaczerwienionym nosem przyjaźnie kiwnął głową panu Snubbinowi i powiedział, że ranek jest ładny.

– Kto jest ten jegomość, który witał się z naszym adwokatem i powiedział mu, że ranek jest ładny? – zapytał cicho pan Pickwick swego plenipotentą.

– Pan Buzfuz, adwokat naszej przeciwniczki. A ten gentleman stojący za nim to pan Skimpin, jego pomocnik – odparł Perker.

Pan Pickwick, przejęty oburzeniem na widok takiej niegodziwości, już miał zapytać, jak pan Buzfuz, adwokat przeciwnej strony, ośmiela się mówić jego własnemu adwokatowi, że poranek jest ładny, gdy przerwało mu głośnie wołanie: – Uciszcie się! – po czym bezwzględnie wszyscy adwokaci powstali. Pan Pickwick odwrócił się i ujrzał wchodzących sędziów.

Pan sędzia Stareleigh, człowiek szczególnie krótki i tak otyły, iż zdawało się, że cały ześrodkował się w twarzy i kamizelce, powitawszy adwokatów, złożył małe swe nóżki pod stołem, a swój trójgraniasty kapelusz na stole. Gdy to zrobił, widać było tylko dwoje oczu, szeroką szkarłatną twarz i blisko połowę bardzo komicznej peruki.

Skoro tylko sędzia zasiadł, woźny stojący przy stole krzyknął tonem komendy: – Uciszcie się! – drugi woźny na galerii powtórzył natychmiast: – Uciszcie się! – tonem cholerycznym; a trzech czy czterech inni woźni krzyknęli: – Uciszcie się! – z wielkim oburzeniem. Następnie gentleman cały ubrany czerwono usiadł trochę niżej niż sędzia i począł czytać listę przysięgłych. Po długim hałasie przekonano się, iż było obecnych tylko dziesięciu przysięgłych specjalnych. Wskutek tego pan Buzfuz zażądał, by liczbę ich dokompletować przez *tales quales*, a gentleman w czarnym ubraniu owładnął bezzwłocznie jednym kupcem korzennym i jednym aptekarzem jako członkami ławy przysięgłych.

– Proszę odpowiedzieć, gdy wywołam nazwiska panów, abym mógł ich zaprzysiąc – rzekł czarno ubrany jegomość.

– Ryszard Upwitch!

– Jestem – zawołał kupiec korzenny.

– Tomasz Groffin!

– Jestem – odparł aptekarz.

– Weźcie Biblię do rąk, moi panowie. Przysięgamy uczciwie i według sumienia.

– Bardzo przepraszam wysoki sąd – odezwał się aptekarz, mężczyzna słuszny, chudy i żółty – ale mam nadzieję, iż wysoki sąd uwolni mnie od zasiadania.

- A dlaczegóż to? – zapytał sędzia Stareleigh.
- Nie mam pomocnika, milordzie – odparł aptekarz.
- To nic nie pomoże. Pan powinien mieć pomocnika.
- Moje środki nie pozwalają na to.
- Pan powinien mieć środki – zawołał sędzia czerwieniąc się, gdyż temperament jego nie znosił sprzeciwu.
- Wiem, że powinienem mieć, i miałbym, gdyby mi dobrze szło, milordzie, ale tak nie jest.
- Niech ten gentleman złoży przysięgę – rzekł sędzia stanowczo.
- Bardzo dobrze, milordzie – odpowiedział aptekarz – ale nie moją będzie winą, gdy nastąpi jakie nieszczęście.

I przysiągł. Następnie zaś siadając, najspokojniej powiedział:

– Chciałbym nadmienić, że w sklepie mam tylko chłopca, nawet bardzo dobrego chłopca, który jednak zupełnie nie zna się na lekarstwach: nie może nawet rozróżnić soli glauberskiej, kwasu pruskiego i syropu z ipekakuany od laudanum. – Po tej przemowie aptekarz usiadł w wygodnej pozycji i przybrał zadowoloną minę, jakby był na wszystko przygotowany.

Pan Pickwick spoglądał na aptekarza z największym przerażeniem, gdy na sali zrobiło się pewne poruszenie. Pani Bardell, podtrzymywana przez panią Cluppins, została wprowadzona i usadowiona w stanie bliskim omdlenia na drugim końcu ławki zajmowanej przez pana Pickwicka. Pan Dodson podał jej parasol niepospolitej wielkości, a pan Fogg parę rękawiczek, po czym obaj ci panowie ułożyli sobie twarze w sposób niesłychanie współczujący i melancholijny. Za nimi weszła pani Sanders, prowadząc młodego Bardella. Na widok syna czuła matka zadrżała, potem ucałowała go namiętnie, wreszcie wpadłszy w stan osłupienia zapytała swych przyjaciół, gdzie się znajduje. W odpowiedzi na to panie Cluppins i Sanders odwróciły się i poczęły płakać, gdy panowie Dodson i Fogg ze swej strony błagali je, by się uspokoiły. Pan Buzfuz wytarł sobie czoło chustką i rzucił na przysięgłych wzrok, jakby odwoływał się do ich najlepszych uczuć. Sędzia był wyraźnie wzruszony, a wielu widzów poczęło chrząkać, by ukryć swe rozczulenie.

– Bardzo dobry pomysł – szepnął Perker do pana Pickwicka. – O! Dodson i Fogg to zręczni ludzie. To scena niezwykle efektowna, kochany panie, bardzo efektowna.

W czasie gdy pan Perker mówił, pani Bardell przychodziła powoli do siebie, a pani Cluppins, starannie opatrzywszy guziki i pętelki młodego Bardella, postawiła go przed matką, lokując go tak ostentacyjnie, by obudzić litość i współczucie zarówno sędziego, jak przysięgłych. Nie stało się to bez pewnej opozycji ze strony młodego gentlemana, połączonej z mnóstwem łez, gdyż latorośl rodziny Bardellów przeczuwała nieśmiało, iż to wystawienie go przed sędziami jest tylko formalnym prologiem do niedalekiej jego egzekucji, a przynajmniej do zesłania karnego za morze na całe życie doczesne.

– Bardell i Pickwick! – zawołał czarno ubrany gentleman, wywołując sprawę, która była pierwsza na liście.

– Milordzie – rzekł pan Buzfuz – ja występuję w imieniu skarżącej.

– Kto jest pańskim pomocnikiem? – zapytał sędzia.

Pan Skimpin skłonił się na znak, że on nim jest.

– Ja, milordzie, występuję w imieniu oskarżonego – rzekł pan Snubbin.

– Czy ma pan kogo do pomocy? – zapytał sędzia.

– Pana Phunky'ego, milordzie.

– Panowie Buzfuz i Skimpin w imieniu skarżącej – rzekł sędzia, zapisując nazwiska. – W imieniu oskarżonego panowie Snubbin i Monkey.

– Przepraszam, milordzie: Phunky.

– Bardzo dobrze – odparł sędzia. – Pierwszy raz słyszę to nazwisko.

Tu pan Phunky skłonił się i uśmiechnął, a sędzia odpowiedział mu tym samym; następnie pan Phunky poczerwieniał, usiłując przybrać minę człowieka, który nie wie, iż oczy wszystkich są zwrócone na niego: rzecz, która dotąd nikomu się nie udała i zapewne się nie uda.

– Zaczynamy – rzekł sędzia.

Woźni znowu krzyknęli: – Uciszcie się! – i pan Skimpin streścił sprawę, co zresztą niewiele objaśniło słuchaczy, gdyż ważniejsze szczegóły adwokat zachował dla siebie – i po trzech minutach usiadł, pozostawiając sędziów przysięgłych na tym samym wysokim stopniu mądrości, na którym znajdowali się przedtem.

Wtenczas pan Buzfuz wstał i z całą godnością, jakiej wymagała natura procesu, poszeptał z panami Dodsonem i Foggiem, przywdział tożę, poprawił perukę i zwrócił się do przysięgłych.

Zaczął od oświadczenia, iż nigdy, w całym przebiegu swego zawodu, od pierwszych chwil, gdy się oddał studiom prawniczym, nie przystępował do żadnej sprawy z tak głębokim wzruszeniem i poczuciem tak wielkiej odpowiedzialności, odpowiedzialności, której by nigdy na siebie nie był przyjął, gdyby nie miał przekonania równającego się pewności, iż słuszna sprawa jego klientki, zwiedzionej i obrażonej w najczystszych jej uczuciach, przeważy w umysłach dwunastu inteligentnych, szlachetnych i wspaniałomyślnych gentlemanów, których widzi przed sobą.

Wszystkie mowy adwokackie rozpoczynają się zawsze takimi oświadczeniami, ponieważ pochlebiają one przysięgłym, dając im do zrozumienia, iż są ludźmi, których trudno oszukać. I tym razem skutek nie dał na siebie czekać: wielu przysięgłych poczęło natychmiast robić obszerne notatki.

– Panowie dowiedzieliście się już od mego uczonego przyjaciela – mówił dalej pan Buzfuz, chociaż dobrze wiedział, iż panowie niczego się od jego uczonego przyjaciela nie dowiedzieli – dowiedzieliście się od mego uczonego przyjaciela, iż jest to sprawa o naruszenie obietnicy małżeństwa, w której żądamy odszkodowania za stracone korzyści 1500 funtów szterlingów; ale nie dowiedzieliście się od mego uczonego przyjaciela, ponieważ nie leżało to w atrybucjach mego uczonego przyjaciela, o faktach i okolicznościach towarzyszących tej sprawie. Te fakty i okoliczności usłyszycie ode mnie, fakty stwierdzone przez dwie damy godne zaufania, które przedstawię wam na tej trybunie.

Tu pan Buzfuz, z wymownym naciskiem na słowie „trybunie”, uderzył majestatycznie pięścią w stół, spoglądając przy tym na Dodsona i Fogga, którzy wyraziście okazali swe uwielbienie dla adwokata i oburzenie dla obrońcy strony przeciwnej.

– Oskarżycielka – mówił dalej pan Buzfuz głosem łagodnym i melancholijnym – oskarżycielka jest wdową. Tak jest, panowie, wdową. Śp. Bardell, zaszczycony przez długie lata szacunkiem i zaufaniem swego monarchy, jako jeden z dozoruujących jego królewskie dochody, odszedł cicho i prawie niepostrzeżenie z tego świata, szukając w innym spokoju i wypoczynku, których komora celna nigdy nie daje.

Przy tym poetycznym opisie zejścia pana Bardella (któremu kuflem rozwalono głowę podczas bójki w szynku) głos uczonego adwokata zadrzał i ucichł na chwilę. Potem obrońca zaczął znów z wielkim wzruszeniem:

– Na jakiś czas przed śmiercią upamiętnił on podobiznę swoją w małym chłopczyku. Z tym dziecięciem, jedynym dowodem miłości zmarłego urzędnika, pani Bardell ukryła się przed światem, szukając spokoju przy ulicy Goswell. Tu umieściła w oknie swego pokoju kartkę z napisem zawierającym następujące wyrazy: „Kawalerskie mieszkanie z meblami do wynajęcia. Wiadomość na miejscu”.

Tu pan Buzfuz zatrzymał się, a tymczasem wielu przysięgłych zanotowało tekst tego dokumentu.

– Czy nie było daty na tym ogłoszeniu? – zapytał jeden z przysięgłych.

– Nie, panie, daty nie było – odrzekł adwokat – ale jestem upoważniony do oświadczenia, iż napis ten umieszczony był w oknie oskarżycielki równo przed trzema laty. Zwracam uwagę panów przysięgłych na treść tego dokumentu: „Kawalerskie mieszkanie z meblami do wynajęcia”. Panowie, opinia, jaką sobie pani Bardell wyrobiła o innej płci, była wytworem nieocenionych zalet małżonka, którego utraciła. Oskarżycielka nie miała obawy, nie miała nieufności, nie miała podejrzeń. Cała przepelniona była ufnością. Pan Bardell – mówiła sobie wdowa – pan Bardell był także kiedyś kawalerem; więc u kawalera będę szukać pociechy, podpory, opieki. W kawalerze zawsze widzieć będę mogła coś, co mi przypominać będzie pana Bardella w chwilach, gdy pozyskał moje młode i dziewicze uczucia; odnajmę więc pokój kawalerowi. – Ożywiona tymi pięknymi i czystymi względami (jednymi z najpiękniejszych, na jakie stać naszą ułomną naturę, panowie), samotna i znękana wdowa osuszyła łzy, umeblowała pierwsze piętro, przycisnęła do swego macierzyńskiego łona niewinne dziecię i wywiesiła w oknie znany już wam napis. Czy długo tam wisiał? Nie. Wąż już czuwał, lont był już zapalony, mina gotowa. Napis zaledwie trzy dni był w oknie... tylko trzy dni, panowie, a już istota, chodząca na dwóch nogach i z powierzchowności podobna do człowieka, a nie do potwora, zapukała do drzwi pani Bardell. Zgłosiła się, wynajęła mieszkanie i przeniosła się do niego nazajutrz. Istotą tą był Pickwick; oskarżony Pickwick.

Pan Buzfuz mówił z takim zapałem, że twarz jego stała się karmazynowa. W tym miejscu zatrzymał się, by odetchnąć. Cisza obudziła sędziego Stareleigha, który bezzwłocznie zaczął coś pisać nieumoczonym piórem, przybrawszy minę nadzwyczaj poważną, aby dać przysięgłym do zrozumienia, iż nierównie głębiej myśli, gdy ma oczy zamknięte.

Pan Buzfuz mówił dalej:

– Niewiele mam do powiedzenia o tym człowieku. Osoba to aż nazbyt mało ponętna, a ja tak samo jak i wy, panowie, nie uważam za przyjemne, gdy przychodzi mi patrzeć na egoizm i systematyczną przewrotność.

W tej chwili pan Pickwick, który od pewnego czasu spokojnie robił sobie notatki, zerwał się gwałtownie, jak gdyby w umyśle jego nagle powstało śmiałe postanowienie zbić adwokata Buzfuzę w obecności całego zgromadzenia prześwieatnych sędziów. Ale ostrzegawczy gest pana Perkerę powstrzymał go od tego, filozof słuchał więc dalej wywodów uczonego pana z oburzeniem, które stanowiło najzupełniejszy kontrast w porównaniu z twarzami pań Cluppins i Sanders promieniejącymi podziwem.

– Powiedziałem: systematyczną przewrotność, panowie – mówił dalej adwokat spoglądając na pana Pickwicka i zwracając się wprost ku niemu – a kiedy mówię: systematyczną przewrotność, to pozwólcie mi, panowie, oświadczyć oskarżonemu, jeżeli, jak mi powiedziano, tutaj się znajduje, że postąpiłby sobie nierównie właściwiej, nierównie przyzwoiciej, nierównie rozsądniej i mądrzej, gdyby się był powstrzymał od zjawienia się w tym miejscu. Pozwólcie mi uprzedzić go, panowie, że jeżeli pozwoli sobie na jakiegokolwiek oznaki niezadowolenia w tym oto miejscu, które zresztą na nic mu się nie przydadzą, to zażądacie od niego ścisłego wytłumaczenia się; a przy tym pozwólcie, panowie, powiedzieć mu, jak to mu powtórzy sam sędzia, iż adwokat spełniający obowiązek wobec swego klienta nigdy nie pozwoli sobie ani nastraszyć, ani stropić, ani zmusić do milczenia i że wszelkie usiłowania w tym kierunku spadną na głowę sprawcy, czy będzie nim oskarżyciel, czy skarżący, czy nazwisko jego będzie Pickwick, czy Noakes, czy Stoakes, czy Stiles, czy Brown, czy Thompson.

Ta mała dygresja od głównego przedmiotu wywołała pożądany skutek, gdyż zwróciła oczy wszystkich na pana Pickwicka. Pan Buzfuz, zstąpiwszy nieco z moralnych wyżyn, na które się był wygramolił, mówił dalej bardziej praktycznie:

– Dowiodę wam, panowie, że w ciągu dwóch lat pan Pickwick pozostawał stale i bez przerwy w domu pani Bardell; dowiodę, iż przez cały ten czas pani Bardell usługiwała mu, zajmowała się jego potrzebami, przyrządzała mu jedzenie, oddawała jego bieliznę praczce, od-

bierała ją, naprawiała, słowem – posiadała całe zaufanie swego lokatora. Dowiodę, iż niejednokrotnie dawał on jej małemu synowi po pół pensa, a nawet w pewnych razach po sześć pensów w jednej monecie; dowiodę także świadectwami, których mój uczonego przeciwnik nie zdoła unieważnić, dowiodę, powtarzam, iż nawet raz głąskał chłopca po głowie i zapytawszy, ile wygrał w „cetno czy lichu”, zadał mu następne pytanie wielkiej doniosłości: – Czy byłbyś zadowolony, gdybyś znowu miał ojca? – Prócz tego dowiodę wam, panowie, że przed rokiem blisko Pickwick począł nagle wydalać się z domu na dłuższy czas, jak gdyby zamierzał stopniowo zerwać z moją klientką; ale wykażę wam także, iż w epoce tej postanowienie jego nie było jeszcze stanowcze, czy to dlatego, że dobre jego uczucia wzięły górę, jeżeli w ogóle ma dobre uczucia, czy też dlatego, że wdzięki i przymioty mojej klientki zdołały przewyciężyć w nim nieludzkie zamiary, gdyż dowiodę wam, że pewnego razu, powróciwszy z podróży, zrobił jej zupełnie wyraźną propozycję małżeństwa, postarawszy się wszakże przedtem, by nie było świadka tej uroczystej rozmowy. A jednak jestem w stanie dowieść wam zeznaniami trzech jego przyjaciół, którzy muszą zeznać, choćby nie chcieli, iż tego samego poranka zastali go, gdy trzymał oskarżycielkę w objęciach i usiłował złagodzić jej wzruszenie perswazją i pieśzcotami.

Ta część mowy uczonego adwokata wywarła na słuchaczach widoczne wrażenie. On zaś wydobywszy ze swej torby dwa szpargały mówił dalej:

– A teraz, panowie, jeszcze jedno słowo. Na szczęście wyszukaliśmy dwa listy, które, jak zeznaje sam oskarżony, od niego pochodzą, a które więcej mówią niż całe tomy. W listach tych odbija się cały charakter tego człowieka. Nie są one pisane językiem szczerym, wymownym, namiętnym, nie ma w nich wyrazów pełnych uczucia. Nie: są ostrożne, przebiegłe, ułożone w słowach dwuznacznych, które jednak, na szczęście, są bardziej przekonujące, niż gdyby zawierały wyrażenia najnamiętniejsze, obrazy najpoetyczniejsze. Listy te należy bardzo ostrożnie badać. Pickwick układał je bowiem w ten sposób, by w błąd wprowadzić każdą trzecią osobę, w której by ręce wpadły. Odczytam wam, panowie, pierwszy z tych listów. „Garraway, południe. Kochana Pani B.! Kotlety z sosem pomidorowym. Z poważaniem Pickwick”. Kotlety! Sprawiedliwe nieba! I sos pomidorowy! Panowie, czy godzi się szczęście i spokój czulej i niczego nieprzeczuwającej kobiety niszczyć w tak podstępny sposób? Następny list nie ma daty, co już samo przez się jest podejrzane. „Kochana Pani B.! Powrócę do domu dopiero jutro rano: dylizans spóźnił się”. A dalej zwrot godny specjalnej uwagi. „Niech się pani nie martwi wygrzewaczką”. Wygrzewaczką!

Ależ, panowie, któż by się martwił wygrzewaczką? Kiedyż to spokój czy to mężczyzny, czy kobiety zamącony został przez wygrzewaczkę, która sama przez się jest sprzętem domowym niewinnym, pożytecznym i, dodam nawet, wygodnym? Dlaczegoż to panią Bardell tak mocno zaklina, ażeby się nie martwiła wygrzewaczką? Chyba że (i co do tego nie ma wątpliwości) wyraz ten zawiera aluzję do ukrytego ognia, jest przykrywką dla jakiegoś pieśzcotliwego wyrażenia lub obietnicy ubranej w formy zagadkowej korespondencji, przewrotnie obmyślanej przez Pickwicka, przygotowującego nikczemną zdradę, której, przyznać muszę, wytłumaczyć nie potrafię. Wreszcie, co znaczą wyrazy: „Dylizans spóźnił się”? Nie dziwiłoby mnie, gdyby stosowały się do pana Pickwicka, który oczywiście bardzo się spóźnił w całej tej sprawie; jestem jednak przekonany, że szybkość tego spóźnionego dylizansu niespodziewanie się zwiększy, gdy wy, panowie, posmarujecie mu koła!

W tym miejscu pan Buzfuz zatrzymał się, aby zobaczyć, czy przysięgli śmieją się z tego żartu, ale ponieważ nikt dowcipu nie zrozumiał, wyjąwszy kupca korzennego, który właśnie dziś rano smarował koła swego wozu, więc uczonego adwokat uznał za właściwe przejść na zakończenie znów do tonu sentymentalnego.

– Dość tego, panowie; trudno śmiać się, kiedy serce rozdarte, i źle jest żartować, gdy przebudzą się nasze najgłębsze sympatie. Cała przyszłość i wszystkie nadzieje mojej klientki zniszczone. Że dom jej jest pusty, to nie jest żadną figurą retoryczną. Napis „Do wynajęcia”

nie wisi na bramie, a jednak nie ma lokatora. Bezzenni mężczyźni, wśród których wybierać by można, często mijają ulicę Goswell, a jednak nie ma zaproszenia, by się zgłosili do środka. Wszystko jest ponure i milczące w mieszkaniu pani Bardell; nie słychać nawet głosu jej synka, zarzucił bowiem swe gry niewinne, odkąd jego matka płacze i rozpacza. Nie słyszy on już zwykłego wołania swych kolegów: – Tylko bez szachrajstwa! – stracił całą zręczność, jaką rozwijał dawniej w grze w „cetno czy lichy”. A Pickwick, panowie, Pickwick, niegodny burzyciel tej domowej oazy, która niegdyś zieleniała na pustyni ulicy Goswell, Pickwick, który dziś staje przed wami ze swym piekielnym sosem pomidorowym i nikczemną wygrzewaczką. Pickwick dotąd nosi dumnie swe miedziane czoło i drapieźnie spogląda na ruinę, której jest sprawcą. Odszkodowanie za stracone korzyści, wysokie odszkodowanie, panowie, to jedyna kara, na jaką możecie go skazać, jedyna pociecha, jaką możecie sprawić mojej klientce; i w tej to nadziei odwołuje się ona obecnie do rozsądku, wielkoduszności, taktu, sumienia, bezstronności i współczucia sądu przysięgłych, złożonego z tak zacnych obywateli.

W trakcie tego pięknego zwrotu pan Buzfuz usiadł, a sędzia Stareleigh przebudził się. Po minucie adwokat Buzfuz podniósł się z nową mocą i zażądał, by wezwano Elżbietę Cluppins.

Najbliższy woźny zawołał: – Elżbieta Tuppins! – drugi, nieco dalej stojący: – Elżbieta Jupkins! – trzeci wreszcie podszedł ku samym drzwiom i krzyknął: – Elżbieta Muffins!

W tym czasie panowie Dodson i Fogg podprowadzili panią Cluppins ku trybunie świadków. Gdy się tam umieściła na najwyższym stopniu, pani Bardell stanęła przy niej cokolwiek niżej, trzymając w jednej ręce chustkę do nosa i kalosze swej przyjaciółki, w drugiej szklaną flaszkę mogącą zawierać około pół funta soli angielskich, na wszelki wypadek. Pani Sanders z oczyma zwróconymi ku sędziemu stanęła koło pani Bardell, trzymając w ręku parasol, a wielki palec umieściwszy wprost na zamku swej torebki, by w razie czego natychmiast wydobyc sole trzeźwiące.

– Pani Cluppins – rzekł pan Buzfuz – proszę, niech się pani uspokoi.

Rozumie się, że po tym wezwaniu pani Cluppins poczęła szlochać tak gwałtownie, że kamień by się wzruszył, okazywała przy tym niepokojące symptomy zbliżającego się omdlenia, gdyż, jak później mówiła, nie mogła zapanować nad swym wzruszeniem.

– Czy przypomina pani sobie – zapytał adwokat Buzfuz po kilku wstępnych, mniej ważnych pytaniach – że znajdowała się pani w pokoju na pierwszym piętrze u pani Bardell, pewnego poranka w lipcu, gdy dama ta porządkowała apartament pana Pickwicka?

– Tak jest, milordzie, i wy, panowie przysięgli – odrzekła pani Cluppins.

– Ale pokój pana Pickwicka był, o ile wiem, na pierwszym piętrze i od strony ulicy?

– Tak, panie – odparła pani Cluppins.

– Co pani robiła w drugim pokoju? – zapytał sędzia.

– Panowie! – zawołała pani Cluppins z przejmującym wzruszeniem – nie chcę panów oszukiwać...

– I dobrze pani robi – rzekł sędzia.

– Znajdowałam się tam bez wiedzy pani Bardell. Wyszłam z domu z koszykiem, by kupić trzy funty kartofli, co nie kosztuje więcej niż półczwarta pensa, gdy wtem widzę, że drzwi domu pani Bardell są otwarte. Weszłam tedy, by powiedzieć jej dzień dobry, i przeszłam najspokojniej schody, dostałam się do drugiego pokoju i... i...

– I zaczęła pani podsłuchiwać? – wtrącił pan Buzfuz.

– Bardzo pana przepraszam – odparła żywo pani Cluppins – brzydzę się wszelkim podsłuchiowaniem. Ale mówiono bardzo głośno i wyrazy przemocą wdzierały się do mych uszu.

– Bardzo dobrze! Pani nie podsłuchiwała, ale słyszała. Jeden z tych głosów był głosem pana Pickwicka?

– Tak jest, panie.

Pani Cluppins zeznawszy, iż słowa pana Pickwicka zwrócone były do pani Bardell, opowiedziała następnie bardzo szczegółowo treść rozmowy, którą czytelnicy już znają. Po czym

pan Buzfuz uśmiechnął się i usiadł, a przysięgli przybrali miny myślące, które stały się jednak groźne, gdy pan Snubbin oświadczył, iż nie będzie przesłuchiwał świadka powtórnie, gdyż pan Pickwick twierdzi, że zeznania poprzednie w treści swej są prawdziwe.

Po przełamaniu pierwszych lodów pani Cluppins uznała, że nadeszła pora, by wtajemniczyć sąd w jej własne sprawy domowe... Oznajmiła więc sądowi, że obecnie jest matką ośmiorga dzieci i że ma nadzieję za sześć miesięcy dać panu Cluppinsowi dziewiąte. Na nie-szczęście po tym oświadczeniu sędzia przerwał jej opowiadanie w sposób bardzo szorstki, a wskutek tej przerwy dostojna ta dama wraz z panią Sanders zostały wyprowadzone z sali w towarzystwie pana Jacksona.

– Nataniel Winkle! – zawołał pan Skimpin.

– Jestem – odpowiedział pan Winkle słabym głosem, po czym wszedł na trybunę i złożywszy przysięgę, skłonił się sędziemu z wielką czcią.

– Niech pan nie zwraca się do mnie – rzekł na to sędzia.. – Patrz pan na przysięgłych, Pan Winkle pośpieszył spełnić ten rozkaz i zwrócił się ku miejscu, w którym według prawdopodobieństwa znajdowali się przysięgli, gdyż w takim stanie ducha po prostu trudno mu było widzieć coś dokładnie.

Wtenczas zaczął go badać pan Skimpin, młodzieniec lat czterdziestu dwóch lub trzech, wielce obiecujący, który naturalnie bardzo chciał zbici z tropu świadka przychylnie usposobionego do strony przeciwnej.

– Zechce pan teraz podać swe nazwisko jego lordowskiej mości i przysięgłym – powiedział, a potem nachylił głowę, by wysłuchać odpowiedzi, rzucając jednocześnie na przysięgłych wzrok, który zdawał się mówić, iż wobec tego, że pan Winkle ma naturalną skłonność do krzywoprzysięstwa, być może, iż poda nazwisko obce, a nie swoje.

– Winkle – odpowiedział świadek.

– A imię chrzestne? – zapytał sędzia gniewnie.

– Nataniel, milordzie.

– Daniel? Innego imienia pan nie ma?

– Powiedziałem Nataniel, milordzie.

– Nataniel czy Daniel Nataniel?

– Nie, milordzie; tylko Nataniel, nie Daniel.

– Dlaczego powiedział pan Daniel?

– Nie powiedziałem tego, milordzie.

– Powiedział pan – odparł sędzia, surowo zmarszczywszy brwi. – Bo dlaczegoż bym napisał Daniel, gdybyś pan tak nie powiedział?

Tego rodzaju argument nie znosił repliki.

– Pan Winkle ma krótką pamięć, milordzie – wtrącił pan Skimpin, powtórnie spoglądając na przysięgłych – ale spodziewam się, iż znajdziemy sposób, by ją odświeżyć.

– Radzę panu być bardziej uważnym – rzekł sędzia do świadka, spoglądając nań groźnie.

Pan Winkle skłonił się, usiłując udawać spokój, od którego był bardzo daleki, co właśnie przy wielkim wzruszeniu, w jakim znajdował się, nadawało mu wygląd oszusta złapanego na gorącym uczynku.

– Teraz, panie Winkle – zaczął znowu pan Skimpin – zechce pan słuchać mnie uważnie, przy czym dla pańskiego dobra proszę, byś zechciał mieć w pamięci napomnienie milorda. Czy jest pan bliskim przyjacielem pana Pickwicka, oskarżonego?

– O ile sobie mogę przypomnieć w tej chwili, znam pana Pickwicka prawie od...

– Niech pan nie daje wymijających odpowiedzi. Jest pan przyjacielem pana Pickwicka czy nie?

– Właśnie chciałem powiedzieć...

– Jeżeli nie będzie pan odpowiadał na pytania, to każę pana uwięzić – rzekł sędzia, podnosząc wzrok od swych notat.

- No, mów pan: tak czy nie? – powtórzył pan Skimpin.
 - Tak jest, jestem przyjacielem – powiedział wreszcie pan Winkle.
 - A! Jest pan! A dlaczego nie chciał pan powiedzieć tego od razu? Może zna pan i oskarżycielkę?
 - Nie znam jej, ale widywałem.
 - A! Nie znasz pan, ale widywałeś. Niech pan będzie tak dobry wytłumaczyć panom przysięgłym, co pan przez to rozumie.
 - Rozumiem, iż nie znam jej bliżej, ale widywałem ją, bywając u pana Pickwicka przy ulicy Goswell.
 - Ile razy widział ją pan?
 - Ile razy?
 - Tak, panie, ile razy? Powtórzę panu to pytanie jeszcze, jeżeli go pan nie zrozumiał.
- I uczony gentleman surowo zmarszczywszy brwi, podparł się pod boki i uśmiechnął się do przysięgłych z miną podejrzliwą.
- Przy tej kwestii powstała bardzo budująca kontrowersja, jak zwykle w podobnych wypadkach. Naprzód pan Winkle oświadczył, że jest to dla niego zupełnym niepodobieństwem powiedzieć ściśle, ile razy widział panią Bardell. Wtedy zapytano go, czy widział ją dwadzieścia razy, na co odpowiedział: – Pewno, że więcej. – Czy widział sto razy? – Czy może przysiąc, że widział ją więcej niż pięćdziesiąt razy? – Czy nie jest pewny, iż widział ją najmniej siedemdziesiąt pięć razy – i tak dalej. W końcu doprowadzono badanie do tej konkluzji, iż oświadczone panu Winkle'owi, że dobrze robi, gdy więcej będzie zwracał uwagi na to, co mówi. Doprowadziwszy w ten sposób świadka do pewnego stopnia nerwowego rozdrażnienia, badano go dalej, jak następuje:
- Czy przypomina pan sobie, że odwiedził pan oskarżonego Pickwicka pewnego poranka w lipcu?
 - Tak jest, przypominam sobie.
 - Czy towarzyszył panu wtedy niejaki pan Tupman oraz pan Snodgrass?
 - Tak jest, panie.
 - Czy panowie ci znajdują się tu?
 - Znajdują się tutaj – odrzekł pan Winkle, z niepokojem spoglądając ku miejscu, gdzie siedzieli jego przyjaciele.
 - Proszę pana, niech się pan zajmuje mną, a nie swymi przyjaciółmi – rzekł pan Skimpin, rzucając wyraziste spojrzenie na przysięgłych. – Powinni oni złożyć swe zeznania bez poprzedniego porozumienia się z panem, jeżeli to się już nie stało (nowe spojrzenie na przysięgłych). Teraz proszę powiedzieć przysięgłym, coś pan zobaczył wszedłszy do pokoju oskarżonego w dniu, o którym mowa? No, niech pan mówi, prędzej czy później musimy się o tym dowiedzieć.
 - Oskarżony, pan Pickwick, trzymał oskarżycielkę w objęciach, objąwszy ją za talię – odrzekł pan Winkle z zupełnie naturalnym wahaniem – oskarżycielka, zdawało się, była omdlałą.
 - Czy słyszał pan, by oskarżony co mówił?
 - Słyszałem, jak nazywał panią Bardell kochaną panią i wzywał, by się uspokoiła, przedstawiając, co by sobie ktoś pomyślał, gdyby ich zastano w takiej sytuacji.
 - Teraz, panie Winkle, zadam panu jedno tylko pytanie, prosząc, byś pan pamiętał o napomnieniach milorda. Czy może pan przysiąc, iż pan Pickwick, oskarżony, nie powiedział przy tej sposobności: – Moja pani Bardell, pani jest kochana kobieta, uspokój się pani, jakoś to pójdzie – lub coś podobnego?
 - Ja... ja to nie tak rozumiałem – odrzekł pan Winkle zdziwiony genialnym wyjaśnieniem niewielu słów, które powiedział:
 - Byłem na schodach i nie mogłem dokładnie słyszeć. Wrażenie, jakie mi pozostało, było...

– Ech! – przerwał pan Skimpin – przysięgli nie potrzebują pańskich wrażeń, które, obawiam się, nie mogłyby zadowolić nikogo uczciwego i szczerego. Był pan na schodach i nie słyszał wszystkiego dokładnie; ale nie może pan przysiąc, by pan Pickwick nie użył wyrażenia, które przytoczyłem? Czy dobrze zrozumiałem pana?

– Nie, nie mógłbym przysiąc – odrzekł pan Winkle.

Pan Skimpin usiadł z miną triumfującą.

Do tej pory sprawa pana Pickwicka nie szła tak szczęśliwie, by mogła wytrzymać ciężar nowych zarzutów; ponieważ jednak chciano ją ukazać w możliwie najlepszym świetle, więc pan Phuncky podniósł się, by przy powtórnym przesłuchaniu wydobyć choć cokolwiek ważnego z pana Winkle'a. Zobaczymy zaraz, czy rzeczywiście mu się to udało.

– Sądzę, panie Winkle – powiedział – iż pan Pickwick nie jest już młodym człowiekiem.

– O, nie! – odrzekł pan Winkle – mógłby być moim ojcem.

– Powiedział pan memu uczonemu przyjacielowi, że zna pan pana Pickwicka od dawna. Czy miał pan kiedy powody, by przypuszczać, iż ma on zamiar ożenić się?

– O, nie! Nigdy! – odpowiedział pan Winkle z takim zapałem, że pan Phuncky powinien był co najprędzej ściągnąć go z trybuny świadków.

Praktyczni juryści utrzymują, iż są dwa rodzaje świadków szczególnie niebezpiecznych: jedni, którzy wszystkiego wypierają się, drudzy, którzy mają za wiele dobrej woli. Przeznaczeniem pana Winkle'a było połączyć oba te rodzaje.

– Idźmy dalej – ciągnął pan Phuncky z miną zadowoloną i pełną ufności. – Czy dostrzegł pan kiedy w postępowaniu pana Pickwicka z inną płcią cokolwiek takiego, co by mogło pana naprowadzić na domysł, iż pan Pickwick nie był bardzo od tego, by się zrzec życia kawalerskiego?

– Nie, nigdy!

– Czy w stosunkach z damami postępowanie jego nie było zawsze postępowaniem człowieka, który doszedł już do pewnego wieku, poprzestaje na właściwych sobie zajęciach i rozrywkach, a kobiety traktuje zawsze jak ojciec córki?

– To nie ulega żadnej wątpliwości – odpowiedział pan Winkle szczerze. – To jest... tak... niezawodnie...

– Czy nie dostrzegł pan w postępowaniu jego z panią Bardell lub z jaką inną kobietą cegokolwiek choćby najmniej podejrzanego? – dodał pan Phuncky zamierzając usiąść, gdyż pan Snubbin mrugnął na niego.

– Ale n... n... nie – odrzekł pan Winkle – z wyjątkiem... pewnego tylko zdarzenia... które, jestem tego pewny... łatwo da się wytłumaczyć.

To niefortunne wyznanie nigdy nie wyrwałoby się świadkowi, gdyby nieszczęśliwy pan Phuncky usiadł od razu, gdy pan Snubbin dał mu znak, lub gdyby pan Buzfuz powstrzymał był w samym początku badanie. Ale pan Buzfuz nie myślał uczynić tego, gdyż dostrzegł wzruszenie pana Winkle'a i zreźnie wywnioskował, że klientka jego może na tym skorzystać. W chwili gdy te wyrazy padły z ust świadka, pan Phuncky usiadł, a pan Snubbin pośpieszył, być może zbyt skwapliwie, wezwać pana Winkle'a, by opuścił trybunę. Pan Winkle gotował się do tego z wielkim zadowoleniem, gdy powstrzymał go pan Buzfuz.

– Zaczekaj no pan, panie Winkle – zawołał. Potem, zwracając się do sędziego, powiedział: – Niech wasza lordowska mość raczy zapytać świadka, w jakich okolicznościach ten gentleman, mogący być jego ojcem, postąpił sobie dwuznacznie z kobietą?

– Panie – rzekł sędzia do nieszczęśliwego i zrozpaczonego pana Winkle'a – czy słyszał pan pytanie uczonego adwokata? Opisz pan wypadek, o którym nadmienileś!

– Milordzie – rzekł pan Winkle głosem drżącym – chciałbym... chciałbym co do tego zachować milczenie.

– Być może – odparł sędzia – ale mówić trzeba. Wśród powszechnego głębokiego milczenia pan Winkle wybelkotał, że jedynym wątpliwym postępkim pana Pickwicka było to, że

znaleziono go o północy w sypialni pewnej damy, co się zakończyło, jak mniemał pan Winkle, zerwaniem małżeństwa projektowanego przez rzeczoną damę i co stało się powodem, jak dobrze wiedział, przymusowego stawienia się pickwickczyków przed Jerzym Nupkinsem, burmistrzem i sędzią pokoju w Ipswich.

– Może pan opuścić trybunę – rzekł wtenczas pan Snubbin. Pan Winkle opuścił też ją bezzwłocznie i pobiegł jak szalony do hotelu, gdzie po kilku godzinach odnalazł go garson, z głową pomiędzy poduszkami sofy, jęczącego w sposób rozdzierający serce.

Następnie Tracy Tupman i August Snodgrass kolejno byli wzywani na trybunę. Obaj potwierdzili zeznania swego nieszczęśliwego przyjaciela i każdego doprowadzono przebiegłymi pytaniami prawie do rozpacz.

W dalszym ciągu powołano Zuzannę Sanders; była badana przez pana Buzfuza, a następnie przez pana Snubbina. Ta zawsze wierzyła i powtarzała, że pan Pickwick poślubi panią Bardell. Wiedziała, że przed wypadkami lipcowymi przyszłe małżeństwo pana Pickwicka z panią Bardell było zwykłym przedmiotem rozmów sąsiadów. Słyszała o tym od pani Mudberry, przekupki, i pani Bunkin, praczki. Słyszała, jak Pickwick zapytywał małego chłopca, czy chciałby mieć drugiego ojca. Nie wie, czy pani Bardell znała się z piekarzem z sąsiedztwa, ale wie, że piekarz był podówczas kawalerem, a teraz ożenił się. Nie może przysiąc na to, że pani Bardell nie była bardzo zajęta piekarzem, ale sądzi, że piekarz nie bardzo zajęty był panią Bardell, gdyż w takim razie nie ożeniłby się z inną osobą. Sądzi, że pani Bardell zemdląła pewnego poranka w lipcu dlatego, iż pan Pickwick żądał, by wyznaczyła dzień ślubu; wie, że sama zupełnie straciła przytomność, gdy mąż jej, pan Sanders, żądał, by wyznaczyła dzień ślubu, i mniema, iż każda osoba, godna nazwiska damy, robi to samo w podobnych okolicznościach.

Na dalsze pytania sędziego pani Sanders odpowiedziała, że gdy pan Sanders zalecał się do niej, otrzymywała od niego listy miłosne jak zazwyczaj damy, że w czasie konkurów pan Sanders często nazywał ją swoją kacuzią, ale nigdy nie nazywał kotлетem ani sosem pomidorowym. Pan Sanders namiętnie lubi kacuki; być może, że gdyby lubił kotlety i sos pomidorowy, użyłby tych słów dla wyrażenia swych uczuć.

Po tym kapitalnym zeznaniu pan Buzfuz podniósł się z większą niż przedtem powagą i rzekł donośnym głosem:

– Przywołajcie Samuela Wellera.

Nie potrzeba było wcale przywoływać Samuela Wellera, gdyż Samuel Weller już wchodził lekko na trybunę, gdy tylko usłyszał swe nazwisko. Kapelusz swój postawił na podłodze, rękę oparł o balustradę i z miną wielce uprzejmą a jowialną powiódł okiem po zgromadzeniu.

– Jakie jest nazwisko pana? – zapytał sędzia.

– Sam Weller, milordzie – odrzekł ów gentleman.

– Czy pisze się przez W, czy przez V tylko?

– To zależy od gustu i fantazji piszącego, milordzie. Co do mnie, to przez całe swoje życie dwa czy trzy razy tylko miałem sposobność po temu i wtedy pisałem przez V.

Tu dał się słyszeć na galerii głos:

– Tak, tak, Samiwellu! Tak, tak! Niech milord pisze V.

– Któż to sobie pozwala odzywać się do sądu? – zawołał mały sędzia, podnosząc oczy. – Woźny!

– Jestem, milordzie.

– Przyprowadź tu natychmiast tego człowieka.

– Słucham, milordzie.

Ale ponieważ woźny nie mógł znaleźć nikogo, więc też nikogo nie przyprowadził. Po wielkim poruszeniu wśród wszystkich obecnych, którzy powstałi z miejsc, by zobaczyć winowającą, wszyscy znów usiedli.

Gdy tylko oburzenie sędziego pozwoliło mu mówić, zwrócił się do świadka i zapytał:

- Wie pan, kto to się odezwał?
- Podejrzewam, czy to czasem nie mój ojciec, milordzie.
- Widzi go pan teraz?
- Nie, nie widzę, milordzie – odrzekł Sam, utkwivszy oczy w żyrandol, którym sala była oświetlona.
- Gdybyś mi mógł go wskazać, poleciłbym, by go natychmiast uwięziono – rzekł sędzia.
- Sam uklonił się z wielkim uznaniem i zwrócił oczy na pana Buzfuz z niczym nie zamąconym dobrym humorem.
- Teraz, panie Weller... – zaczął pan Buzfuz.
- Jestem, panie – odrzekł Sam.
- Pan jest, jak sądzę, w służbie u pana Pickwicka, oskarżonego w niniejszej sprawie. Niech pan mówi, panie Weller.
- Dobrze, panie, będę mówił. Jestem w służbie u obecnego tu pana Pickwicka i mogę powiedzieć, że to bardzo dobra służba.
- Niewiele do roboty, a wiele do zrobienia, jak myślę – rzekł adwokat tonem żartobliwym.
- A tak! Niezły zarobek, jak mówił pewien żołnierz, skazany na sto pięćdziesiąt kijów.
- Nic nas nie obchodzi, co mówił żołnierz czy ktokolwiek inny – przerwał sędzia.
- Bardzo dobrze, milordzie. – Pan przypomina sobie – zaczął znowu pan Buzfuz – przypomina pan sobie, że zaszło coś godnego uwagi w dniu, w którym został pan przyjęty do służby przez oskarżonego? No, panie Weller, niech pan mówi!
- Przypominam sobie.
- Więc zechce pan opowiedzieć to przysięgłym.
- Tego samego poranka otrzymałem kompletne ubranie, zupełnie nowe. W owym czasie było to zdarzenie bardzo dla mnie ważne.
- Słowa te wywołały ogólny śmiech. Sędzia z gniewem zawołał, podnosząc się nieco:
- Panie! Wzywam pana, byś był ostrożny!
- To samo powiedział mi wtedy pan Pickwick. Toteż jak mogłem najostrożniej obchodziłem się z ubraniami. Doprawdy, milordzie!
- Przez długie minuty sędzia surowo wpatrywał się w twarz Sama, ale widząc, że rysy jego są najzupełniej spokojne i pogodne, nie powiedział nic, tylko dał znak adwokatowi, by badał dalej.
- Czy chce pan powiedzieć, panie Weller – zaczął pan Buzfuz uroczyście, zakładając rękę na rękę i na pół zwracając się ku przysięgłym, jak gdyby chciał ich zapewnić, że da sobie radę ze świadkiem – czy chce pan powiedzieć, iż nie widział pan oskarżycielki, omdlałej na ręku oskarżonego, jak to zeznali inni świadkowie?
- Nie, panie, nie widziałem. Byłem na korytarzu aż do chwili, gdy mnie przywołano, a wtedy stara dama już odeszła.
- Teraz uważaj pan, panie Weller – mówił dalej pan Buzfuz, maczając ogromne pióro w kałamarzu, by zastraszyć Sama tym, iż będzie zapisywał jego słowa. – Był pan na korytarzu i nie widział pan niczego. Czy ma pan oczy, panie Weller?
- Mam oczy i właśnie dlatego nie widziałem. Gdyby to były takie mikroskopy powiększające przedmioty sto tysięcy milionów razy, to może bym co dojrzał przez drzwi i schody; ale ponieważ mam tylko zwykłe oczy, to rozumie pan chyba, że wzrok mój wszystkiego dojrzeć nie może.
- Na tę odpowiedź, daną w sposób najprostszy i bez najmniejszego śladu rozdrażnienia, widzowie poczęli chichotać, sędzia uśmiechał się, a pan Buzfuz mocno się skonfundował. Po krótkiej naradzie z Dodsonem i Foggiem uczony adwokat zwrócił się znów do Sama i powiedział, usilnie starając się ukryć swe niezadowolenie:
- Teraz, panie Weller, zadam panu inne pytanie i w innej sprawie.
- Jestem na pańskie usługi! – odrzekł Sam ze szczególną uprzejmością.

– Przypomina pan sobie, żeś był pan u pani Bardell pewnego wieczora w listopadzie?

– O! bardzo dobrze.

– Przypomina pan sobie! – rzekł adwokat – odzyskując spokój. – Wiedziałem, że w każdym razie dojdziemy do czegoś.

– I ja także – odrzekł Sam. Widzowie znów zaśmiali się.

– Dobrze. Przypuszczam, że poszedł pan tam, by pomówić trochę o procesie, co, panie Weller?

Adwokat chytrze uśmiechnął się do przysięgłych.

– Poszedłem tam, by zapłacić czynsz, aleśmy także mówili trochę i o procesie.

– A! Mówiliście! – powtórzył pan Buzfuz z twarzą rozpromienioną, licząc na jakieś ważne odkrycie. – Czy zechce pan powiedzieć nam, co się o tym mówiło?

– Z największą przyjemnością. Po kilku uwagach dwóch szanownych dam, które tu dzisiaj składały swe zeznania, zaczęły one uwielbiać szlachetne postępowanie panów Dodsona i Fogga, tych samych gentlemanów, którzy obecnie siedzą tuż koło pana.

To, rozumie się, zwróciło powszechną uwagę na panów Dodsona i Fogga, którzy przybrali możliwie najcnotliwsze miny.

– A! – rzekł pan Buzfuz – więc damy te odzywały się z pochwałami o postępowaniu panów Dodsona i Fogga?

– Tak, panie. Mówiły, że to bardzo wspaniałomyślnie z ich strony, iż podjęły się tego interesu przez spekulację i nic nie żądają za kosztą, jeżeli pan Pickwick nie będzie skazany na nie.

Na tę niespodziewaną replikę widzowie wybuchnęli śmiechem, a panowie Dodson i Fogg, mocno poczerwieniawszy, pochylili się do pana Buzfuzy i zaczęli mu coś szeptać z wielkim zajęciem.

– Panowie macie zupełną słusność – odrzekł im adwokat z udanym spokojem. – Niepodobna wydobyć żadnych wyjaśnień od świadka o tak tępych umyśle. Nie będę więc zabierał czasu sądowi zadając inne jeszcze pytania. Może pan odejść, panie Weller.

– Może jeszcze kto z gentlemanów chce mi zadać jakie pytanie? – rzekł Sam, biorąc kapelusz i spoglądając dokoła.

– W każdym razie nie ja, panie Weller. Dziękuję panu – rzekł pan Snubbin, uśmiechając się.

– Może pan odejść – powtórzył pan Buzfuz, niecierpliwie machając ręką.

Wskutek tego Sam odszedł, narobiwszy panom Dodsonowi i Foggowi tyle złego, ile tylko mógł, a o sprawie pana Pickwicka powiedział jak można najmniej, co sobie z góry postanowił.

– Milordzie – rzekł pan Snubbin – nie mam zamiaru robić jakichś nowych zarzutów, jeżeli może to zaoszczędzić przesłuchania innych świadków, gdy oświadczę, iż pan Pickwick usunął się od interesów i posiada majątek niezależny i znaczny.

– Bardzo dobrze – odrzekł pan Buzfuz.

Natenczas pan Snubbin zwrócił się do przysięgłych i wypalił długą i patetyczną mowę, w której oddał największe pochwały obyczajom i postępowaniu pana Pickwicka. Ale ponieważ czytelnicy nasi niezawodnie wyrobili sobie zdanie o zaletach tego gentlemana nierównie dokładniejsze aniżeli pan Snubbin, nie uznajemy przeto za potrzebne rozwodzić się nad spostrzeżeniami tego uczonego adwokata. Usiłował on udowodnić, że listy pana Pickwicka, przedstawione przez stronę przeciwną, dotyczyły po prostu obiadu i przygotowań w jego mieszkaniu, gdy powróci z wycieczki. Zresztą pan Snubbin mówił, jak mógł najlepiej, na korzyść naszego bohatera i jak to powiadają, zrobił wszystko, co było w jego mocy.

Następnie sędzia Stareleigh streścił sprawę według zwyczajnej formuły. Odczytał przysięgłym mnóstwo notat, mimochodem komentując każde zeznanie. Jeżeli pani Bardell ma słusność, w takim razie widoczne jest, że pan Pickwick nie ma słusności. Jeżeli przysięgli są

zdania, że zeznania pani Cluppins zasługują na wiarę, to obowiązkiem ich jest uwierzyć im, a jeżeli nie, to nie. Jeżeli uznają, że naruszenie przyrzeczenia małżeństwa nastąpiło rzeczywiście, to powinni skazać pana Pickwicka na odszkodowanie za stracone korzyści w wysokości, jaką uznają za właściwą; ale jeżeli zdaje się im, że naruszenie przyrzeczenia małżeństwa nie nastąpiło, to powinni uwolnić oskarżonego od wszelkich kosztów. Po tej przemowie przysięgli udali się do osobnego pokoju na naradę, a sędzia do swego gabinetu celem pokrzepienia się baraniami kotletami i szklanką sherry.

Upłynął kwadrans niespokojnego oczekiwania. Przysięgli powrócili; wezwano sędziego. Pan Pickwick, poprawiwszy okulary patrzył na przełożonego przysięgłych z bijącym sercem i powstrzymywanym wzruszeniem.

- Gentlemani – zapytał mężczyzna w czarnym ubraniu – czy zgodziliście się na wyrok?
- Zgodziliśmy się – odrzekł przewodniczący przysięgłych.
- Czy wyrokujecie na korzyść oskarżycielki, czy też oskarżonego?
- Na korzyść oskarżycielki.
- Jaką ustanowiliście wysokość wynagrodzenia?
- Siedemset pięćdziesiąt funtów szterlingów.

Pan Pickwick zdjął okulary, starannie je przetrął, włożył do pudełka i wsunął do kieszeni. Następnie złożył równie starannie rękawiczki, przy czym pilnie wpatrywał się w przełożonego przysięgłych i machinalnie poszedł za panem Perkerem.

W sąsiedniej sali pan Perker zatrzymał się, by opłacić takse sądową. Tu z panem Pickwickiem połączyli się jego przyjaciele i tu także spotkał filozof panów Dodsona i Foggę zacieraających ręce z oznakami żywego zadowolenia.

- No, panie – rzekł pan Pickwick.
- No, panie – rzekł pan Dodson za siebie i swego współnika.
- Panowie wyobrażacie sobie, iż zagarniecie koszta, czy tak?

Pan Fogg odpowiedział, iż poczytuje to za bardzo prawdopodobne, a pan Dodson uśmiechnąwszy się dodał, że to się zobaczy.

- Mogę panów zapewnić – zawołał z gwałtownością pan Pickwick – iż nie wydobędziecie ze mnie ani jednego pensa, choćbym miał resztę życia przepędzić w więzieniu za długi!
- Oho ho! Namyśl się pan jeszcze, nim termin nadejdzie! – rzekł Dodson.
- Chi, chi, chi! – dodał Fogg – zobaczymy!

Niemego z oburzenia pana Pickwicka odprowadzili przyjaciele do powozu zamówionego przez Sama.

Wierny sługa, zamknąwszy drzwiczki, miał już siadać na kozioł, gdy uczył, że ktoś trąca go w ramię. Odwrócił się i ujrzał przed sobą swego ojca. Twarz starego stangreta była ponura.

Z powagą potrząsnął głową i rzekł tonem wyrzutu:

- Wiedziałem, że tak się stanie, jeżeli w ten sposób poprowadzicie sprawę. O Sammy! Sammy! Dlaczego nie użyliście alibi?..

Rozdział szósty

w którym pan Pickwick sądzi, iż najlepiej uczyni, gdy wyjedzie do Bath, co też robi

– Ależ, kochany panie – rzekł mały Perker do pana Pickwicka, gdy przyszedł do niego na drugi dzień rano po wyroku – odłożywszy na bok wszelką irytację, czy na serio nie ma pan zamiaru płacić kosztów procesu?

– Nie zapłacę ani pół pensa – odrzekł pan Pickwick stanowczo – ani pół pensa.

– Niech żyją zasady! – zawołał Sam sprzątający właśnie stół po śniadaniu.

– Sam! – rzekł pan Pickwick. – Bądź tak dobry, idź sobie na dół.

– Idę, panie – odpowiedział Sam, posłuszny temu uprzejmemu wezwaniu.

– Nie, Perker – zaczął znów pan Pickwick bardzo poważnie – moi tu obecni przyjaciele na próżno usiłowali wyperswadować mi to postanowienie. Przeciwnicy moi mogą starać się o uwięzienie mnie, a są dość nikczemni, by uciec się do tego środka. W takim razie ulegnę prawu z najzupełniejszym poddaniem się. Kiedy te łajdaki mogą to zrobić?

– Jeżeli chodzi o odszkodowanie i koszta procesu – odparł Perker – to mogą zażądać egzekucji przy najbliższych sądach przysięgłych, to znaczy najdalej za dwa miesiące, kochany panie.

– Bardzo dobrze. Od dziś aż do tego czasu, mój przyjacielu, nie mówmy nic o tej sprawie. A teraz – ciągnął dalej pan Pickwick, spoglądając po zgromadzonych; z zadowolonym uśmiechem i błyszczącymi oczyma, tak że okulary nie zdołały przytłumić blasku tego uśmiechu – zajmijmy się rozstrzygnięciem pytania: dokąd zwrócimy naszą najbliższą wycieczkę?

Panowie Snodgrass i Tupman zanadto byli przejęci heroizmem swego przyjaciela, by zdobyć się na odpowiedź. Co do pana Winkle'a, to ten nie zapomniał jeszcze wrażenia, jakiego doznał w czasie swoich zeznań w sądzie, by ośmielił się teraz zabrać głos. Więc pan Pickwick czekał na próżno.

– No – powiedział po chwili. – Jeżeli mnie pozostawiacie wybór, to powiem – Bath. Zdaje mi się, iż nikt z nas nie był tam jeszcze.

Rzeczywiście, nikt z nich tam jeszcze nie był. Propozycję gorąco poparł pan Perker sądząc, że bardzo być może, iż nieco rozrywki zbawiennie wpłynie na postanowienie pana Pickwicka i na jego pojęcie o więzieniu za długi. Przyjęto ją więc jednomyślnie, a Sama wyprawiono niezwłocznie „Pod Białego Konia”, by zamówił pięć miejsc w dyliżansie odjeżdżającym na-
zajutrz o siódmej rano.

Znalazły się jeszcze dwa miejsca wewnątrz i trzy na zewnątrz.

A więc Sam zakupił je wszystkie i wymieniwszy z kasjerem kilka uprzejmości na temat starej półkoronówki, którą tamten wydał mu wreszcie, wrócił „Pod Jerzego i Jastrzębia”, gdzie do samego wieczora pilnie zajmował się pakowaniem ubrania i bielizny tak, żeby zajęły jak najmniej miejsca. Starał się również wynaleźć jakiś taki mechaniczny sposób, by pokrywki trzymały się na pudłach nie mających ani zamków, ani zawiasów.

Następny ranek nie okazał się pomyślny dla podróżników. Był mglisty, ponury, deszcz mżył. Konie dyliżansu, który powrócił z City, otaczała taka para, że nie było poza nią widać

pasażerów na zewnątrz pojazdu. Roznosiciele dzienników byli przemoknięci i czuć było od nich stęchlizną. Deszcz spływał po kapeluszach sprzedawców pomarańcz, którzy wsuwając głowy do wnętrza dyliżansów, skrapiali siedzących tam w sposób bardzo orzeźwiający. Żydzi zamykali z rozpaczą scyzoryki o pięćdziesięciu ostrzach. Sprzedający przedmioty kieszonkowe trzymali je rzeczywiście w kieszeniach. Ochraniacze na zegarki i widelce do smażenia grzanek sprzedawano za bezcen, a pugilaresy i gąbki oddawano za byle co.

Pozostawiając Samowi obronę bagaży przed siedmioma czy ośmioma tragarzami, którzy rzucili się na nie dziko, gdy tylko kocz się zatrzymał, i przekonawszy się, że pozostaje im jeszcze dwadzieścia pięć minut do odjazdu, pan Pickwick i jego przyjaciele przeszli do poczekalni – ostatniej ucieczki nędzy ludzkiej.

Sala podróżnych w zajeździe „Pod Białym Koniem” nie była, jak łatwo się domyślić, bardzo wykwinna. Nie byłaby to zresztą poczekalnia, nawet gdyby wyglądała inaczej. Przypominała bawialnię, do której wszedł nieproszony piec kuchenny w towarzystwie zbuntowanych szczypców, łopaty i pogrzebacza. Sala podzielona była przegródkami ku wygodzie podróżnych. Resztę miejsca zajmował zegar, zwierciadło i żywy garson.

Ten mieścił się zwykle w kącie, w rodzaju budy urządzonej do mycia szklanek.

W dniu, o którym mowa, jedną z łóż zajmował mężczyzna o żywych oczach, lat około pięćdziesięciu, łysy, z wielkimi pękami czarnych włosów po bokach i z tyłu głowy, z szerokimi faworytami. Ciemny jego surdut zapięty był pod brodę, obok leżała czapka podróżna ze skóry morskiego cielecia i zielony płaszcz. Gdy wszedł pan Pickwick, nieznajomy podniósł wzrok znad talerza i spojrzał na niego z miną dumną i pełną godności. Stwierdziwszy, że wygląd filozofa i jego towarzyszy zupełnie go zadowala, zaczął pod nosem mruzczyć, dając tym do zrozumienia, że może kto myśli, iż on nie jest pewny siebie, ale w takim razie bardzo się myli.

– Garson! – zawołał po chwili.

– Jestem, panie – ozwał się głos z budy, o której dopiero wspomnieliśmy, następnie zaś ukazał się chłopiec z brudną ścierką i taką twarzą.

– Jeszcze grzanek.

– Natychmiast, panie – odrzekł garson.

Gentleman z czarnymi faworytami znowu począł mruzczyć; potem w oczekiwaniu grzanek zarzucił poły surduta na rękę, położył obie nogi na stojącym obok krześle i zajął się oglądaniem swych butów.

– Gdzie dyliżans zatrzymuje się w Bath? – pan Pickwick zapytał słodkim głosem pana Winkle'a.

– Hm! Co? – odezwał się nieznajomy.

– Pytałem mego przyjaciela – powtórzył pan Pickwick, zawsze gotów do rozpoczęcia rozmowy – pytałem, gdzie dyliżans zatrzymuje się w Bath. Może pan zechce poinformować mnie w tym względzie.

– Czy pan jedzie do Bath?

– Tak jest, panie.

– A ci panowie?

– Także.

– Ale nie wewnątrz dyliżansu, spodziewam się, że nie wewnątrz.

– Nie wszyscy.

– Rozumie się, że nie wszyscy – powiedział z energią nieznajomy. – Zamówiłem tam dwa miejsca; ale jeżeli zechcą wpakować sześć osób w to przeklęte pudło, gdzie jest miejsce tylko dla czterech – to najmiej pocztę na ich rachunek. Na to nie pozwolę. Powiedziałem już płacąc za miejsce, że nie pozwolę na to. Wiem, że się tak robi codziennie; ale mnie na to nie złapią. Co nie, to nie. Ci, którzy mnie znają, wiedzą o tym dobrze.

Tu gniewny gentleman pociągnął za dzwonek bardzo gwałtownie i oświadczył garsonowi, że jeżeli mu nie przyniesie grzanek w przeciągu pięciu sekund, to sam pójdzie do kuchni spytać o przyczynę tego.

– Mój kochany panie – rzekł pan Pickwick – pozwól pan zwrócić sobie uwagę, iż unosi się pan niepotrzebnie. Ja tylko dwa miejsca zamówiłem wewnątrz dyliżansu.

– To mnie bardzo cieszy – odrzekł gentleman. – Cofam moje słowa, proszę mi wybaczyć. Oto mój bilet wizytowy: pozwoli pan, że się przedstawię. – Bardzo mi przyjemnie – odpowiedział pan Pickwick. – Będziemy razem jechać i spodziewam się, iż będzie to dla obu stron niezmiernie miłe.

Naturalnie, że po tej uprzejmej przemowie nastąpiły przyjacielskie powitania. Gniewny gentleman oznajmił potem w zdaniach krótkich, urywanych i dobitnych, że nazywa się Dowler, że jedzie do Bath dla przyjemności, że przedtem służył w wojsku, że obecnie zajmuje się interesami, że utrzymuje się z dochodów, jakie mu jego zajęcia przynoszą, i że osobą, dla której zamówił drugie miejsce, jest pani Dowler, jego żona.

– To piękna kobieta – mówił dalej. – Dumny z niej jestem, i słusznie.

– Będzie nam bardzo miło przekonać się o tym – rzekł pan Pickwick z uśmiechem.

– Sam pan osądzi. Zaznajomię ją z panem. Pani Dowler będzie pana szanowała. Zalecałem się do niej w sposób niezwykły. Pozyskałem ją sobie wskutek dziwnie zuchwałego postanowienia. Tak się rzecz miała. Ujrzałem ją; pokochałem; prosiłem o rękę; odmówiła. – Pani kocha innego? – Oszczędzaj pan moją wstydlivość. – Ja go znam. – Czy tak? – Znam i jeżeli tu dłużej pozostanie, żywcem obedrę go ze skóry.

– O! Do licha! – odruchowo zawołał pan Pickwick.

– I... i pan obdarł go ze skóry? – zapytał pan Winkle, blednąc.

– Napisałem do niego parę słów. Powiedziałem, że to bardzo przykra sprawa. Bo tak było rzeczywiście.

– Spodziewam się – mruknął pan Winkle.

– Napisałem mu, iż dałem słowo, że obedrę go ze skóry żywcem, że mój honor był zaangażowany i że jako oficer Jej Królewskiej Mości nie mam żadnego wyboru; że ubolewam z powodu tej smutnej konieczności, ale że tak stać się musi. To mu trafiło do przekonania; wiedział, że przepisy honoru są bezwzględne. Uciekł, a ja poślubiłem tę młodą osobę. Ale oto dyliżans. To właśnie jej głowa w drzwiczkach.

Kończąc te słowa pan Dowler wskazał na dyliżans, który zatrzymał się. Rzeczywiście, w oknach jego ukazała się dość ładna twarz kobiety ubranej w błękitny kapelusz i widocznie szukającej kogoś wzrokiem w tłumie. Pan Dowler zapłacił należność i szybko wyszedł razem ze swym prochowcem, laską i płaszczem. Pan Pickwick i jego przyjaciele wyszli również, by zapewnić sobie miejsca.

Panowie Tupman i Snodgrass wgramolili się od tyłu, pan Winkle wsiadł już do powozu, a pan Pickwick zamierzał właśnie uczynić to samo, gdy wtem Sam Weler podszedł do swego chlebobawcy i z miną niezmiernie tajemniczą szepnął, że ma mu coś do powiedzenia.

– No, Sam – rzekł pan Pickwick – co nowego?

– Ładna historia, proszę pana – odparł Sam.

– Cóż takiego? – zapytał pan Pickwick.

– Obawiam się – rzekł Sam – że właściciel tego dyliżansu spłatał nam brzydkiego figla.

– W jaki sposób? Czy naszych nazwisk nie umieścił na liście?

– O nie – rzekł Sam – umieścił je nie tylko na liście, ale jedno z nich wymalował nawet na drzwiczkach powozu.

Mówiąc to Sam wskazał na tę część drzwiczek, gdzie zwykle znajduje się nazwisko właściciela. Rzeczywiście, wielkimi, złotymi literami było tu napisane nazwisko „Pickwick”.

– Dziwne to – zawołał pan Pickwick, zdumiony tym zbiegiem okoliczności – naprawdę bardzo dziwne.

– To jeszcze nie wszystko – rzekł Sam, znów kierując uwagę swego pana na drzwiczki dyliżansu – napisali nie tylko „Pickwick”, ale przed tym umieścili jeszcze „Mojżesz”, co jest obelgą w połączeniu z obrazą – jak powiedziała papuga, gdy nie tylko wywieziono ją z ojczyzny, ale jeszcze zmuszono ją później, by się uczyła angielskiego.

– To rzeczywiście wprost zdumiewające – rzekł pan Pickwick – ale jeżeli będziemy tu stać dłużej i gawędzić, to gotowiśmy jeszcze stracić nasze miejsca.

– A pan – pan – nic na to nie zrobi? – zawołał Sam, w najwyższym stopniu zdumiony spokojem, z jakim pan Pickwick zabierał się do wsiadania.

– A cóż mam zrobić – rzekł pan Pickwick – co mam zrobić?

– Jak to? I nikt za taką bezczelność nie dostanie po nosie? – oburzył się pan Weller, który co najmniej oczekiwał polecenia, by z miejsca wyzwał konduktora i woźnicę na pięści.

– Nie, nie – odparł pan Pickwick skwapliwie – siadaj teraz na swoim miejscu.

– Obawiam się – mruknął Sam, odwracając się – obawiam się, że z moim panem jest coś nie w porządku, inaczej nie byłby taki spokojny. Przypuszczam, że proces nie odebrał mu wigoru; ale coś bardzo mi kiepsko wygląda, bardzo kiepsko.

I frasobliwie potrząsnął głową. Jak bardzo wziął sobie tę sprawę do serca, dowód w tym, że nie odezwał się ani słowem, aż powóz stanął przy kensingtonskiej rogatce. Może mu się w całym jego życiu nie przytrafiło jeszcze, by tak długo milczał.

Poza tym nie zaszło w czasie podróży nic zasługującego na szczególną wzmiankę. Pan Dowler opowiedział kilka anegdot ilustrujących jego osobistą dzielność, a przy każdej wzywał na świadka panią Dowler. Wtedy ta miła dama przytaczała na dodatek pewne szczegóły opuszczone przez pana Dowlera, a może przez skromność przemilczane przez niego; szczegóły te miały zawsze ten cel, by wykazać, iż pan Dowler jest człowiekiem jeszcze bardziej zdumiewającym, niż to wynikało z jego słów. Pan Pickwick i pan Winkle słuchali wszystkiego z podziwem, w przerwach rozmawiając z panią Dowler, osobą, jak się przekonano, bardzo miłą, a nawet czarującą. Tak towarzystwu siedzącemu w powozie bardzo przyjemnie mijał czas rozłożony na opowiadanie pana Dowlera, powaby jego małżonki, dobry humor pana Pickwicka i świetny talent do słuchania pana Winkle'a.

Pasażerom na zewnętrznych miejscach wiodło się jak zwykle. Na początku każdego odcinka między stacjami byli bardzo weseli i rozmowni, w środku jego znudzeni i śpiący, a pod koniec bardzo ożywieni i rześcy. Jakiś młody jegomość, ubrany w płaszcz gumowy, palił przez cały dzień cygara, a jakiś drugi młodzian, przyodziały w parodię płaszcza podróżnego, również zapalał całą masę śmierdziaków, nim jednak zaciągnął się drugi raz, już czuł się niedobrze i wyrzucał je, gdy przypuszczał, że nikt tego nie widzi. Trzeci zbierał wiadomości z dziedziny chowu bydła, a jakiś starszy pan, który siedział z tyłu, chwalił się swą znajomością gospodarstwa rolnego. Na każdej stacji wsiadali i wysiadali pasażerowie, niekiedy w bluzach chłopskich, którzy jechali na gapę i siadali obok konduktora, a mogli pysznić się tym, że znali każdego konia i każdego parobka spotykanego na tym gościńcu. Ponadto robili uwagi o obiedzie i byli zdania, że może nie byłby nawet o pół korony za drogi, gdyby był tylko czas, by go zjeść. W końcu o godzinie siódmej wieczorem pan Pickwick ze swymi towarzyszami i panem Dowlerem z żoną dotarli do hotelu „Pod Białym Jeleniem”, naprzeciw zakładu kąpielowego w Bath. Tu można było wziąć kelnerów, ze względu na ich ubiór, za uczniów szkoły westminsterskiej, choć złudzenie to prędko rozwiało się, gdyż zachowywali się znacznie lepiej niż tamci.

Nazajutrz rano, zaledwie uprzątnięto śniadanie pickwickczyków, garson przyniósł bilet wizytowy pana Dowlera, który prosił o pozwolenie przedstawienia jednego ze swych przyjaciół. Wkrótce potem nadszedł pan Dowler ze swym przyjacielem.

Był to bardzo miły młodzieniec, mogący mieć najwyżej pięćdziesiąt lat. Miał na sobie granatowy frak z błyszczącymi guzikami, czarne spodnie i buty, niemal tak błyszczące jak guziki. Na szyi miał zawieszoną na czarnej wstążce złotą lornetkę, a złotą tabakierkę z wdziękiem

obracał między palcami lewej ręki; mnóstwo złotych pierścieni błyszczało mu na palcach, ogromny zaś soliter, oprawny w złoto, jaśniał na żabocie. Miał oprócz tego złoty zegarek i złoty łańcuch ze złotymi breloczkami. Hebanowa jego laska ozdobiona była złotą gałką; białizna była niezmiernie cienka, biała i wykrochmalona; sztuczny kok na głowie był ze wszystkich możliwych sztucznych koków najlepiej wypomadowany i ułożony. Rysy zdobił nieprzerwany śmiech, a zęby utrzymane były w tak doskonałym porządku, iż z niewielkiej odległości trudno było odróżnić sztuczne od prawdziwych.

– Panie Pickwick – rzekł pan Dowler – przedstawiam panu mego przyjaciela: pan Angelo Cyrus Bantam, Esq., dyrektor kąpielowy; Bantam – pan Pickwick; niech się panowie zaznajomią.

– Witam pana w Bath – powiedział pan Bantam. – Jest to dla nas prawdziwie miła zdobycz. Już dawno, bardzo dawno nie pił pan wód, panie Pickwick. Wieki, panie!

To mówiąc, pan Angelo Cyrus Bantam, Esq., d. k., ujął pana Pickwicka za rękę i kłaniając się mu, potrzasał nią, jak gdyby nie mógł jej puścić.

– Musiało to być bardzo dawno – odrzekł pan Pickwick – gdyż, o ile wiem, nigdy przedtem nie byłem w Bath.

– Nigdy nie był pan w Bath! – zawołał dyrektor i ze zdumieniem puścił rękę filozofa. – Cha, cha, cha! Pan lubi żartować, panie Pickwick! Nieźle. Chi, chi, chi!

– Szczerze panu mówię, iż nigdy tu nie byłem.

– Tak, tak! – odrzekł mistrz ceremonii. – Doskonale! Coraz lepiej! Pan jesteś właśnie gentlemanem, o którym nam mówiono. Znamy już pana, znamy!

„Pewno czytali w tych przeklętych gazetach sprawozdanie z mego procesu” – pomyślał pan Pickwick.

– Tak, tak – zaczął znowu pan Bantam – pan jesteś tym gentlemanem, który mieszka w Clapham Green i stracił władzę w członkach, przeziębwszy się po winie porto, a który wskutek ostrych cierpień, nie mogąc ruszyć się z miejsca, kazał sobie sprowadzić wodę z Bath do Londynu, nagrzać ją do 103 stopni, a gdy wykapał się, kichnął i wyzdrowiał tego samego dnia.

Pan Pickwick pojął komplement, jaki zawarty był w tym opowiadaniu, ale miał tyle mocy charakteru, że nie przyznał się, by on był tym gentlemanem, tak cudownie uleczonym. Następnie korzystając z chwili, w której pan Bantam umilkł, przedstawił mu swych przyjaciół, panów Tupmana, Winkle'a i Snodgrassa. Przedstawienie to nappełniło dyrektora zakładu kąpielowego rozkoszą i czcią.

– Bantam – rzekł pan Dowler — pan Pickwick i jego przyjaciele są obcy w tym miejscu: trzeba, by podali swe nazwiska.

– Spis znakomitych gości będzie dziś złożony o godzinie drugiej w Sali Źródlanej. Zechce pan zaprowadzić naszych nowych znajomych do tego wspaniałego gmachu i poprosić, by nas zaszczylicili swymi podpisami.

– Bardzo dobrze – odrzekł pan Dowler. – Za godzinę wrócę tu. Chodź pan.

– Dziś wieczorem mamy bal w Bath – rzekł dyrektor zakładu kąpielowego, ściskając na odchodnym rękę pana Pickwicka. – Balowe noce w Bath są to chwile skradzione z rajy, chwile zachwyty wywołanego muzyką, pięknnością, wykwinnością, modą, etykietą itd., a przede wszystkim nieobecnością handlarzy, którzy z pojęciem rajy najzupełniej nie dadzą się połączyć, aktorzy co czternaście dni urządzają sobie zebrania w Guildhall w myśl zasady: równi z równymi, co jest bardzo dziwne. Tymczasem adieu !

To powiedziawszy i powtarzając bez końca, iż jest bardzo zadowolony, zachwycony i zaszczycony, Angelo Cyrus Bantam, Esq., d. k., wsiadł do eleganckiego powozu czekającego przed drzwiami i odjechał.

O oznaczonej godzinie udał się pan Pickwick wraz ze swymi przyjaciółmi w towarzystwie pana Dowlera do Sali Źródlanej, gdzie zapisali się do zwykłej księgi przyjezdnych – dowód

pospolitowania, którym pan Angelo Bantam czuł się poruszony jeszcze bardziej niż poprzednio. Całe towarzystwo miało otrzymać bilety wstępu na bal, ponieważ jednak nie były one jeszcze gotowe, pan Pickwick oświadczył, mimo sprzeciwów pana Angelo Bantama, że o godzinie czwartej przyśle po nie Sama do mieszkania dyrektora przy Queen Square. Dokonawszy potem krótkiej przechadzki po mieście i oświadczywszy jednogłośnie, że ulica Parkowa posiada bardzo wielkie podobieństwo do tych stromych ulic, które się widuje we śnie, a którymi za żadne skarby świata niepodobna iść do góry, wrócili „Pod Białego Jelenia”, skąd wysłano Sama z wyżej wspomnianym poleceniem.

Sam Weller, włożywszy kapelusz lekko i z wielkim wdziękiem, wsunął palce obu rąk w kieszenie kamizelki i poszedł ku Queen Square, wygwizdując po drodze rozmaite popularne melodie, tak jak je w zupełnie nowej redakcji skomponowano dla nowego szlachetnego instrumentu – katarynki. Stanąwszy przed wskazanym sobie domem, przestał gwizdać i mocno zapukał do drzwi, które natychmiast otworzył lokaj, upudrowany i we wspaniałej liberii.

– Czy tu mieszka pan Bantam, kolego? – zapytał Sam, bynajmniej nieolśniony blaskiem przepychu upudrowanego lokaja.

– Na co ci to, młodzieńcze? – odpowiedział wyniośle lokaj.

– Bo jeżeli tak jest, to proszę zanieść mu ten bilet i powiedzieć, iż pan Weller czeka na odpowiedź. Czy chcesz mi zrobić tę przysługę, mój ty sześciostopowy? – To powiedziawszy, Sam wszedł z zimną krwią do sieni i usiadł.

Upudrowany lokaj trzasnął gwałtownie drzwiami i zmarszczył brwi z wielką godnością; ale to nie wywarło żadnego wrażenia na Samie, który z miną znawcy zajął się oglądaniem pięknej mahoniowej szafki.

Uprzejmość, z jaką pan Bantam przyjął bilet, widocznie dobrze usposobiła dla Sama upudrowanego lokaja, gdyż powróciwszy, uśmiechnął się do niego przyjaźnie i powiedział, że zaraz otrzyma odpowiedź.

– Bardzo dobrze – odrzekł Sam. – Możesz powiedzieć staremu gentlemanowi, żeby się bardzo nie śpieszył. Nie ma nic nagłego, mój sześciostopowy. Jestem już po obiedzie.

– Pan wcześniej jada obiad?

– Żeby raźniej pracować przy wieczerzy – odparł Sam.

– Czy dawno przebywa pan w Bath? Nie miałem przyjemności słyszeć o panu.

– Nie sprawiłem tu jeszcze odpowiedniego wrażenia – odrzekł Sam spokojnie. – Ja i inne osoby, którym towarzyszę, przybyliśmy dopiero wczoraj wieczorem.

– Piękna miejscowość, panie.

– Tak mi się zdaje.

– Dobre towarzystwo, panie. Słudzy bardzo przyjemni.

– Zdaje się. Uprzejmi chłopcy, nie zadzierają nosa, tylko nie trzeba robić z nimi ceremonii.

– O, tak, tak! – odrzekł upudrowany lokaj sądząc, że to, co Sam powiedział, zawiera przepyszny komplement. – Czy pan zażywa tabakę? – zapytał następnie, podając tabakierkę.

– Tak, ale zawsze kicham.

– O, to nie jest łatwe, przyznaję, ale można dojść do wprawy. Najlepiej uczyć się na kawie. Przez dłuższy czas sam nosiłem kawę. Wygląda całkiem jak tabaka.

Tu gwałtowne dzwonięcie postawiło upudrowanego lokaja wobec nieprzyjemnej konieczności schowania tabakierki do kieszeni i zmusiło do udania się z potulną miną do biblioteki pana Bantama. W tym miejscu zauważymy nawiasem, iż ludzie nie piszący i nie czytający posiadają zawsze niewielki, zazwyczaj pusty pokój, który nazywają biblioteką.

– Oto odpowiedź – rzekł do Sama upudrowany lokaj. – Obawiam się, by nie sprawiła panu subiekcji.

– Niech się pan tym nie trapi – odrzekł Sam, kładąc do kieszeni niewielki list. – Sądzę, że moja natura sprostą temu zadaniu, nie narażając się na wycieńczenie.

– Spodziewam się, że zobaczymy się jeszcze – rzekł upudrowany lokaj, zacierając ręce i odprowadzając Sama do drzwi.

– Bardzo pan łaskaw – odrzekł Sam – ale proszę, niech pan nie wysila nad miarę swej tak miłej osoby. Pamiętaj pan, coś winien społeczeństwu, i nie obarczaj się zbytecznym trudem. Przez miłość do podobnych sobie zachowaj pan spokój, o ile możliwości; pomyśl, jaka byłaby to strata dla ludzkości.

Po tych słowach Sam oddalił się.

– Bardzo oryginalny młodzieniec – powiedział do siebie upudrowany lokaj, mocno zdumiony.

Tegoż samego wieczora, punktualnie dwadzieścia minut przed ósmą, Angelo Cyrus Bantam, Esq., d. k., wysiadł ze swego powozu przed drzwiami sali balowej z tym samym kokiem, tymi samymi zębami, lornetką, łańcuchem, breloczkami, pierścieniami, szpilką i laską, w której był przystrojony z rana. Jediną zmianą w jego ubiorze było, iż miał na sobie frak nieco jaśniejszy, z białą jedwabną podszewką, obcisłe czarne spodnie, białą kamizelkę i był, jeżeli to możliwe, jeszcze więcej wyperfumowany.

Tak przystrojony dyrektor zakładu kąpielowego umieścił się w pierwszym pokoju, by przyjmować gości i wykonywać inne ważne czynności swego zawodu.

Ponieważ w Bath było przepelnienie, ludzie i sześciopensówki sypały się jak z rogu obfitości. W sali balowej, w sali gry, w sali ośmiokątnej, na schodach, w przejściach szmer głosów i szuranie nogami nie ustawały ani na chwilę. Suknie szeleściły, pióra kołysały się, światła błyszcząły, klejnoty połyskiwały. Grała muzyka, nie orkiestra do tańca – ta jeszcze grać nie zaczęła – ale muzyka drobnych kroczków, delikatnego i stłumionego śmiechu kobiecego, który tak miło słyszeć czy w Bath, czy gdzie indziej. Błyszczące oczy, ożywione oczekiwaniem, jaśniały z każdego kąta. Gdziekolwiek spojrzalesz – przez tłum przeciskała się jakaś powiewna postać, a gdy ją straciłeś z oczu – natychmiast zastępowała ją inna, równie powabna, równie czarująca.

W sali, gdzie podawano herbatę, i dokoła stołów do gry zgromadził się tłum oryginalnych starych dam i zgrzybiałych gentlemanów, rozprawiających o małych skandalach dnia z ożywieniem dostatecznie dowodzącym, jaką im to sprawa przyjemność. Wśród tych grup uwiijało się kilka szukających zięciów matek, pozornie zajętych rozmową, ale co chwila rzucających niespokojne spojrzenia w stronę córek. Te zaś, pomne na macierzyńskie zalecenia, by wykorzystać jak najlepiej urok młodości, roztaczały całą swoją zalotność zdejmując rękawiczki, bawiąc się szarfami, odstawiając filiżanki i wykonując mnóstwo drobnych ewolucji, nic nie znaczących, ale mogących wiele zdziałać, gdy wykonują je wytrawne znawczynie.

Przy drzwiach i w odległych kątach młodzi mężczyźni roztaczali wszelkie odcienie elegancji i głupoty, bawiąc swych rozsądniejszych sąsiadów ogromnymi pretensjami, przekonani, na swoje szczęście, iż są przedmiotem powszechnego podziwu i uwielbienia. Mądre to i litosne zrządzenie opatrności, na które nie może narzekać żaden rozumny człowiek.

Na krzesłach pod ścianami zajęły miejsca niektóre damy niezamężne, w niebezpiecznym już wieku. Nie tańczyły, gdyż nie miały danserów, i nie grały w karty z obawy, by ich nie poczytano za stare. Te były w tym szczęśliwym położeniu, że mogły wszystkich obgadawać, nie myśląc o sobie — powiadamy: wszystkich, gdyż rzeczywiście byli tu wszyscy.

Wszędzie pełno było wesołości, blasku i świetności, wszędzie elegancko ubrani panowie i panie, wspaniałe lustra, błyszczące posadzki, jaśniejące kandelabry. A na każdym planie tego obrazu, przesuając się z miejsca na miejsce z niezwykłą zręcznością, to kłaniając się uniżenie jednemu towarzystwu, to poufale kiwając głową drugiemu, a uprzejmie uśmiechając się do wszystkich, odznaczała się wystrojona osoba Angelo Cyrusa Bantama, Esq., dyrektora zakładu kąpielowego.

– Zejdź pan do sali, gdzie piją herbatę, i każ jej sobie dać za sześć pensów. Gorącą wodę nazywają tu herbatą – rzekł głośno pan Dowler do pana Pickwicka, który szedł naprzód pod

rękę z panią Dowler. Pan Pickwick zwrócił się więc ku wskazanej sali. W tej chwili pan Bantam, ujrawszy go, prześliznął się przez tłum i powitał filozofa z wielkim zapalem.

– Kochany panie! To prawdziwy zaszczyt!... Całe Bath jest zachwycone... Pani Dowler! Jesteś pani ozdobą tej sali. Pióra masz pani precudne. Ba-je-czne!

– Czy jest tu kto z towarzystwa? – zapytał pan Dowler pogardliwie.

– Towarzystwo? Wybór, e-li-ta!... Panie Pickwick, czy widzi pan tę damę, w gazowym turbanie?

– Tę starą, tłustą? – zapytał pan Pickwick niewinnie.

– Ts, kochany panie. Tu nikt nie jest ani stary, ani tłusty. To lady Snuphanuph.

– A! – odpowiedział pan Pickwick.

– Ni mniej, ni więcej. Zbliź się pan tu. Widzi pan tego młodego człowieka, bogato ubranego, który podchodzi ku nam?

– Tego z długimi włosami i dziwnie niskim czołem? – zapytał pan Pickwick.

– Tego, tego. To najbogatszy młody człowiek w całym mieście. To młody lord Muttonhead.

– Czy być może?

– Tak, tak! Zaraz pan go usłyszysz. Pewno zechce ze mną porozmawiać. Gentleman z czarnymi wąsami idący obok niego, to szanowny pan Crushton, jego najlepszy przyjaciel. Jak się milord miewa?

– Bardzo tu gorąco, mój Bantamie – odrzekł lord.

– Rzeczywiście, bardzo tu gorąco, milordzie.

– Diabelnie! – dodał znakomity pan Crushton, Po pewnej pauzie, podczas której lord Muttonhead chciał zmieszać pana Pickwicka uparcie wpatrując się w niego, a towarzyszącemu jego rozmyślał nad tym, o czym jego lordowska mość potrafiłaby mówić, pan Crushton zapytał:

– Bantam, czy widziałeś pocztową bryczkę jego lordowskiej mości?

– Ach! Mój Boże! nie widziałem.

– Czy tak? Sądziłem, że wszyscy ją widzieli. Jest to najpiękniejsza i najgustowniejsza rzecz, jaką widziałem kiedykolwiek na kołach. Pomalowana na czerwono; a konie maści kawy ze śmietanką.

– Z prawdziwą skrzynką na listy – dodał pan Crushton.

– Z siedzeniem dla stangreta na przodzie – mówił dalej lord. – Jeździłem nią wczoraj do Bristolu, czerwono ubrany i z dwoma dżokejami z tyłu. Niech mnie Bóg skarże, jeżeli chłopcy nie wychodzili ze swych domów i nie pytali mnie, czy nie jestem pocztylionem! To doskonałe!

Tu młody lord roześmiał się na całe gardło, a słuchacze, rozumie się, uczynili to samo. Potem lord wziął usłużnego pana Crushtona pod rękę i oddalił się.

– Zachwycający młody człowiek! – rzekł dyrektor do pana Pickwicka.

– Hm! – odrzekł sucho filozof.

Gdy poczyniono wszelkie wstępne kroki i zarządzenia do tańca i gdy wreszcie tańce się rozpoczęły, pan Angelo Bantam poprowadził pana Pickwicka do sali gry.

W chwili gdy tam wchodzili, lady Snuphanuph i dwie inne damy o antycznej powierzchowności smutnie błąkały się koło nie zajętego stolika do kart. Gdy tylko ujrzały pana Bantama wprowadzającego pana Pickwicka, spojrzały po sobie wzrokiem, który wyrażał, iż tego im właśnie potrzeba do skompletowania partii.

– Mój kochany Bantam – rzekła lady Snuphanuph ujmującym głosem – znajdź nam kogoś czwartego do wista, tyś taki kochany.

W tej chwili pan Pickwick patrzył w inną stronę, tak że milady mogła wymownym znakiem wskazać na niego.

Mistrz ceremonii zrozumiał ten znak.

– Milady – powiedział – pan Pickwick będzie się uważał za szczęśliwego, jestem tego pewny... Panie Pickwick! Lady Snuphanuph, pani pułkownikowa Wugsby, panna Bolo.

Pan Pickwick oddał ukłon i widząc, że nie ma sposobu wymknąć się, poddał się swemu losowi. Wybrano miejsca i filozofowi naszemu wypadło grać z panną Bolo. Po drugim rozdaniu dwie młode damy przybyły z sali tańca i umieściły się po obu stronach pułkownikowej Wugsby, czekając cierpliwie na ukończenie gry.

– Co tam? – zapytała wreszcie pani Wugsby jednej ze swych córek – co się stało?

– Mamo – szepnęła cichym głosem młodsza i piękniejsza – przyszedłam zapytać, czy mogę tańczyć z młodszym panem Crawley?

– Cóż ty sobie myślisz, Joanno? – odrzekła mama z oburzeniem. – Czyż nie powtarzałam ci ze sto razy, że ojciec jego ma wszystkiego osiemset funtów szterlingów dochodu! Doprawdy, że rumienię się za ciebie! Nie, nie, pod żadnym pozorem!

– Mamo – szepnęła druga panna, nierównie starsza od siostry, ale za to nieskończenie głupia i afektowana – przedstawiono mi lorda Muttonhead. Powiedziałam mu, że zdaje mi się, iż nie jestem zaangażowana.

– Dobre z ciebie dziecko, na tobie można polegać – odpowiedziała pani Wugsby, klepiąc córkę po policzku. – Lord jest niezmiernie bogaty, moja droga.

To mówiąc, pani Wugsby ucałowała swą starszą córkę z wielkim rozczeniem i zmonitowała młodszą zmarszczeniem brwi, po czym stasowała karty.

Biedny pan Pickwick! Nigdy jeszcze dotąd nie grał z trzema – starymi damami tak biegłymi w wiście. Biegłość ta przerażała go. Gdy zagrał źle, panna Bolo przesywała go wzrokiem; gdy zatrzymywał się dla namysłu, lady Snuphanuph przechylała się na krzesło i uśmiechała się, rzucając na panią Wugsby spojrzenie pełne niecierpliwości i politowania, na co ta odpowiadała wzruszeniem ramion i lekkim kaszlem, jakby zapytywała, czy raz wreszcie zdecyduje się zagrać. Przy każdym nowym rozdaniu kart panna Bolo zapytywała ze skrzywioną twarzą i pełnym wyrzutu westchnieniem, dlaczego pan Pickwick nie grał atutów ani był pików, nie impasował trefli itd., a filozof nie potrafił absolutnie wytłumaczyć się z tych ciężkich zarzutów, bo już zapomniał, jakie miał karty. Ale to jeszcze nie wszystko; nieznajomi należący do gry zaglądali mu w karty; tuż obok stołu wszczęła się bardzo ożywiona rozmowa między panem Bantamem i dwiema pannami Matinters, osobami wcale już dojrzałymi, które wdziękły się do dyrektora, by im wynalazł tancerzy. Wszystkie te skombinowane okoliczności, w połączeniu z ciągłym szastaniem się mnóstwa osób, były przyczyną, iż pan Pickwick rzeczywiście grał dość źle; oprócz tego nie szła mu karta, tak że ukończywszy grę dziesięć minut po jedenastej, panna Bolo wstała bardzo wzburzona i ze łzami w oczach kazała się odnieść w lektycę do domu.

Pan Pickwick połączył się natychmiast ze swymi przyjaciółmi, którzy jednogłośnie oświadczyli, iż rzadko zdarzało im się przepędzić wieczór tak przyjemnie. Potem powrócili razem „Pod Białego Jelenia”, a filozof, pocieszywszy się wypiciem czegoś rozgrzewającego, prawie zaraz poszedł spać.

Rozdział siódmy

w którym przekonamy się, że w znacznej swej części jest autentyczną wersją legendy o księciu Bladudzie, oraz zapoznamy się z opisem niezwykłego nieszczęścia, jakie przytrafiło się panu Winkle'owi

Ponieważ pan Pickwick zamierzał zabawić w Bath przynajmniej dwa miesiące, uznał więc za konieczne wynająć dla siebie i swych towarzyszy mieszkanie prywatne. Poszczyściło mu się w tym i bez większego trudu wynajął za niewielką cenę górne piętro pewnego domu przy Royal Crescent. Znajdowało się tam więcej pokoi, aniżeli potrzebowali pickwickczycy, wobec tego państwo Dowler wyrazili chęć odnajęcia jednej sypialni i jednego salonu. Propozycję tę przyjęto bardzo chętnie i już na trzeci dzień obydwu towarzystwa ulokowały się w nowym domu.

Wówczas pan Pickwick począł pić wody z wielką pilnością.

Pił je systematycznie: szklanka przed śniadaniem, potem przechadzka; szklanka po powrocie z przechadzki; następnie po szklance co kwadrans; po każdym wypiciu filozof oświadczał najuroczyściej, iż czuje się znacznie lepiej. Cieszyło to mocno jego przyjaciół, chociaż ci nigdy dotąd nie słyszeli, by pan Pickwick uskarżał się na cokolwiek.

Sala Źródłana jest to obszerny pokój ozdobiony korynckimi kolumnami, galerią dla orkiestry, zegarem, posągiem i złożonym napisem, przy którym każdy pijący wodę powinien się zatrzymać, gdyż napis ten poleca względem kuracjuszków nędzę zasługującą na wsparcie. Szeroka bariera oddziela basen marmurowy, z którego posługacz czerpie wodę, podawaną potem w żółtych kubkach. Bardzo to budujący i pouczający widok, gdy się patrzy, z jakim przejęciem kuracjusze ją łykają! Zaraz pod ręką są łazienki, w których część towarzystwa może się kąpać. Przygrywająca orkiestra jakby ich chwaliła za to, że to czynią. Jest jeszcze druga sala, do której wwożą chorych panów i panie w tak rozmaitych wózkach i krzesłach, że żądny przygód osobnik, który tam wejdzie, naraża się na utratę kilku palców u nóg. Jest i trzecia sala, dokąd chodzą ludzie szukający spokoju, jest w niej bowiem o wiele ciszej niż w tamtych. Spacerowiczów wszędzie mnóstwo – o kijach lub bez, z laskami lub bez; wszędzie rozbrzmiewa śmiech, wesołość.

Co rano osoby sumiennie pijące wody, pomiędzy którymi naturalnie znajdował się i nasz filozof, zgromadzały się w Sali Źródlanej, połykały przepisaną ilość ćwierćlitrowych szklanek wody i przechadzały się według przepisu. Na promenadzie spotykali się lord Muttonhead, szanowny pan Crushton, owdowiała lady Snuphanuph, pani pułkownikowa Wugsby i całe wyborowe towarzystwo oraz wszyscy, którzy rano piją wodę. Potem udawano się na spacer za miasto piechotą, w powozach lub lektykach, aż w końcu znów zbierano się w Sali Źródlanej. Wtedy mężczyźni przechodzili na chwilę do czytelnicy; a potem wszyscy rozchodzili się do domów. Wieczorem, gdy był teatr, udawano się na widowisko; gdy był bal, spotykano się w sali balowej; gdy nie było ani jednego, ani drugiego, spotykano się dnia następnego. Był to bardzo miły tryb życia, któremu można by tylko zarzucić trochę jednostajności.

Po jednym dniu spędzonym w ten sposób pan Pickwick, którego przyjaciele udali się już na spoczynek, siedział jeszcze nad swymi notatkami, gdy wtem usłyszał lekkie pukanie do drzwi.

– Bardzo przepraszam pana – rzekła właścicielka domu, pani Craddock, wsuwając głowę przez drzwi – czy pan czego nie potrzebuje?

– Nie, pani – odrzekł pan Pickwick.

– Moja córka poszła spać, a pan Dowler jest tak łaskaw, iż przyrzekł czekać na panią Dowler, która dziś wróci późno. Gdyby pan nie miał jakiego zlecenia, to i ja poszłabym spać.

– Bardzo dobrze pani zrobi – odparł pan Pickwick.

– Życzę panu dobrej nocy.

– Dobranoc pani.

Pani Craddock zamknęła drzwi i pan Pickwick wziął się znów do pisania. W niespełna pół godziny skończył. Osuszywszy ostatni arkusz bibułą, pan Pickwick zamknął książkę, otarł pióro o podszewkę swego surduta i otworzył szufladę biurka. Leżało w niej kilka arkuszy listowego papieru, szczelnie zapisanych i złożonych w ten sposób, że tytuł, wykaligrafowany starannym rondem, rzucił się w oczy. Widząc, że nie jest to dokument prywatny, że dotyczy Bath i jest bardzo krótki, pan Pickwick rozłożył rękopis, zapalił świecę, poprawił knot, by mu nie zgasła, nim skończy czytać, i przysunąwszy fotel do kominka czytał, co następuje:

PRAWDZIWA LEGENDA O KSIĘCIU BLADUDZIE

Nie mniej niż przed dwustu laty na jednej z łazienek publicznych tego miasta widniał napis na cześć jej potężnego fundatora, sławnego księcia Bładuda. Napis ten dziś jest już zatarty.

Wiele, wiele set lat przedtem powtarzano sobie starą legendę o znakomitym księciu, który zaraziwszy się trędem po powrocie z Aten, gdzie zebrał bogate żniwo nauki, opuścił dwór swego królewskiego ojca i żył skromnie pośród rolników i świń. Między tymi świniami, mówi legenda, była jedna poważna i szanowana z wyglądu, dla której książę czuł niemal przyjaźń – był to bowiem mędrzec – za jej myślący i pełen godności sposób zachowania. Wyróżniała się wśród swoich towarzyszy, których chrząkanie było groźne, a ukąszenie bolesne. Młody książę wzdychał głęboko, patrząc na tę majestatyczną swinię. Przychodził mu wtedy na myśl jego królewski ojciec i oczy napelniały mu się łzami.

Niezwykła ta swinia lubiła kąpać się w głębokim, wilgotnym błocie. I to nie w lecie, jak to czynią dziś wszystkie śwynie dla ochłody i jak to czyniły za owych zamierzchłych czasów (dowód to, że słońce cywilizacji już weszło wtedy, aczkolwiek świeciło jeszcze słabo) – ale w chłodne dni zimowe. Skórę miała zawsze tak gładką, a ciało tak czyste, że książę postanowił wypróbować oczyszczającą własność wody, w której myła się jego przyjaciółka. Spróbował. Pod czarnym błotem bulgotały źródła Bath. Obmył się i wyzdrowiał. Pośpieszywszy na dwór ojca złożył mu należną cześć, a powróciwszy do miejsca swego uzdrowienia, ufundował Bath i owe sławne do dziś kąpiele.

Obdarzał swinię dawną przyjaźnią, ale niestety, wody bathańskie stały się przyczyną jej śmierci! Raz nieostrożnie wzięła zbyt gorącą kąpiel i – umarł ten filozof natury! Poszła za przykładem Pliniusza, którego również zgubiło pragnienie wiedzy.

Tak głosi legenda. Posłuchajcie, jak się rzecz miała naprawdę. Przed wielu, wielu setkami lat sławny był na całym świecie znakomity i dzielny król Brytyjczyków, Lud Hudibras. Był to potężny monarcha. Ziemia drżała, gdy przechodził: taki był ciężki! Poddani grzali się w słońcu jego oblicza: takie było czerwone i wielkie. Był to rzeczywiście król w każdym calu. A miał tych cali sporo! Chociaż bowiem nie był bardzo wysoki, miał zdumiewająco wielki obwód i cali, których mu brakowało na wysokość, dopełniał cyrkumferencją. Jeżeli można by z nim porównać którego ze zdegenerowanych królów naszych czasów, to chyba o jednym tylko królu Cole można by powiedzieć, że był równie znakomitym potentatem.

Ten poczciwy król miał żonę, a ta żona przed osiemnastu laty powiła syna, którego nazwali księciem Bładudem. Posłano go do seminarium przygotowawczego w dominiach ojca, gdzie przebywał do lat dziesięciu, następnie pojechał kończyć nauki do Aten. A ponieważ w szko-

łach ateńskich nie dopłacało się za wakacje i nie żądano zabierania uczniów, książę pozostał tam przez lat osiem, a po ośmiu latach ojciec posłał po niego lorda kanclerza, by zapłacił rachunek i przywiózł go do domu. Gdy lord kanclerz uczynił to, natychmiast go spensjonowano.

Gdy król Lud zobaczył, na jakiego przystojnego młodzieńca wyrósł jego syn, zmiarkował, że ważna to rzecz, by się młody niezwłocznie ożenił, iżby dzieci jego utrzymały ród znakomitego króla Luda po wsze czasy. Wyprawił więc specjalne poselstwo, złożone z najznakomitszych ludzi, którzy nie mieli nic do roboty i poszukiwali lukratywnych posad, do swego sąsiada-króla, prosząc go o rękę córki dla Bładuda. Kazał mu przy tym powiedzieć, że uczyni wszystko, żeby zachować przyjaźń dla swego brata i przyjaciela, królewskiego sąsiada, ale jeżeli nie uda im się ułożyć małżeństwa ich dzieci, będzie musiał uciec się do niemiłej konieczności splądrowania jego włości łącznie z wyłupieniem mu oczu. Wtedy tamten król – był z nich dwu słabszy – powiedział, że wielce jest wdzięczny swemu bratu i przyjacielowi za dobroć i wspaniałomyślność i że jego córka gotowa jest poślubić księcia Bładuda na każde jego skinienie. Gdy tylko wiadomość ta doszła do Brytanii, radość zapanowała w całym kraju. Nie słyszałeś innych dźwięków, jak głosy radości i wesela, głównie zaś brzęk pieniędzy wypłacanych ludowi przez skarbnika Jego Królewskiej Mości z racji tej szczęśliwej ceremonii. Przy tej to okazji właśnie król Lud, siedzący na wysokim tronie, podniósł się nagle i zażądał od lorda kanclerza, żeby podano najlepsze wina i przywołano najznakomitszych minstrelów: ten akt łaski ignorancja historyków przez długie wieki przypisywała królowi Cole'owi, jak to nawet opiewają znane strofki:

*Zażądał swej fajeczki, potem kielicha,
A wreszcie trzech swoich skrzypków!*

co jest krzyżącą niesprawiedliwością wobec pamięci króla Luda, a niesmacznym powiększeniem zasług króla Cole'a.

Ale wśród tych uroczystości i festynów jedna tylko osoba nie podzielała ogólnej radości: mówię o księciu Bładudzie we własnej osobie, na którego cześć ludność całego kraju płukała sobie gardła i napychała trzosi. Bo książę Bładud, zapominając o bezsprzecznym prawie ministra spraw zewnętrznych do zakochiwania się w jego imieniu, na przekór wszelkiej dyplomacji i wbrew wszelkim obyczajom zakochał się na swój rachunek całkiem prywatnie w pięknej córce pewnego bogatego ateńczyka.

To, co wam teraz powiem, służyć może za przykład bezgranicznych korzyści, jakie wypływają z cywilizacji i kultury. Gdyby książę żył w naszych czasach, natychmiast poślubiłby przedmiot wyboru swego rodzica, a potem zabrałby się do poważnej roboty, aby zapomnieć choć trochę o brzemieniu, jakie nań spadło. Złamałby serce swojej żony wypróbowaną metodą zaniechania i obelg, a gdyby i to nie pomogło i dumna królowna zносиłaby w milczeniu jego złe traktowanie, pozbyłby się jej, wykreślając ją z listy żyjących. Ale żaden z tych sposobów nie odpowiadał księciu Bładudowi. Poprosił więc ojca o prywatną audiencję i wyznał mu prawdę.

Stary to przywilej królewski – panować nad wszystkim, z wyjątkiem swych namiętności. Król Lud wpadł w straszny gniew, rzucił koronę o podłogę i zaraz ją podniósł (w tych czasach królowie nosili korony na głowach, a nie przechowywali ich w Tower), tupał nogami, tarł czoło, nie mógł się dość nadziwić, że jego własny syn buntuje się przeciw niemu, a wreszcie zawoławszy strażę kazał księcia zamknąć w wysokiej wieży – środek, do którego uciekali się królowie starej daty, gdy ich inklinacje matrymonialne nie pokrywały się z inklinacjami synów.

Kiedy książę Bładud siedział już kilka miesięcy w wieży, mając przed oczyma tylko wysoką ścianę, a w perspektywie długie lata więzienia, zaczął opracowywać plan ucieczki, co po

paru miesiącach przygotowań udało mu się doprowadzić do skutku. Przedtem jednak utopił nóż do krajania mięsa w sercu strażnika, aby oszczędzić nieszczęśliwemu odpowiedzialności za ucieczkę księcia (miał dzieci) i srogiej kary z rąk rozwścieczonego króla.

Monarcha szalał, dowiedziawszy się, że syn uciekł. Łamał sobie głowę, na kim by wylać swój gniew i ból! Szczęśliwie przypomniał sobie lorda kanclerza, który przywiózł księcia z Aten, i za jednym zamachem obciął mu pensję i głowę.

Tymczasem młody książę, przemyślnie przebrany, wędrował piechotą przez rozległe posiadłości swego rodzica. Pocięgą i podporą w tych trudach była mu słodka myśl o młodej atence, niewinnej przyczynie wszystkich jego nieszczęść. Pewnego dnia zatrzymał się w małej wiosce. Słyszając wesołe śmiechy i patrząc na tańce zbliżył się i spytał jednego z uczestników, co to znaczy.

– Nie wiesz nic, cudzoziemcze, o ostatniej proklamacji naszego monarchy?

– O proklamacji? Nie! O jakiej proklamacji mówisz? – spytał książę, od dawna bowiem szedł tylko bocznymi ścieżkami i nie wiedział, co się dzieje na gościńcach.

– Jak to?! – spytał wieśniak. – Przecież panna, z którą chciał się żenić nasz książę, wyszła za mąż za znakomitego magnata, swego rodaka. Nasz król z racji tego zdarzenia ogłosił szereg festynów. Teraz naturalnie książę Bładud wróci i ożeni się z księżniczką, którą mu ojciec wybrał! Mówią, że jest piękna jak jutrzienka! Pańskie zdrowie! Niech żyje król!

Książę nie chciał dłużej słuchać. Uciekł i zaszył się w gęsty las. Szedł dzień i noc: w promieniach gorącego słońca i w blasku zimnego księżycy, w żarze dziennym i chłodzie nocy, o różowym świcie i błękitnym zmroku... Tak dalece nie myślał o tym, co robi, że chcąc dojść do Aten, trafił do Bath.

Wtedy nie było jeszcze miasta w miejscu, gdzie obecnie stoi Bath. Nigdzie śladu osiedla ludzkiego, które godne byłoby tej nazwy. Ale kraj był tak samo piękny, te same przecinały go łąki, te same wspaniałe kanały migotały w oddali. Te same góry, jak zgryzoty życia, widniały na widnokręgu, tracąc w porannej mgle swoją zwykłą surowość. Wzruszony pięknem tej okolicy, książę rzucił się na ziemię i obmył swoje popuchnięte nogi we własnych łzach.

– Och! – zawołał nieszczęsny Bładud, załamując ręce i wznosząc oczy do nieba. – Gdybyż tu był kres moich wędrówek! Gdybyż te łzy, którymi opląkuję niespełnione nadzieje i wzgardzoną miłość, płynąć mogły zawsze!

Życzenie to zostało wysłuchane. Były to czasy bogów pogańskich, którzy lubili chwytac ludzi za słowa z szybkością zdumiewającą. Ziemia rozstała się pod nogami księcia. Wsiąkł w błoto. Skorupa ziemiska zamknęła się nad nim na zawsze, z wyjątkiem tego miejsca, gdzie spadły jego gorące łzy, które od tej chwili wciąż jeszcze ciekną.

Zauważono, że od tego czasu wiele starszych dam i gentlemanów, którym nie udało się znaleźć odpowiednich partii, oraz wiele młodzieży szukających ich, przyjeżdża rokrocznie do Bath pić wody, z których czerpią siłę i pociechę. Jest to najlepszy dowód skuteczności łez księcia Bładuda i przemawia za prawdziwością tej wersji legendy.

Pan Pickwick ziewnął kilkakrotnie, gdy skończył czytać ten mały rękopis; złożył go starannie i schował do szuflady, po czym z twarzą wyrażającą niewątpliwie zmęczenie zapalił świecę i udał się do siebie na górę.

Według zwyczaju zatrzymał się przed drzwiami pana Dowlera i zapukawszy lekko, powiedział mu „Dobranoc”.

– A! – zawołał pan Dowler – idzie pan spać? Bardzo bym pragnął uczynić to samo. Co za szkaradny czas! Czy słyszy pan, jak wyje wichry?

– Okropnie! – odrzekł pan Pickwick. – Dobranoc.

– Dobranoc.

Pan Pickwick poszedł do swej sypialni, a pan Dowler znowu zasiadł przed kominkiem, by spełnić nierozsądne przyrzeczenie, że będzie czekać na powrót swej żony.

Mało jest rzeczy tak nieprzyjemnych jak czuwanie i czekanie na kogokolwiek, zwłaszcza gdy osoba, na którą czekamy, bawi się tymczasem w najlepsze. Trudno się opędzić myśli, iż czas, który nam wlecze się tak powoli, osobie tej upływa bardzo szybko, a im więcej o tym myślimy, tym mniej mamy nadziei, by wnet przybyła. Nawet stuk zegara jest wówczas jakby powolniejszy. To zdaje się nam, iż czujemy świerzb w prawym kolanie, to znów w lewym; gdy tylko zmienimy położenie, doznajemy takiego samego uczucia w ramieniu; kurczymy się i wykręcamy na tysiąc sposobów; wtem zaświerzbiało w nosie, który zaczynamy drapać, jakbyśmy go chcieli wyrwać, co też uczynilibyśmy niezawodnie, gdyby tylko było można. Wszystkie te przypadłości nerwowe i wiele innych tym podobnych czynią bardzo wątpliwą przyjemność czuwania, kiedy już wszyscy w domu pokładli się spać.

Takiego też zdania był pan Dowler, który siedząc przy kominku odczuwał cnotliwe oburzenie na nieludzkich tancerzy zmuszających go do niespania. Humor jego wcale przy tym się nie polepszał na myśl, iż to on sam udał ból głowy, by pozostać w domu. W końcu zdrzemnąwszy się wpierw kilkakrotnie, przy czym parę razy pochylił się ku kominkowi iomalże nie poparzył sobie twarzy, pan Dowler postanowił położyć się na chwilę, rozumie się nie dlatego, by spać, ale by myśleć.

– Mam sen bardzo twardy – powiedział do siebie, wyciągając się na łóżku – ale zdaje mi się, że usłyszę, gdy zapukają do drzwi. Tak, tak, będę słyszał... przecież słyszę kroki nocnego stróża... Ach, ach!...

Doszedłszy do tego punktu pan Dowler odwrócił się i usnął głęboko.

W chwili gdy zegar wybijał trzecią, lektyka z panią Dowler zatrzymała się przed domem. Niosło ją dwóch tragarzy: jeden krótki, gruby, drugi wysoki i chudy; w czasie drogi zadawali sobie wiele trudu, by swe ciała, a także i lektykę, utrzymać w położeniu pionowym. Ale na wyższych miejscach i w pobliżu placu wiatr dał i targał tak ohydnie, jak gdyby chciał powyrwać kamienie z bruku, tragarze byli więc ucieszeni, gdy lektykę postawili na miejscu przeznaczenia, i zaczęli mocno pukać do drzwi.

Czekano jakiś czas, ale nikt nie wychodził.

– Hołota spoczywa pewnie w ramionach Purpusa – rzekł krótki tragarz, grzejąc sobie ręce przy pochodni trzymanej przez chłopaka, który ją niósł.

– Mógłby ich szturchnąć, by się obudzili – zauważył drugi.

– Zastukajcie jeszcze raz! – zawołała pani Dowler. – Dwa albo trzy razy.

Niższy, który jak najprędzej chciał się pozbyć swych obowiązków, stanął pod drzwiami i zaczął stukać co miał sił, w partiach po cztery, pięć, osiem i dziesięć uderzeń, gdy natomiast długi stanął na ulicy i patrzył, czy nie zauważy w oknie światła.

Lecz nikt nie wyszedł. Było cicho i ciemno jak przedtem.

– Ach, mój Boże! – zawołała pani Dowler. – Stukajcie jeszcze...

– Czy nie ma tu dzwonka? – zapytał jeden z tragarzy.

– Jest – odpowiedział drugi. – Targam nim już od dawna.

– To tylko rączka – rzekła pani Dowler – drut przerwał się. Ale zmiłujcie się, stukajcie jeszcze.

Znów zaczęło się gwałtowne stukanie, ale z tym samym wynikiem co poprzednio. Cierliwość długiego wyczerpała się, bił więc nieustannie potężnymi uderzeniami w drzwi niby jakiś obłąkany listonosz.

W końcu pan Winkle począł śnić, iż znajduje się w klubie, którego członkowie robią wielki hałas, a prezydent musi ciągle uderzać w stół, by utrzymać porządek. Potem zdawało mu się, iż jest na licytacji, gdzie nie było nabywców i komisarz sam wszystko kupował. Wreszcie przyszło mu na myśl, iż bardzo możliwe, że ktoś stuka we drzwi od ulicy. By się o tym należycie upewnić, podniósł się z łóżka i słuchał koło dziesięciu minut. Naliczywszy trzydzieści dwa uderzenia przekonał się, iż przypuszczenie jego było słuszne, i bardzo był zadowolony, że jest tak czujny.

– Tap, tap – tap, tap – tap, tap – rozległa się kołatka.

Pan Winkle, niezmiernie zdziwiony, wyskoczył z łóżka i pytał siebie, co by to być mogło, potem prędko wdział pantofle i szlafrok, zapalił małą świecę i szybko zszedł po schodach.

– Na koniec przebudził się ktoś – rzekł tragarz.

– Popędziłbym go biczem — mruknął drugi.

– Kto tam? – zawołał pan Winkle, odsuwając rygiel.

– Nie pytaj, ty barania głowo – gniewnie odparł długi, który nie przypuszczał, by był to kto inny niż służący. – Otwieraj!

– Prędeż tam, ty leniuchu – dodał niski zachęcająco.

Pan Winkle, na pół tylko przebudzony, machinalnie posłuszny temu wezwaniu, otworzył drzwi i popatrzył na ulicę. Pierwsze, co dostrzegł, było czerwone światło pochodni przed lektyką. Przerazony tym niespodziewanym widokiem, sądząc, że się pali, otworzył szeroko drzwi, podniósł swą świecę nad głowę, wyszedł i w osłupieniu patrzył przed siebie, nie mogąc zmiarkować, czy widzi lektykę, czy sikawkę. W tej chwili wiatr zgasił świecę, a pan Winkle wyleciał na ulicę, po czym drzwi z trzaskiem zamknęły się znowu.

– A to się spisał! – zawołał tragarz.

Ale pan Winkle, dostrzegłszy kobiecą twarz w lektyce, cofnął się nagle i zaczął gwałtownie stukać do drzwi, jednocześnie wrzeszcząc na tragarzy jak szalony, by odeszli z lektyką cośkolwiek na stronę.

– Odnieście ją! Odnieście! Mój Boże! Ktoś wychodzi z sąsiedniego domu! Ukryjcie mnie! Ukryjcie choć w lektyce! – wył pan Winkle.

Wymawiając te słowa bez związku, pan Winkle drżał od zimna, gdyż wiatr rozdymał mu szlafrok w sposób bardzo niemiły.

– Jakieś towarzystwo nadchodzi... damy!... Okryjcie mię czymkolwiek!... Stańcie przede mną... – wołał zrozpaczony.

Ale tragarze tak pokładali się od śmiechu, że nie mogli mu udzielić choćby najmniejszej pomocy; tymczasem damy zbliżały się.

Pan Winkle raz jeszcze beznadziejnie zastukał do drzwi, damy znajdowały się o parę tylko domów. Rzucił zgaszoną świecę, którą przez cały czas trzymał nad głowę, i wskoczył do lektyki, w której była pani Dowler.

Tymczasem pani Craddock słyszała wołanie i stukanie, włożyła więc na głowę coś bardziej właściwego niż nocny czepek i pobiegła do pokoju od strony ulicy, by przekonać się, czy to pani Dowler; w tej właśnie chwili, gdy wyglądała przez okno, pan Winkle wskakiwał do lektyki. Na ten widok gospodyni krzyknęła przeraźliwie i poczęła wołać na pana Dowlera, by przybył natychmiast i nie dopuścił do ucieczki żony z jakimś gentlemanem.

Na ten krzyk i na tę okropną wiadomość pan Dowler wyskoczył z łóżka jak piłka gumowa i pobiegł do okna pokoju na froncie, gdy tymczasem pan Pickwick zbliżył się także do swojego okna. Pierwszym przedmiotem, jaki zobaczyły ich zdumione oczy, był pan Winkle usiłujący wdrzeć się do lektyki.

– Strózu nocny! – zawołał pan Dowler z wściekłością – łapaj go! Trzymaj! Wiąż! Ja zaraz zejść! Poderżnę mu gardło! Dajcie mi nóż! Od ucha do ucha, pani Craddock!

Odgrążając się tak okropnie, obrażony małżonek wyrwał się z objęć gospodyni pana Pickwicka, pochwycił mały nóż deserowy i wybiegł na ulicę.

Ale pan Winkle nie czekał na niego. Zaledwie usłyszał straszne pogroźki mężnego Dowlera, wyskoczył z lektyki jak mógł najszybciej i pozostawiając swe pantofle na ulicy, pomknął po placu, ścigany przez nocnego stróża i pana Dowlera. Zakreślając w pogoni tej koło znalazł się znów przy otwartych drzwiach domu pani Craddock; wpadł tam, zatrzasnął drzwi za sobą, potem wbiegł do swej sypialni i zatrzasnął również drzwi, zabarykadował je kufrem, stołem i umywalnią; dokonawszy tego począł pakować najpotrzebniejsze rzeczy, by z brzaskiem dnia uciec.

Tymczasem Dowler piorunował z drugiej strony drzwi nieszczęśliwego pana Winkle'a, oświadczając przez dziurkę od klucza swe nieodwołalne postanowienie poderżnięcia mu gardła nazajutrz rano. W końcu, po wielkim hałasie, wśród którego słyszano głos pana Pickwicka usiłującego przywrócić spokój, mieszkańcy domu rozeszli się do swych sypialni i wszystko ucichło.

Być może, że czytelnicy nasi zapytają, co przez ten czas porabiał Sam Weller? Odpowiemy na to w następnym rozdziale.

Rozdział ósmy

uczciwie przedstawia powody nieobecności pana Samuela Wellera, przyjęcie, na które był zaproszony i na które poszedł, oraz opowiada, jak otrzymał on od pana Pickwicka polecenie natury delikatnej i osobistej

– Panie Weller – powiedziała pani Craddock z rana w ów obfitujący w wypadki dzień. – Jest list do pana!

– Bardzo mi przykro – powiedział Sam. – Przypuszczam, że coś się stało, nie przypominam bowiem sobie, by któryś ze znajomych mi gentlemanów posiadał sztukę pisania!

– Może stało się coś nadzwyczajnego! – poddała pani Craddock.

– Rzeczywiście, musiało zajść coś bardzo nadzwyczajnego, jeżeli któryś z moich przyjaciół zdecydował się napisać! – powiedział Sam, z powątpiewaniem kiwając głową. – Zwykle konwulsje, jak powiedział młodzieniec, gdy dostał ataku. To nie może być od starego – dodał, patrząc w tym kierunku. – Píše drukowanymi, bo nauczył się pisać z wielkich szyldów po karczmach... To bardzo dziwne! Kto mógł napisać ten list? To mówiąc Sam uczynił to, co czyni większość ludzi, gdy nie wie, od kogo pochodzi list: spojrzął na pieczęć, potem na adres, potem na odwrotną stronę koperty, potem na dopisek, jako na ostatnią deskę ratunku, chociaż mógłby równie dobrze zajrzeć do wnętrza i dowiedzieć się czegoś pewnego.

– Pisany na papierze ze złożonymi brzegami! – powiedział Samuel, rozkładając list. – I zalakowany brązowym lakiem i kluczem. No jazda! – Robiąc bardzo uroczystą minę pan Weller przeczytał, co następuje:

Dobrane kółko służących w Bath przesyła pozdrowienia panu Samuelowi Wellerowi i upomina się o przyjemność spędzenia w jego towarzystwie miłego wieczoru przy koleżeńskej pogawędce, to jest przy gotowanej baraninie z odpowiednimi dodatkami. Towarzystwo zasiądzie do stołu punktualnie o godzinie wpół do dziesiątej.

Do tego była dodana druga epistoła śpiewająca, jak następuje:

Pan John Smauker, gentleman, który miał zaszczyt spotkać pana Wellera przed paru dniami u ich wspólnego znajomego pana Bantama, ma przyjemność przesać panu Wellerowi niniejsze zaproszenie. Jeżeli pan Weller zechce przybyć do pana Johna Smaukera o godzinie dziewiątej, to pan John Smauker będzie miał przyjemność przedstawić go towarzystwu.

(podpisano) *John Smauker*

Na kopercie był adres: pan Weller, Esq., u pana Pickwicka, a w nawiasie w lewym kącie, jako instrukcja dla oddawcy – „Bardzo pilne!”.

– Hm! – powiedział Sam. – To brzmi nobliwie! Nigdy nie słyszał, żeby gotowaną baraninę nazywano pogawędką! Ciekawym, jak mówią o pieczeniu baraniej!

Nie zastanawiając się jednak dłużej nad tą kwestią, Sam niezwłocznie stanął przed obliczem pana Pickwicka i prosił o urlop na wieczór; udzielono mu go. Otrzymawszy pozwolenie i klucz od bramy Sam Weller wyszedł na chwilę przed oznaczoną porą i wolno poszedł w kierunku Queen Square. Zaledwie tam doszedł, ujrzał upudrowaną głowę pana Johna Smaukera, który oparty o latarnię, palił cygaro w bursztynowej cygarniczce.

– Jak się pan ma, panie Weller? – spytał pan John Smauker, uprzejmie zdejmując kapelusz jedną ręką, a drugą łaskawie kiwając Samowi. – Jak się pan miewa?

– Rozsądnie i zadowolająco! – odpowiedział Sam. – Ale jak pan się czuje, drogi panie?

– Tak sobie! – odpowiedział John.

– Bo pan za ciężko pracuje! – zauważył Sam. – Bałem się o pana! Tak nie można! Tak nie można! Nie powinien pan dawać ucha tym szkodliwym podszeptom pracowitości!

– Nie, to nie to – odpowiedział pan John Smauker. – Boję się, że przeholowałem.

– O, czyżby? – zainteresował się Sam. – To bardzo zły znak!

– Widzi pan, panie Weller, pokusy! – tłumaczył się John.

– Och, naturalnie!

– Jestem zmuszony obracać się w najwyższym towarzystwie! – westchnął Smauker.

– To straszne! – ubolewał nad nim Sam.

– Inaczej nie można! – mówił pan Smauker. – Jeżeli los skazał cię na życie publiczne i wysunął na publiczne stanowisko, wystawiony jesteś na pokusy, od których wolni są inni ludzie! Tak, tak, panie Weller!

– Słowo w słowo to samo mawiał mój wujek, kiedy wystąpił na arenę publiczną – zawołał Sam. – A miał stary gentleman rację! Bo się zapił na śmierć coś w parę kwartałów!

Pan Smauker spojrział głęboko obrażony, że ośmielono się porównać go z tym śp. gentlemanem. Ale ponieważ oblicze Sama wyrażało kamienny spokój, darował mu nietakt i spojrział łaskawiej.

– Może już pójdziemy? – spytał pan Smauker, spojrzawszy na spoczywający w głębi kieszeni mosiężny czasomierz, wyciągany na powierzchnię przy pomocy czarnego sznurka, na którego drugim końcu wisiał mosiężny klucz.

– Możemy – powiedział Sam. – Bo jeszcze przegotują baraninę i będzie po zabawie.

– Pija pan wody? – spytał Smauker, gdy skręcili na High Street.

– Raz spróbowałem

– I co pan sądzi?

– Że paskudna!

– Nie lubi pan szczawy?

– Nawet nie zauważyłem, że to szczawa. Dla mnie po prostu jechała starym żelastwem.

– To się właśnie nazywa szczawa – powiedział John Smauker ze zgorszeniem.

– Jeżeli tak, to się pięknie nazywa – powiedział Sam. – Ale ja nie robię w chemii, więc nie wiem! – I tu ku wielkiemu zgorszeniu Johna Smaukera zaczął gwizdać.

– Przepraszam pana, panie Weller – powiedział Smauker, znekany tą nieco zbyt jaskrawą wesołością. – Zechce pan przyjąć moje ramie?

– Dziękuję! Nie chcę pozbawiać pana pańskiego ramienia! – odrzekł Sam. – Wolę wpakować łapy do kieszeni. Nie sprawi to panu różnicy, prawda? – mówiąc to, Sam wprowadził swoje słowa w czyn i zagwizdał głośniejsz niż przedtem.

– Tędy! – powiedział jego nowy przyjaciel, z widoczną ulgą skręcając w boczną uliczkę. – Zaraz dojdziemy.

– Tak? – spytał Sam, bynajmniej nie wzruszony bliskim spotkaniem z kółkiem dobrych służących.

– Tak – powiedział Smauker. – Niech się pan nic nie boi, panie Weller!

– Nie, nie boję się!

– Zobaczy pan kilka ślicznych liberii, panie Weller – ciągnął Smauker. – Może niektórzy z gentlemanów wydadzą się panu z początku trochę nadęci, ale to im przejdzie!

– To bardzo pocziwie z ich strony!

– Widzi pan – powiedział Smauker tonem wspaniałomyślnie protekcyjnym – ponieważ będzie pan w tym towarzystwie obcy, więc z początku będą się pewnie zachowywali trochę z wysoka.

– Ale nie będą dla mnie okrutni, co?

– Nie, nie – odpowiedział pan Smauker, wyjmując tabakierkę z lisią głową i biorąc niuch tabaki ruchem gentlemana, – Są między nami ludzie weseli, którzy potrafią się bawić! Ale nie powinien pan mieć im tego za złe! Nie powinien pan!

– Postaram się znieść taki zaczepny talent!

– Słusznie! – powiedział Smauker, chowając głowę lisa i podnosząc własną. – Będę przy panu!

Tak gawędząc, doszli do małego sklepiku. Pan Smauker wszedł pierwszy. Sam za nim. Znalazłszy się wreszcie za swoim przewodnikiem, Sam rozpoczął natychmiast serię najweselszych grymasów oraz innych demonstracji zdradzających wesoły stan jego ducha.

Minąwszy sklepik i powiesiwszy kapelusz na haku, weszli przez ciemny pasaż do małej bawialni. I tu oczom pana Weller przedstawił się wspaniały widok w całej swojej okazałości.

Pośrodku pokoju stało kilka zestawionych stołów, przykrytych czterema czy pięcioma obrusami, pochodzącymi z rozmaitych epok i rozmaitych prań, ale udającymi jednolitość, o ile wyżej wymienione okoliczności na to pozwalały. Na obrusach leżały noże i widelce dla sześciu lub ośmiu osób. Niektóre z trzonków od noży były zielone, inne czerwone, jeszcze inne żółte. A ponieważ wszystkie trzonki widelców były czarne, barwy te tworzyły razem bardzo interesującą kombinację. Przed kratą kominka ustawiono talerze dla tyluż osób. Goście grzali się przed kominkiem: rej między nimi wodził otyły, wielki jegomość w czerwonym fraku z długimi połami, w jaskrawopąsowych pantalonach i stosowanym kapeluszu. Widocznie wszedł przed chwilą, gdyż trzymał jeszcze w ręku nie tylko kapelusz, ale i laskę, jaką gentlemani jego profesji piastują zwykle nad dachami karet.

– Mówią mi, że wyglądam kwitnąco! – powiedział posiadacz wspaniałego kapelusza.

Smauker podał koniec małego palca prawej ręki jegomościowi we wspaniałym kapeluszu i powiedział, że jest oczarowany, widząc go w tak dobrym zdrowiu.

– Mówią mi, że wyglądam kwitnąco – powtórzył posiadacz wspaniałego kapelusza. – Nic dziwnego! Jeździłem w ostatnich dniach po dwie godziny dziennie z naszą starą. A jeśli ustawiczna kontemplacja namaszczenia, z jakim obnosi swoją odwieczną lawendową szatę, nie wystarcza, żeby człowiek zwątpił o życiu, to niech mi wejdą na moją kwartalną pensję!

Na to całe towarzystwo zaśmiało się bardzo serdecznie, a jeden z gentlemanów w zielonej kurtce z lampasem, jaki noszą stangreci, szepnął sąsiadowi w zielonych pantalonach, że Tuckle jest dziś w „dobrym nastroju”.

– Słuchaj no, Smauker – powiedział Tuckle i coś szepnął mu do ucha.

– Och, zupełnie zapomniałem! – powiedział John Smauker. – Panowie! Mój przyjaciel, pan Weller!

– Przykro mi, że panu zasłaniam ogień, panie Weller! – zawołał Tuckle, skinąwszy Samowi życzliwie. – Mam nadzieję, że panu nie zimno!

– Ani trochę, panie Płomienisty! – odpowiedział Sam. – Tylko skończony zmarzłak czułby zimno w pańskiej obecności! Słowo daję! Gdyby postawiono pana przed kominkiem w karczmie, gospodarz mógłby sporo oszczędzić na węglu!

Ponieważ odpowiedź ta była wyraźnie osobistą aluzją do pąsowego stroju pana Tuckle'a, gentleman ów przez chwilę miał minę majestatyczną, ale potem odszedł od ognia i przyznał, że to wcale niezłe!

– Bardzo wdzięczny za pochlebne zdanie o mnie – zawołał Sam. – Na wszystko przyjdzie kolej! Będzie jeszcze lepiej!

Tu rozmowę przerwało wejście gentlemiana w pomarańczowej aksamitnej liberii oraz drugiego w stroju purpurowym i niezwykle długich pończochach. Kiedy nowo przybyli zostali powitani przez zebranych gości, pan Tuckle zarządził, by podawano kolację, czemu reszta towarzystwa przyklasnęła jednogłośnie.

Sklepikarz i jego żona ustawili na stole gotowany udziec barani, na gorąco, z kartoflami, sosem kaparowym i brukwią. Pan Tuckle zajął miejsce honorowe, naprzeciw niego zasiadł gentleman w pomarańczowych aksamitach. Sklepikarz naciągnął białe skórkowe rękawiczki do prania i stanął za krzesłem pana Tuckle'a.

– Harris! – zawołał pan Tuckle rozkazującym głosem.

– Słucham pana! – odpowiedział sklepikarz.

– Włożyłeś rękawiczki?

– Tak jest, proszę pana!

– Podaj nóż!

– Słucham pana!

Sklepikarz spełnił polecenie z oznakami największego szacunku. Podając nóż panu Tuckle'owi ziewnął od ucha do ucha.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – bardzo surowo zwrócił się do niego pan Tuckle.

– Przepraszam pana – powiedział przerażony i zgnębiony sklepikarz. – Nie chciałem... wysnęło mi się... Późno się wczoraj położyłem!

– Powiem ci, co o tobie myślę – powiedział pan Tuckle z naciskiem. – Jesteś ordynarne bydlę!

– Mam nadzieję, panowie – powiedział Harris – że nie będziecie dla mnie bardzo surowi! Jestem panom bardzo wdzięczny za patronowanie mi i proszę o rekomendowanie innym, gdy potrzebują dobrej usługi... Mam nadzieję, że potrafię panów zadowolić!

– Nie bardzo, mój panie! – powiedział Tuckle. – Jeszcze ci do tego daleko!

– Jesteś nieuważny nygus! – powiedział gentleman w pomarańczowych aksamitach.

– Zwyczajny rzezimieszek! – dodał gentleman w zielonych pantalonach.

– Niewiarygodny blagier! – dodał gentleman w purpurze.

Nieszczęśliwy sklepikarz kłaniał się bardzo nisko, gdy obrzucano go tymi epitetami z tyranią właściwą ludziom małym.

Kiedy już każdy dodał coś od siebie, żeby pokazać swoją wyższość, pan Tuckle zabrał się do krajania baraniny i obdzielania gości.

Zaledwie przystąpiono do najważniejszego punktu programu na ten wieczór, gdy drzwi otworzyły się i wszedł jegomość w błękitnym ubraniu i skórzanych trzewikach.

– Wbrew prawom! Wbrew prawom! – powiedział pan Tuckle. – Za późno! Za późno!

– Nie, nie! Pozytywnie nie mogłem wcześniej! – powiedział gentleman w błękitnym stroju. – Odwołuję się do kompanii! Sprawa honorowa! Obowiązki galanterii! Teatr!

– Właśnie – powiedział gentleman w pomarańczowym aksamicie.

– Naprawdę, jak Boga mego kocham – powiedział człowiek w błękitnym stroju. – Obiecałem najmłodszej córce, że przyjadę po nią do teatru o dziesiątej! A to taka przemiła dziewczyna, że nie miałem serca nie dotrzymać słowa! Żadna obraza dla kompanii, bo szło o spódnicę! A kiedy w grę wchodzi spódnica – wszystko na bok!

– Od dawna mam wrażenie, że coś się święci w tej materii! – powiedział Tuckle, gdy nowo przybyły zajął miejsce obok Sama. – Zauważyłem parę razy, że coś za bardzo opiera się o twoje ramię, kiedy wsiada do karety albo wysiada z niej!

– Nie powinieneś, Tuckle, nie powinieneś! – zawołał gentleman w błękitach. – To nieładnie! Możem i powiedział do tego czy owego z przyjaciół, że to boska istota i że odrzuciła kilka znakomitych partii! Ale żeby tak zaraz... przed obcymi! A nie! Tuckle, to nieładnie! To

nieładnie! Delikatności, przyjacielu, więcej delikatności! – i gentleman w błękitach, zdjawszy chustkę z szyi i odrzuciwszy poły kurtki, zaczął chrząkać i marszczyć się, jakby miał niejedno jeszcze do powiedzenia, ale nie mówi przez poczucie delikatności.

Gentleman w błękitach był to jasnowłosy, prosty jak struna, wyrobiony lokaj, z twarzą żywą i zuchwałą; od razu też zwrócił na siebie uwagę pana Wellera, ale kiedy zaczął z tej beczki, Sam postanowił koniecznie podtrzymać z nim znajomość. Natychmiast więc wmieszał się do rozmowy z tak charakterystyczną dla niego nonszalancją.

– Pańskie zdrowie! Ogromnie mi się podoba to, co pan mówił! Kapitalne!

Błękitny uśmiechnął się, jakby komplement taki nie był dla niego pierwszozną. Spojrzał jednak z uznaniem na Sama i powiedział, że muszą się koniecznie bliżej poznać, bo – bez pochlebstw – Sam ogromnie mu się podoba i bardzo przypadł mu do serca.

– Zazdroszczę panu! – powiedział Sam. – Szczęściarz z pana!

– Jak to pan rozumie? – spytał błękitny.

– Z tą młodą damą, panie – odpowiedział Sam. – Wie, co dobre! Ma gust! – Tu pan Weller przymknął jedno oko i zaczął kiwać głową na obie strony w sposób bardzo pochlebny dla gentlemana w błękitach.

– Boję się, że straszny z pana spryciarz, panie Weller! – powiedział błękitny gentleman.

– Nie, nie! – odrzekł Sam. – Spryt zostawiam panu! To raczej po pańskiej stronie niż po mojej, jak powiedział gentleman stojący za murem do gentlemana stojącego przed murem, kiedy na niego pędził rozwścieczony buhaj!

– Zdaje mi się, panie Weller – mówił błękitny – że nie mogła nie zauważyć moich manier i prezencji!

– Spodziewam się, że potrafiłaby o tym niejedno powiedzieć!

– Czy ma pan coś podobnego? – spytał szczęśliwy gentleman w błękitach, wyjmując z kieszeni kamizelki wykałaczkę.

– Właściwie, to nie – odrzekł Sam. – Nie mamy córek, bobym z pewnością zdobył coś takiego! Tak, jak u nas rzeczy stoją, to przypuszczam, że mógłbym myśleć co najwyżej o markizie... Ale gdyby oświadczyła mi się młoda panna bez tytułu, ale z wielkim majątkiem – powiadam, gdyby wyznała mi swoją gorącą miłość – kto wie? Ale tylko wtedy.

– Naturalnie, panie Weller! – powiedział gentleman w błękitach. – Niepodobna dać sobie każdej zawrócić w głowie! Coś o tym wiemy, panie Weller! My, ludzie światowi! W końcu dobry uniform zrobi swoje, kiedy chodzi o kobiety! Nawiasem mówiąc, to jedno ułatwia takim ludziom, jak pan albo ja, nasz zawód!

– W sedno pan trafił! Naturalnie! – zawołał Sam.

Kiedy rozmowa przyjaciół doszła do tego punktu, wniesiono szklanki i każdy z gentlemanów zamówił, zanim zamkną karczmy, coś do picia. Gentleman w błękitach i gentleman w pomarańczowych aksamitach, najznakomitsze osobistości w tej kompanii, zamówili sobie „zimny syrop i wodę”, ale co do innych, to widocznie ulubionym ich napojem była gorąca woda z dżinem. Sam nazwał sklepikarza „rozpaczliwym niedojdą” i zażądał wielkiej wazy ponczu: dwie te okoliczności podniosły go znacznie w oczach wszystkich.

– Gentlemani! – zaczął gentleman w błękitach z miną skończonego dandysa. – Mówmy o damach. Dalej!

– Słuchajcie! Słuchajcie! – zawołał Sam. – O młodych dziewczęteczkach!

Tu głośno zawołano: – Do porządku! – i pan John Smauker jako ten, który wprowadził pana Sama do kompanii, poprosił o pozwolenie poinformowania go, że użyty przez niego wyraz jest nieparlamentarny.

– Jaki wyraz? – spytał Sam.

– Dziewczęteczka – powiedział Smauker, marszcząc się groźnie. – My tutaj nie uznajemy takiego różniczkowania!

– Doskonale! – powiedział Sam. – Zmazuję tamto określenie i powiem po prostu „lube istoty”, jeśli oczywiście Płomienisty pozwoli!

Na twarzy jegomościa w zielonych pantalonach odbiło się wahanie, czy można dopuścić, żeby prezesa oficjalnie nazywano Płomienistym, ale ponieważ kompania zachowywała się w ten sposób, jakby jej chodziło o jej prawa, a nie o jego, nie podnosił więc tej kwestii. Człowiek we wspaniałym kapeluszu posapał chwilę, spojrzął przeciągle na Sama, ale widocznie skombinował, że lepiej go nie zaczepiać, bo można oberwać jeszcze więcej.

Po krótkiej pauzie jegomość w haftowanym surducie, sięgającym mu aż do pięt, i w takiej-że kamizelce, okrywającej mu nogi do połowy łydki, zmieszał bardzo energicznie swój dżin z wodą i nagłym wysiłkiem podniósłszy się na równe nogi, oznajmił, że pragnie oświadczyć coś kompanii, na co gentleman w stosowanym kapeluszu odrzekł, że kompania chętnie posłucha, co gentleman w haftowanym surducie ma zamiar jej oznajmić.

– Wiem, że dopuszczam się zbytnej śmiałości, zabierając wobec was głos – zaczął gentleman w długim surducie. – Mam nieszczęście być tylko stangretem i jestem w tym miłym gronie tylko członkiem honorowym, ale czuję się zmuszony, gentlemani – po prostu przyciśnięty do muru! – jeżeli wolno mi użyć tego wyrażenia – donieść o smutnym zdarzeniu, które mi zakomunikowano. Gentlemani, nasz przyjaciel, pan Whiffers (wszyscy spojrzeli na gentlemana w pomarańczowych aksamitach), nasz przyjaciel, pan Whiffers, zgłosił rezygnację!

Ogólne zdumienie padło na słuchaczy. Każdy z gentlemanów spojrzął na sąsiada, a potem podniósł wzrok na stangreta.

– Wolno się panom dziwić – ciągnął stangret. – Nie ośmielę się podać powodów tej niczym nie dającej się okupić straty, ale proszę pana Whiffersa, by sam je wyjawiał ku zbudowaniu i nauce swoich przyjaciół!

Ponieważ głośno aprobowano projekt stangreta, pan Whiffers zaczął się tłumaczyć. Powiedział, że powinien był, być może, trzymać się posady, z której właśnie zrezygnował. Uniform był wprost wspaniały, kobiety w tej rodzinie przyjemne, a obowiązki związane z sytuacją, że się tak wyrazi, niezbyt uciążliwe: głównym jego zadaniem było stać w hallu i wyglądać oknem wraz z innym gentlemanem, który również zgłosił rezygnację. Chętnie oszczędziłby kompanii przykrych i niesmacznych szczegółów, które skłoniły go do jej zgłoszenia, ale ponieważ zażądano tego od niego, nie ma innej alternatywy. – Podawano mu zimne mięso!

Niepodobna opisać obrzydzenia, jakie to wyznanie wywołało u słuchaczy. Głośne okrzyki „hańba!” mieszały się z szemraniem i pomrukami, przynajmniej przez kwadrans.

Pan Whiffers dodał jeszcze, iż obawia się, że z jego własnej winy spotkały go te obelgi: przypomina sobie, że raz zgodził się, by mu podano solone masło do chleba, a drugi raz znowu, biorąc pod uwagę chorobę w domu, zapomniał się tak dalece, że zaniósł węgle aż na drugie piętro! Sądzi jednak, że to szczere wyznanie nie poniży go w oczach przyjaciół, że zrehabilitował się chyba energią, z jaką odpowiedział na ostatnią niesłychaną obelgę.

Wyznanie pana Whiffersa przyjęto z niekłamanym zachwytem, a zdrowie biednego męczennika wypito z bezgranicznym entuzjazmem. Męczennik podziękował i zaproponował zdrowie gościa, pana Wellera. Choć nie zna bliżej tego gentlemana, ale fakt, że jest on przyjacielem pana Smaukera, powinien być dostateczną rekomendacją dla każdego gentlemana wszędzie i zawsze! Z tych to względów wypiłby zdrowie pana Wellera ze wszystkimi należnymi honorami, gdyby przyjaciele jego pili wino. Ponieważ jednak piją dla odmiany gorące napoje i ponieważ nie było rzeczą wskazaną wypijać do dna szklankę za każdym zdrowiem, proponuje, by honory „rozumiano figuralnie”!

Gdy skończył, każdy pociągnął za zdrowie Sama, Sam wypił swoje zdrowie dwiema szklankami ponczu i podziękował zebranyemu pięknym przemówieniem:

– Strasznie wdzięczny wam jestem, moi chłopcy – powiedział Sam, sięgając po poncz w sposób możliwie naturalny – za te tutaj życzenia, które, pochodząc od takich ludzi, są specjalnie pochlebne. Dużom słyszał o was, ale nie myślał, że osobiście potraficie być tacy

mili. Mam nadzieję, że weźmiecie się w kupę i nie skompromitujecie swej godności, wychodząc stąd, choć to bardzo miły widok i zawszem na niego patrzył z przyjemnością, kiedy był jeszcze nie wyższy od laski naszego przyjaciela, pana Płomienistego! A co się tyczy ofiary opresji w żółtej szacie, dufam, że będzie miał gładkie życie, na co zasłużył. Wówczas nie spotkają go już żadne przykrości!

Tu Sam zsiadł z miłym uśmiechem, kompania zaś, głośno pochwaliwszy jego przemówienie, zaczęła się rozchodzić.

– Nie myśli pan chyba zwiać? – spytał Sam swego przyjaciela Johna Smaukera.

– Muszę – odrzekł Smauker. – Obiecałem Bantamowi!

– To co innego! – powiedział Sam. – Może i on by zrezygnował, gdyby mu pan skrewił! Ale przecież pan nie odchodzi, panie Płomienisty?

– Owszem, odchodzę! – odrzekł gentleman w stosowanym kapeluszu.

– Nie zostawisz pan chyba za sobą trzech czwartych wazy ponczu! Nie gadaj pan głupstw! – zawołał Sam. – Siadaj pan!

Pan Tuckle nie dał się prosić. Odłożył na bok kapelusz i laskę, które przed chwilą był ujął, i oznajmił, że wypije szklaneczkę z przyjaźni!

Ponieważ gentleman w błękitach szedł tą samą drogą co pan Tuckle, więc również został. Kiedy wypito połowę ponczu, Sam kazał przynieść ze sklepu ostryg. Efekt był tak rozweselający, że pan Tuckle, w stosowanym kapeluszu na głowie i z laską w rękę, odtńczył „taniec żab” na stole między talerzami i szklankami, błękitny zaś jegomość akompaniował mu na instrumencie skonstruowanym z kawałka papieru i włosa. Wreszcie, kiedy poncz miał się już ku końcowi – a noc również – postanowili rozejść się do domów. Pan Tuckle oznajmił, że nie wyjdzie na świeże powietrze, jeżeli nie pozwolą mu położyć się na progu. Sam uznał za bezlitosne sprzeciwiać się panu Tuckle'owi, więc pozwolono mu robić, jak chce. Ponieważ stosowany kapelusz mógłby się przy tym pognieść, Sam wsunął go na łeb jegomościowi w błękitach, wsadził mu do ręki laskę pana Tuckle'a i podprowadziwszy pod dom, zadzwonił. Po czym spokojnie udał się do siebie.

Na drugi dzień rano pan Pickwick, zupełnie ubrany, wcześniej niż zwykle zadzwonił na swego wiernego sługę.

Gdy Sam wszedł, filozof kazał zamknąć drzwi i przemówił:

– Samie, tej nocy wydarzył się tu smutny wypadek, wskutek którego pan Winkle ma powód obawiać się gwałtowności pana Dowlera.

– Tak jest, panie, słyszałem o tym od gospodyni.

– Przykro mi dodawać – mówił dalej filozof, widocznie zaniepokojony i oburzony – iż obawiając się tej gwałtowności pan Winkle wyjechał.

– Odjechał?

– Opuścił ten dom dziś rano, nie powiedziawszy ani słowa i pojechał nie wiadomo dokąd.

– Powinien był pozostać – rzekł Sam tonem stanowczym – niewiele potrzeba, by uśmierzyć tego Dowlera.

– Być może, Samie, że i ja także mam pewne wątpliwości co do jego męstwa; ale jakkolwiek jest, pan Winkle odjechał. Trzeba go odnaleźć Samie, odnaleźć i sprowadzić do mnie.

– A jeżeli nie zechce?

– Trzeba tak zrobić, by zechciał, Samie.

– A któż podejmie się tego? – zapytał Sam z uśmiechem.

– Ty.

– Bardzo dobrze.

Po tych słowach Sam wyszedł z pokoju i wkrótce potem pan Pickwick usłyszał, jak zamykał drzwi od ulicy. Po upływie dwóch godzin powrócił spokojny, jakby spełnił najzwyczajniejsze zlecenie, i powiadomił, że jakaś osoba, bardzo podobna do pana Winkle'a, odjechała rano dylizanssem do Bristolu.

- Samie – rzekł pan Pickwick – nieoceniony z ciebie chłopak. Udasz się w pogoń za nim, Samie.
 - Dobrze, panie.
 - Jak tylko go znajdziesz, napisz zaraz do mnie. Gdyby usiłował uciec, przytrzymaj go, powal na ziemię, zwiąż. Przekazuję ci całą moją władzę.
 - Słucham pana.
 - Powiedz mu, że jestem bardzo oburzony i rozgniewany jego niezwykłym postępkiem.
 - Słucham pana.
 - Powiedz mu, że jeżeli nie wróci tu, do tego domu, wraz z tobą, to powróci ze mną, bo sam pojedę po niego.
 - Powiem mu o tym, panie.
 - Czy sądzisz, że uda ci się go znaleźć? – mówił dalej pan Pickwick, spoglądając z niepokojem na Sama.
 - Znajdę, choćby był nie wiedzieć gdzie – odrzekł Sam z przekonaniem.
 - Bardzo dobrze. Więc im prędzej pojedziesz, tym lepiej. Otrzymawszy oprócz tych instrukcji pewną kwotę pieniężną, Sam włożył trochę niezbędnych rzeczy do torby podróżnej i wyniósł się. Ale jeszcze raz zatrzymał się na korytarzu i powoli powracając, otworzył drzwi pokoju pana Pickwicka, a wsunąwszy tylko głowę przez nie, szepnął:
 - Panie!
 - Cóż tam, Samie?
 - Czy dobrze zrozumiałem moją instrukcję?
 - Przynajmniej spodziewam się.
 - Więc co się tyczy powalenia, to mam to zrozumieć dosłownie?
 - Najzupełniej. Zrób, jak uznasz za stosowne.
- Sam skinął ze zrozumieniem i cofnąwszy się za drzwi, z lekkim sercem puścił się w drogę.

Rozdział dziewiąty

w którym pan Winkle, chcąc umknąć deszczu, wpada pod rynnę

Nieszczęśliwy gentleman, niewinny powód hałasów, które zaniepokoiły mieszkańców Royal Crescent, spędził noc w wielkim wzburzeniu i opuścił dom, w którym przyjaciele jego spali jeszcze, nie wiedząc dobrze, gdzie ma zwrócić swe kroki. Niepodobna nie uznać i nie pochwalić szlachetnych i filantropijnych uczuć, które nakazywały panu Winkle'owi tak postąpić.

„Jeżeli ten Dowler – tak rozumował – będzie chciał (o czym nie wątpię) spełnić swe pogroźki, będę zmuszony wyzwać go. Ma żonę; żona jest do niego przywiązana i nie może żyć bez niego. O Boże! Gdybym go poświęcił mojemu ślepemu uniesieniu, jakież miałbym później wyrzuty sumienia!”

Przykre te myśli tak oddziaływały na zacnego młodzieńca, iż twarz mu zbladła i kolana trząść mu się zaczęły. Pod wpływem tych rozważań pochwyił torbę podróżną, ukradkiem zeszedł ze schodów, zamknął z najmniejszym jak można hałasem przekłete drzwi od ulicy i szybko oddalił się. W hotelu „Royal” znalazł dylizans odjeżdżający do Bristolu.

„Wszystko jedno, czy do Bristolu, czy gdzie indziej” – powiedział sobie.

Siadł więc na koźle i przebył odległość między dwoma miastami z szybkością, jakiej tylko można wymagać od koni przebiegających tę przestrzeń dwa lub więcej razy na dzień.

Kwaterę w Bristolu obrał sobie w hotelu „Pod Krzakiem” i postanowił wstrzymać się od wszelkiej komunikacji listowej z panem Pickwickiem, dopóki wściekłości pana Dowlera nie ułagodzi czas, a że nie miał obecnie nic lepszego do roboty, postanowił poświęcić czas zwiedzaniu miasta. Wyszedł więc, a pierwszą uwagą, jaka mu się nasunęła, było to, iż nigdy dotąd nie widział miejsca tak brudnego. Obejrzawszy potem port i katedrę, zapytał o drogę do Clifton i poszedł we wskazanym mu kierunku. Ale jak bruk w Bristolu nie jest ani najgładszy, ani najczystszy ze wszystkich bruków, tak i ulice jego nie są najprostsze. Pan Winkle wkrótce zgubił się więc najzupełniej w tym labiryncie i zaczął szukać przyzwoitego sklepu, gdzie mógłby zasięgnąć dalszych informacji.

Wzrok jego padł na nowo pomalowany dom, który reprezentował coś pośredniego między sklepem a prywatnym mieszkaniem. Czerwona latarnia nad drzwiami wskazywała, że jest to przybytek syna Eskulapa; oprócz tego nad oknem znajdował się napis: „Chirurg”, wymalowany złotymi literami. Sądząc, że tu może zapytać o drogę, pan Winkle wszedł do małego sklepu ozdobionego szufladami i flaszkami ze złotymi napisami. Nie znalazłszy tu żywego ducha, zastukał w ładę półkoroną, żeby zwrócić uwagę osób, które mogły znajdować się w tylnym pokoju. Ten tylny pokój musiał stanowić coś w rodzaju sanktuarium zakładu, ponieważ słowo „Chirurg” było tu znów wypisane, tym razem białymi literami.

Po pierwszym stuknięciu dość głośny szmer, podobny do tego, jaki wydają ścierające się ze sobą rapiery, ustał nagle. Po drugim stuknięciu młody gentleman poważnej powierzchowności, z wielkimi zielonymi okularami na nosie i ogromną książką w rękę, szybkim krokiem wszedł do sklepu i stanąwszy za ladą, zapytał, czego pan Winkle żąda.

– Przykro mi, iż przeszkadzam panu – odrzekł pan Winkle – ale chciałbym prosić, byś mi pan zechciał wskazać...

– Cha, cha, cha! – zawołał uczony gentleman, podrzucając w górę ogromną swą księgę i łapiąc ją bardzo zręcznie, w chwili gdy groziła potłuczeniem wszystkich flaszek stojących na ladzie. – A to doskonale!

Jeżeli nieznajomy stosował te wyrazy do zręcznych ewolucji książką, to miał słuszość; ale pan Winkle tak był zdziwiony szczególnym postępowaniem młodego eskulapa, iż szybko począł cofać się ku drzwiom, niesłuchanie przerażony tym oryginalnym przyjęciem.

– Jak to? Czy mię pan nie poznaje? – zawołał chirurg.

Pan Winkle wybełkotał, iż nie ma przyjemności...

– A! Jeżeli tak, to mogę jeszcze mieć nadzieję! Jeszcze połowa starych kobiet Bristolu może być moimi pacjentkami. A teraz do diabła ze starymi szpargałami!

To wezwanie stosowało się do grubej księgi, którą uczony gentleman cisnął w kąt sklepu; potem zdjawszy zielone okulary, ukazał zdumionym oczom pana Winkle'a prawdziwe rysy Boba Sawyera, Esq., niegdyś studenta w Borough i właściciela prywatnej rezydencji w Lant-Street.

– A więc nie poznał mię pan? – zawołał Bob Sawyer, przyjaźnie ściskając rękę pana Winkle'a.

– Nie! Słowo daję, że nie! – odrzekł ten, ściskając rękę pana Sawyera.

– Jak to? Nie widział pan mego nazwiska? – zapytał Bob, zwracając uwagę swego przyjaciela na drzwi zewnętrzne, nad którymi znajdował się napis: „Sawyer, dawniej Nockemorf”.

– Nie zwróciłem na napis uwagi – odrzekł pan Winkle.

– Gdybym był wiedział, że to pan – zaczął znowu Bob – wyskoczyłbym i uściskał go. Ale na honor, myślałem, że to przychodzi poborca podatkowy.

– Naprawdę?

– Tak, tak! Już miałem powiedzieć, że nie ma mnie w domu i że jeżeli jest jakie pismo, to nie omieszka doręczyć go sobie, gdyż poborca podatkowy nie zna mnie, tak samo jak i poborcy należności za gaz i naprawę bruku. Natomiast obawiam się, że poborca kościelny domyśla się, kim jestem, a pobierający takseę za wodę przypuszczalnie nawet wie, gdyż w pierwszym dniu mego pobytu wyrwałem mu zęb. Ale wejdź pan, wejdź!

To mówiąc, Bob popchnął pana Winkle'a do tylnego pokoju, gdzie siedział ni mniej, ni więcej tylko pan Ben Allen we własnej osobie. Bawił się on wytwarzaniem małych okrągłych wkłęsłości w ramach komina, co czynił za pomocą rozpalonego pogrzebacza.

– Doprawdy – zawołał pan Winkle – jest to przyjemność, jakiej się nie spodziewałem. Jakie śliczne macie mieszkanie!

– Nieźle, nieźle – odrzekł Bob. – Otrzymałem dyplom wkrótce po owym sławnym wieczorze, a moi przyjaciele wypróżnili swe sakwy, by mi kupić ten zakład. A więc naciągnąłem na siebie czarny frak, włożyłem okulary i przybyłem tu z miną jak można najuroczystsza.

– I zapewne ma pan piękną klientelę? – zapytał pan Winkle.

– O! Tak drobną, że przy końcu roku cały zysk można by umieścić w małym kieliszku i nakryć listkiem porzeczkowym.

– Żartuje pan. Sam towar...

– Finta, mój kochany panie. Jedna połowa szuflad zupełnie pusta, a druga zupełnie się nie odmyka.

– Żartuje pan!

– To fakt – odrzekł Bob, idąc do sklepu i udowadniając prawdę swego twierdzenia gwałtownym szarpaniem za złożone gałki przy szufladach. – Niech mię лихо porwie, jeżeli jest choć jedna rzecz prawdziwa w całym sklepie z wyjątkiem pijawek: a i te były już raz używane...

– Nigdy bym nie przypuszczał! – zawołał pan Winkle pełen zdumienia.

– Ja myślę – odparł Bob. – W przeciwnym razie do czegoż by jej służyły pozory? Ale czego się pan napije? Tego, co i my? Dobrze, Ben, wsadź no rękę do bufetu i sprowadź nam tu

patentowaną miksturę na niestrawność. Beniamin Allen uśmiechnął się i wyciągnął z bufetu czarną butelkę do połowy napełnioną wódką.

– Pan chyba nie dodaje wody? – rzekł Bob do pana Winkle'a.

– Jeszcze jest dość wcześnie – odpowiedział pickwickczyk – i wolałbym domieszać trochę wody, jeżeli pan nie ma nic przeciw temu.

– Bynajmniej, jeżeli sumienie pańskie pozwala na to – odrzekł Bob, przełykając ze smakiem trochę dobroczynnego płynu.

Pan Beniamin Allen wydobył następnie z tej samej skrytki małe miedziane naczynie; Bob mówił, że jest dumny z niego, gdyż ma ono apetyczny wygląd. Gdy w naczyniu tym zagotowano wodę przy pomocy węgla kamiennego wydobywanego ze skrzyni noszącej napis: „Woda sodowa”, pan Bob ochrzcił wódkę i rozmowa ożywiła się. Wtem przerwało ją przybycie młodego chłopca ubranego w szarą liberię, kapelusz ze złotym galonem i trzymającego w ręku przykryty koszyk. Bob bezzwłocznie zwrócił się do niego.

– Tomie, włóczęgo! Chodź tu! (chłopak zbliżył się). Zatrzymywałeś się pewnie przy wszystkich latarniach w Bristolu, ty szkaradny próżniaku!

– Nie, panie – odpowiedział chłopak.

– Pilnuj się – zaczął znów Bob groźnym tonem. – Czy myślisz, że przyjdzie ktoś do chirurga, którego sługa bawi się w ryszotkach w piłkę albo puszcza na ulicy latawca? Pamiętaj, byś zawsze miał w poszanowaniu swoją profesję. Czyś poroznosił lekarstwa, próżniaku?

– Poroznosiłem, panie.

– Proszek dla dzieci do wielkiego domu, gdzie mieszka niedawno przybyła rodzina? A pigułki przeczyszczające do starego, gderliwego i podagrycznego gentlemana?

– Zaniosem, panie.

– Więc zamknij drzwi i pilnuj sklepu.

– No, no! – zawołał pan Winkle, gdy chłopak oddalił się – interesy nie idą tak źle, jak chcieliście we mnie wmówić. Zawsze przecież dostarczacie jakieś lekarstwa.

Bob Sawyer zajrzał do sklepu, by się przekonać, iż nie ma w nim niepowołanych uszu, potem, pochylając się do pana Winkle, rzekł cichym głosem:

– Chłopak zanoszą je zawsze pod fałszywym adresem.

Twarz pana Winkle'a świadczyła, iż nie rozumiał tych słów, ale Bob i jego przyjaciel śmiali się jak opętani.

– Pan mnie nie rozumie? – rzekł wreszcie Bob. – Chłopak idzie do pierwszego lepszego domu, dzwoni, rzuca służącemu paczkę bez adresu i odchodzi. Służący niesie paczkę do jadalnego pokoju; pan domu otwiera ją i czyta: „Wypić wieczorem. Pigułki według recepty; mikstura idem. Według przepisów Sawyera, dawniej Nockemorfa itd. itd.” Gentleman pokazuje pakiet swojej żonie, ta czyta napisy i odsyła wszystko służącemu; służący także czytają napisy. Na drugi dzień chłopak wraca: – Bardzo przepraszam. Omyliłem się. Tyle roboty, tyle lekarstw do roznoszenia. Pan Sawyer, dawniej Nockemorf, składa swoje uszanowanie. – Nazwisko pozostaje w pamięci; w tym cała sztuka! To lepsze niż wszelkie ogłoszenia. Mamy jedną flaszkę, która obiegiła w ten sposób połowę domów w Bristolu i jeszcze nie skończyła swej wędrówki.

– No, proszę! Teraz rozumiem! – zawołał pan Winkle. – Pyszny pomysł!

– Ho, ho! My z Benem wynaleźliśmy tuzin podobnych – mówił dalej wielki farmaceuta z wielkim zadowoleniem. – Stróż zapalający latarnie otrzymuje osiemnaście pensów na tydzień za to, że targa mój dzwonek przez dziesięć minut za każdym razem, gdy przechodzi mimo mego mieszkania; w niedzielę chłopak mój wpada do kościoła podczas psalmów, właśnie w chwili gdy nikt nie ma nic do czynienia, tylko ogląda się, dokoła; chłopak woła mnie z wielkim zakłopotaniem. – Oho! – mówią pobożni – ktoś musiał nagle zachorować; szukają Sawyera, dawniej Nockemorfa, jak ten młody człowiek ma wiele zajęcia!

Odkrywszy w ten sposób tajemnicę sztuki lekarskiej, pan Bob Sawyer i jego przyjaciel Ben Allen odchylił się w krzesłach i wybuchnęli hałaśliwym śmiechem. Ulżywszy w ten sposób swemu sercu, znów rozpoczęli rozmowę i dotknęli w niej przedmiotu bezpośrednio obchodzącego pana Winkle'a.

Zdaje się, iż powiedzieliśmy już na innym miejscu, że pan Benjamin Allen zwykle stawał się bardzo sentymentalny, gdy nieco wypił. Nie jest to jedyny wypadek tego rodzaju, jak możemy stwierdzić sami, gdyż mieliśmy nieraz do czynienia z pacjentami dotkniętymi tą samą przypadłością. W tym okresie swego żywota pan Allen miał większą niż zwykle skłonność do sentymentalizmu. Przypadłości te pochodziły stąd, iż już przeszło trzy tygodnie mieszkał u pana Sawyera, który wcale nie odznaczał się wstrzeźliwością i nigdy nie doradzał mu, by się chępił, iż ma mocną głowę. Przez cały ten czas Benjamin wahał się nieustannie między pijaństwem częściowym a pijaństwem zupełnym.

– Mój przyjacielu – rzekł on do pana Winkle'a, korzystając z chwilowej nieobecności Boba, który poszedł do sklepu, aby przystawić pijawki jakiemuś choremu – mój przyjacielu, jestem bardzo nieszczęśliwy!

Pan Winkle wyraził pełne swoje ubolewanie, gdy dowiedział się o tym, i zapytał, czy nie może zrobić coś, by ulżyć nieszczęśliwemu.

– Nie, mój kochany, nie. Czy pamięta pan Arabelle? Moją siostrę Arabelle? Czarnooką pannienkę? Nie wiem, czy zwrócił pan na nią uwagę u pana Wardle'a. Nieszpetna dziewczyna, panie Winkle. Może moje rysy przypomną panu jej twarz.

Pan Winkle nie miał, na szczęście, potrzeby uciekać się do tego sztucznego sposobu, by przypomnieć sobie piękną Arabelle, gdyż niezawodnie rysy brata z trudnością przypominałyby ją jego sercu. Odpowiedział zatem ze spokojem, na jaki mógł się zdobyć, iż doskonale pamięta tę młodą osobę, o której mowa, i że ma nadzieję, iż ma się ona dobrze.

Za całą odpowiedź pan Ben Allen rzekł tylko:

– Nasz przyjaciel Bob to dzielny chłopak.

– Tak jest – odpowiedział lakonicznie pan Winkle, który nie bardzo lubił zestawienia tych dwóch imion.

– Ja zawsze przeznaczałem ich dla siebie; są dla siebie stworzeni; przyszli na świat jedno dla drugiego – rzekł pan Allen, uroczyście stawiając szklanke. – To wyraźny palec losu, kochany panie; między nimi jest tylko pięć lat różnicy; oboje urodzili się w sierpniu.

Panu Winkle'owi specjalnie zależało na dowiedzeniu się reszty, wyraził więc swe zdumienie nad tym niezwykłym i wprost cudownym faktem. Wobec tego Ben uroniwszy parę łez mówił dalej, że pomimo całego swego szacunku, poważania i czci, jakie odczuwa dla swego przyjaciela, siostra jego Arabella niewdzięcznie i bez żadnej racji okazywała zawsze Bobowi najwyższą odrazę. – Sądzę – powiedział w końcu – że kryje się w tym jakaś dawniejsza skłonność.

– Czy nie domyśla się pan osoby? – zapytał, drżąc, pan Winkle.

Pan Ben Allen pochwycił pogrzebacz do węgla, bardzo wojowniczo pokręcił nim nad głową, zadał śmiertelny cios jakiejś wymaginowanej osobie i zakończył w sposób nader wymowny:

– Chciałbym ją znać. Dałbym jej należycie do zrozumienia, co myślę!

Przez cały ten czas pogrzebacz wirował z większą jeszcze gwałtownością niż przedtem.

Wszystko to, jak można domyślić się, było bardzo pocieszające dla pana Winkle'a, który przez kilka minut zachowywał milczenie. W końcu jednak zebrał całą swą odwagę i zapytał czy panna Allen jest obecnie w Kent?

– O! Nie, nie! – odrzekł Ben, stawiając pogrzebacz i przybierając minę bardzo przebiegłą. – Byłem zdania, iż dom pana Wardle'a nie bardzo jest odpowiedni dla takiej upartej dziewczyny. A ponieważ jestem jej naturalnym opiekunem, gdyż nasi krewni wymarli, sprowadziłem ją tu, by przepędziła kilka miesięcy u starej naszej ciotki, w domu pięknym, choć leżą-

cym na uboczu. Spodziewam się, iż ją to wyleczy. Jeżeli to się nie uda, wywozę ją na jakiś czas za granicę – a potem zobaczymy.

– A... a ta... ciotka... mieszka w Bristolu? – wybełkotał pan Winkle.

– Nie, nie w Bristolu – odrzekł Ben, wskazując palcem poza prawe swe ramię. – Tam mieszka, ale sza! Oto Bob. Ani słowa, mój przyjacielu, ani słowa!

Rozmowa ta, chociaż tak krótka, żywo zaniepokoiła pana Winkle'a. Dawniejsza skłonność, której obawiał się Ben, wzburzyła mu serce. Miałaby on być jej przedmiotem? Czy to dla niego urocza Arabella wzgardziła dowcipnym Bobem Sawyerem? Czy też miał innego szczęśliwego rywala? Postanowił ją za wszelką cenę odszukać. Ale tu występowała nieprzewidywana wprost przeszkoda, czy bowiem objaśnienie dane przez Bena w wyrazach „tam mieszka” oznaczało trzy tysiące miejsc, czy trzydzieści tysięcy, czy trzykroć sto tysięcy, tego pan Winkle w żaden sposób nie mógł ustalić. Zresztą w tej chwili nie miał czasu myśleć o swej miłości, gdyż przybycie Boba było bezpośrednią zapowiedzią ciepłego jeszcze pasztetu, na który zaproszono pana Winkle'a. Służąca nakryła stół obrusem. Matka chłopaka w szarej libeirii przyniosła trzeci nóż i trzeci widelec (gdyż gospodarskie ruchomości pana Sawyera były bardzo nieliczne) i trzech przyjaciele zasiedli do obiadu. Podano piwo, jak zauważył pan Sawyer, „w rodzimych kufiach cynowych”.

Po obiedzie Bob kazał przynieść największy móździerz ze sklepu i przyrządził w nim poncz z arakiem, mieszając ingrediencje tłuczkiem i wyzyskując w najwłaściwszy sposób swe farmaceutyczne uzdolnienia. Jak wielu kawalerów, posiadał on tylko jedną szklanekę, którą przeznaczono dla pana Winkle'a, jako gościa. Ben Allen otrzymał szklany słoik; co do Boba, to ten poprzestał na kryształowym naczyniu z mnóstwem kabalistycznych napisów, w jakim zwykle aptekarze mieszają płynne lekarstwa. Po tych przedwstępnych czynnościach skosztoowano ponczu i stwierdzono, że jest doskonały. Ułożono się, iż Bob Sawyer i Ben Allen mają prawo napełnić dwukrotnie swe naczynia, gdy pan Winkle napełnił raz swą szklanekę, i przeprowadziwszy w ten sposób równouprawnienie pijących, rozpoczęto libację w bardzo dobrym humorze i z wielką serdecznością.

Nie śpiewano wcale, gdyż Bob oświadczył, iż nie licowałoby to z powagą jego zawodu, ale za to rozprawiano i śmiano się tak głośno, iż przechodnie po drugiej stronie ulicy słyszeli niezawodnie hałas w oficynie następcy Nockemorfa. W każdym razie rozmowa trzech przyjaciół widocznie zachwyciła młodego chłopca w sklepie i zaostrzyła jego umysł, gdyż zamiast poświęcić wieczór, jak to zwykł był czynić, wypisywaniu swego nazwiska na ladzie sklepowej, a następnie ścieraniu go, przytulił się do oszklonych drzwi, by w ten sposób słyszeć i widzieć wszystko, co się działo u pryncypała.

Wesołość Boba Sawyera powoli poczęła przechodzić w szal.

Ben Allen ciągle wpadał w sentymentalizm, a poncz ulotnił się prawie zupełnie, gdy wszedł chłopak ze sklepu, oznajmiając, że jakaś kobieta pyta się o pana Sawyera, następcę Nockemorfa. To zakończyło ucztę. Gdy chłopak po raz dwudziesty powtórzył, po co przyszedł, pan Bob Sawyer zrozumiał go nareszcie, zlał sobie głowę wodą, by się choć trochę otrzeźwić, włożył zielone okulary i wyszedł, pan Winkle zaś widząc, iż nie ma sposobu, by nawiązać rozmowę z Benem Allenem o przedmiocie, który go najwięcej obchodził, nie chciał czekać powrotu pana Sawyera i wyniósł się do swego zajazdu.

Niepokój, wywołany rozmaitymi myślami, które mu się nasunęły, gdy wspomniano o Arabelli, był przyczyną, iż płyn przyrządzony w móździerzu nie wywarł nań takiego skutku, jakiego można by się było spodziewać w innych okolicznościach. Toteż pan Winkle, wypiwszy w hotelowym bufecie wódkę z wodą sodową, nie poszedł do swego pokoju, ale do miejscowej kawiarni.

W kawiarni siedział przed kominkiem tylko jakiś słuszny gentleman w długim surducie, odwrócony plecami do pana Winkle'a. Ponieważ wieczór był dość zimny, gentleman słysząc, że wszedł nowy gość, przez grzeczność odsunął się nieco od kominka, by mu zrobić miejsce.

Ale jakiego uczucia doznał pan Winkle, gdy ruch ten odkrył mu oblicze mściwego, żadnego krwi pana Dowlera!

Pierwszą jego myślą było pociągnąć jak najmocniej za sznurek najbliższego dzwonka, ale na nieszczęście sznurek znajdował się za krzesłem jego wroga. Mężny młodzieniec zrobił więc machinalnie krok naprzód, by pochwycić za rączkę od sznurka, gdy pan Dowler cofnął się z wielką szybkością i zawołał:

– Panie Winkle! Uspokój się pan! Nie bij mię pan! Nigdy tego nie zniosę! Policzek? Nigdy!

Mówiąc to, pan Dowler miał minę o wiele łagodniejszą, aniżeli pan Winkle mógł się spodziewać po osobie tak porywczej.

– Policzek, panie? – wybełkotał pan Winkle.

– Pohamuj pan swój pierwszy gniew – odrzekł pan Dowler – siądź i wysłuchaj mnie.

– Panie! – zawołał pan Winkle, drżąc na całym ciele – nim zgódzę się na to, by usiąść koło pana lub naprzeciw pana bez trzeciej osoby, wprzód muszę w inny sposób upewnić się o swym bezpieczeństwie. Zeszłej nocy odgrażał mi się pan, odgrażał się pan okropnie!

Tu pan Winkle zatrzymał się i pobladł jeszcze bardziej.

– To prawda – odrzekł pan Dowler, prawie tak blady jak jego antagonistą. – Okoliczności były podejrzane. Zostały wyjaśnione. Szanuję pańską odwagę. Masz pan słuszność. To dówód pańskiej niewinności. Oto moja ręka, uściśnij ją pan.

– Doprawdy, panie Dowler – powiedział pan Winkle, wahając się, czy ma podać rękę, z obawy, by w tym nie krył się jakiś podstęp – doprawdy, panie, ja...

– Wiem, co pan chce powiedzieć – przerwał Dowler. – Pan czuje się obrażony. To rzecz naturalna; ja na pańskim miejscu czułbym się także obrażony. Nie miałem słuszności, więc przepraszam pana. Bądźmy przyjaciółmi, niech mi pan wybaczy.

Równocześnie pan Dowler opanował rękę pana Winkle i potrząsając nią silnie, oświadczył, iż poczytuje go za człowieka niezaprzeczonego męstwa, a obecnie ma o nim lepszą jeszcze opinię niż przedtem.

– Teraz – mówił dalej – siadaj pan i opowiedz mi wszystko: w jaki sposób zdołał mnie pan odnaleźć? Kiedy puścił się pan w pogoń za mną? Bądź pan szczery i opowiedz wszystko.

– Stało się to zupełnie przypadkowo – odrzekł pan Winkle, nadzwyczaj zaintrygowany szczególnym i niespodziewanym obrotem, jaki wzięła sprawa – zupełnie przypadkowo.

– To mię bardzo cieszy. Dziś rano, gdy wstałem, zapomniałem zupełnie o moich pogroźkach. Przygoda pańska pobudziła mię raczej do śmiechu. Nie miałem już żadnych wrogich zamiarów i oświadczyłem to.

– Komu?

– Pani Dowler. – Postanowiłaś się zemścić – powiedziała mi żona. – To prawda – odrzekłem. – Bez zastanowienia! – I to prawda – powiedziałem znowu. – Pójdę i przeproszę go. Gdzie on?

– Kto? – zapytał pan Winkle.

– Pan. Poszedłem, ale pana nie znalazłem. Pan Pickwick miał minę ponurą. Potrząsnął głową i powiedział, iż spodziewa się, że żaden gwałt nie będzie popełniony. Zrozumiałem wszystko. Pan czuł się obrażony. Poszedł pan szukać świadka, może pistoletów. „Szlachetna to odwaga – powiedziałem sobie – uwielbiam ją”.

Pan Winkle odkasznął i począł domyślać się, jak rzeczy stoją: przybrał więc minę poważną.

– Zostawiłem kartkę do pana – mówił dalej pan Dowler. – Wyraziłem w niej moje ubolewanie. To było prawdą. Nagle interesy przygnały mnie tutaj. Pan nie chciał poprzestać na liście i pojechał pan za mną. Żąda pan osobistego wytłumaczenia się. Ma pan słuszność. Teraz wszystko skończone. Interesy także ukończyłem. Jutro powracam, jedź pan ze mną.

W miarę jak rozwijało się opowiadanie pana Dowlera, postawa pana Winkle'a nabierała coraz więcej godności. Tajemniczy i początek ich rozmowy został wyjaśniony; pan Dowler był tak daleki od pojedynku, jak i on sam. Słowem, samochwał ten był tchórzem, jakich mało. Przez okulary swego własnego strachu patrzył na nieobecność pana Winkle'a i chwytając się takiego samego sposobu, postanowił również wynieść się gdzieś w zacisze, dopóki pierwsza burza nie przemienie.

Gdy rzeczywisty stan rzeczy jasno przedstawił się umysłowi pana Winkle'a, rysy tego gentlemana przybrały wyraz bardzo groźny. Oświadczył, iż jest zupełnie zadowolony, ale z taką miną, która przekonała Dowlera, iż gdyby zadowolony nie był, miałoby to straszliwe skutki. Pan Dowler był mu należycie wdzięczny za tę wspaniałomyślność i dwie wojujące strony rozstały się przed nocą, oświadczając sobie wieczną przyjaźń.

Była północ i pan Winkle już od pół godziny był pogrążony we śnie, gdy przebudziło go gwałtowne stukanie do drzwi. Zadrżał, zerwał się i ze strachem zapytał: – Kto tam?

– Proszę pana – rzekła służąca hotelowa – jakiś młody człowiek chce się z panem koniecznie widzieć.

– Młody człowiek? – zawołał pan Winkle.

– Tak jest, panie – odezwał się inny głos za drzwiami – i jeżeli ten interesujący młody człowiek nie będzie bezzwłocznie wpuszczony, to niech się pan nie dziwi, gdy nogi jego ukażą się w pokoju pierwszej anizeli głowa.

Kończąc te słowa, nieznajomy wstrząsnął drzwiami jakby dla nadania większej dobitności swemu powiedzeniu.

– To ty, Samie? – zapytał pan Winkle, wyskakując z łóżka.

– Nie można poznać człowieka, nie widząc jego twarzy – odpowiedział dogmatycznie głos za drzwiami.

Pan Winkle, nie mając już żadnej wątpliwości, odsunął zasuwki i otworzył drzwi. Sam wszedł bardzo szybko, zamknął drzwi na dwa spusty, klucz z powagą schował do kieszeni i obejrawszy pana Winkle'a od stóp do głowy, powiedział:

– A to pięknie się pan prowadzi!

– Co to znaczy? – zapytał pan Winkle z oburzeniem. – Wyjdz stąd natychmiast! Co to znaczy?

– Co to znaczy? A to doskonale, jak powiedziała pewna dama do pasztetnika, który zamiast pasztetu sprzedał jej sam tłuszcz; co to znaczy? A to wyborne!

– Otwórz drzwi i zaraz mi się stąd wynoś!

– Wyniosę się stąd, panie, akurat w tej samej chwili co i pan – odrzekł Sam tonem stanowczym i siadł z powagą. – Jeżeli jednak będę zmuszony wziąć pana na plecy, to wyjdę o małą chwilę prędzej. Ale pozwoli mi pan mieć nadzieję, iż nie dojdziemy do tej ostateczności, jak mówił pewien gentleman do upartego ślimaka kłutego szpilką, który mimo to nie chciał wyłaźić ze swej skorupy, więc zmuszony był rozgnieść go między drzwiami.

W końcu tej przydługiej mowy Sam; oparł ręce na kolanach i począł wpatrywać się w pana Winkle'a z wyrazem twarzy, z którego można było odgadnąć, iż bynajmniej nie ma ochoty żartować.

– Doprawdy – mówił dalej z wyrzutem – bardzo miły z pana młodzieniec. Wikłasz pan ciągle gubernatora w najrozmaitsze głupstwa, gdy gubernator postanowił robić wszystko według zasad. Pan jesteś gorszy niż Fogg. Oni są aniołami w porównaniu z panem.

Ostatniej tej sentencji towarzyszyło uderzenie po kolanie, po czym Sam założył ręce z miłą pogardliwą i pochylił się na krześle, jakby czekając na obronę przestępcy.

– Mój pocziwy Samie – rzekł pan Winkle, podając mu rękę – szanuję twe przywiązanie do mego zacnego przyjaciela. Szczerze mówię, że jestem bardzo zmartwiony tym, iż nabiłem go niepokoju. No, Samie, no!

Gdy to mówił, zęby szczękały mu z zimna, gdyż całej prelekcji Wellera wysłuchał w nocnym stroju.

– To dobrze – odrzekł Sam gniewnym tonem, ściskając wszakże z szacunkiem podaną sobie rękę – bardzo dobrze, jeżeli kto w końcu przyznaje się, że zawinił. Ale ja, gdybym mógł, tobym nikomu nie robił przykrości; takie jest moje zdanie.

– Rozumie się, Samie, rozumie się. A teraz idź spać, pomówimy o tym jutro.

– Przykro mi, panie, ale nie mogę iść spać.

– Nie możesz?

– Nie, nie mogę – odrzekł Sam potrząsając głową – nie mogę...

– Przecież nie chcesz jechać tej nocy? – zawołał pan Winkle mocno zdziwiony.

– Nie odjadę, chyba żeby pan żądał tego koniecznie... ale pokoju tego także nie mogę opuścić. Rozkazy gubernatora są stanowcze.

– No, no, Samie; muszę zostać tu parę dni, a co więcej, trzeba, żebyś i ty został, by mi pomóc, gdyż chcę się zobaczyć z pewną damą... panną Allen, Samie. Przypominasz ją sobie?

Ale w odpowiedzi na wszystkie te nalegania Sam tylko energicznie potrząsnął głową, odpowiadając stanowczo:

– To być nie może.

Na koniec po wielu argumentach i wywodach ze strony pana Winkle'a, po szczegółowym przedstawieniu wszystkiego, co zaszło podczas ostatniego widzenia się z panem Dowlerem, wierny sługa zawahał się. Wreszcie obie strony zawarły układ, którego główne artykuły przedstawiały się następująco:

Sam oddał się i pozostawił pana Winkle'a w wolnym posiadaniu jego pokoju pod warunkiem, iż wolno mu będzie zamknąć drzwi wejściowe i zabrać klucz ze sobą, z zastrzeżeniem wszakże, iż nie omieszka otworzyć bezzwłocznie w razie pożaru lub jakiegoś analogicznego wypadku; pan Winkle napisze nazajutrz do pana Pickwicka list, który odwiezie mu Dowler, a w którym żądać będzie dla siebie i Samuela pozwolenia na pozostanie w Bristolu, by mogli doprowadzić do skutku zamiar, który obszernie będzie wytłumaczony, jeśli odpowiedź będzie przychylna; strony zawierające umowę pozostają na razie w Bristolu; w razie odmownej odpowiedzi powrócą bezzwłocznie do Bath; na koniec pan Winkle stanowczo zobowiązuje się w oczekiwaniu odpowiedzi nie uciekać ani przez okno, ani przez komin, ani w żaden inny podstępny sposób.

Po należytych zratyfikowaniu tego traktatu Sam zamknął drzwi i wyniósł się. Już zstępował ze schodów, gdy wtem zatrzymał się nagle.

– Ach! – powiedział do siebie, wydobywając klucz z kieszeni i zawracając – zupełnie zapomniałem o powaleniu. Sam gubernator zalecił to... Ba! wszystko jedno! – powiedział po chwili, chowając klucz z powrotem – można to zrobić jutro równie dobrze jak dziś.

Uspokojony widocznie tą uwagą. Sam poszedł dalej po schodach, już bez dalszych wyrzutów sumienia, i wkrótce zasnął głęboko, tak jak i inni mieszkańcy oberży.

Rozdział dziesiąty

Jak Sam Weller, obarczony misją miłosną, wywiązuje się z niej i co z tego wynikło

Przez cały dzień następny Sam pilnował nieodstępnie pana Winkle'a, postanowiwszy sobie nie spuszczać go z oczu, dopóki nie otrzyma instrukcji z kwatery głównej. Nieprzyjemne to było dla więźnia, który był jednak zdania, że lepiej już znosić taki nadzór niż narażać się na porwanie siłą, gdyż wierny sługa wielokrotnie dawał mu do zrozumienia, że poczucie obowiązku łatwo go może zmusić do chwycenia się tego środka. Bardzo jest nawet prawdopodobne, iż Sam skończyłby na tym i dla uspokojenia skrupułów odwiózłby pana Winkle'a do Bath ze związanymi rękami i nogami, gdyby szybka odpowiedź pana Pickwicka na list wręczony przez Dowlera nie uczyniła zbytecznym takiego trybu postępowania. Słowem, pan Pickwick wieczorem tegoż dnia stawiał się sam osobiście w hotelu „Pod Krzakiem” i z uśmiechem powiedział zachwyconemu Samowi, iż sprawił się doskonale i nie potrzebuje już wartować przy panu Winkle'u.

– Sądziłem – mówił pan Pickwick do pana Winkle'a, gdy tymczasem Sam zdejmował z niego surdut – sądziłem, że najlepiej zrobię, gdy sam tu przybędę, by się przekonać, jakie pan ma zamiary wobec tej młodej osoby, zanim pozwolę użyć Sama do tej sprawy.

– Zamiary moje są jak najuczciwsze – odrzekł pan Winkle z wielką siłą.

– Pamiętaj pan – zaczął znowu pan Pickwick, którego oczy zwilgotniały – iż spotkaliśmy ją po raz pierwszy u naszego zacnego przyjaciela, pana Wardle'a. Byłoby to złą odpłatą za doznaną gościnność, gdyby pan lekkomyślnie potraktował jego bliską znajomą. Nigdy nie pozwoliłbym na to, nigdy!

– Ja też nigdy nie miałem podobnych myśli! – zawołał z zapalem pan Winkle. – Długo zastanawiałem się nad sobą i czuję, że całe moje szczęście od niej zależy.

– To się nazywa powiedzieć wszystko krótko i węzłowato dodał pan Weller z przyjemnym uśmiechem.

Pan Winkle, usłyszawszy te słowa, spojrział nieco surowo, pan Pickwick zaś poprosił swego służącego, by nie kpił z najpiękniejszych uczuć ludzkiej natury. Na co Sam odpowiedział, że nigdy nie ośmieliłby się, gdyby zdawał sobie z tego sprawę. Ale ponieważ jest tyle uczuć, więc po prostu nie wie, które z nich ma być to najpiękniejsze!

Pan Winkle opowiedział, co zaszło między nim i krewnym panny Arabelli, panem Beniaminem Allenem. Przyznał się, że celem jego jest zobaczyć się z młodą damą i wyznać jej głębię swoich uczuć. Oznajmił dalej, że jest przekonany – a opiera to przekonanie na tym, co słyszał od Bena Allena – iż panienska przebywa gdzieś w pobliżu Downs. Oto wszystko, co wiedział lub czego się domyślał w tej materii.

Mając tylko tak niejasne wskazówki, gentlemani postanowili wysłać nazajutrz Sama na zwiady. Pan Pickwick zaś i pan Winkle, którzy nie ufali swemu instynktowi odkrywcemu, przejdą się w ciągu dnia po mieście i przypadkiem wpadną do pana Bena Allena, w nadziei, że uda im się coś dowiedzieć o miejscu pobytu młodej damy.

Zgodnie z tym Sam nazajutrz od samego rana puścił się w drogę, bynajmniej nie skonsternowany trudnością swego zadania. Przechodził więc z ulicy na ulicę (chcielibyśmy powie-

dzieć: z pagórka na pagórek, ale niestety, Clifton jest równe jak stół) i nie spotkał nikogo ani niczego, co mogłoby rzucić najślubsze choćby światło na tę sprawę. Liczne były rozmowy, które Sam nawiązał z groomami przeprowadzającymi konie na gościńcach i z niańkami bawiącymi dzieci na łąkach, ale ani z początkowych słów, jakie zamienił, ani z końcowych nie mógł Sam wymiarkować o przedmiocie swoich poszukiwań. Wiele młodych dam mieszka w wielu wielkich i małych domach, a zarówno męska, jak żeńska służba podejrzewała większość tych dam o uczucie dla kogoś lub zdolność obdarzenia kogoś swym uczuciem, jeżeli nadarzy się sposobność. Ale że żadna z tych młodych dam nie nazywała się Arabella Allen, więc po otrzymaniu tych informacji Sam był tak ciemny jak poprzednio.

Idąc przez Downs, Sam walczył z wiatrem i zastanawiał się, czy w tym kraju człowiek zawsze zmuszony jest przytrzymywać kapelusz obiema rękami? Wreszcie doszedł do cieniowego osiedla, złożonego z kilkunastu domków, które tchnęły spokojem i ciszą. Przed drzwiami stajni, w głębi małej łączki, stał groom w koszuli; groom ten nic nie robił, ale wyraźnie był przekonany, że jest zajęty widłami i taczkami. W tym miejscu pozwolimy sobie zauważyć, że nigdy nie udało nam się widzieć w pobliżu stajni grooma, który w mniejszym czy większym stopniu nie byłby ofiarą podobnych iluzji.

Sam pomyślał, że równie dobrze może porozmawiać z tym groomem jak z innym, zwłaszcza że wędrowni go zmęczyła, a obok taczek leżał wygodny wielki kamień. Przeszedł więc łączkę i zaczął rozmowę z właściwą sobie łatwością i swobodą.

– Dzień dobry, stary przyjacielu!

– Chyba dobre południe – powiedział groom, patrząc kwaśno na Sama.

– Racja, stary przyjacielu! – zawołał Sam. – Miałem na myśli południe!

– Nie powiem, że mi ulżyło na twój widok! – ciągnął zgryźliwy groom.

– To bardzo przykro! Okropnie! – powiedział Sam. – Bo wyglądasz tak wesoło i taką masz rozradowaną minę, że serce rośnie, gdy się patrzy na ciebie!

Ponury groom spojrział jeszcze bardziej ponuro, ale nie tak znowu, żeby to wywarło wrażenie na Samie, który natychmiast spytał z wyrazem wielkiego zainteresowania, czy jego pan nie nazywa się przypadkiem Walker.

– Nie! – odpowiedział groom.

– I nie Brown, co?

– Nie!

– Ani Wilson ?

– Nie! Nie trafiłeś!

– No, tom się omylił i twój pan nie ma zaszczytu mię znać, a myślałem, że i owszem! Nie spodziewaj się po mnie komplementu! – dodał widząc, że groom idzie do stajni i zamyka drzwi. – Bez ceremonii, mój stary! Wybaczam ci!

– Za pół korony gotów jestem rozwalić ci łeb! – powiedział groom, otwierając jedną połowę drzwi.

– Nie mógłbym ci jej ofiarować na tych warunkach – odpalił Sam. – Niewarta ludzkiego życia, przynajmniej dla ciebie. Zrobiłbyś zły interes! Kłaniaj się państwu! Powiedz, niech nie czekają na mnie z obiadem, boby im wystygł!

W odpowiedzi groom mruknął coś w tym rodzaju, że chętnie by zrobił porządeczek z wiadomą osobą, ale zniknął nie wykonawszy tej groźby i zatrzasnął za sobą drzwi, pomijając milczeniem tkliwą prośbę Sama, by na pamiątkę zostawił mu pukiel włosów.

Sam siedział na kamieniu i myślał. Postanowił pukać do każdych drzwi w obrębie pięciu mil od Bristolu. Z łatwością obejdzie od 150 do 200 domów dziennie i w ten niezawodny sposób znajdzie w końcu pannę Arbellę Allen. Ale nagle przypadek rzucił mu pod nogi coś, na co mógłby czekać nadaremnie miesiącami.

Na łączkę, na której siedział, wychodziły trzy czy cztery furtki ogrodowe należące do tyłuż domów, które aczkolwiek stały każdy z osobna, łączyły się ogródkami. Ponieważ ogródki

były obszerne, dobrze rozplanowane, wysadzone drzewami, więc domy nie tylko stały dość daleko od siebie, ale właściwie każdy z nich krył się przed innymi. Sam siedział z oczyma utkwionymi w śmietnik sąsiedniego domu, w którym zniknął groom, rozważając w umyśle głębię trudności swego obecnego przedsięwzięcia, gdy furtka otworzyła się i na łączkę wyszła pokojówka trzymając w ręku kilka dywaników, by je wytrzeć.

Sam tak był zajęty własnymi myślami, że prawdopodobnie poprzestałby na tym, by podnieść głowę, spojrzeć na pokojówkę i co najwyżej zauważyć, że ma zgrabną figurkę, ale wrodzona galanteria Sama nie mogła znieść spokojnie widoku pokojówki trzępiącej bez niczyjej pomocy dywany, zbyt ciężkie na jej słabe siły. Pan Weller był gentlemanem o wielkiej galanterii (dość szczególnej) i gdy tylko zauważył, na co się zanosi, wstał z kamienia i podszedł do pokojówki.

– Moja droga! – powiedział kłaniając się z wielkim szacunkiem. – Gotowaś stracić zupełnie linię, gdy będziesz sama trzeć te dywany! Pozwól, że ci pomogę!

Młoda dama, udająca skromnie, że nie zauważyła obecności mężczyzny, odwróciła się na dźwięk głosu Sama: niewątpliwie też odmówiłaby przyjęcia pomocy od obcego (tak twierdziła później), ale spojrzawszy za siebie, krzyknęła. Sam był również zdumiony, gdy w rysach pięknej pokojówki poznał ni mniej, ni więcej tylko rysy swojej Walentynki, pokojówki pana Nupkinsa!

— Ależ to kochana Mary!

– Jakże można tak straszyć ludzi, panie Weller! – zawołała Mary.

Sam Weller nie dał na to słownej odpowiedzi i w ogóle nie możemy dokładnie określić, w jaki sposób odpowiedział. Wiemy tylko, że po chwili Mary szepnęła: – Panie Weller! – i że przedtem jeszcze spadł mu z głowy kapelusz, z czego wnioskować musimy, że wymieniono kilka pocałunków.

– Jakże pan tu trafił? – spytała Mary, gdy rozmowa, w której nastąpiła wyżej wymieniona przerwa, została na nowo podjęta.

– Przyjechałem do ciebie, najdroższa! – powiedział pan Weller, pozwalając namiętności zapanować tym razem nad prawdomównością.

– A skąd wiedziałeś, że tu jestem? – spytała Mary. – Kto mógł ci powiedzieć, że zmieniłam w Ipswich służbę i żeśmy potem wszyscy zjechali tutaj? Kto to mógł panu powiedzieć, panie Weller?

– W tym właśnie sęk! – zawołał Sam mrużąc oko. – Kto mi mógł powiedzieć, hę?

– Chyba nie Muzzle, co?

– Nie – powiedział Sam, poważnie kiwając głową. – Nie Muzzle!

– Więc chyba kucharka! – mówiła Mary.

– A, kucharka! – odrzekł Sam.

– No, nigdy czegoś podobnego nie słyszałam! – zawołała Mary.

– Ani ja! – powiedział Sam. – Ale, droga Mary – tu gesty Sama stały się bardzo serdeczne – ale, droga Mary, mam tu jeszcze inny interes do załatwienia. Mój gubernator ma przyjaciela, pana Winkle'a, pamiętasz go? – Tego w zielonym surducie? – powiedziała Mary. – Owszem, pamiętam!

– Otóż jest strasznie zakochany. Faktycznie chodzi jak błędny, stracił głowę do reszty!

– O! – przerwała Mary.

– Tak, ale nic mu nie będzie, jeżeli uda nam się znaleźć jego damę! – tu Sam, robiąc liczne dygresje na temat piękności Mary i mąk, jakie przeżył, odkąd się ostatni raz widzieli, wiernie opisał jej stan, w którym znajduje się obecnie pan Winkle.

– Nigdy bym nie przypuszczała! – zawołała Mary.

– Ani ty, ani nikt w ogóle! – powiedział Sam. – Nigdy i nikt! Więc łażę jak ten Żyd – może o nim słyszałaś, Mary? Niespokojny duch, nigdy nie spał, tylko łąził z miejsca na miejsce! Więc i ja łażę i szukam tej panny Arabelli Allen.

– Kogo? – zainteresowała się Mary.

– Panny Arabelli Allen!

– Dobry Boże! – zawołała Mary, wskazując na furtkę, którą zamknął ponury groom. – Ależ to właśnie ten dom! Mieszka tutaj od sześciu tygodni! Ich młodsza, która również służy panience, opowiedziała mi to wszystko kiedyś, jakśmy robiły pranie, z rana, nim państwo wstali!

– Co, tamta furtka?

– Tamta!

Pan Weller był tak wzruszony otrzymawszy tę informację, że musiał szukać oparcia w pięknej swej towarzyszce. Wymienili między sobą drobne dowody miłości, zanim ochłonął na tyle, że mógł wrócić do poprzedniego tematu.

– No – powiedział wreszcie Sam. – Jeżeli to nie jest walka kogutów, to ciekawym, co jest walką kogutów, jak powiedział lord major, kiedy sekretarz Jego Królewskiej Mości zaproponował po obiedzie zdrowie jego żony. Tamte drzwi! Mam do niej polecenie i muszę koniecznie je spełnić! Jeszcze dzisiaj!

– A!! – powiedziała Mary. – Ale nie możesz zrobić tego teraz, bo panna wychodzi do ogrodu tylko wieczorem i zawsze na krótko, i nigdy bez starej damy!

Sam zastanowił się chwilę, po czym ułożył następujący plan postępowania: wróci tu dziś wieczorem, kiedy Arabella z pewnością wyjdzie na przechadzkę. Mary wpuści go do swego ogrodu. Sam przejdzie przez mur i będzie mógł zza wielkiej gruszy obserwować, co robi panna Allen. Spełni polecenie i postara się, żeby wyznaczyła panu Winkle'owi spotkanie następnego wieczora, o tej samej porze. Ułożywszy to wszystko z wielkim pośpiechem, Sam pomógł Mary w trudnej czynności składania dywanu.

Nie jest to rzecz tak niewinna, jak się z początku wydaje, to trzepanie małych dywaników! Ostatecznie, jeżeli trzepanie nie jest niczym złym, to składanie w każdym razie należy do czynności zdradliwych. Dopóki trzepie się dywan i obie strony stoją od siebie na odległość długości dywanika, jest to zabawka wielce niewinna. Ale gdy się zacznie składanie i przestrzeń między składającymi maleje do połowy, potem do jednej czwartej, do jednej szesnastej albo i do jednej trzydziestej drugiej, gdy dywanik jest dostatecznie długi, natenczas składanie zaczyna być niebezpieczne! Nie wiemy dokładnie, ile dywaników złożono owego dnia, ale możemy śmiało twierdzić, że ile było dywaników, tyle razy Sam pocałował piękną Mary.

Pan Weller chłodził się w pobliskiej oberży do zmroku, po czym wrócił na łączkę. Kiedy Mary wpuściła go do ogródka, nie szczędząc mu przestróg, żeby zważał na całość swoich nóg i rąk, Sam wdrapał się na gruszę i czekał przyjścia panny Arabelli.

Czekał tak długo, że zaczynał wątpić, czy ów szczęśliwy moment nadejdzie, gdy nagle usłyszał na żwirze odgłos lekkich kroków i pokazała się panna Arabella, która w zadumie przechadzała się po ogrodzie. Gdy zbliżyła się do gruszy, Sam, chcąc ją uprzedzić o swojej obecności, zaczął wydawać ciche, diaboliczne dźwięki, zrozumiałe, być może, dla damy w pewnym wieku, która od wczesnego dzieciństwa cierpi na kombinację krupu, kokluszu i zapalenia gardła.

Młoda dama rzuciła zaniepokojone spojrzenie w kierunku, skąd dochodziły te straszne dźwięki. Niepokój jej bynajmniej nie ustąpił, gdy zobaczyła między gałęziami męską postać. I byłaby z pewnością uciekła i zaalarmowała cały dom, gdyby strach nie odjął jej nóg. Upadła na ogrodową ławkę, która na szczęście stała w pobliżu.

– Gotowa zemdleć! – zawołał Sam bardzo zaniepokojony. – Że też te młode damy zawsze muszą mdleć, kiedy nikt ich o to nie prosi! Pani! Pani! Panno Rzezigpacka! Pani Winkle! Niech pani nie mdleje!

Mniejsza o to, co przywołało do życia pannę Arbellę! Może był to magiczny dźwięk nazwiska pana Winkle'a, może świeże powietrze, a może znajomy głos Sama! Podniosła głowę i spytała omdlewającym głosem:

– Kto to? Czego pan tu chce?

– Tss! – powiedział Sam, zeskoczył z muru i przycisnął się do niego, starając się zrobić jak najbardziej płaskim. – To ja, panienko!

– Służący pana Pickwicka! – poważnie powiedziała panna Arabella.

– Ten sam, proszę pani! – powiedział Samuel. – Pan Winkle schnie z rozpaczy! Faktycznie, proszę pani!

– A! – zawołała panna Arabella i przysunęła się do muru.

– A jakże! – ciągnął Sam. – Zeszłej nocy tośmy myśleli, że trzeba go będzie związać! Tak szalał. I powiedział, że jeżeli nie zobaczy pani najdalej jutro wieczorem, to pozwoli nazwać siebie bardzo brzydko, jeżeli się w ogóle nie utopi!

– Ach, nie, nie, panie Weller! – zawołała Arabella, załamując ręce.

– Tak powiedział! – ciągnął dalej Sam. – A to człowiek honorowy, takie mam przynajmniej o nim mniemanie; jak coś powie — skończone! Dowiedział się o wszystkim od tych rzezignatów z obcęgami!

– Od mego brata! – zawołała panna Arabella, przypomniawszy sobie określenie Sama.

– Nie wiem dokładnie, który z nich jest pani bratem, czy ten brudniejszy?

– Tak, tak, panie Weller! – powiedziała Arabella. – Ale niech pan powie wszystko!

– Więc proszę pani, dowiedział się wszystkiego od niego. A zdanie mego gubernatora jest takie, że jeżeli pani nie zechce widzieć pana Winkle'a, to rzezignaty wpakują mu do łba ekstraporcję ołowiu, co utrudni znacznie rozwój jego mózgu!

– Och! w jaki sposób mogę przeszkodzić tym strasznym niej porozumieniom?! – zawołała Arabella.

– Jest podejrzenie, że dawniejsza miłość wpływa na upór pani – powiedział Sam. – Niech się pani lepiej zobaczy z panem Winkle'em.

– Ale jak? Kiedy? – zawołała Arabella. – Nie śmiem sama opuścić tego domu! Mój brat jest taki niedobry, taki nierozsądny! Czuję, że się pan musi dziwić, iż w taki sposób z panem rozmawiam, panie Weller, ale... jestem bardzo nieszczęśliwa, bardzo! – tu panna Arabella zapłakała tak gorzko, że Sam poczuł przyływ rycerskich uczuć.

– I pani dziwić się może, że mówię z nią tak otwarcie – powiedział Sam z przejęciem. – Ale zapewniam panią, że gotów jestem zrobić wszystko, by sprawa poszła gładko. A jeżeli zajdzie potrzeba wyrzucenia którego z rzezignatów, albo i obu, za okno, służę chętnie! – to mówiąc, Sam zakasał rękawy, chcąc dać w ten sposób do zrozumienia, że gdyby któryś z tych panów spadł przypadkiem z muru, Sam gotów natychmiast przystąpić do dzieła.

Chociaż te oznaki gotowości bardzo jej pochlebiały, Arabella rezolutnie odrzuciła ofertę pana Samuela. (Sam uważał, że postąpiła lekkomyślnie). Przez jakiś czas nie chciała naznaczyć widzenia panu Winkle'owi. Ale w końcu, gdy rozmowie groziło już przerwanie przez osobę trzecią, szybko dała mu do zrozumienia (nie szcędząc dowodów wdzięczności), iż nie jest rzeczą wyłączoną, że nazajutrz będzie wieczorem w ogrodzie o godzinę później niż dzisiaj. Sam doskonale zrozumiał sens tych słów. Arabella, obdarzywszy go jednym ze swoich najpiękniejszych uśmiechów, oddaliła się wdzięcznie, pozostawiając Sama pod wrażeniem swojej piękności zarówno duchowej, jak i cielesnej.

Zeszedłszy ostrożnie z muru i nie omieszkawszy poświęcić nieco czasu swoim własnym sprawom tego samego autoramentu, pan Weller jak najszybciej udał się do hotelu „Pod Krzakiem”, gdzie jego długa nieobecność wywołała mnóstwo domysłów i pewnego rodzaju niepokój.

– Musimy być ostrożni – powiedział pan Pickwick, wysłuchawszy opowieści Sama. – Nie ze względu na nas, ale na młodą damę. Musimy być chytry!

– My?! – zawołał pan Winkle z naciskiem.

Wyraz zgorznienia, jakie to „my” wywołało na obliczu pana Pickwicka, natychmiast roztopił się we właściwej mu łagodności. Odpowiedział:

– A my! Pojadę z tobą!

– Pan? – zawołał pan Winkle.

– Ja – łagodnie odpowiedział pan Pickwick. – Pozwalając ci na zobaczenie się z sobą, młoda dama popełniła może bardzo naturalny, ale niemniej nieostrożny krok. Jeżeli jednak przy waszym widzeniu będę ja, milczący przyjaciel, który mógłby być ojcem was obojga, nigdy obmowa nie spadnie na jej głowę!

Gdy to mówił, oczy pana Pickwicka błyszczały słuszną dumą, że jest aż tak przewidujący. Pan Winkle był niezmiernie wzruszony delikatnością starszego pana dla jego *protégée* i ujął rękę swego przyjaciela z uczuciem powagi graniczącej ze czcią.

– Pojedźcie pan! – zawołał pan Winkle.

– Pojadę! – odrzekł pan Pickwick. – Sam, przygotuj mój popielaty płaszcz i szal i zamów pojazd na jutro wieczorem – nieco wcześniej niż potrzeba, obyśmy się przypadkiem nie spóźnili!

Sam dotknął kapelusza na znak, że poważnie bierze te zarządzenia, i pośpieszył poczynić odpowiednie przygotowania.

Kocz zajechał o oznaczonej porze. Pan Weller, posadziwszy pana Pickwicka i pana Winkle'a wewnątrz, zajął miejsce obok stangreta. Zatrzymali się o pół mili od miejsca naznaczonego na *rendez-vous* i kazawszy woźnicy czekać, poszli piechotą.

Gdy doszli do tego punktu wyprawy, pan Pickwick, wśród wielu uśmiechów i innych oznak wielkiego zadowolenia, wyjął z jednej kieszeni płaszcza ślepa latarkę, w którą się opatrzył specjalnie na tę chwilę i której zalety mechaniczne z przejęciem tłumaczył panu Winkle'owi ku niemałemu zdziwieniu nielicznych spotykanych przechodniów.

– Szkoda, że jej nie miałem podczas poprzedniej mojej nocnej ekspedycji do ogrodu, co? – spytał wesoło pan Pickwick, zwracając się do Sama, który kroczył za nimi.

– Dobra sztuczka, gdy się umie z nią obchodzić! – powiedział Sam. – Ale niekiedy nie chce się być widzianym, to chyba lepiej, gdy się zgasi świecę!

Uwaga Sama zaskoczyła pana Pickwicka, gdyż schował latarkę do kieszeni i szli dalej w milczeniu.

– Tędy! – powiedział Sam. – Pan pozwoli, że pójde pierwszy! Oto łączka!

Poszli przez łąkę. Było już dość ciemno. Pan Pickwick raz czy dwa wyciągnął latarkę i rzucił przed siebie małą smugę światła, mającą stopę średnicy. Przyjemnie było na to patrzeć, ale otaczające przedmioty wydawały się w tym świetle jeszcze ciemniejsze.

Nareszcie doszli do wielkiego kamienia. Tu Sam poradził swemu panu i panu Winkle'owi, żeby usiedli na chwilę, on zaś poszedł na zwiady, czy Mary jeszcze czuwa.

Po pięciu minutach Sam wrócił mówiąc, że furtka jest otwarta i wszystko w porządku. Idąc za nim ostrożnie, panowie Pickwick i Winkle wkrótce znaleźli się w ogródku. Tu każdy z nich powtórzył kilkakrotnie „sza!”, co uczyniwszy zastanowili się, co należy robić dalej.

– Czy panna Allen jest już w ogrodzie, Mary? – spytał pan Winkle, bardzo wzruszony.

– Nie wiem, proszę pana – odpowiedziała piękna pokojówka. – Najlepiej niech pan Weller podsadzi pana Winkle'a na drzewo, a pan Pickwick zechce może łaskawie patrzeć, czy ktoś nie idzie łąką, a ja popilnuję ogrodu z drugiej strony! Wielki Boże! A co to takiego?

– Ta ślepa latarka zgubi nas wszystkich! – zawołał Sam, niezadowolony. – Niech pan uważa, co pan robi, proszę pana! Rzuca pan światła akurat w okna bawialni!

– A niech cię! – zawołał pan Pickwick. – Dalibóg nie chciałem!

– A teraz oświetla pan sąsiedni dom! – upomniął Sam.

– A niech cię! – zawołał pan Pickwick, odwracając się znowu.

– Teraz rzuca pan światło na stajnię! Jeszcze pomyślą, że się pali – utyskiwał Sam. – Może pan zgasi latarkę?

– Nigdy nie widziałem takiej latarki! nigdy w życiu! – powiedział pan Pickwick, głęboko zdumiony efektem, jaki wywołuje jego czynność. – Nigdy nie widziałem równie silnego reflektora!

– Okaze się pan niebawem o wiele za silny dla nas, jeżeli będzie pan nim w dalszym ciągu w ten sposób manipulował! – odpowiedział Sam, a pan Pickwick po wielu próbach zgasił wreszcie latarkę. – Słyszę kroki młodej damy... No panie Winkle, jazda!

– Czeka! Czeka! Ja muszę z nią najpierw pomówić! Podsadz mnie, Sam!

– Służę panu! – powiedział Sam, opierając się głową o mur i w ten sposób robiąc ze swoich pleców rodzaj platformy. – Pan będzie łaskaw wstąpić na tę doniczkę i hop-siup!

– Boję się, że się złamiesz, Sam! – powiedział pan Pickwick.

– Nic mi nie będzie! – zawołał Sam. – Niech pan poda memu panu rękę, panie Winkle! Mocniej, panie, mocniej, mamy czas!

Gdy Sam tak mówił, pan Pickwick ze zręcznością zdumiewającą u gentlemana w tym wieku i tej wagi wgramolił się na plecy Sama. Sam podniósł się ostrożnie i pan Pickwick dosięgnął prawie wierzchołka muru, gdy pan Winkle trzymał go mocno pod kolanami. W ten sposób ostatecznie okulary znalazły się nad murem.

– Kochanie! – powiedział pan Pickwick, spojrzawszy za mur i dojrzawszy w oddali Arabellę. – Nie bój się! To tylko ja!

– Och, niech pan odejdzie, panie Pickwick! Proszę, niech wszyscy odejdą! – powiedziała Arabella. – Tak strasznie się boję! Kochany, drogi panie, niech pan zejdzie! Jeszcze pan spadnie i zabije się!

– Nie bój się, kochanie – uspokajał pan Pickwick panienkę. – Nie ma najmniejszego powodu do obaw! Trzymaj się, Sam! – dodał, spojrzawszy w dół.

– Słucham pana! Ale proszę bardzo, nie rozmawiaj pan dłużej, niż koniecznie potrzeba! Pan jest trochę ciężki!

– Jeszcze tylko chwileczkę, Samie! – odrzekł pan Pickwick. – Chciałem ci tylko powiedzieć, moje dziecko, że nigdy bym nie pozwolił memu młodemu przyjacielowi na widzenie się z tobą ukradkiem, gdyby sytuacja, w której się znajdujesz, umożliwiała inną alternatywę. Jeżeli sytuacja, jaka się przez to wytworzyła, jest dla ciebie przykra, moje dziecko, to pociesz się, że ja jestem obecny! Tylko to chciałem ci powiedzieć, moje dziecko!

– Jestem panu naprawdę bardzo wdzięczna za pańską dobroć i delikatność! – zawołała Arabella, ocierając łzy chusteczką. Powiedziałyby jeszcze coś więcej może, gdyby nie to, że pan Pickwick zniknął z wielką szybkością, a to z tego powodu, że zrobił fałszywy krok na plecach Sama, co sprawiło, iż znalazł się nagle na ziemi. Zerwał się jednak natychmiast i prosząc pana Winkle'a, by skrócił, jak tylko może, rozmowę, pobiegł na ławkę trzymać straż, z zapalem i szybkością iście młodzieńczą. A pan Winkle, podniecony ważnością sytuacji, w jednej chwili był już na murze, zdążywszy przedtem powiedzieć Samowi, żeby pilnował swego pana.

– Nie troszcz się pan o mego pana! Zajmę się nim – zawołał Sam.

– Gdzie on jest? Co robi? – niepokoił się pan Winkle.

– Na jego stare kamasze! – zawołał Sam spoglądając na ławkę. – Trzyma straż na łące razem ze swoją ślepą latarnią! Jak poczciwy, stary faun! Nigdy w życiu nie widział takiego poczciwiny! Niech mnie kaczki, jeżeli nie wierzę, że jego serce urodziło się dwadzieścia pięć lat później niż jego ciało!

Pan Winkle nie słuchał pochwał na cześć swego przyjaciela. Zeskoczył z muru. Rzucił się do nóg panny Arabelli, upewniając ją o szczerości swoich uczuć z elokwencją godną samego pana Pickwicka.

W tym samym czasie, o parę domów dalej, starszy gentleman o twarzy uczonego siedział w swojej bibliotece. Pisał dzieło filozoficzne, a od czasu do czasu zwilżał gardło i orzeźwiał myśli szklaneczką klaretu, który nalewał z butelki o wielce szanownym wyglądzie. Pisząc

stary jegomość spoglądał to na dywan, to na sufit, to na ściany. A kiedy nie znajdował natchnienia ani na dywanie, ani na suficie, ani na ścianach, wyglądał oknem.

Podczas jednej z takich pauz w natchnieniu starszy jegomość spojrział bezmyślnym wzrokiem w ciemność i bardzo się zdziwił zauważywszy błyszczące światło w niewielkiej odległości nad ziemią; światło to zjawiało się, to znikało. Fenomen powtórzył się – i to nie raz, i nie dwa! Wreszcie uczony gentleman odłożył pióro i zaczął zastanawiać się, jak wyjaśnić to dziwne zjawisko. To nie meteory. Za nisko na meteor! I nie świetliki! Za wysoko na świetliki! Nie fajerwerki, nie muchy ogniste – więc co? Co to może być? Jakiś dziwny i niezwykły fenomen natury, którego żaden filozof na świecie jeszcze nie zaobserwował! Coś, co natura właśnie jemu pozostawiła do wykrycia, żeby mógł unieśmiertelnić swoje nazwisko! Przepelniony tymi myślami, uczony znów schwycił za pióro i opisał zwięźle to niebywałe zjawisko, zanotowawszy dzień, godzinę i minutę, w której je zauważył: szczegóły te miały tworzyć dokładne dane dotyczące niezwykłego odkrycia oraz miały być dowodem wielkiej wiedzy, która w zdumienie wprawi wszystkich uczonych astronomów, jacy kiedykolwiek żyli na cywilizowanych obszarach tego globu.

Rzucił się w fotel i pograżył w rozmyślaniach nad owym zjawiskiem i swoją przyszłą wielkością. Mistyczne światło zajaśniało wyraźniej niż poprzednio: tańczyło po łące, biegło z jednego końca na drugi, poruszając się po orbicie tak ekscentrycznej jak orbita komety.

Uczony był kawalerem. Nie miał żony, z którą mógłby podzielić się swoim odkryciem. Więc zawołał służącego.

– Pruffie! – powiedział. – Dzieje się coś bardzo dziwnego w przestworzach! Widzisz? – tu uczony pokazał okno, w którym znowu mignęła smuga światła.

– Widziałem, proszę pana!

– I cóż ty na to, Pruffie?

– Co o tym myślę, proszę pana?

– Tak. Wychowałeś się w tych stronach. Jak myślisz, skąd to światło, co?

Uczony uśmiechnął się, już naprzód wiedząc, że Pruffie nie znajdzie odpowiedniego wytłumaczenia.

– Chyba złodzieje! – powiedział wreszcie Pruffie.

– Głupi jesteś! Możesz odejść!

– Dziękuję panu! – odpowiedział Pruffie i wyszedł.

Ale uczony nie mógł znieść myśli, że fenomen, którym pragnął obdarzyć świat, a o którym Pruffie, rodem z tej okolicy, nigdy nie słyszał, zostanie nie wyjaśniony. Włożył więc kapelusz i wyszedł do ogrodu, zdecydowany zbadać zjawisko u samego źródła.

Otóż na krótko przedtem, nim uczony zeszedł do grodu, pan Pickwick jak mógł najszybciej, przebiegł łąkę, wszczynając fałszywy alarm, że ktoś nadchodzi, przy czym nie omieszkął przypadkiem odsłonić latarki. Natychmiast po alarmie pan Winkle przelazł przez płot, a panna Arabella wbiegła do domu. Furtkę zamknięto i trzej awanturnicy pobiegli przez łąkę, gdy nagle zatrzymał ich widok uczonego, który właśnie wychodził z ogródka.

– Zatrzymajmy się na chwilę! – szepnął Sam, który oczywiście biegł na przodzie. – Pan będzie łaskaw poświecić!

Pan Pickwick uczynił, jak mu kazano, a Sam widząc głowę mężczyzny, ostrożnie wynurząca się w odległości kilku kroków, gruchnął w nią pięścią, tak że z głuchym dźwiękiem uderzyła o furtkę. Uczyniwszy to z wielką zręcznością i pośpiechem pan Weller zarzucił sobie pana Pickwicka na plecy i mając za sobą pana Winkle'a puścił się przez łąkę ze zdumiewającą szybkością, jeżeli się weźmie pod uwagę ciężar, jaki musiał nieść.

– Złapał pan już oddech?! – spytał Sam, gdy dobiegli końca łąki.

– Tak, tak! Zupełnie! – odpowiedział pan Pickwick.

– Więc zmiatajmy! – powiedział Sam, zsadzając swego chlebobdawcę. – Weźmiemy pana między siebie. Mamy niecałą milkę! Zdaje mi się, że wygrał pan los, proszę pana! Sypmy!

Tak zachęcany, pan Pickwick uczynił możliwie najlepszy użytek ze swoich nóg. Powiem wam w zaufaniu, że nigdy nie widziano, by po tej łące biegły czarne kamasze w stylu równie dobrym, jak to czyniły kamasze pana Pickwicka w tej właśnie sytuacji.

Kocz czekał, konie były wypoczęte, droga doskonała, woźnica chętny. Całe towarzystwo przybyło szczęśliwie do hotelu „Pod Krzakiem”, zanim pan Pickwick ostatecznie złapał oddech.

– Zaraz do domu, proszę pana! – powiedział Sam, gdy kocz stanął przed drzwiami mieszkania. – Ani chwili na ulicy po takim marszu! Przepraszam pana – dodał, zdejmując kapelusz i zwracając się do pana Winkle'a: – Mam nadzieję, że nie było żadnych dodatkowych trudności?!

Pan Winkle pochwycił dłoń swego skromnego przyjaciela i szepnął mu na ucho: – Wszystko dobrze. Sam! Wszystko dobrze! – Na to Sam na znak, że zrozumiał, trzy razy uderzył się po nosie, uśmiechnął się, skrzywił i wszedł do domu z miną wyrażającą zupełne zadowolenie.

Co do uczonego, ten wytłumaczył w sposób bardzo naukowy, że owo dziwne światło było efektem elektrycznym. Jako dowód podawał, że światło tańczyło przed jego oczyma, gdy wychylił głowę zza furtki, a potem poraziło go na dobry kwadrans. Tłumaczenie to przyjęły wszystkie towarzystwa naukowe i powszechnie uznano, że uczonego jest rzeczywiście źródłem wiedzy.

Rozdział jedenasty

pokazuje panu Pickwickowi nowe i wcale ciekawe sceny wielkiego dramatu „Życie”

Reszta okresu, który pan Pickwick postanowił spędzić w Bath, nie obfitowała w fakty natury materialnej. Zbliżały się Zielone Świątki. W końcu tygodnia pan Pickwick z przyjaciółmi wrócił do Londynu. Starszy gentleman, oczywiście w towarzystwie wiernego Sama, pojechał wprost do swego mieszkania „Pod Jerzym i Jastrzębiem”.

Trzeciego dnia z rana, kiedy wszystkie zegary w City wybiły już – bardzo indywidualnie zresztą – godzinę dziewiątą, co w sumie czyniło około dziewięciuset uderzeń, a Sam wyszedł odetchnąć świeżym powietrzem na George Yard, nagle przed bramę zajechał jakiś dziwaczny, świeżo pomalowany wehikuł. Wskoczył z niego, zręcznie rzuciwszy lejce siedzącemu z tyłu olbrzymiemu mężczyźnie, jakiś dziwaczny z wyglądu człowieczek, który, zdawało się, był stworzony dla tego pojazdu, a pojazd dla niego.

Pojazd nie był właściwie ani gigiem, ani stanhopem. Nie był również tym, co się popularnie nazywa *dog-cart*, różnił się od wolantu jak również od kabrioletu. A jednak miał w sobie coś z tych wszystkich środków lokomocji. Pomalowany był na kolor jaskrawożółty, szprychy kół i dyszel na czarno. A miejsce dla powożącego, wysłane poduszkami, górowało wysoko nad oparciem. Koń był gniady, pocziwy z wyglądu. Ale miał w sobie coś nieprzyjemnego i fałszywego, podobnie jak jego pan i wehikuł.

Pan był to mężczyzna pod czterdzistkę, brunet ze starannie podkreconymi wąsami. Był ubrany niezwykle wspaniale, po prostu obwieszony klejnotami, przynajmniej trzy razy większymi niż te, jakie zwykle noszą gentlemani; koroną zaś wszystkiego był szeroki płaszcz. W chwili gdy wysiadał, włożył lewą rękę do jednej kieszeni płaszcza, prawą zaś wyciągnął z drugiej wielką i jaskrawą chustkę do nosa, którą wytarł pyłek z butów, po czym przebiegł dziedziniec.

Nie uszło uwagi Sama, iż jak tylko jegomość ów wysiadł z wehikułu, natychmiast zbliżył się nędznie odziany gentleman w szerokim płaszczu zapinanym na guziki rozmaitego kalibru i stanął przy wehikule. Mając coś więcej niż podejrzenie co do celu odwiedzin owego jegomościa, Sam poszedł za nim „Pod Jerzego i Jastrzębia” i wyminąwszy rezolutnie podejrzanego indywiduum, zagroził sobą drzwi.

– No, kawalerze! – powiedział tonem rozkazującym jegomość we wspaniałym płaszczu, jednocześnie torując sobie drogę.

– O co chodzi? – spytał Sam skrupulatnie oddając mu pchnięcie.

– No, no! Tylko bez tego, mój pocziwcze! Ze mną tak nie można! – powiedział gentleman w płaszczu i zbladł z gniewu. – Smouch!

– Co się stało? – spytał jegomość w brązowym płaszczu, który podczas tego krótkiego dialogu zdążył przebiec podwórze.

– Ten młodzieniec mi ubliżył! – powiedział gentleman w okazałym płaszczu, popychając Sama.

– Tylko bez tych sztuczek! – warknął Smouch, dając Samowi o wiele silniejszego kuksańca.

Kuksaniec wywołał efekt oczekiwany przez jegomościa, albowiem gdy Sam, który zawsze lubił odpłacać za komplementy, starał się przycisnąć jegomościa do muru, pryncypał jego prześliznął się przez drzwi i wszedł do baru. Wtedy Sam wymieniwszy z panem Smouchem kilka epitetów, pobiegł za pryncypałem.

– Jak się masz, kochanie! – pryncypał, błyszcząc swobodą z Botany Bay i wdziękiem z South Wales, zwrócił się do młodej damy siedzącej za barem. – Gdzież tu pokój pana Pickwicka?

– Zaprowadź pana – powiedziała dama do posługacza, nie obdarzając nawet spojrzeniem wspaniałego jegomościa.

Posługacz wskazał schody, więc okazały jegomość poszedł dalej, mając za sobą Sama, który idąc po schodach wykonywał liczne gesty wyrażające bezgraniczne oburzenie i pogardę, ku niezwykłej ucieście innych służących i przygodnych widzów.

Pan Smouch, którego dusił kaszel, w pozie wyczekującej pozostał na korytarzu.

Pan Pickwick był jeszcze pogrążony w głębokim śnie, kiedy ów nieproszony gość wszedł w towarzystwie Sama do pokoju. Szmer, który sprawiło ich wejście, obudził filozofa.

– Wody do golenia, Samie! – powiedział, nie otwierając oczu.

– Tak, tak, ogolimy pana – rzekł nieznajomy, odsuwając firanki łóżka. – Mam rozkaz aresztowania pana na żądanie wdowy Bardell. Oto jest zarządzenie wydane przez sąd, Common Pleas; a oto mój bilet. Sądzę, że pojedzie pan ze mną.

To mówiąc, oficer szeryfa, gdyż taki był tytuł nieznajomego, poklepał przyjaźnie po ramieniu pana Pickwicka, rzucił na stolik przy łóżku bilet i wyjął z kieszeni złotą wykałaczkę do zębów.

– Moje nazwisko jest Namby – mówił następnie dalej, gdy tymczasem pan Pickwick wyjmował spod poduszki okulary i zakładał je na nos – Namby, aleja Bell, ulica Coleman.

W tym miejscu Sam, który na chwilę wpadł w prawdziwe osłupienie, począł mocno wpatrywać się w kapelusz, którego pan Namby nie zdjął, w końcu zaś zapytał:

– Czy pan kwakier?

– Zaraz dowiesz się, kim jestem – odrzekł oburzony oficer. – Nauczę ja ciebie z czasem grzeczności.

– Dziękuję – odrzekł Sam. – Ja nauczę pana od razu.

To mówiąc, jednym machnięciem ręki wyprawił kapelusz pana Namby'ego na drugi koniec pokoju, i to tak gwałtownie, iż o mało nie poleciała za nim złota wykałaczką.

– Zwracam na to pańską uwagę – zawołał zbity z tropu oficer, przyszedłszy nieco do siebie. – Zostałem napadnięty w pokoju pana przez pańskiego sługę podczas wykonywania obowiązków służbowych. Biorę pana za świadka!

– Niech pan niczemu nie przyświadcza – przerwał Sam – niech pan mocno zamknie oczy. Chętnie wyrzuciłbym kapelusz za okno, ale nie mógłby już niżej upaść.

– Samie! – zawołał pan Pickwick z niezadowoleniem, gdy tymczasem służący jego robił rozmaite wojownicze gesty – jeżeli raz jeszcze odezwiesz się lub jeżeli wyrządzisz najmniejszą przykrość tej osobie, natychmiast cię odprawię.

– Ależ panie!

– Milcz i podnieś kapelusz!

Pomimo surowego zgromienia Sam stanowczo odmówił podniesienia kapelusza, a ponieważ oficerowi szeryfa było spieszo, więc w końcu podniósł go sam. Nie obeszło się przy tym bez całego potoku pogrózek, które Sam przyjmował z największym spokojem, przestając na zwróceniu uwagi pana Namby'ego na to, że jeżeliby znowu przyszła mu chętka włożenia kapelusza na głowę, to mu go wyprawi do Indii Wschodnich. Pan Namby mając na uwadze, iż tego rodzaju operacja mogłaby być dla niego czymś niepożądanym, postanowił nie

narażać przeciwnika na zbyt wielką pokusę, przywołał więc swego pomocnika i wyjaśnił mu, że aresztowanie zostało dokonane i że ma tylko czekać, dopóki pan Pickwick nie ubierze się, po czym wyszedł. Pomocnik usiadł na krześle i czekał cierpliwie na ukończenie toalety pana Pickwicka; potem posłano Sama po powóz, którym udano się na Coleman Street.

Podróż nie była na szczęście zbyt długa, gdyż pan Smouch, który nie miał nadzwyczajnego daru konwersacji, był ze względu na szczupłą przestrzeń powozu niezbyt miłym towarzyszem. Wkrótce powóz wjechał w bardzo ciemną ulicę i stanął przed domem, którego wszystkie okna były zakratowane. Front jego zdobił napis: „Namby, oficer szeryfa Londynu”. Kiedy drzwi wejściowe otwarł gentleman, który mógłby uchodzić za rodzonego brata pana Smoucha i który z racji swego urzędu zaopatrzone był w ogromny klucz, pan Pickwick wprowadzony został do sali.

Sala ta odznaczała się tylko świeżym piaskiem, którym posypana by podłoga, i zapachem tytoniu napełniającym powietrze. Gdy pan Pickwick wszedł, ukłonił się trzem osobom znajdującym się tam i posłał Sama po pana Perkera, po czym usiadł w kącie, z ciekawością spoglądając na swych towarzyszy.

Jeden z nich był to młodzieniec około dwudziestu lat; chociaż była dopiero godzina dziesiąta, pił on wodę z jałowcówką i palił cygaro, któremu to zajęciu, o ile można było wnosić z jego rysów, musiał już poświęcić dwa lub trzy ostatnie lata swego życia. Naprzeciw niego, poprawiając butem ogień w kominku, siedział inny młody człowiek, może trzydziestoletni, niski, o rysach pospolitych, twarzy żółtej i chrapliwym głósie, posiadający tę znajomość świata i miłą swobodę w obejściu, których nabywa się w salach bilardowych i szynkowniach. Trzeci więzień, już w pewnym wieku, ubrany był w bardzo stary czarny frak; twarz miał bladą, oczy błędne. Ten chodził ciągle po pokoju, zatrzymując się czasami przed oknem z wielkim niepokojem, jak gdyby czekał na kogoś. Potem znów poczynął chodzić.

– Może by chciał pan dzisiaj użyć mojej brzytwy, panie Ayresleigh? – rzekł mężczyzna siedzący przy ogniu, mrugnawszy okiem na młodego człowieka, swego przyjaciela.

– Dziękuję panu – odrzekł więzień w pewnym wieku. – Spodziewam się, że za parę godzin będę wolny.

Potem szybko podszedł do okna, a powróciwszy westchnął głęboko i wyniósł się z pokoju. Dwaj inni więźniowie poczęli się głośno śmiać.

– Nigdy nie widziałem takiego dziwaka! – zawołał gentleman, który chciał pożyczyć swej brzytwy i nazywał się Price. – Nigdy Zdanie to potwierdził energicznym zaklęciem i znowu zaczął śmiać się wraz z młodzieńcem widocznie uważającym go za doskonały wzór.

– Czy da pan wiarę – rzekł następnie pan Price do pana Pickwicka – że ten pocziwina, który od ośmiu dni już tu siedzi, nie golił się jeszcze ani razu! Tak jest pewny, że wyjdzie za pół godziny, iż woli, jak powiada, ogolić się u siebie w domu.

– Biedny człowiek! – rzekł pan Pickwick. – Czy może mieć jakąś nadzieję, że się stąd wydobędzie?

– Nadzieję? Ani cienia. Założyłbym się, że i za dziesięć lat nie wyjdzie.

To powiedziawszy pan Price pogardliwie strzepnął palcami i zadzwonił.

– Przynieś mi listowego papieru i szklanekę grogu, Crookey – rzekł do dozorca, który, sądząc z ubioru i całego wyglądu, był czymś pośrednim między zbankrutowanym hodowcą bydła a niewypłacalnym dzierżawcą. – Muszę napisać do ojca, a bez odpowiedniej podniety nie potrafię przemówić staremu do sumienia.

Zbyteczne jest nadmienić, że młodzieniec zachwyił się tą przemową i ze śmiechu omal nie dostał spazmów.

– To doskonale! – zawołał.

– O! Pan ma spryt – rzekł pan Price – musiał pan widzieć kawał świata...

– Trochę – odrzekł młodzieniec. Widział on świat przez brudne okna szynkowni.

Nie w smak poszły panu Pickwickowi takie rozmowy, jak również miny i maniery obu rozmawiających. Właśnie miał się spytać, czy nie można by dostać osobnego pokoju, gdy weszło kilka osób dość przyzwoitej powierzchowności. Ujrawszy je pan Price rzucił cygaro w ogień i powiedział cicho do swego kompana, iż panowie ci przyszedli go uwolnić, po czym odszedł z nimi w kąt pokoju.

Zdaje się wszakże, iż uwolnienie to nie szło tak gładko, jak sobie wyobrażał, gdyż wywiązała się długa rozmowa, której pewne ustępy o rozmaitych wybrykach i niejednokrotnym przebaczeniu nie mogły nie obić się o uszy pana Pickwicka. W końcu najstarszy z przybyłych zrobił bardzo niedwuznaczną aluzję do pewnej ulicy, zwanej Whitecross, przy czym młodzieniec, pomimo swej pozornej zuchowatości i znajomości świata, oparł głowę o stół i począł gorzko płakać.

Zadowolony tym skonfundowaniem młodzieńca, pan Pickwick zadzwonił i wkrótce został zaprowadzony do osobnego pokoju, ozdobionego dywanem, stołem, krzesłami, sofą, lustrem i mnóstwem starych sztychów. Tam, w czasie gdy mu przygotowywano śniadanie, miał przyjemność słyszeć nad głową panią Namby grającą na fortepianie. Razem ze śniadaniem pojawił się pan Perker.

– Aha, kochany panie! – zawołał mały pełnomocnik. – Na koniec wsadzono pana! No, no! Nie bardzo nas to martwi, gdyż przekona się pan o niedorzeczności pańskiego postanowienia. Ułożyłem wykaz kosztów i opłat i dobrze będzie, gdy nie odkładając, uporządkujemy to. Jak pan myśli, kochany panie? Czy sam pan napisze zlecenie do wypłaty, czy też ja to mam zrobić?

To mówiąc, Perker zacierał ręce z przesadnym zadowoleniem, ale po chwili, gdy zauważył wyraz twarzy pana Pickwicka, z niepokojem spojrzął na Sama.

– Perker – rzekł filozof – proszę cię, nie mówmy o tym. Nie widzę potrzeby zostawać tu dłużej i dziś jeszcze przeniosę się do więzienia.

– Nie może pan przenosić się do Whitecross, kochany panie – zawołał mały pełnomocnik – to niepodobna! Po sześćdziesiąt łóżek w jednej sypialni, a bramy są zamknięte przez szesnaście godzin w ciągu doby!

– Więc pójdę do innego więzienia, jeżeli to być może – odrzekł pan Pickwick – jeżeli nie, to urządzę się, jak będę mógł najlepiej.

– To już niech pan wybierze więzienie przy Fleet Street.

– Dobrze. Pojadę tam po śniadaniu.

– Powoli, powoli, kochany panie – rzekł zacny pełnomocnik.

– Nie ma potrzeby tak bardzo śpieszyć się tam, skąd każdy rad by wyrwać się jak najprędzej. Trzeba wpieryw otrzymać *habeas corpus* i załatwić wiele innych formalności.

– Bardzo dobrze – odparł pan Pickwick z niczym niewzruszoną cierpliwością. – Więc o drugiej zjemy tu befsztyki. Zajmij się tym, Samie.

Pan Pickwick pozostał niewzruszony pomimo przedstawień i wywodów pana Perkera. Befszyki ukazały się i znikły we właściwym czasie. Następnie czekano parę godzin na pana Namby'ego, który miał u siebie na obiedzie parę dystyngowanych osób i w żaden sposób nie mógł ich opuścić.

Dwóch było sędziów w Sergeant's Inn: jeden przy King's Bench, drugi przy Common Pleas. Jeżeli sędzić można po ilości dependentów uwijających się z papierami, to mieli oni mnóstwo spraw do załatwienia. Kiedy dojechali do niskiego sklepu tworzącego wjazd do Inn, Perker zatrzymał się na chwilę przy woźnicy omawiając z nim kwestię zapłaty i reszty. Pan Pickwick stanął nieco z boku i z ciekawością przypatrywał się ludziom, którzy wchodzili i wychodzili z bramy.

Ludzie, którzy zajęli uwagę pana Pickwicka, byli to przeważnie nędznie odziani mężczyźni, którzy dotykali kapeluszy na widok każdego adwokata i zdawali się mieć tutaj interesy, ale jakie, tego pan Pickwick nie mógł odgadnąć. Ciekawi byli to ludzie! Jeden szczupły, trochę

kulawy, w czarnym ubraniu i białej chusteczce na szyi. Drugi wysoki, barczysty, ubrany podobnie, z szyją owiązaną szeroką czerwoną chustką. Trzeci drobny pijaczyna z twarzą porytą pryszczami. Wałęsali się z rękami założonymi w tył, a co pewien czas któryś z nich szeptał coś na ucho gentlemanowi biegnącemu z papierami. Pan Pickwick przypomniał sobie, że przechodząc tędy, nieraz już ich widział. Pałała go ciekawość, do jakiej profesji mogą należeć ci próżniacy.

Właśnie miał zwrócić się z tym pytaniem do pana Namby'ego, który stał za nim, wymachując palcem z olbrzymim pierścieniem, kiedy nadbiegł Perker mówiąc, że nie ma czasu do stracenia. Zaledwie pan Pickwick zrobił kilka kroków, podszedł do niego kulejający jegomość i uprzejmie dotknąwszy kapelusza, podał mu bilet, który pan Pickwick, nie chcąc go obrazić, grzecznie wziął i schował do kieszeni kamizelki.

– No – powiedział pan Perker, oglądając się, czyjego towarzysze idą za nim. – Tędy, moi panowie! Czego pan tu chce?!

To ostatnie pytanie zwrócone było do kulawego, który nie zauważony przez pana Pickwicka, przyłączył się do towarzystwa. W odpowiedzi kulawy znów dotknął kapelusza i wskazał na filozofa.

– Nie, nie – z uśmiechem powiedział pan Perker. – Nie potrzebujemy pana, nie potrzebujemy!

– Przepraszam – odrzekł kulawy – gentleman wziął mój bilet. Mam nadzieję, że pan zechce skorzystać z moich usług! Ten pan kiwnął na mnie. Tylko ten pan ma głos! Pan kiwnął na mnie, prawda?

– Ph, ph! Nonsens! – zawołał Perker. – Pan nie potrzebuje niczyich usług, prawda, panie Pickwick? Omyłka! Omyłka!

– Ten gentleman podał mi bilet – powiedział pan Pickwick, wyciągając bilet z kamizelki – więc go schowałem, bo mi się zdawało, że o to mu chodzi! Byłem nawet ciekawy, co to takiego, i chciałem przeczytać w wolnej chwili! Ja...

Mały adwokat wybuchnął głośnym śmiechem i zwróciwszy bilet kulawemu, powiedział, że to nieporozumienie, panu Pickwickowi zaś szepnął, kiedy kulas odszedł, że to poręczyciel.

– Co takiego?! – zawołał pan Pickwick.

– Poręczyciel!

– Poręczyciel?!

– Tak, kochany panie, jest ich tu z pół tuzina! Poręczy za pana każdą sumę, a zażąda tylko pół korony! Ciekawy zawód, co?! – mówił pan Perker, biorąc niuch tabaki.

– Co?! – zawołał pan Pickwick. – Mam przez to rozumieć, że ci ludzie sterczą tu po to, by znaleźć sposobność do złożenia przed sądem fałszywego zeznania? Że żyją z krzywoprzysięstwa?! Za pół korony! – powiedział pan Pickwick, zgorszony tym odkryciem.

– Drogi panie, nie nazwałbym tego krzywoprzysięstwem w ścisłym tego słowa znaczeniu! – powiedział mały adwokat. – Mocne słowo, kochany panie, bardzo mocne! Wykręt prawny, drogi panie, tylko wykręt prawny! – to mówiąc, adwokat wzruszył ramionami, wziął szczyptę tabaki, uśmiechnął się, wziął znów szczyptę i skierował się do biura sędziego.

Był to pokój wyjątkowo brudny, z bardzo niskim sufitem i obdrapanymi ścianami, a tak ciemny, że chociaż dzień był pogodny, na stole paliły się wielkie świece. Drzwi w głębi prowadziły do prywatnych apartamentów sędziego. Koło tych drzwi kręcił się cały tłum adwokatów i ich pomocników, których wzywano kolejno. Za każdym razem, gdy wypuszczano jedną partię, druga rzucała się ku drzwiom, a ponieważ między tymi, którzy już widzieli sędziego, a tymi, którzy na niego czekali, wywiązywała się rozmowa, przeto panował tu hałas, jaki tylko mógł panować w tak obszernym lokalu.

Lecz rozmowy gentlemanów nie były jedynymi dźwiękami, jakie wypełniały uszy obecnych. W drugim końcu pokoju za barierą stał urzędnik w okularach, który przyjmował za przysiężone deklaracje. Co pewien czas inny urzędnik odnosił wielkie pliki tych dokumentów

do podpisu sędziemu. Ponieważ liczba pomocników adwokackich, których rzeczą było zaprzysiąc, była bardzo znaczna, a było rzeczą niemożliwą zaprzysięgać ich wszystkich naraz, panowie ci bili się formalnie i dokoła urzędnika w okularach tworzył się tłum nie mniejszy niż przed drzwiami teatru na przedstawienie galowe, na którym ma być Jej Królewska Wysokość. Inny znowu urzędnik co pewien czas wytężał płuca, by wywołać nazwiska gentlemanów już zaprzysiężonych, w celu wręczenia im deklaracji podpisanych przez sędziego: dawało to powód do nadprogramowej wrzawy i zamieszania. Ponieważ wszystko to działo się jednocześnie, powstał taki harmider, że większego nie mógłby sobie życzyć najruchliwszy i najbardziej lubiący wrzawę człowiek. Byli jeszcze i inni – ci, którzy czekali na pozwy, czyje przyjęto, czy nie, o czym informowano na drugim końcu sali, przy czym wywoływano nazwisko adwokata strony przeciwnej — na dowód, że nazwisko jego było podane do wiadomości pozywającego.

Na przykład tuż koło pana Pickwicka stał oparty o ścianę praktykant adwokacki, chłopak czternastoletni o wysokim tenorku, a obok niego starszy dependent mówiący basem.

Wbiegł urzędnik z pliką papierów i stanął przed nim.

– Sniggie i Blink! – zawołał tenorek.

– Porkin i Snob! – ryczał bas.

– Stumpy i Deacon! – wołał nowo przybyły.

Nikt nie odpowiedział. Gdy wszedł następny urzędnik, wszyscy trzej rzucili się ku niemu. On zaś wywołał nową firmę. Wtedy ktoś inny znów wywołał inne nazwisko i tak w kółko.

Przez cały ten czas jegomość w okularach pracował w pocie czoła, zaprzysięgając dependentów. Udzielał niezmiennie tych samych informacji, bez intonacji i pauz, zawsze w tych samych słowach:

– Weź pan Księgę w prawą rękę pańskie nazwisko i pański podpis przysięga pan że pańska deklaracja jest prawdziwa tak mi dopomóż Bóg szylinga nie mam reszty proszę zmienić!

– No, Samie! – powiedział pan Pickwick. – Mam nadzieję, że przygotowali *habeas corpus*.

– Tak – powiedział Sam. – Chciałbym, żeby już raz przynieśli tę sztukę. Nudno tu czekać! Przez ten czas przynajmniej z pół tuzina dostało już *habeasy*!

Jak sobie Sam wyobrażał, że wyglądać powinien *habeas corpus* – nie wiemy. W tej chwili wszedł pan Perker i zabrał pana Pickwicka.

Po załatwieniu odpowiednich formalności osoba pana Pickwicka powierzona została opiece woźnego, a to w celu odesłania jej do więzienia przy Fleet Street i zatrzymania w nim do chwili, w której odszkodowanie za stracone korzyści i koszty wynikłe z procesu Bardell *contra* Pickwick nie zostaną całkowicie opłacone.

– Nieprędko doczekacie się tego – powiedział pan Pickwick, uśmiechając się. – Samie, sprowadź inny powóz. Perker, żegnam cię, kochany przyjacielu.

– Pójdę z panem, gdyż trzeba pana należycie ulokować.

– Przyznam się, że wolałbym zostać tylko z Samem. Gdy się urządzę, zawiadomię pana o tym i będę czekał na niego. Aż do tego czasu rozstańmy się.

To rzekłszy, pan Pickwick wsiadł do powozu wraz z woźnym, Sam umieścił się na koźle i odjechali.

– Szczególny człowiek! – rzekł pan Perker do swego dependenta, wkładając rękawiczki.

– Jaki doskonały fałszywy bankrut byłby z niego! – dodał pan Lowten. – Ten wyprowadzałby w pole komisarzy!

Pełnomocnik nie był, zdaje się, bardzo zbudowany uwagami swego dependenta nad charakterem pana Pickwicka, gdyż odszedł, nic nie powiedziawszy.

Powóz wiozący pana Pickwicka dosłownie włókł się po Fleet Street, jak zwykle wynajmowane powozy; stangret utrzymywał, iż konie biegają raźniej, gdy widzą inne konie przed sobą, i dlatego jechał za jakimś wozem; gdy ten stawał, stawał i powóz. Pan Pickwick siedział

naprzeciw woźnego, który trzymając swój kapelusz między kolanami i pogwizdując, patrzył ciągle przez okno.

Czas robi cuda; przy pomocy tego potężnego starca nawet wynajęty powóz ujedzie miłą. Tak się też stało i teraz. Pan Pickwick wysiadł przed bramą więzienia.

Woźny poszedł przodem, ciągle oglądając się poza siebie, by być pewnym, że pan Pickwick idzie za nim. Skierowali się na lewo, i przeszli do przedsionka, z którego potężne drzwi, znajdujące się naprzeciw wchodowych a strzeżone przez barczystego odźwiernego z kluczami w ręku, prowadziły do więzienia.

Tu zaczekali, aż woźny odda papiery, panu Pickwickowi zaś oznajmiono, że ma tu pozostać tak długo, aż odbędzie się ceremonia znana wśród wtajemniczonych pod nazwą „zdejmowania portretu”.

– Jak to, zdejmowania portretu? – zapytał pan Pickwick.

– Dla zapamiętania rysów pana – odrzekł odźwierny. – O! My mamy w tym wielką wprawę. Zdejmujemy portret w bardzo krótkim czasie. Niech pan sobie wygodnie usiądzie.

Pan Pickwick był posłuszny temu wezwaniu. Gdy usiadł, Sam oparłszy się o poręcz krzesła powiedział mu cicho, iż „zdejmowanie portretu” znaczy tylko, iż rozmaici stróże więzienia będą go oglądali, by następnie móc odróżnić go od osób, które będą przychodziły do niego w odwiedzin.

– Chciałbym, Samie – rzekł pan Pickwick – by ci artyści przyszli jak najprędzej, bo miejsce to nie bardzo przypada mi do gustu.

– Przyjdą zapewne niebawem – odparł Sam. – Widzi pan, tu jest zegar drewniany.

– Widzę.

– I klatka na ptaki; więzienie w więzieniu, prawda?

W chwili gdy Sam robił te filozoficzne spostrzeżenia, pan Pickwick dostrzegł, że artystyczne posiedzenie już się zaczęło. Barczysty odźwierny usiadł niedaleko naszego bohatera i co pewien czas spoglądał na niego niedbale, słuszny zaś i chudy mężczyzna umieścił się naprzeciw niego i ukrywając ręce pod połami surduta, bardzo uważnie wpatrywał się panu Pickwickowi w twarz. Trzeci gentleman, widocznie w złym humorze, bo odwołano go od herbaty i teraz dojechać jeszcze musiał chleb z masłem, umieścił się także koło filozofa i wsparłszy się pod boki oglądał go bardzo szczegółowo; na koniec dwa inne indywidua studiowały jego rysy w zamyśleniu i z wielką uwagą. Pan Pickwick drżał niejednokrotnie podczas tej operacji i wiał się na krzesła, ale nie zrobił żadnej uwagi nikomu, nawet Samowi, który pochylony na poręczy krzesła, rozmyślał częściowo nad położeniem swego pana, częściowo zaś nad przyjemnością, jakiej by doznał atakując po kolei wszystkich tych stróżów więziennych, gdyby tylko to nie sprzeciwiało się prawu i publicznemu spokojowi.

Po sportretowaniu oznajmiono panu Pickwickowi, że może wejść do więzienia.

– Gdzie będę spać tej nocy? – zapytał.

– Doprawdy – odrzekł barczysty odźwierny – że na dzisiejszą noc, to sam nie wiem. Jutro rano znajdzie się dla pana miejsce przy innym więźniu; wtedy będzie panu wygodnie. Pierwszą noc zwykle przepędza się tu, jak się uda; ale nazajutrz wszystko się ułoży.

Po długiej rozprawie okazało się, że jeden ze stróżów ma do odstąpienia łóżko na noc, pan Pickwick pośpieszył więc skorzystać z tego.

– Jeżeli pan chce, mogę pana tam zaraz zaprowadzić – rzekł stróż. – Nie jest bardzo wielkie, ale śpi się w nim znakomicie. Tędy, panie.

Poszli na wewnętrzny dziedziniec i krótkimi schodami zeszli na dół. Klucz przekreślono za nimi i po raz pierwszy w życiu pan Pickwick znalazł się w murach więzienia za długie.

Rozdział dwunasty

Co się przydarzyło panu Pickwickowi w więzieniu za długi, kogo tam widział i jak spędził noc

Tom Roker, gentleman towarzyszący naszemu filozofowi, zwrócił się na prawo i przez furtkę wszedł po kilku schodach do galerii niskiej, długiej, wąskiej i brudnej, wyłożonej kamiennymi płytami i oświetlonej tylko dwoma oknami na dwóch końcach.

– To są – rzekł ów gentleman, wsuwając ręce do kieszeni i niedbale spoglądając na pana Pickwicka przez ramię – to są schody do sali.

– A! – odrzekł pan Pickwick, spuszczać oczy, by przypatrzeć się schodom, ciemnym i wilgotnym, wiodącym jakby do podziemia – tam znajdują się zapewne piwnice, w których więźniowie przechowują swoje zapasy węgla. Brzydkie to miejsce, ale założyłbym się, że wygodne.

– Spodziewam się, że wygodne, kiedy ludzie tam żyją i nawet nieźle żyją; niech mi pan wierzy.

– Mój przyjacielu – odrzekł pan Pickwick – nie chcesz chyba powiedzieć przez to, iż ludzkie istoty rzeczywiście mieszkają w tych nędznych lochach?

– Nie chcę powiedzieć? – zawołał ze zdumieniem pan Roker. – A dlaczegoż bym nie chciał powiedzieć?

– Więc żyją tam ludzie? – zawołał pan Pickwick.

– A tak, żyją! A nawet bardzo często umierają. I czemuż by nie? Cóż by mógł kto mieć przeciw temu? Czy żyją! Alboż to złe miejsce?

Ponieważ pan Roker mówiąc to, zwrócił się ku panu Pickwickowi w sposób bardzo gniewny i niemal z oburzeniem wymruczał kilka wysoce nieprzyjaznych zdań o jego oczach, członkach i krwi, filozof nasz nie uznał za właściwe przedłużać rozmowy. Po chwili pan Roker zaczął wstępować na inne schody, tak samo brudne jak poprzednie; za nim szedł pan Pickwick z Samem.

Doszedłszy do nowej galerii takich samych rozmiarów pan Roker zatrzymał się, by odechnąć i powiedział:

– To kawiarnia. Wyżej jest trzecie piętro, a nad nim strych. Pokój, w którym pan przepędzi dziś noc, nazywa się salą dozorców. Chodźmy tędy.

Powiedziawszy to wszystko jednym tchem, pan Roker wraz ze swoimi towarzyszami znowu wstąpił na schody.

Schody te były oświetlone przez kilka nisko osadzonych okien, które wychodziły na plac wysypany żwirem, otoczony wysokim murem zaopatrzonym w kozły hiszpańskie. Był to, jak objaśnił pan Roker, „plac balowy”, a według informacji tego gentlemana, w innej części więzienia, przytykającej do Farringolon Street, znajdowało się podobne, lecz mniejsze podwórze, zwane „placem malowanym”, gdyż na jego murach można było dawniej widzieć podobizny okrętów pod pełnym żaglem i tym podobne dzieła sztuki, którymi uwiecznili się zamknięci tu malarze.

Gdy pan Roker zakomunikował o tym, raczej dlatego tylko, by ulżyć sobie opowiadaniem o tym ważnym szczególe, aniżeli by objaśnić pana Pickwicka, przeszedł w inną galerię i skręcił w bocznicę u samego jej końca; tu otworzył drzwi i ukazał pokój o bynajmniej niepokojącym wyglądzie, gdzie stało osiem lub dziewięć łóżek.

– To, panie – rzekł pan Roker, stojąc w drzwiach i spoglądając na pana Pickwicka z triumfującą miną – to, panie, jest pokój.

Ale fizjonomia pana Pickwicka okazywała tak mało zadowolenia na widok tego lokalu, że pan Roker przeniósł swój wzrok na Samuela Wellera, zachowującego dotychczas pełne godności milczenie. Uczynił to zapewne w nadziei, iż znajdzie więcej zrozumienia w twarzy Sama.

– To pokój, młodzieńcze! – powtórzył.

– Widzę – odrzekł Sam, kiwając głową przyjaźnie.

– Nie spodziewał się pan znaleźć w tym miejscu takiego pokoju, co? – mówił dalej pan Roker.

Sam zamiast odpowiedzi przymknął jedno oko z wielką swobodą i wprawą, co mogło oznaczać, że i spodziewał się, i nie spodziewał, zależnie od tego, jak to sobie zechce tłumaczyć obserwator. Wykonawszy ten manewr Sam otworzył oko i zapytał, które mianowicie z tych dziwnych łóżek radzi zająć i na którym, według optymistycznego mniemania pana Roke-
ra, śpi się tak znakomicie.

– To tutaj – rzekł pan Roker wskazując w jednym kącie na stare, zardzewiałe łóżko żelazne. – Tu zaśnie każdy, czy chce, czy nie chce.

– Proszę! – rzekł Sam, patrząc na ten mebel z najwyższym wstrętem. – Zapewne – mówił dalej, spoglądając na swego pana spod oka w nadziei, iż ten zawaha się w swym postanowieniu na widok tego wszystkiego – zapewne inni gentlemani, którzy tu śpią, są prawdziwymi gentlemanami?

– Rozumie się. Jeden z nich wypija dwanaście kwart piwa dziennie i nie przestaje palić fajki, nawet gdy je.

– To musi być niezwykły człowiek! – zauważył Sam.

– O! Pierwsza klasa! – odrzekł pan Roker.

Bynajmniej nie wzruszony tą wiadomością, pan Pickwick oznajmił z uśmiechem, iż postanowił wypróbować zalety tego łóżka. Pan Roker powiedział na to, iż może iść spać, kiedy mu się podoba, bez żadnych formalności i bez uprzedniego zawiadomienia, po czym odszedł, pozostawiając go z Samem w galerii.

Zaczynało ciemnieć, to znaczy w tym miejscu, gdzie nigdy nie było widno, zapalono kilka płomieni gazowych, może przez grzeczność dla nadchodzącej nocy. Ponieważ było dość ciepło, więc niektórzy z mieszkańców licznych pokoików, leżących po prawej i lewej stronie galerii, pootwierali drzwi. Przechodząc galerią pan Pickwick z zajęciem i ciekawością zaglądał do ich wnętrza. Tu czterech czy pięciu opasłych mężczyzn, których zaledwie można było dojrzeć za kłębam dymu tytoniowego, krzychało i kłóciło się przy na wpół wypróżnionych szklankach piwa i grało bardzo brudnymi kartami. Tam biedny, samotny starzec, pochylony nad żółkłymi i podartymi papierami, wypisywał po raz setny przy słabym świetle łożówki długi spis swoich żalów, w nadziei, iż zdoła to dotrzeć do jakiejś znacznej osoby... która może nawet nie spojrzy na nie, której serce nigdy się tym nie przejmie. W trzecim pokoju jakiś mężczyzna wraz z żoną urządził na ziemi nędzne posłanie dla najmłodszego ze swych licznych dzieci. W czwartym, piątym, szóstym i siódmym znów karty, piwo i dym tytoniowy.

W samej galerii, a zwłaszcza na schodach, wałęsało się bez celu mnóstwo ludzi, jedni dlatego, że ich pokoiki były puste i samotne, drudzy znów, że ich były pełne i duszne. Większa jednak część dlatego, że trapił ich niepokój i sami nie wiedzieli, co z sobą począć.

Byli tu przedstawiciele wszystkich klas, od rzemieślnika w kaftanie z grubego barchanu aż do zrujnowanego utracjusza w kaszmirowym szlafroku z dziurą na łokciu. Ale wszyscy byli

podobni do siebie pod jednym względem: mieli miny niespokojne, spłoszone jak pojmana zwierzyna, a zarazem tak bezwstydnie i fanfarońskie, że trudno wprost opisać. Ale każdy, jeżeli tylko zechce, może je z łatwością zobaczyć, wystarczy bowiem wejść do pierwszego lepszego więzienia za długi, spojrzeć na byle jaką grupę i obserwować ją z takim zainteresowaniem, jak to czynił pan Pickwick.

– Co mnie zastanawia, Samie – rzekł filozof, oparłszy się o żelazną poręcz schodów – co mnie zastanawia, to że uwięzienia za długi właściwie nie uważa się za karę.

– Tak pan sądzi? – odparł pan Weller.

– Czy widzisz, jak ci ludzie piją i hulają? Niepodobna, by więzienie bardzo ich martwiło.

– Niezawodnie panie. Ci się tym nie martwią. Dla takich tu co dzień święto, bo mają porter, kręgle. Ale są inni, którym to bardzo dolega: biedacy, którzy nie mogą ani pić piwa, ani grać w kręgle, którzy modliliby się, gdyby mogli, i których serce krwawi, gdy ich tu zamkną. Ot, powiem panu, iż dla takich, którzy ciągle wałęsali się po szynkach, więzienie wcale nie jest karą; a tych znowu, którzy ciągle pracowali, zanadto przygnębia. Nie ma równości, jak mawia mój ojciec, gdy mu nie przyrządzą grogu pół na pół z wódką; nie ma równości i dlatego to nic niewarte.

– Sądzę, że masz słusność, Samie – rzekł pan Pickwick po kilku chwilach namysłu – zupełną słusność.

– Może znajdzie się przypadkiem jakiś uczciwy człowiek, który sobie tu upodoba – mówił Sam dalej – lecz przypominam sobie jednego tylko, a mianowicie pewnego umorusanego człeczynę w brązowym fraku. Ale to była siła przyzwyczajenia.

– Któż to był?

– Otóż tego właśnie nikt nie wiedział – odparł Sam.

– Cóż on zrobił?

– Ha! To samo, co wielu innych znakomitych ludzi jego czasów. Miał za duże wydatki, a nie umiał dochodów swych utrzymać z nimi w zgodzie.

– Czyli, innymi słowy, miał długi.

– Tak, i wskutek tego po jakimś czasie znalazł się tu. Nie chodziło o wiele, o dziesięć funtów szterlingów plus pięć funtów kosztów. Mimo to jednak przesiedział tu, nie wychodząc na krok, całych siedemnaście lat. Jeśli dostał trochę zmarszczek, to nie było ich widać, bo jego twarz i brązowy frak były pod koniec tak samo brudne jak na początku. Była to poczciwa istota, spokojna, nikomu nie zawadzająca, biegająca ciągle za interesami do tego, to owego lub grająca w karty i zawsze przegrywająca. W końcu dozorca więzienia bardzo go polubił i całymi wieczorami gawędzili z nim w swoich pokoikach. Pewnego wieczora, gdy był sam z jednym ze swych przyjaciół, który właśnie miał straż, powiedział nagle: – Wiesz, Billu, że nie widziałem rynku od siedemnastu lat. – Wiem – odpowiedział strażnik, paląc fajkę. – Chciałbym go widzieć choćby przez parę minut, Billu – powiada. – Nie wątpię o tym – mówił strażnik, puszczając dym. – Billu! – zawołał nagle umorusany człowiek – przyszła mi do głowy fantazja. Pozwól, bym jeszcze raz zobaczył rynek przed śmiercią, a jeśli nie dostanę apopleksji, powrócę punktualnie za pięć minut. – A co będzie, jak dostaniesz apopleksji? – pyta strażnik. – No to co? – odrzekł człeczyna – odniosą mnie tu; mam przecież w kieszeni bilet wizytowy: nr 20, schody do kawiarni. – Rzeczywiście tak było; gdy chciał zaznajomić się z jakimś nowym przybyszem, wyjmował zwykle z kieszeni mały pomięty kawałek papieru z wyżej wymienionym napisem; wskutek tego nazywano go Numerem Dwudziestym. Strażnik bystro spojrzął mu w oczy, a potem powiedział z wielce uroczystą miną: – Dwudziesty Numerze, zawierzam ci. Przecież nie zechcesz nabawić kłopotu staremu przyjacielowi. – Nie, mój kochany, mam przecież coś tu, w tym miejscu – odrzekł człeczyna, z całą siłą uderzając się w lewą stronę brązowego fraka i wylewając po jednej łzie z każdego oka, co było rzeczą nadzwyczajną, gdyż nigdy dotąd ani jedna kropla nie spłynęła po jego twarzy. Ucisnął rękę strażnika i poszedł.

– I więcej nie wrócił? – spytał pan Pickwick.

– Tym razem nie zgadł pan. Wrócił na dwie minuty przed terminem, okropnie zagniewany, gdyż omal go nie rozjechano. Powiedział, że do czegoś podobnego nie jest przyzwyczajony i niech go powiesz, jeżeli nie poskarży się lordowi majorowi. W końcu uspokojono go jakoś, ale przez następne pięć lat ani nosa nie wytknął za drzwi więzienne.

– A po upływie tego czasu zapewne umarł – rzekł pan Pickwick.

– Nie, panie, przyszła mu fantazja skosztować piwa w jednym szynku tuż koło więzienia i począł tam chodzić co wieczór, zawsze najregulamiej powracając na kwadrans przed zamknięciem bramy. Wszystko szło świetnie. W końcu tak sobie zaczął pozwalać, iż zapomniał, co to czas, i powracał coraz później, tak że pewnej nocy stary jego przyjaciel już miał zamykać bramę i nawet raz przekręcił klucz, gdy wtem na zewnątrz odezwał się głos: – Jeszcze chwilę, Billu. – Jak to, Numerze Dwudziesty – rzekł strażnik – toś jeszcze nie wrócił? Byłem pewny, że jesteś od dawna na miejscu. – Nie – odpowiedział człeczyna, uśmiechając się. – No, to powiem ci, mój przyjacielu – rzekł strażnik z przyganą w głosie, z wolna otwierając drzwi – powiem ci, iż z wielką przykrością zauważyłem, żeś wlaź w złe towarzystwo. Nie chcę cię martwić – powiada – ale jeżeli nie wystarcza ci znajomość z ludźmi przyzwoitymi i nie będziesz wracać w odpowiednim czasie, to, jak mnie widzisz, w ogóle cię nie wpuszczę do środka. – Mały człeczyna zaczął drzeć i trząść się i od tego czasu noga jego nie postąpiła poza więzieniem.

Podczas tego opowiadania pan Pickwick z wolna szedł po schodach. Przeszedłszy się potem kilka razy po podwórzu, prawie pustym w tym czasie, powiedział, że czas już iść spać, i polecił Samowi, by na tę noc znalazł sobie miejsce w jakiej pobliskiej oberży, nazajutrz zaś przyszedł wcześniej, aby sprowadzić rzeczy spod „Jerzego i Jastrzębia”. Sam wysłuchał tego rozkazu z całą, na jaką go stać było, uległością, ale równocześnie z bardzo widocznym niezadowolaniem. Próbował nawet wmówić w swego pana, że może by było właściwiej, gdyby przespał się gdziekolwiek na dziedzińcu więziennym, widząc jednak, że pan Pickwick jest zupełnie głuchy na tego rodzaju napomknienia, ostatecznie był zmuszony odejść.

Nie można tego przemilczeć, że i sam pan Pickwick czuł się bardzo nieswojo i był ogromnie przygnębiony – nie dla braku towarzystwa, gdyż w więzieniu było pełno ludzi, a butelka wina mogła mu zjednać towarzystwo kilku dystyngowanych gentlemanów z pominięciem formalnego przedstawienia; czuł się jednak zupełnie samotny w tym niesfornym tłumie, a myśl o wiecznym więzieniu bez nadziei uwolnienia odebrała mu pogodę ducha. Mimo to nie pomyślał nawet o tym, by odzyskać wolność czyniąc zadość chciwości takich łotrów, jak Dodson i Fogg.

W takim usposobieniu wszedł do galerii kawiarnianej i zaczął się przechadzać. Miejsce to było nieznośnie brudne, zapach tytoniu dusił prawie. Mieszkańcy nieustannie trzaskali drzwiami, gdy wchodzili lub wychodzili, a szum ich rozmów i odgłos kroków dudniły bez przerwy w galerii. Jakaś młoda kobieta z dzieckiem na ręku, które było tak wychudzone i wynędzniałe, że nie mogło raczkować, chodziła po galerii z mężem, gdyż nie było innego miejsca, gdzie by się mogli zobaczyć. Gdy przechodzili koło pana Pickwicka, usłyszał, jak kobieta gorzko łkała, a raz wybuchnęła tak głośnym płaczem, że musiała oprzeć się o ścianę, a mąż wziął dziecko na ręce i próbował ją uspokoić.

Filozof nasz nie mógł znieść tego i poszedł do swego pokoju.

Chociaż sala dozorców była bardzo niewygodna i pod tym względem stała nierównie niżej od pierwszego lepszego więziennego szpitala na prowincji, w obecnej jednak chwili miała przynajmniej tę zaletę, iż była zupełnie pusta. Pan Pickwick usiadłszy na swym żelaznym łóżku począł obliczać, ile rocznego dochodu może przynosić dozorcóm taka szkaradna nora. Przekonawszy się drogą wyliczeń, iż daje więcej aniżeli niejedna przedmiejska ulica, zapytał następnie sam siebie, co wpłynęło na niewielką muszkę łązącą mu po ubraniu, że wybrała na miejsce pobytu źle przewietrzane więzienie, mając tyle innych przyjemniejszych możliwości.

Zastanawiając się nad tym coraz głębiej, doszedł do przekonania, że owad musiał dostać pomieszania zmysłów. Stwierdziwszy to poczuł wreszcie, że mu się zbiera na sen, wydobył więc z kieszeni szlafmycę, którą wziął z sobą jeszcze rano, powoli rozebrał się i wsunawszy się w łóżko zasnął głęboko.

– Brawo, Zefirze! Ślicznie to zrobiłeś! Doskonale! Niech mnie diabli wezmą, jeżeli nie powinieneś być w operze! Hura!

Te wykrzykniki, powtarzane kilkakrotnie i coraz hałaśliwiej przy akompaniamencie głośnego śmiechu, wyrwały pana Pickwicka ze snu, który trwał nie dłużej niż pół godziny, choć jemu wydawało się, że minęło trzy lub cztery tygodnie.

Zaledwie ustał hałas, gdy podłoga sali zatrzęsa się tak gwałtownie, że okna i łóżka zadrzały. Pan Pickwick przestraszył się, siadł na łóżku i przez kilka minut ze zdumieniem przypatrywał się scenie, która się przed nim rozgrywała.

Na środku pokoju mężczyzna w zielonym fraku, aksamitnych spodniach i szarych pończochach wykonywał z wdziękiem i lekkością najdziwaczniejsze skoki, co w połączeniu z jego kostiumem czyniło nader osobliwe wrażenie. Inny mężczyzna, widocznie mocno pijany i rzucony na łóżko przez swych towarzyszy, siedział na nim otulony kołdrą i śpiewał niesłychanie sentymentalnie jakąś komiczną śpiewkę. Trzeci wreszcie, także siedzący na łóżku, oklaskiwał obydwu artystów z miną głębokiego znawcy i zachęcał ich, głośno wyrażając swe uznanie, czym właśnie zbudził pana Pickwicka. Ostatnia ta osoba przedstawiała znakomity obraz człowieka, którego w całej jego okazałości widzieć można tylko w takich miejscach. Można okazy takie spotkać czasami w stanie niedoskonałym koło stajen i szynków, ale do pełnego rozwoju dochodzą tylko w więziennych cieplarniach, jakby naumyślnie urządzonych dla nich przez prawodawstwo w tym chwalebnym celu, by rasa ta nie zaginęła.

Był to dorodny chłop, cery oliwkowej, z długimi, czarnymi włosami i gęstymi faworytami schodzącymi się pod brodą. Nie miał zakietu, gdyż cały dzień grał w piłkę, a odchyłony kołnierz koszuli ukazywał potężne rozmiary jego karku. Na głowie miał zwykłą czapkę francuską za osiemnaście pensów, zjaksrawymi chwostami, które bardzo harmonizowały ze zwykłą bluzą barchanową. Jego nogi, długie i słabe, zdobiła para spodni oksfordzkich, nadających się znakomicie do tego, by symetrię jego członków ukazać we właściwym świetle. Ponieważ były niedbale zasnurowane, a do tego niezupełnie zapięte – opadały więc wdzięcznymi fałdami na buciki, przydeptane o tyle, że widać było brudne, białe pończochy. Całą jego postawę znamionowała pewnego rodzaju łobuzerska, włóczęgowska żywość i nadęta filuterność, która warta była przynajmniej funt złota. On był pierwszym, który dostrzegł, że pan Pickwick przypatruje się im. Mrugnął więc na Zefira i z drwiącą powagą wezwał, by nie budził gentlemana.

– Niech Bóg ma tego znakomitego gentlemana w swej opiece teraz i na wieki wieków! – zawołał Zefir, odwracając się i udając największe zdziwienie. – Czy gentleman już się obudził? O, Szekspirze! Jakże się panu powodzi? Cóż porabiają Maria i Sara? No i ta przemiła stara dama? Cóż, panie? Czy nie byłby pan łaskaw do pierwszego pakunku, jaki pan odeśle, włożyć moje ukłony i napisać, że byłbym je prędzej odesłał, gdybym się nie bał, że mogłyby popękać na wozie? Dobrze, mój panie?

– Nie nudź gentlemana pustymi grzecznościami, kiedy widzisz, że umiera z pragnienia! – zawołał jowialny mężczyzna z faworytami. – Lepiej zapytaj go, czego by sobie życzył.

– Do pioruna! Zapomniałem o tym! Czego się pan napije? Wina porto czy kseresu? Mogę panu także zalecić piwo. A może też chce pan łyknąć portera? Pozwól mi pan, bym miał to szczęście zawiesić pańską szlafmycę!

Mówiąc to orator zerwał rzeczony przedmiot z głowy pana Pickwicka i w okamgnieniu osadził go na czole pijanego draba, który ani na chwilę nie przerwał swego melancholijnego zawodzenia, przekonany zapewne, iż zachwyca nim całe towarzystwo.

Pomimo dowcipu, jaki tkwi w zerwaniu komuś szlafmycy i osadzeniu jej na głowie nieznanego brudasa, był to niewątpliwie żart dość natrętny. Zapatrując się na rzecz z tego

punktu widzenia, pan Pickwick, nie zawiadamiając uprzednio o swych zamiarach, błyskawicznie wyskoczył z łóżka i potężnie palnął Zefira w brzuch, pozbawiając go w ten sposób znacznej ilości powietrza, które było związane z tym uroczym imieniem, po czym odebrał swoją szlafmycę, włożył ją sobie na głowę i śmiało stanął w postawie obronnej...

– Teraz – zawołał dysząc zarówno z gniewu, jak i niesłychanego wysiłku – występujcie obaj! Obaj razem!

Po tym śmiałym wyzwaniu zacny gentleman nadał zaciśniętym pięściom ruch obrotowy, by zaimponować przeciwnikom tą demonstracją własnej gotowości.

Czy to z powodu wielce skomplikowanego sposobu, w jaki pan Pickwick wyskoczył z łóżka, by się rzucić na tancerza, czy też z powodu niezwyklej odwagi, jaką okazał – mniejsza o to, dość, że wywarł wielkie wrażenie na swych przeciwnikach, gdyż ci, zamiast popełnić morderstwo, jak się tego filozof spodziewał, zatrzymali się, spojrzeli po sobie i w końcu wybuchnęli śmiechem.

– No, no, zuch z pana! – rzekł Zefir. – Włóż pan do łóżka, bo się nabawisz reumatyzmu. Spodziewam się, że nie ma pan do mnie żalu – mówił dalej, podając panu Pickwickowi rękę, mogącą całkowicie zapełnić jedną z rękawic blaszanych, jakie widzimy nad sklepami rękawiczników.

– Bynajmniej – odrzekł pan Pickwick dość rażno, teraz bowiem, gdy przeszło wzburzenie, poczuł zimno w nogach.

– Zrób pan i mnie ten honor – rzekł gentleman z faworytami, również podając mu swą prawicę.

– Z wielką przyjemnością – odpowiedział filozof, włączając do łóżka i ściskając podane ręce.

– Nazywam się Smangle – rzekł gentleman z faworytami.

– A! – odpowiedział pan Pickwick.

– A ja Mivins – rzekł gentleman w pończochach.

– Bardzo mnie to cieszy – odparł pan Pickwick.

– Hm – zakaszłał pan Smangle.

– Czy pan co powiedział? – zapytał pan Pickwick.

– Nie – odpowiedział tamten.

– Widocznie zdawało mi się – zauważył pan Pickwick.

Wszystko to odbywało się bardzo grzecznie i miło; aby utrzymać się na jeszcze bardziej przyjaznej stopie, pan Smangle zapewnił wielokrotnie pana Pickwicka, że ma głębokie uszanowanie dla uczuć gentlemana, co rzeczywiście głośno przemawiało na jego dobro, gdyż nie było najmniejszego powodu, by przypuszczać, że uczucia te zna z własnego doświadczenia.

– Przyszedł pan tu przez podwórze? – zapytał pan Smangle.

– Przez co? – zapytał pan Pickwick.

– Przez podwórze, ulica Portugalska, pan chyba wie?

– Nie – odparł pan Pickwick.

– Może zabrakło panu pieniędzy? – pytał dalej pan Smangle.

– O, nie! – odrzekł pan Pickwick. – Odmówiłem zapłacenia kosztów procesu i odszkodowania i to mnie tu zaprowadziło.

– A mnie – zawołał pan Smangle – zgubił papier.

– Był pan księgarzem? – zapytał niewinnie pan Pickwick.

– Uchowaj Boże! Nigdy tak nisko nie upadłem; w żadne handlarstwa nie wdawałem się. Gdy mówię papier, to chcę tym powiedzieć weksel!

– A, teraz pana rozumiem – rzekł pan Pickwick.

– No, gentleman musi umieć znosić nieszczęścia – dodał pan Smangle. – Ale cóż stąd, że jestem w więzieniu? Czy jestem przez to uboższy?

– Przeciwnie – wtrącił pan Mivins i miał słuszość. Pan Smangle był nawet bogatszy, gdyż przygotowując się do swego nowego mieszkania nabył bezpłatnie pewną ilość biżuterii, która dawno już powędrowała do lichwiarza.

– No, no! Wszystko to bardzo sucha robota – zawołał znów pan Smangle. – Warto by przepłukać gardło odrobiną ciepłego wina. Mivins pójdzie po nie, ja pomogę pić, a kto do nas przybył ostatni, ten zapłaci. Ja właśnie nazywam to bezstronnym i gentlemańskim podziałem pracy.

Nie chcąc narażać się na nową kłótnię pan Pickwick przystał na tę propozycję, dał pieniądze panu Mivinsowi, który nie tracąc czasu pobiegł do kawiarni, gdyż było już około jedenaściej.

– Słuchaj pan – rzekł cicho pan Smangle do pana Pickwicka, gdy tylko znikł jego przyjaciel – ile mu pan dałeś?

– Pół suwerena.

– To bardzo miły jegomość, no i gentleman... diabelnie miły... nie znam lepszego kolegi od niego, ale...

Tu pan Smangle zatrzymał się i potrzęsnał głową.

– Przecież pan nie przypuszcza, by sobie przywłaszczył te pieniądze? – zapytał pan Pickwick.

– O, nie! Broń Boże, tego nie mówię. Wyraźnie powiedziałem, iż jest to bardzo miły gentleman... ale sądzę, że nie wadziłoby pójść za nim i dopilnować, aby po drodze nie nadpił wina albo nie zgubił reszty. Chodź no tu pan! Wyleżże pan i zobacz, co robi gentleman, który dopiero co wyszedł.

Wezwanie to odnosiło się do jakiegoś małego, nieśmiałego człowieka, którego cały wygląd zdradzał wielkie ubóstwo, a który dotąd leżał skurczony na łóżku oszołomiony swym nowym położeniem.

– Wie pan, gdzie jest kawiarnia? Zejdź pan tam i... albo nie!... Wie pan, jak go złapiemy! – zawołał chytrze pan Smangle.

– Jak? – zapytał pan Pickwick.

– Powiedz pan, niech za resztę kupi cygar. Doskonały pomysł! Biegnij pan! Cygara nie przypadną – mówił dalej pan Smangle – w razie potrzeby ja je wypalę.

Manewr ten był pomysłowy i przeprowadzony z takim spokojem i obojętnością, że pan Pickwick nie sprzeciwiłby się temu, nawet gdyby miał możliwość. Wkrótce pan Mivins powrócił, niosąc sherry, które pan Smangle rozlał do małych kubeczków; zauważył przy tym, robiąc aluzję do siebie, że nie jest to sytuacja odpowiednia dla gentlemana, i co do niego, wcale nie jest dumny z tego, że musi pić z kubka. Na dowód czego wychylił prawie połowę zawartości flaszki.

Z tą chwilą w sali dozorców zapanowała wzorowa harmonia. Pan Smangle zabawiał towarzystwo, opowiadając rozmaite romantyczne przygody, w które był zamieszany; ciekawe te opowieści dotyczyły głównie pewnej cudnej Żydówki i pewnego konia czystej rasy. Obie te istoty były niezwyklej urody i zaliczyć je można do najpiękniejszych zjawisk tego świata.

Na długo przed ukończeniem tego opowiadania pan Mivins już chrapał na swoim łóżku, rzucając trwożliwego gentlemana i pana Pickwicka na pastwę doświadczeń pana Smangle'a.

Opowiadanie pana Smangle'a nie zbudowało jednak należycie dwóch wyżej wymienionych gentlemanów. Pan Pickwick drzemał już dłuższą chwilę, kiedy mu się nagle wydało, że pijany gentleman zaczął znowu śpiewać, ale Smangle, wylewając mu kufel zimnej wody na głowę, dał mu delikatnie do zrozumienia, że towarzystwo nie jest w muzykalnym nastroju. Pan Pickwick zasnął wreszcie, zdając sobie niejasno sprawę, że pan Smangle opowiada jakąś długą historię, której pointa polegała na tym, że kiedyś udało mu się (fakt to skonstatowany i zapisany) „objechać” pewną skargę i pewnego gentlemana.

Rozdział trzynasty

podobnie jak poprzedni, dowodzi słuszności starego przysłowia, że nigdy nie możesz przewidzieć, z kim będziesz spał; zawiera również dziwne i zdumiewające polecenie, jakie pan Pickwick dał Samowi

Otworzywszy oczy nazajutrz rano, pan Pickwick ujrzał najpierw Samuela Wellera siedzącego na małym, czarnym kufrze i z wielkim zajęciem przypatrującego się wspaniałej figurze wesołego pana Smangle'a, gdy natomiast ten, siedząc na pół ubrany na swym łóżku, wysiłał się bezskutecznie, by zmusić Sama do spuszczenia oczu. Powiadamy: bezskutecznie, gdyż Sam, obejmując jednym spojrzeniem nogi, głowę, twarz i faworyty pana Smangle'a, nie przedstawiał go oglądać z żywym zadowoleniem, lecz tak samo dbał o wrażenie, jakie to sprawiało na panu Smangle'u, jak gdyby patrzył na drewnianą statuetkę albo wypchaną figurę.

– Chcesz, widzę, poznać, kim jestem? – zapytał pan Smangle, marszcząc czoło.

– Mógłbym przysiąc, że się nie mylę! – wesoło zawołał Sam.

– Nie bądź pan impertynencki dla gentlemana, mój panie! – powiedział pan Smangle.

– Za nic w świecie! – odpowiedział Sam. – Jeżeli zechce mi pan powiedzieć, kiedy gentleman się obudzi, będę się zachowywał ekstra fajnie! – Ta uwaga, która pozwalała domyślać się, że Sam wątpił, czy pan Smangle jest gentlemanem, rozgniewała pana Smangle'a.

– Mivins! – zawołał z wściekłością.

– Co tam? – spytał tamten gentleman ze swego łóżka.

– Co to za diabeł?

– Właśnie – powiedział Mivins, wysuwając nos spod kołdry – właśnie chciałem o to zapytać ciebie. Ma tu jakiś interes?

– Nie! – odpowiedział Smangle.

– Więc zrzuć go ze schodów i zapowiedz, żeby się nie ośmielił wstać, zanim nie przyjdę go kopnąć! – powiedział pan Mivins. Po udzieleniu tej przyjacielskiej rady znów zaczął drzemać.

Ponieważ powyższa rozmowa zdradzała nieomyślnie symptomy, że może zejść na tory osobiste, pan Pickwick uznał za właściwe przerwać ją.

– Samie! – zawołał.

– Słucham pana!

– Nie zaszło nic nowego od wczoraj?

– Nic ważnego, panie – odrzekł Sam, nie przestając wpatrywać się w faworyty pana Smangle'a. – Wilgoć i gorące powietrze sprzyjają, zdaje się, w sposób niepokojący rozrostowi rozmaitego zielska; poza tym wszystko idzie swoim trybem.

– Podaj mi czystą bieliznę.

Uspodobienie i zamiary pana Smangle'a, chociaż bardzo nieprzyjemne, uległy złagodzeniu, gdy zajrzał do wnętrza kufra podróżnego przyniesionego przez Sama. Zmieniło to zdanie jego nie tylko o panu Pickwicku, ale i o Samie. Wskutek tego korzystając ze sposobności, oświadczył tonem donośnym, iż poczytuje Sama za oryginała czystej krwi i co za tym idzie, za jed-

nego z ludzi, jakich szczególnie lubi. Co do pana Pickwicka, to w pierwszej chwili poczuł do niego sympatię bez granic.

– Czy mogę panu czym służyć, drogi panie? – zapytał.

– Zdaje się, że nie, dziękuję – odrzekł filozof.

– Może pan potrzebuje odesłać bieliznę do praczki? Znam tu doskonałą praczkę w sąsiedztwie. Przychodzi do mnie dwa razy na tydzień... Na Jowisza! Jakże to szczęśliwie się składa! Dziś właśnie ma przyjść! Mogę oddać pańskie rzeczy razem z moimi! Nie mówmy o trudzie: cóż to znaczy trud? Cóż byłaby warta ludzkość, gdyby gentleman w nieszczęściu nie zadał sobie trochę trudu, by dopomóc drugiemu gentlemanowi znajdującemu się w takim samym położeniu?

Tak mówił pan Smangle i jednocześnie przysuwał się do kufra, jak można najbliżej, rzucając spojrzenia pełne i najżywszej, i najbardziej bezinteresownej życzliwości.

– Może ma pan co dać chłopcu do wyczyszczenia? – zapytał.

– Nic a nic – odrzekł Sam, wyręczając pana Pickwicka. – Może by było jednak przyjemnej dla obu stron, gdyby jeden z nas zabrał się do szrotkowania – jak powiedział pewien bakałarz, gdy młodzi gentlemani nie chcieli dać się oćwiczyć.

– A nie ma pan nic, co bym mógł włożyć razem z moimi rzeczami do skrzynki i oddać praczce? – zapytał znowu pan Smangle, z niesmakiem odwracając się od Sama i patrząc wprost na pana Pickwicka.

– Nic – odrzekł Sam – obawiam się, że pańska skrzynka jest nabita pańskimi własnymi rzeczami.

Słowom tym towarzyszyło wyraziste spojrzenie na tę część ubrania pana Smangle'a, która zwykle świadczy o umiejętności praczki. Wskutek tego gentleman ten odwrócił się rezygnując, na razie przynajmniej, z widoków na garderobę i sakiewkę pana Pickwicka, w złym humorze wyszedł na dziedziniec, na lekkie a zdrowe śniadanie, składające się z dwóch cygar kupionych wczoraj za pieniądze pana Pickwicka.

Pan Mivins nie palił, jego rachunek zaś w miejscowym sklepiku dosięgał już samego dołu stronicy księgi rachunkowej. Ponieważ kupiec nie chciał za nic odwrócić na drugą stronę tej wielkiej księgi, pan Mivins pozostał w łóżku, by, jak mówił, śniadać z Morfeuszem.

Pan Pickwick zjadł śniadanie w małym pokoiku obok kawiarni, noszącym obiecującą nazwę „ukrytego kąta”. Każdy gość w tym „ukrytym kącie” za nieznaczną opłatą korzystał z tego przywileju, że mógł słuchać wszystkich rozmów w kawiarni. Potem pan Pickwick wysłał Sama po sprawunki i udał się do pana Rokera, aby porozmawiać o swym przyszłym pomieszczeniu.

– A! pan Pickwick – rzekł ten gentleman, przeglądając ogromną księgę. – Miejsca i wygod nam nie zabraknie. Dam panu bilet kątem do nru 27 na trzecim piętrze.

– Bilet jaki? – zapytał filozof.

– Bilet kątem. Czy pan nie rozumie?

– Przyznam się, że nie! – rzekł pan Pickwick, uśmiechając się.

– Ależ to jasne jak dzień. Będzie pan mieszkał kątem pod nrem 27, w towarzystwie innych gentlemanów.

– Ilu ich jest? – zapytał pan Pickwick niepewnym głosem.

– Trzech...

Pan Pickwick odkaslnął.

– Jeden duchowny – mówił dalej pan Roker, pisząc coś na małym kawałku papieru – drugi rzeźnik.

– Kto? – zapytał pan Pickwick.

– Rzeźnik! – powtórzył pan Roker, uderzając piórem o stół, aby mu przeszła ochota do robienia kleksów. – To musiał być swego czasu zabijaka! Neddy, pamiętasz Toma Martina? –

Słowa te były zwrócone do drugiego mieszkańca tego pokoiku, który właśnie pracował nad zeszkrobaniem błota z trzewików przy pomocy scyzoryka o dwudziestu pięciu ostrzach.

– No myślę! – powiedziało to indywidualum z naciskiem.

– Jak mi życie miłe! – podjął pan Roker, kiwając głową na obie strony i wodząc nieobecny wzrokiem po oknie, jak gdyby nagle przypomniały mu się jakieś rozkoszne sceny z dzieciństwa. – Wydaje mi się, że to dopiero wczoraj zbił na kwaśne jabłko tragarza węgla, tam w porcie! Widzę go jeszcze wyraźniej, jak idzie między dwoma strażnikami trochę oszłomiony tym zajściem, z plasterkiem na prawym oku, a za nim kroczy ten jego buldog! Jak w książce z obrazkami. Co to za śmieszna rzecz ten czas, prawda, Neddy?

Gentleman, do którego zwrócone były te słowa, widocznie milczący i nietowarzyski z natury, odpowiedział tylko mruknięciem. Pan Roker oderwał się od poetyckiego toku myślenia i powracając do prozy życia, ujął pióro.

– Zna pan trzeciego? – zapytał pan Pickwick, nie bardzo zadowolony z przysłych towarzyszy.

– Co to za Simpson, Neddy? – zapytał pan Roker towarzysza.

– Jaki Simpson?

– No, ten spod dwudziestego siódmego, na trzecim piętrze, z którym ten gentleman ma razem mieszkać!

– Ach, ten! – zawołał Neddy. – Nic szczególnego! Przedtem był współnikiem kuglarza, potem zwyczajnym oszustem!

– Tak i ja myślałem! – powiedział pan Roker, wręczając panu Pickwickowi mały skrawek papieru. – Oto bilet dla pana!

Zakłopotany filozof wyszedł rozmyślając nad tym, co ma teraz począć. W końcu postanowił przynajmniej zobaczyć ludzi, z którymi chciano go umieścić, udał się więc na trzecie piętro.

Błądząc długo po galerii i mozoląc się nad odczytywaniem w ciemności numerów na drzwiach, spotkał nareszcie chłopca z szynkowni i zapytał go, gdzie jest numer 27.

– Piąte drzwi – odrzekł chłopak – na drzwiach jest wymalowany gentleman na szubienicy z fajką w ustach.

Kierując się tą wskazówką pan Pickwick poszedł dalej, odnalazł portret wzmiankowanego gentlemana, w którego twarz zapukał najpierw lekko, a potem mocniej. Ale gdy kilkakrotnie powtarzał tę operację na próżno, zdecydował się w końcu zajrzeć do wnętrza.

W pokoju znajdował się tylko jeden jego mieszkaniec, wychylony za okno na tyle, na ile pozwalały prawa równowagi, i zabawiający się tym, że próbował pluć na kapelusz jednemu ze swych przyjaciół znajdujących się na dziedzińcu. Pan Pickwick nie mogąc oznajmić o swym przybyciu ani kaszlem, ani kichaniem, ani stukaniem, ani żadnym innym podobnym sposobem, w końcu zbliżył się do okna i pociągnął lekko za połę wychylone indywidualum. Indywiduum to z wielką szybkością cofnęło głowę i plecy, obejrzało pana Pickwicka od stóp aż do głowy i zgryźliwym tonem zapytało, czego, u diabła, sobie życzy.

– Jeżeli się nie mylę, to tu jest nr 27 – rzekł filozof spoglądając na swą kartę.

– No i cóż z tego?

– Przychodzę tu, ponieważ dano mi ten bilet.

– Pokaż pan.

Pan Pickwick pokazał bilet.

– Nie mógł też Roker wsadzić pana gdzie indziej? – rzekł z niezadowoleniem pan Simpson (gdyż on to był).

Pan Pickwick w pełni podzielał to zapatrywanie, ale uważał, że rozsądniej będzie zachować milczenie.

Pan Simpson pomyślał przez chwilę, potem wysunął głowę za okno, gwizdnął przeciągle i kilka razy coś zawołał. Co to znaczyło, pan Pickwick nie mógł zrozumieć, domyślił się jed-

nak, że to przezwisko pana Martina, a to dlatego, że kilku gentlemanów stojących na dole zaczęło krzyżeć: – Panie rzeźnik! – naśladować ton, jakim ludzie tego zawodu zwykle zawiadamiają o swojej obecności na targu.

Najbliższe zdarzenia potwierdziły przypuszczenia pana Pickwicka. W kilka minut potem do pokoju wszedł mężczyzna niezwykle na swój wiek otyły, w niebieskiej rzeźniczej bluzie i ogromnych butach. Idąc, sapał jak miech; za nim szedł ktoś drugi, w mocno połatanym ubraniu, usiłując na próżno zapiąć frak, przy którym brakowało guzików i pętelek. Twarz miał czerwoną i wyglądał na pijanego kapelana, czym rzeczywiście był. Obaj obejrżeli bilet pana Pickwicka, przy czym jeden z nich powiedział: – Ph! – a drugi: – Hm! – Wyraziwszy swoje uczucia w ten wielce dobitny sposób, spojrzeli na pana Pickwicka, potem na siebie wśród bardzo niemiłego milczenia.

– To dopiero nieznośne! I właśnie teraz, kiedyśmy się tak dobrali! – powiedział kapelan, patrząc na trzy brudne materace, zwinięte i rzucone w kąt; zajmowały one w ciągu dnia jeden róg pokoju i tworzyły rodzaj wzniesienia, na którym stała zwykła, gliniana, żółta miednica i miseczka na mydło, ozdobiona niebieskim kwiatkiem. – To dopiero nieznośne!

Pan Martin wyraził to samo zapatrywanie w sposób o wiele dobitniejszy, pan Simpson wygłosił mnóstwo przymiotników, którym nie towarzyszył ani jeden rzeczownik, po czym zabrał się do płukania jarzyn na obiad.

Przez ten czas pan Pickwick rozglądał się po pokoju niemożliwie brudnym i nie do zniesienia pachnącym stęchlizną. Ani śladu mebli, dywanu, firanek lub zasłon. Nie było nawet szafy. Prawda, że nie było również nic, co by można do niej schować, nawet gdyby istniała. Sporo jednak było w tym pokoju rozmaitych przedmiotów niewielkich rozmiarem i znaczeniem, a mianowicie kawałki mięsa, okruchy chleba i sera, mokre gałgany, trzonki od noży i widelców itp. Przedmioty te nie robią miłego wrażenia, gdy pokrywają podłogę izby mającej służyć za sypialnię, jadalnię i pracownię trzem nic nie robiącym drabom.

– Może da się to jakoś ułożyć – powiedział wreszcie rzeźnik po długim milczeniu. – Ile pan żąda odstępnego?

– Przepraszam pana – odpowiedział pan Pickwick. – Nie rozumiem. Co pan powiedział?

– Ile pan żąda za to, żeby pójść stąd precz? – spytał rzeźnik.

– Zwykła taksa to dwa szylingi i sześć pensów. Bierze pan trzy szylingi?

–... I ławkę – dodał jegomość z miną duchownego.

– Mniejsza o to! – powiedział Martin. – To tylko różnica dwóch pensów!

– Cóż pan na to? Zapłacimy panu trzy szylingi tygodniowo.

– I postawimy galon piwa! – dodał pan Simpson. – Jazda!

– Który wypić można zaraz! – uzupełnił kapelan. – No?

– Tak mało znam przepisy, jakie w tym miejscu obowiązują – powiedział pan Pickwick – że nie rozumiem dokładnie, o co chodzi. Czy mógłbym mieszkać gdzie indziej?

Usłyszawszy to rzeźnik spojrział ze zdumieniem na swoich towarzyszy. Wtedy każdy z tych gentlemanów palcem lewej ręki wskazał poza lewe ramię. Tego rodzaju ruch ma wiele wdzięku, gdy go wykona jednocześnie kilka dam i gentlemanów. Wyraża on lekki sarkazm, pełen dowcipu i dobrego humoru.

– Czy mógłby pan?! – powtórzył Martin z uśmiechem politowania.

– Gdybym tak mało miał doświadczenia życiowego jak pan, zjadłbym własny kapelusze i połknął sprzączki od butów! – zawołał jegomość z miną duchownego.

– Ja również! – powtórzył pan Simpson.

Po tym krótkim wstępie trzech kamraci objaśnili pana Pickwicka, że pieniądze w więzieniu znaczą tyleż, co pieniądze poza więzieniem, że za pieniądze dostanie wszystko, czego zapragnie. Jeżeli więc przypadkiem posiada pieniądze i jest nie od tego, żeby je wydać, i jeżeli tylko życzy sobie mieć osobny pokój dla siebie, to nie dłużej niż za pół godziny będzie miał zupełnie umeblowany i urządony pokój.

Potem towarzystwo rozstało się ku ogólnemu zadowoleniu obu stron. Pan Pickwick znów poszedł do pana Rokera; trzej zaś towarzysze udali się do kawiarni, by przepić pięć szylingów, gdyż jegomość z miną duchownego był na tyle przezorny, że pożyczył je od filozofa.

Gdy pan Pickwick oświadczył panu Rokerowi, po co przyszedł, ten zawołał śmiejąc się:

– Wiedziałem, że tak będzie! Czy nie mówiłem tego, Neddy? Posiadacz uniwersalnego scyzoryka także zaśmiał się.

– Wiedziałem, że zażąda pan innego pokoju! Wiem, że i meble będą potrzebne; wszystko to mogę panu wynająć.

– Bardzo dobrze.

– Na schodach po drodze do kawiarni jest przepyszny pokój należący obecnie do pewnego więźnia kanclerstwa: będzie pana kosztować jednego funta na tydzień. Sądzę, że nie ma pan nic przeciwko temu.

– Bynajmniej.

– Więc chodź pan ze mną – rzekł żywo pan Roker, biorąc kapelusz. – Wszystko załatwimy w pięć minut.

Tak się też stało. Więzień kanclerstwa siedział w tym miejscu dość długo, by utracić przyjaciół, mienie, szczęście i w zamian uzyskać prawo do posiadania osobnego pokoju. Ale ponieważ często spotykała go ta przykreść, że nie miał co jeść, chętnie więc przystał na odstąpienie swego pokoju panu Pickwickowi za dwadzieścia szylingów tygodniowo.

Podczas zawierania tej umowy filozof ze smutnym zainteresowaniem przypatrywał się temu biedakowi. Był to człowiek słusznego wzrostu, wychudły, trupio blady, w czarnym surducie i dziurawych pantoflach. Policzki miał zapadłe, usta bez krwi. Żelazny ząb osamotnienia i niedostatku gryzł go powoli w ciągu dwudziestu lat.

– Gdzie się pan teraz podzieje? – zapytał go pan Pickwick, kładąc na stole należne za tydzień pieniądze.

Więzień skwapliwie pochwycił je i odpowiedział, iż nie wie jeszcze, musi zobaczyć, dokąd będzie mógł przenieść łóżko.

– Obawiam się – rzekł pan Pickwick – iż będzie pan zmuszony mieszkać w miejscu hałaśliwym i przeludnionym. Proszę więc pana, byś rozporządzał tym pokojem jak swoim własnym, gdy będzie pan potrzebował spokoju lub gdy cię przyjdą odwiedzić przyjaciele.

– Przyjaciele! – zawołał więzień głuchym głosem. – Gdybym leżał w trumnie zakopanej w błotnistej fosie tego więzienia, nie mógłbym być więcej zapomnianym i opuszczonym niż teraz! Jestem człowiekiem umarłym, umarłym dla świata i nikt nie ma dla mnie nawet tego współczucia, jakie przypada w udziale tym, którzy stanęli przed sądem Boga. Przyjaciele! Całe moje życie upłynęło w więzieniu i gdy umrę, nie znajdzie się nikt, by podnieść rękę nad moim łóżkiem i powiedzieć: – Bogu niech będzie chwała; już nie cierpi więcej!

Niezwykły blask, jakim podniecenie opromieniło twarz starca, zgasł, gdy tylko przestał mówić. Rozpaczliwym ruchem załamał dłonie i pośpiesznie wyszedł z pokoju.

– Ech, ech! Bryka jeszcze czasami! – rzekł pan Roker z uśmiechem. – Są oni jak słonie: czasem czują to jeszcze i to ich wprowadza w szał.

Zrobiwszy tę uwagę świadczącą o głębokim zrozumieniu, pan Roker tak szybko zajął się urządzeniem wszystkiego dla wygody pana Pickwicka, iż w niedługim czasie znalazł się dywan, sześć krzeseł, stół, łóżko, szafa, maszynka do herbaty i tym podobne niezbędne przedmioty. Wszystko to miało kosztować najwyżej dwadzieścia siedem szylingów i sześć pensów tygodniowo.

– Może pan potrzebuje jeszcze czego? – zapytał pan Roker spoglądając dokoła z wielkim zadowoleniem i pobrzękując w rękę pieniędzmi otrzymanymi za pierwszy tydzień.

– Tak – odrzekł pan Pickwick, który od kilku minut rozmyślał głęboko. – Czy można tu znaleźć ludzi, którzy mogliby wykonywać w mieście moje polecenia i w ogóle załatwiać moje sprawy?

– To znaczy: nie więźniów?

– Tak, bo muszą także wychodzić do miasta.

– Dobrze – rzekł pan Roker. – Jest tu jeden biedak, który ma przyjaciela w oddziale dla ubogich; bardzo będzie rad, gdy go się użyje do tego. Od dwóch miesięcy lata wszędzie, dokąd go poślą. Mam go przywołać?

– Owszem... ale zaczekaj pan... nie... Powiedział pan: oddział dla ubogich? Ciekaw jestem zobaczyć to... sam pójdę.

Oddział dla ubogich w więzieniu za długi jest to, jak już świadczy sama nazwa, miejsce pobytu najniezwyklejszych i najbiedniejszych dłużników. Więzień, który oświadczy, iż chce, by go umieszczono w oddziale dla ubogich, nie płaci nic i otrzymuje niewielką ilość żywności z datków składanych na ten cel co pewien czas przez osoby litościwe. Przed kilkunastoma laty można było jeszcze widzieć w ścianie więzienia przy Fleet Street rodzaj klatki żelaznej, w której siedział człowiek o twarzy wygłodzonej, potrząsający co chwila skarbonką i wołający ponurym głosem: – Pamiętajcie o biednych dłużnikach! – To, co zebrano w ten sposób, jeżeli co zebrano, dzielono między ubogich więźniów, którzy kolejno siadywali w klatce.

Chociaż zwyczaj ten zniesiono i klatka zniknęła, jednak położenie biednych więźniów nie uległo zmianie. Dziś nie pozwalamy, by się odwoływali do współczucia przechodzących, ale dla zbudowania przyszłych pokoleń pozostawiamy w swej mocy słusze i dobroczynne prawa, pozwalające na to, by najgorszych przestępców ubierano i karmiono, gdy tymczasem dłużnik nie mający pieniędzy skazany jest na śmierć głodową. Bez przesady; nie ma tygodnia, aby w naszych więzieniach za długi biedacy ci nie byli wydani na powolne tortury śmierci głodowej, gdyby nie przychodzili im w pomoc współwięźniowie.

Rozważając to wszystko, pan Pickwick szedł w górę po wąskich schodach, na których opuścił go Roker; refleksje nad losem tych ludzi tak go wzburzyły, że gdy wpadł do uprzednio wskazanego mu pokoju dla biednych, nie od razu zorientował się, gdzie jest i po co przyszedł.

Jednak na widok tego pomieszczenia opamiętał się; ale gdy wzrok jego padł na człowieka skulonego przy lichym ogniu, kapelusz wypadł mu z rąk. Pan Pickwick stanął nieruchomo i skamieniał.

Tak, w łachmanach, bez surduta i kamizelki, w podartych spodniach, perkalowej koszuli, żółtej i podartej, z długimi włosami spadającymi mu na oczy, z twarzą skrzywioną od bólu i zapadłą z głodu – siedział tu pan Alfred Jingle! Wsparłszy głowę na dłoń, wpatrywał się uparcie w ogień, a cała jego postać świadczyła o nędzy w najokropniejszej jej postaci. Obok niego, oparty a ścianę, stał barczysty właściciel ziemski i starym biczem otrzepywał sobie but zdobiony jego prawą nogę; lewa była obuta w pantofel. Konie, psy i hulanki spowodowały jego ruinę. U jedynego buta miał jeszcze zardzewiałą ostrogę, którą czasem prął powietrze, trzaskając potężnie z bicza i wydając okrzyki, jakimi zwykle jeździec zachęca konia; widocznie w wyobraźni brał udział w jakichś szalonych wyścigach z przeszkodami. Biedaczysko! Na żadnych wyścigach odbytych na najlepszym koniu swej kosztownej stajni nie przebiegłby ani w połowie tak szybko ziemskiej swej drogi, jak się to stało tu, w więzieniu przy Fleet Street, gdzie bieg swego życia zakończył. W innej stronie pokoju jakiś starzec siedział na drewnianym stołku i wlepił oczy w podłogę. Głęboka rozpacz zorała mu twarz. Dziewczynka, mała wnuczka, usiłowała go rozerwać tysiącem niewinnych pieszczot; ale starzec nic nie widział i nie słyszał. Głos, który ongi był muzyką dla jego ucha, oczy, które były jego światłem, nie wzruszyły go teraz. Jego członki chwiały się bezwolnie, a jego umysł jakby tknął paraliż.

W innym kącie dwóch czy trzech mężczyzn rozmawiało głośno. Jakaś kobieta o wychudłej twarzy i błędnym wzroku, żona więźnia, podlewała w doniczce nędzne resztki wyschłej rośliny, która nigdy już nie miała się zazielenić; aż nazbyt prawdziwy to obraz obowiązku, który ją tu przywiódł.

Tacy to ludzie przedstawili się oczom pana Pickwicka, gdy ze zdumieniem spoglądał dookoła. Usłyszawszy szybkie kroki kogoś wchodzącego, obudził się z zadumy i zwrócił się ku drzwiom. W nowo przybyłym, pomimo łachmanów, brudu i nędzy, rozeznał nieobce mu rysy Hioba Trottera.

– Pan Pickwick! – zawołał Hiob głośno.

– Ha! – krzyknął nań Jingle, zrywając się ze swego miejsca. – Pan... tak, tak! dziwne miejsce... szczególna rzecz! Zasłużyłem na to: dobrze się stało.

Mówiąc to, pan Jingle wsunął ręce w miejsce, gdzie zwykle bywają w spodniach kieszenie, i zwiesiwszy głowę na piersi, znów opadł na krzesło.

Pan Pickwick był do głębi wzruszony; obaj ci ludzie wyglądali tak nędznie! Krótkie spojrzenie, jakie pan Jingle mimo woli rzucił na mały kawałek surowej baraniny przyniesionej przez Hioba, wyraźniej aniżeli dwugodzinne opowiadanie ukazało panu Pickwickowi, do czego doszedł były kapitan Fitz-Marshall. Filozof spojrział na pana Jingle'a wzrokiem łagodnym i powiedział:

– Chciałbym z panem pomówić na osobności. Chodź pan ze mną na chwilę.

– Proszę bardzo – odrzekł Jingle, wstając pośpiesznie. – Ale daleko nie ujdę. Zresztą, tu nie trzeba się obawiać długiej podróży.

Park otoczony wysokim murem. Piękna miejscowość, malownicza, ale nie rozległa. Wejście otwarte. Rodzina zawsze w mieście. Dozorca piekielnie baczny.

– Zapomniał pan wziąć surdut – rzekł pan Pickwick, idąc po schodach.

– Ach tak!... Wisi na kołku... U pewnej krewnej... ciotki ze strony matki. Nie można było zrobić inaczej. Trzeba jeść; pan wie, potrzeba naturalna... i tego...

– Co pan mówi?

– Surdut poszedł na ochotnika, kochany panie, ostatni surdut. Ba! Co się stało, to się stało. Żyłem parą butów dwa tygodnie! tydzień jedwabnym parasolem z rączką z kości słoniowej; tak jest, słowo honoru! Spytaj pan Hioba, on wie wszystko.

– Trzy tygodnie żył pan parą butów i parasolem – zawołał pan Pickwick z przerażeniem, gdyż podobne wypadki znał tylko z opowiadań o rozbitkach i z książki Constable'a.

– Tak, tak! – powtórzył pan Jingle, kiwnąwszy głową. – Kwity mam przy sobie, nędzne sumy, grosze, na zastaw nic nie dają, złodzieje.

– A! – zawołał pan Pickwick, któremu wielce ulżyło to wyjaśnienie. – Teraz rozumiem. Zastawiłeś pan swoje rzeczy.

– Wszystkie – Hiob także – wszystką bieliznę – ba! – w ten sposób oszczędność – nie trzeba prania – wkrótce nic nie będzie – położyć się i umrzeć z głodu – śledztwo – anatomia – biedny więzień – nędza – nie trzeba rozgłaszać – przysięgli – dostawcy więzienni – bez hałasu – śmierć naturalna – kondukt ubogiego – dobrze zasłużony – wszystko się skończyło – spuszczać zasłonę.

Jingle wypowiedział tę dziwną treść swego przyszłego życia ze zwykłą lakonicznością, usiłując rozmaitymi grymasami naśladować uśmiech. Ale pan Pickwick łatwo dostrzegł, iż cała ta obojętność była tylko udana, kiedy bowiem spojrział mu prosto w twarz, ale bez gniewu, przekonał się, iż Jingle miał wilgotne oczy.

– Poczciwy człowiek – zaczął znów Jingle, ściskając rękę filozofa i odwracając głowę. – Pies niewdzięczny – głupio jest płakać – nie można inaczej – gorączka szkaradna – słaby – głodny – wszystko to zasłużone – ale cierpi bardzo! O, bardzo!

Nie mogąc dłużej utrzymać pozorów, a może już zmęczony i zniechęcony, komediant siadł na schodach i zakrywszy sobie twarz rękami zaczął cicho płakać jak dziecko.

– No, no – zawołał pan Pickwick z wielkim wzruszeniem. – Zobaczą, co będzie można zrobić dla pana, gdy poznam lepiej pańskie dzieje. Hiob! Chodź tu!... Gdzie on jest?

– Jestem tu, panie! – odrzekł Hiob, ukazując się na schodach. Powiedzieliśmy o nim już dawniej, że miał za dobrych czasów oczy bardzo wpadnięte. Obecnie, w biedzie, zdawało się, iż ich wcale nie ma.

– Jestem, panie – rzekł Hiob.

– Chodź no tu – zaczął pan Pickwick, usiłując przybrać surową minę, pomimo czterech dużych łez, które staczały mu się po kamizelce. – Masz!

Masz – co? Według zwyczaju przyjętego w świecie powinno to być tęgim uderzeniem pięścią, a przynajmniej – tacy już są ludzie – dobry szturchaniec. Pana Pickwicka swego czasu najniegodziwiej przecież wyprowadził w pole ten wyrzutek, który teraz znajdował się w jego mocy. Ale czy powiedzieć prawdę? Było to coś brzęczącego, co z kieszeni kamizelki pana Pickwicka przeszło do rąk Hioba. A to, że pan Pickwick dobrem opłacił za zło, to rozjaśniło oczy naszego zacnego starego przyjaciela i sprawiło, że serce jego biło mocno, gdy śpiesznie odchodził.

Przyszedłszy do swego pokoju, znalazł tam Sama, który przyglądał się wykwiśniętemu urzędzeniu z ponurą miną. Stanowczo zdecydowany przeciwdziałać temu, by jego pan długo tu pozostawał, poczytywał sobie za moralny obowiązek wyrażać niezadowolenie ze wszystkiego, co tu robiono, mówiono, zamyślano i planowano.

– No, Samie?

– No, panie?

– Dość wygodnie, co?

– Nieźle – odrzekł Sam, pogardliwie rzucając wzrokiem dokoła.

– Czyś widział pana Tupmana i innych naszych przyjaciół?

– Widziałem, panie, przyjdą tu jutro. Dziwię się tylko, że dziś tu nie przybyli – zauważył.

– Przyniosłeś mi rzeczy, których żądałem? Zamiast odpowiedzi Sam wskazał palcem na rozmaite paczki, ułożone porządnie w jednym kącie pokoju.

– Bardzo dobrze – rzekł pan Pickwick, a po chwili wahania dodał: – Słuchaj no, Samie, coś ci powiem...

– Słucham pana.

– Samie – zaczął pan Pickwick bardzo uroczyście. – Czulem od samego początku, że miejsce to nie jest odpowiednie dla młodego człowieka.

– I dla starego również – odparł pan Weller.

– Masz zupełną słuszność. Ale starzy mogą wpaść tu czasami wskutek własnej nieroztropności i łatwowierności, a młodzi przez egoizm tych, którym służą. Dla takich młodych ludzi pod każdym względem lepiej będzie, gdy tu nie zostaną. Czy rozumiesz mnie, Samie?

– Nic nie rozumiem – odrzekł służący z głupia frant.

– Ale zastanów się tylko.

– Dobrze, panie – odrzekł Sam po krótkim milczeniu – zdaje mi się, iż wiem, do czego pan zdąży; a jeżeli wiem, do czego, to moim zdaniem tego już nadto – jak mówił stangret do śnieżnej zawiei, która nie pozwalała mu jechać.

– Uważam, że mię pojmujesz, Samie. Jak powiedziałem, nie chcę, byś przez całe lata wałęsał się po tym miejscu; poza tym jest to niedorzecznością, by człowiek uwięziony za długi trzymał służącego. Trzeba, byś mię na jakiś czas opuścił...

– O! Na jakiś czas! – powtórzył Sam z wielkim sarkazmem.

– Tak, dopóki tu pozostaję. Będę ci płacił pensję, a którykolwiek z moich trzech przyjaciół chętnie weźmie cię do siebie, choćby przez szacunek dla mnie. Jeżeli kiedy opuszczę to miejsce, Samie – mówił dalej pan Pickwick z udaną wesołością – daję ci słowo, iż natychmiast powrócisz do mnie.

– A teraz ja panu powiem – odrzekł Sam głosem poważnym i uroczystym. – Nic z tego nie będzie, więc nie ma co o tym mówić.

– Samie, mówię to zupełnie poważnie. Postanowiłem...

– Postanowił pan? Bardzo dobrze! I ja postanowiłem! Powiedziawszy te słowa stanowczym głosem, Sam bardzo ostrożnie osadził sobie kapelusz na głowie i szybko wyszedł z pokoju.

– Samie! – zawołał za nim pan Pickwick. – Samie, chodź tu jeszcze.
Ale Sam zniknął w długiej galerii.

Rozdział czternasty

w którym Samuel Weller wpada w złe interesy

W wielkiej sali, źle oświetlonej, a jeszcze gorzej przewietrzonej, przy ulicy Portugalskiej, Lincoln's Inn Fields, dwóch, trzech lub czterech gentlemanów w perukach zasiada prawie przez cały rok za brudnymi pulpitemi, zbudowanymi na wzór tych, jakich używają sędziowie w tym kraju; różnią się od nich tylko tym, że nie są polerowane. Po prawej ich ręce znajduje się ława adwokatów, po lewej miejsce dla niewypłacalnych dłużników, a mnóstwo brudnych twarzy przed nimi. Gentlemani ci to komisarze Trybunału Bankrutów, a sala, w której siedzą, to sam Trybunał.

Dziwaczny los sprawił, że od niepamiętnych czasów bezdomni ubodzy mieszkańcy Londynu uważali tę salę za miejsce schronienia i codziennych spotkań. Zawsze jest pełna. Wyziewy piwa i wszelkich napojów spirytusowych wznoszą się ciągle do sufitu, tam zgęszczają się od zimna i deszczem spływają po ścianach; widzi się tu w jednym dniu więcej starego odzienia niż na żydowskiej tandecie w Hondsmith przez cały rok. A niegolonych i niemytych twarzy jeszcze więcej, aniżeli mogła ogolić i obmyć cała dzielnica cyrulików, od Whitechapel do Tyburn, od wschodu do zachodu słońca.

Nie należy przypuszczać, że którykolwiek z tych ludzi ma tu najmniejszy choćby interes lub jest w ten czy inny sposób związanyz miejscem, do którego czuje tak nieprzewyciężony pociąg. Gdyby tak było, nie mielibyśmy się czemu dziwić, że tu ciągną. Jedni drzemią przez większą część posiedzenia, inni przynoszą nędzny obiad w chustkach lub podartych kieszeniach i zajadają, słuchając rozpraw. Ale nigdy nie zanotowano, by który z nich był osobiście zainteresowany sprawą rozstrzyganą przez Trybunał. Zawsze jednak siedzą od początku do końca posiedzenia. Gdy deszcz pada, wszyscy przychodzą przemokli, a wtedy para wydobywająca się z ich ubrań przypomina wyziewy trzęsawiska.

Obserwator, który by przybył tu przypadkiem, mógłby sądzić, że jest to świątynia bóstwa brudu. Nie ma tu ani jednego posługacza, ani jednego woźnego, który by nosił ubranie specjalnie na niego robione, nie ma ani jednej twarzy, która by miała wygląd zdrowy i świeży; wyjątek stanowi pewien stary i siwy jak gołąb odźwierny o czerwonej twarzy, a i ten, ma się wrażenie, jak wiśnia stoczona przez robactwo i wrzucona do wódki zawdzięcza swój dobry wygląd sztuce, która go zasuszyła i zabalsamowała, gdyż z natury nie mógłby mieć do takiego wyglądu żadnej pretensji. Nawet peruki adwokatów są źle upudrowane i ufryzowane.

Ale największą miejscową osobliwością są niezaprzeczenie pełnomocnicy zasiadający przy wielkim stole poniżej komisarzy. Zawodowe ruchomości możniejszych z tych gentlemanów składają się z niebieskiej torby na papiery i młodego pisarka, zwykle Żydka. Ci ludzie nie mają żadnych stałych siedzib, gdyż omawiają sprawy w szynkowniach lub na dziedzińcu więziennym, gdzie wydzierają sobie interesantów, jak konduktorowie omnibusów. Twarze mają opuchłe, a jeżeli można podejrzewać w nich jakie skłonności, to chyba do opilstwa i szacherki. Ich mieszkania mieszczą się po największej części na przedmieściach, tzw. *rules*, leżących w promieniu jednej mili od obelisku na St. George Fields. Ich twarze nie są pociągające, a maniery nienadzwyczajne.

Pan Salomon Pell, jeden z członków tej świetnej korporacji, był to człowiek opasty i bladej. Frak jego wydawał się to zielonego, to brunatnego koloru, zależnie od tego, jak padało nań światło, a ozdobiony był aksamitnym kołnierzem, posiadającym taką samą właściwość. Czoło miał wąskie, twarz szeroką, głowę dużą, a nos wykrzywiony w jedną stronę, jak gdyby natura, oburzona złymi skłonnościami, które w nim odkryła zaraz po urodzeniu, dała mu szturchańca w tę część ciała. Pan Pell był astmatykiem o krótkiej szyi i oddychał przede wszystkim właśnie tym nosem; tak więc braki w urodzie natura wyrównywała użytecznością.

– Jestem pewny, że wydobędę go z kłopotu – mówił pan Pell.

– Czy tak? – zapytała osoba, do której zwrócone było to zdanie.

– Najpewniejszy – odrzekł pan Pell. – Ale wie pan, że gdyby udał się do jakiego pokątnego adwokata, tobym wcale nie ręczył za skutki.

– A! – odrzekła ta sama osoba, otworzywszy gębę.

– Nie, nie ręczyłbym – powtórzył pan Pell, zaciskając usta, marszcząc brwi i tajemniczo potrząsając głową.

Miejsce, gdzie się toczyła powyższa rozmowa, był szynk znajdujący się naprzeciw Trybunału Bankrutów, osobą zaś, do której przemawiał pan Pell, był nie kto inny, tylko pan Weller senior. Przybył on tu, by nieść pociechę i otuchę jednemu ze swych przyjaciół, którego proces likwidacyjny miał się odbyć w tym dniu, a którego zastępcę prawnego pytał w tej chwili o zdanie.

– A Jerzy gdzie jest? – zapytał stary Weller.

Pan Pell ruchem głowy wskazał pokój w głębi. Pan Weller udał się tam niezwłocznie i został przywitany w sposób serdeczny i bardzo dla siebie pochlebny przez pół tuzina swoich kolegów po fachu, którzy ucieszyli się z jego przyjścia. Uczciwy bankrut, który hołdował popłatnej, ale ryzykownej namiętności trzymania zbyt wielu koni, co doprowadziło go do obecnych trudności – wyglądał bardzo dobrze i, zapewne dla złagodzenia wzruszenia, zjadał wędzone rybki i popijał je portem.

Przywitanie pana Wellera z kolegami odbyło się ściśle według ceremoniału obowiązującego w zawodzie. Polegało ono na potrząśnięciu prawej pięści przy jednoczesnym kiwnięciu w powietrze małym palcem. Zналиśmy kiedyś znakomitych dwóch stangretów (teraz już nie żyją, niebożątka!) którzy byli bliźniętami i kochali się serdecznie i szczerze. Przez dwadzieścia cztery lata mijali się dzień w dzień na gościńcu do Dover i nigdy nie witali się inaczej. Gdy jeden z nich umarł, drugi wkrótce z tęsknoty poszedł za nim!

– No i cóż, Jerzy! – spytał Weller, zdejmując surdut i siadając z właściwą sobie powagą. – Jakże tam? Wewnątrz pełno, zewnątrz pomyślnie?

– Nieźle, nieźle – odrzekł uczciwy bankrut.

– Siwą klacz dałeś komu pod opiekę?

Jerzy kiwnął głową potakująco.

– Dobrze. A powozy?

– Są w miejscu pewnym – odparł Jerzy, odrywając głowy pół tuzinowi rybek od razu i połykając je bez ceremonii.

– Bardzo dobrze! Bardzo dobrze! – rzekł Weller. – Tylko patrzeć w tył, gdy się jedzie po stromej drodze. A lista podróży?

Pan Pell, odgadując myśl Wellera oświadczył, że inwentarz aktywów i pasywów jest tak jasny, jak tylko można wyjaśnić piórem i atramentem.

Pan Weller wyraził swoje zadowolenie, a potem zwracając się ku panu Pellowi i wskazując Jerzego, zapytał:

– A kiedy na niego przyjdzie kolej?

– No – odparł pan Pell – on jest na liście trzeci, przypuszczam więc, że za pół godziny przyjdzie na niego kolei. Dałem mojemu pisarzowi polecenie, aby tu przyszedł i doniósł, gdy rozprawa się zacznie.

Weller obejrzał adwokata od stóp do głowy z wielkim uznaniem i rzekł z uczuciem:

– Czego się pan napije?

– Doprawdy, pan tak łaskaw... właściwie nie mam zwyczaju... jeszcze tak wcześnie... no, niech będzie kieliszek araku – wykrztusił w końcu pan Pell.

Kelnerka uprzedziła już polecenie, postawiła przed panem Pellem szklanę wódki i oddała się. Wówczas pan Pell, spoglądając po zgromadzonych, przemówił w te słowa:

– Panowie! Wszelkich pomyślności waszemu koledze! Nie lubię chwalić się, panowie, nie mam tego zwyczaju, nie mogę jednak nie nadmienić, iż gdyby przyjaciel panów nie był tak szczęśliwy i nie udał się do mnie... ale nie powiem tego, com miał powiedzieć... Panowie! Zdrowie wasze!

Wychyliwszy od razu kieliszek, pan Pell cmoknął językiem i wielce zadowolony z siebie, spojrzął po zgromadzonych stangretach, w oczach których uchodził za pewnego rodzaju wyrocznie.

– Zaraz – zaczął znowu – cóż to miałem powiedzieć?

– Miałeś pan powiedzieć, iż nie odmówisz drugiego kieliszka – rzekł pan Weller z żartobliwą powagą.

– Cha, cha, cha! Nieźle! Nieźle! Chociaż to jeszcze za wcześnie... ale niech już będzie i druga edycja... Hm!

Ostatni wykrzyknik zamienił się w uroczyستی i pełen godności kaszel, do którego pan Pell uważał za stosowne uciec się, zauważywszy u niektórych słuchaczy niewłaściwą skłonność do śmiechu.

– Panowie – zaczął znowu – nieboszczyk lord kanclerz bardzo mnie cenił.

– I nieraz mu powierzał ważne sprawy – wtrącił pan Weller.

– Słuchajcie, słuchajcie! – zawołał klient pana Pella. – I dlaczegoż miałyby być inaczej?

– Tak, rzeczywiście – zauważył mężczyzna z niesamowicie czerwoną twarzą, który dotychczas nie odzywał się i nie wyglądał bynajmniej na kogoś, kto chciałby powiedzieć coś więcej. – Dlaczegoż by nie?

Szmer uznania przeszedł po zebranych.

– Przypominam sobie, panowie, że pewnego dnia jedząc z nim obiad... dwóch nas tylko obiadowało, ale wszystko było tak wspaniale urządzone, jak gdyby dwadzieścia osób miało się do stołu... Wielka pieczęć leżała z boku na etażerze po prawej stronie kanclerza, a po lewej słuszny mężczyzna, w peruce i zbroi, pilnował berła z gołą szablą i w jedwabnych pończochach... Tak, moi panowie, jest zawsze w nocy i we dnie. Wtem kanclerz mówi mi:

– Pell, bez żadnej fałszywej skromności! – Pell, ty jesteś człowiek zdolny, kogo zechcesz, przeprowadzisz przez Trybunał Bankrótów. Twój kraj, Pell, powinien być z ciebie dumny. – Milordzie – odpowiedziałem – pan mi pochlebiasz. – Pell – odrzekł lord kanclerz – jeżeli pochlebiam ci, to niech mnie diabli wezmą...

– Tak powiedział? – wtrącił Weller.

– Tak!

– W takim razie parlament powinien by go ukarać za to, że kłął; i gdyby kanclerz był prostym biedakiem, pewno by go wsadzono do kozy – odezwał się pan Weller.

– Ale, kochany panie... on mówił mi to w pełnym zaufaniu.

– W czym?

– W pełnym zaufaniu.

– No, to co innego – odrzekł Weller, pomyślawszy chwilę. – Jeżeli mówił w pełnym zaufaniu, żeby go diabli wzięli, to co innego.

– Rozumie się, że co innego – rzekł pan Pell. – Różnica aż nazbyt widoczna, jak to zaraz zobaczymy.

– To zmienia kwestię – zauważył pan Weller. – No, mów pan dalej.

– Nie, nie będę mówił dalej – odrzekł Pell głosem stłumionym i poważnym. – Przypomniał mi pan, że była to rozmowa prywatna... prywatna i poufna, panowie. Moi panowie, ja jestem człowiekiem zawodu. Być może, że przez to urosłem w oczach moich kolegów, ale być może, że tak nie jest. Prawie wszyscy wiedzą o tym. Nic nie powiem. W tym pokoju padły już uwagi, które uwłaczały sławie mego szlachetnego przyjaciela. Przepraszam panów, ale byłem nieostrożny... Wiem, że nie powinienem mówić o takich rzeczach bez jego zezwolenia. Dziękuję panu, żeś mię przestrzegł.

Tak usprawiedliwiając się, pan Pell wsunął rękę w kieszeń i ze straszną determinacją począł przebierać w niej trzema półpensówkami, marszcząc przy tym brwi.

Zaledwie powziął ten cnotliwy zamiar, gdy pisarek i niebieska torba, dwaj nierozłączni towarzysze, wpadli do sali i powiedzieli (w każdym razie powiedział pisarek, gdyż niebieska torba nie brała udziału w tej przemowie), iż sprawa Jerzego zaraz się rozpocznie. Na wiadomość o tym całe towarzystwo wybiegło na ulicę i pośpieszyło do sali, by tam za pomocą szturchańców na prawo i na lewo wywalczyć sobie miejsce. Operacja taka trwa zwykle od dwudziestu do trzydziestu minut.

Pan Weller, ufny w swą siłę, rzucił się od razu w sam środek tłumu z rozpaczliwym postanowieniem dostania się za wszelką cenę na dobre miejsce; ale skutek niezupełnie odpowiedział jego oczekiwaniom; jakaś niewidzialna osoba, której nastąpił na nogę, wbiła mu kapelusz aż po samą brodę, gdyż zapomniał go zdjąć. Osoba ta pożałowała swej porywczosci, w tej samej bowiem chwili wydała kilka nieartykułowanych okrzyków zdziwienia, pochwyciła za rękę stangreta, wyprowadziła go z sali i po dużym wysiłku zdjęła mu kapelusz.

– Samiwel! – zawołał Weller, ujrzawszy światło dzienne, a z nim razem i swego wybawcę. Sam kiwnął głową.

– To ty jesteś tym miłym chłopcem, który pomny swych obowiązków – rzekł pan Weller – swemu rodzonemu ojcu na jego stare lata wbija kapelusz na głowę!

– A skąd miałem wiedzieć, że to ty! Czy myślisz, że mogłem cię poznać po ciężarze twoich nóg?

– Prawda i to, Samiwelu – odrzekł Weller, zupełnie ułagodzony. – Ale co ty tu porabiasz? Twój gubernator nic tu nie zyska. Tu nie unieważnią wyroków, nie unieważnią, Sammy!

I Weller potrząsnął głową z jurydyczną powagą.

– Cóż to za babskie gadanie! – zawołał Sam. – Ciągłe ze swoim wyrokiem i alibi! Kto ci tu mówi o wyroku?

Weller nic nie odpowiedział, ale powtórnie potrząsnął głową w jeszcze bardziej uczony sposób.

– Nie ruszaj tak mózgownicą, jeżeli nie chcesz, by ci wyskoczyła z zawiasów – mówił dalej zniecierpliwiony Sam. – Gadaj teraz rozumnie. Szukałem cię wczoraj wieczór „Pod Markizem Granby”.

– A markizę widziałeś? – zapytał Weller, wzdychając.

– Widziałem.

– Jakże wygląda moje kochanie?

– Bardzo dziwnie. Zdaje mi się, że gubi się powoli rumem i innymi medykamentami tego rodzaju.

– Tak myślisz, Sammy? – zapytał Weller poważnym tonem.

– Tak myślę – odparł syn.

Weller pochwycił rękę syna; uścisnął ją, potem puścił; podczas tej manipulacji rysy jego nie wyrażały ani obawy, ani smutku, ale raczej jakąś słodką, rozkoszną nadzieję. Cień oddania, a nawet radości przemknął przez jego twarz, gdy mówił:

– Nie jestem tego zupełnie pewny, Sammy, nie chcę więc nazbyt oddawać się nadziei, by potem nie rozczarować się, ale zdaje mi się, mój chłopcze, zdaje mi się, że pasterz zachorował na wątrobę.

– Czy źle wygląda? – zapytał Sam.

– Nadzwyczaj blado, z wyjątkiem nosa, który jest bardziej czerwony niż zwykle. Apetyt ma nieszczególny, ale pije znakomicie.

W chwili gdy to mówił, przyszedł panu Wellerowi na myśl rum, gdyż przybrał minę zamyśloną i ponurą, ale prędko się jej pozbył, jak to zdradzał doskonały alfabet jego mimiki, czego używał tylko wówczas, gdy był zadowolony.

– A teraz do rzeczy – rzekł Sam. – Otwórz dobrze uszy i nie przerywaj, dopóki nie skończę.

Po tej krótkiej przedmowie Sam treściwie opisał ostatnią dziwną swą rozmowę z panem Pickwickiem.

– Biedny człowiek! – zawołał Weller starszy. – Sam jeden i nikt nawet mu nie współczuje! Tak być nie może, Sammy! Tak być nie może!

– Ba! Wiedziałem o tym, zanim tu przyszedłem.

– Oni go przecież zjedzą na surowo, Sammy!

Sam kiwnął głową na znak, że podziela to zdanie.

– A jeżeli nie zjedzą, to wyjdzie tak oskubany, iż własni przyjaciele nie poznają go. Pieczony gołąbek nie jest niczym w porównaniu z nim.

Sam powtórzył gest.

– Tak być nie może, Sammy! – mówił dalej Weller poważnie.

– I tak nie będzie – odrzekł Sam.

– Naturalnie, że nie! – ciągnął Weller.

– Wiesz, że prorokujesz jak prawdziwa Ośła Juka z czerwoną twarzą w książce za sześć pensów – rzekł Sam.

– Co to za Ośła Juka?

– Mniejsza o to; wystarczy, żebyś wiedział, że to nie stangret.

– Znałem jednego masztalerza tego nazwiska – rzekł Weller, pomyślawszy nieco.

– To nie ten: mój był prorokiem.

– Co to jest prorok? – zapytał Weller, badawczo wpatrując się w twarz syna.

– Człowiek, który przepowiada, co ma się stać – odparł Sam.

– Chciałbym go znać, Sammy. Może by rzucił trochę światła na tę chorobę wątroby, o której mówiłem ci przed chwilą. Ale że już nie żyje i nikomu nie zostawił swego interesu, więc nie ma co mówić. Mów dalej, Sammy – dodał z westchnieniem Weller.

– Otóż – zaczął Sam – wyprorokowałeś, co się stanie z gubernatorem, gdy będzie sam siedział w więzieniu. Czy nie ma jakiego sposobu, żeby zaradzić temu?

– Nie, Sammy, nie ma – odrzekł Weller, zamyślony.

– Żadnego sposobu?

– Żadnego. Chyba... – W tej chwili blask wewnętrznego światła rozjaśnił mu twarz. Zniżył głos aż do szeptu i przyłożywszy usta do ucha swej latorośli mówił: – Chyba wynieść go obwiniełego w materac albo przebrać za starą babę z zielonym woalem.

Oba te pomysły Sam odrzucił z niespodziewaną wzdrganą i znów powtórzył pytanie.

– No, jakże tu radzić – rzekł stary woźnica – kiedy nie chce, byś został przy nim? To nie da się zrobić – nie da.

– Otóż ja ci powiem, jak. Pożycz mi dwadzieścia pięć funtów szterlingów.

– I po co?

– Zobaczysz. Być może, iż w pięć minut po pożyczeniu zażadasz zwrotu tych pieniędzy; ja może powiem, że nic z tego nie będzie, zachowam się wobec ciebie grubiańsko; a ty, ty będziesz zdolny kazać aresztować swego syna za tak drobną kwotę; będziesz zdolny wtrącić go do więzienia, ojcze wyrodney!

Po tych wyrazach ojciec z synem zamienili między sobą cały kodeks chytrych mrugań i tym podobnych ruchów telegraficznych, po czym Weller starszy usiadł na kamieniu i począł śmiać się tak mocno, iż cała twarz mu poczerwieniała.

– Cóż to za głupi stary zwierz! – zawołał Sam, oburzony tą stratą czasu. – Cóżżeś usiadł tu i wykrzywasz gębę na kołatkę do drzwi, jakby nie było nic innego do roboty? Gdzie jest moneta?

– W kasie, Samie, w kasie – odrzekł Weller, przybierając zwykłą minę. – Potrzyjmy no kapelusz, Samie.

Oddawszy kapelusz, Weller całym ciałem pochylił się na bok i zręcznym ruchem zapuścił prawą swą rękę w ogromną kieszeń, z której wydobył po niemałym wysiłku i sapaniu wielki in octavo pugilares związany grubym rzemykiem. Z pugilaresu tego wyjął naprzód dwa postronki do biczka, trzy czy cztery sprzączki, małą torebkę z próbką owsa i wreszcie zwój banknotów bardzo brudnych, spomiędzy których wybrał żadaną kwotę i podał Samowi.

– A teraz, Sammy – powiedział, umieściwszy z powrotem w pugilaresie postronki, sprzączki, torebkę z owsem i resztę pieniędzy i zasunawszy pugilares w głąb bezdennej kieszeni – teraz, Sammy, powiem ci, że znam pewnego gentlemana, który resztę interesu załatwi nam w okamgnieniu. To filar prawa, Sammy, ma mózg aż w końcach palców, jak żaba; przyjaciel lorda kanclerza; tylko powie mu się, co potrzeba, a zamkna cię choćby na całe życie.

– Za pozwoleniem – przerwał Sam – tego sobie nie życzę.

– Czego?

– Żadnych środków niekonstytucyjnych! Po *perpetuum mobile* nie ma piękniejszego wynalazku niż *habeas corpus*. Czytałem to nieraz w dziennikach.

– Ale cóż to ma do rzeczy?

– To właśnie, że chcąc popierać ten wynalazek życzę sobie być uwięzionym według *habeas corpus*; ale żadnych konszachtów z kanclerzami! To już nie takie zdrowe!

Przychyliwszy się w tym punkcie do zdania syna, pan Weller natychmiast odszukał uczonego Pella i oświadczył mu, że życzy sobie otrzymać niezwłoczny rozkaz uwięzienia niejakiego pana Samuela Wellera za dług dwudziestu pięciu funtów szterlingów i koszta. Wydatki, wynikłe z tego powodu, będą niezwłocznie zwrócone panu Pellowi.

Adwokat był bardzo wzburzony, gdyż niewypłacalny hodowca koni został skazany na natychmiastową likwidację pretensyj. Chwalił on nadzwyczajne przywiązanie Sama do swego pana, oświadczył, że mu to w zupełności przypomina jego własne uczucie oddania dla jego przyjaciela, kanclerza, i zaprowadził starszego Wellera natychmiast do Temple, by tam zaprzysiąc słusność jego wierzytelności – akt, którego dokonano przy pomocy niebieskiej torby niesionej i teraz przez pisarczyka.

Tymczasem Sam, którego ojciec oficjalnie przedstawił przyjaciołom jako swego potomka, był traktowany z wyraźnym wyróżnieniem i proszony, by zechciał przy okazji wziąć udział w uczcie. Sam daleki był oczywiście od odrzucenia tej propozycji.

Wesołość gentlemanów tej sfery jest zwykle stateczna i spokojna. Ale obecna chwila była wyjątkowo radosna, więc też humor wzrósł we właściwym stosunku. Po kilku, powiedziabym, hałaśliwych toastach na cześć głównego komisarza i pana Pella, który tego dnia wykazał tak niezwykły spryt, jegomość z twarzą cętkowaną, w błękitnym szalu na szyi, zaproponował, by ktoś z obecnych zaśpiewał. Proponowano, żeby cętkowany jegomość, stęskniony do śpiewu, sam zaśpiewał. Ale cętkowany odmówił z miną uroczystą i jakby obrażoną. Wtedy, jak się to zwykle dzieje, przyszło niemal do kłótni.

– Gentlemani! – zawołał koniarz. – Zamiast psuć harmonię tego rozkosznego zebrania, może by pan Samuel Weller zechciał coś zaśpiewać?

– Słowo daję! – powiedział Sam. – Nie przywykłem śpiewać bez akompaniamentu. Ależ czegoż nie oddam za spokój – jak powiedział pewien jegomość przyjmując posadę w latarni morskiej.

Po tym wstępie pan Samuel Weller natychmiast rozpoczął ową dziką i wspaniałą legendę, którą pozwalamy sobie zacytować przypuszczając, że nie wszyscy ją znają. Zwracamy szczególną uwagę na monosylaby na końcu drugiego i czwartego wiersza, co nie tylko pozwala śpiewakowi wziąć szerszy oddech, ale przyczynia się do jednolitości rytmu.

1

*Jechał pan Turpin polem przez Hounslow,
A dzielna pod nim kla-acz.
Patrzy – karetą gościńcem sunie:
Czy biskup, czy kto zacz?
Więc pędem rusza, w drodze jej staje
I wsadza w okno leb;
A biskup rzecze: „ Jak jajem jaje,
Pan Turpin to czy kiep?*

Chór

*A biskup rzecze: „Jak jajem jaje,
Pan Turpin to czy kiep?*

2

*A Turpin: „Zjesz mi z kulą te słowa,
Abyś z nich miał zy-ysk”,
I w zęby wepchnął mu swój pistolet,
I wsadził nabój w py-ysk!
Woźnica, co się na żartach nie znał
Hejże! W konie i w krzyk!
Lecz dostał kulą w plecy, nim szczyznął.
Tak wstrzymał go pan Dick.*

Chór

(sarkastycznie)

*Lecz dostał kulą w plecy, nim szczyznął –
Tak wstrzymał go pan Dick.*

– Powiedziałbym, że piosenka na czasie! – zawołał gentleman z cętkowaną twarzą. – Pytam o nazwisko owego stangreta!

– Tego nikt nie wie! – odrzekł Sam. – Nie znaleziono w kieszeni biletu wizytowego!

– Oponuję przeciwko mieszanemu do rozmowy polityki! – ciągnął cętkowany jegomość. – Stwierdzam, że w tym towarzystwie śpiewa się piosenki polityczne. I, co więcej, kłamliwe! Powiadają, że stangret nie uciekł! Ale że umarł... umarł jak amen w pacierzu! I nie pozwolę, by mi kto zaprzeczył!

Ponieważ cętkowany mówił z wielką energią i przejęciem, ponieważ zdania towarzystwa na ten temat były podzielone, już w powietrzu wisiała nowa kłótnia, kiedy na szczęście wszedł pan Weller w towarzystwie pana Pella.

– Wszystko idzie doskonale! – rzekł stary stangret.

– O czwartej – rzekł pan Pell – przyjdą tu aresztować pana. Spodziewam się, że nie uciekniesz, gdy przyjdą! Cha! Cha!

– Może mój okrutny papa zmięknie do tego czasu! – bąknął Sam, strojąc komiczne miny.

– O, nie! – odrzekł Weller.

– Błagam cię, ojczu! – mówił dalej Sam.

– Za nic w świecie! – odparł nieubłagany wierzyciel.

– Będę ci spłacać po sześć pensów miesięcznie!

– Nie chcę!

– Cha, cha, cha! To doskonale! – zawołał pan Pell, układając rachunek wydatków. – Bardzo zabawny przypadek, doprawdy! Beniaminie! Przepisz to – rzekł do swego dependenta, po czym znów uśmiechnął się, wskazując Wellerowi wysokość sumy. – Dziękuję – dodał następnie, odbierając brudne banknoty, które stangret wydobył z pugilaesu. – Trzy funty dziesięć szylingów, a jeden funt dziesięć szylingów, to czyni pięć funtów szterlingów. Bardzo dziękuję, panie Weller. Syn pana to bardzo interesujący młody człowiek; to bardzo piękny rys jego charakteru, naprawdę, bardzo piękny – dodał pan Pell ze słodkim uśmiechem, spoglądając po towarzystwie i chowając pieniądze.

– Znakomita farsa – rzekł Weller, śmiejąc się donośnie – prawdziwy syn marnostrawny.

– Marnostrawny, panie – poprawił łagodnie pan Pell – mówi się: syn marnotrawny.

– Mniejsza o to, jak się mówi! – odrzekł stangret poważnie. – Wiem, o co chodzi, a jakbym nie wiedział, zapytałbym pana.

W tej chwili przybył urzędnik, który miał dokonać aresztowania. Sam stał się tak popularny, iż wszyscy gentlemani znajdujący się w szynkowni postanowili doprowadzić *go in corpore* do więzienia. Wyszli więc: urzędnik na czele, za nim wierzyciel z dłużnikiem pod rękę, a na końcu ośmiu tęgich stangretów, którzy tworzyli straż tylną. Przy kawiarni „Sergeant s Inn” cały pochód zatrzymał się, by napić się czegoś dla odświeżenia, a po załatwieniu prawnych formalności ruszono dalej.

Przy Fleet Street powstał mały nieład, spowodowany żartobliwością ośmiu gentlemanów z tylnej straży, którzy uparli się, by iść po czterech w szeregu. Postanowiono na razie, iż gentleman z cętkowaną twarzą pozostanie w tyle celem poboksowania się z pewnym komisjone-rem i że przyjaciele zabiorą go, wracając. Tylko ten jeden drobny wypadek zdarzył się po drodze. Stanąwszy u drzwi więziennych, orszak na wezwanie wierzyciela krzyknął trzy razy „hura!”, po czym wszyscy uściskawszy rękę Sama, odeszli.

Gdy powierzono go formalnie dozorcóm więzienia Floty, ku ogromnemu zdumieniu pana Rokera, a nawet ku wzruszeniu flegmatycznego Neddy'ego, Sam poszedł prosto do pokoju swego pana i zapukał.

– Proszę wejść! – odrzekł pan Pickwick.

Sam wszedł, zdjął kapelusz i uśmiechnął się.

– A! Sam! poczciwy chłopak! – rzekł pan Pickwick, widocznie zadowolony z jego przybycia. – Nie miałem zamiaru urazić cię tym, co powiedziałem wczoraj. Połóż swój kapelusz, Samie, muszę ci to wyjaśnić dokładniej.

– Czy nie można by odłożyć tego na później, proszę pana?

– I owszem. Ale dlaczegoż by nie zaraz?

– Wolalbym później.

– Ale dlaczego? – zapytał pan Pickwick.

– Bo... – zaczął Sam z wahaniem.

– Bo co? – zapytał Pickwick trochę przerażony. – Mów wyraźnie, Samie.

– Bo... bo mam tu mały interes, który chciałbym załatwić.

– Interes? – zawołał filozof.

– Nic tak ważnego, proszę pana.

– A! jeśli tak, to możesz mnie naprzód wysłuchać.

- Wolałbym pierwaj załatwić ten interes – odrzekł Sam, wahając się.
- Pan Pickwick nie powiedział nic, ale dziwił się coraz bardziej.
- Chodzi o to... – rzekł Sam i znów zatrzymał się.
- No, mówże!
- No, chodzi o to – powtórzył Sam z wysiłkiem – że przede wszystkim muszę tu znaleźć sobie łóżko.
- Łóżko? – zawołał pan Pickwick zdumiony.
- Tak, łóżko dla siebie, jestem uwięziony, dziś po południu aresztowano mnie za długi.
- Ty, za długi! – zawołał pan Pickwick, padając na krzesło.
- Tak, panie, za długi, i człowiek, który mię wsadził, nie wypuści mnie stąd, dopóki pan tu będzie.
- Co ty mówisz?
- Co mówię? Będę więźniem choćby czterdzieści lat!... I bardzo się z tego cieszę. Gdybym siedział w Newgate, byłoby to to samo. No! Powiedziałem! Skończone!
- Powtórzywszy te wyrazy kilkakrotnie z wielkim naciskiem, Sam, wzburzony, rozmiądzzył nogą swój kapelusz stojący na podłodze, potem założył ręce na piersiach i począł wpatrywać się w twarz swego pana.

Rozdział piętnasty

opisuje różne zdarzenia w więzieniu przy Fleet Street oraz tajemnicze postępowanie pana Winkle'a; mówi również, w jaki sposób nieszczęśliwy więzień kanclerstwa odzyskał wolność

Pan Pickwick był zanadto wzruszony przywiązaniem Sama, by mu wyrazić swe niezadowolone z nieogłędnego kroku, jakim było dobrowolne pójście do więzienia na nieokreślony czas. Jedynym punktem, przy którym wytrwale obstawał, było to, że żądał nazwiska wierzyciela, ale Sam uparł się i za nic w świecie nie chciał mu tego powiedzieć.

– To się na nic nie przyda – powtarzał – to istota złośliwa, mściwa, skąpa, serce, którego nie sposób zmiękczyć, jak się wyraził pewien cnotliwy wikary o gentlemanie cierpiącym na wodną puchlinę, który wolał zapisać swój majątek żonie aniżeli oddać na kościół.

– Doprawdy, Samie, kwota jest tak mała, że nic łatwiejszego, jak ją zapłacić. Ponieważ postanowiłem zatrzymać cię przy sobie, powinienes być zwrócić uwagę na to, iż byłbyś mi nierównie przydatniejszy, gdybyś mógł wychodzić poza te mury.

– Bardzo jestem panu wdzięczny, ale nie przystałbym na to.

– Na co nie przystałbyś, Samie?

– Za nic w świecie nie upokorzyłbym się, by prosić o łaskę takiego niemiłosiernego nieprzyjaciela jak mój wierzyciel.

– Ależ to nie jest żadna łaska, kiedy mu się oddaje jego pieniądze – osądził pan Pickwick.

– Przepraszam pana, ale byłoby dla niego wielką łaską, gdybym mu zapłacił żadaną sumę, na co nie zasługuje. Tak się ma rzecz, proszę pana.

Tu pan Pickwick ze zmieszana miną zaczął drapać się w nos, a Sam uznał, że postąpi rozsądnie, gdy zmieni temat rozmowy.

– Trzymam się swego postanowienia dla zasady – zauważył Sam. – Podobnie jak pan! To przypomina mi owego jegomościa, który popełnił samobójstwo dla zasady, musiał pan o tym naturalnie słyszeć. – Tu pan Weller przerwał i spojrzał wesoło na swego pana.

– Nie ma w tym nic naturalnego, Samie – powiedział pan

Pickwick mimo woli uśmiechając się, chociaż nie uwolnił się jeszcze od zmieszania, w jakie go wprowadziło wyznanie Sama. – Opowiadanie o tym gentlemanie nigdy nie doszło do moich uszu!

– Nie?! – zawołał Sam. – To mnie dziwi, proszę pana! Był to urzędnik w jakimś biurze!

– Urzędnik? – powtórzył pan Pickwick.

– Tak – potwierdził Sam – i do tego bardzo przyjemny jegomość. Jeden z tych schludnych i miłych gentlemanów, którzy w słotę wsadzają nogi w kalosze i których jedynym przyjacielem od serca jest kamizelka na zajęczym futrze! Oszczędzał pieniądze z zasady, kładł codziennie czystą koszulę z zasady, nigdy nie rozmawiał z żadnym ze swoich krewnych – też z zasady, a także z obawy, by nie pożyczyci od niego pieniędzy! A poza tym miał naprawdę niezwykle miły charakter! Z zasady strzygł się co dwa tygodnie i z zasady niszczył tę samą ilość garniturów rocznie: trzy stare odsyłał krawcowi! Ponieważ był też bardzo systematycz-

ny, jadał dzień w dzień obiad w tej samej jadłodajni, zawsze to samo, i zawsze wybierał najlepsze kęski, na co nieraz skarżyła się gospodyni! Wchodząc, mówił: – Proszę o „Post”, jak tylko tamten pan skończy! Poszukaj no dla mnie „Timesa”, Tomaszu! I obejrzyj no się za „Morning Herald”! A nie zapomnij zamówić „Chronicle”! – A potem siedzi i patrzy na zegar jak sroka w gnat i zrywa się na jaki kwadrans przedtem, nim chłopiec przynosi gazety, aby pierwszy mu je zabrać, i czyta je z takim przejęciem i zapalem, że to aż gości drażniło, zwłaszcza jednego kłótliwego jegomościa, z którego nawet garson nie spuszczał oka, bo się bał, że kogoś nożem dźgnie! No i co pan powie? Zajmował najlepsze miejsce na jakie trzy godziny i zamawiał tylko obiad, a potem drzemał i szedł do kawiarni na następną uliczkę, gdzie wypijał filiżankę kawy i zjadał cztery racuszki, po czym szedł do siebie na Kensington i kładł się spać. Pewnej nocy schwyciły go boleści, wezwał lekarza. Lekarz przyjeżdża w zielonym wehikule zaopatrzonym w drabinę *a’la* Robinson Crusoe, a to dlatego, by lekarz mógł wysiąść, a stangret nie potrzebował złączyć z kozła, bo wszyscy by widzieli, że ma tylko liberyjną kurtkę, a portki zwykłe! – Co panu? – pyta lekarz. – Bardzo jestem chory! – mówi pacjent. – Co pan jadł? – pyta znów lekarz. – Wołowinę! – mówi pacjent. – A co pan zjadł ostatnio? – pyta lekarz. – Racuszki! – mówi pacjent. – A, jesteśmy w domu! – powiada lekarz. – Zaraz przyślę panu pudełko pigułek i żeby mi się pan nie ważył jadać ich więcej! – Czego nie jadać? – pyta pacjent. – Pigułek? – Nie, racuszków! – Dlaczego? – pyta pacjent i aż siada na łóżku. – Codziennie, z zasady, od piętnastu lat zjadam wieczorem po cztery racuszki! – No, to radzę panu zmienić zasady! – powiada lekarz. – Racuszki są bardzo zdrowe – powiada pacjent. – Racuszki nie są zdrowe – powiada lekarz z wściekłością. – Ale bardzo tanie – powiada pacjent. – I bardzo sytne, jeżeli weźmie się pod uwagę ich cenę! – Ale panu wypadną drogo – powiada lekarz. – Bardzo drogo, jeżeli będzie je pan jadał! Cztery racuszki co wieczór i będzie z panem koniec za pół roku! – Pacjent patrzy mu prosto w twarz i powiada: – Jest pan tego pewien? – Stawiam na kartę moją zawodową reputację! – woła lekarz. – Ile racuszków na jednym posiedzeniu zabiłoby mię? – Nie wiem! – powiada lekarz. – Myśli pan, że racuszków za pół korony wystarczy? – Chyba! – odpowiada lekarz. – A za trzy szylingi na pewno? – Naturalnie! – odpowiada lekarz. – Dobranoc! – Następnego dnia chory wstaje, każe zapalić na kominku, sprowadza sobie racuszków za trzy szylingi, zjada wszystkie i idzie na piwo do Abrahama.

– I po cóż to zrobił? – zawołał pan Pickwick bardzo poruszony tragicznym zakończeniem tego opowiadania.

– Po co to zrobił, proszę pana? – odpowiada Sam. – Ależ dla poparcia swojej zasady, że racuszki są zdrowe i żeby pokazać, że nikomu nie pozwoli dmuchać sobie w kaszel!

Takimi to anegdotkami zabawiał Sam swego pana kłopotającego się, gdzie Sam przepędzi noc. Wreszcie widząc, że wszystkie jego uwagi są bezskuteczne, pan Pickwick przystał na to, by Sam ulokował się u pewnego łysego łatacza butów w małym pokoiku na trzecim piętrze.

Do tego skromnego apartamentu Sam zaniósł materac, kołdrę i poduszkę, wynajęte u pana Rokera, a gdy się wyciągnął na tym zaimprovizowanym łóżku, tak mu było dobrze, jakby się wychowywał w więzieniu i jakby cała jego rodzina wegetowała tam od trzech generacji.

– Czy zawsze palicie fajkę, gdy się kładzicie spać, stary kogucie? – zapytał Sam swego gospodarza, gdy obaj ułożyli się na swych łóżkach do snu.

– Zawsze, młody kochinchińczyku – odrzekł szewc.

– Czy można zapytać was, dlaczego ścielicie sobie pod tym stołem sosnowym?

– Bo nim się tu dostałem, byłem przyzwyczajony sypiać pod baldachimem, a stół oddaje mi taką samą usługę – odparł szewc.

Podczas tej rozmowy Sam leżał wyciągnięty na swoim materacu w jednym kącie pokoju, a szewc na swoim w drugim. Pokoik był oświetlony jedną świeczką i fajką szewca błyszczącą pod stołem jak rozżarzony węgiel. Rozmowa powyższa, chociaż tak krótka, usposobiła Sama

przychylnie do gospodarza. Wskutek tego Sam wsparł się na łokciach i począł mu się przypatrywać uważniej.

Był to człowiek bladej twarzy – wszyscy zresztą szewcy są blade – miał brodę rozczochraną – wszyscy łatacze butów mają takie brody – ale twarz jego, chociaż pomarszczona i wykrzywiona, znamionowała dobry humor, a oczy musiały niegdyś mieć bardzo wesoły wyraz, gdyż i teraz jeszcze iskrzyły się. Szewc miał ze sześćdziesiąt lat życia i Bóg wie ile lat więzienia; dziwne więc było, gdy się widziało w jego rysach dotąd jeszcze pewne ślady wesołości. Wzrostu był niewielkiego; w ustach trzymał dużą fajkę, a paląc ją, spoglądał na gorejącą świecę z zadowoleniem prawdziwie godnym zazdrości.

– Czy dawno już tu jesteście? – zapytał Sam po kilku minutach milczenia, które od pewnego czasu zaczęło mu ciążyć.

– Dwanaście lat – odrzekł szewc, żując zębami ustnik fajki.

– Zapewne dlatego, żeście zlekceważyli rozporządzenie sądu? – zapytał Sam.

Szewc skinał głową.

– Dobrze – odparł Sam poważnie. – Dlaczego trwacie przy tym tak uparcie i pozwalacie, że to drogie życie mija w tym lombardzie na ludzi? Dlaczego nie ustapicie i nie oświadczycie kanclerstwu, że żałujecie, iż zlekceważyliście sąd, i obiecujecie, że nigdy już tego nie zrobicie?

Szewc przesunął fajkę w kąt ust, uśmiechnął się, przesunął ją z powrotem na dawne miejsce i trwał w milczeniu.

– Dlaczego nie zrobicie tego? – pytał Sam natarczywie.

– Ach – rzekł szewc – nie rozumiesz tego. No, jak myślisz, co mnie zniszczyło?

– Ba!... – rzekł Sam, poprawiając światło. – Sądzę, żeście narobili długów, prawda?

– Nigdy nie byłem dłużny ani szeląga – odparł tamten – zgaduj dalej.

– No to możecie kupowali domy, co mówiąc delikatnie, dowodzi pomieszczenia zmysłów; a możecie budowali nowe domy, co w języku medycyny oznacza nieuleczalną chorobę?

Szewc potrząsnął głową i powiedział:

– Zgaduj pan dalej!

– Nie sądzę, byście się bawili w procesy – mówił Sam.

– Nigdy w życiu – odparł szewc. – Zostałem zrujnowany wskutek otrzymania spadku.

– O, ba, ba! Na to mnie złapiecie! Ja sam chciałbym mieć jakiego bogatego nieprzyjaciela, który by chciał mnie w ten sposób zgubić. Niechby zgubił.

– Byłem pewny, że nie będziesz mi wierzyć – odrzekł szewc, paląc fajkę z filozoficznym spokojem. – I ja bym także nie wierzył, gdybym był na twoim miejscu, a jednak tak jest.

– Jak do tego doszło? – zapytał Sam na wpół już przekonany spojrzeniem, które rzucił mu szewc.

– Było to tak. Pewien stary gentleman, dla którego robiłem buty na prowincji i z którego krewną ożeniłem się (już umarła, Bogu dzięki; niech ją Bóg błogosławi), dostał apopleksji i wyniósł się.

– Dokąd? – zapytał Sam, którego liczne zdarzenia tego dnia uczyniły trochę sennym.

– A czy ja wiem? – odparł szewc, który delektując się teraz fajką, mówił przez nos. – Umarł.

– A cóż dalej?

– Dalej? Zostawił pięć tysięcy funtów szterlingów.

– To bardzo pięknie z jego strony.

– Mnie zapisał tysiąc, gdyż byłem mężem jego krewnej. Rozumiesz?

– Bardzo dobrze – mruknął Sam.

– A ponieważ otoczony był przez mnóstwo synowców i synowic, ciągle kłócących się między sobą, więc gentleman ten mnie uczynił wykonawcą swej ostatniej woli i mnie oddał wszystko do rozporządzenia, abym to potem legalnie rozdzielił pomiędzy nich.

– Co rozumiecie przez słowa: do rozporządzenia?– zapytał Sam budząc się. – Jeśli nie była to gotówka, to po co to?

– To jest takie prawnicze określenie, nic więcej – odparł szewc.

– Nie pomyślałem o tym – rzekł Sam potrząsając głową. – W tym lokalu nie ma wiele do rozporządzenia. No, jedź dalej.

– Otóż – ciągnął szewc – gdym się zabierał do legalizowania testamentu, synowcy i synowice, którzy byli bliscy rozpaczy, że nie dostaną wszystkiego, wyrobili *caveat*.

– Co to takiego?

– To taki instrument prawniczy, który tyle znaczy, jakby kto powiedział: nie damy!

– Rozumiem, pewno z tej rodziny co i *habeas corpus*. Dalej.

– Ale widząc, że nie zdołają porozumieć się między sobą i że wobec tego nie będą mogli obalić testamentu, cofnęły *caveat*, a ja wypłaciłem każdemu jego część. Zaledwie to zrobiłem, gdy oto jeden z synowców zażądał obalenia testamentu. W kilka miesięcy potem sprawa dostała się w ręce pewnego głuchego gentlemana urzędującego w małym pokoiku w oficynie, niedaleko Paul's Churchyard; gdy czterej adwokaci wpadli na niego i nakręcili mu w głowie, namyślał się dzień czy dwa, przewertował sześć grubych tomów i wydał wyrok, iż testator nie był zupełnie normalny i wobec tego powinienem wszystko wypłacić powtórnie z dołączeniem kosztów. Apeluję. Sprawa przechodzi przez trzech czy czterech bardzo zaspanych gentlemanów, którzy przysłuchiwali się już rozprawie w pierwszej instancji, gdzie grali rolę adwokatów. Cała różnica polegała na tym, że tu nazywali się doktorami, a w innym sądzie delegatami, co dość trudno zrozumieć. Ci z całym szacunkiem zatwierdzają wyrok wydany przez głuchego gentlemana. Wskutek tego znalazłem się w tym lokalu, gdzie jesteśmy teraz i gdzie pozostanę do końca życia. Moi adwokaci dawno już weszli w posiadanie całego mego tysiąca funtów, co się zaś tyczy zasady, jak oni to nazywają, i kosztów, to siedzę tu za dziesięć tysięcy i będę tu siedział, aż załatam ostatnie me buciki. Kilku panów mówiło, że poruszą moją sprawę w parlamencie, i myślę, że zrobiliby to, ale nie mieli chęci przyjść do mnie, a ja nie miałem pozwolenia, by pójść do nich. A moje długie listy znudziły ich i tak sprawa moja upadła. To jest cała prawda, jak na sądzie Bożym, ni joty mniej ani więcej, jak to wie bardzo dobrze z pięćdziesiąt osób w tych murach i poza nimi.

Szewc zamilkł, by zobaczyć, jakie wrażenie wywarło opowiadanie jego na Samie. Ten już spał. Więc szewc wytrząsnął popiół z fajki, postawił ją koło siebie, westchnął, nakrył się kołdrą i zasnął.

Na drugi dzień rano, gdy Sam żwawo czyścił ubranie i obuwie swego pana w pokoju szewca, a pan Pickwick siedział sam przy śniadaniu, zapukano lekko do jego drzwi. Zaledwie miał czas powiedzieć: – Proszę wejść — gdy ukazała się głowa okolona włosami i okryta wełnianą czapeczką, w której bez trudu rozpoznać można było osobistą własność Smangle'a.

– Jak zdrowie pańskie? – zapytała ta godna osoba przy towarzyszeniu jednego lub dwóch tuzinów ukłonów. – Czy oczekuje pan kogo dziś rano? Trzech panów bardzo dżentelmeńsko ubranych pyta na dole o pana i puka do wszystkich drzwi, tak że członkowie tutejszego kolegium, którzy musieli otwierać, bardzo się na nich rzucali.

– Mój Boże, jacy niemądrzy – rzekł pan Pickwick, powstając. – Tak, to są zapewne moi przyjaciele, na których wczoraj czekałem.

– Przyjaciele pana? – zawołał Smangle, chwytając za rękę pana Pickwicka. – Dość tego! Od tej chwili są oni i moimi przyjaciółmi... i Mivinsa także... Ten Mivins to diabelnie miły i dżentelmeński człowiek, co? – z uczuciem kończył pan Smangle.

– Doprawdy – rzekł pan Pickwick z pewnym wahaniem – tak mało znam tego pana, że...

– Wiem – odrzekł Smangle, klepiąc go po ramieniu. – Z czasem pozna go pan lepiej; będzie pan nim zachwycony. Ten człowiek, panie – mówił dalej pan Smangle z uroczystą miną – ma talent komiczny, który by przyniósł zaszczyt nawet teatrowi Drury Lane.

– Czy tak?

– Tak, na Jowisza! gdybyś go pan słyszał, jak naśladuje cztery koty w beczce! To są niemyślne cztery koty, daję słowo honoru. Przy tym nadzwyczajnie przystojny. Nie można nie lubić człowieka posiadającego takie cnoty. Jedną ma tylko wadę – słabostkę raczej – o której wspomniałem już panu.

W tym miejscu pan Smangle począł kiwać głową w sposób poufały i oczekujący potwierdzenia. Pan Pickwick czuł, że powinien coś powiedzieć; spoglądając więc z niecierpliwością na drzwi powiedział: – A.

– O tak! – podchwycił pan Smangle z głębokim westchnieniem. – Człowiek ten to najmilszy towarzysz, po prostu nie ma miłszego. Ma tylko tę drobną wadę: gdyby mu się zjawił cień jego dziadka, to pożyczylby od niego osiemnaście pensów.

– Czy być może?! – zawołał pan Pickwick.

– Tak, panie, a gdyby miał możność wywołać ten cień powtórnie, to po upływie dwóch miesięcy i trzech dni poprosiłby powtórnie o taką samą sumę.

– Dziwny rys charakteru – rzekł pan Pickwick – ale my tu rozmawiamy, a przyjaciele moi szukają mnie i nie wiedzą, co z sobą począć.

– Zaraz ich panu sprowadzę – odrzekł pan Smangle, idąc ku drzwiom. – Żegnam pana, nie będę panu przeszkadzał, gdy tu przyjdą... *A propos...*

Wyrzekłszy ten ostatni wyraz pan Smangle zatrzymał się nagle, znów zamknął drzwi już na wpół otwarte i powracając na palcach, rzekł cicho do ucha panu Pickwickowi:

– Czy nie zrobiłoby to panu trudności, gdybyś mi pożyczył pół korony do końca przyszłego tygodnia?

Pan Pickwick ledwie mógł powstrzymać uśmiech, zachował jednak zwykłą swą powagę, wyjął pół korony i położył ją na rękę panu Smangle'owi, który wykonawszy cały szereg gestów i ruchów zalecających utrzymanie w tajemnicy tego misterium, znikł i wkrótce powrócił z trzema przyjaciółmi pana Pickwicka. Następnie odkasznawszy trzykrotnie i tyleż razy skinawszy głową na znak, że nie zapomni o swym długu, uściśnął przybyłym ręce w sposób niemyślne uprzejmy i wyniósł się.

– Moi drodzy przyjaciele – rzekł pan Pickwick, witając kolejno panów Tupmana, Winkle'a i Snodgrassa, gdyż oni to byli – cieszę się bardzo, iż was widzę.

Triumwirat był bardzo rozczulony. Pan Tupman pochylił głowę żałośnie, pan Snodgrass wydobył chustkę z nieukrywanym wzruszeniem, pan Winkle podszedł do okna i głośno westchnął.

– Dzień dobry panom – rzekł Sam, który właśnie wszedł w tej chwili z ubraniami i obuwiem. – Precz z melancholią – jak powiedział pewien uczeń, gdy umarła mu nauczycielka. Witam panów w tej akademii.

– Ten szalenciec Sam – rzekł pan Pickwick, klepiąc Sama po głowie, gdy ów ukląkł i zapinał mu kamasze – ten szalenciec kazał się aresztować, by być razem ze mną.

– Co? – zapytali jednocześnie trzej przyjaciele.

– Tak, panowie – rzekł Sam – jestem... niech pan spokojnie siedzi... jestem uwięziony, moi panowie.

– Uwięziony! – zawołał pan Winkle z ogromnym zdumieniem.

– No, panie – rzekł Sam, spoglądając w górę. – Co tam nowego?

– Spodziewam się, Samie... to jest... nic, nic... – rzekł szybko pan Winkle.

Było coś tak dziwnego w zachowaniu pana Winkle'a, iż pan Pickwick spojrzał po dwóch swych przyjaciółkach, jakby żądając od nich wyjaśnienia.

– Nic nie wiemy – odpowiedział głośno pan Tupman na to nieme zapytanie. – Winkle od dwóch dni jest bardzo wzburzony i zupełnie nie ten co zwykle. Obawiamy się, iż mu się coś musiało stać, ale on stanowczo temu zaprzecza.

– Nic – rzekł pan Winkle, rumieniąc się – doprawdy, iż nic mi się nie stało, niech mi pan wierzy, że nic. Będę tylko musiał na jakiś czas wyjechać w prywatnym interesie, a spodziewałem się, iż pozwoli mi pan zabrać Sama.

Twarz pana Pickwicka wyrażała teraz jeszcze większe zdziwienie.

– Sądzę – mamrotał dalej pan Winkle – że Sam przystałby na to, ale teraz jest to niemożliwe, ponieważ jest uwięziony. Będę musiał sam pojechać.

Gdy pan Winkle mówił to, pan Pickwick czuł, że palce Sama drżały, gdy mu przypinał kamasze, jak gdyby był zdziwiony lub wzruszony. Gdy pan Winkle przestał mówić. Sam podniósł głowę, aby spojrzeć na niego, i chociaż wymiana spojrzeń trwała tylko chwilę, obaj widocznie porozumieli się.

– Samie! – zawołał żywo pan Pickwick. – Czy wiesz, co to wszystko znaczy?

– Nic nie wiem – odrzekł Sam, który począł znów zapinać kamasze z wielką gorliwością.

– Czy na pewno, Samie?

– To pewne, że aż do tej chwili o niczym nie słyszałem. Jeżeli czynię pewne przypuszczenia – mówił dalej Sam, spoglądając na pana Winkle'a – to nie mam prawa mówić o nich, gdyż mogą być w błędzie.

– A ja nie mam prawa wtrącać się w interesy mego przyjaciela, chociaż jesteśmy na tak poufalej stopie – rzekł pan Pickwick po krótkim milczeniu. – Powiem tylko, że nic nie rozumiem. No, dajmy temu spokój.

Następnie pan Pickwick sprowadził rozmowę na inny temat, dzięki czemu pan Winkle poczuł się swobodniejszy, choć wciąż był daleki od dawnej swej beztroski. Przyjaciele nasi mieli sobie tyle rzeczy do powiedzenia, że ranek szybko minął, a gdy około trzeciej Sam postawił na stole pieczeń baranią i ogromny pasztet, nie mówiąc już o mnóstwie rozmaitych jarzyn i kuflach z porterem, poustawianych na krzesłach, na łóżku i w innych miejscach, wszyscy poczuli wilczy apetyt, chociaż jadło było sporządzone w obmierzłej kuchni więziennej, gdzie kupowano mięso i pieczono pasztet.

Po porterze postawiono parę butelek doskonałego wina, które pan Pickwick kazał przynieść z kawiarni w Doctors' Commons. Prawdę powiedziawszy, owa para butelek oznaczała co najmniej trzy pary, gdyż zanim je wypróbniono, dzwonek dawał już znać, że obcy muszą cię wynosić z więzienia.

Jeżeli postępowanie pana Winkle'a było niezrozumiałe rano, to potem, gdy pod naporem wezbranych uczuć i pod wpływem swego udziału w ilości wypitego wina żegnał się z panem Pickwickiem, stało się wprost nienaturalne. Pozostał w tyle, aż panowie Tupman i Snodgrass znikli, a potem, ściskając rękę filozofa z wyrazem twarzy, w którym spokój rozpaczliwego postanowienia walczył z bólem, powiedział przez zęby:

– Dobranoc, drogi panie.

– Niech cię Bóg prowadzi, kochany chłopcze – odrzekł pan Pickwick, serdecznie ściskając rękę swego młodego przyjaciela.

– Czekamy! – zawołał pan Tupman z galerii.

– Zaraz, zaraz! – odrzekł pan Winkle. – Dobranoc.

– Dobranoc – powtórzył pan Pickwick.

Powiedziano już sobie pół tuzina „dobranoc”, a pan Winkle ciągle jeszcze trzymał rękę filozofa i wpatrywał się w niego z dziwnym wyrazem twarzy.

– Co się panu stało? – zapytał w końcu pan Pickwick, którego ręka bolała od potrząsania.

– Nic, nic.

– Więc dobranoc – powtórzył raz jeszcze, usiłując uwolnić rękę.

– Mój przyjacielu, mój dobroczyńco, mój zacny towarzyszu – szeptał pan Winkle, powtórnie chwytając jego dłoń – nie sądź mnie pan zbyt surowo, gdy dowiesz się, do jakich ostateczności zmusiły mnie nieprzewidywane przeszkody...

– No i cóż? – zawołał pan Tupman ukazując się w drzwiach.

– Jeżeli nie wyjdziemy, to nas tu zamkną.
– Idę, już idę! – powtórzył pan Winkle i jakby zadając sobie gwałt, wyrwał się z pokoju pana Pickwicka.

Nasz filozof z niemym zdziwieniem pobiegł za nim wzrokiem wzdłuż korytarza, gdy wtem Sam ukazał się na schodach i chwilę poszeptał z panem Winkle'em.

– Nie zapomni pan? – powtórzył głośno.

– O, nie!

– Życzę wszystkim pomyślności. Bardzo bym chciał pojechać z panem, ale, naturalnie, pryncypał przede wszystkim.

– Masz słusność, to ci przynosi zaszczyt – rzekł pan Winkle. Tak rozmawiając obaj zeszli ze schodów.

„To dziwne! – pomyślał pan Pickwick powróciwszy do swego pokoju. – Co się stało temu młodemu człowiekowi?...”

Myślał nad tym jakiś czas, gdy nagle głos dozorczy więziennego, pana Rokera, zapytał, czy wolno wejść.

– Naturalnie! – powiedział pan Pickwick.

– Przyniosłem panu bardziej miękką poduszkę zamiast tamtej, którą pan miał poprzedniej nocy!

– Dziękuję! – powiedział pan Pickwick. – Pozwoli pan szklaneczkę wina?

– Bardzo pan uprzejmy! – powiedział pan Roker, przyjmując szklanekę. – Za pańskie!

– Dziękuję! – odrzekł pan Pickwick.

– Przykrą wiadomość mam panu do zakomunikowania, proszę pana – powiedział pan Roker. – Źle jakoś z pańskim gospodarzem! – Potem odstawił szklanekę i począł oglądać rondo swego kapelusza, jakby miał zamiar włożyć go z powrotem na głowę.

– Co?! Więzień kanclerstwa? – zawołał pan Pickwick.

– Niedługo on już będzie więźniem kanclerstwa! – powiedział Roker obracając kapelusz w taki sposób, jak gdyby chciał koniecznie odczytać w nim firmę.

– Pańskie słowa mrozą mi krew w żyłach! – powiedział pan Pickwick. – Co pan chce przez to powiedzieć?!

– Od dawna ma już suchoty! – powiedział pan Roker, wając kapelusz na jednym palcu. – Sądzę, że wszędzie by go to spotkało – tu czy gdzie indziej! Zabrano go dziś do infirmerii. Doktor powiada, że trzeba podtrzymać w nim siły. A dyrektor kazał mu od siebie posłać wino, chleba itd. To przecież nie wina dyrektora, sam pan wie!

– Naturalnie! – szybko odpowiedział pan Pickwick.

– Ale się boję – mówił pan Roker kiwając głową – że to już koniec. Założyłem się z Ned-dym o trzy półpensówki, że kipnie, ale cofnął się, i słusznie! Dziękuję panu. Dobranoc!

– Zaraz? – zawołał pan Pickwick. – Gdzie jest infirmeria?

– Nad pańskim pokojem – powiedział pan Roker. – Zaprowadzę pana. – Pan Pickwick zerwał się szybko i bez słowa poszedł za nim.

Dozorca wskazywał mu drogę w milczeniu. Ostrożnie otworzył ostatnie drzwi i wpuścił pana Pickwicka. Był to obszerny, pusty, nagi pokój, w którym stał szereg łóżek. Na jednym z nich leżał cień człowieka: blady, upiorny, wycieńczony. Oddech jego był ciężki, krótki i jakiś chrapliwy. Przy łóżku siedział niski, otyły człowieczek w fartuchu łatacza butów; człowieczek ten przy pomocy okularów w rogowej oprawie czytał na głos Biblię.

Chory położył dłoń na ręce swego pielęgniarza i dał mu znak, by przestał czytać. Tamten odłożył książkę na łóżko.

– Otwórz okno! – prosił chory.

Otworzył okno. Hałas przejeżdżających wozów i karet, turkot kół, krzyki mężczyzn i chłopców, cały ów gwar wielkiego tłumu przejętego i życiem, i własnymi interesami wpadł do pokoju. Czasami gwar ten tłumiał głośny śmiech. Gdzieś zrywała się wesola piosenka, by

potem zginąć w szumie kroków i głosów. Uderzenie potężnych fal życia przepływającego tuż obok. Melancholijnie brzmiały te dźwięki w uszach cichego słuchacza, o ileż jednak melancholijniej dla uszu człowieka, który czuł przy łożu konającego!

– Nie ma tu nic powietrza! – jęczał ochryple i cicho. – Powietrze jest tu skażone. A takie było świeże, kiedy przechadzałem się przed laty! Przed laty! Ale staje się ciężkie i nie do zniesienia w tych murach! Nie mam czym oddychać!

– Razem oddychaliśmy nim już od dawna! – mówił stary. – I jakoś się żyło!

Zapanowała krótka cisza. Pan Pickwick i Roker podeszli do łóżka. Chory ujął obydwoma rękami dłoń swego towarzysza niedoli, ściskając ją mocno i serdecznie.

– Mam nadzieję – powiedział wreszcie tak cicho, że trzeba było nachylić się nad samym łóżkiem, by zrozumieć ruch jego bladych warg – mam nadzieję, że mój Sprawiedliwy Sędzia nie zapomni, co przecierpiałem tu na ziemi! Dwadzieścia lat, mój przyjacielu, dwadzieścia lat w tym okropnym grobie! Serce mi pękało, gdy umarło moje dzieciątko, a ja nie mogłem go nawet ucałować w jego małej trumience! Odtąd samotność moja w tym nieustannym zgiełku straszna była i potworna! Niech Bóg mi przebaczy! On patrzył na moją samotną, smutną śmierć!

Splótł ręce i szepcząc coś, czego już nie zdołali posłyszeć, zapadł w sen – z początku tylko sen, gdyż widzieli, że się uśmiecha.

Poszeptali coś ze sobą, potem dozorca pochylił się nad poduszkami i szybko odskoczył.

– Wolny już, na Boga! – powiedział.

Wolny. Ale taki był podobny do umarłego za życia, że nie zauważyli, kiedy umarł...

Rozdział szesnasty

*w którym opisano czule spotkanie Samuela Wellera z jego rodziną.
Pan Pickwick zwiedza mały świat, który zamieszkuje, i postanawia w
przyszłości nie zadawać się z nim*

W kilka dni po swym uwięzieniu uporządkowawszy bardzo starannie pokój swego pana i stwierdziwszy, że pan Pickwick siedzi nad swymi papierami, Sam wyszedł, by przepędzić jak można najlepiej jedną lub dwie godziny. Ponieważ ranek był piękny, Sam uznał, że flaszka porteru, wypita na świeżym powietrzu, rozjaśni mu świat nie gorzej niż inna rozrywka, na jaką mógł sobie pozwolić.

Doszedłszy do tej konkluzji skierował się do bufetu, kupił porter, dostał onegdajszą gazetę, wyszedł na dziedziniec do kręgielni i począł bawić się w sposób bardzo metodyczny i celowy.

Naprzód pociągnął łyk porteru i zwróciwszy oczy na jedno okno, spojrział nader platonicznie na pewną młodą damę zajęłą skrobaniem ziemniaków. Potem wziął gazetę i rozłożył ją tak, by na wierzchu była kronika policyjna; a ponieważ jest to praca trudna i wyężdżająca, zwłaszcza podczas wiatru, więc gdy tego dokonał, pociągnął znów łyk porteru. Następnie przeczytał dwa wiersze gazety i zatrzymał się, by popatrzeć na grających w kręgle. Po ukończeniu partii krzyknął z uśmiechem: – Bardzo dobrze! – i spojrział dokoła, by się przekonać, czy te uczucia dzielają inni widzowie. To pociągnęło za sobą potrzebę powtórnego spojrzenia w okno; a ponieważ młoda dama, która wciąż w nim stała, jeszcze skrobała ziemniaki, Sam, kierując się kanonami grzeczności, mrugnął do niej okiem i za jej zdrowie łyknął znów piwa. Rzuciwszy potem gniewne spojrzenie jakiemuś chłopcu, który temu postępowaniu Sama przypatrywał się szeroko otwartymi oczyma, założył wreszcie nogę na nogę i wzięwszy gazetę w dwie ręce, zagłębił się w czytaniu.

Zaledwie wprawił się w potrzebny mu teraz stan skupienia, gdy zdało mu się, że z odległej galerii doszło go jego nazwisko. Nie było to złudzenie, gdyż niebawem poczęło ono przebiegać z ust do ust i w parę sekund całe powietrze drżało od słowa „Weller”.

– Tu! – odpowiedział stentorowym głosem. – Co tam takiego? Kto mnie potrzebuje? Czy przybył umyślnie posłaniec z doniesieniem, że spaliła się moja willa?

– Wołają pana do rozmównicy – odpowiedziano.

– Niech pan przypilnuje mojej gazety i kufla – poprosił Sam.

– Idę już. Jak Boga kocham, gdyby mnie wołano na Sąd Ostateczny, nie byłoby tyle wrzawy.

Słowa te podkreślił, uderzając lekko po głowie wspomnianego wyżej młodziana, który nie spodziewając się, by wołana osoba była tak blisko, ze wszystkich sił wołał: – Weller! – Sam przebiegł podwórze i po schodach wpadł do rozmównicy. Stanąwszy tu, ujrzał naprzód u dołu schodów swego kochanego ojca, który trzymając kapelusz w ręku, wrzeszczał co pół minuty:

– Weller!

– Czego tak ryczysz? – zapytał Sam, gdy stary zawołał raz jeszcze. – Poczzerwieniałeś jak szklarz wydmuchujący butelki. Co się stało?

– A! – odrzekł ojciec. – Obawiałem się, czyś nie wyszedł na przechadzkę do parku, Sammy.

– No! – odrzekł Sam. – Nie drwij sobie tak z ofiary swego kutwiarstwa. I zabieraj się z tych schodów. Czego tu sterczysz? Przecież tu nie moje mieszkanie!

– Chcę ci opowiedzieć wyborny kawał! – zawołał Weller, wstając.

– Czekaj – rzekł Sam. – Ubieliłeś się na plecach.

– No to oczyść mnie – rzekł pan Weller, gdy syn strzepywał już kurz z jego pleców. – Byłby to niezwykły wypadek, gdyby tu ktoś miał na sobie coś białego. Prawda, Sammy? – Poniważ, mówiąc to, był bliski nowego napadu śmiechu. Sam pośpieszył powściągnąć go i rzekł:

– Uspokój się! Takiego starego wariata jeszcze świat nie widział. Czego tak ryczysz?

– Sammy – rzekł Weller, cofając się o dwa kroki, otwierając usta i podnosząc brwi. – Zgadnij, kto tu przybył ze mną, Samiwelu?

– Pan Pell? – rzekł Sam.

Weller potrząsnął głową, a policzki wyduły mu się tłumionym śmiechem.

– Może cętkowany? – zgadywał Sam.

Pan Weller zaprzeczył.

– Więc któż?

– Twoja macocha, Sammy – zawołał otyły stangret w ostatniej chwili, bo gdyby tego nie zrobił, policzki pękłyby mu niezawodnie, tak były wyduęte. – Twoja macocha, Sammy, i czerwono nosy. I czerwono nosy! Cha, cha, cha!

Po tych słowach pan Weller dostał ataku śmiechu, a Sam patrzył na niego ze złośliwym uśmiechem, który powoli rozlał się mu na całym obliczu.

– Przybyli, by przemówić ci do sumienia, Sammy – rzekł pan Weller, ocierając sobie oczy.

– Tylko nic im nie wspominaj o wyrodnym wierzycielu.

– Jak to? Nie wiedzą, kto nim jest?

– Ani trochę.

– Gdzież są? – rzekł Sam, zaśmiewając się ze starym na wyścigi.

– W pokoju koło kawiarni. Myślisz, że czerwono nosy pójdzie gdzieś, gdzie nie ma trunzków? Nigdy, mój drogi, nigdy. Odbyliśmy piękny spacer dziś rano – mówił Weller dalej. – Zaprzągnąłem mego starego siwka do starego wózka, który należał do pierwszego męża mojej żony. Dla pasterza postawiono w nim fotel i niech mnie diabli wezmą – tu pan Weller spojrział z pogardą – jeżeli nie przystawiono schodków, by się mógł na wóz wgramolić.

– Nie może być!

– Ba! Tak było! Chciałbym, abyś był widział, jak przy wsiadaniu trzymał się mocno poręczy, jakby się bał, by nie spaść z wysokości sześciu stóp i nie rozbić się w kawałki. Wreszcie wlaź jakoś szczęśliwie; ale obawiam się – obawiam się, Sammy – że go trzęsło mocno, zwłaszcza na zakrętach.

– Pewno zawadziłeś o jeden i drugi słupek?

– Zdaje mi się, że tak, Sammy. Zdaje mi się, że zawadziłem o kilka nawet – odrzekł Weller, mrugając okiem. – W ciągu podróży zlatywał parę razy z krzesła.

Tu Weller zaczął kołysać głową na boki, wydając jakieś stłumione chrapanie, któremu towarzyszyło mocne wyduęcie policzków. Symptomy te poważnie przeraziły jego syna.

– Nie bój się, Sammy, nie bój się! – rzekł starszy gentleman, gdy po wielu grymasach i konwulsyjnych tupnięciach złapał wreszcie oddech. – Jest to tylko taki sobie cichy śmiech, do którego się wprawiam.

– Jeżeli tak, to nie próbuj go zbyt często, bo zdaje się, że to niebezpieczny wynalazek.

– Ach! – odrzekł Weller, a łzy mu spływały po twarzy – byłoby mi to bardzo na rękę, gdybym mógł się do niego przyzwyczaić. Uniknąłbym w ten sposób wielu kłótni z twoją maco-

chę. Ale obawiam się, że masz słuszość; jest to zanadto bliskie apopleksji, zanadto, Samiwelu.

Tak rozmawiając, doszli do pokoju koło kawiarni, gdzie Sam wszedł niebawem, przystanąwszy wprzód na chwilę, by przez ramię rzucić chytre spojrzenie na swego rodzica, który wciąż Jeszcze chichotał.– Bardzo jestem matce wdzięczny – rzekł Sam, uprzejmie witając damę – za te odwiedziny. Jak się macie, pasterzu?

– Ach, Samuelu! – zawołała pani Weller. – To okropność!

– Wcale nie, matko; nieprawdaż, pasterzu?

Pan Stiggins podniósł ręce do góry i przewrócił oczy tak, iż widać było tylko białka lub raczej żółtka, ale nie dał słownej odpowiedzi.

– Czy temu gentlemanowi źle się zrobiło? – zapytał Sam macochy, rzucając na nią spojrzenie, które prosiło o wyjaśnienie.

– Zaczny człowiek martwi się tym, że cię tu widzi – powiedziała pani Weller.

– Czy tylko to? – rzekł Sam. – Jego postępowanie napawa mię troską, czy też nie zapomniał przypadkowo ostatnich ogórków, jakie jadł, posypać pieprzem. Siadaj pan, za siedzenie nie płaci się – jak powiedział pewien król, gdy odprawił ministra.

– Młodzieńcze – rzekł pan Stiggins górnolotnie – obawiam się, że nawet więzienie nie nauczyło cię jeszcze pokory.

– Przepraszam bardzo – odparł Sam – ale co pan był łaskaw powiedzieć?

– Obawiam się, młodzieńcze, że charakter twój nie stał się pokorniejszy wskutek tej próby – rzekł Stiggins głośno.

– Bardzo pan łaskaw – odparł Sam. – Mam wrażenie, że z natury nie należę do pokornych owieczek. Bardzo jestem panu zobowiązany za jego dobre mniemanie o mnie.

W tym miejscu rozmowy dał się słyszeć głos nieprzyzwoicie podobny do wybuchu śmiechu od strony krzesła, gdzie siedział pan Weller, wskutek czego jego połowica, szybko zorientowawszy się w miejscowych warunkach, uznała za swój obowiązek zagrozić atakiem nerwowym.

– Weller – zawołała – proszę tu! (Stary stangret siedział w kącie).

– Dziękuję ci, moja kochana, ale i tu mi dobrze – odparł pan Weller.

Usłyszawszy tę odpowiedź pani Weller załapała się łzami.

– Co się matce stało? – zapytał Sam

– O, Samuelu! – odrzekła dama. – Twój ojciec unieszczęśliwia mnie. Czy nic go już nie poruszy?

– Słyszysz, ojczu! – zawołał Sam. – Pani mówi, że nic cię już nie poruszy.

– Bardzo dziękuję za tę czułą troskę, ale zdaje mi się, iż byłbym bardzo poruszony, gdybym mógł dostać fajkę. Czy znajdzie się tu jaka fajka, mój chłopcze?

Słyszając to, pani Weller jeszcze obficie załapała się łzami, a pan Stiggins jęknął.

– Oho! Nieszczęśliwemu gentlemanowi znów się źle zrobiło – rzekł Sam. – Gdzie pana boli?

– Zawsze w tym samym miejscu, młodzieńcze – rzekł pan Stiggins – zawsze w tym samym.

– A gdzież to? – zapytał Sam z głupia frant.

– Tu, w moim sercu, młodzieńcze – odrzekł pan Stiggins, przykładając parasol do kamiczelki.

Na tę rozczulającą odpowiedź pani Weller, nie mogąc opanować wzruszenia, wybuchnęła głośnym łkaniem oświadczając, że czerwononosy jest człowiekiem świętym, na co pan Weller senior stłumionym głosem ważył się powiedzieć, że musi być przedstawicielem połączonych gmin: świętego Szymona od zewnątrz i świętego Walkera od wewnątrz.

– Obawiam się, droga matko – rzekł Sam – że ten gentleman z wykrzywioną gębą musiał poczuć pragnienie na ten smutny widok. Prawda, matko?

Zacna dama spojrzała na pana Stigginsa, czekając odpowiedzi. Ten zaś, wielokrotnie wróciwszy oczami, ścisnął sobie gardło prawą ręką, dając tym do zrozumienia, iż czuje pragnienie.

– Samuelu – rzekł ponuro pan Weller – obawiam się, iż jego uczucia przyprawiły go o pragnienie.

– Co pan najchętniej pije? – zapytał Sam.

– O! Mój młody przyjacielu – rzekł pan Stiggins – napoje to tylko marność.

– To prawda, wielka prawda! – szepnęła pani Weller, potakując.

– Tak jest – odrzekł Sam. – Ale jaka z tych marności najwięcej przypada panu do smaku? Która jest pańską ulubioną marnością?

– O! Mój młody przyjacielu! – odparł pan Stiggins – ja gardzę wszystkimi. Ale jeżeli jest jaka mniej wstrętna od innych, to płyn, który nazywa się arakiem; gorący, mój przyjacielu, i z trzema kawałkami cukru na szklanke!

– Przykro mi, panie, ale tej marności nie pozwalają sprzedawać w tym zakładzie.

– O! Serca zatwardziało! – zawołał pan Stiggins. – O złośliwości ohydna nieludzkich przestawców!

To powiedziawszy, świątobliwy człowiek znowu począł przewracać oczyma, uderzając się parasolem w kamizelkę. Na jego usprawiedliwienie powiemy, że teraz oburzenie jego było szczere i nie udane. Gdy pani Weller i czerwono nosy skończyli wyrzekać na ten nieludzki zwyczaj i rzucali na jego sprawcę całą masę pobożnych i świętych przekleństw, pan Stiggins opowiedział się za butelką wina porto dobrze ogrzanego, z cukrem i korzeniami, gdyż jego zdaniem jest to mieszanina dogadzająca jego żołądkowi i mniej mama aniżeli inne. W czasie gdy przyrządzano tę miksturę, czerwono nosy i pani Weller spoglądali na stangreta, wydając głębokie westchnienia.

– No, Sammy – rzekł Weller – spodziewam się, iż cię rozweseliła nasza wizyta. Bardzo pouczająca i wesoła rozmowa, prawda?

– Jesteś bezbożnik – rzekł Sam – i proszę cię, byś się nie zwracał do mnie z takimi bezwstydnymi uwagami.

Niezbyt zbudowany tą odpowiedzią, starszy pan Weller wykrzywił twarz w szerokim grymasie. Ponieważ nieugięcie trwał przy swoim karygodnym zachowaniu, dama i pan Stiggins zamknęli oczy i niespokojnie zaczęli wiercić się na krzesłach. Pan Weller pozwolił więc sobie na inne jeszcze sztuczki, wyrażające chęć rozbicia nosa wielebnemu pasterzowi, chęć, której zaspokojenie ulżyłoby bardziej jego sercu, ale żadne z tych dwojga nie dostrzegło jego gestów. Dopiero pan Stiggins poruszywszy się, gdy przyniesiono grzane wino, gwałtownie potracił głową o zaciśniętą pięść stangreta, którą pan Weller przez kilka minut wywijął koło ucha pasterza w odległości dwóch cali.

– Cóż to ojciec wysuwasz rękę po szklanke, jakby jaki dziki człowiek! – zawołał Sam z wielką przytomnością umysłu. – Nie widzisz, żeś potracił gentlemana?

– To nienaumyślnie, Sammy – odrzekł Weller, nieco zmieszany tym zdarzeniem.

– Panie – rzekł Sam do wielebnego Stigginsa, rozcierającego sobie głowę – użyj no pan raczej wewnętrznego lekarstwa. Co pan sądzi o tej gorącej marności?

Pan Stiggins nie dał odpowiedzi słownej, ale za to czyny jego były wymowne; skosztował zawartości szklanki, którą Sam postawił przed nim, położył parasol na ziemi, znów przelknął trochę płynu, dwa lub trzy razy posuwając z zadowoleniem ręką po żołądku. Wreszcie wypił wszystko od razu, mlasnął językiem i podsunął szklanke, by otrzymać drugą porcję.

Pani Weller również nie zaniedbała zająć się tą mieszaniną. Zacna dama zaczęła od oświadczenia, iż nie może wypić ani kropelki, potem wypła małą kropelkę, potem wielką kroplę, potem znaczną ilość kropel; a ponieważ czułość jej była widocznie z tego rodzaju substancji, które łatwo rozpuszczają się w spirytusie, więc po każdej kropli gorącego wina roniła jedną łzę, aż uczucia jej tak się rozpląnęły, że w końcu nic z nich nie pozostało.

Starszy pan Weller okazywał w rozmaity sposób swój wstręt do tych podobnych oznak i wypowiedzi. Gdy więc pan Stiggins po drugiej szklance o tej samej treści zaczął smutno wzdychać, pan Weller dał wyraz swemu niezadowoleniu w sposób bardzo otwarty za pomocą całej serii różnych gniewnych pomruków i uwag.

– Samiwelu, mój chłopcze – szepnął na koniec do syna po długiej i uważnej obserwacji swej żony i pana Stigginsa – czy się też coś nie popsulo w twej macosze i panu Stigginsie?

– Jak to rozumiesz?

– Myślę, że wszystko, co piją, zdaje się, nie idzie im na dobre, ale natychmiast przemienia się w ciepłą wodę i wypływa oczami. Wierz mi, Sammy, iż to jest jakaś wada organiczna.

Wypowiedziawszy to uczone zdanie Weller począł mrugać i wykonywać głową rozmaite ruchy, które na nieszczęście zostały spostrzeżone przez jego żonę. Ponieważ dama ta nie wątpiła, że odnoszą się one albo do niej, albo do pana Stigginsa, albo do nich obojga, poczuła się bardzo słaba i kto wie, co by się było stało, gdyby pan Stiggins nie podniósł się, jak mógł, i nie zaczął prawić kazania dla zbudowania obecnych, a zwłaszcza Sama. Wzywał go w słowach pełnych wzruszenia, by był ostrożny w tym miejscu potępionym. By wyrzekł się wszelkiej hipokryzji i dumy i by we wszystkim naśladował jego (Stigginsa), wtedy bowiem, wcześniej czy później dojdzie do konkluzji takiej, do jakiej doszedł pan Stiggins, a mianowicie, że jest on najzacniejszą i najszlachetniejszą istotą, natomiast wszyscy jego przyjaciele – to beznadziejne łajdaki i nicponie! Które to przeświadczenie, dodał, nie mogło nie budzić w nim najgłębszego zadowolenia!

Zaklinał go nade wszystko, by wystrzegał się pijaństwa, które upodabnia człowieka do świni, bowiem zatrute opary napojów spirytusowych odbierają człowiekowi pamięć i mącą myśli. Na nieszczęście, w tym miejscu kazania wielebnemu i czerwono-nosemu gentlemanowi zaplątał się język, a oratorskie ruchy zmusiły do chwycenia za poręcz krzesła z obawy stracenia równowagi.

Pan Stiggins nie prosił swoich słuchaczy, by mieli się na baczności przed tymi fałszywymi prorokami i przekłętymi kpiarzami z religii, którzy nie mając dość rozumu, by pojąć pierwsze jej zasady, ani dość serca, by odczuć jej kanony, są bardziej niebezpieczni dla społeczeństwa od zwykłych zbrodniarzy. Żerując na najciemniejszych i najmniej oświeconych, bluźniąc temu, co najświętsze, deprawują najlepsze sekty, do których należą najlepsi ludzie. Ponieważ jednak leżał jakiś czas na krześle, oparty o poręcz, zamknąwszy jedno oko i zmrużywszy drugie, jest rzeczą prawdopodobną, że myślał to wszystko, tylko po prostu nie chciał tego mówić.

W czasie tego kazania pani Weller płakała rzewnymi łzami; Sam, usiadłszy na krześle jak na koniu i umieściwszy ramiona na oparciu, spoglądał na kaznodzieję wzrokiem słodkim i łagodnym, co chwila zerkając porozumiewawczo na ojca, który z początku był zachwycony, ale potem usnął w połowie przemówienia.

– Brawo! Doskonale! – zawołał widząc, że pasterz po skończonej mowie naciąga swe dziurawe rękawiczki, a w trakcie tego palce wychodzą mu przez dziury aż po same kostki. – Doskonale!

– Spodziewam się, że ci to wyjdzie na dobre – rzekła pani Weller.

– I ja się tego spodziewam – odrzekł Sam.

– Chciałabym, by taki sam wpływ wywarło to i na twego ojca – rzekła pani Weller.

– Dziękuję ci, moja droga – odrzekł Weller. Jakiż skutek wywarło to na tobie, moja kochana?

– Bezbożnik! – zawołała pani Weller.

– Człowiek zbłąkany – dodał pan Stiggins.

– Jeżeli nie będę miał lepszego światła, jak to wasze księżycowe – rzekł pan Weller starszy – to obawiam się, że wiecznie będę jechał ciemnym dyliżansem, aż na zawsze wezmę rozbrat z drogą żywota. Ale teraz, moja droga, jeśli siwek dłużej będzie stać przy żłobie, to w po-

wrotnej drodze nie będzie się na mnie oglądać i, być może, zrzuci fotel razem z pasterzem na jakiś płot.

Usłyszawszy to pan Stiggins wstał, wziął kapelusz i parasol i począł przeć do odjazdu, wobec czego pani Weller wstała również, a Sam, odprowadziwszy ich aż do bramy więziennej, pożegnał z wielkim uszanowaniem.

– *Addio*, Samiwelu – rzekł stary pan.

– Co znaczy: *addio*? – zapytał Sam.

– Tyle co: bądź zdrów!

– Nic ci lepszego nie przyszło do głowy? – zapytał Sam. – No, bywaj, stary gracie.

– Sammy – rzekł stary Weller na odchodnym do syna, oglądając się na wszystkie strony – moje uszanowanie pryncypałowi i poradź mu, niech się namyśli nad tym, co ci powiem, i da mi potem znać. Ja i pewien stolarz ułożyliśmy plan, jak go stąd wydobyć. Fortepian, Sammy! Fortepian... – powtórzył raz jeszcze, trącając syna ręką w piersi i cofając się parę kroków.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Falszywy fortepian, Samiwelu – odrzekł Weller jeszcze bardziej tajemniczo. – Fortepian, który pryncypał wynajmie, ale który nie będzie grać.

– Na cóż więc się przyda?

– Każę powiedzieć memu przyjacielowi, stolarzowi, by go sobie zabrał – wyjaśnił pan Weller. – Teraz rozumiesz?

– Nic – zapewnił Sam.

– Nic przy tym nie ryzykuje – szepnął ojciec. – Może położyć się do fortepianu razem z butami i kapeluszem, a oddychać może przez nogi, bo będą próżne. Mamy dla niego przygotowany okręt wprost do Ameryki. Rząd amerykański nie wyda go, gdy zobaczy, że on ma pieniądze. Pryncypał zostanie tam aż do śmierci pani Bardell albo dopóki Dodsona i Fogga nie powieszą, co pewno prędzej nastąpi niż to pierwsze. Wtedy powróci, napisze dzieło o Amerykanach, którym opłaci koszta podróży, i jeszcze mu się coś może okroi, jeżeli tylko należycie obrobi Amerykanów.

Weller skreślił ten ogólny zarys spisku namiętym szeptem, potem jednak, jakby się obawiał, że dalsza rozmowa osłabi wrażenie, jakie sprawiła ta niesłychana wiadomość, pożegnał syna pozdrowieniem stangretów i zniknął.

Zaledwie zdołał Sam odzyskać zwykły swój spokój po tajemniczych zwierzeniach ojca, gdy ukazał się pan Pickwick.

– Samie – rzekł filozof – mam zamiar przejść się po więzieniu i chciałbym, byś mi towarzyszył. Ale patrz no – dodał uśmiechając się – oto nadchodzi więzień, którego znamy.

– Który, panie? Czy ten gentleman brodaty, czy ten interesujący jegomość w niebieskich pończochach?

– Ani jeden, ani drugi. Ktoś z twoich starych przyjaciół.

– Z moich przyjaciół?

– O! Pewny jestem, że go dobrze pamiętasz, bo inaczej miałbyś o wiele gorszą pamięć, niżbym przypuszczał. Ale cicho!... Ani słowa!... Otóż i on.

Podczas tej rozmowy nadszedł pan Jingle. Nie miał już tak nędznej powierzchowności jak przedtem: ubrany był w suknie na wpół tylko poszarzałe, wykupione dzięki panu Pickwickowi z niewoli lombardu. Włosy miał podcięte, a bieliznę czystą; ale jeszcze był bardzo blady i chudy. Wlókł się powoli, opierając się na lasce, i łatwo było domyślić się, że bieda i choroba mocno mu się dały we znaki i że wciąż jeszcze bardzo był osłabiony. Gdy pan Pickwick witał się z nim, Jingle zdjął kapelusz i gdy ujrzał Sama, wydawał się bardzo upokorzony i zawstydzony.

Tuż za nim szedł Hiob Trotter, który w katalogu swych wad nie miał przynajmniej braku wierności i przywiązania do swego pana. Był jeszcze brudny i w łachmanach, ale policzków nie miał już tak zapadłych jak przed kilkoma dniami, przy pierwszym spotkaniu z panem Pic-

kwickiem. Zdejmując kapelusz przed naszym dobroczynnym starym przyjacielem, wypowiedział parę urywanych słów o wdzięczności i wymamrotał coś o uratowaniu go od głodowej śmierci.

– Dobrze, dobrze! – odrzekł filozof, przerywając mu niecierpliwie. – Idź za mną. Samie. Chcę pomówić z panem Jingle'em. Czy może pan iść bez mojej pomocy?

– O tak – sługa pana – ale nie bardzo prędko – nogi chwieją się – głowa oszołomiona – wszystko w kółko – rodzaj trzęsienia ziemi.

– No, podaj mi pan ramię – rzekł pan Pickwick.

– Nie, nie, niemożliwe... sam pójdę – rzekł pan Jingle.

– Dzieciństwo! Wesprzyj się pan na mnie, chcę tego – odparł pan Pickwick.

Widząc, że pan Jingle, zmieszany, nie wie, co robić, pan Pickwick sam wziął go pod rękę i powiodł ze sobą, nie tracąc próżnych słów.

Przez cały ten czas twarz Sama wyrażała największe zdumienie, jakie tylko wyobrazić sobie można. Spoglądając kolejno w najgłębszym milczeniu to na pana Jingle'a, to na Hioba, cicho powiedział w końcu przez zęby: – To być nie może! – Powtórzywszy te słowa kilkanaście razy, jakby od tego ćwiczenia oniemiał, z gniewem, zmieszaniem i zdumieniem począł znów patrzeć to na jednego, to na drugiego.

– No, Samie – rzekł pan Pickwick, oglądając się.

– Idę, panie – odrzekł pan Weller idąc mechanicznie za swym panem, wciąż jednak nie odwracał oczu od Hioba Trottera, który w milczeniu szedł koło niego.

Hiob przez jakiś czas oczy miał spuszczone, a Sam, którego wzrok wprost przyłgął do twarzy Trottera, wpadał na spotykanych ludzi, przewracał małe dzieci, potykał się o schody i bariery, jakby niedowiedział, aż Hiob spojrzał spoде łba i powiedział:

– Jak się pan ma, panie Weller!

– To on! – zawołał Sam i doszedłszy do tego przeświadczenia, uderzył się rękami po udach i wyraził swe uczucie długim i donośnym gwizdnięciem.

– Bardzo się zmieniłem, panie Weller! – rzekł Hiob.

– I mnie się tak zdaje – odrzekł Sam, z nieukrywaniem zdziwienia przypatrując się łachmanom Hioba. – Ale to zła zmiana – jak powiedział chłop, gdy dwa podejrzone szylingi i sześć pensów drobnymi dostał za dobre pół korony.

– Ma pan słuszność – zawołał Hiob, pochylwszy głowę. – Ale minął czas udawania. Łzy, panie Weller – dodał z wyrazem chwilowej złośliwości – łzy to nie jedyny i nie najlepszy dowód nieszczęścia i bólu.

– O pewno! – zauważył Sam dobitnie.

– Można wywołać sztucznie – ciągnął Trotter.

– Bardzo słusznie. Są osoby, które mają zawsze łzy w pogotowiu i mogą wylewać je na zawołanie.

– Tak, ale są rzeczy, które nie przychodzą na zawołanie, panie Weller, a zbyt bolesny to proces, gdy się je chce sztucznie wywołać.

To mówiąc Hiob wskazał na swe blade, zapadłe policzki i odsunawszy rękaw, odkrył ramię tak wychudzone, iż zdawało się, że złamie się za lada dotknięciem.

– Cóżże ty robił? – zawołał Sam, cofając się.

– Nic – odparł Hiob.

– Nic?

– Już od wielu tygodni nic nie robię... ale jem i piję niemal tyleż.

Sam powiodł wzrokiem po przezroczywej twarzy Trottera i po całej tej nieszczęśliwej postaci, a potem pochwycawszy go za rękę, począł ciągnąć żywo za sobą.

– Gdzie mnie pan ciągnie? – jęknął Hiob, na próżno usiłując wyrwać się z potężnych rąk niegdyś nieprzyjaciela.

– Chodź! Chodź! – powtórzył Sam, nie dając innych wyjaśnień, a po chwili, gdy stanęli przed bufetem, zamówił kufel portera.

– Teraz – powiedział – wypij mi to do ostatniej kropli i przewróć kufel do góry dnem, bym się przekonał, żeś zużył całe lekarstwo.

– Ależ kochany panie Weller – sprzeciwił się Hiob.

– Pij! – krzyknął Sam rozkazująco.

Wezwany w ten sposób Trotter przyłożył kufel do ust i wychylił go małymi, ledwo widocznymi łykami, aż do dna. Raz tylko, ale tylko raz, zatrzymał się, by odetchnąć, ale ust nie odejmował od kufla, który w parę chwil potem trzymał odwrócony w wyciągniętej ręce. Nic nie spadło na podłogę prócz kilku kropel szumowin, które odrywały się od brzegu i leniwie kapwały.

– Dobrze! – zawołał Sam. – Jakże ci teraz?

– Lepiej! Daleko lepiej! – odparł Hiob.

– Naturalnie – rzekł Sam z głębokim przeświadczeniem – to tak, jakbyś wpuszczał gaz do balonu. Gołym okiem widzę, że ci po tej operacji lepiej się zrobiło. Cóż powiesz o drugim kuflu tych ziółek?

– Bardzo panu dziękuję, ale powiem, że źle by mi zrobił.

– No, a co powiesz o czymś pożywniejszym?

– Dzięki pańskiemu godnemu chlebodawcy mamy na obiad pieczeń baranią z ziemniakami, tak że gotowanie zostało nam oszczędzone.

– Co? Pryncypał opiekuje się wami? – zawołał Sam ze zdumieniem.

– Tak, panie Weller. I więcej jeszcze: gdy mój pan był bardzo chory, pryncypał wziął dla nas pokój – przedtem mieszkaliśmy w jakiejś psiej budzie – i opłacił go. Co nocy przychodził odwiedzać mego pana, aby nikt tego nie widział. Panie Weller – mówił dalej Hiob, tym razem z prawdziwymi łzami w oczach – takiemu człowiekowi gotów bym służyć, dopóki bym nie zdechł u jego nog.

– No, no, mój kochany, obejdzcie się bez tego! – krzyknął Sam.

Hiob Trotter spojrział na niego zdziwiony.

– Powiadam ci, że obejdzcie się bez tego, mój chłopcze – powtórzył Sam bardzo stanowczo. – Nikt mu nie będzie służyć prócz mnie. A ponieważ doszliśmy do tego – ciągnął dalej, płacąc za piwo – wyjawię ci pewien sekret. Nigdy nie słyszałem ani w żadnej książce historycznej o tym nie czytałem, ani nie widziałem na żadnym obrazie anioła w kamaszach i z okularami; nie, nawet w teatrze, o ile sobie przypominam, chociaż tam z innych względów można by to zrobić; ale pomimo to, Hiobie, powiadam ci, że jest to anioł czystej krwi... i niech kto ośmieli się utrzymywać, że widział kogoś lepszego!

Wygłosiwszy to wyznanie, które potwierdził licznymi ruchami rąk i głowy, Sam włożył resztę pieniędzy do kieszeni i poszedł szukać pana Pickwicka, przedmiotu swej oracji.

Pan Pickwick stał wciąż jeszcze z panem Jingle'em na „placu balowym” i żywo z nim rozmawiał nie zwracając uwagi na otaczające ich wielobarwne grupy, choć zasługiwały na to, by przynajmniej z ciekawości przyjrzeć im się nieco.

– Zatem – powiedział w końcu, widząc, że Sam i Trotter nadchodzą – zobaczy pan, jak się ułoży z pańskim zdrowiem, a tymczasem zastanowi się pan. Gdy będzie się pan czuł dość mocny, zrób mi pan obliczenie. Pomyślę o tym i potem omówię to z panem. Teraz proszę iść do swego pokoju, bo jest pan znużony i nie powinien pan narażać wątłego jeszcze zdrowia.

Pan Alfred Jingle, który nie miał już w sobie ani iskry dawnej żywości, ani nawet owej ponurej wesołości, jaką udawał przy pierwszym spotkaniu z panem Pickwickiem, uklonił się bardzo nisko, nie mówiąc ani słowa, i z wolna oddalił się, skinąwszy na Hioba, by szedł za nim.

– Samie! – powiedział pan Pickwick, spoglądając dokoła z zadowoleniem. – Prawda, że to bardzo dziwna scena?

– Bardzo! – odpowiedział Sam. – Cuda jeszcze się nie skończyły! – dodał do siebie. – Jeżeli się nie mylę, Jingle również użyje sikawki!

Miejsce, w którym stał pan Pickwick, była to przestrzeń między murami, takich rozmiarów, że można na niej było grać w palanta. Jeden bok tworzył oczywiście mur, drugi – ta część więzienia, która wychodziła (raczej wychodziłaby, gdyby nie przeszkadzał mur) na katedrę św. Pawła. Mnóstwo dłużników wałęsało się po tym placu lub siedziało w rozmaitych pozach. Większość z nich czekała na wiadomość z Trybunału Bankrutów, że „mogą odejść”. Inni byli skazani na ściśle określone terminy, które starali się w rozmaity sposób skrócić. Jedni byli ubodzy, drudzy zamożni, prawie wszyscy – brudni, nieliczni – czyści. Ale wszyscy chodzili z kąta w kąt. Męczyli się, pragnęli wydostać się z więzienia z równym skutkiem i energią jak zwierzęta w menażerii.

Przez okno wychodzące na tę promenadę wyglądało kilkanaście osób. Jedni rozmawiali ze znajomymi tam w dole, inni bawili się w piłkę z awanturnikami stojącymi na zewnątrz więzienia, inni znów patrzyli na grających w palanta i przysłuchiwali się okrzykom chłopców. Brudne kobiety w przydeptanych pantoflach szły w tę i tamtą stronę, przeważnie od kuchni umieszczonej w głębi. Dzieci wrzeszczały, bawiły się i biły. Krzyki graczy mieszały się z wieloma innymi dźwiękami. Wszędzie panował zgiełk i hałas – z wyjątkiem nędznej szopy w głębi dziedzińca, gdzie w spokoju spoczywało nieruchome ciało nieszczęśliwego więźnia kanclerstwa, zmarłego poprzedniej nocy w oczekiwaniu śledztwa, którym go mamiono. Ciało! Jest to określenie prawne na nigdy nie znający spokoju, wirujący splot trosk, nadziei, rozczarowań, miłości, które tworzą żywego człowieka. Prawo miało jego ciało. Oto leżało zawinięte w całun, straszne świadectwo tkliwego miłosierdzia.

– Chce pan zobaczyć pokój świstaków? – spytał Hiob Trotter.

– Co to znaczy? – odpowiedział pan Pickwick.

– Pokój świstaków? – wtrącił pan Weller.

– Co to, Samie? – spytał pan Pickwick. – Czy to ptaszarnia?

– Niech Bóg zachowa! – zawołał Hiob. – To tam, gdzie sprzedają spirytus! – Tu pan Trotter wytłumaczył pokrótce, że wobec tego, iż w więzieniach surowo zabraniano handlować napojami wyskokowymi, które tak bardzo cenią gentlemani i damy tam zamknięte, więc kilku sprytnych dozorców wpadło na ten znakomity pomysł, by pozwolić niektórym więźniom, oczywiście za odpowiednim wynagrodzeniem, zaopatrzyć się w dzin na własne ryzyko i własny użytek.

– Zwyczaj ten powoli zakradł się do wszystkich więzień za długi! – powiedział pan Trotter.

– Ma to tę dobrą stronę, że dozorczy wyłapują każdego, kto uprawia ten handel bez pozwolenia, nie opłacając się, a kiedy wiadomość o tym dostanie się do gazet, jeszcze ich chwala za spryt! Dwie pieczenie na jednym ogniu: odstrasza się innych od handlu i podnosi własną godność.

– Czytasz pan jak z nut, panie Weller! – powiedział Trotter.

– Czyż nigdy nie robią rewizji w tych pokojach? Nigdy nie znajdują napojów? – pytał pan Pickwick.

– Naturalnie! – powiedział Hiob. – Ale dozorczy zawsze się przewiedzą o tym i dają znać, komu potrzeba. I pan dostanie, jak pan odpowiednio zagwizdże.

Tu Hiob zastukał w pewne drzwi i natychmiast ukazała się w nich rozczochna głowa. Właściciel wpuścił naszych przyjaciół i zaraz zamknął drzwi, przy czym uśmiechnął się. Sam uśmiechnął się również, Trotter także. Pan Pickwick myśląc, że tak widocznie wypada, śmiał się już do końca wizyty.

Gentleman z rozczochną głową wydawał się bardzo zadowolony z tego sposobu załatwienia interesu „na milcząco”. Wyjął spod poduszki płaską flaszkę, zawartości mniej więcej ćwierci litra, nalał dwie szklanki, które Hiob i Sam wysuszyli w sposób bardzo zręczny.

– Jeszcze? – zapytał świstający gentleman.

– Nie! – odpowiedział Hiob.

Pan Pickwick zapłacił, otworzono drzwi i wszyscy wyszli. Rozczochrany jegomość uśmiechnął się przyjacielsko do pana Rokera, który właśnie nadchodził.

Następnie pan Pickwick błąkał się dość długo po wszystkich schodach i korytarzach oraz obszedł raz jeszcze całe podwórze. Na każdym kroku, w każdej osobie zdawało mu się, że widzi albo Mivinsa, albo Smangle'a, albo duchownego, albo rzeźnika, gdyż cała ludność więzienia złożona była po większej części z indywiduów tego rodzaju. Po wszystkich kątach, najlepszych i najgorszych, te same wspólne cechy, ten sam brud, ten sam nieład, ten sam hałas. Wszędzie gwarne i nieustanne krzątanie się; ludzie cisnący się i przewalający jak cienie w jakimś złym śnie.

– Dość się już napatrzyłem – rzekł filozof, gdy powrócił do siebie i rzucił się na krzesło. – Głowa mię boli od tych scen, a serce nie mniej. Odtąd będę więźniem we własnym pokoju.

I pan Pickwick wytrwał niezłomnie przy tym postanowieniu. Przez całe trzy miesiące nie ruszył się poza swój pokój, a tylko w nocy, gdy większość współwięźniów spała albo zapijała się w swych pokojach, wymykał się, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Zdrowie jego poczęło widocznie cierpieć od tego ścisłego zamknięcia się. Ale ani wielokrotne prośby Perkera i przyjaciół, ani jeszcze liczniejsze ostrzeżenia i napomknienia Samuela Wellera nie zdołały na jotę zmienić jego niezłomnego postanowienia.

Rozdział siedemnasty

opowiada o delikatnych uczuciach panów Dodsona i Fogga oraz o tym, że ci gentlemani nie byli pozbawieni zmysłu komizmu

Mniej więcej na tydzień przed końcem lipca ujrano na ulicy Goswell pędzącą dorożkę (numeru nie zauważono). Siedziały w niej trzy osoby prócz stangreta, który cisnąć się musiał na małym koźle. Na fartuchu wisały dwa szale należące do dwóch przykrytych nim dam. Między tymi damami, ściśnięty do bardzo niewielkich rozmiarów, stał jegomość zastraszony i zahukany, który ilekroć ośmielił się zrobić jakąś uwagę, narażał się na natychmiastowe skarcenie ze strony którejś z groźnych pań. Obie damy i jegomość dawali stangretowi sprzeczne rozkazy, zmierzające jednak do tego, by zajechać przed dom pani Bardell. Wysoki jegomość, w przeciwieństwie do obu dam i ku ich oburzeniu, twierdził, że są to drzwi zielone, nie żółte.

– Stańcie przed domem z zielonymi drzwiami! – mówił jegomość.

– Ach, ty przewrotna istoto! – wołała jedna z groźnych pań. – Jedźcie pod dom z żółtymi drzwiami!

Na to stangret, który tak raptownie zatrzymał konia przed domem z zielonymi drzwiami, że zachodziła obawa, iż rumak uderzy zadem o dorożkę, na nowo puścił go truchtem, po czym odwrócił się.

– Gdzie więc mam w końcu stanąć? – niecierpliwił się. – Umówcie się państwo jakoś między sobą! Pytam się po prostu: gdzie mam stanąć?!

Tu spór na nowo wybuchnął z jeszcze większą siłą niż poprzednio. A ponieważ jednocześnie mucha ucięła konia w nos, stangret pod pozorem odpędzenia jej ulżył sobie, śmigając konia batem przez łeb.

– O, tyle zachodu – powiedziała jedna z groźnych pań. – Tamte żółte drzwi!

Ale kiedy dorożka zajechała z fantazją przed dom z żółtymi drzwiami, czyniąc więcej hałasu (jak z dumą stwierdziła jedna z dam) od prywatnej karety i kiedy już stangret zsiadł z kozła, by pomóc zsiąść paniom – mała okrągła główka imć pana Tomasza Bardella pokazała się w oknie domu z czerwoną bramą – o parę budynków od miejsca, przed którym stanęli.

– Głupia historia! – powiedziała wyżej wymieniona dama rzucając zjadliwe spojrzenie na gentlemana.

– To nie moja wina, moja droga! – odrzekł.

– Nie mów do mnie, głuptasie, nie odzywaj się do mnie! – odpowiedziała dama. – Dom z czerwonymi drzwiami, stangrecie! Och! Jeżeli kiedy istniała kobieta hańbiona i obrażana przez złośliwego nicponia, któremu sprawia specjalną przyjemność torturowanie własnej żony – ja jestem tą kobietą!

– Powinieneś się pan wstydzić, panie Raddle! – powiedziała druga dama, znajoma nasza, pani Cluppins.

– Co ja zrobiłem? – dziwił się Raddle.

– Nie mów do mnie, nie odzywaj się do mnie, brutalu, bo jeszcze gotowa zapomnieć, że jestem kobietą, i uderzę cię! – powiedziała pani Raddle.

Podczas tego dialogu woźnica zaprowadził konia za uzdę pod dom z czerwonymi drzwiami, które właśnie otwierał młody pan Bardell. Oto delikatny i wytworny sposób zajeżdżania przed dom przyjaciółki! Żadnego zajeżdżania z turkotem i hałasem!

Żadnego wyskakiwania z dorożki! Żadnego pukania do drzwi! Żadnego odpinania fartucha w ostatniej chwili z obawy, by się suknie damskie nie zabrudziły! Wreszcie ten woźnica, który podał paniom szale – zupełnie jakby ich prywatny stangret!

– No, Tommy – spytała pani Cluppins. – Jakże się miewa twoja kochana mateczka?

– O, bardzo dobrze! – odpowiedział młody pan Bardell. – Jest w saloniku. Gotowa. Ja także jestem gotów! – powiedział pan Tommy i wsadziwszy ręce w kieszenie, skoczył na najwyższy stopień schodów.

– Czy będzie ktoś jeszcze? – spytała pani Cluppins, poprawiając pelerynę.

– Będzie pani Sanders! – odpowiedział Tommy. – No i ja!

– Cóż to za chłopak! – zawołała mała pani Cluppins. – Myśli tylko o sobie! Słuchaj, Tommy!

– No? – spytał pan Tomasz.

– Kto będzie jeszcze, kochasiu? – spytała pani Cluppins mimochodem.

– Będzie pani Rogers! – powiedział młody pan Bardell, przy czym szeroko otworzył oczy.

– Co?! Dama, która wynajęła mieszkanie?! – zawołała pani Cluppins.

Pan Bardell głębiej wsadził ręce w kieszenie i kiwnął głową dokładnie trzydzieści pięć razy, by potwierdzić, że ta właśnie dama, a nie kto inny.

– O Boże! – zawołała pani Cluppins. – Ależ to całe przyjęcie!

– Gdyby pani wiedziała, co jest w kredensie! – powiedział młody Bardell.

– Cóż tam jest, Tommy? – pieszczotliwie spytała pani Cluppins. – Powiedz mi, Tommy, wiem, że mi powiesz!

– Nie, nie powiem! – powiedział Tommy, potrząsając głową i znów uciekając na najwyższy stopień schodów.

– Nieznośny bęben! – zawołała pani Cluppins. – Byle tylko człowieka sprowokować! Chodź, Tommy, powiedz swojej kochanej Cluppy!

– Mama nie kazała – odrzekł pan Tomasz. – Ja też mam dostać kawalek! – Uradowany tą obietnicą chłopak zaczął kręcić młynka z dziecinnym przejęciem.

Przypatrywanie się tym igraszkom dziecięcym wypełniło czas, który państwu Raddle zeszedł na układach z woźnicą w sprawie zapłaty, zakończonych zwycięstwem jego żądań. Nadbiegła pani Raddle.

– Co się stało, Mary Annie? – spytała pani Cluppins.

– Ach, zawsze jakieś kłopoty! – odpowiedziała pani Raddle.

– Raddle to nie mężczyzna! Wszystko spada zawsze na moją głowę.

Nie było to sprawiedliwe w stosunku do biednego Raddle'a, którego ta pocziwa dama już na początku dyskusji odsunęła od wszelkich wpływów, surowo nakazawszy: – Trzymaj język za zębami. – Nie miał jednak możliwości wystąpić w swojej obronie, gdyż pani Raddle zaczęła zdradzać nieomylnie oznaki natychmiastowego zemdlenia. Dojrzały to przez okno pani Sanders, pani Bardell, lokatorka oraz służąca lokatorki, wybiegły więc natychmiast i wprowadziły ją do mieszkania. Mówiły wszystkie jednocześnie i darzyły ją oznakami największej życzliwości i współczucia, jak gdyby była najnieszczęśliwszą istotą między śmiertelnikami. Zaprowadzono panią Raddle do bawialni i ułożono na sofie. Dama z pierwszego piętra pobięła na pierwsze piętro i wróciła z flaszczką soli trzeźwiących, po czym objawszy panią Raddle za szyję, przytknęła jej flaszeczkę do nosa, aż biedna ofiara złości męskiej prychając i krztusząc się, oznajmiła, że jest jej lepiej.

– Biedactwo! – zawołała pani Rogers. – Wiem, co czuje!

– Biedactwo – powtórzyła pani Sanders. – Ja także! – Po czym wszystkie damy westchnęły unisono, stwierdziły unisono, że wiedzą coś o tym i że współczują pani Raddle z głębi serca. Nawet służąca lokatorki, mająca trzynaście lat i trzy stopy wzrostu, mruzczała coś życzliwie.

– Ale co się stało? – pytała pani Bardell.

– Co tak panią zdekonfituowało? – pytała pani Rogers.

– Ublizono mi... – cicho szepnęła pani Raddle, damy zaś spojrzały z wyrzutem na pana Raddle'a.

– Ależ faktycznie... – zaczął nieszczęśliwy jegomość, wysuwając się naprzód. – Kiedyśmy podjechali pod te drzwi, wynikła dyskusja z woźnicą... – głośny jednak krzyk, który wyrwał się jego małżonce przy dźwięku tych słów, uniemożliwił dalsze wyjaśnienia.

– Lepiej zostaw ją samą, Raddle! – powiedziała pani Cluppins. – Nie przyjdzie do siebie, póki ty tu będziesz!

Wszystkie damy zgodziły się z tą opinią. Pana Raddle'a wypchnięto więc z pokoju i poradzono mu, by poszedł przejść się po dziedzińcu. Po kwadransie pani Bardell oznajmiła mu, że może wejść, ale musi być bardzo ostrożny w postępowaniu z małżonką. Wie, że pan Raddle nie chce jej dokuczać, ale Mary Annie daleka jest od tego, by można ją nazwać silną, jeżeli więc nie będzie się miał na baczności, to może ją stracić, sam nie wiedząc kiedy, co w przyszłości może być dlań źródłem przykrych refleksji, itd., itd. Wszystkiego tego pan Raddle wysłuchał bardzo pokornie i wrócił do pokoju cicho jak trusia.

– Przecież państwo jeszcze się nie znają! – zawołała pani Bardell. – Coś podobnego! Pan Raddle, pani Rogers. Pani Cluppins, pani Raddle!

– Siostra pani Cluppins – dodała pani Sanders.

– Co? Naprawdę? – wołała pani Rogers uprzejmie. Lokatorka miała służącą, w jej pozycji towarzyskiej wypadało więc być raczej uprzejmą niż serdeczną. – Och, czy być może?!

Pani Raddle uśmiechnęła się słodko. Pan Raddle skłonił się, a pani Cluppins oznajmiła, że bardzo jej miło poznać damę, o której słyszała tyle pochlebnych rzeczy... Komplement ten pani Rogers przyjęła bardzo pobłażliwie.

– No, panie Raddle – powiedziała pani Bardell. – Musi być pan strasznie dumny, że na pana i na Tommy'ego spada zaszczyt prowadzenia tyłu dam aż do Hampstead. Jak pani uważa, pani Rogers?

– Och, naturalnie! – zawołała pani Rogers, po czym wszystkie damy powtórzyły jednogłośnie: – Och, naturalnie!

– Naturalnie! – odpowiedział pan Raddle, zacierając ręce i zdradzając nikłą chęć rozpoznaenia się. – Słowo daję, powiedziałem, jakeśmy jechali dorożką...

Na dźwięk tego wyrazu, przypominającego tyle przykrych przejść, pani Raddle przyłożyła chusteczkę do oczu i wydała stłumiony jęk. Pani Bardell spojrzała więc surowo na pana Raddle, aby dać mu do poznania, że lepiej niech już milczy, po czym z odpowiednią miną kazała służącej pani Rogers podać wina!

Był to moment okazania skarbów zawartych w kredensie: talerzy z pomarańczami i ciastkami oraz butelki starego, zwietrzałego porto (szyling i dziesięć pensów), które wraz z butelką słynnego indyjskiego sherry (czternaście pensów) zostało zakupione dla uczczenia lokatorki i wyjęte z odpowiednim gestem, ku wielkiemu zadowoleniu wszystkich obecnych. Pani Cluppins przeżyła chwile przykrej konsternacji, gdy mały Tommy wyjechał z opowiadaniem, jak to go indagowała, „co zawiera kredens”, lecz zostało to szczęśliwie przerwane za pomocą wręczenia smarkaczowi pół szklaneczki starego porto, które wychylił natychmiast, ryzykując w ten sposób swoje życie. Po czym wszyscy udali się na poszukiwanie Hampstead. Odnaleziono je z łatwością i już w parę godzin później całe towarzystwo siedziało w hiszpańskiej herbaciarni. Nieszczęśliwy pan Raddle znów o mały włos nie doprowadził swojej żony do zemdlenia: ni mniej, ni więcej, tylko zamówił siedem porcji herbaty, a cóż łatwiejszego

(zgodnie stwierdziły wszystkie damy) jak to, by Tommy pił z filiżanki jednej z pań – albo nawet ze wszystkich – kiedy się garson odwróci?! Oszczędzono by jedną herbatę!

Nie było jednak na to rady i wniesiono tacę z siedmioma filiżankami herbaty, siedmioma talerzykami i tuluż porcjami chleba z masłem. Panią Bardell jednogłośnie obrano przewodniczącą, pani Rogers usiadła po jej prawicy, pani Raddle po lewicy i zabrano się do jedzenia z wielkim zadowoleniem.

– Jak piękna jest wieś – zawołała pani Rogers. – Całe życie chciałabym mieszkać na wsi!

– Och, to nie dla pani! – zawołała pani Bardell szybko, przerażona możliwością utraty lokatorki. – To nie dla pani!

– Och, mam wrażenie, że pani jest za ruchliwa i za bardzo towarzyska, by móc lubić wieś! – dodała mała pani Cluppins.

– Może... może... – przyznała lokatorka z pierwszego piętra.

– Dla ludzi samotnych... o których nikt się nie troszczy... o których nikt nie dba... których życie ciężko doświadczyło... – powiedział pan Raddle, ożywiając się nieco – wieś nadaje się doskonale. Wieś jest dla ludzi o zranionych duszach...

Otóż, ze wszystkich rzeczy na świecie, jakie mogły przyjść na myśl nieszczęśnikowi, ta była najgorsza! Oczywiście pani Bardell wybuchnęła płaczem i musiano ją natychmiast odprowadzić na bok. Wrażliwy synek zaczął, naturalnie, ryczeć za jej przykładem.

– Czy uwierzyłby kto, moja pani! – zawołała dumnie pani Raddle, zwracając się do lokatorki z pierwszego piętra – że kobieta może być żoną takiego bezdusznego stworzenia, które od rana do nocy obraża tylko uczucia niewieście?!

– Moja droga – powiedział pan Raddle. – Moja droga, ja naprawdę... nie miałem zamiaru...

– Nie miałeś zamiaru! – powiedziała pani Raddle pogardliwie. – Wynoś się! Nie mogę patrzeć spokojnie na takiego brutala!

– Nie powinnaś się irytować, Mary Annie – powiedziała pani Cluppins. – Powinnaś koniecznie więcej dbać o siebie, czego nigdy nie robisz! Idź, idź sobie, Raddle, bo ją zmartwisz jeszcze więcej!

– Radzę panu wypić samemu herbatę! – powiedziała pani Rogers, znów stosując flaszkę z solami.

Pani Sanders, która według swego zwyczaju była bardzo zajęta chlebem z masłem, wypowiedziała tę samą radę i pan Raddle wycofał się posłusznie.

Potem biesiadnicy mieli nieco trudu z wywindowaniem młodego pana Bardella, który był trochę za duży na tę operację, na ręce matki – przy czym noga młodzieńca trafiła do filiżanki, co spowodowało małe zamieszanie między filiżankami i talerzykami. Ale przypadki omdlenia, jeżeli zdarzają się w wyłącznie damskim towarzystwie, nie trwają długo; a więc wyściskawszy nieco i skrzyczawszy synka, pani Bardell przyszała do siebie, posadziła go na krześle, wyraziła zdumienie, że mogła być tak głupia, i wypła łyk herbaty.

Nagle usłyszano turkot powozu. Damy podniosły głowy i ujrzały dorożkę podjeżdżającą pod bramę ogrodową.

– Jeszcze ktoś przyjechał! – zawołała pani Sanders.

– Jakiś gentleman – dodała pani Cluppins.

– Ależ to... – wykrzyknęła pani Bardell – to pan Jackson, młody dependent od panów Dodsona i Fogga. Czyżby pan Pickwick wypłacił odszkodowanie?

– A może chce się zenić? – napomknęła pani Cluppins.

– Jakże ten gentleman długo nie przychodzi! – zawołała pani Sanders. – Czemu się nie spieszy?

Tymczasem pan Jackson odwrócił się od dorożki, gdzie zamienił parę słów z jakimś źle ubranym mężczyzną w czarnych spodniach, który razem z nim wysiadł z powozu i trzymał długi kij bukowy w ręku – i podszedł, poprawiając sobie włosy, do miejsca, gdzie siedziały damy.

– Co nowego, panie Jackson? – zapytała pani Bardell z widocznym wzruszeniem. – Czy się coś stało?

– Nic, pani, nic – odrzekł pan Jackson. – Jak się panie miewają? Przepraszam, że przeszkadzam, ale prawo, moje panie, prawo...

To mówiąc pan Jackson uśmiechnął się, oddał ukłon całemu towarzystwu i powtórnie poprawił włosy. Pani Rogers szepnęła do pani Raddle, że jest to rzeczywiście bardzo miły młodzieniec.

– Byłem na ulicy Goswell – mówił dalej pan Jackson – ale dowiedziawszy się, że panie tu znajduję, wzięłem powóz i przyjechałem. Moi pryncypałowic potrzebują pani natychmiast, pani Bardell.

– O, mój Boże! – zawołała pani Bardell, przestraszona tą niespodziewaną wiadomością.

– Tak jest – odrzekł pan Jackson, przygryzając usta. – Sprawa bardzo ważna i bardzo nagła, której niepodobna odkładać

Dodson wyraźnie mi to powiedział, Fogg także. Dlatego zatrzymałem powóz, by odwieźć panią do Londynu.

– To dziwne! – zawołała pani Bardell.

Wszystkie damy zgodziły się, iż było to bardzo dziwne, ale jednocześnie uznały także, iż musi to być sprawa bardzo ważna, bo przecież panowie Dodson i Fogg nie przysyłałiby inaczej do Hampstead. W końcu dodały, że wobec ważności sprawy pani Bardell zrobi najlepiej, gdy pojedzie natychmiast do swych adwokatów.

Pani Bardell bynajmniej nie było nieprzyjemnie, że jej przyjaciele po prawie wzywali ją z takim pośpiechem. Sądziła, iż to w ogóle, a w szczególności w oczach lokatorki z pierwszego piętra, znacznie ją podniesie, co pochlebiali jej próżności. Z początku niby wzdragala się trochę, ale potem oświadczyła, iż pojedzie, w końcu zaś dodała zapraszającym tonem:

– Panie Jackson, może się pan pokrzepi czym po przejażdżce?

– Doprawdy, pani, nie mamy czasu do stracenia – odparł pan Jackson – a przy tym mam tam znajomego – dodał, wskazując na mężczyznę z bukową laską.

– Poproś pan swego znajomego, by także tu przyszedł – rzekła pani Bardell. – Zawołaj go pan tutaj!

– Nie... dziękuję pani! – odrzekł pan Jackson, nieco zakłopotany. – On nie jest przyzwyczajony do towarzystwa dam; zawsze w nim głupieje. Jeżeli pani będzie tak dobra i każe garsonowi zanieść mu coś do picia... nie jestem pewny, czy przyjmie, ale spróbować można.

Podczas tego palce pana Jacksona igrały koło jego własnego nosa, by dać tym do zrozumienia słuchaczom, iż mówi ironicznie.

Bezwzględnie wyprawiono garsona do głupawego gentlemana, który się zgodził coś wypić. Pan Jackson także coś wypił, a damy, przez prostą grzeczność wobec gościa, również coś wypily. Następnie pan Jackson oświadczył, iż czas jechać, wobec czego pani Sanders, pani Cluppins i mały Bardell wsiedli do powozu, gdyż w myśl porozumienia mieli towarzyszyć pani Bardell, reszta zaś towarzystwa została pod opieką pani Raddle.

– Izaaku – rzekł pan Jackson, gdy pani Bardell zabierała się do wsiadania, i spojrział na swego znajomego, który siedział na koźle i palił cygaro.

– Co, panie?

– To jest pani Bardell.

– O! Dawno już o tym wiedziałem!

Gdy pani Bardell usadowiła się w powozie, pan Jackson umieścił się przy niej i konie ruszyły. Po drodze pani Bardell przez cały czas podziwiała domyślność znajomego pana Jacksona.

„Jacy ci prawnicy są sprytni – myślała – jak od razu poznają ludzi!”

Po jakimś czasie, gdy panie Sanders i Cluppins usnęły, Jackson powiedział do wdowy: – Wie pani, że koszty procesu to przykra rzecz; mam na myśli koszty procesu pani.

– Przykro mi, że nie możecie ich panowie otrzymać – odpowiedziała pani Bardell. – Ale cóż! Jeżeli pańscy pryncypałowicze robią takie rzeczy przez spekulację, to muszą się czasem narazić także na straty.

– O ile jednak wiem, po procesie dała pani panom Dodson i Fogg rewers na wysokość kosztów – rzekł Jackson.

– Prosta formalność – odparła pani Bardell.

– Tak – rzekł sucho pan Jackson – prosta formalność, prosta formalność.

Powóz toczył się dalej; pani Bardell zdrzemnęła się również i przebudziło ją dopiero zatrzymanie się powozu.

– Jak to?! – zawołała. – Czy jesteśmy już w Freeman's Court?

– Właściwie nie tam jedziemy – odrzekł pan Jackson. – Zechce pani wysiąść.

Pani Bardell zrobiła to, gdyż jeszcze niezupełnie się ocknęła. Znalazła się w dziwnym miejscu: przed nią był mur, w murze brama, a wewnątrz gazowe światło.

– No, szanowne panie! – zawołał mężczyzna z bukową laską, zaglądając do powozu i trącając panią Sanders – wysiadajcie! Pani Sanders obudziła swą przyjaciółkę i wszyscy wysiedli; pani Bardell, wsparta na ramieniu pana Jacksona, weszła do bramy prowadząc swego małego synka za rękę.

Pokój, do którego następnie udały się damy, był jeszcze dziwniejszy aniżeli wejście do budynku. Było tam mnóstwo ludzi, którzy ciekawie przyglądali się damom.

– Gdzie jesteśmy? – zapytała pani Bardell, zatrzymując się.

– To jeden z naszych zakładów publicznych – odrzekł pan Jackson, szybko przeprowadzając ją przez drzwi. Potem, odwróciwszy się, by zobaczyć, czy inne damy idą za nimi, zawołał: – Izaak! Uważaj!

– Bądź pan spokojny – odrzekł mężczyzna z bukową laską.

Drzwi szybko zamknęły się, po czym wszyscy zeszli o parę schodów w dół.

– Nareszcie jesteśmy! – zawołał pan Jackson, triumfalnie spoglądając dokoła. – Przybyliśmy zdrowo i cało, co, pani Bardell?

– Co pan chce przez to powiedzieć? – zapytała dama, której serce mocniej zabiło, nie wiadomo dlaczego.

– Nic szczególnego! – odrzekł pan Jackson, odprowadzając ją nieco na stronę. – Tylko niech się pani nie przeraża. Nie ma człowieka delikatniejszego nad Dodsona i bardziej ludzkiego niż Fogg. Ale było ich obowiązkiem, pani, zabezpieczyć sobie zwrot kosztów i nałożyć egzekucję. Zrobili jednak wszystko, co mogli, by oszczędzić wrażliwość pani. Jak pocieszającą będzie dla pani myśl, że wszystko poszło tak gładko! Jest pani przy Fleet Street w więzieniu za długi. Życzę pani dobrej nocy.

To powiedziawszy pan Jackson szybko oddalił się wraz z mężczyzną z bukową laską. Wtenczas inny mężczyzna, z kluczem w ręce, dotychczas przypatrujący się wszystkiemu, poprowadził oszołomione damy innymi małymi schodami, prowadzącymi do jakiejś bramy. Pani Bardell głośno krzyczała, Tommy wył, pani Cluppins zaczęła drzeć, a pani Sanders uciekła bez ceremonii, gdy ujrzała pana Pickwicka właśnie używającego wieczornej przechadzki; tuż obok niego stał Sam Weller, który spostrzegłszy panią Bardell, zdjął kapelusz z drwiącą grzecznością, gdy natomiast jego pan odwrócił się z oburzeniem i wyszedł.

– Daj pan pokój tej biednej kobiecie – rzekł strażnik do Sama – dopiero co przybyła.

– Uwięziona? – zawołał Sam, szybko nakładając kapelusz. Na czyje żądanie? Za co? Mów, stary?

– Na żądanie Dodsona i Fogga. Egzekucja za koszty procesu.

– Hiobie! Hiobie! Chodź tu! – krzyknął Sam, rzucając się w korytarz. – Biegnij po pana Perkera, Hiobie! Powiedz mu, że potrzebny jest tu natychmiast. A to gratka! Z tego może wyniknąć coś dobrego! Hura! Gdzie pryncypał?

Ale nikt nie odpowiedział na to pytanie, gdyż Hiob dowiedziawszy się, o co chodzi, popędził wnet jak szalony, a pani Bardell tym razem zemdląła naprawdę.

Rozdział osiemnasty

*głównie poświęcony doczesnym sprawom pp. Dodsona i Fogga –
Ukazanie się pana Winkle 'a w nadzwyczajnych okolicznościach –
Dobroć pana Pickwicka okazuje się większą aniżeli jego upór*

Hiob Trotter pędził ulicami, torując sobie drogę to środkiem, to na chodnikach, to w rysztołkach, pomiędzy mnóstwem koni, powozów i ludzi. Nie zważając na przeszkody biegł, nie zatrzymując się ani na chwilę, dopóki nie stanął przed bramą Gray's Inn. Ale pomimo całego jego pośpiechu biuro pana Perkera było już zamknięte od pół godziny, gdy Hiob zatrzymał się przed nim. Zanim odszukał kobietę posługującą w biurze, która mieszkała przy córce, zamężnej za woźnym sądowym mieszkającym pod pewnym numerem, na jakiejś ulicy, tuż poza jakimś browarem, gdzieś poza Gray's Inn Lane, już tylko piętnaście minut pozostało do zamknięcia bramy więzienia. Następnie trzeba było jeszcze odszukać pana Lowtena w tylnym pokoju oberży „Pod Sroką”, tak iż zaledwie Hiob załatwił sprawę i opowiedział, z czym przysłał go Sam Weller, zegar począł wybijać dziesiątą.

– Ach! – zawołał pan Lowten. – Nie będziesz mógł wrócić dziś do więzienia. A może masz klucz, mój kochany?

– Niech się pan o mnie nie troszczy – odrzekł Hiob – prześpię się gdziekolwiek, ale czy nie byłoby dobrze zobaczyć pana Perkera dziś jeszcze, by zaraz jutro rano mógł zjawić się na miejscu?

– Widzisz, mój kochany – rzekł Lowten, pomyślawszy chwilę – gdyby to chodziło o kogo innego, to pan Perker wcale nie byłby rad, że go tak późno niepokoją, ale ponieważ chodzi tu o pana Pickwicka, sądzę, że mogę wziąć dorożkę na koszt biura i pojechać do niego.

Po tej decyzji Lowten wziął kapelusz, poprosił o wybranie innego prezydenta na czas jego chwilowej nieobecności, podszedł do najbliższego postoju dorożek, wybrał powóz i kazał woźnicy jechać na plac Montague, Russel Square.

Pan Perker wydawał w tym dniu obiad, o czym świadczyło światło za oknami bawialni, tonny nowego, wielkiego fortepianu oraz oszołamiające zapachy potraw przenikające schody i sień. Ponieważ równocześnie przybyli przypadkowo ze wsi do miasta bardzo cenieni klienci, na ich więc powitanie zebrało się miłe towarzystwo, na które złożyli się: pan Snicks, sekretarz zakładu ubezpieczeń na życie, pan Prosee, doskonały doradca prawny, trzech adwokaci, jeden komisarz sądowy, pewien adwokat do spraw specjalnych z Temple, pewien młody gentleman o małych oczach i jego uczeń, który napisał bystrą książkę w sprawie ustawy o legatach, upstrzoną niesłychaną ilością odnośników i cytat, oraz wiele wybitnych, a nawet wprost znakomitych osób. Od tego towarzystwa oderwał się pan Perker, gdy szepnięto mu, że przyszedł jego dependent. Udał się więc do jadalni, gdzie ujrzał pana Lowtena i Hioba Trottera w ponurym półmroku rozsiewanym przez lampę kuchenną postawioną na stole, z należną wzdrganiem dla dependentów i wszelkich związanych z nimi spraw, przez gentlamana, który poniżył się do tego, że za kwartalne wynagrodzenie pojawiał się w krótkich spodniach aksamitnych i wełnianych pończochach.

- Cóż tam nowego? – zapytał, wchodząc. – Czy nadeszły jakie ważne listy?
 - Nie, panie – odparł Lowten – ale jest posłaniec od pana Pickwicka.
 - Od Pickwicka? – zawołał mały człowieczek, żywo zwracając się ku Hiobowi. – Cóż to się stało?
 - Dodson i Fogg uwięzili panią Bardell za koszty procesu – rzekł Hiob.
 - Niemożliwe! – zawołał pan Perker, wkładając ręce do kieszeni i opierając się o kredens.
 - Tak jest rzeczywiście – odrzekł Hiob. – Zdaje się, iż wydała im rewers na wysokość kosztów zaraz po ukończeniu sprawy.
 - Na Jowisza! – zawołał pan Perker, wyjmując obie ręce i uderzając pięścią jednej z nich w dłoń drugiej. – Na Jowisza! To są najzręczniejsi spryciarze, jakich kiedykolwiek widziałem!
 - I najpodlejsze łotry, jakich udało mi się w życiu spotkać – dodał Lowten.
 - No tak – dorzucił pan Perker. – Ale niepodobna ich na czymś złapać!
 - To prawda, sir, niepodobna ich złapać. – Tu uczeń i mistrz zamilkli na parę minut, jakby zastanawiali się nad najwspanialszym i najgenialniejszym wynalazkiem, jaki wymyślić może rozum ludzki. Gdy przyszli do siebie po tym niemym zachwycie, Hiob Trotter opowiedział resztę tego, co mu polecono. Pan Perker w zamyśleniu kiwał głową. W końcu spoglądając na zegar powiedział:
 - Jutro, punkt o dziesiątej, będę tam. Sam ma zupełną słuszność, powiedz mu to ode mnie. Pozwoli pan szklanek wina, Lowten?
 - Dziękuję panu.
 - To znaczy „tak”, jak wnoszę – odrzekł mały adwokat, biorąc z kredensu butelkę i dwie szklanki.
- Ponieważ Lowten rzeczywiście myślał „tak”, nie powiedział nic więcej na ten temat, lecz zwracając się do Hioba zapytał go cichym głosem, tak jednak, by adwokat słyszał, czy widzi, jak zdumiewająco podobny jest portret pana Perkera zawieszony nad kominkiem. Hiob, oczywiście, potwierdził. Gdy nalano wino, Lowten wypił za zdrowie pani Perker i jej dzieci, a Hiob za zdrowie pana Perkera. Ponieważ lokaj w krótkich aksamitnych spodniach i wełnianych pończochach nie uważał za swój obowiązek wyprowadzić gości i dlatego uparcie nie reagował na wzywające go dzwonki, obaj gentlemani musieli wyjść sami. Adwokat powrócił do salonu, Lowten „Pod Srokę”, a Hiob poszedł na targowisko Covent Garden i przepędził noc w koszu na warzywa.
- Nazajutrz o umówionej godzinie wesoły mały adwokat zapukał do drzwi pana Pickwicka. Sam otworzył mu je z pośpiechem.
- Pan Perker! – zawołał, zwróciwszy się do filozofa, który zadumany siedział przy oknie, potem zaś dodał: – Jak to dobrze, żeś pan wstąpił do nas przypadkiem. Zdaje mi się, iż pryncypał ma z panem do pomówienia.
- Pan Perker rzucił Samowi porozumiewawcze spojrzenie, by mu dać do zrozumienia, iż nic nie powie, że posyłano po niego. Potem skinął na Sama i szepnął mu parę słów do ucha.
- Doprawdy? Czy być może?! – zawołał Sam, cofając się ze zdumieniem.
- Pan Perker uśmiechnął się i kiwnął głową. Sam spojrział na małego adwokata, potem na pana Pickwicka, potem na sufit, potem znów na pana Perkera, uśmiechnął się, potem wybuchnął śmiechem, chwycił za kapelusz i znikł bez dalszych wyjaśnień.
- Co to wszystko znaczy? – zapytał pan Pickwick, ze zdumieniem spoglądając na pana Perkera. – Co się stało Samowi?
 - O, nic, nic – odrzekł mały adwokat – ale przysuń no pan, kochany panie, swoje krzesło do stołu, mam z panem wiele do pomówienia.
 - Co to za papiery? – zapytał znów pan Pickwick widząc, że pan Perker położył na stole cały pęk akt związanych czerwonym sznurkiem.
 - To są papiery procesu Bardell *contra* Pickwick – odpowiedział mały pełnomocnik rozwiązując sznurek zębami.

Filozof odsunął nogą krzesło, rzucił się na nie, założył ręce i gniewnie spojrzął na pana Perkera, jeśli pan Pickwick w ogóle potrafił spojrzeć gniewnie.

– Pan nie lubi słuchać o tej sprawie? – rzekł pan Perker, wciąż zajęty rozwiązywaniem węzła.

– Rzeczywiście, nie! – odparł pan Pickwick.

– Przykro mi – ciągnął pan Perker – bo właśnie ona będzie przedmiotem naszej rozmowy.

– Panie Perker! – zawołał pan Pickwick żywo – o tej sprawie nigdy nie może być między nami mowy.

– Ba, ba! kochany panie – odrzekł pełnomocnik, mocując się z węzłem i bokiem spoglądając na swego klienta – my musimy o niej pomówić. Dlatego tylko tu przyszedłem. Czy pan gotów jest wysłuchać, co powiem, kochany panie? Niech się pan nie śpieszy: jeżeli nie jest pan usposobiony do tego, to poczekam. Przyniosłem z sobą ranne gazety i będę na rozkazy, kiedy się panu spodoba. Niech i tak będzie.

Mówiąc to mały pełnomocnik założył nogę na nogę i udawał, że czyta „Timesa” z wielkim spokojem i uwagą.

– Zresztą – rzekł pan Pickwick z westchnieniem, które skończyło się jednak uśmiechem – mów pan, co ma pan do powiedzenia. Z pewnością znów ta sama historia?

– Z tą różnicą, kochany panie – odrzekł pan Perker, składając gazetę i wsuwając ją do kieszeni – że pani Bardell, oskarżycielka, znajduje się obecnie w tych murach, mój panie.

– Wiem o tym – odparł pan Pickwick.

– Bardzo dobrze. Sądzę, że wie pan także, jak się tu dostała, to znaczy, za co i na czyje żądanie?

– Wiem... to jest słyszałem od Sama – odrzekł pan Pickwick z udaną obojętnością.

– Sądzę, że Sam opowiedział całą rzecz dokładnie, przynajmniej tak bym śmiał przypuszczać. Otóż teraz, kochany panie, zadam panu naprzód takie pytanie: czy ta kobieta ma tu pozostać?

– Tu pozostać? – powtórzył pan Pickwick.

– Tu pozostać, kochany panie – odrzekł pan Perker, wychylając się na krzesło i ostro wpatrując się w swego klienta.

– Czemu pan mnie o to pyta? Przecież zależy to od Dodsona i Fogga. Wie pan o tym dobrze.

– Wcale o tym nie wiem – odparł stanowczo pan Perker. – To nie zależy bynajmniej od Dodsona i Fogga. Zna pan tych ludzi, drogi panie, równie dobrze jak ja. To zależy wyłącznie od pana.

– Ode mnie? – zawołał pan Pickwick i zerwał się z krzesła, po czym natychmiast usiadł z powrotem.

Mały pełnomocnik dwukrotnie stuknął w dno tabakierki, otworzył ją, zażył wielką szczyptę tabaki, zamknął tabakierkę i powoli powtórzył: – Od pana.

– Powiadam panu – mówił dalej z przekonaniem zaczerpniętym jakby z tabakierki – powiadam panu, kochany panie, że natychmiastowe uwolnienie pani Bardell lub dożywotnie jej uwięzienie zależy od pana tylko, od pana jednego. Niech mnie pan wysłucha do końca, kochany panie, i niech się pan tak nie unosi, gdyż to nie doprowadzi do niczego, a zaszkodzi pańskiemu zdrowiu. Powiadam tedy – mówił dalej mały adwokat, wyszczególniając każde zdanie na osobnym palcu – powiadam tedy, że tylko pan może ją wydobyć z tej otchłani nędzy, a nie może pan uczynić tego inaczej, jak płacąc koszty procesu tym łajdakom z Freeman's Court. No, niech mi pan łaskawie pozwoli spokojnie wygadać się.

Podczas tego przemówienia twarz pana Pickwicka przechodziła najprzeróżniejsze przemiany, w końcu zaś filozof chciał zapewne wybuchnąć straszliwym oburzeniem, powstrzymał jednak ten wybuch, jak mógł, a pan Perker, wzmocniwszy swą argumentację nową szczyptą tabaki, mówił, jak następuje:

– Widziałem dziś rano tę kobietę. Opłaciwszy koszty procesu, może pan w zupełności uwolnić się od płacenia odszkodowania, a prócz tego (co pewno w oczach pana będzie motywem nierównie ważniejszym) otrzyma pan dobrowolne zeznanie, napisane własnoręcznie przez panią Bardell w formie listu do mnie, że ci ludzie, Dodson i Fogg, ponoszą winę za proces. Oni to naprowadzili panią Bardell na pomysł procesu, ukazując jej niezwykle nęcące perspektywy. Dalej zaś otrzyma pan oświadczenie, że pani Bardell mocno ubolewa nad tym, iż służyła za narzędzie dokuczenia panu, i że prosi mię, bym się wstawił do pana i wyjednał jej przebaczenie.

– Jeżeli zapłacę za nią koszty! – zawołał pan Pickwick z oburzeniem. – A to mi piękny warunek!

– Tu nie ma żadnego „jeżeli”, kochany panie – odrzekł z triumfem pan Perker. – Oto jest list, o którym mówiłem. Przyniosła mi go dziś rano o dziewiątej do biura jakaś dama, nim jeszcze przybyłem do więzienia i mogłem się zobaczyć z panią Bardell; ręczę panu honorem!

Mały adwokat wyszukał między papierami rzeczony list, położył go przed panem Pickwickiem i przez całe następne dwie minuty napychał sobie nos tabaką.

– Czy to już wszystko, co mi pan miał do powiedzenia? – zapytał łagodnie pan Pickwick.

– Nie, jeszcze nie wszystko – odparł pan Perker. – Nie mogę jeszcze w tej chwili powiedzieć, czy wydanie rewersu na koszty, charakter pozornej umowy i dowód, jaki daje całe zachowanie się w czasie procesu, byłyby wystarczające, by wnieść skargę o znowę w celach oszukańczych. Obawiam się, że nie, gdyż Dodson i Fogg są zanadto chytry. Ale w każdym razie wszystkie te fakty razem wzięte uwolnią pana od wszelkich zarzutów w oczach ludzi rozsądnych. A teraz, kochany panie, pozostawiam to w zupełności do pańskiej decyzji: te okragło biorąc sto pięćdziesiąt funtów szterlingów są dla pana niczym. Ława wypowiedziała się przeciwko panu; jej orzeczenie było niesłuszne, lecz przysięgli rozstrzygnęli tak, jak uważali za słuszne, i wyrok wypadł na pańską niekorzyść. Otóż nadarza się sposobność ukazania się w świetle nierównie korzystniejszym, aniżeli gdy pan będzie trwał przy pozostaniu w więzieniu. Bo, wierz mi pan, w oczach ludzi, którzy pana nie znają, stałość jego wydaje się tylko niewłaściwym i występny uporem. Czy może pan wahać się i nie korzystać ze sposobności, która przywróci panu wolność, zdrowie, przyjaciół, powróci pana jego zajęciom i zabawom, wyzwoli jego wiernego sługę z więzienia równającego się dożywotniemu, a przede wszystkim, która pozwoli panu zemścić się wspaniałomyślnie? Wiem, że będzie to w zupełności odpowiadało pańskiemu sercu, gdy pozwoli pan tej kobiecie wyjść z jaskini nędzy i rozpusty, w której, moim zdaniem, nigdy by nie należało zamykać żadnego mężczyzny, a tym bardziej kobiety, jeżeli nie chce się popełniać barbarzyństwa. Otóż pytam pana, nie jako jego doradca prawny, ale jako szczerzy przyjaciel, czy pozwoli pan wymknąć się sposobności do zrobienia tego dobrego, dla tego tylko nędznego względu, że sto pięćdziesiąt funtów szterlingów przejdzie do kieszeni dwóch łotrów, których to nie uczyni przecież szczęśliwymi? Owszem, im więcej zarobią w ten sposób, tym więcej będą chcieli zarabiać i wskutek tego wpłaczą się z czasem w jakie łajdactwo i zginą. Przedstawiłem panu te moje uwagi bardzo słabo, bardzo niedokładnie, ale proszę pana, niech kochany pan zastanowi się nad nimi i niech pan je przetrawi; cierpliwie będę czekał odpowiedzi.

Nim pan Pickwick zdobył się na tę odpowiedź, nim pan Perker zażył dwudziestą część swej tabakierki, czego wymagało tak długie przemówienie, usłyszano na korytarzu jakieś szepty, a potem słabe pukanie do drzwi.

– Ach, mój Boże! – zawołał pan Pickwick, widocznie wzruszony przemówieniem swego przyjaciela. – Jakże to nieznośne, że nam przerywają! Kto tam?

– Ja, panie – odrzekł Sam wsuwając głowę.

– Nie mam czasu w tej chwili, Samie, jestem zajęty.

– Przepraszam pana – odparł Sam – ale jest tu dama, która, jak utrzymuje, ma coś bardzo ważnego panu do powiedzenia.

– Nie mogę przyjąć żadnej damy – odrzekł pan Pickwick, któremu na myśl przychodziły tylko postacie w rodzaju pani Bardell.

– Sądzę, że tak nie jest – odrzekł Sam potrząsając głową. – Gdyby pan wiedział, kto to jest, to zdaje mi się, że zmieniłby pan ton – jak mówił krogulec do śpiewającej pliszki.

– Więc któż to? – zapytał pan Pickwick.

– Może pan sam zobaczy? – odparł Sam trzymając drzwi przymknięte, jak gdyby za nimi znajdowało się jakieś ciekawe zwierzę.

– Niech i tak będzie – odrzekł filozof spoglądając na pana Perkerę.

– No! Więc zaczyna się – zawołał Sam. – Muzyka naprzód! Podnoście zasłonę! Wchodzą spiskowcy!

To mówiąc, Sam otworzył na oścież drzwi, a w nich ukazał się pan Nataniel Winkle prowadzący pod rękę młodą damę, która w Dingley Dell nosiła trzewiki z futerkiem, a która w obecnej chwili przedstawiała bardziej ponętne niż zwykle połączenie koronek, zmieszania, rumieńców i liliowego jedwabiu.

– Panna Arabella Allen! – zawołał pan Pickwick, wstając z krzesła.

– Nie, drogi przyjacielu: pani Winkle – odpowiedział młody człowiek, ukląkłszy – przebacznaj nam, zacny nasz przyjacielu, przebacznaj!

Pan Pickwick zaledwie wierzył własnym oczom i może by wziął to wszystko za złudzenie, gdyby nie uśmiechnięta twarz pana Perkerę i oczywista obecność Sama oraz pięknej panny służącej, którzy w głębi, zdawało się, z wielkim zadowoleniem spoglądali na scenę odbywającą się na pierwszym planie.

– O, panie Pickwick – rzekła Arabella drżącym głosem i jakby przerażona jego milczeniem – czy przebaczy mi pan moją nieroztropność?

Pan Pickwick nie odpowiedział na to pytanie, ale szybko zdjął okulary i chwytając za obie ręce młodą damę, ucałował ją wielką ilość razy (może nawet większą, niż okoliczności wymagały), następnie zaś, trzymając ją ciągle za ręce, powiedział panu Winkle'owi, że jest bardzo ryzykanckim łotrem, każąc mu zresztą wstać. Pan Winkle, który od kilku minut tarł sobie nos brzegiem kapelusza w sposób znamionujący wielką skruchę, wyprostował się, a pan Pickwick poklepawszy go po ramieniu, podał z zapalem rękę małemu adwokatowi. Ten znów, ze swej strony, by nie pozostać w tyle w komplementach, jakich wymagały okoliczności, uściśkał z całego serca młodą mężatkę i piękną jej służącą; potem, uściśnawszy równie serdecznie rękę panu Winkle'owi, uzupełnił demonstrację swego zadowolenia tym, iż zażył taką ilość tabaki, jaka by starczyła, aby pół tuzina zwyczajnie skonstruowanych nosów kichało przez całe życie.

– Ależ, moje drogie dziecko – rzekł pan Pickwick – jakże to wszystko się stało? Siadaj i opowiadaj mi całą historię. Perker! Jaka ona śliczna! – mówił dalej zacny człowiek, wpatrując się w Arabellę z takim zadowoleniem i dumą, jakby była jego własną córką.

– Prześliczna, kochany panie. Gdybym nie był żonaty, zazdrościłbym ci, szczęśliwy urwisie. – Po tych słowach pan Perker poklepał pana Winkle'a po ramieniu, po czym obaj zaczęli się śmiać, ale nie tak głośno jak Sam Weller, który właśnie pofolgował swym uczuciom, całując pod osłoną drzwi kredensu piękną służącą.

– Samie – rzekła Arabella z najśłodszym uśmiechem, jaki sobie można wyobrazić – nigdy nie zdołam okazać ci dość wdzięczności. Nigdy nie zapomnę twoich usług w ogrodzie w Clifton.

– Nie mówmy o tym, droga pani – odrzekł Sam – ja tylko dopomagałem naturze; jak powiedział doktor matce pewnego chłopca, który zmarł wskutek puszczania krwi.

– Mary, siadaj, moja kochana – rzekł pan Pickwick, przerywając ten komplement. – No, a teraz powiedzcie mi, jak dawno pobraliście się?

Arabella, zmieszana, spojrzała na swego pana i męża, ten zaś odpowiedział:

– Dopiero przed trzema dniami.

– Dopiero przed trzema dniami! A cóżeś ty robił przez ostatnie trzy miesiące?

– A tak! – przerwał pan Perker. – Jak pan wytłumaczysz takie lenistwo? Widzi pan, że pan Pickwick tylko temu się dziwi, że się to nie stało prędzej.

– Tak się składało – odrzekł pan Winkle, spoglądając na rumieniącą się młodą kobietę – że długo musiałem namawiać Bellę, by uciekła ze mną, a gdy już zdołałem namówić, upłynęło znów wiele czasu, nim się nadarzyła sposobność po temu. Zresztą Mary musiała przedtem wypowiedzieć służbę na miesiąc z góry, a nie mogliśmy obejść się bez jej pomocy.

– Na honor! – zawołał pan Pickwick, który znowu włożył okulary i kolejno spoglądał to na Arabellę, to na pana Winkle'a z wyrazem najwyższego zadowolenia i życzliwości, jaki tylko gorące serce i głęboka przyjazna sympatia mogą nadać ludzkiemu obliczu – na honor! Postępowałeś bardzo systematycznie. A czy brat twój wie o tym, moja droga?

– Ach, nie! – odpowiedziała Arabella, blednąc. – Drogi panie Pickwick, tylko od pana, tylko z pańskich ust może się o tym dowiedzieć. Mój brat jest tak gwałtowny, tak uprzedzony... tak przychylny swemu przyjacielowi, Sawyerowi – dodała, spuszczać oczy – że okropnie obawiam się skutków...

– Tak... tak – dodał pan Perker z powagą. – Trzeba, byś się pan tym zajął, kochany panie. Dwaj młodzi ludzie uszanują pana, ale kogo innego nawet słuchać nie zechcą. Pan jeden może uprzedzić nieszczęście. To gorące głowy, gorące głowy!

I mały adwokat zażył groźnie szczyptę tabaki, przybrałszy minę pełną z wątpienia i niepokoju.

– Ale, moje dziecko – rzekł pan Pickwick do Arabelli – zapominasz, że jestem uwięziony.

– O, nie! Nie zapominam! Nigdy nie zapomniałam o tym! Nigdy nie przestawałam myśleć, jak wiele pan musi cierpieć w tym szkaradnym miejscu. Ale spodziewam się, iż dla naszego szczęścia uczyni pan to, czego nie chciał uczynić dla samego siebie. Jeżeli brat mój dowie się o wszystkim z ust pana, pewna jestem, że się pogodzimy. To jedyny mój krewny, panie Pickwick, i jeżeli pan nie wstawi się za mną, obawiam się, że i tego utracę. Źle postąpiłam, wiem o tym, bardzo źle...

Tu biedna Arabella ukryła twarz w chustce i poczęła gorzko płakać.

Wrodzona dobroć pana Pickwicka z trudnością zdołała oprzeć się tym łzom, ale gdy pani Winkle osuszywszy je, poczęła go błagać swoim najśłodszym, pieścizotliwym głosem, zaważał się, co ma robić, i poczuł się nieswojo, co można było poznać z tego, iż poczał nerwowym ruchem wycierać szkła swych okularów, nos, kamasze, głowę i spodnie.

Korzystając z tych symptomów wahania, pan Perker, z którym młoda para już się widziała, przypomniał z adwokacką zręcznością, iż pan Winkle senior nie wie jeszcze o ważnym kroku, jaki zrobił jego syn; że przyszła egzystencja tego syna zależy zupełnie od stałych i niesłabnących uczuć miłości i przywiązania, jakie zachowa dla niego rzeczony Winkle senior; że uczucia te będą prawdopodobnie na szwank narażone, jeśli ten ważny wypadek będzie się dłużej tajić przed nim; że pan Pickwick, gdy uda się do Bristolu, by zobaczyć się z panem Allenem, może zarazem wstąpić do Birmingham i spotkać się z panem Winkle'em seniorem; na koniec, że pan Winkle senior zupełnie słusznie uważać może pana Pickwicka za mentora i opiekuna swego syna; że wobec tego wypada panu Pickwickowi, a nawet jest obowiązkiem jego honoru, w ustnej rozmowie zawiadomić go o stanie rzeczy, jako też wyjaśnić swój udział w tej sprawie.

W tym miejscu wywodów pana Perkera, a bardzo w porę, przybyli panowie Tupman i Snodgrass. Ponieważ musiano im opowiedzieć, co zaszło, wraz z tym, co przemawiało za i przeciw, przytoczono raz jeszcze wszystkie argumenty, które każdy z nich roztrząsał teraz na swój sposób i stosownie do swego poglądu na świat. W końcu zebrani zbili i odparli wszystkie wywody pana Pickwicka, a ponieważ groziło niebezpieczeństwo, że mu zbiją i odeprą rozum, pan Pickwick objął Arabellę, oświadczył, że jest przemiałą istotą, że nie wie sam, jak

się to stało, ale od pierwszego spojrzenia serdecznie ją polubił – i że wreszcie nie ma dość siły, by sprzeciwić się szczęściu młodej pary, niech więc z nim robią, co im się podoba.

Gdy tylko Sam usłyszał o tym, że pan Pickwick ustąpił, po pierwsze wyprawił niezwłocznie Trottera do szanownego pana Pella, by zażądać swego uwolnienia, które jego mądry ojciec złożył na piśmie w ręce znakomitego prawnika na wszelki wypadek. Po drugie, tenże Sam wymienił wszystką swoją gotówkę na dwadzieścia pięć galonów znakomitego portera, które rozdzielił na „placu balowym” pomiędzy więźniów; potem począł biegać po więzieniu krzycząc „hura!”, dopóki nie stracił głosu, po czym powrócił w zupełności do zwykłego swego filozoficznego spokoju i skupienia.

O trzeciej po południu pan Pickwick rzucił ostatnie spojrzenie na swój mały pokoik i z pewną trudnością przecisnął się przez tłum dłużników tłoczących się dokoła, by mu uścisnąć rękę. Gdy zszedł ze schodów, odwrócił się raz jeszcze, a twarz jego zajaśniała niebiańskim blaskiem, gdyż w tym tłumie bladych i wychudzonych postaci nie było ani jednej, która by nie doznała jego dobroczynnego współczucia.

– Perker – rzekł on do małego adwokata, skinąwszy na pewnego młodego człowieka, by się zbliżył – oto właśnie jest pan Jingle, o którym ci mówiłem.

– Bardzo dobrze, kochany panie – odrzekł pełnomocnik spoglądając na pana Jingle'a badawczym wzrokiem. – Zobacz mi pan jutro i spodziewam się, iż przez całe życie będzie pan pamiętał, co panu powiem.

Jingle skłonił się z uszanowaniem, drząc uścisnął rękę, którą mu podał pan Pickwick, i oddalił się.

– Hioba zna pan już? – rzekł filozof, wskazując go panu Perkerowi.

– Znam, znam tego łotra – odrzekł pan Perker wesoło. – Idź teraz za twym panem i staw się tu jutro o pierwszej, czy słyszysz? Czy nie ma mi pan jeszcze czego do powiedzenia, panie Pickwick?

– Nic więcej – rzekł pan Pickwick. – Samie, czy oddałeś pocztę, którą zostawiłem dla twojego starego współlokatora?

– Oczywiście, panie – rzekł Sam. – Ryczał jak wół i powiedział, że bardzo to szlachetnie z pańskiej strony, że o nim pan nie zapomniał, pragnąłby tylko, by mu pan mógł zastrzyknąć galopujące suchoty, gdyż stary jego przyjaciel, z którym współżył tak długo, umarł; i teraz nie potrafi już znaleźć sobie innego.

– Biedny człowiek – rzekł pan Pickwick. – Bądźcie zdrowi, moi przyjaciele, i niech Bóg ma was w swej opiece.

Gdy zacny ten człowiek wypowiedział te słowa pożegnania, tłum podniósł głośny krzyk i wielu poczęło cisnąć się naprzód, by raz jeszcze uścisnąć mu rękę. Ale pan Pickwick ujął Perkera pod ramię i opuścił więzienie bardziej smutny aniżeli wówczas, gdy doń przybył. Iluż nieszczęśliwych tam pozostawił! I ilu z nich wciąż jeszcze pozostaje!

Towarzystwo zgromadzone w oberży „Pod Jerzym i Jastrzębiem” spędziło przyjemnie wieczór, nazajutrz zaś rano to gościnne siedlisko opuściły dwa serca, lekkie i wesołe, których właścicielami byli pan Pickwick i Sam Weller. Pierwszy umieścił się szybko w wygodnym powozie pocztowym, drugi lekko siadł na tylnym miejscu zewnętrznym.

– Panie! – zawołał Sam do pana Pickwicka.

– Czego chcesz? – spytał pan Pickwick, wysuwając głowę przez okno.

– Żałuję, że te szkapy nie siedziały ze trzy miesiące w więzieniu przy Fleet Street.

– Dlaczego, Samie? – zapytał pan Pickwick.

– Ano, proszę pana! – powiedział Sam, zacierając ręce – biegłyby wtedy jeszcze prędzej!

Rozdział dziewiętnasty

*w którym opisano, jak pan Pickwick przy pomocy Sama usiłował
zmiękczyć serce pana Beniamina Allena i złagodzić wciekłość pana
Roberta Sawyera*

Pan Ben Allen i pan Bob Sawyer siedzieli w pokoiku doktorskim za sklepem i zajęci byli jedzeniem cielęciny oraz tworzeniem projektów na przyszłość, a rozmowa ich, rzecz naturalna, dotyczyła klienteli, którą rzeczony Bob już posiadał, jako też widoków zdobycia w przyszłości dostatecznych dochodów, by utrzymać się z tej zaszczytnej profesji.

– Zdaje mi się, że jest to wciąż jeszcze wątpliwe – rzekł Bob.

– Co, mianowicie? – zapytał Ben, pokrępiając swe siły umysłowe haustem piwa. – Co jest wątpliwe?

– No, te widoki.

– Całkiem zapomniałem – rzekł Ben. – Piwo mi dopiero przypomniało, że całkiem zapomniałem. Tak, to dość wątpliwe.

– To szczególnie, jak w tym mieście ubodzy mną się opiekują! – zaczął znowu Bob powoli. – Pukają do moich drzwi całą noc i biorą lekarstwa w takiej ilości, że dawniej uważałbym to za niemożliwe, z wytrwałością godną lepszej sprawy przystawiają sobie wezykatorie i pijawki, przyczyniając się do pomnożenia gatunku tych ostatnich w sposób wprost zastraszający. Popatrz, Ben, sześć takich wekselków, wszystkie wystawione w tym samym dniu i wszystkie dla mnie.

– To bardzo pocieszające – rzekł pan Allen przysuwając talerz, by jeszcze nałożyć sobie pieczeni cielęcej.

– Zapewne – odparł Bob – ale wolałbym w każdym razie pozyskać zaufanie pacjentów, którzy by mogli pozbyć się jednego lub dwóch szylingów. Zresztą o takiej klienteli myślałem, gdy dawałem ogłoszenie; teraz rzeczywiście mam klientelę... klientelę bardzo liczną... ale na tym koniec.

– Bobie – rzekł Allen, kładąc nóż i widelec i wpatrując się w twarz swego przyjaciela. – Bobie, ja ci powiem, co należy zrobić.

– Na przykład?

– Trzeba, byś jak najprędzej stał się panem tysiąca funtów szterlingów Arabelli.

– Trzyprocentowe skonsolidowane akcje bankowe, zapisane obecnie na jej imię w księdze lub w księgach gubernatora i Kompanii Banku Angielskiego – dodał Bob Sawyer, używając technicznych terminów.

– Tak właśnie. Może je podjąć po dojsciu do pełnoletności albo gdy wyjdzie za mąż. Do pełnoletności brakuje jej jeszcze rok, ale jeżeli masz spryt, to za miesiąc może zostać twoją żoną.

– Śliczna to i przemiła istota, Benie – odparł Robert Sawyer – jedną ma tylko, o ile wiem, wadę, ale, na nieszczęście, ta jedna polega na braku gustu. Nie kocha mnie.

– Sądzę, że ona sama nie wie, kogo kocha – odrzekł Ben Allen pogardliwym tonem.

– Być może, ale wie, kogo nie kocha, a to ważniejsze.

– Chciałbym – zawołał Ben Allen, zaciskając zęby i mówiąc jak dziki wojownik rozdzielający surowe wilcze mięso własnymi pazurami, a nie jak młody cywilizowany gentleman jedzący cielęcinę przy pomocy noża i widelca – chciałbym wiedzieć, czy jest gdzie taki nędznik, który by ośmielił się starać o jej względy. Sądzę, że bym go zasztyletował, Bobie.

– A ja – rzekł Bob Sawyer, przerywając długi łyk portera i z zawziętą miną spoglądając na kufel – ja, gdybym go spotkał, wsadziłbym mu kulę w sam brzuch; gdyby zaś to nie wystarczyło, uśmierciłbym go, wyjmując mu ją.

Beniamin, milczący i zadumany, patrzył na swego przyjaciela przez kilka minut, potem zapytał:

– Nigdy nie oświadczyłeś się jej, Bobie?

– Nigdy, bo wiedziałem, iż to do niczego nie doprowadzi.

– A więc zanim minie dwadzieścia cztery godziny, musisz to zrobić – odparł Ben z rozpaczliwym spokojem. – Albo będzie twoją żoną, albo... powie, dlaczego nie chce nią być. Użyję całej mej władzy.

– Ha! Zobaczymy! – rzekł pan Bob Sawyer.

– Tak, mój przyjacielu, zobaczymy! – powtórzył Ben z gniewnym uporem. Potem umilkł, a po chwili rzekł drżącym od wściekłości głosem: – Kochałeś ją od dzieciństwa, jeszcze gdyśmy razem byli w szkole, już wtenczas robiła miny i lekceważyła twe młodociane uczucia. Pamiętasz pewno, jak jednego dnia z całym zapalem młodzieńczej namiętności prosiłeś ją, by przyjęła od ciebie jabłko i dwa biszkopty z anyżem starannie owinięte w okładkę twego zeszytu?

– Przypominam sobie doskonale – odparł Bob.

– I nie przyjęła, prawda?

– Nie przyjęła. Powiedziała, że za długo trzymałem pakiet w kieszeni od spodni i jabłko okropnie się rozgrzało.

– Tak, tak – odrzekł Allen ponuro. – Potem zjedliśmy je sami, gryząc na przemian, jeden po drugim.

Melancholijnym zmarszczeniem brwi Bob dał do zrozumienia, że i tę okoliczność doskonale przypomina sobie, po czym dwaj przyjaciele na kilka minut pograżyli się w rozmyślnościach, każdy o swoich sprawach.

W czasie gdy panowie Bob Sawyer i Ben Allen wygłaszali te słowa, a chłopaka w szarej liberii, pełnego zdziwienia, że obiad trwa tak długo, trapiły smutne przecucia dotyczące resztek cielejącej pieczeni, na które ostrzył sobie zęby – zielony powóz, zaprzężony w jednego konia ciemnej maści, toczył się z wolna po ulicach Bristolu. Tronował na nim woźnica z nadąsaną miną, mający spodnie jak groom, poza tym jednak odziany w zwykły strój stangreta. Zjawiska takie są czymś zwykłym, gdy właścicielką powozu jest stara dama, która lubi oszczędność. W powozie siedziała też rzeczywiście stara dama, właścicielka i posiadaczka wehikułu.

– Marcinie! – zawołała stara dama do nadąsanego woźnicy.

– A co? – zapytał nadąsany stangret, podnosząc rękę do kapelusza.

– Do pana Sawyera.

– Tam właśnie jadę.

Stara dama skinęła głową, zadowolona z domyślności nadąsanego woźnicy, a nadąsany woźnica zdziesiął batem konia, po czym wszyscy ruszyli w kierunku domu pana Boba Sawyera.

– Marcinie – rzekła dama, gdy powóz stanął przed sklepem pana Sawyera, niegdyś Noc-kemorfa.

– Słucham – odparł Marcin.

– Powiedz chłopcu, by wyszedł i potrzywał konia.

– Ja już sam potrzynam – odpowiedział Marcin, kładąc bicz na dach powozu.
– Nie, nie możesz pod żadnym warunkiem: twoje świadectwo będzie wiele znaczyło, musisz więc wejść ze mną. W czasie rozmowy nie śmiesz mnie odstępować. Rozumiesz?

– Rozumiem.

– A więc, na co czekamy jeszcze?

– Na nic – odparł Marcin.

To powiedziawszy, Marcin zsiadł powoli z kozła, przywołał chłopca w szarej liberii, otworzył drzwiczki, spuścił schodki i włożywszy do wnętrza karety rękę w łosiowej rękawiczce, wyciągnął damę z taką obojętnością, jak gdyby był to neseser.

– O, Boże! – zawołała dama – teraz, gdy jestem na miejscu, strach mnie ogarnia. Cała drzę, Marcinie.

Marcin kaszlnął w rękawiczkę, ale innych oznak współczucia nie okazał, stara dama uspokoiła się więc i pokuśtykała schodami do Boba Sawyera i Bena Allena, gdzie też dążył pan Marcin. Gdy weszła do sklepu pana Boba Sawyera, panowie Bob Sawyer i Ben Allen, którzy tymczasem usunęli wszelkie spirytualia i porozsypywali śmierdzące medykamenty, by usunąć zapach tytoniu, wypadli na jej spotkanie z oznakami zachwytu i zadowolenia.

– Jakże ciotka dobra, że przyjechała do nas – zawołał Beniamin. – Pan Sawyer, moja ciocia!... Mój przyjaciel, pan Bob Sawyer, o którym ciotce mówiłem... Ciocia wie, dlaczego...

Tu Ben Allen, który w tej chwili nie był zupełnie trzeźwy, wymówił imię Arabelli głosem, jak mniemał, cichym, ale w rzeczywistości tak donośnym, że wszyscy to słyszeli, choćby nawet nie chcieli.

– Drogi Beniaminie – rzekła dama, która miała krótki oddech i drżała teraz całym ciałem – nie przestraszaj się, moje dziecię... ale sądzę, iż lepiej będzie, gdy się rozmówię z panem Sawyerem na osobności... tylko chwilę...

– Bobie – rzekł Ben – zaprowadź ciotkę do pokoju.

– Natychmiast – odrzekł Bob poważnym głosem. – Proszę pani, tędy. Niech pani będzie spokojna; jestem pewny, że potrafimy temu w krótkim czasie zaradzić. Tędy, szanowna pani. Słucham.

To mówiąc Bob Sawyer podprowadził starą damę do fotela, zamknął drzwi, przesunął krzesło, usiadł na nim i czekał opisu symptomów choroby obliczając, ile na niej zarobi.

Pierwszą czynnością starej damy było wielokrotne potrząsanie głową i zalenie się łzami.

– Rozdrażnione nerwy – rzekł chirurg ze współczuciem. – Spirytus kamforowy trzy razy na dzień, a wieczorem napój uspokajający.

– Nie wiem, jak zacząć, pan Sawyer. To tak ciężko, tak przykro...

– Niech pani nie zaczyna. Mniej więcej wiem, co pani chce powiedzieć: cierpienie umiejscowione w głowie, prawda?

– Ach! Sądzę, że raczej w sercu – rzekła dama z głębokim westchnieniem.

– To nie jest niebezpieczne – odparł Bob Sawyer. – Główna rzecz – żołądek.

– Panie Sawyer! – zawołała dama, drgnąwszy.

– To nie ulega najmniejszej wątpliwości, szanowna pani – mówił dalej Bob z miną niezmiernie uczoną. – Lekarstwo, zażyte we właściwym czasie, łatwo by temu zapobiegło.

– Panie Sawyer – zawołała dama jeszcze bardziej oburzona – pańskie zachowanie się wobec kobiety w moim położeniu jest impertynencją albo też nie domyśla się pan, po co przyjechałam! Gdyby dzięki medycynie lub roztropności ludzkiej można było uprzędzić to, co się stało, naturalnie, że zrobiłabym to. Ale wolę rozmówić się z moim synowcem – dodała dama, wstając nagle i niecierpliwie obracając trzymaną w ręku torebkę.

– Proszę zatrzymać się na chwilę. Obawiam się, iż nie zrozumiałem pani dobrze. O co właściwie chodzi?

– Moja synowica, panie, siostra przyjaciela pana...

– Dobrze, pani – przerwał Bob zniecierpliwiony, gdyż stara dama, mimo nadzwyczajnego wzruszenia, cedziła słowa przez zęby, jak to zwykle robią stare damy. – Dobrze, pani...

– Opuściła mój dom, panie Sawyer, przed czterema dniami, pod pozorem odwiedzenia mojej siostry, drugiej swej ciotki, utrzymującej wielką pensję trzy mile stąd, w lewo, gdzie rośnie wielkie drzewo i stoi dębowa brama – rzekła stara dama i zamilkła, by otrzeć łzy.

– A niech tam diabli porwą dębową bramę! – zawołał Bob, w przerażeniu niepomny na swą doktorską godność. – Niech pani mówi prędzej, błagam panią. Trochę więcej pary.

– Dziś rano – zaczęła dama bardzo powoli – dziś rano...

– Powróciła, jak sądzę – przerwał Bob żywo – powróciła?

– Nie, nie powróciła, ale napisała.

– I co pisze? – zapytał Bob, zniecierpliwiony.

– Píše, panie Sawyer... i na to proszę przygotować Beniamina z wolna i stopniowo, panie Sawyer, pisze, że... List mam w kieszeni, ale zostawiłam okulary w powozie, a znalezienie bez nich odpowiedniego miejsca zajęłoby zbyt dużo czasu. Jednym słowem pisze, że wyszła za mąż.

– Co? – zapytał lub raczej wybełkotał Bob.

– Wyszła za mąż – powtórzyła stara dama.

Bob nie słuchał dalej, ale wypadł z pokoju do sklepu i zawołał stentorowym głosem:

– Ben! Czy słyszysz? Drapnęła!

Pan Ben Allen, którego głowa zwisała przynajmniej niżej kolan, gdyż najspokojniej drzemał za ladą, usłyszawszy tę przerażającą wiadomość rzucił się na Marcina i okręciwszy rękę szalem milczącego woźnicy, wyraził nieodwołalne życzenie uduszenia go na miejscu. Zamiar ten zaczął nawet w czyn wprowadzać z szybkością, którą daje rozpacz, a która przekonywała zarazem o wielkiej jego sile fizycznej i chirurgicznej zręczności.

Marcin, z natury małomówny i niewiele liczący na swój oratorski talent, przez kilka sekund ze spokojną i wesołą twarzą poddawał się tej operacji, ale zauważywszy, że operowany w ten sposób rychło straciłby na zawsze możliwość otrzymywania pensji, odszkodowania itd., wybełkotał kilka słów bez związku i jednym uderzeniem pięści powalił pana Beniamina Allena na ziemię, zmuszony był jednak podążyć bezzwłocznie za nim w tym samym kierunku, gdyż młody człowiek nie puścił jego szala, co nie pozostawiało operowanemu żadnego wyboru. Obaj więc szamotali się na ziemi, gdy drzwi do sklepu otworzyły się i towarzystwo powiększyło się o dwie najmniej spodziewane tu osoby: o pana Pickwicka i Sama Wellera.

Pierwszym przypuszczeniem Sama, gdy ujrzał te zapasy, było, że Marcin został wynajęty przez zakład Sawyera, dawniej Nockemorfa, gwoli przyjęcia jakiegoś gwałtownego lekarstwa lub jakiejś trucizny, lub nowo wynalezionej na nią antidotum, lub też gwoli jakiegokolwiek innego eksperymentu w interesie medycyny, by zaspokoić gorące pragnienie wiedzy płonące w piersiach młodych jej czcicieli. Nie pozwalając sobie na żadną interwencję, stał najzupełniej obojętnie, z największym spokojem czekając na rezultat uczonego doświadczenia. Ale nie tak było z panem Pickwickiem: rzucił się z właściwą sobie energią pomiędzy zdumionych bojowników i wielkim głosem wezwał obecnych, by rozdzielili walczących.

To doprowadziło do opamiętania Boba Sawyera, który stał jak sparaliżowany widząc wściekłość swego przyjaciela. Przy jego pomocy pan Pickwick postawił Bena Allena na nogi. Co do Marcina, to znalazłszy się sam na podłodze, podniósł się bez niczyjej pomocy i spojrzął dokoła w milczeniu.

– Panie Allen – zapytał pan Pickwick – co się stało?

– To pana nic nie obchodzi – odrzekł Ben z wyzywającą wyniosłością.

– Co mu jest? – zapytał filozof, zwracając się do Boba. – Czy czasem nie chory?

Zanim Bob zdobył się na odpowiedź, Ben Allen pochwycił rękę pana Pickwicka i szepnął boleśnie:

– Moja siostra, kochany panie, moja siostra!

– O! Tylko tyle? – odrzekł Pickwick. – Ta sprawa, mam nadzieję, da się rychło ułożyć. Siostra pana jest w bezpiecznym miejscu i ma się dobrze, kochany panie. Właśnie przybyłem tu...

– Bardzo przepraszam pana... – przerwał Sam, który właśnie zajrzał przez szklane drzwi – przepraszam, że przerywam tę zajmującą rozmowę, jak mówił król wyrzucając parlament za drzwi; ale tam, w drugim pokoju, odbywa się eksperyment nie mniej ciekawy. Jakaś stara dama leży na podłodze i zdaje się czeka, by jej zrobiono sekcję albo galwanizowano ją, albo w ogóle zastosowano do niej jaki inny wynalazek, wskrzeszający i naukowy.

– Zapomniałem! – zawołał Ben Allen – to moja ciotka!

– Boże wielki! – wykrzyknął pan Pickwick. – Biedna kobieta! Powoli, Samie, powoli.

– Szczególna sytuacja dla członka rodziny – zauważył Sam, sadzając damę na krześle. – Teraz, mistrzu rzeźniaków, przynieś trzeźwiące specyfiki.

To wezwanie było skierowane do chłopca w szarej liberii, który polecił powóz opiece stróża ulicznego i przybiegł, by zobaczyć, co znaczy ten hałas. Dzięki staraniom zarówno chłopaka, jak i Sama, Boba i Bena wkrótce przywrócono starą damę do życia. Wtenczas pan Allen, zwracając się w stanie półprzytomny do pana Pickwicka, zapytał go, co chciał powiedzieć, gdy w tak niepokojący sposób przerwano mu.

– Sądzę, że znajdują się tu tylko przyjaciele? – odrzekł filozof odkaszlnawszy, spoglądając na milczącego człowieka o nadąsanej twarzy, do którego należał powóz wraz z koniem o ciemnej maści.

To przypomniało Bobowi Sawyerowi, że chłopak w szarej liberii z szeroko rozwartymi oczami i wyteżonym słuchem przypatruje się im. Podniósłszy więc początkującego chemika za kołnierz i tym uproszczonym sposobem wydaliwszy go za drzwi, pan Sawyer skinął głową, by mówił, nie zważając na nic.

– Siostra pana, kochany panie – rzekł pan Pickwick, zwracając się do pana Bena Allena – znajduje się w Londynie, zdrowa i szczęśliwa.

– Nie o to mi chodzi, mój panie – odrzekł czuły brat, machnąwszy pogardliwie ręką. – Nie to jest moim celem.

– Ale jej mąż będzie dla mnie celem! – zawołał Bob. – Będzie celem o dwadzieścia kroków, a ja już oporządę tego łotra.

Były to wyrazy pełne prawdziwej rycerskości, ale Bob Sawyer, farmaceuta, osłabił nieco ich działanie, gdyż dodał kilka ogólnych uwag a miazdzeniu głów, wydrapywaniu oczu itd.

– Powoli – zawołał pan Pickwick – zamiast występować z takimi pogrózkami, niech pan lepiej spokojnie zastanowi się nad winą gentlemana, o którym mowa, a zwłaszcza niech pan pamięta, iż jest to mój przyjaciel!

– Co? – zawołał Bob Sawyer.

– Jak się nazywa! – wrzasnął Ben Allen.

– Pan Nataniel Winkle – odparł pan Pickwick stanowczo.

Na te słowa Beniamin starannie rozgniół swe okulary obcasem buta, a potem zebrawszy kawałki i umieściwszy je w trzech rozmaitych kieszeniach, założył ręce, przygryzł usta i groźnie spojrzął na łagodne i spokojne rysy pana Pickwicka. W końcu zawołał:

– A więc to pan, nikt inny, tylko pan, doradziłeś i sfabrykowałeś to małżeństwo!

– Zdaje mi się – dodała ciotka – że służący tego pana kręcił się koło mego domu i chciał przekupić moją służbę. Marcinie!

– Co takiego? – zapytał nadąsany stangret, występując naprzód.

– Czy to ten sam młody człowiek, którego widziałeś na ulicy i o którym mówiłeś mi dzisiaj rano?

Marcin, który, jak już powiedzieliśmy, był z natury lakoniczny, zbliżył się do Sama i kiwnąwszy głową, mruknął: „Tak”. Sam zaś, który nigdy nie był dumny, uśmiechnął się do niego

jak do znajomego, gdyż poznał w nim zgryźliwego grooma, po czym w grzecznych wyrazach oświadczył, iż widział już gdzieś tę fizjonomię.

– A ja – zawołał Ben Allen – jaomalże nie udusiłem wiernego sługi! Panie Pickwick! Jak pan śmiał pozwolić temu drabowi na to, by brał udział w uwięzieniu mojej siostry. Żądam od pana wytłumaczenia!

– Tak! – zawołał Bob z gwałtownością – wytłumacz się pan!

– To spisek! – wykrzyknął Ben.

– To podstępne, nikczemne oszustwo! – dodał Bob.

– Haniebna łobuzeria! – zawołała dama.

– Czyste łajdactwo! – osądził Marcin.

– Ależ wysłuchajcie mnie, proszę! – rzekł pan Pickwick, gdy pan Ben Allen upadł na krzesło, na którym zwykle puszczał swym pacjentom krew, i ukrył twarz w chustce. – Ja nie brałem w tym żadnego udziału z wyjątkiem tego, że raz byłem obecny przy ich spotkaniu. Nie mogłem przecież przeszkodzić temu, że się kochali, a to, co zrobiłem, zrobiłem w przekonaniu, że moja obecność usunie wszelki, choćby najłżejszy cień, jaki mógłby paść na nich. Więcej nie miałem z tym styczności. O zamiarze pobrania się nic nie wiedziałem. Proszę jednak zauważyć – dodał natychmiast filozof – proszę zauważyć, iż nie mówię wcale, że przeszkadzałbym temu, gdybym był widział.

– Słyszycie? Słyszycie? – zawołał Ben.

– Sądzę, że wszyscy słyszą – mówił dalej pan Pickwick, spokojnie spoglądając dokoła – i sądzą, że usłyszą również to, co dalej powiem – dodał donośnym głosem i z zarumienioną twarzą. – Słyszysz pan zapewne i to, że, po zasięgnięciu informacji, mówię panu, iż nie ma pan prawa rozkazywać uczuciom swej siostry. Powinien pan być raczej dążyć do tego, by odnosząc się do niej przyjaźnie i delikatnie, zastąpić jej innych krewnych, których od dzieciństwa nie znała. Co do mego młodego przyjaciela, to powiem tylko, iż pod względem majątkowym i pozycji społecznej znajduje się on w położeniu przynajmniej równym siostrze pana, jeżeli nie lepszym, i że stanowczo nie chcę słyszeć nic więcej o tym, jeżeli rozmowa nie przybierze natychmiast tonu przyzwoitego i umiarkowanego.

– Chciałbym jeszcze dodać parę uwag do tego, co powiedział mój czcigodny przedmówca – oświadczył Sam występując naprzód. – Jedno z indywidualów tu obecnych nazwało mnie drabem.

– To nie ma nic wspólnego ze sprawą – zawołał pan Pickwick.

– Bądź tak dobry i milcz.

– Nie chcę też nic mówić o tej sprawie – rzekł Sam – ale powiem tylko to. Może gentleman mniema, iż istniała jakaś dawna miłość; otóż powiem, że nic podobnego nie było, gdyż młoda dama zawsze utrzymywała, że go nie cierpi. Więc właściwie nikt go nie wysadził z siodła i prawdę powiedziawszy, powinno by mu być wszystko jedno, czy z młodą damą ożenił się pan Winkle, czy kto inny. Sądzę, że to uspokoi gentlemana.

Po tych pocieszających uwagach Sama Wellera nastąpiła krótka pauza, po czym Ben Allen uniósł się z krzesła i zażądał, by mu się Arabella nigdy nie pokazywała na oczy, pan Bob zaś, mimo pochlebnych zapewnień Sama, poprzysiągł, iż zemści się straszliwie na szczęśliwym małżonku.

Ale właśnie w chwili gdy sprawa przybierała tak groźny obrót, pan Pickwick znalazł niespodziewanego a potężnego sprzymierzeńca w osobie starej damy, na której widocznie wywarła wielkie wrażenie obrona synowicy przez pana Pickwicka. Stara dama przystąpiła do Bena Allena i odważyła się zrobić kilka pocieszających uwag, które streściły się w tym, iż wielkie to szczęście, że się nie stało jeszcze gorzej; że im mniej będzie się mówić o tym, tym lepiej; że prawdę powiedziawszy, trudno dowieść, by to, co się stało, było wielkim nieszczęściem; że co się stało, to się nie odstanie; że trzeba znieść to, czemu nie można przeszkodzić.

Potem przez dłuższy czas wygłaszała tym podobne sentencje, zarówno nowe, jak przekonywające.

Na to wszystko Ben Allen odpowiedział tylko, iż nie jest bynajmniej jego zamiarem ubliżyć ciotce albo jakiegokolwiek innej obecnej tu osobie, lecz to nie zmienia niczego i muszą mu pozwolić działać według jego własnego natchnienia, a on chce mieć przyjemność nienawidzenia swej siostry do grobowej deski, a nawet i potem jeszcze.

Gdy postanowienie to zostało obwieszczone najmniej pięćdziesiąt razy, stara dama nagle powstała, spojrzała w sposób wysoce majestatyczny i zapytała, co takiego zrobiła, że odmawiają jej tu uszanowania należnego jej wiekowi oraz stanowisku i że zmuszona jest w ten sposób przemawiać do własnego synowca, którego pamięta od dwudziestu pięciu lat, tj. od czasu jego urodzenia, którego znała, kiedy nie miał jeszcze żadnego zęba, nie mówiąc już o tym, iż była obecną, gdy mu pierwszy raz ostrzyżono włosy, tudzież przy innych ważnych ceremoniach z czasów, gdy był dzieciakiem: zdarzenia, które są dość ważne, by uzasadnić jej pretensje do miłości, posłuszeństwa i oddania jej synowca.

Gdy zacna dama egzorcyzmowała w ten sposób Bena Allena, pan Pickwick wyszedł z Bobem do tylnego pokoju, gdzie ten podczas żywej rozmowy wielokrotnie przykładał do ust pewną czarną butelkę, pod której wpływem twarz jego poczęła stopniowo przybierać spokojny, a nawet jowialny wyraz. W końcu wyszedł nawet z pokoju z tą samą butelką w ręce i oznajmiwszy, iż przykro mu, że postępował jak szaleniec, wznosił toast za zdrowie i pomyślność pana i pani Winkle, i że nie tylko nie zazdrości im szczęścia, ale chce być pierwszym, który im złoży życzenia. Usłyszawszy to Ben Allen zerwał się z krzesła, pochwycił czarną butelkę i również wychylił toast tak serdecznie, że od mocnego likieru twarz jego stała się tak czarna jak flaszka. W końcu butelka poszła z rąk do rąk i została wypróżniona, po czym nastąpiło ogólne ściskanie sobie rąk i prawienie grzeczności, a nawet pan Marcin z metalowym obliczem pozwolił sobie na uśmiech.

– A teraz – rzekł Bob, zacierając ręce – musimy wesoło przepędzić wieczór.

– Przykro mi – rzekł na to pan Pickwick – ale muszę wrócić do zajazdu. Od niejakiego czasu odzwyczaiłem się od ruchu, a podróż mię zmęczyła.

– Przynajmniej napije się pan herbaty, panie Pickwick – rzekła stara dama z niewysłowioną słodyczą.

– Bardzo dziękuję pani, ale nie mogę.

Faktem jest, że wzrastające współczucie starej damy było głównym powodem, który zniwolnił pana Pickwicka do usunięcia się. Myślał wciąż o pani Bardell i widok ciotki napawał go trwogą.

Ponieważ nie można było zmusić pana Pickwicka, by został, postanowiono, na jego własną propozycję, że pan Ben Allen będzie mu towarzyszył w podróży do starego pana Winkle'a i że powóz zajedzie przed dom dokładnie o godzinie dziewiątej rano następnego dnia. Filozof pożegnał się więc i w towarzystwie Sama Wellera odjechał do hotelu „Pod Krzakiem”. Jest rzeczą godną uwagi, że gdy Marcin żegnał się z panem Wellerem, oblicze jego wykrzywił grymas i równocześnie Marcin uśmiechnął się i zaklął; ci, co znali tego gentlemana, mówią, iż w ten sposób chciał stwierdzić, że towarzystwo pana Wellera jest mu bardzo miłe i że prosi o honor podtrzymywania z nim stosunków w przyszłości.

– Czy mam zamówić oddzielny pokój? – zapytał Sam, gdy dojechali do hotelu.

– Nie – odpowiedział pan Pickwick. – Ponieważ zjadłem obiad w kawiarni i zaraz pójde spać, jest to niepotrzebne! Zobacz no, kto jest w poczekalni dla podróżnych.

Pan Weller poszedł na zwiady i wrócił z wiadomością, że siedzi tam tylko gentleman z jednym okiem. Gentleman ten popija z gospodarzem „biszof”.

– Napiję się z nimi – powiedział pan Pickwick.

– Bardzo śmieszny pasażer ten jednooki – powiedział Sam, prowadząc pana Pickwicka. – Nabija w butelkę starego, aż tamten w końcu nie wie, czy stoi na nogach, czy na głowie!

Kiedy pan Pickwick wszedł, rzeczony indywiduum siedziało w głębi pokoju, paląc wielką fajkę, a oczy jego utkwione były w okrągłą twarz gospodarza, starego jegomościa, któremu musiał właśnie opowiadać jakąś niezwykłą historię, gdyż stary co chwila wykrzykiwał: – Nigdy nie słyszałem o czymś podobnym! Najdziwniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałem! Nigdy bym nie myślał, że to prawda! – Te i tym podobne okrzyki zdumienia co chwila wyrywały mu się z ust.

– Sługa! – odezwał się jednooki do pana Pickwicka. – Piękna noc, co?

– Rzeczywiście – powiedział pan Pickwick, gdy służący postawił przed nim małą flaszkę wódki i szklanę gorącej wody.

W czasie gdy pan Pickwick mieszał wodę z wódką, jednooki rozejrzał się uważnie po pokoju i wreszcie powiedział:

– Zdaje mi się, że już pana widziałem.

– Nie przypominam sobie pana – odrzekł pan Pickwick.

– Tak myślę – odrzekł jednooki. – Pan mnie nie zna, ale ja znam dwóch pańskich przyjaciół, którzy stali w gospodzie „Pod Srebrnym Pawiem” w czasie wyborów w Eatanswill!

– Doprawdy? – zawołał pan Pickwick.

– A tak! – mówił jednooki. – Wspomniałem im o pewnej małej przygodzie, jaka się zdarzyła memu przyjacielowi Tomowi Smartowi. Może opowiadali to panu?

– I nieraz! – uśmiechnął się pan Pickwick. – To pański wuj, prawda?

– Nie, tylko przyjaciel mego wuja – odpowiedział jednooki.

– To był niezwykły człowiek, ten pański wujek! – wmieszał się do rozmowy gospodarz.

– I jak tak myślę – odpowiedział jednooki. – Opowiedziałbym panom historię wprost zduńmiewającą!

– Naprawdę? – zawołał pan Pickwick. – Niech pan koniecznie opowie!

Jednooki komiwojażer nalał sobie szklanę grzanego wina i wychylił ją, po czym zaciągnął się ze swojej duńskiej fajki. Zawoławszy Sama Wellera, który stał przy drzwiach, by i on posłuchał, jeżeli chce, ponieważ nie będzie opowiadał tajemnic, utkwił spojrzenie w gospodarzu i zaczął – co znajdziemy w następnym rozdziale.

Rozdział dwudziesty

zawierający opowieść o wuju komiwojażera

– Mój wuj, panowie – zaczął jednooki komiwojażer – był to najweselszy, najzabawniejszy i najsympatyczniejszy jegomość z tych, którzy kiedykolwiek żyli. Żałuję, żeście go nie znali, panowie! Ale może to i lepiej, żeście go nie znali, moi panowie, bo gdybyście go znali, toby was już nie było na świecie, gdyż zgodnie z obowiązującymi prawami natury, nie żylibyście albo bliscy bylibyście śmierci, co na jedno wychodzi, bo siedzielibyście w domu i nie bywali w towarzystwie, a ja nie miałbym przyjemności rozmawiać z wami jak w tej chwili! Panowie! Żałuję, że wasi ojcowie i matki nie znali mego wuja! Kochaliby go bezgranicznie, zwłaszcza sympatyczne mamusie! Wiem! Jeżeli jakie cnoty dominowały w tym człowieku, to było to zamiłowanie do ponczu i śpiewów przy stole. Wybaczcie, że zastanawiam się melancholijnie nad tymi wygasłymi cnotami: ale takiego człowieka jak mój wuj nie spotkacie co dzień!

Uważałem zawsze za bardzo pochlebne dla charakteru mego wuja, panowie, że przyjaźnił się z człowiekiem tej miary, co Tom Smart, z firmy Bilson i Slum, Cateaton Street, City. Mój wuj pracował dla Tiggina i Welpsa, ale przez dłuższy czas miał tę samą marszrutę co i Tom Smart. I pierwszej zaraz nocy, jak się poznali, wuj mój polubił Toma, Tom polubił wuja. Nie znali się jeszcze nawet pół godziny, a już się założyli o nowy kapelusz, kto z nich wypije prędzej półkwaterek ponczu. Wuj mój wypił prędzej, ale za to Tom pobił go, pijąc większymi łykami. Więc kazali podać dwa świeże półkwatki, wypili swoje zdrowie i zostali przyjaciółmi na zawsze. Jest palec losu w tych rzeczach, gentlemani, trudno!

Co do osobistego wyglądu, wuj mój był trochę krótszy niż ludzie zwykłego wzrostu. Ale był też nieco tęższy, niż zwykle bywają ludzie, i może twarz jego była trochę czerwiejsza niż inne. Miał najweselszą twarz, jaką kiedykolwiek widzieliście, gentlemani: coś z *Puncha*, ale nos i broda ładniejsze. Oczy błyszczały mu zawsze wesoło, a jego uśmiech – nie, nie, nie było to jakieś bezmyślne skrzywienie warg, ale prawdziwy, nie robiony, szczery uśmiech nie schodził mu z ust! Kiedyś wyleciał z gigu i rymnął głową o kamień. Leżał więc z twarzą tak poharataną, że używając jego własnego wyrażenia, gdyby go zobaczyła rodzona matka, z pewnością by go nie poznała. Rzeczywiście, panowie, kiedy pomyślę, jak wyglądał, sądzę, że nie poznałaby go matka, bo umarła, kiedy wuj miał dwa lata i siedem miesięcy, myślę więc, gdyby nawet nie poharatał sobie twarzy, matka zdziwiłaby się bardzo zobaczywszy jego nożyska, nie mówiąc już o czerwonym obliczu! Tak czy inaczej, leży sobie wuj, a jak mi sam potem nieraz opowiadał, człowiek, który go podniósł, mówił, że wuj nie przestawał się uśmiechać, kiedy zaś odzyskał przytomność, to przede wszystkim wybuchnął śmiechem, potem objął młodą dziewczynę, która trzymała przed nim miednicę, a wreszcie zażądał baranich kotletów z piklami! Bardzo lubił marynowane orzechy, panowie! Mawiał, że jedzone bez octu podnoszą smak piwa.

Wielkie podróże mego wuja przypadają na czas spadania liści: wtedy odbierał należności i przyjmował nowe zamówienia na północy; jeździł z Londynu do Edynburga, z Edynburga do Glasgow, z Glasgow do Edynburga i z powrotem do Londynu. Chcę przez to powiedzieć, że do Edynburga wracał dla własnej przyjemności. Jeździł tam na tydzień, żeby odwiedzić sta-

rych przyjaciół. Jadł pierwsze śniadanie z jednym, lunch z drugim, obiad z trzecim, kolację z czwartym i tak mu schodził tydzień jak z bicia trzask! Nie wiem, panowie, czy braliście kiedy udział w prawdziwym, treściwym śniadaniu szkockim, by potem zająć na kilka tuzinów ostryg i kilka kufelków piwa, z paroma kieliszkami wódki na deser. Jeżeli tak – to mi przyznacie, że trzeba nie lada głowy, by potem mieć jeszcze siły na obiad i kolację!

Ale jak was kocham, wszystko to było niczym dla mego wuja! Taki był zaprawiony, że dla niego była to zabawka dziecinna! Opowiadał mi sam, że mógł codziennie spotykać się ze Szkotami i o własnych siłach wracał do domu! A jednak Szkoci mają najmocniejsze głowy i najmocniejsze poncze, jakie można spotkać, panowie, między dwoma biegunami! Słyszałem, że jeden drab z Glasgow pił z drabem z Dundee przez piętnaście godzin. Obaj upili się w tym samym momencie, co stwierdzono dokładnie, ale żaden z nich nie miał o to pretensji!

Pewnego wieczora, coś na dwadzieścia cztery godziny przed terminem odjazdu do Londynu, wuj odwiedził dom swego starego przyjaciela, wójta Mac i jeszcze jakieś cztery sylaby, mieszkającego w Edynburgu. Oprócz wójta była jego żona i wójtowe trzy córki, i wójtowy dorosły syn, i trzech tęgich barczystych Szkotów, których wójt zaprosił na ucztę, by pomagali rozweselać mego wuja. Kolacja była wspaniała. Wędzony łosoś, fiński łupacz, głowa barania i *haggis* – znana szkocka potrawa, panowie! Wuj mawiał o tej potrawie, że jest dla żołądka Kupidyna!

I jeszcze wiele innych smacznych rzeczy, zapomniałem nazw, ale wiem, że były smaczne! Panny były przyjemne i ładne, gospodyni jedna z najmilszych istot na świecie. Wuj mój był w doskonałym humorze! Skutek był taki, że młode damy chichotały i pischczały po cichu, stara dama śmiała się głośno, a gospodarz i goście rechotali przez cały czas, aż im oczy na wierzch wyłaziły. Nie pamiętam, ile kieliszków wychylił każdy po kolacji, i wiem tylko tyle, że około pierwszej po północy syn gospodarza uparł się, aby przypomnieć sobie pierwszą strofkę piosenki „Willi przyniósł butlę wody!”, a ponieważ wuj jeszcze przed pół godziną był zupełnie do rzeczy, postanowił, że czas do domu; zwłaszcza że pili od siódmej, więc obawiał się, by nie zasiedzieć się i wrócić o przyzwoitej porze. Ale przyszło mu na myśl, że nie wypada wyjść tak zaraz. Więc obrał siebie prezesem zgromadzenia, przygotował porządną szklanke, wstał, zaproponował, by obecni wypili jego zdrowie, zwrócił się do siebie samego z bardzo czułą przemową i z zapalem wychylił toast! Nikt nie drgnął! Więc wuj nalał sobie jeszcze odrobinę – niech nie wietrzeje – wpakował obydwoma rękami kapelusz na łeb i machnął się do domu.

Noc była zimna i wietrzna, kiedy wuj wyszedł z mieszkania wójta. Nasadziwszy mocno kapelusz, by mu nie spadł, wuj włożył ręce do kieszeni i spojrzawszy przed siebie, przyjrzał się uważnie pogodzie. Chmury płynęły na księżyc z niebywałą szybkością: to go zupełnie zasłaniały, to znowu odsłaniały tak, że w całym majestacie oświecał przedmioty, to znow go przesłaniały, z niebywałą szybkością pograżając wszystko w mroku. – Nic z tego! – mówi wuj do pogody tonem obrażonego. – Taka pogoda wcale nie jest odpowiednia dla mej podróży! Nie ujdzie! – dodał z naciskiem. Powtórzywszy to kilka razy, kiwnął się, z trudem utrzymał równowagę – trochę mu się kręciło w głowie od patrzenia na księżyc – ale poszedł wesoło dalej.

Dom wójta stał na Canongate, a mój wuj szedł na drugi koniec Leith Walk, to znaczy przeszło milę drogi! Po obu stronach strzelały ku niebu dwa rzędy wysokich domów o gładkich, zimnych ścianach i oknach, które wyglądały jak zagaste oczy. Sześć, siedem, osiem pięter miały domy. Piętro wznosiło się nad piętrem – na podobieństwo domków z kart, jakie budują dzieci. Cień od nich padał na drogę czyniąc ciemność jeszcze ciemniejszą. Gdzieś w oddali migotało kilka latarni oliwnych, ale wskazywały one tylko wejście do wąskich zaułków albo miejsce, gdzie zaczynały się schody prowadzące na wyższe piętra. Patrząc na to wszystko z miną człowieka, który zna to zbyt dawno, by uważać za godne uwagi, wuj mój szedł środkiem ulicy, włożywszy palce w dziurki od kamizelki, a gdy czasem ogarniała go chęć śpie-

wania, natenczas czynił to tak głośno, że uczciwi mieszkańcy spokojnych domów budzili się, przerażeni, i leżeli, drżąc na swoich posłaniach, aż dźwięki umilkły w oddali. Uspokoiwszy się, że to tylko zwykły pijak z gatunku tych, co to „nigdy do domu!”, otulali się w kołdry i zasypiali.

Opisuję szczegółowo, jak to wuj szedł środkiem ulicy z palcami w dziurkach od kamizelki, albowiem, panowie, jak nieraz mi to powtarzał (a miał zupełną rację!), nie byłoby nic zajmującego w historii, gdyby nie to, że się zaczęła tak zupełnie jakby nigdy nic...

Panowie! Wuj mój szedł z palcami w dziurkach od kamizelki, zajmwszy dla siebie jedną całą ulicę i śpiewając albo długą pieśń, albo krótką strofkę pijacką, albo gdy jedno i drugie zmęczyło go, gwizdząc pod nosem, aż doszedł do North Bridge, gdzie styka się nowa wieża ze starą. Tu przystanął i przez chwilę przyglądał się dziwnym smugom światła, jakie oba te budynki rzucały na siebie. Latarnie paliły się tak wysoko, że wyglądały jak gwiazdy – jedna na murach Zamku, druga na Calton Hill; rzekłbyś, że umieszczono je na zamkach zawieszonych w powietrzu. Stare, malownicze miasto leżało w dole, w cieniu i mroku. Pałaców i kaplicy strzegł w dzień i noc, jak mawiał stary przyjaciel mego wuja, Dwór Artura, czuwając jak dobry, ponury geniusz nad starożytnym miastem. Powiadam, panowie, że wuj zatrzymał się w tym miejscu i rozejrzał się. Następnie pochwaliwszy pogodę, która poprawiła się nieco, chociaż księżyc zaszedł, kroczył dalej majestatycznie jak przedtem. Trzymał się środka ulicy z wielką godnością i miał taką minę, jak gdyby czekał na to, że spotka kogoś, kto ma takie same pretensje jak i on. Niestety, nie było nikogo, kto by zadowolił to marzenie. Szedł więc dalej, z palcami w kamizelce, łagodny jak jagnię.

Doszedłszy do końca Leith Walk, wujek miał już tylko minąć niewielką przestrzeń dzielącą go od wąskiej uliczki, która prowadziła wprost do jego kwatery. Otóż na tej przestrzeni znajdowała się w owych czasach zagroda należąca do pewnego kołodzieja, który miał kontrakt z urzędem pocztowym na skupywanie starych, zużytych dyliżansów. Otóż mój wuj, który bardzo lubił dyliżanse, stare, młode i takie w średnim wieku, postanowił nałożyć drogi tylko po to, by rzucić na nie okiem. Pamiętał, że w zagrodzie stoi ich przynajmniej pół tuzina – wszystkie zresztą w bardzo nędznym stanie. Wuj, panowie, był to entuzjasta, człowiek zapalny. Widząc, że nie może dobrze zajrzeć przez szpary w parkanie, przełazi przez ogrodzenie i usiadłszy sobie na starej osi wozu, oddał się rozmyśleniom nad dyliżansami z miną poważną i skupioną.

Mogło być tych wehikułów z tuzin, a może i o trzy więcej – mój wuj nigdy nie znał dokładnie ich liczby, a że był bardzo skrupulatny, więc wołał o tym nie mówić – stały sobie jeden przy drugim w wielce opłakanym stanie. Drzwiczki odjęto z zawiasów. Obicia zdarte. Zaledwie tu i ówdzie wisiał na gwoździu jakiś nędzny strzęp. Latarnie zabrano, farba spłowiała, żelastwo zardzewiało. Wiatr wył między szparami, a deszcz, który się zbierał na dachu, melancholijnymi kroplami spadał do wnętrza. Były to szkielety umarłych pojazdów i w tym miejscu, o tej porze, miały w sobie coś upiornego.

Wuj oparł głowę na rękach i zaczął myśleć o tych rozmaitych ludziskach, którzy jechali ongi, przed wielu laty, tymi starymi pojazdami stojącymi teraz milcząco i cicho. Myślał o tych wszystkich ludziach, którym te pokierszowane wehikuły przynosiły noc w noc, dzień po dniu, przez wiele lat w pogodę i w słotę, dawno oczekiwane wieści, wyglądane z utęsknieniem posyłki, zapewnienia o zdrowiu i szczęściu, wiadomości o chorobie i śmierci. Kupiec, kochanek, żona, wdowa, matka, student, najmniejsze nawet dziecko – wszyscy biegli na dźwięk trąbki pocztyliona – jakże niecierpliwie wypatrywali przyjazdu starego dyliżansu! Gdzież oni wszyscy?! Co się z nimi wszystkimi stało?!

Panowie! Wuj zapewnia, że wszystko to myślał w owej chwili, ale coś mi się wydaje, że musiał to gdzieś później wyczytać, bo opowiadał wyraźnie, że zapadł jakby w sen, siedząc na owej starej osi zepsutego wozu pocztowego, gdy nagle zbudził go zegar kościelny, który wydzwonił drugą. Otóż myślenie nigdy nie było specjalnością mego wuja i gdyby myślał o tym

wszystkim, co potem opowiadał, to zajęłoby mu to wiele więcej czasu niż do godziny drugiej. Jestem więc zdania, panowie, że wuj wpadł w rodzaj odrętwienia i że w ogóle o niczym nie myślał!

Niech zresztą będzie, jak chce, ale zegar wydzwonił drugą. Wuj przebudził się, przetarł oczy i zerwał się, przerażony.

Gdy tylko zegar wybił drugą, cały ów spokojny i milczący dziedziniec stał się nagle bardzo ożywiony. Drzwiczki znalazły się na zawiasach, obicia na swoim miejscu, żelazne części błyszczały jak nowe, farba odświeżona, latarnie naprawione, na każdym siedzeniu poduszki i oparcia, pocztylioni kładli paczki do pudeł, posługacze lali wodę na nowe koła. Uwijało się tu mnóstwo ludzi, przymocowując dyszle do każdego wozu. Pasażerowie nadchodzili, oddawali swoje walizki; przyprowadzano konie. Słowem, jasne było, że lada chwila wozy ruszą w drogę. Panowie! Wuj otwierał na ten widok oczy tak szeroko, że do końca życia nie mógł się dość nadziwić, iż udało mu się je później zamknąć!

– No! – odezwał się jakiś głos i ktoś dotknął ramienia wuja. – Kupił pan bilet! Radzę zająć miejsce!

– Ja kupiłem?! – mówi wuj i ogląda się zdumiony.

– Naturalnie!

Wuj, panowie, nie mógł wymówić słowa – taki był tym zdziwiony! Najśmieszniejsze ze wszystkiego było to, że chociaż zebrało się tylu ludzi i chociaż co chwila pokazywali się inni, nie mówili, skąd się wzięli. Zdawało się, że w jakiś niewytłumaczony sposób zjawiają się z powietrza czy z ziemi i znikają tak samo tajemniczo. Kiedy portier włożył do karety bagaż i otrzymał zapłatę, odchodził. Ale zanim wujek obejrzał się, już skądś zjawiało się całe mnóstwo innych, niosących tak ciężkie tłumoki, że się pod nimi uginali. Strój pasażerów był jakiś dziwaczny! Szerokie, wielkie płaszcze z bufiastymi rękawami, bez kołnierzy. I peruki, panowie, peruki z warkoczami! Wuj mój nie mógł nic z tego zrozumieć.

– Wsiada pan czy pan nie wsiada? – spytała osobistość, która przedtem odezwała się do mego wujka. Ubrana była jak pocztylion, w olbrzymiej peruce, w płaszczu z bufiastymi rękawami; w jednej ręce trzymała latarkę, w drugiej pistolet, który przytykała do piersi. – Wsiadasz czy nie wsiadasz, Jack Martin? – dodała, świecąc memu wujkowi w twarz.

– Halo! – zawołał wujek cofając się. – To trochę zbyt bezceremonialnie!

– Tak jest w spisie pasażerów! – zimno odpowiedział pocztylion.

– A czy nie ma tam małego słówka *pan*? – mówił wuj, bo czuł, panowie, że gdyby pocztylion wiedział, z kim ma do czynienia, to nie opuściłby *pan*.

– Nie, nie ma żadnego *pan*!

– Przejazd opłacony? – pyta wuj.

– Naturalnie! – mówi tamten.

– Opłacony? opłacony? – powtarza wuj. – No, to nie ma rady! Który dyliżans?

– Ten! – powiada pocztylion i pokazuje stary dyliżans Londyn-Edynburg, w którym już spuszczone stopnie i otworzone drzwiczki. – Czeka pan! Są jeszcze inni pasażerowie! Nie pchaj się pan pierwszy!

Ledwie to powiedział, oczom mego wuja ukazał się młody człowiek w pudrowanej peruce i błękitnej kurtce szamerowanej srebrem, z szerokimi połami. Wujek, panowie, znał się na materiałach, ponieważ Tiggin i Welps pracowali przy drukowanych perkalikach. Człowiek ten miał krótkie pantalone i rodzaj sztylpów na jedwabnych pończochach i nosił buty ze sprzączkami. Mankiety miał wykończone kryzą, na głowie trójgraniasty kapelusz, a przy boku szpadę. Poły ubrania wisiały mu do kolan, a końce krawata opadały mu do pasa. Podszedł poważnie do drzwiczek dyliżansu, zdjął kapelusz i trzymał go jakiś czas nad głową na wysokości ramienia; wysunął przy tym mały palec u prawej ręki, jak to czasami czynią wytwornisie pewnego gatunku trzymając filiżankę herbaty. Potem zsunął obie nogi, uklonił się bardzo nisko i dopiero wtedy nałożył kapelusz. Wuj miał właśnie zamiar wystąpić naprzód, lecz bar-

dzo był poruszony, gdy zauważył, że te atencje skierowane są nie do niego, ale do młodej damy, która w tej chwili właśnie pokazała się na stopniu. Ubrana była w niemodną, uszytą z zielonego aksamitu suknię z długim gorsecikiem. Nie miała na głowie kapelusza, panowie, tylko czarny jedwabny kapturek, ale nim wsiadła do dyliżansu, obejrzała się dokoła, pokazawszy przy tym tak piękną twarz, jakiej mój wuj nigdy przedtem nie widział – nawet na obrazkach! Weszła do dyliżansu, jedną ręką podtrzymując suknię. I jak opowiadał zawsze mój wujek (przy czym nie omieszkął nigdy zaklinać się, że mówi prawdę), nie uwierzyłby nigdy, że mogą istnieć równej piękności nogi i ręce, gdyby nie patrzył na nie własnymi oczyma!

Ale spojrzawszy na młodą damę wuj zauważył, że patrzy na niego błagalnie i że wydaje się zastraszona i przerażona. Zauważył również, że młodzian w pudrowanej peruce, aczkolwiek bardzo uprzejmy i ugrzeczniiony, objął ją wpół przy wsiadaniu i wsiadł zaraz po niej. Przyłączył się do nich jakiś podejrzanego wyglądu jegomość w brązowej peruce i jaskrawym ubraniu, z wielką szpadą i w wysokich butach. Usiadł on obok młodej damy, która wtuliła się w kąty dyliżansu; wujek od razu zmiarkował, że to jakaś ciemna historia, że coś się święci, jak zwykł był mawiać w takich okolicznościach! W jednej chwili zdecydował się przyjść z pomocą młodej damie, gdyby potrzebowała pomocy.

– Śmierć i błyskawice! – zawołał młody gentleman i dotknął ręką szpady, gdy mój wujek wsiadł do dyliżansu.

– Krew i pioruny! – ryknął drugi gentleman. To mówiąc wyciąga szpadę i bez dalszych ceremonii napada na wuja. Wuj nie miał przy sobie broni, ale bardzo zręcznie zerwał gentlemanowi jego trójgraniasty kapelusz i nastawił go tak, że szpada przedziurawiła go w samym środku. Wtedy ścisnął ją pomiędzy brzegami kapelusza i czeka.

– Dźgnij go z tyłu! – zawołał podejrzanego jegomość do towarzysza, usiłując wyrwać wujkowi swoją szpadę.

– Nie radzę! – zawołał wuj, pokazując koniec buta gestem bardzo groźnym. – Wytrzęsę mu ze łba mózg, jeżeli go ma, albo przetnę skórę, jeżeli mózgu nie ma! – Tu wuj natężywszy się wyrwał gentlemanowi z rąk szpadę i wyrzucił ją przez okno. Na co młodszy z jegomościów znów zawołał: – Śmierć i błyskawice! – i groźnie położył rękę na szpadzie, ale jej nie wyciągnął. Może, jak z uśmiechem mawiał wuj, może bał się przestraszyć młodą damę!

– Moi panowie! – powiada wuj, siadając swobodnie. – Nie życzę tu sobie żadnej śmierci, z błyskawicami czy bez błyskawic, zwłaszcza w towarzystwie damy, a co do piorunów i krwi, mieliście tego dość jak na jeden dzień! Więc, panowie, proszę zająć swoje miejsca i jazda! Hej tam, posługacz! Proszę podnieść scyzoryk gentlemana!

Zaledwie wuj to powiedział, w oknie dyliżansu ukazał się pocztylion ze szpadą gentlemana w ręku. Podniósł latarkę i poważnie spojrzał w twarz wujkowi, a wuj, ku swemu zdumieniu, przekonał się, że za oknem kręci się całe mnóstwo pocztylionów i każdy badawczo patrzy na niego. Nigdy w życiu nie widział takiego morza bladych twarzy, czerwonych ciał i badawczych oczu, jak w ów dzień!

„Najdziwniejsza rzecz, jaka mi się kiedykolwiek zdarzyła!” – myśli wuj.

– Pozwoli pan, że mu zwrócę kapelusz?

Podejrzanego jegomość w milczeniu odebrał swój trójgraniasty kapelusz, spojrzał na dziurę z zajęciem i cisnął go wreszcie na czubek peruki z godnością, której efekt osłabił ponurym mruknięciem i zdjęciem po chwili owego nakrycia głowy.

– W porządku! – zawołał pocztylion i ruszyli z miejsca. Wuj wyjrzał oknem, gdy wyjeżdżali z dziedzińca, i zobaczył, że wszystkie inne dyliżanse jeżdżą sobie w kółko po dziedzińcu z niewielką szybkością, bo jakie pięć mil na godzinę. Strasznie to oburzyło mego wujka, panowie! Jako człowiek interesu uważał, że karetki pocztowe nie są na to, by się nimi bawić, i postanowił napisać skargę do urzędu pocztowego, jak tylko wróci do Londynu!

Ale w owej chwili myśli jego były zupełnie zajęte młodą damą, która siedziała w kącie dyliżansu, z głową wtuloną w kapturek płaszcza. Gentleman w błękitnym ubraniu siedział na-

przeciw niej. Gentleman w jaskrawym ubraniu obok niej. Obaj nie spuszczała z niej oka. Jeżeli odważyła się choćby poruszyć fałdy kapturka, podejrzany jegomość natychmiast uderzał się po rękojeści szpady, a wujek odgadywał z jego gniewnego mrużenia (nie mógł go widzieć, bo było ciemno), że gotów damę połknąć jak nic. To coraz więcej gniewało mego wujka, więc postanowił, żeby tam nie wiedzieć co, położy temu kres. Wuj uwielbiał bowiem piękne oczy, ładne twarzyczki, zgrabne nóżki i małe stopy. Słowem – kochał tę płeć! To już rodzinne, panie! Ja – również!

Liczne były sposoby, którymi wujek starał się zwrócić uwagę damy albo wciągnąć tajemniczych jegomościów w rozmowę. Wszystko na próżno! Gentlemani nie chcieli mówić, dama nie śmiała! Co pewien czas wujek wychylał się oknem, by zobaczyć, dlaczego tak wolno ją da. Wołał, aż ochrypl w końcu – nikt mu nie odpowiadał! Więc oparł się o poręcz i myślał o cudnej twarzy i drobnych stopach. To właśnie było najlepsze! Czas biegł niepostrzeżenie i wuj nie głowił się już, dokąd jedzie i w jaki sposób dostał się w podobną sytuację. Nie dlatego, żeby go to martwiło – nie! Wuj był na wszystko gotowy, odważny gentleman, co się i samego diabła nie ulęknie!

Nagle dyliżans stanął.

– Halo! – zawołał wuj. – Co się, u diabła, stało?

– Wszyscy wysiadać! – woła pocztillion.

– Wysiadać? Tutaj? – pyta wuj.

– Tutaj! – odpowiada pocztillion.

– Ani mi się śni! – woła wuj.

– Doskonale! Więc zostań pan, gdzie jesteś! – odpowiada pocztillion.

– Zostanę! – mówi wujek.

– Zostań! – mówi pocztillion.

Inni pasażerowie przysłuchiwali się tej rozmowie z wielką ciekawością, a widząc, że wujek postanowił zostać, młody gentleman wysiadł i podał rękę damie. Podejrzany jegomość obejrzał uważnie dziurę w swoim trójgraniastym kapeluszu. Przechodząc obok wujka młoda dama upuściła mu na kolana jedną z rękawiczek i szepnęła ledwo dosłyszalnym głosem: – Pomocy! – Panowie! Wuj z takim pośpiechem wyskoczył z dyliżansu, że aż stopnie trzasnęły!

– Namyslił się pan? – zapytał pocztillion, widząc wuja. Wuj spojrział na niego. Przez chwilę przyszło mu na myśl, czy nie dobrze by było wyrwać pocztillionowi pistolet z łapy, wypalić w twarz jegomościowi z wielkim mieczem, zdzielić resztę towarzystwa pałką po łbie i uciec z młodą damą. W następnej chwili jednak wyrzekł się tego planu uważając, że jest zbyt melodramatyczny w wykonaniu, i poszedł za dwoma tajemniczymi jegomościami, którzy mając między sobą młodą damę, weszli do wielkiego domu stojącego przed nimi. Weszli na korytarz, wuj za nimi.

Wuj mówi, że ze wszystkich zrujnowanych i opuszczonych miejsc, jakie kiedykolwiek widział, to wydało mu się najbardziej opuszczone. Dom wyglądał tak, jakby kiedyś był wielkim zajazdem. Ale dach zapadł się w wielu miejscach, schody były zmurzałe, pokieraszowane, połamane. W ostatnim pokoju, do którego weszli, było palenisko i kominek czarny od dymu. Ale wesoły płomień nie ogrzewał go w tej chwili! W palenisku leżało nieco białego popiołu ze spalonych polan, ale wewnątrz kominka było zimne, ciemne.

– No – powiada wuj, obejrzawszy się. – Dyliżans, który wlecze się z szybkością sześciu mil na godzinę, a potem wybiera postój w takim miejscu – to nieczysta sprawa! Musimy zawiadomić kogo należy! Podam to do gazet!

Wuj powiedział to głośno, chcąc w ten sposób zmusić tajemniczych gentlemanów do rozmowy. Ale żaden z nich nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi, szepotali coś do siebie i krzywili się, patrząc na niego. Dama znajdowała się w drugim końcu pokoju i wujek miał wrażenie, że kiwa na niego rączką – jak gdyby prosząc o pomoc.

Wreszcie obaj nieznajomi zbliżyli się nieco i rozmowa się nawiązała.

– Nie wiesz, zdaje się, mój pocziwczu, że to prywatny pokój? – powiada jegomość w błękitnym ubraniu.

– Nie, nie wiedziałem, mój pocziwczu! – mówi wuj. – Ale jeżeli ma to być prywatny pokój, to jakże miły i zaciszny musi być ogólny! – To mówiąc wuj siada na krześle z wysoką poręczą i patrzy na gentlemana z taką miną, że tylko za nią Tiggin i Welps powinni mu byli dać materii na ubranie – i to dokładnie tyle, ile potrzeba, ani cała mniej.

– Wyjdź pan z tego pokoju! – wołają obaj gentlemani i chwytają za szpady.

– Co takiego? – pyta wuj udając, że nie rozumie – o co chodzi?

– Opuść pan pokój albo jesteś trup! – mówi podejrzany jegomość, wyjmując swoją wielką szpadę i wywijając nią w powietrzu.

– Skończyć z nim! Skończyć z nim! – woła jegomość w błękitnym ubraniu i odskakuje kilka kroków. – Skończyć z nim! – Dama wydała lekki okrzyk.

Otóż, panowie, wuj zawsze odznaczał się zimną krwią i przytomnością umysłu. Przez cały czas, gdy tamci mu grozili, wuj stał z obojętną miną i oglądał się za jakąś bronią albo innym środkiem obrony i w chwili kiedy tamci wyciągnęli szpady, wuj zauważył koło kominka stary rapier w zardzewiałej pochwie. Jednym susem wuj znalazł się koło kominka, złapał rapier, wyjął go z pochwy, machnął tego nad głową, krzyknął na damę, żeby mu nie wchodziła w drogę, rzucił krzesło w łeb temu w błękitnym ubraniu, a pochwę w tego w jaskrawym ubraniu i korzystając z ich konsternacji, runął na nich na chybił trafił.

Panowie! Znacie starą historię o młodym Irlandczyku, który, gdy go zapytano, czy umie grać na skrzypcach, odpowiedział, że pewnie, ale nie na pewno, bo nigdy jeszcze nie miał skrzypiec w ręku? Można to zastosować do mego wuja i jego szermierczych zdolności. Nigdy przedtem nie miał w ręce szpady, z wyjątkiem jednego razu, kiedy grał Ryszarda III w teatrze amatorskim, ale i przy tej okazji umówił się z Richmondem, że się schowa za kulisy i nie będzie go wcale widać! Ale teraz musiał wuj walczyć z dwoma doświadczonymi szermierzami! Napierać, odierać, atakować, bronić się i umykać, zręcznie i umiejętnie, chociaż do tej chwili nigdy tego nie robił! Najlepszy to dowód, ile jest prawdy w starym przysłowiu, że człowiek nigdy nie wie, co potrafi, nim spróbuje!

Walka była strasznie hałaśliwa! Kombatanci klęli jak kawalerzyści, a szpady ich robiły tyle hałasu, co wszystkie noże na rynku Newport, gdyby nimi uderzać o siebie! Kiedy walka doszła do największego napięcia, dama (prawdopodobnie dlatego, żeby dodać odwagi memu wujkowi) zrzuciła kapturek z głowy i ukazała oblicze tak cudnej piękności, że wuj gotów był walczyć z pięćdziesięcioma wrogami, byle zdobyć jej uśmiech i umrzeć dla niego! I przedtem już dokazywał cudów, ale gdy zobaczył jej twarzyczkę, walczył jak oszalały olbrzym.

W tej samej chwili młodzieniec w błękitnym ubraniu odwrócił się, a zobaczywszy, że młoda dama ma odkrytą twarz, wydał okrzyk zazdrości i gniewu, zadał jej cios w samo serce, na co mój wuj krzyknął tak, że aż cały budynek zadrżał! Dama odskoczyła lekko i schwyciwszy koniec szpady błękitnego, zanim zdążył odzyskać równowagę, pchnęła go na ścianę i odwróciwszy szpadę przygwoździła nią błękitnego mocno i na fest. Był to wspaniały przykład dla wuja! Wuj krzyknął z triumfem, zmusił swego przeciwnika, by skoczył w tym samym kierunku, i wpakowawszy stary rapier w sam środek wielkiej róży na kamizelce gentlemiana, przygwoździł go obok jego towarzysza! Stali tak sobie, moi panowie, machając rękoma i nogami, jak owe figurki poruszane sznurkiem! Mój wuj często powtarzał później, że to najpewniejszy sposób pozbycia się nieprzyjaciela! Ale i kosztowny, bo się traci jedną szpadę na każdego draba!

– Konie! Konie! – wołała dama biegnąc do mego wujka i zarzucając mu swoje wspaniałe ramiona na szyję. – Uciekajmy! Może jeszcze uda nam się uciec!

– Może? – pyta wuj. – Czy jeszcze jest kto do zabicia, ślicznotko? – Wujek nie był z tego bardzo zadowolony, bo uważał, że po takiej walce przydałoby się trochę gruchania we dwoje.

– Nie mamy chwili do stracenia! – mówi ona. – „On” (tu pokazuje na tego w błękitnym) jest jedynym synem potężnego markiza Filletoville'a!

– Obawiam się, kochanie, że nigdy nie odziedziczy tytułu po ojcu – powiada wuj, patrząc zimno na młodego gentlemana, który stał przy ścianie w wyżej opisanej pozie. – Zabiłaś dziedzica, najdroższa!

– Ci łajdacy pozbawili mnie domu i przyjaciół! – wołała młoda dama, a twarz jej oblał rumieniec oburzenia. – Ten łajdak miał mnie poślubić wbrew mojej woli!

– Przeklęta niech będzie jego podłość! – zawołał, patrząc z pogardą na dziedzica Filletoville'a.

– Jak pan mógł domyślić się z tego, co pan widział – ciągnęła dama – gotowi byli mnie zabić, gdybym zawołała o pomoc! Jeżeli ich wspólnicy odkryją nas tutaj, przepadliśmy! Za dwie minuty może być za późno! Konie! – z tymi słowami, wzruszona przecuciem tego, co się stać może, i wycieńczona zabiciem młodego markiza Filletoville'a zemdłała i padła w ramiona mego wujka. Wuj porwał ją na ręce i wyniósł przed dom. Dylizans stał przed gankiem zaprzężony w cztery długoogoniaste, kare, dobrze spասione konie.

Panowie! Przypuszczam, że nie uwłaczam pamięci mego wuja twierdząc, że chociaż był kawalerem, nieraz już trzymał w objęciach niewiastę. Mam nawet podejrzenie, że chętnie całował kelnerki. Złapano go nawet raz czy dwa, jak ścisnął gospodynię w bardzo niedwuznaczny sposób. Wspominam te okoliczności, by zaznaczyć, że musiała to być niezwykła dama, skoro tak podziałała na mego wuja. Mówił, że kiedy wróciła do przytomności i spojrzała na niego swymi wielkimi, czarnymi oczyma, a długie jej włosy muskały jego ramię, zrobiło mu się tak dziwnie, że aż nogi ugięły się pod nim. Ale któż potrafi patrzeć obojętnie w piękne czarne oczy? Ja nie, panowie! Boję się patrzeć w pewne znane mi oczy! Wiem, co to znaczy!

– Nie opuścisz mnie nigdy? – szepnęła młoda dama.

– Nigdy! – odrzekł wuj. I mówił szczerze.

– Mój drogi obrońco! – zawołała dama. – Drogi, kochany, dzielny obrońco!

– Ach, nie mów, pani! – zawołał wuj.

– Dlaczego? – pyta ona.

– Bo usta twoje są tak piękne, gdy mówisz, że obawiam się, iż będę brutalny i pocałuję cię!

Młoda dama podniosła rękę, jak gdyby chciała zagrozić wujkowi, by tego nie robił, i powiedziała – nie, nic nie powiedziała, tylko się uśmiechnęła. Kiedy patrzysz na najcudniejsze wargi na świecie i widzisz, jak się uśmiechają – jeżeli jesteś pochylony tuż nad nimi i nikt nie patrzy – nie możesz wyrazić swego zachwytu nad ich barwą i kształtem, nie pocałowawszy choćby jeden raz! Wujek mój uczynił to i szanuję go za to!

– Co? – zawołała młoda dama, przerażona. – Turkot kół i rzenie koni?

– Tak – powiada wuj. Dobre miał ucho na turkot kół i stuk kopyt końskich. Ale miał wrażenie, że tyle koni i kół zbliża się z daleka, iż niepodobna było określić ich ilości.

– Gonią nas! – zawołała młoda dama, składając ręce. – Gonią nas! Cała moja nadzieja w panu!

Tyle było strachu w jej cudnej twarzy, że mój wuj zdecydował się w jednej chwili. Wsadził damę do karety, prosił, by się nic nie bała, raz jeszcze przycisnął usta do jej warg i poradziwszy, by zamknęła okna, bo zimno, wskoczył na kozioł.

– Czekaj, ukochany! – zawołała młoda dama.

– Co się stało? – pyta wuj już z kozła.

– Chciałam z tobą pomówić! Tylko jedno słowo! Jedno słowo, najdroższy!

– Mam zejść? – pyta wuj. Dama nie odpowiada, tylko się uśmiecha. Wuj w jednej chwili był już przy niej.

– Co się stało, kochanie? – pyta wuj, zaglądając przez okno karety. Dama pochyliła się w tej samej chwili i wujek stwierdził, że jest jeszcze piękniejsza! Stał przy niej bliźniutko, panowie, więc musiał dokładnie widzieć!

– Co się stało, ukochana? – pyta wujek.

– Nie będziesz nikogo kochał poza mną? – pyta ona – Nigdy się z nikim nie ożenisz?

Wujek przysiągł uroczyście, że się nigdy nie ożeni, a wtedy cofnęła główkę i zamknęła okno. Wskoczył na kozioł, rozstawił łokcie, wziął lejce, schwycił za bat, który leżał na dachu, i pomknął poganiając cztery dzielne, długoogoniaste kare rumaki z szybkością pięćdziesięciu mil angielskich na godzinę! A stary dyliżans sunął za nim... Aż się kurzyło!

Hałas za nimi wzrastał się. Im prędzej pędził stary dyliżans, tym prędzej pędziła pogoń. Hałas był piekielny, ale wszystko zagłuszał krzyk młodej damy: – Prędzej, prędzej!

Mknęli obok ciemnych drzew, jak pióra gnane przez wiatr! Domy, bramy, kościoły, rozmaitego rodzaju inne przedmioty mijali z hałasem i turkotem. Ale pogoń zbliżała się coraz bardziej, a młoda dama coraz głośniej krzyczała: – Prędzej! Prędzej! – Tu mój wuj uderzył mocno butem – i przekonał się, że jest już świt, a on siedzi na starym kole edynburskiego dyliżansu, mokry i zziębnięty, i uderza nogami, żeby się rozgrzać! Zsiada i ogląda się za piękną damą! Niestety! Dyliżans nie miał ani drzwi, ani siedzenia... Stare pudło, i tyle!

Oczywiście, wuj wiedział, że to jakaś tajemnicza historia i że wszystko odbyło się tak, jak pamiętał. Zdębiał przypomniawszy sobie przysięgę złożoną pięknej damie: z tego powodu odmówił kilku zamożnym gospodyniom i umarł jako kawaler. Zawsze powtarzał: co to za dziwna rzecz, że w taki prosty sposób (po prostu dlatego, że przelazł przez płot!) dowiedział się, iż duchy karek, stangretów i pasażerów odbywają co noc takie cudaczne podróże! Dodał przy tym, że pewnie jest jedynym żyjącym człowiekiem, który brał udział w tych niesamowitych ekskursjach! Myślę, że miał słuszość, panowie! Przynajmniej ja nie słyszałem o żadnym innym!

– Ciekaw jestem, co takie duchy karek pocztowych mogą wozić w kufrach? – zapytał gospodarz, który wysłuchał wszystkiego z wielkim zajęciem.

– Listy umarłych, oczywiście! – odparł komiwojazer.

– Prawda! Naturalnie! – odrzekł gospodarz. – Że też mi to nie przyszło do głowy!

Rozdział dwudziesty pierwszy

Jak pan Pickwick wywiązał się ze swej misji i jak znalazł sprzymierzeńca

Konie stały się nazajutrz punktualnie kwadrans przed dziewiątą. Pan Pickwick zajął miejsce wewnątrz powozu. Sam usiadł w tyle, na zewnątrz, po czym pocztylionowi polecono udać się do mieszkania pana Boba Sawyera, by zabrać Bena Allena.

Gdy zajechano przed drzwi z czerwoną latarnią, gdzie widniał napis: „Sawyer; niegdyś Nockemorff”, pan Pickwick wysunął głowę i ze zdziwieniem ujrzał, iż mały chłopak w szarej liberii zamyka okiennice. O tak wczesnej godzinie było to rzeczą niezwykłą i nie odpowiadającą naturze zajęcia pana Sawyera, filozof powziął więc natychmiast dwa przypuszczenia: albo umarł jakiś dobry przyjaciel lub pacjent pana Boba, albo też pan Bob ogłosił niewypłacalność.

– Co się stało? – zapytał pan Pickwick chłopca.

– Nic, panie – odrzekł zapytany, rozdziawiając w uśmiechu gębę od ucha do ucha.

– Wszystko dobrze! – zawołał Bob, ukazując się nagle na progu z małą, brudną, skórzaną torbą podróżną w ręce oraz z grubym płaszczem i szalem przewieszonym przez ramię. – Jąde z wami.

– Pan? – zawołał pan Pickwick.

– Tak! Będzie to po prostu wyprawa. Hej, Samie! Uważaj!

Zaapelowawszy w ten sposób do uwagi Sama, którego twarz wyrażała wielkie zdumienie z powodu takiego stanowczego postępowania, Bob rzucił mu swą torbę, którą pan Weller umieścił pod siedzeniem. Po dokonaniu tego Bob, przy pomocy chłopca, wlaźł przemocą w nieco ciasny płaszcz i wsunawszy następnie głowę do powozu, zaczął się głośno śmiać.

– Doskonały żart! – zawołał, ocierając sobie połą płaszcza łzy.

– Ależ, kochany panie – odrzekł pan Pickwick z pewnym zakłopotaniem – nie spodziewałem się, że będzie pan nam towarzyszył.

– W tym właśnie cała sztuka! – odparł pan Sawyer. – No, i cały żart!

– A! To żart? – zapytał pan Pickwick.

– Rozumie się. Rzecz w tym, że pozostawiam mój interes, by sam siebie wydobyl z kłopotu, kiedy nie chciał wydobyć mnie.

Objasniwszy w taki sposób fenomen zamykania okiennic, pan Sawyer wskazał na aptekę i znowu zaczął się śmiać.

– Jak to? Więc pozostawia pan swoich chorych, nie oddawszy ich wprzód pod opiekę innego lekarza? – zawołał pan Pickwick poważnym tonem.

– Dlaczegoż by nie? – odrzekł Bob. – Jeszcze oszczędzam na tym, bo ani jeden mi nie płaci. A przy tym – dodał zniżając głos do poufnego szeptu – i chorzy na tym także skorzystają, bo prawie nie mam lekarstw, a nie mogąc ich teraz kupić, byłbym zmuszony dawać wszystkim kalomel – co by niejednemu nie wyszło na dobre. A tak wszystkim będzie lepiej.

W odpowiedzi tej była logika i filozofia, jakiej pan Pickwick nie spodziewał się. Pan Pickwick odetchnął tylko głębiej, a potem powiedział, ale już nie tak stanowczo:

– Ależ ten powóz, kochany panie, może pomieścić tylko dwie osoby, a przyrzekałem już zabrać pana Allena.

– Niech się pan o mnie nie troszczy; już o tym pomyślałem... Usiądę z Samem za powozem. Popatrz pan: ten napis umieszczę na drzwiach sklepu: „Sawyer, dawniej Nockemorf. Zgłosić się naprzeciwko, do pani Cripps”. Pani Cripps – to matka tego małego chłopaka. „Bardzo mi przykro – powie pani Cripps – ale musiał wyjechać – wezwano go dziś rano na konsylium z najświetniejszymi chirurgami – nie mogli sobie dać rady bez niego – okropna operacja”. Otóż spodziewam się – dodał w końcu Bob – że doskonale mi to zrobi. Jeśli wiadomość o tym dostanie się do miejscowych dzienników, stanę się wziętym lekarzem. Ale oto i Ben! No! Siadajmy!

Po tej szybko wypowiedzianej przemowie. Bob wepchnął swego przyjaciela do powozu, odsunął na bok pocztyliona, zamknął drzwiczki, podniósł stopień, nakleił napis na drzwiach, zamknął je, schował klucz, potem wskoczył na tylne siedzenie obok Sama i dał pocztylionowi sygnał do odjazdu; wszystko to uczynił z taką szybkością, że zanim pan Pickwick mógł się ostatecznie zdecydować, czy ma z sobą wziąć Boba, czy nie, powóz toczył się już na dobre; w ten sposób pan Bob Sawyer został formalnym członkiem jadącego towarzystwa.

Dopóki powóz posuwał się ulicami Bristolu, wesoły Bob miał na nosie swe zielone okulary i zachowywał odpowiednią powagę, poprzestając na szeptaniu jakichś dowcipów do wyłącznego użytku i radości Sama. Ale jak tylko wyjechano na gościniec, pozbył się od razu i okularów, i zawodowej powagi i zaczął wyrabiać rozmaite figle, tak że aż zwrócił uwagę przechodniów, a powóz wraz z jego zawartością uczynił przedmiotem więcej niż powszechnej ciekawości. Najniewinniejszym i najmniej hałaśliwym z tych figlów było przeraźliwe naśladowanie trąbki pocztowej i rozpostarcie karmazynowej chustki przywiązanej do końca laski na kształt sztandaru, którym powiewał z różnymi gestami – wręcz zaczepnymi albo świadczącymi o pewności siebie.

– Nie rozumiem – rzekł pan Pickwick, przerywając poważną rozmowę z Benem Allenem o przymiotach pana Winkle'a i pani Arabelli – nie rozumiem, co wszyscy przechodzący widzą w nas tak nadzwyczajnego, iż się tak oglądają.

– Może im się podoba ten piękny powóz – odrzekł Ben z pewną dumą – nie zawsze można widzieć taki ekwipaż.

– I to być może – powiedział pan Pickwick, udobruchany tym przypuszczeniem, ale zobaczywszy przez okno, że spojrzenia przechodzących bynajmniej nie wyrażają zdumienia połączonego z szacunkiem i że przechodnie wymieniają rozmaite znaki porozumiewawcze z podróżnymi siedzącymi zewnątrz powozu, pan Pickwick począł sobie uświadamiać, iż demonstracje te mogą mieć jakiś daleki związek z jowialnym humorem Boba Sawyera.

– W każdym razie, spodziewam się – rzekł filozof – że nasz żartobliwy przyjaciel nie spełnia tam żadnej niedorzeczności.

– O, nie! – odrzekł Ben Allen. – Bob to najspokojniejsza w świecie istota, o ile nie wypił trochę za dużo.

W tej chwili usłyszano przydługie naśladowanie trąbki, po którym bezzwłocznie nastąpiły wesołe okrzyki i długie wycie, widocznie wychodzące z gardła i piersi „najspokojniejszej w świecie istoty”, a mówiąc wyraźniej – pana Boba Sawyera. Pan Pickwick i Ben zamienili wiele mówiące spojrzenia i pierwszy z nich zdjął kapelusz i wychylił się połową ciała przez okno, co w końcu pozwoliło mu dojrzeć żartobliwego swego przyjaciela.

Pan Bob Sawyer siedział nie z tyłu, ale na dachu powozu, z nogami rozkraczonymi tak, jak mu to pozwalała jego własna wygodność; na głowie miał kapelusz Sama włożony na bakier, w jednej ręce trzymał ogromny kawał chleba z masłem, a w drugiej ogromną plecioną butelkę i z głębokim zadowoleniem przemawiał to do jednego, to do drugiego, raz po raz przerywając monotoność tych czułości okrzykami i wrzaskami oraz wymianą krótkich, ale soczystych słów z pierwszymi lepszymi przechodniami. Karmazynowy sztandar przymocowany był bar-

dzo pieczołowicie do oparcia, a pan Sam Weller siedział zdobny w kapelusz Boba i ciężko pracował nad drugim kawałkiem chleba z masłem, ale czynił to z tak pogodnym obliczem, że wyczytać z niego było można całkowite i pełne uznanie dla tego niezwykłego postępowania.

I tego wystarczyłoby, żeby zirytować człowieka o takim poczuciu przyzwoitości jak pan Pickwick, ale nie na tym miały się skończyć jego udręki, w tej bowiem chwili minął ich dyliżans pocztowy pełen pasażerów wewnątrz i zewnątrz i ci pasażerowie wyraźnie demonstrowali swoje najwyższe zdumienie. Równie niemiłe były pozdrowienia pewnej rodziny irlandzkiej, która szła równo z powozem i przez cały czas żebrała. Nieprzyjemne zwłaszcza było zachowanie się głowy owej rodziny, który wziął wyczyny Boba za rodzaj politycznej czy triumfalnej manifestacji.

– Panie Sawyer! – krzyknął pan Pickwick mocno urażony – panie Sawyer!

– A co! – odpowiedział miły chłopiec, pochylając się ku jednej stronie powozu z największym spokojem.

– Czyś pan oszalał?

– Wcale nie, jestem tylko wesoły.

– Wesoły! Zdejm mi pan natychmiast tę skandaliczną czerwoną chustkę! Stanowczo żądam tego. Samie! Odbierz mu ją!

Nim Sam zdobył się na ten krok. Bob Sawyer dobrowolnie spuścił sztandar, umieścił go w kieszeni, przyjacielsko skinął głową panu Pickwickowi, otarł otwór flaszki i przyłożył ją do ust, dając w ten sposób, bez uciekania się do niepotrzebnej przemowy, do zrozumienia panu Pickwickowi, że tym toastem życzy mu zdrowia i wszelkiej pomyślności. Wykonawszy to Bob zatknął starannie korek, spojrzął na pana Pickwicka z wielką przyjaźnią i począł zajadać chleb z masłem oraz uśmiechać się.

– No, panie! – zawołał filozof, którego chwilowy gniew nie mógł sprostać niewzruszonemu spokojowi Boba – nie rób pan takich niedorzeczności.

– Nie, nie – odrzekł uczeń Eskulapa, zamieniając kapelusze z Samem – robiłem to nie w złej myśli, ale podróż tak mię ożywiła, iż nie mogłem się powstrzymać.

– Pomyśl pan, co ludzie powiedzą na to – mówił dalej pan Pickwick przekonującym tonem. – Miejże pan wzgląd na przyzwoitość!

– O, rozumie się – odrzekł Bob. – Nic już więcej nie zrobię i będę spokojny, drogi panie!

Poprzestając na tym zapewnieniu pan Pickwick cofnął się w głąb powozu i opuścił okno. Ale zaledwie rozpoczął na nowo przerwana rozmowę, gdy go do pewnego stopnia przestraszyło pojawienie się jakiegoś nieprzejrzystego ciała o podłużnej postaci po drugiej stronie okna; ciało to wielokrotnie uderzało w szybę, jakby prosiło o wpuszczenie.

– A to co znowu? – zawołał pan Pickwick.

– To coś podobnego do flaszki – odrzekł Ben Allen, przypatrując się temu przedmiotowi z wielkim zajęciem przez okulary. – To, zdaje się, własność Boba.

Było to przypuszczenie zupełnie trafne, gdyż Bob Sawyer, przywiązawszy butelkę do końca laski, pukał nią w okno wzywając w ten sposób swych przyjaciół, by na znak niewzruszonej przyjaźni i pełnej między nimi harmonii zechcieli zbadać jej wnętrze.

– Co tu robić? – zapytał pan Pickwick – jest to pomysł jeszcze niedorzeczniejszy niż poprzedni.

– Sądzę, że najlepiej będzie, gdy weźmiemy flaszkę i zatrzymamy u siebie – rzekł Ben. – Zasłużył na to, by mu splatać takiego figla.

Ponieważ pan Pickwick w zupełności podzielał tę opinię, powoli więc opuścił okno, odwiązał butelkę od laski, do której była przywiązana, po czym laska została cofnięta do góry. W tej chwili usłyszano serdeczny śmiech Boba.

– Co to za wesoły chłopiec – rzekł pan Pickwick, oglądając flaszkę znajdującą się w rękach towarzysza podróży.

– O! Bardzo wesoły! – odpowiedział Ben.

– Nie można się długo gniewać na niego – zauważył pan Pickwick.
– Nie, nie można.
Podczas tej krótkiej wymiany zdań pan Pickwick w roztargnieniu odkorkował butelkę.
– Co to jest? – zapytał obojętnie pan Allen.
– Sam nie wiem – odpowiedział z równą obojętnością pan Pickwick. – Ale zdaje mi się, że to pachnie ponczem.
– Czy tak? – rzekł Ben.
– Przynajmniej tak mi się zdaje – powiedział pan Pickwick, który zawsze bronił się przed możliwością powiedzenia nieprawdy. – Dopóki nie spróbowałem, z całą pewnością nie mogę tego twierdzić.
– To niech pan spróbuje – rzekł Ben. – W ten sposób przekonamy się, o co właściwie chodzi.
– Tak pan sądzi! Ha! Jeżeli pan życzy sobie tego, to nie mam nic przeciwko temu.
Zawsze gotów czynić zadość pragnieniom swych przyjaciół, pan Pickwick dość długo próbował zawartość flaszki, aż wreszcie pan Allen zapytał go trochę niecierpliwie:
– I cóż to jest?
– To szczególnie! – odparł filozof, mlaskając ustami – nie jestem jeszcze zupełnie pewny, ale... (tu łyknął raz jeszcze), ale tak. To poncz!
Ben Allen spojrział na pana Pickwicka, pan Pickwick spojrział na Bena Allena. Pan Ben Allen uśmiechnął się: pan Pickwick zachował zwykłą swą powagę, potem zaś powiedział z całą surowością:
– Pański przyjaciel zasługuje na to, byśmy mu wypili wszystko, do ostatniej kropli.
– Jestem tego samego zdania – zauważył Ben Allen.
– Czy tak? A więc za jego zdrowie! – rzekł pan Pickwick. To rzekłszy, znakomity nasz przyjaciel pociągnął z niesłychaną energią z flaszki, po czym wręczył ją Benjaminowi, który nie kazał się prosić i poszedł za jego przykładem. Uśmiech rozjaśnił twarze obojgu, a poncz znikł powoli i ku wielkiemu zadowoleniu podróżników.
– W każdym razie – rzekł pan Pickwick, przełykając ostatnie krople – pomysły jego są rzeczywiście bardzo zabawne.
– O, tak! – odrzekł Ben Allen. I by dowieść, że Bob był jednym z najprzyjemniejszych i najweselszych kolegów, pan Ben Allen począł bawić pana Pickwicka długim opowiadaniem, jak to przyjaciel jego pewnego razu wypił tak wiele, że dostał gorączki i musiał sobie ogolić głowę. Opowiadanie o tym zajmującym wypadku trwało jeszcze, gdy powóz zatrzymał się przed oberżą „Pod Dzwonem” w Berkeley Heath, gdzie zmieniono konie.
– Może tu zjemy obiad? – zapytał Bob, zaglądając w okno.
– Obiad? – odparł pan Pickwick. – Przejechaliśmy przecież dopiero dziewiętnaście mil, a mamy przejechać osiemdziesiąt siedem i pół.
– Dlatego właśnie musimy nabrać sił, aby móc sprostać niewygodom podróży – zauważył Bob Sawyer.
– Ależ to niemożliwe jeść obiad o wpół do dwunastej – rzekł pan Pickwick, patrząc na zegarek.
– Mniejsza o to! – zawołał Bob – możemy to nazwać lunchem! Hej! Garson! Lunch na trzy osoby. Konie mają jeszcze postać z kwadrans w stajni. Dawajcie wszystko, co macie na zimno, parę butelek porteru i najlepszą madere.
Wydawszy te rozkazy z wielką precyzją i donośnym głosem, Bob Sawyer wszedł do oberży, by dopilnować ich wykonania. W pięć minut powrócił z oznajmieniem, iż wszystko gotowe i w doskonałym gatunku. Jakość lunchu usprawiedliwiła w zupełności te pochwały i nie tylko ten gentleman, ale także Ben Allen i pan Pickwick dali tego dowody. Pod auspicjami tej trójki wypróżniono flaszki porteru i madery, a gdy zaprzężono konie i wszyscy pasażerowie zajęli miejsca, oplatana flaszka Boba znów została napełniona najlepszym ekwiwalen-

tem dawnego ponczu, jaki w tak krótkim czasie można było otrzymać, trąbka zatrąbiła, a czerwony sztandar powiewał w najlepsze, już bez najmniejszego sprzeciwu ze strony pana Pickwicka.

W Tewkesbury zatrzymano się na obiad, pito porto, maderę i porter. W końcu napełniono znowu flaszkę po raz czwarty. Pod skombinowanym wpływem tych trunków pan Pickwick i Allen usnęli, a Bob Sawyer i Sam wyśpiewywali przez całą drogę bardzo wesołe duety.

Ściemniło się już zupełnie, kiedy pan Pickwick mógł wreszcie podnieść się na tyle, by spojrzeć w okno. Samotne, przydrożne dworki, ciemne zarysy mijanych przedmiotów, wokoło zapadający mrok, pokryte pyłem i kurzem ścieżki, czerwone ogniska w oddali, smugi czarnego dymu wznoszące się z wysokich kominów i zaciemniające wszystko dokoła, blask dalekich światła, ciężkie wozy jadące gościńcem, naładowane żelastwem lub innym towarem, wszystko to mówiło, że są niedaleko wielkiego miasta Birmingham.

Gdy z turkotem jechali przez wąskie uliczki prowadzące do serca tego ruchliwego centrum, oczy i uszy nie mogły się dość nadziwić ożywieniu, jakie tu panowało. Ulice zatłoczone były ludźmi pracy. Echo pracy odbijało się o każdy dom. Światła błyskały w owalnych oknach każdego piętra, a szum, turkot kół i stuk kopyt końskich wprawiały w drżenie mury. Ogniska, które widzieli z daleka, paliły się dumnym płomieniem w piecach wielkich fabryk i w zakładach przemysłowych. Stuk młotów, syk pary, dudnienie maszyn – oto muzyka, która rozlegała się z każdego zaułka.

Pocztylion mknął już szybko przez ulice koło pięknych i jasno oświetlonych sklepów ciągnących się od krańców miasta do oberży „Królewskiej”, a pan Pickwick jeszcze nie zdążył należycie zastanowić się nad delikatną misją, która go tu sprowadziła.

Obecność pana Boba Sawyera bynajmniej nie ułatwiała tej delikatnej misji i nie zmniejszała trudności, jakie należało pokonać. Prawdę powiedziawszy, pan Pickwick czuł, że obecność pana Boba, aczkolwiek bardzo miła i przyjemna, nie jest zaszczytem, o który by się ubiegał. Chętnie poświęciłby pewną sumę na to, by wesoły chirurg znajdował się teraz o jakie pięćdziesiąt mil od Birmingham.

Filozof nasz nie znał osobiście pana Winkle'a starszego, chociaż parę razy odpisał mu na listy, udzielając zadowolających odpowiedzi co do charakteru i postępowania jego syna. Czuł więc, że złożenie pierwszej wizyty w towarzystwie Bena Allena i Boba Sawyera, niezłe podpitych, nie jest wcale środkiem, który by przychylnie usposobił ojca Nataniela.

– Bądź co bądź – powtarzał pan Pickwick dla dodania sobie odwagi – muszę zrobić, co będę mógł! Solennie przyrzekłem synowi, że dziś jeszcze zobaczę się z ojcem. Jeżeli młodzieńcy uprą się towarzyszyć mi, będę się starał, jak można, skrócić wizytę. Zresztą, sądzę, iż, dla własnego honoru, zechcą zachowywać się przyzwoicie!

Zaledwie pocieszył się w ten sposób, wehikuł stanął przed drzwiami oberży „Królewskiej”. Kiedy Sam obudził w końcu Bena Allena i wyciągnął go za kołnierz, pan Pickwick mógł wyciągnąć się. Zaprowadzono ich do przyzwoitego pokoju, a pan Pickwick natychmiast zapytał posługacza, gdzie mieszka pan Winkle.

– Niedaleko stąd – powiedział posługacz. – Jakie pięćset kroków, panie, jest magazyn pana Winkle'a, nad kanałem, panie. A prywatne mieszkanie, ach! do prywatnego mieszkania również nie będzie nawet pięciuset kroków! – Tu posługacz zgasił świecę, by mieć sposobność znów zapalić ją i w ten sposób umożliwić panu Pickwickowi następne pytanie, jeżeli pan Pickwick pytać zechce.

– Czym mogę służyć? – zapytał posługacz zrozpaczony milczeniem pana Pickwicka. – Herbatka? Kawa? Obiad?

– Nie, dziękuję!

– Słucham pana. Może zamówić kolację?

– Jeszcze nie teraz!

– Słucham pana! – Posługacz podszedł do drzwi, ale zatrzymał się i zapytał z wielkim namaszczeniem:

– Mam przysłać pokojówkę?

– Możesz, jeżeli chcesz!

– Jeżeli pan chce!

– I przynieś wody sodowej! – zawołał Bob Sawyer.

– Wody sodowej? Piorunem! – I jakby mu ciężar spadł z pleców, że wreszcie dano mu jakieś zlecenie, posługacz natychmiast ulotnił się. Posługacze nigdy nie biegają ani chodzą. Posiadają dziwny i tajemniczy sposób ulatniania się z pokoiów, znany tylko im wyłącznie!

Ponieważ woda sodowa zbudziła w panu Benie Allenie pewne słabe oznaki życia, przeto pozwolił sobie umyć twarz i zgodził się, by Sam oczyścił mu suknie. Gdy pan Pickwick i Sawyer usunęli nieład w ubraniu, spowodowany podróżą, wszyscy trzej udali się do pana Winkle'a. Bob Sawyer zatruwał po drodze powietrze wyziewami tytoniu.

W spokojnej, bocznej ulicy, o ćwierć mili od oberży wznosił się stary dom z czerwonej cegły. Drzwi, do których wchodziło się po trzech stopniach, miały u góry napis: „M. Winkle”. Schody były bardzo białe, cegły bardzo czerwone, a cały dom był nadzwyczaj czysty i schludny. Zegar wybił dziesiątą, gdy znajomi nasi zapukali do rzeczonych drzwi. Ładna służąca zjawiła się na odgłos pukania i cofnęła się, gdy ujrzała trzech nieznajomych.

– Czy pan Winkle jest u siebie? – zapytał pan Pickwick.

– Je kolację – odpowiedziała dziewczyna.

– Oddaj mu, moje dziecko, ten bilet i przeproś, że przychodzę tak późno, ale bardzo mi na tym zależy, by się zobaczyć z nim dziś jeszcze; dopiero przed chwilą przyjechałem.

Służąca patrzyła z niepokojem na pana Boba Sawyera, który za pomocą różnych dziwnych grymasów wyrażał podziw dla jej wdzięków, potem rzuciła okiem na wiszące w sieni kapelusze i płaszcze i zawołała inną dziewczynę, by pilnowała drzwi, po czym poszła na górę. Posterunek ten został jednak niebawem zluzowany, gdyż powróciła służąca i przeprosiwszy naszych znajomych za to, że zatrzymała ich na ulicy, wprowadziła do pokoju będącego w połowie biurem, a w połowie garderobą. Główne jego umeblowanie stanowiły biurko, umywalnia, zwierciadło do golenia, chłopiec do zdejmowania butów, taboret, cztery krzesła i stary zegar. Nad gzymsem kominka widać było drzwi do żelaznej kasy wpuszczonej w ścianę, a kilka półek z książkami i kalendarz ścienny oraz sporo warstw zakurzonego papieru zdobiło ściany.

– Przepraszam pana, iż musiał pan czekać za drzwiami – rzekła młoda dziewczyna zapalając lampę i zwracając się do pana Pickwicka z uprzejmym uśmiechem.

– Nie ma za co, kochane dziecko! – powiedział pan Pickwick.

– Nie jesteśmy obrażeni! – dodał Bob, wesoło rozwierając ramiona i skacząc w rozmaite strony, by nie mogła wyjść z pokoju.

Młodej damy nie bawiły wcale te igraszki, gdyż jasno wyraziła swoje zdanie o panu Bobie Sawyerze, mówiąc, że jest „nieznośną kreaturą”, a gdy zaczepki pana Boba stały się śmielsze, zakryła twarz rękoma i wybiega z pokoju nie szczędząc okrzyków oburzenia i wstrętu.

Pozbawiony jej towarzystwa, Bob Sawyer zaczął myszkować po biurku, odsuwać szuflady, próbować zamka kasy, odwrócił kalendarz „twarzą do ściany”, naciągał buty pana Winkle'a seniora i robił ze sprzętami znajdującymi się w pokoju inne tym podobne dowcipne eksperymenty napełniające trwogą i oburzeniem pana Pickwicka, ale pobudzające do hałaśliwej wesołości pana Bena Allena.

Na koniec drzwi otworzyły się i do pokoju wszedł niewielki staruszek w tabaczkowym fraku, z głową i twarzą, które, pominawszy łysinę, były prawdziwym przeciwieństwem głowy i twarzy pana Winkle'a juniora, i trzymał w jednej ręce bilet pana Pickwicka, w drugiej zaś srebrny lichtarz.

– Witam pana – rzekł staruszek do pana Pickwicka, stawiając lichtarz i podając mu rękę. – Bardzo rad jestem, że widzę pana. Proszę siadać. A ten gentleman?

– Jest to mój przyjaciel, pan Sawyer – odpowiedział pan Pickwick – a także przyjaciel syna pańskiego.

– A! – rzekł pan Winkle senior, rzucając dość niechętnie spojrzenie na Boba. – Jak się pan czuje?

– Jak ryba w wodzie – odpowiedział Bob.

– Ten drugi gentleman – zaczął pan Pickwick, ten drugi gentleman, jak pan się przekona przeczytawszy list, który mu wręczę, jest bliskim krewnym... lub raczej serdecznym przyjacielem pańskiego syna. Nazwisko jego jest Allen.

– Ten gentleman? – zapytał pan Winkle, wskazując biletem na Bena, który zasnął na krześle i tak się pochylił, iż widać było tylko stos pacierzowy i kołnierz surduta.

Pan Pickwick zamierzał właśnie odpowiedzieć na to pytanie wyliczeniem imienia pana Beniamina Allena wraz z jego szanownym zawodem oraz innych znakomitych zalet tego młodzieńca, gdy dowcipny Bob, aby przyjaciela swego doprowadzić do przytomności, tak uszczyptał go w ramię, że Ben krzyknął i zerwał się, ale spostrzegłszy, że ma przed sobą osobę nieznaną, przystąpił do pana Winkle'a, bardzo serdecznie uściśnął mu rękę, co trwało z pięć minut, wybełkotał kilka na wpół zrozumiałych frazesów o tym, że mu niesłuchanie miło poznać pana Winkle'a, i zapytał go uprzejmie, czy chce się od razu napić po tak długiej podróży, czy też woli poczekać na obiad. Potem usiadł i począł wodzić dokoła tak błędnym wzrokiem, jak gdyby nie miał najmniejszego pojęcia o tym, gdzie się znajduje, czego też rzeczywiście nie wiedział.

Wszystko to stawiało pana Pickwicka w bardzo kłopotliwym położeniu, tym bardziej że pana Winkle'a seniora widocznie dziwiło niepomiernie takie ekscentryczne, by nie powiedzieć nieprzyzwoite, zachowanie jego towarzyszy. Aby położyć temu kres, wyjął list z kieszeni i podając go powiedział:

– Jest to list od pańskiego syna. Z niego dowie się pan, iż szczęście i przyszłość Nataniela zależą od dobrotliwego i ojcowskiego przyjęcia treści tego listu. Bardzo mię pan zobowiąże, gdy przeczyta pan ten list ze spokojem, a następnie zechce pan ze mną pomówić o tym przedmiocie w tonie i duchu, w jakim tego rodzaju sprawy omawiać należy. Jak ważna jest pańska decyzja dla syna pańskiego i z jakim niepokojem jej oczekuje, o tym niech świadczy to, że ośmieliłem się panu złożyć wizytę bez uprzedniego porozumienia o tak późnej godzinie i – dodał pan Pickwick rzucając przelotne spojrzenie na swych towarzyszy – w tak nieprzychylnych okolicznościach.

Po tym preludium pan Pickwick wręczył zdziwionemu staruszkowi cztery szczerze zapisane stronicie najdelikatniejszego, najcieńszego papieru listowego, a sam usiadł znów w fotelu i począł przypatrywać się panu Winkle'owi pełen niepokoju, ale zarazem z przeświadczeniem uczciwego człowieka, który wie, że nie zrobił nic, co wymagałoby usprawiedliwienia lub ukrywania.

Stary kupiec przed rozpieczętowaniem listu obejrzał go na wszystkie strony, poddał mikroskopowemu badaniu znak na pieczętce lakowej, potem podniósł oczy na pana Pickwicka; wreszcie przysunąwszy krzesło do lampy, usiadł przy biurku, rozłamał pieczętkę, otworzył list, podniósł go wysoko do światła i zabrał się do czytania.

Właśnie w tej chwili Bob Sawyer, który od dłuższego czasu nie popisał się ani razu swoim dowcipem, położył sobie ręce na kolanach i przybrał grymas kłowna, jak to widzimy na portretach śp. Grimaldiego. Na nieszczęście, tak się złożyło, że pan Winkle, zamiast zagłębić się w czytaniu, jak to Bob przypuszczał, spojrzął ponad list i zobaczył nie kogo innego, tylko Boba Sawyera. Słusznie wywnioskowawszy, że wspomniany grymas przedrzeźnia jego osobę, utkwiał wzrok w Bobie tak groźnie, iż rysy uwieczniane na płótnie przez nieboszczyka Grimaldiego stopniowo poczęły tracić cały swój komizm, a natomiast wyrażać wielkie zmieszanie i pokorę.

– Czy pan mówił coś do mnie? – zapytał pan Winkle po chwili groźnego milczenia.

– Nie, panie – odrzekł Bob, teraz w niczym już niepodobny do kłowna, ale za to bardzo zaczerwieniony.

– Czy jest pan tego pewny?

– O tak! Najzupełniej pewny!

– Miło mi dowiedzieć się o tym – odrzekł starzec z wielką powagą – ale patrzył pan na mnie?

– Przepraszam bardzo, ale nie patrzałem – odparł Bob z wyszukaną grzecnością.

– To bardzo mnie cieszy – rzekł pan Winkle senior.

Pan Pickwick przypatrywał mu się z wielkim napięciem, gdy z ostatnich linii pierwszej stronicy przeszedł na najwyższe drugiej, z ostatnich drugiej na najwyższe trzeciej, z ostatnich trzeciej na najwyższe czwartej. Żadna jednak zmiana na twarzy nie mogła służyć za klucz do uczuć, z jakimi przyjął wiadomość o małżeństwie syna, która, jak pan Pickwick wiedział, mieściła się w pierwszych sześciu liniach.

Pan Winkle, jak powiedzieliśmy, przeczytał list do ostatniego wyrazu. Potem złożył go starannie i właśnie w chwili, kiedy pan Pickwick spodziewał się wielkiego wybuchu uczuć, umoczył pióro w atramencie i zapytał tak spokojnie, jak gdyby chodziło o rzecz najprostszą w świecie:

– Jaki jest adres Nataniela?

– Chwilowo oberża „Pod Jerzym i Jastrzębiem” – odpowiedział pan Pickwick.

– „Pod Jerzym i Jastrzębiem”. Gdzież to jest?

– George Yard, Lombard Street.

– W City?

– Tak.

Stary gentleman napisał metodycznie adres na liście, włożył go do biurka, zamknął biurko, włożył klucz do kieszeni i rzekł:

– Zapewne nie ma mi pan nic więcej do powiedzenia, panie Pickwick?

– Zupełnie nic, drogi panie! – zawołał nasz filozof z niemiłym zdziwieniem. – Nic zupełnie! Ale czyż nie zechce pan wypowiedzieć mi swego zdania o kroku tak ważnym w życiu syna? Czy nie zechce pan za moim pośrednictwem oświadczyć zapewnienia o pańskiej niezmiennej miłości i dalszym wspomaganium? Czyż nie poleci mi pan, bym uspokoił jego żonę? Proszę się nad tym zastanowić, kochany panie!

– Właśnie chcę to zrobić. Obecnie nic powiedzieć nie mogę. Jestem człowiekiem interesu, panie Pickwick; nie decyduję na gorąco w żadnej sprawie, a ta, o ile ją znać mogę, nie bardzo mi się podoba. Tysiąc funtów, panie Pickwick, to niewiele.

– Ma pan słuszność – wyrwał się Ben Allen, który właśnie ocknął się i przypomniał sobie, że swoje tysiąc funtów przepuścił bez najmniejszej trudności. – Jest pan bardzo rozsądnym człowiekiem. Bobie! Ten człowiek ma dobrze w głowie!

– Cieszę się bardzo, że pan wyraża się o mnie z takim uznaniem – odpowiedział pan Winkle, pogardliwie spoglądając na pana Allena, który z powątpiewaniem potrzasał głową. – To pewna, panie Pickwick – mówił dalej – że kiedy pozwoliłem memu synowi podróżować jakiś czas, by poznał świat i ludzi (co czynił pod pańskimi auspicjami), aby nie wszedł w życie jak żółtodziób, który dopiero co wymknął się ze szkoły i przez pierwszego lepszego dał się wodzić za nos, to nigdy podobnego wypadku nie uwzględniałem w moim rachunku. Syn mój wie o tym bardzo dobrze i jeśli teraz cofnę swą pomoc, nie będzie miał prawa dziwić się temu. Zresztą, dowie się jeszcze, co należy. Dobrej nocy! Małgorzato! Otwórz panom drzwi.

Przez ten czas Bob Sawyer szturchał Bena, by powiedział coś pojednawczego; Ben podniósł się i nie czekając długo, przemówił zwięźle, ale dobitnie:

– Panie – zaczął utkwivszy błędne oczy w panu Winkle'u i mocno gestykulując – pan... pan powinieneś wstydzić się swego postępuku.

– Rzeczywiście – odparł pan Winkle – jako brat tej młodej osoby, jest pan najlepszym sędzią w tej sprawie. Ale dość tego. Ani słowa więcej, panie Pickwick. Dobranoc panu.

To rzekłszy, stary kupiec wziął lichtarz i otworzył drzwi, grzecznie wskazując na korytarz.

– Pożałuje pan swego postępu – rzekł pan Pickwick zaciskając zęby, by powstrzymać swój gniew, gdyż wiedział, jak ważne jest to pociągnięcie dla jego młodego przyjaciela.

– W tej chwili – odpowiedział pan Winkle ze spokojem – jestem wręcz przeciwnego zdania. Dobranoc panom.

Pan Pickwick wyszedł na ulicę bardzo oburzony. Pan Bob Sawyer, zupełnie zgnębiony stanowczością starego gentlemana, poszedł za jego przykładem. Kapelusz pana Bena Allena potoczył się po schodach, a osoba pana Allena poszła w ślad za nim. Trzej towarzysze poszli w milczeniu i bez kolacji spać. Przed zaśnięciem pan Pickwick powiedział sobie, że gdyby był wiedział, jakim formalistą jest pan Winkle senior, nigdy nie podjąłby się podobnej misji.

Rozdział dwudziesty drugi

Pan Pickwick spotyka starego znajomego i tej to szczęśliwej okoliczności Czytelnik zawdzięcza sprawy nadzwyczaj interesujące, a dotyczące dwóch mężów wielkiego znaczenia i potęgi

Ranek, który ukazał się oczom pana Pickwicka o godzinie ósmej następnego dnia, nie był obliczony na to, by podnieść go na duchu lub zmniejszyć depresję, w jaką wpadł po wczorajszej nieudanej misji. Niebo ciemne było i ponure, powietrze wilgotne i mgliste, ulice mokre i śliskie. Dym wisiał leniwie nad kominami, jak gdyby brakło mu odwagi unieść się w górę, a deszcz siał wolno i smutno, jak gdyby nie chciało mu się nawet padać. Na dziedzińcu przed stajnią kogut kołysał się na jednej nodze, pozbawiony zwykłego ożywienia. Pod niski dach przybudówki schronił się osioł z taką miną, jak gdyby nosił się z zamiarem popełnienia samobójstwa. Na ulicach nie widziałeś nic prócz parasoli i nie słyszałeś nic prócz uderzania kropeł deszczu.

Przy śniadaniu prawie nie rozmawiano. Nawet pan Bob Sawyer odczuwał tego dnia wpływ pogody i skutki poprzednich wzruszeń. Według jego własnego kwiecistego określenia był „przyćmiony”. Pan Ben Allen również, pan Pickwick również.

W napięciu oczekiwania, że się w końcu nieco wypogodzi, przeczytano kilkakrotnie ostatnie pisma londyńskie z zainteresowaniem dobrze znanym w chwilach ostatecznego przygnębienia. Każdy cal dywanu został przemierzony z podobną wytrwałością. Oknem wyglądano jedynie z obowiązku. Wszelkie możliwe poruszane w rozmowie tematy – wyczerpały się. Wreszcie koło południa pan Pickwick widząc, że się nie zanosi na żadną zmianę, rezolutnie zadzwonił i kazał zaprzęgać.

Chociaż drogi były grząskie, a deszcz rozpadał się jeszcze gwałtowniej, chociaż w okna karety uderzały grudy błota i strumienie wody, a jazda dla pasażerów wewnątrz wehikułu była prawie tak przykra jak dla siedzących zewnątrz, ruch i poczucie, że się coś robi, okazały się czymś nieskończenie wyższym od siedzenia w nudnym pokoju, patrzenia na nudny deszcz padający na nudne ulice; wszyscy przyznali zgodnie, iż dobrze robią, że jadą, i nie mogli się sobie dość nadziwić, dlaczego odkładali odjazd, mogąc odjechać już od dawna.

Kiedy stanęli w Coventry, by zmienić konie, buchająca z nich para stała się tak gęsta, że spoza niej nie było widać chłopca stajennego, słyszano tylko jego głos, którym oznajmił, że należy mu się złoty medal przy następnym rozdawaniu nagród przez Human Society za to, że zdjął pocztylionowi kapelusz, ponieważ woda lała się z niego strumieniami, co groziło (mówił ów niewidzialny jegomość) zatopieniem jego (pocztyliona), gdyby stajenny nie był człowiekiem wielkiej przytomności umysłu i przez zdjęcie kapelusza i wytarcie twarzy słomą nie uratował mu życia.

– Bardzo przyjemnie! – powiedział pan Bob Sawyer, stawiając kołnierz płaszcza i zakrywając usta szalikiem w celu umiejscowienia oparów wódki, którą właśnie przełknął.

– Bardzo! – przyznał grzecznie Sam.

– Nie mówisz tego szczerze! – powiedział Bob.

– Nie wiem, czy to konieczne, jeżeli już pan był szczery – odrzekł Sam.

– To żadna wymówka! – powiedział Bob.

– Tak, panie – odrzekł Sam. – Dobrze jest, jak jest, jak powiedział młody szlachcic, gdy przyznano mu pensję, ponieważ dziadek wuja jego matki podał kiedyś ogień Jego Królewskiej Mości, bo miał przy sobie krzesiwo!

– Niezły powód! – powiedział pan Bob pobłażliwie.

– Młody szlachcic powtarzał to co kwadrans do końca swego życia! – dodał Sam. – Czy wzywano pana kiedy – zapytał Sam, zniżając głos do tajemniczego szeptu – czy wzywano pana kiedy, odkąd pan został rzezignatem, do pocztyliona?

– Nie przypominam sobie! – odrzekł Bob.

– A widział pan kiedy, grasując (jak się to mówi o duchach) po szpitalu, pocztyliona? – pytał Sam dalej.

– Nie, nie przypominam sobie! – odrzekł Bob.

– Nigdy nie widział pan na cmentarzu mogiły pocztyliona ani trupa pocztyliona? – indagował go Sam w dalszym ciągu.

– Nie! – odrzekł Bob. – Nigdy!

– Nigdy! – z triumfem zawołał Sam: – I nigdy pan nie zobaczy! Jest coś jeszcze, czego nie widział nikt w świecie; zdechłego osła! Nikt nigdy nie widział zdechłego osła, z wyjątkiem gentlemiana w czarnych jedwabnych pantalonach, którego znała młoda niewiasta, właścicielka kozy. Ale to był francuski osioł, więc trzeba do niego przykładać inną miarę!

– No, a co to ma wspólnego z pocztylionem? – spytał Bob.

– Bardzo dużo! – powiedział Sam. – Nie będę szedł tak daleko, by zacząć od tego, jak to czyni wielu rozumnych ludzi, że i pocztylion, i osioł są nieśmiertelni. Ale ja powiadam, że jak tylko pocztylion, że z nimi szlus – obaj dają nura nie wiadomo dokąd i ślad po nich zanika. Co się z nimi dzieje – nikt nie wie! Przypuszczam jednak, że idą szukać przyjemności na tamtym świecie, bo na tym nie widziano jeszcze, by pocztylion albo osioł mieli jaką przyjemność!

Wykładaniem tej ciekawej teorii i popieraniem jej wieloma faktami i danymi statystycznymi Sam Weller skracał sobie czas podróży po Dunchurch, gdzie otrzymano suchego pocztyliona i świeże konie. Następną stacją było Daventry, potem Towcester.

A gdy wyjeżdżali z każdej z tych stacji, lało jeszcze gorzej, niż gdy zajeżdżali przed nią.

– Powiadam – odezwał się Bob Sawyer, zaglądając w okno karety, gdy stanęli przed oberżą „Pod Głową Saracena” w Towcester – że tak dalej nie pójdzie!

– Jak Boga kocham! – zawołał pan Pickwick, budząc się z drzemki. – Obawiam się, że pan zmóknął!

– Doprawdy! Rzeczywiście – odpalił Bob. – Tak, odrobinę! Czuję niemilą wilgoć!

Bob wyglądał jak zmokła kura, gdyż woda spływała mu z płaszcza, z rękawów, z kolan, z kołnierza. Cała jego postać tak błyszczała od wilgoci, że można ją było wziąć za kawał ceraty.

– Trochę zmokłem – przyznał Bob, otrząsając się i przyskajac wodą naokoło jak pies nowofundlandzki, który tylko co wylazł z kąpieli.

– Sądzę, że niepodobna jechać w nocy! – powiedział pan Ben.

– Nie ma mowy! – powiedział Sam Weller, mieszając się do rozmowy. – To po prostu okrucieństwo wymagać czegoś podobnego od zwierząt! Mają tutaj łóżka, proszę pana – dodał, zwracając się do pana Pickwicka. – Zajazd czysty i wygodny. Za pół godzinki mogą sporządzić smaczny obiad, proszę pana! Parę ptaszków i smaczny kotlecik, groszek francuski, torcik, różne delikatesy. Radziłbym panu zatrzymać się, gdzie stoimy. Radzę słuchać – jak mawiał pewien lekarz!

Na szczęście ukazał się właściciel oberży „Pod Głową Saracena”, potwierdzając informacje pana Wellera dotyczące urządzeń jego zakładu; poparł też zdanie Sama co do złego stanu dróg, wątpliwości, czy na następnej stacji dostanie świeże konie, dodając zapewnienie, że

przez całą noc będzie lało – pewne to jak śmierć! – że rano będzie taki sam – z tą samą śmiertelną pewnością! – oraz poruszył inne tematy nieobce właścicielom zajazdów.

– Dobrze – powiedział pan Pickwick. – Ale muszę koniecznie wysłać list do Londynu, by go wręczono jutro raniutko! Jeżeli nie znajdę posłańca, muszę jechać!

Gospodarz uśmiechnął się z zadowoleniem. Nic łatwiejszego! Gentleman owinie list w szary papier i wyśle go pocztą nocną albo nocnym dylizanssem z Birmingham! Jeżeli gentlemanowi chodzi o to, by list został zaraz doręczony, niech napisze na kopercie: „Doręczyć zaraz”, co wystarczy. Jeszcze lepiej, jeżeli gentleman dopisze: „Oddawcy dać pół korony za odniesienie”.

– Dobrze! – powiedział pan Pickwick. – Zostajemy!

– Światła, John! I napalić na kominku! Gentlemani przemokli – zawołał gospodarz. – Tędy, panowie! Proszę się nie troszczyć o pocztyliona, panowie! Przyślę go, kiedy panowie zażądacie! John, świece!

Przyniesiono świece, zapalono na kominku, dorzucono kilka polan. W dziesięć minut później garson rozkładał już na stole biały obrus, zaciągnięto firanki, ogień trzeszczał wesoło i wszystko przybrało taki wygląd (jak zwykle zresztą w każdej gospodzie angielskiej), jak gdyby od dawna oczekiwano podróży i przygotowano wszystko dla ich wygody już poprzedniego dnia.

Pan Pickwick zajął miejsce przy bocznym stoliku i nakreślił parę słów do pana Winkle'a, zawiadamiając go, że zatrzymała ich niepogoda i że następnego dnia będą z pewnością w Londynie. Przedtem nie chce mówić o rezultacie swojej wyprawy. List ten szybko włożono do koperty i odesłano do baru przez pana Wellera.

Sam zostawił list pod opieką gospodyni i osuszywszy się przed ogniem w kuchni, szedł ściągać swemu panu przemokłe buty, gdy nagle zatrzymał go widok tysego gentlemana, który siedział nad stosem gazet przy stoliku. Czytał z przejęciem jakiś artykuł, przy czym marszczył nos i wykrzywił twarz, co nadawało mu majestatyczny wyraz bezbrzeżnej pogardy.

– Ho, ho! – zawołał Sam. – Znam skądś ten łeb i te rysy! Okulary i daszek również! Eatanswill – albo jestem kiep!

Sam rozkaszał się nagle, a to dlatego, by zwrócić uwagę gentlemana. Gentleman spojrzał, podniósł głowę i okazał głębokie i myślące rysy pana Potta z „Gazety Eatanswillskiej”.

– Przepraszam pana – powiedział Sam, zbliżając się. – Mój pan jest tutaj!

– Ts! Ts! – zawołał pan Pott, wciągając Sama do izby i zamykając drzwi z wyrazem tajemniczego niepokoju i przejęcia.

– Co się stało, proszę pana? – spytał Sam rozglądając się bezmyślnie.

– Ani mi się waż szepnąć, jak się nazywam! – zawołał pan Pott. – To okolica „żółtych”! Gdyby rozwścieczona ludność dowiedziała się, że tu jestem, rozszarpano by mię na kawałki!

– Nie, doprawdy? – spytał Sam.

– Padłbym ofiarą ich wściekłości – ciągnął pan Pott. – A jakże twój pan, młodzieńcze?

– Zatrzymał się tu na nocleg z kilkoma przyjaciółmi, w drodze do miasta! – odrzekł Sam.

– Czy i pan Winkle należy do nich? – zapytał pan Pott, marszcząc lekko czoło.

– Nie, proszę pana! Pan Winkle nie rusza się teraz z domu. Ożenił się.

– Ożenił się! – zawołał pan Pott bardzo gwałtownie. Potem umilkł i dodał wolno mściwym głosem: – To mu się należało!

Dawszy upust złośliwości i bezlitosnemu triumfowi nad pokonanym wrogiem pan Pott zapytał, czy pan Pickwick i jego przyjaciele należą do „błękitnych”. Otrzymawszy zadowolającą odpowiedź od Sama, który wiedział o tym akurat tyle, co i pan Pott, pan Pott zgodził się pójść do pokoju pana Pickwicka, gdzie przyjęto go bardzo serdecznie. Natychmiast postanowiono też zjeść wspólnie obiad.

– Jakże tam sprawy w Eatanswill? – spytał pan Pickwick, gdy pan Pott usiadł przy ogniu, a całe towarzystwo zrzuciło przemokłe obuwie i wciągnęło suche pantofle. – Czy „Niepodległość” jeszcze istnieje?

– „Niepodległość” – odrzekł pan Pott – wciąż jeszcze prowadzi swój niecny i nędzny żywot, pogardzana i nienawidzona nawet przez tych nielicznych, którzy wiedzą o jej marnym istnieniu. Zdużona własnym plugastwem, które tak popierała. Oślepiąca i ogłuszająca wyziewami brudu, który wyhodowała. Wstrętna ta szmata, nie zdająca sobie, na szczęście, sprawy ze swego upadku, grzęźnie szybko w zdradliwym błocie, łudząc się, że daje twarde i nowoczesne podstawy niższym warstwom społeczeństwa. Błoto, w którym grzęźnie, podnosi się już nad jej głowę i wkrótce pochłonie ją na zawsze!

Wygłosiwszy ów manifest (wyjątek z artykułu wstępnego sprzed tygodnia!), z wielką siłą przekonania, wydawca zatrzymał się, by złapać oddech, i spojrzawszy majestatycznie na pana Boba Sawyera.

– Jest pan młodym człowiekiem, panie! – powiedział pan Pott. Bob przytaknął.

– Pan również! – zwrócił się pan Pott do pana Allena. Bob przyjął do wiadomości ten delikatny wyrzut.

– I obaj wyznajecie szczerze te zasady, które przez tyle lat głosiłem ku zbudowaniu i pożytkowi mieszkańców tego królestwa? – poddał pan Pott.

– Doprawdy nie wiem – powiedział Bob Sawyer. – Ja...

– Przyjaciół pański, panie Pickwick, nie dał się chyba zatruć? – zawołał pan Pott. – Jest „błękitny”!

– Nie, nie – powiedział pan Bob. – Jestem obecnie pewnego rodzaju tęczą. Wszystkie barwy!

– Chwiejny, chwiejny! – uroczyście oznajmił pan Pott. – Żałuję, że nie mogę pokazać panu serii pięciu artykułów, jakie ukazały się w „Gazecie Eatanswillskiej”. Ośmielam się twierdzić, że niebawem oprze pan swoje poglądy na zdrowych zasadach „błękitnych”!

– Przypuszczam, że w końcu zupełnie zsinieję! – powiedział pan Bob.

Pan Pott spojrzawszy nieufnie na pana Boba, potem zwrócił się do pana Pickwicka.

– Widział pan, oczywiście, artykuły literackie, które ukazały się w „Gazecie” w ostatnich trzech miesiącach, a które narobiły tyle hałasu... powiedziałbym – uniwersalnego hałasu na całym świecie!

– Byłem tak zajęty różnymi sprawami w ostatnich czasach – tłumaczył się pan Pickwick – że nie mogłem śledzić...

– Szkoda! Powinien pan być śledzić! – surowo powiedział pan Pott. – Poprawię się – powiedział pan Pickwick.

– Artykuły te pojawiły się w formie obszernego przeglądu z zakresu metafizyki w Chinach – powiedział pan Pott.

– O! – zawołał pan Pickwick. – Pańskie pióro, mam nadzieję?

– Pióro mego krytyka – z godnością odpowiedział pan Pott.

– Zawili temat, powiedziałbym – rzekł pan Pickwick.

– Ogromnie! – odrzekł pan Pott, robiąc bezgranicznie uczoną minę. – Nagłowił się nad nim, że pozwolę sobie użyć wyrażenia technicznego. Na moje żądanie przeczytał nawet „Encyclopaedia Britannica”.

– Naprawdę? – zawołał pan Pickwick. – Nie wiedziałem nawet, że bezcenne to dzieło zajmuje się również metafizyką w Chinach!

– Owszem, panie – powiedział pan Pott, kładąc rękę na kolanie pana Pickwicka i spoglądając z uśmiechem intelektualnej wyższości. – Czytał o metafizyce pod literą „M”, a o Chinach pod „C” i skombinował jedno z drugim. Rozumie pan?

Oblicze pana Potta tchnęło takim dostojeństwem na wspomnienie potężnych wyników owego naukowego przedsięwzięcia, że minęło parę dobrych chwil, zanim pan Pickwick mógł

podjąć rozmowę. Wreszcie, gdy oblicze redaktora przyjęło stopniowo wyraz właściwej mu moralnej supremacji, pan Pickwick ośmielił się podtrzymać rozmowę, pytając:

– Czy wolno zapytać, jaka wielka sprawa zagnała pana tak daleko od domu?

– Ta sama sprawa, która przyświeca mi we wszystkich moich pracach – odrzekł pan Pott. – Dobro kraju!

– Przypuszczam, że to sprawy publiczne – powiedział pan Pickwick.

– Tak, panie – odrzekł pan Pott – tak. – Tu nachyliwszy się nad panem Pickwickiem, szepnął: – Jutro moi przeciwnicy urządzają w Birmingham bal. Z kolacją!

– Dobry Boże! – zawołał pan Pickwick.

– Tak, panie, z kolacją! – dodał pan Pott.

– Nie mówi pan chyba serio! – zawołał pan Pickwick. Pan Pott przytaknął złowróźnie.

Chociaż pan Pickwick udawał, że wiadomość ta wielce go zdumiała, tak jednak mało był uświadomiony politycznie, że nie mógł zdać sobie sprawy, dlaczego fakt ten ma być trzymany w takiej tajemnicy. Zauważywszy to, pan Pott wyciągnął ostatni numer „Gazety Eatanswillskiej” i odwołał się do poniższego artykułu:

POKĄTNE KNOWANIA ŻÓŁTKÓW

Gad współczesności ziejże zatrutym jadem, starając się bezskutecznie skazić szanowne nazwisko naszego elekta, czcigodnego pana Slumkeya – tego samego Slumkeya, o którym pisaliśmy na długo przedtem, nim objął swoje odpowiedzialne i wyjątkowe stanowisko, że przyjdzie dzień, kiedy pan Slumkey stanie się jednocześnie najpiękniejszą ozdobą i najszczytniejszą dumą naszego kraju! Nasz współczesny gad, jakeśmy powiedzieli, wydrwiwa dar złożony naszemu sławnemu kompatriocie przez oczarowanych wyborców: mosiężny kubełek na węgle – przy czym zaznacza, że sam obdarowany złożył anonimowo na ten cel przez zaufanego przyjaciela prawie trzy czwarte potrzebnej sumy. Czyż ten podły gad nie rozumie, że jeżeli to prawda, pan Slumkey ukazuje się w jeszcze piękniejszym świetle (jeśli to możliwe)! Czyż nawet gadzinowa tępota nie potrafi pojąć, że ta delikatna i subtelna pomoc wyświadczona ciału wyborczemu pozyskać musi panu Slumkeyowi nawet serca i dusze tych współmieszkańców, których wartość moralna da się porównać z wartością świni? Czyli, innymi słowy, którzy nie upadli tak nisko jak nasz przeciwnik?! Oto podłość naszych przewrotnych „żółtych”! Ale to jeszcze nie wszystko! Zdrada czyha za murami! Twierdzimy na podstawie niezbitych dowodów, prosząc cały naród o wzięcie nas pod swoje opiekuńcze skrzydła, twierdzimy, że w całej pełni trwają przygotowania do balu „żółtych”, mającego się odbyć w jednym z „Żółtych Miast”, będącym sercem i duszą „żółtych”! Prowadzić go będzie żółty mistrz ceremonii! Uświetnią go swoją obecnością trzej żółci członkowie parlamentu, a prawo wejścia da posiadanie żółtego biletu! Bardzośmy nasolili naszemu żółtemu kompatriocie? Niech się pocieszy! Niech pęknie z bezsilnej złości, gdy pióro nasze pisze te słowa: Będziemy na balu!

– Tak, panie – powiedział pan Pott, składając gazetę – tak się rzeczy mają!

Ponieważ w tej samej chwili gospodarz i garson wnieśli obiad, pan Pott położył palec na wargach na znak, że składa swoje życie w ręce pana Pickwicka i że powierzył mu swoją tajemnicę. Pan Ben Allen i pan Bob Sawyer, którzy zdrzemnęli się podczas odczytywania artykułu i dyskusji, jaka się po nim wywiązała, zerwali się na dźwięk magicznego słowa: – Obiad! – który doszedł ich uszu. Zasiadli doń z systemem trawiennym podnieconym przez apetyt, ze zdrowym zapałem, pełni oczekiwania.

W czasie obiadu i podczas sjesty, która po nim nastąpiła, pan Pott przeszedł na tematy domowe i poinformował pana Pickwicka, iż powietrze eatanswillskie nie służyło jego żonie i dama ta wyjechała w objazd do rozmaitych kąpielni w celu ozdrowienia na duchu i ciele. Była

to delikatna wersja faktu, iż pani Pott wprowadziła wreszcie w czyn swoją stałą pogroźkę separacji i działając przez brata, porucznika, rozstała się z małżonkiem, przy czym pan Pott zobowiązał się do wypłacania jej połowy dochodów czerpanych z wydawania i sprzedaży „Gazety Eatanswillskiej”.

W czasie gdy wielki pan Pott poruszał ten i inne tematy, ożywiając rozmowę różnymi wyjątkami ze swoich własnych elukubracji, jakiś dziwaczny jegomość zapukał z okna dylizansu, który zatrzymał się przed zajazdem i wyładowywał paczki, czy może liczyć na odpowiednie wygody, w postaci łóżka i pościeli, jeżeli zatrzyma się na nocleg.

– Niewątpliwie, proszę pana – mówił gospodarz.

– Rzeczywiście? Mogę na to liczyć? Mogę liczyć? – dopytywał się jegomość, widocznie podejrzliwy z natury.

– Niewątpliwie, proszę pana – mówił gospodarz.

– Dobrze – powiedział nieznajomy: – Stangret! Zostaję! Posługacz! Waliza!

Życząc pozostałym pasażerom dobrej nocy w sposób nieco zgryźliwy, nieznajomy wysiadł. Był to przykrótki jegomość, z czarnymi, twardymi włosami, przyciętymi najęża, czyli „a la szczotka”, i stojącymi sztywno i równo na głowie. Wygląd miał pompatyczny i groźny, sposób bycia stanowczy, oczy surowe i niespokojne, a całe zachowanie zdradzało silną wiarę w siebie i świadomość swojej wyższości.

Nieznajomy został wprowadzony do pokoju zajmowanego uprzednio przez patriotycznego pana Potta. Garson zauważył ku swemu niepomiernemu zdumieniu, że zanim zdążył zapalić świecę, nieznajomy wyciągnął spod kapelusza plik gazet i zaczął je czytać z wyrazem tłumionej wściekłości, jaka przed godziną jeszcze paraliżowała majestatyczne rysy pana Potta. Garson zauważył również, że gdy gniew pana Potta wywołała „Niepodległość”, nieznajomy gniewał się na „Gazetę Eatanswillską”.

– Przyślij gospodarza – powiedział nieznajomy.

– Słucham pana!

Przysłany gospodarz zjawił się.

– Pan jest gospodarzem? – zapytał nieznajomy.

– Tak, proszę pana!

– Zna mnie pan?

– Nie mam przyjemności! – odparł gospodarz.

– Nazywam się Slurk! – ciągnął nieznajomy. Gospodarz z lekka pochylił głowę.

– Slurk! – powtórzył gentleman. – Teraz wiesz pan, kim jestem?

Gospodarz podniósł głowę, spojrzął na sufit, potem na gentlemana i uśmiechnął się niewyraźnie.

– Znasz mnie, człowieku? – pytał nieznajomy.

Gospodarz zebrał się na odwagę i odparł:

– Nie, nie znam pana.

– Dobrze nieba! – zawołał nieznajomy, tłukąc pięścią w stół. – I to jest popularność!

Gospodarz cofnął się o krok do drzwi; nieznajomy nie spuszczał z niego oczu.

– Oto – powiedział nieznajomy – wdzięczność za całe lata pracy i znoju dla dobra mas! Przyjeżdżam zziębnięty i mokry! Rozentuzjasmowany tłum nie wita mnie przy wjeździe! Dzwony kościelne milczą! Nawet brzmienie mego nazwiska nie budzi żadnego oddźwięku w sprzedajnych piersiach! Dość! – dodał pan Slurk, przechadzając się po pokoju. – To wystarczy człowiekowi, by złamał pióro i zrzekł się roli obrońcy tych niewdzięczników!

– Mówił pan: brandy i woda? – wtrącił gospodarz, chcąc przerwać dialog.

– Rum! – gniewnie zawołał pan Slurk. – Macie tu gdzie ogień?

– Możemy napalić tutaj! – odrzekł gospodarz.

– Pójdę spać, nim się ogrzeje! – zawołał pan Slurk. – Jest kto w kuchni?

– Żywej duszy. Ale pali się doskonały ogień. Wszyscy się już rozeszli, dom zamknięto na cztery spusty.

– Wypiję swój rum z wodą w kuchni, przy ognisku kuchennym – powiedział pan Slurk. Zabrawszy kapelusz i gazety, poszedł za gospodarzem do skromnej izby i rzuciwszy się na fotel przy kominiarce, przybrał, jak poprzednio, wściekłą minę i zaczął czytać.

Trzeba wypadku, że demon niezgody, włócząc się po oberży „Pod Głową Saracena”, dojrzał pana Slurka siedzącego wygodnie przy kominku i pana Potta, nieco podnieconego winem, w sąsiednim pokoju. Wobec tego demon wśliznął się do wyżej wymienionego apartamentu z niebywałą szybkością i umiejscowił się w głowie pana Boba Sawyera, po czym zmusił go (on, demon) do wypowiedzenia następujących słów:

– Zgapiliśmy się! Ogień wygasł! Strasznie tu zimno, co?

– Rzeczywiście – powiedział pan Pickwick, otrząsając się.

– Czy nie dobrze by było wypalić cygaro w kuchni, co? – poddał pan Bob, wciąż kuszony przez wyżej wymienionego demona.

– Rzeczywiście, należałoby – powiedział pan Pickwick. – Jak pan sądzi, panie Pott?

Pan Pott ziewnął w odpowiedzi. Wszyscy czterej podróżni udali się więc ze szklankami w rękę do kuchni, a na czele stąpił Sam Weller.

Nieznanomy wciąż czytał. Podniósł głowę i oniemiał. Pan Pott również.

– Co się stało? – szepnął pan Pickwick.

– Gad! – zawołał pan Pott.

– Co za gad? – zapytał pan Pickwick, oglądając się trwożnie, by nie nadebrać jeśli już nie na węża, to przynajmniej na karalucha lub pajaka.

– Ten gad! – szepnął pan Pott, chwytając pana Pickwicka za ramię i pokazując mu oczyma nieznanego. – Ten gad Slurk! Z „Niepodległości”.

– Może się cofniemy... – szepnął pan Pickwick.

– Nigdy, panie! – powiedział pan Pott, gotując się z gniewu jak prawdziwy garnek. – Nigdy! – Z tymi słowami pan Pott zajął miejsce po przeciwnej stronie kominka i wyciągnąwszy paczkę gazet, zaczął czytać siedząc naprzeciw swego wroga.

Pan Pott – naturalnie – czytał „Niepodległość”, a pan Slurk – oczywiście „Gazetę Eatanswillską”. Każdy z nich wyrażał swą pogardę dla elukubracji wroga głośnym śmiechem i ironicznymi drwinami, operując takimi słowami jak: – Bzdury! – Podłość! – Barbaria! – Humbug! – Bandytyzm! – Błoto! – Brudy! – Ślina! – Ciepła woda! – i innymi uwagami krytycznymi tegoż pokroju.

Zarówno pan Ben Allen, jak pan Bob Sawyer śledzili owe oznaki nienawiści i gniewu z niekłamaną rozkoszą, którą wyrażali puszczeniem wielkich kłębow dymu z cygar. Z chwilą gdy wyżej przytoczony potok wyzwick stracił na sile, pan Bob Sawyer zwrócił się do pana Slurka z pytaniem:

– Czy mogę prosić o gazetę, gdy pan skończy?

– W tej szmacie nie znajdzie pan nic, czym mógłby pan zaspokoić swoją ciekawość! – powiedział pan Slurk, uśmiechając się satanicznie do pana Potta.

– Za chwilę będę panu służył tym piśmidłem – powiedział pan Pott, który pobladł z gniewu i zaczął się jękać. – Cha, cha, cha! Uśmieje się pan z zuchwalstwa tego draba!

Słowa „szmata” i „drab” powiedziane były ze specjalnym naciskiem, a oblicza obu redaktorów przybrały wyraz zaczepny.

– Rubasność tego nędznika jest wprost ohydna! – powiedział pan Pott, podając gazetę Bobowi i wykrzywiając się w kierunku Slurka.

Tu pan Slurk wybuchnął śmiechem i składając gazetę w ten sposób, by móc odczytać nową kolumnę, powiedział, że ten półgłówek jest naprawdę ogromnie zabawny.

– Bezwstydnny głupiec! – powiedział pan Pott, stając się z czerwonego purpurowy.

Czytał pan kiedy bzdury tego pana? – zapytał pan Slurk Boba.

– Nigdy – powiedział Bob. – Straszna marnota, co? – Ohydne! Ohydne! – odrzekł pan Slurk.

– Słowo daję! Tego już za wiele! – zawołał na to pan Pott udając, że ciągle czyta.

– Jeżeli potrafi pan przebrnąć przez bezmiar złośliwości, podłości, kłamstw, łgarstw, kalamnii i hipokryzji – ciągnął pan Slurk, podając gazetę panu Bobowi – to wynagrodzi to panu śmiech z głupoty tego niegramatycznego gryzipiórka!

– Co pan powiedział? – spytał pan Pott, drżąc z wściekłości. – Czy do pana mówiłem? – odpalił pan Slurk.

– Ten pan powiedział: niegramatyczny gryzipiórek! – wyjaśnił pan Bob.

– Tak, panie, tak – odpowiedział pan Slurk. – I niebieski ptak, na dodatek! Cha, cha, cha!

Pan Pott nie odpowiedział ani jednym słowem na tę żartobliwą obelgę, ale ruchem niewymuszonym zmiął egzemplarz „Niepodległości”, rzucił ją pod nogi, podeptał, opluł z miną wielce dostojną i wrzucił w ogień.

– Oto odpowiedź! – powiedział pan Pott, odchodząc od kominka. – W taki sam sposób postąpiłbym z gadem, który zapisuje tę szmatę, gdyby nie prawa mego kraju, które przywykłem szanować!

– Nie krępuj się pan! – zawołał pan Slurk. – Nie krępuj się! Zrób z nim, co chcesz! Nie zasłaniaj się prawem! No, jazda!

– Słuchajcie! Słuchajcie! – zawołał Bob Sawyer.

– Czy może być coś piękniejszego?! – zawołał Ben Allen.

– Proszę! Proszę! – zachęcał pan Slurk.

Pan Pott rzucił spojrzenie tak pełne wzdrygnięcia, że ugięłyby się pod nim nawet kotwica.

– Proszę! Proszę! – coraz głośniej wołał pan Slurk.

– Nie chcę! – odpowiedział pan Pott.

– A, pan nie chce? Nie chce pan? – dopytywał się pan Slurk kuszącym głosem. – Słyszycie, panowie! Nie chce! Nie boi się, nie! Ale nie chce! Cha, cha, cha!

– Uważam pana – powiedział pan Pott, poruszony tym sarkazmem – uważam pana za gadzinę! Uważam, że jest pan kreaturą, która przez swoje podłe, bezwstydne zachowanie znalazła się poza nawiasem społeczeństwa! W sensie politycznym i prywatnym uważam pana po prostu za zwykłą żmiję!

Oburzony „niepodległy” nie czekał końca tego oskarżenia. Schwyciwszy swoją torbę podróżną, wypełnioną rozmaitymi ruchomymi przedmiotami, cisnął ją w pana Potta właśnie w chwili, gdy Pott odwrócił się, a ponieważ w tym kącie torby znajdowała się twarda szczotka do włosów, rozległo się głośne uderzenie i pan Pott zwałił się na podłogę.

– Panowie! – krzyknął pan Pickwick. – Panowie! – zawołał widząc, że pan Pott chwyta za łopatkę od węgla. – Panowie! Umytygujcie się. Na miłość Boga! Sam! Na pomoc! Ratujcie, kto może!

Wydając te i tym podobne okrzyki, pan Pickwick rzucił się między walczących i dostał łopatką w jeden bok, a torbę w drugi.

Nie wiemy, czy to nienawiść tak osłepiła tłumaczy uczuć publicznych miasta Eatanswill (obaj byli za sprawiedliwością!), czy też zrozumieli korzyści wynikające z wmieszania się między nich osoby trzeciej, na którą spadną wszystkie razy, dość że nie zwrócili najmniejszej uwagi na pana Pickwicka i walczyli dalej przy pomocy torby i łopatki. Pan Pickwick ucierpiałby też niemało z powodu swego humanitaryzmu, gdyby wierny Sam, zwabiony krzykami swego pana, nie okręcił głowy pana Potta workiem od mąki i worka owego nie zaciągnął mocno aż na plecy potentata.

– Odbierzcie tamtemu torbę! – zawołał Sam do pana Bena Allena i pana Boba Sawyera, którzy uwijali się po pokoju z lancetami, gotowi wpakować je pierwszej napotkanej osobie, która nawinie się im pod rękę.

– Oddawaj, pokrako, bo się z tobą porachuję! Nieco przerażony tą groźbą i zmęczony walką, przedstawiciel „Niepodległości” pozwolił się rozbroić. Pan Weller odebrał łopatkę Pottowi i uwolnił go od worka, mówiąc z naciskiem:

– A teraz obaj pójdziecie do łóżka albo sam was ułożę z zakneblowanymi ustami! Wtedy możecie wrzeszczeć ile wlezie! Pan będzie łaskaw tędy, proszę pana!

Tu Sam zwrócił się do pana Pickwicka i wskazał mu drogę, a obaj wrodzy redaktorzy zostali zaprowadzeni przez gospodarza do łóżek pod eskortą Boba i Bena. Odchodząc mruźliwie coś groźnie i zapowiadali śmiertelną walkę na jutro. Namysłiwszy się jednak, doszli obaj do przekonania, że daleko lepiej potrafią to zrobić – w druku. Więc Eatanswill rozbrzmiewało echem ich walki – na papierze!

Odjechali nazajutrz oddzielnymi dylizansami, zanim reszta pasażerów się obudziła. A ponieważ pogoda poprawiła się, więc i nasi podróżni odjechali do Londynu.

Rozdział dwudziesty trzeci

opisujący ważną zmianę w rodzime Wellerów i przedwczesny upadek czerwono-nosiego

Uważając, że jest rzeczą delikatności nie przedstawiać młodej pary panu Benowi Allenowi i panu Bobowi Sawyerowi bez uprzedniego przygotowania, i chcąc równocześnie oszczędzać Arabelle, pan Pickwick zaproponował, by on i Sam zatrzymali się w pobliżu oberży „Pod Jerzym i Jastrzębiem”, młodzi zaś ludzie poszukali sobie kwatery gdzie indziej. Wszyscy zgodzili się na ten układ: pan Ben i pan Bob udali się do znanej sobie garkuchni na krańcach Borough, gdzie za dawnych czasów nazwiska ich nieraz figurowały u szczytu długich i zawiłych rachunków zapisanych kredą.

– Ach, to pan, panie Weller! Dzień dobry, panie Weller! – zawołała piękna pokojówka, spotkawszy Sama w korytarzu.

– Dla mnie zawsze jest dzień dobry, gdy pannę widzę – odpowiedział Sam zostając nieco w tyle, by pan jego nic nie słyszał. – O! Jakie z panny śliczne stworzenie!

– Ależ panie Weller! Co też pan mówi? Niech mi pan da spokój!

– Czemu mam dać spokój, moja droga?

– A temu, co pan robisz!... Puśćże mnie pan! – dodała piękna dziewczyna, uśmiechając się; po czym odpychając Sama do ściany, oświadczyła, że pomiał jej czepek i potargał włosy. – Nie daje pan sobie powiedzieć – dodała – że od trzech dni czeka tu na pana list. Przysłano go zaraz po pańskim wyjeździe, a na kopercie napisano: „pilne”.

– Gdzież ten list, moja droga?

– Wzięłam go, inaczej pewno by zginął. Ale doprawdy, nie jest pan wart tego.

Po tych słowach i po wielu małych, zalotnych, miłych wątpliwościach i obawach, czy aby nie zgubiła go, Mary wydobyła zza prześlicznego swego gorsu list i podała Samuelowi. Ten naprzód ucałował go z wielką galanterią i szacunkiem.

– Oho! – zawołała Mary, poprawiając sobie chustkę na gorsie i udając, że nie wie, o co chodzi – czy nie zakochał się pan w tym liście?

Sam odpowiedział tylko wzrokiem, o którego wyrazie żaden opis nie może dać najsłabszego nawet wyobrażenia, potem usiadłszy koło Mary pod oknem otworzył list i przejrzał jego treść.

– Oho! – zawołał – a to co znaczy?

– Spodziewam się, że nic złego? – rzekła Mary, spoglądając mu przez ramię.

– Niech Bóg błogosławi twoje piękne oczy! – rzekł Sam, odwracając się.

– Nie troszcz się pan o moje oczy, a lepiej czytaj, co tam napisane! – odparła piękna pokojówka, patrząc przy tym tak zalotnie, że niepodobna było oprzeć się temu.

Sam orzeźwił się pocałunkiem i począł czytać, co następuje:

*Markis Gran
w Dorken Ftorek*

Mój kochany Sammy.

Bardzo mi przykro, że mam pszyjemność donieść ci smutną wiadomość rze twoja macocha zaziembiła się bo siedziała na trawie wilgotnej w deszcz czekając na pasteża ktury nie mugł przyjsć wcześniej arz puzno noco bo golił wode z wutkom i czekał arz wytrzezwieje doktor powiedział rze gdyby napila się gorącej wody z wutko po a nie pszet wszystko było by dobrze zara nasmarowano jej jak należy koła rzeby mogła jechać dalej i ojciec twuj miał nadzieje rze wyjdzie ztego jak zafsze ale ona zle wzienla zakrent i wywalila odrazu chociaz doktor zara dat jej lekarstwo ale za to zdało się do luftu i zaplacila ostatnie rogakowe dwadzieścia minut po szustej wczoraj wieczur skruciwszy swoją podrurz może rze jechała bez wielkiego bagarzu twuj ojciec rze jeżeli zechcesz mię odwiedzić Sammy to wezmie to za wielkom upszejność bo jestem bardzo samotny Samileju. P. S. Hce rzeby tak twoje imię napisać a ja muwie rze tak to niedobze a on powiada jest durzo do omówienia i twuj gubernator nie bendzie kszywy a pewnościom nie bendzie znam go lepiej i kłaniaj się odemnie i jestem twuj piekielnie Tony Veler.

– Dziwny list – rzekł Sam. – Kto tu z tego może być mądry?

To nie ojca ręka, wyjąwszy podpis. Ten nabazgrał sam, bo litery jak konie.

– Może kazał napisać komu, a potem podpisał – zauważyła piękna pokojówka.

– Zaczekaj no panna trochę – odpowiedział Sam, raz jeszcze przeglądając list. – Tak, tak, ma panna słusność. Gentleman, który to napisał, pisał o tym nieszczęściu jak należy, ale nadszedł mój ojciec, zaczął mu zaglądać przez ramię i wszystko pomieszał przez swoje dodatki. On tak zawsze robi. Masz słusność, kochana Mary.

Uspokoiwszy się co do tego punktu, Sam jeszcze raz odczytał list i teraz dopiero zrozumiawszy dokładnie jego treść, złożył go i powiedział smutno:

– A więc biedna kobiecina umarła. Szkoda: nie miałyby złego charakteru, gdyby ci „pastery owieczek” dali jej spokój. Bardzo mię to zasmucilo.

Sam powiedział te słowa tak poważnie, iż piękna Mary spuściła oczy i także bardzo spoważniała.

– No – zawołał w końcu Sam z lekkim westchnieniem, kładąc list do kieszeni – tak stać się musiało i stało się. Nie ma na to rady, jak powiedziała pewna stara dama, poślubiwszy swego lokaja. Nieprawdaż, Mary?

Mary pochyliła głowę i westchnęła.

– Teraz muszę prosić imperatora o urlop.

Mary znów westchnęła. List tak był rozczulający.

– *Adieu!* – rzekł Sam.

– *Adieu!* – odpowiedziała piękna pokojówka, odwracając głowę.

– Podasz mi przecież rękę na pożegnanie.

Piękna dziewczyna podała mu rękę, bardzo drobną, chociaż była to ręka pokojówki. Potem wstała, by odejść.

– Niedługo zabawię – rzekł Sam.

– Pana nigdy nie ma w domu – odpowiedziała Mary trochę niechętnie, odwracając głowę.

– Zaledwie pan wróci, zaraz znów wyjeżdża.

Sam pociągnął ku sobie garderobianą piękność i począł jej coś szeptać. Nie trwało długo, a Mary przestała odwracać twarz i znów zaczęła na niego patrzeć. Gdy się rozstali, musiała zająć do swego pokoiku, by tam poprawić sobie po razdruzi czepek i włosy, zanim pokaże się swej rozkazodawczyni. Gdy w tym celu wchodziła po schodach, lekko stąpając, uszczęśliwiła Sama mnóstwem pozdrowień i uśmiechów, rzucanych przez barierę.

– Zabawię najwyżej dzień lub dwa, panie – powiedział Sam do pana Pickwicka zawiadomiwszy go o stracie, jaką poniósł jego ojciec.

– Zabaw, ile wypadnie, mój kochany – odrzekł filozof – z góry pozwalam ci na to.

Sam uklonił się.

– Powiedz twemu ojcu, że jeżeli mogę mu się jakoś przydać w obecnym jego położeniu, to gotów jestem zrobić wszystko, co będzie w mojej mocy – dodał pan Pickwick.

– Bardzo dziękuję panu, powiem mu.

Po takich zapewnieniach o obustronnej przychylności i obustronnym zrozumieniu pan i sługa rozstali się.

Była siódma wieczorem, gdy Samuel Weller wysiadł z dylizansu idącego przez Dorking, o kilkaset kroków od „Markiza Granby”. Wieczór był zimny i smutny, mała ulica ciemna i pusta i nawet mahoniowa twarz szlachetnego i mężnego markiza, kołysanego przez wiatr, miała wyraz jakby bardziej niż zwykle ponury i melancholijny. Firanki w oberży były pozapuszczane, okiennice częściowo pozamykane; przed drzwiami nie było ani śladu próżniaków, którzy zwykle tu się gromadzili; wszystko było smutne i puste.

Widząc, że nie ma nikogo, kogo by się można zapytać, jak i co się stało, Sam wszedł po cichu do domu i wkrótce ujrzał szanownego swego ojca.

Wdowiec siedział przy niewielkim, okrągłym stole w pokoiku za bufetem i palił fajkę, z oczyma wlepionymi w ogień. Widocznie pogrzeb odbył się w dniu dzisiejszym, gdyż szarfa z krepy, długa na półtora łokcia, zdobiła jeszcze kapelusz, który pan Weller miał na głowie, i niedbale spadała na oparcie krzesła. Weller był tak zamyślony, iż Sam na próżno wołał go kilkakrotnie po imieniu. Stary ciągle palił fajkę, z nieruchomą i spokojną twarzą, i obejrzał się dopiero wówczas, gdy syn położył mu w końcu rękę na ramieniu.

– Sammy – rzekł wtedy – dobrze, żeś przyszedł.

– Odzywałem się już kilka razy – odrzekł Sam wieszając kapelusz – aleś mnie nie słyszał.

– Tak – odrzekł stangret, znów w zamyśleniu wpatrując się w ogień – marzyłem, Sammy.

– A o czymże tak myślałeś? – zapytał syn, przysuwając sobie krzesło do kominka.

– Myślałem o niej – odparł wdowiec i zwrócił głowę w stronę cmentarza w Dorking, by dać tym do zrozumienia, iż słowa jego odnoszą się do zmarłej pani Weller.

– Nie spodziewałem się – mówił dalej, z wielką powagą wpatrując się w syna, jakby chciał zapewnić, iż to, co powie, chociaż brzmi nieprawdopodobnie, jest jednak całkowicie prawdą – nie spodziewałem się, by, pomimo wszystko, tak mię to obeszło, że odjechała.

– Powinno cię obejmć – rzekł Sam.

Weller kiwnął głową i znów utkwiał oczy w ogień, otoczył się obłokiem dymu i zapadł w głębokie rozmyślenia. Po długim milczeniu zaczął, odganiając ręką dym:

– Ach, mówiła jeszcze tak mądrze, Sammy.

– Co mówiła?

– Myśle... wówczas, kiedy leżała chora – odparł stary.

– Ale co takiego?

– Zaraz ci powiem: „Weller – powiedziała mi – obawiam się, iż nie byłam dla ciebie taka, jak powinnam była być. Ty jesteś dobry człowiek, z najlepszym sercem – mogłam stworzyć ci o wiele przyjemniejszy dom. Teraz, kiedy już za późno – powiedziała – przekonywam się, iż jeżeli kobieta zameżna chce być miłą Bogu, to naprzód powinna wypełniać wszystkie swe obowiązki w domu, aby tym, którzy ją otaczają, uczynić życie szczęśliwym i przyjemnym. Może wprawdzie chodzić do kościoła, do kaplicy czy gdzie tam, ale nie może uważać, że w ten sposób opłaci swe lenistwo albo sobkostwo, albo coś jeszcze gorszego. Ja postępowałam przeciwnie i traciłam czas i pieniądze dla ludzi używających czasu i pieniędzy na jeszcze gorsze cele. Ale gdy mnie już nie stanie, Wellerze, sądzę, że pozostanę w twojej pamięci taka, jaka byłam z natury, przed poznaniem tych ludzi”. „Zuzanno” – powiedziałem jej. Właściwie nie wiedziałem, co powiedzieć, Samiwelu, bo byłem bardzo wzruszony. Nie ma co temu przeczyć. – „Zuzanno – powiedziałem – jedno z drugim wzięwszy, byłaś bardzo dobrą żoną, więc nie mówmy o tym. Nabierz odwagi, moja kochana, a dożyjesz jeszcze tego, że rozwalę głowę

temu Stigginsowi”. Uśmiechnęła się na te słowa, Samiwelu – rzekł stangret, tłumiąc fajką westchnienie – ale pomimo to umarła.

Po trzech czy czterech minutach, podczas których zacny pan Weller senior nieustannie kiwał powoli głową, uroczyście pałac przy tym fajkę, Sam odważył się na kilka słów pociechy:

– No, ojcze, wszyscy pomrzemy, jeden prędzej, drugi później.

– Tak, wszyscy, Sammy – rzekł pan Weller.

– Tak już zarządziła opatrność – rzekł Sam.

– Naturalnie – odpowiedział ojciec, kiwając głową na znak potwierdzenia – bo w przeciwnym razie cóż by robili przedsiębiorcy pogrzebowi?

Wpadłszy na nieograniczone pole przypuszczeń i domysłów z racji tej ostatniej refleksji, stary Weller położył fajkę i poprawił ogień z zamyśloną miną.

Gdy był tym zajęty, tłusciuchna kucharka w żalobie, dotąd porządkująca coś na bufecie, wsunęła się do pokoju i ukłoniwszy się kilkakrotnie Samowi stanęła w milczeniu za krzesłem Weller, oznajmiając mu swą obecność lekkim kaszlem, po którym, gdy go nie zauważono, nastąpił mocniejszy.

– A to co? – zawołał stangret, odsuwając pośpiesznie swe krzesło i odwracając się tak prędko, iż upuścił pogrzebacz. – Cóż tam?

– Napije się pan może filiżankę herbaty, kochany panie Weller? – zapytała tłusciutka kucharka przymilnym głosem. – Nie chcę – odpowiedział krótko stangret. – Niech pani idzie na spacer... – Tu nagle zatrzymał się i dodał cicho: – gdzie pieprz rośnie.

– Ach, jak to nieszczęście zmienia ludzi! – zawołała kucharka, podnosząc oczy w górę.

– Ale przynajmniej nie doprowadzi mię do zmiany stanu – mruknął Weller.

– Doprawdy, nigdy nie widziałam człowieka z takimi humorami – rzekła otyła kucharka.

– To nic nie szkodzi! To dla mego dobra, jak mówił pewien uczeń pocieszając się, gdy go oćwiczono – rzekł pan Weller.

Tłusciuchna kucharka potrząsnęła głową z wielkim współczuciem i zwracając się do Sama zapytała, czy nie sądzi, iż ojciec jego powinien jakoś zebrać się w sobie i walczyć ze swym przygnębieniem.

– Sam pan widzi, panie Samuelu – dodała – a ja mówiłam mu to jeszcze przedwczoraj, że prędko poczuje się samotny i że nie potrafi tego znieść; ale powinien dać sobie z tym jakoś radę; bo to pewne, iż szczerze go żałujemy i gotowiśmy zrobić wszystko, by mu było dobrze. Bo nie ma przecież takiej sytuacji w życiu, by nie można było jej polepszyć, jak mi mówiła jedna bardzo godna osoba, gdy umarł mój mąż.

Tu tłusciutka oratorka, przyłożywszy rękę do ust, znów odkaslnęła i czule spojrzała na Weller.

– W tej chwili nie potrzebuję gadaniny pani – rzekł stangret głosem poważnym i stanowczym – proszę więc być tak dobrą i odejść!

– Dobrze, dobrze, panie Weller! Mówiłam do pana, kierując się jedynie miłością chrześcijańską.

– O tak, wiem – rzekł pan Weller. – Samuelu, pokaż pani drogę i zamknij drzwi.

Aluzja ta nie poszła na marne, gdyż tłusciutka kucharka bezzwłocznie wyszła, zatrzaskawszy za sobą drzwi. Wtedy Weller, spocony, znów padł na krzesło i zawołał:

– Sammy! Jeżeli pozostanę tu choć tydzień, tylko jeden tydzień, mój chłopcze, to jestem pewny, że ta kobieta wyda się za mnie gwałtem.

– Tak jest w tobie zakochana? – zapytał Sam.

– Co tam zakochana! Nigdzie nie mogę ukryć się przed nią. Gdybym był zamknięty w żelaznej skrzyni z patentowanym zamkiem, to i wtedy znalazłaby sposób, by dostać się do mnie.

– To wspaniałe być tak pożądanym! – zauważył Sam z uśmiechem.

– Nie bardzo mi to pochlebia, Sammy – odrzekł Weller, poprawiając ogień. – To okropne położenie. Po prostu nie mogę siedzieć w domu. Zaledwie twoja biedna macocha zamknęła oczy, już jedna baba przysłała mi słoik konfitur, druga słoik korniszonów, trzecia ugotowała dzban rumianku i wręczyła mi go własnoręcznie.

Tu Weller zatrzymał się z oznakami wielkiego niesmaku, a potem dodał zniżając głos:

– Wszystko to były wdowy, Sammy, z wyjątkiem tej z rumiankiem, która była pięćdziesięcioletnią panną.

Sam odpowiedział swemu ojcu łobuzerskim spojrzeniem, a stary stangret począł rozbijać wielki kawał węgla z tak mściwym wyrazem, jakby to była głowa jednej z wyżej wymienionych wdów.

– Jednym słowem – powiedział w końcu – nigdzie nie czuję się bezpiecznie, tylko na koźle.

– Dlaczego miałbyś tam czuć się bezpieczniej aniżeli gdzie indziej? – zapytał Sam.

– Bo stangret jest to istota uprzywilejowana – odrzekł Weller, wpatrując się w syna. – Bo stangret może, nie budząc podejrzeń, robić to, czego inny człowiek robić nie może; bo stangret może być na najprzyjaźniejszej stopie z osiemdziesięcioma tysiącami podróżnych płci pięknej, a nigdy nikt nie pomyśli, że może mieć chęć do żeniaczki z którąś z nich. Czy jest jaki inny śmiertelnik, który by to mógł o sobie powiedzieć, Sammy?

– Tak, w tym coś jest – odrzekł Sam z zamyśloną miną.

– Gdyby twój pryncypał był stangretem, myślisz, że przysięgli zasądziłiby go?! Nigdy! nawet gdyby doszło do ostateczności. Nigdy nie byłiby go zasądzi.

– Dlaczego? – spytał Sam z powątpiewaniem.

– Dlaczego?! Bo to byłoby przeciwne ich sumieniu. Prawdziwy stangret to coś pośredniego między człowiekiem żonatym a kawalerem. I każdy rozsądny człowiek to rozumie.

– Chcesz powiedzieć, że każda ich kocha, a żadna nie wykorzystuje sytuacji... Może... – powiedział Sam.

Weller kiwnął głową, potem dodał:

– Czemu tak się dzieje, sam nie wiem. Ale tak jest. Stangret, który objeżdża swoje stacje, ma tyle miłych przymiotów, że wszystkie młode dziewczęta we wszystkich miastach, przez które przejeżdża, zawsze oglądają się za nim, ba, powiedziałbym, że niemal modlą się do niego. Dlaczego, nie wiem, ale wiem, że tak jest. To jest prawo natury, *dispensarium* opatrności, jak zwykła była mawiać twoja biedna macocha.

– Dyspozycja – zauważył Sam, poprawiając ojca.

– Bardzo dobrze, Samie, niech będzie dyspozycja; powiedziałem *dispensarium*, bo wszędzie tak napisano, gdzie dostaje się lekarstwa za darmo i trzeba tylko przynieść flaszkę. Więcej nie mówię.

Po tych słowach pan Weller napełnił fajkę i zapalił ją, po czym przybierając znów wyraz zamyślenia, ciągnął dalej:

– Dlatego też, mój chłopcze, ponieważ nie widzę korzyści z pozostawania tu i narażania się na ożenienie gwałtem i ponieważ nie chcę się rozstawać z najprzyjemniejszymi członkami naszego towarzystwa, postanowiłem jeździć dalej starym dyliżansem i przenieść się z powrotem „Pod Dziką Dziewczynę”, która jest moim naturalnym żywiołem.

– A cóż będzie z zakładem? – zapytał Sam.

– Zakład, mój chłopcze, ze wszystkim, co do niego należy, sprzedam i tak jak życzyła sobie twoja macocha przed śmiercią, dwieście funtów z sumy otrzymanej za sprzedaż umieści się na twoje imię w tych... jakże to nazywają się te historie?

– Jakie historie?

– Te, co to co dzień podnoszą się i spadają w City?

– Omnibusy?

– Nie, te, co ciągle są w ruchu i ciągle płaczą się z długiem państwowym, bonami skarbowymi itd.?

– A! Papiery wartościowe?

– Tak, tak! Papiery wartościowe. Dwieście funtów szterlingów umieścimy w tych funduszach na twoje imię, w obligacjach na cztery i pół procent, Sammy.

– Bardzo to pięknie ze strony macochy, że pamiętała o mnie, bardzo jej jestem za to wdzięczny – rzekł Sam.

– Resztę złoży się na moje imię, a gdy wybiorę się w swoją ostatnią podróż, tobie się to dostanie. Więc uważaj, abyś od razu nie przepuścił wszystkiego, mój chłopcze, i uważaj, by jaka wdowa nie zwietrzyła twoich pieniędzy, bo jesteś zgubiony.

Dawszy synowi tę ojcowską przestrożę, Weller rozpozgodził nieco czoło. Widocznie ulgę mu przyniosło, iż powiedział synowi, co chciał.

– Ktoś puka – rzekł Sam po chwili.

– Niech sobie puka – rzekł Weller z godnością.

Sam nie ruszył się. Zapukano powtórnie, potem znów, potem pukano bez przerwy, tak że Sam w końcu zapytał, czy może wpuścić pukającą osobę.

– Ts! – szepnął Weller, patrząc z przerażeniem – nie zważaj na to, Sammy, może znów jaka wdowa.

Ponieważ nie zwracano uwagi na pukanie, po jakimś czasie niewidzialny gość spróbował sam otworzyć drzwi i zajrzeć do pokoju. Wtedy ukazała się nie głowa kobieca, ale długie czarne włosy i czerwona twarz pana Stigginsa.

Staremu stangretowi fajka wypadła z ręki.

Wielebny gentleman otworzył drzwi ruchem prawie niedostrzegalnym, aż szpara była dość wielka, by przepuścić chuderlawą postać, po czym wśliznął się do pokoju i równie cicho zamknął drzwi. Następnie, zwróciwszy się do Sama, podniósł ręce i oczy do sufitu na znak niepokieszonego smutku, który go ogarnął z powodu rodzinnego nieszczęścia Wellerów; potem wziął z kąta wielki fotel, zaniósł go przed kominek, usiadł i wydobywszy z kieszeni chustkę, przyłożył ją do oczu.

Gdy to się działo, Weller siedział nieruchomo, z wytrzeszczonymi oczyma, oparłszy rękę o kolana, a cała jego postawa wyrażała bezgraniczne zdumienie. Sam, siedząc naprzeciw ojca, w milczeniu i z ogromną ciekawością czekał na dalszy przebieg tej sceny.

Pan Stiggins przez kilka minut trzymał chustkę przy oczach, wielokrotnie wydając bolesne jęki. Potem, pokonawszy swój smutek z ogromnym wysiłkiem, włożył chustkę do kieszeni, zapiął guziki, poprawił ogień, potarł sobie ręce i spojrzął na Sama.

– O, mój młody przyjacielu! – zawołał, przerywając milczenie, ale głosem bardzo cichym.
– Cóż to za okropne zmartwienie i boleść.

Sam lekko pochylił głowę.

– I dla męża złości także! O! Od tego krwawi serce wybrańca bożego!

Samowi zdawało się, że ojciec jego coś mruknął o nosie wybrańca, który także można zakrwawić, ale pan Stiggins nie dosłyszał tego.

Wielebny przesunął sobie krzesło do Sama.

– Nie wiesz, młody człowieku – powiedział – czy nie zapisała czego dla Emanuela?

– Co to jest? – zapytał Sam.

– Kaplica... nasza kaplica... nasza trzoda, kochany panie.

– Nic nie zapisała ani dla trzody, ani dla pasterza, ani dla żadnego bydła, nawet dla psa nic nie zapisała – odrzekł Sam stanowczo. Pan Stiggins podejrzliwie spojrzął na Sama, a potem na starego Wellera, który zamknął oczy, jakby spał. Po chwili przesunął krzesło jeszcze bliżej i zapytał znów:

– A dla mnie nic, panie Samuelu?

Sam potrząsnął głową.

– Pomyśl pan tylko, może przecież coś – rzekł Stiggins, blady jak papier. – Przypomnij pan sobie, panie Samuelu; nic, nawet na pamiątkę?

– Nic, co by warte było choćby tyle, co pański stary parasol...

– Może – zaczął znowu pan Stiggins z wahaniem po kilku minutach namysłu – może poleciła mnie opiece męża złości, panie Samuelu?

– To być może, wnosząc z tego, co mi powiedział. Niedawno właśnie mówił o panu – odparł Sam.

– Doprawdy? – zawołał pan Stiggins, nabierając otuchy. – Ach! Może się odmieni! Będziemy mogli bardzo wygodnie żyć razem, panie Samuelu. Gdy pan wyjedzie, będę się opiekował jego sprawami – a z pewnością będę się opiekował dobrze.

Wydawszy z głębi piersi długie westchnienie pan Stiggins zatrzymał się, czekając na odpowiedź. Sam pochylił głowę, a Weller wydał jakiś niezwykły głos, który nie był ani jękiem, ani warczeniem, ani chrapaniem, ale w którym, zdawało się, zawarte były wszystkie te odcienie.

Ośmielony tym głosem, który wziął za oznakę skruchy lub wyrzutów sumienia, pan Stiggins spojrzał dokoła, zatarł ręce, zapłakał, uśmiechnął się, znów zapłakał, a potem z wolna przeszedłszy przez pokój wziął szklanekę z dobrze sobie znanej półki i ostrożnie włożył do niej cztery kawałki cukru. Po spełnieniu tej pierwszej czynności znów spojrzał dokoła i westchnął ponuro. Następnie posunął się wilczym krokiem ku bufetowi i powracając z tą samą szklaneką do połowy napełnioną arakiem, przybliżył się do wesoło kipiącego na kominku kociołka, przyrządził sobie grog, zamieszał, skosztował, usiadł, pociągnął długi łyk i zatrzymał się, by odetchnąć.

Weller, który czynił różne dziwne i niezwykle wysiłki, by udawać śpiącego, nie zdradził się żadnym ruchem podczas wszystkich tych czynności; ale gdy pan Stiggins zatrzymał się, by odetchnąć, rzucił się na niego, wyrwał mu szklanekę z rąk, bryzgnął w twarz resztą grogu, szklanekę cisnął w kominek i porwawszy wielebnego gentlemana za kołnierz, zaczął go bić i kopać, przy czym każdemu ruchowi nogi towarzyszyły mocne, choć bez związku przekleństwa na wszystkie członki pana Stigginsa, na jego oczy i jego ciało.

– Sammy! – zawołał potem, zatrzymawszy się na chwilę. – Osadź no mi należycie kapelusz na głowie!

Jako posłuszny syn, Sam osadził ojcu kapelusz ozdobiony czarną krępą, a dzielny stangret zaczął tłuc pana Stigginsa jeszcze energiczniej niż przedtem, powlókł go przez salę, sień i drzwi aż na ulicę, przy czym uderzenia nogami nie ustawały ani na chwilę przez całą drogę, a gwałtowność ich, zdawało się, zwiększała się coraz bardziej.

Pyszny to był i wesoły widok, gdy czerwono nosy, drżąc całym ciałem, wił się w żyłastych rękach Wellera, gdy tymczasem uderzenia nogą następowały po sobie ze zdumiewającą szybkością. Ale widok stał się jeszcze wspanialszy, gdy potężny stangret po przewyciężeniu rozpaczliwego oporu swej ofiary zanurzył głowę pana Stigginsa w stągiew pełną wody i trzymał ją tam, dopóki delikwent omal się nie udusił.

– Masz – rzekł na koniec, pozwalając wielebnemu wydobyć głowę ze stągwi i zadając mu ostatnie, energiczne uderzenie nogą. – Przyślij mi tu jeszcze kilku takich próżniackich pastery, a zrobię z nich miazgę, a potem utopię. Sammy, pomóż mi wejść do domu i nalej szklanekę wódki. Zadyszałem się, mój chłopcze.

Rozdział dwudziesty czwarty

opisujący ostateczne rozstanie z panem Jingle'em i Hiobem Trotte-rem, zawierający opis pamiętnego poranku poświęconego interesom w Gray's Inn Square, a zakończonego kilkakrotnym stukaniem do drzwi pana Perkera

Gdy pan Pickwick po długim przygotowaniu i licznych zapewnieniach zawiadomił Arabellę o niezadowolającym wyniku swojej wizyty u pana Winkle'a starszego w Birmingham, nadmieniając przy tym, iż nie ma najmniejszego powodu, by oddawać się rozpacz, biedna kobieta zalała się łzami, wyrzucając sobie, iż stała się powodem nieporozumienia między ojcem a synem.

– Moje drogie dziecię – rzekł z dobrocią pan Pickwick – tyś temu nie winna. Trudno było przewidzieć, iż pan Winkle tak źle odniesie się do małżeństwa swego syna. A jestem pewny – dodał, wpatrując się w jej piękną twarz – iż nawet nie przypuszcza, jakiej sobie odmawia radości.

– Ach! Kochany panie Pickwick, cóż my poczniemy, gdy on nie przestanie się na nas gniewać?

– Będziemy cierpliwie czekać, aż się opamięta, moje kochane dziecię – rzekł z zadowoleniem pan Pickwick.

– Ale cóż zrobi Nataniel, gdy ojciec odmówi mu swej pomocy?

– W takim razie, moja droga, gotów jestem założyć się, iż znajdzie jakiego innego przyjaciela, który mu dopomoże do utorowania sobie drogi w świecie – odparł filozof.

Znaczenie tej odpowiedzi było dość jasne, by Arabella zrozumiała ją. Rzuciła się więc panu Pickwickowi na szyję, serdecznie go ucałowała i zapłakała jeszcze mocniej.

– No, no, uspokój się, pani – rzekł filozof, biorąc ją za obie ręce – poczekam jeszcze kilka dni i zobaczymy, czy odpisze lub da Natanielowi jaką inną odpowiedź. Jeżeli nie da żadnej, to mam w głowie tuzin planów, z których każdy zapewni wam szczęście. Uspokój się, moja droga.

To powiedziawszy, pan Pickwick uścisnął rękę Arabelli i poprosił ją, by przestała płakać, gdyż może tym zmartwić męża. Gdy tylko Arabella, najlepsza w świecie istota, usłyszała to, schowała chustkę; a gdy przyszedł pan Winkle, powitała go z tym samym uśmiechem i tymi samymi błyszczącymi oczami, które na początku ich znajomości zawiązały jego sercem.

– Przykre jest położenie tego młodego małżeństwa – powiedział do siebie pan Pickwick rankiem następnego dnia. – Muszę iść do Perkera i zasięgnąć jego rady!

Ponieważ panu Pickwickowi bardzo się śpieszyło pomówić o tej sprawie, jak również załatwić swoje rachunki z poczciwym panem Perkerem, kazał prędko podawać śniadanie i tak szybko wykonał swój zamiar, że nim wybiła dziesiąta, już był w biurze.

Brakowało całych dziesięciu minut do dziesiątej, a pan Pickwick szedł już po schodach prowadzących do mieszkania adwokata. Dependenci jeszcze nie nadeszli, więc filozof nasz skracał sobie czas wyglądaniem przez okno.

Jasne światło październikowego poranku nawet starym domom nadawało wesoły wygląd; niektóre brudne okna miały wygląd prawie przyjemny, gdy padały na nie promienie słońca. Tłumy dependentów adwokackich pokazywały się i znikwały w rozmaitych zaułkach. Każdy z nich patrzył na zegar ratuszowy i zwalniał lub przyśpieszał kroku w zależności od pory, w jakiej nominalnie zaczynały się jego godziny biurowe; panowie „od wpół do dziesiątej” stawali się nagle bardzo ruchliwi, panowie zaś „od dziesiątej” – bardzo arystokratycznie powolni. Zegar wydzwonił dziesiątą, urzędnicy przyśpieszyli kroku, jeden chciał wyminąć drugiego. Wszędzie rozlegało się echo odmykanych i zamykanych drzwi. W każdym oknie, jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, pokazywały się głowy. Portierzy zajmowali miejsca przy drzwiach. Gospodynie w przydeptanych pantoflach biegły na miasto. Pocztylion chodził od domu do domu. Wszędzie zawrzało życie.

– Wczesny z pana ptak, panie Pickwick! – zawołał jakiś głos.

– A, pan Lowten! – powiedział filozof, oglądając się i poznając starego znajomego.

– Trochę za gorąco, by spacerować – powiedział pan Lowten.

– Tak można by sądzić po panu – powiedział pan Pickwick, patrząc na purpurowe oblicze dependenta.

– Miałem kawał drogi – objaśnił pan Lowten. – Biło wpół, kiedy byłem jeszcze przy poligonie! Ale zdążyłem przed nim, więc mniejsza o to!

Pocieszywszy się tą refleksją, pan Lowten wyjął klucz, otworzył biuro, schował klucz do kieszeni i wyjął listy, które pocztylion wrzucił do skrzynki, po czym wprowadził pana Pickwicka do biura. Tu w mgnieniu oka uwolnił się od marynarki, włożył stare ubranie, które chował w biurku, powiesił kapelusz, poukładał kilka stosów papierów i dokumentów w równoległe rzędy i założywszy pióro za ucho, zatarł ręce z miną wielce zadowoloną.

– Jużem gotów, jak pan widzi – powiedział. – Zdjąłem kurtkę spacerową, przebrałem się po biurowemu – jak chce, niech przychodzi! Ma pan przy sobie szczyptę tabaki?

– Nie – odpowiedział pan. Pickwick.

– Mocno żałuję! – powiedział pan Lowten. – Mniejsza o to! Skoczę po butelkę wody sodowej! Czy nie wyglądam trochę „nie tego” koło oczu?

Indywidualność, do którego zwrócone były te słowa, przyjrzało się panu Lowtenowi z pewnej odległości, po czym stwierdziło, że koło oczu nie ma nic „nie tego”.

– Bardzom rad! – zawołał pan Lowten. – Zabawiliśmy się wczoraj zbyt długo „Pod Ogarkiem”, a zawsze potem czuję się niewyraźnie... Pan Perker zajmuje się już pańską sprawą!

– Jaką sprawą? – zapytał pan Pickwick. – Kosztami procesu z panią Bardell?

– Nie, sprawą tego jegomościa, za którego weksel płaciliśmy na pański rachunek po dziesięć szylingów za sto, aby, jak pan wie, wydobyć go z więzienia Fleet Street i wyprawić do Demerary.

– A! Pana Jingle'a! – zawołał żywo pan Pickwick. – Jakże poszło?

– Wszystko już ułożone. Nasz agent w Liverpoolu pisze, iż niejednokrotnie doznawał uprzejmości od pana, gdyś pan zajmował się jeszcze interesami, i że wysłał pana Jingle'a do Ameryki, jeżeli pan poleci to zrobić.

– Bardzo mię to cieszy – rzekł pan Pickwick.

– Ale – dodał pan Lowten, skrobiąc pióro po odwrotnej stronie, by zrobić nowe nacięcie – ale ten drugi, cóż to za wrażliwy pan?

– Jaki drugi?

– Ten służący czy przyjaciel... ten... pan wie przecież: Trotter.

– Ba! – zawołał pan Pickwick – o nim zawsze myślałem coś wprost przeciwnego.

– I ja także. Sądziłem z tego wyłącznie, co o nim wiedziałem. Ale to dowodzi tylko, jak łatwo można się mylić. Co by pan powiedział na to, gdyby Trotter pojechał do Ameryki?

– Co? Nie chce przyjąć tego, co mu tu daję? – zawołał pan Pickwick.

– Nie chce. Kiedy pan Perker powiedział, że daje mu osiemnaście szylingów, i obiecał mu podwyżkę, jeżeli będzie się starał, zlekceważył to zupełnie – odrzekł pan Lowten. – Powiedział, że musi jechać z tamtym. Uprosil Perkera, żeby raz jeszcze napisał i żeby przyjęto go na tę samą fermę. Perker powiada, że nawet w połowie nie będzie im tak dobrze jak przestępcom w Nowej Południowej Walii, jeżeli zjawiają się porządnie ubrani...

– Co za szaleństwo! – zawołał pan Pickwick z błyskiem w oczach. – Co za szaleństwo!

– To, panie, gorzej niż szaleństwo! — odrzekł pan Lowten pogardliwie. – To ciężka głupota. Mówi, że to jego jedyny przyjaciel, że całą duszą jest do niego przywiązany itd. Przyjaźń to piękna rzecz! Wszyscy jesteśmy przyjaciółmi „Pod Ogarkiem”, zwłaszcza przy grogu i gdy każdy płaci za siebie! Ale diabła by tam chciał się kto poświęcać dla innych! Człowiek powinien mieć tylko dwa rodzaje przywiązania: pierwsze do zaimka osobowego w pierwszej osobie, drugie do dam w ogólności! Taki jest mój system! Cha, cha, cha!

Pan Lowten zakończył śmiechem pół drwiącym, pół wesołym, który nagle urwał się na dźwięk kroków pana Perkera. Na ten dźwięk bardzo zręcznie usiadł na krześle i zaczął zapamiętale machać piórem.

Przywitanie pana Pickwicka z jego doradcą prawnym było serdeczne i ciepłe. Zaledwie jednak klient usiadł w fotelu adwokata, gdy jakiś głos spytał, czy pan Perker przyjmuje.

– To, panie, jeden z naszych wagabundów – rzekł pan Perker – czy chce pan widzieć?

– Jak pan myśli? – rzekł pan Pickwick z wahaniem.

– Ja myślę, że tak będzie najlepiej. No, panie, jak się tam pan nazywa... proszę wejść.

Na to zaproszenie weszli panowie Jingle i Hiob Trotter, ale ujrawszy pana Pickwicka stanęli, zmieszani.

– No? – spytał pan Perker. – Nie znacie tego gentlemana?

– Mamy powody znać – powiedział pan Jingle występując naprzód. – Panie Pickwick – wysoce zobowiązani – uratował pan życie – zrobił ze mnie człowieka – nigdy pan tego nie pożałuje, panie...

– Miło mi to słyszeć od pana – odrzekł pan Pickwick. – Teraz wygląda pan lepiej.

– Wszystko z łaski pana. Wielka zmiana. Więzienie Jej Królewskiej Mości jest niezdrowe, bardzo niezdrowe.

Pan Jingle był ubrany skromnie i przyzwoicie, podobnie jak Hiob stojący za nim i wpatrujący się w pana Pickwicka.

– Kiedy jedziecie do Liverpoolu? – zapytał pan Pickwick.

– Dziś o siódmej wieczorem – rzekł Hiob, występując naprzód – dyliżansem pocztowym z City.

– Macie już miejsca?

– Tak jest – rzekł Hiob.

– Więc jesteś zdecydowany jechać? – zapytał pan Pickwick.

– Tak, proszę pana.

– Co do pana Jingle'a – rzekł pan Perker głośno, zwracając się do pana Pickwicka – to ułożyliśmy się, że co trzy miesiące będzie mu się potrącać pewną kwotę z jego pensji celem opłacenia wydatków, co nastąpi w ciągu roku. Jestem stanowczo przeciwny, byś pan, mój drogi panie, robił dla niego coś, na co nie zasłużył pracowitością i dobrym prowadzeniem.

– Rozumie się – przerwał pan Jingle stanowczo.

– Uwaga słuszna – człowiek praktyczny – sądzi zdrowo, bardzo zdrowo.

– Zaspokajając wierzycieli, wykupując zastawione suknie, żywiąc go w więzieniu, opłacając przejazd do Ameryki, stracił pan już około pięćdziesięciu funtów... – mówił dalej pan Perker nie zwracając uwagi na to, co powiedział pan Jingle.

– Nie stracił! – zawołał energicznie pan Jingle – wszystko będzie zapłacone – będę pracował jak koń – może żółta febra – to trudno – ale jeżeli nie...

Tu pan Jingle zatrzymał się, uderzył mocno dłonią po kapeluszu, podniósł rękę do oczu, potem usiadł.

– Chce przez to powiedzieć – dodał Hiob – że jeżeli go nie zabierze żółta febra, to zapłaci wszystko. Jeżeli będzie żył, panie Pickwick, to dotrzyma słowa; daję na to moją rękę. Jestem pewien, że dotrzyma – powtórzył Hiob z wielkim zapałem – przysięgam.

– Dobrze, dobrze – odrzekł pan Pickwick, który rzucił Perkerowi kilkadziesiąt karcących spojrzeń, by mu dać do poznania, że nie życzy sobie wyliczania swych dobrodziejstw, na co jednak mały adwokat nie zwracał najmniejszej uwagi. – Radzę panu tylko – dodał z uśmiechem, zwracając się do pana Jingle'a – byś pan nie brał udziału w takich niezwykłych meczach krokietowych i nie zadawał się z sir Tomaszem Blazo. Wtenczas, nie wątpię, że nie straci pan zdrowia. Pan Jingle uśmiechnął się, ale miał minę trochę głupią, więc pan Pickwick zmienił temat rozmowy.

– Nie wie pan przypadkiem, co się stało z drugim naszym przyjacielem, tym skromniejszym, którego widziałem w Rochester?

– Z ponurym Jimmym? – spytał pan Jingle.

– Tak.

Pan Jingle pokiwał głową.

– Mądry łotr – zabawny facet – genialny kpiarz – brat Hioba.

– Brat Hioba! – zawołał pan Pickwick. – Tak, teraz nawet widzę podobieństwo.

– Często myślą nas – powiedział Hiob z chytrym uśmiechem w kątach ust. – Ale ja byłem zawsze poważniejszy od niego. Wyemigrował do Ameryki, proszę pana, za bardzo dał się tu we znaki, żeby mu pozwolili żyć spokojnie! I więcej nie dał o sobie znaku życia!

– To tłumaczy, dlaczego nigdy nie otrzymałem obiecanych „Kartek z prawdziwego życia”, które miał mi dostarczyć w ów dzień, kiedy to podejrzewano, że popełnił samobójstwo – powiedział pan Pickwick z uśmiechem. – Na Rochester Bridge! Nie potrzebuję pytać, czy jego posępne usposobienie było udane, czy szczere!

– On potrafi wszystko udać – powiedział Hiob. – Pańskie szczęście, proszę pana, że się pan tak tanio od niego wykupił! Przy bliższym poznaniu mógł być nawet niebezpieczniejszy od... od... – Hiob spojrzał na pana Jingle'a, zawahał się i dodał: – ode mnie nawet!

– Obiecująca rodzinka, panie Trotter – powiedział pan Perker, zalakowując napisany właśnie list.

– Tak, panie – odpowiedział Hiob. – I bardzo!

– No – powiedział mały adwokat z uśmiechem – mam nadzieję, że pan nie spełni nadziei pokładanej w panu! Proszę oddać ten list agentowi po przybyciu do Liverpoolu i jeśli mi wolno radzić, nie dajcie się panowie zbyt szybko poznać w Indiach Zachodnich. Jeżeli zmarnujecie tę sposobność, zasługujecie obaj na stryczek, który, według mnie, słusznie wam się należy! A teraz zostawcie nas z panem Pickwickiem, mamy ze sobą jeszcze inne interesy, a czas jest drogi! – To mówiąc Perker spojrzał na drzwi, starając się jak można skrócić pożegnanie.

Ze strony pana Jingle'a nie trwało ono długo. W krótkich słowach podziękował adwokato- wi za życzliwość i szybkość, z jaką pokierował jego interesami, potem zwróciwszy się do swego dobroczyńcy stał przez kilka chwil jakby niezdecydowany, co ma zrobić lub powiedzieć. Hiob położył kres tej sytuacji skłoniwszy się nisko i z wdzięcznością panu Pickwicko- wi, po czym uprzejmie ujął pod rękę swego przyjaciela i wyprowadził go.

– Godna para! – powiedział pan Perker, gdy drzwi zamknęły się za nimi.

– Mam nadzieję, że tym się staną – odrzekł pan Pickwick. – Jak pan przypuszcza? Czy jest możliwe, że ich nawrócenie będzie stałe?

Perker wzruszył ramionami z powątpiewaniem, ale widząc przerażone i rozczarowane spojrzenie pana Pickwicka powiedział:

– Oczywiście, że to możliwe! W obecnej chwili są bezwzględnie skruszeni i dobrze pamiętają, co niedawno wycierpieli. Co się z nimi stanie, gdy pamięć tego osłabnie, nie możemy

odgadnąć ani pan, ani ja! W każdym razie, kochany panie – dodał Perker kładąc rękę na ramieniu pana Pickwicka – pański czyn przynosi panu zaszczyt bez względu na skutek, jaki za sobą pociągnie. Czy ten rodzaj uczynności, tak dalekowzroczny i wspaniałomyślny, że aż rzadko stosowany, może być nazwany prawdziwym miłosierdziem, czy omamieniem siebie samego, pozostawiam do rozstrzygnięcia mądrzejszym ode mnie. Ale nawet gdyby te dwa draby zaraz jutro dokonały napadu bandyckiego, sąd mój o pańskim czynie nie ulegnie zmianie.

Wypowiedziawszy powyższe uwagi, w ów uroczysty i natchniony sposób, właściwy gentlemanom jego profesji, pan Perker przysunął sobie krzesło do biurka i wysłuchał opowieści pana Pickwicka o uporze pana Winkle'a seniora.

– Dajcie mu tydzień do namysłu! – rzekł mały adwokat, proroczo kiwając głową.

– Czy myśli pan, że ustąpi?

– Rozumie się. Jeżeli nie, niech go przekona ta młoda dama, od czego każdy inny, a nie pan, byłby zaczął zaraz na początku – odparł pan Perker.

Wygłosiwszy tę sentencję pan Perker zażył ogromny niuch tabaki, wzruszając ramionami na dowód, jak wysoko ceni odnośne zdolności młodych dam. Wtem w pierwszym pokoju dały się słyszeć głosy, a następnie zapukał pan Lowten.

– Proszę wejść! – rzekł mały adwokat.

Dependent wszedł i zamknął za sobą drzwi z tajemniczą miną...

– Co tam? – zapytał pan Perker.

– Pytają o pana.

– Kto?

Lowten spojrzał na pana Pickwicka i kaszlnął.

– Mów pan, kto o mnie pyta?

– Panowie Dodson i Fogg.

– Ach, prawda! – zawołał pan Perker spoglądając na zegarek. – Umówiłem się z nimi, by przyszli tu o pół do dwunastej celem zakończenia pańskiej sprawy, panie Pickwick. Dałem im rewers, za który przysłali mi pańskie zwolnienie z więzienia. Przychodzą bardzo nie w porę. Cóż pan zrobi teraz ze sobą, drogi panie? Może zechce pan przejść do drugiego pokoju?

Ponieważ tym „drugim pokojem” był właśnie pokój, w którym czekali panowie Dodson i Fogg, pan Pickwick odpowiedział, że zostanie tu, gdzie jest. Zwłaszcza że nie on, tylko panowie Dodson i Fogg powinni wstydzić się spojrzeć mu w twarz, co pan Perker powinien wziąć pod rozwagę – powiedział pan Pickwick z twarzą zaczerwienioną i odpowiednim tonem.

– Bardzo dobrze, panie – odrzekł pan Perker. – Ale jeżeli pan przypuszcza, że Dodson i Fogg okażą skruchę i żal dlatego, że muszą panu czy komu innemu spojrzeć w twarz, to jest pan największym optymistą, jakiego kiedykolwiek widziałem. Lowten! Niech ci panowie wejdą.

Lowten znikł uśmiechając się, a po chwili wrócił, by według obowiązujących form wprowadzić firmę: najpierw Dodsona, potem Foggą.

– Sądzę, że panowie znacie już pana Pickwicka – rzekł pan Perker wskazując piórem w kierunku, gdzie siedział filozof.

– Jak się pan ma, panie Pickwick! – zawołał Dodson donośnym głosem.

– Jak się pan ma! – powtórzył Fogg. – Przypuszczam, że dobrze. Mam wrażenie, że znam pana – dodał biorąc krzesło i rozglądając się dokoła z uśmiechem.

Pan Pickwick skinął lekko głową i widząc, że Fogg wyjmuje z kieszeni papiery, cofnął się we wnękę okna.

– Pan Pickwick nie potrzebuje się oddalać – rzekł Fogg do pana Perkera, uwalniając papiery z czerwonego sznurka i uśmiechając się jeszcze przyjemniej – pan Pickwick zna tę sprawę dość dokładnie. Między nami nie ma tajemnic, cha, cha,cha!

– Niewiele w każdym razie – dodał Dodson – cha, cha, cha!

Potem obaj sprzymierzeni roześmiali się z zadowoleniem i wesoło, jak czynią ludzie, którzy mają otrzymać pieniądze.

– Pan Pickwick będzie musiał zapłacić za swoją ciekawość – rzekł pan Fogg z wrodzonym humorem, gdy porządkował papiery. – Suma kosztów wynosi sto trzydzieści trzy funty, sześć szylingów i cztery pency, panie Perker.

Panowie Perker i Fogg zajęli się sprawdzaniem rachunków celem ustalenia zysków i strat i obracali kartki, a pan Dodson wielce uprzejmie odezwał się do pana Pickwicka:

– Nie wygląda pan obecnie tak dobrze jak wówczas, gdy miałem zaszczyt widzieć pana ostatni raz.

– Bardzo być może – odrzekł pan Pickwick, który już rzucił na obydwóch łobuzów tysiące piorunujących spojrzeń, co jednak nie sprawiło najmniejszego wrażenia – w ostatnich czasach byłem prześladowany przez łotrów.

Pan Perker kaszlnął głośno i spytał pana Pickwicka, czyby nie zechciał przeczytać poranych gazet. Ale pan Pickwick stanowczo odmówił.

– Racja! – powiedział pan Dodson. – Założę się, żeś pan miał wiele przykrości w więzieniu! Straszne tam towarzystwo! Gdzie pan mieszkał, panie Pickwick?

– Miałem pokój na tym samym piętrze, co kawiarnia – objaśnił nie posiadający się z oburzenia pan Pickwick.

– Naprawdę? Zdaje się, że to najsympatyczniejsza część gmachu.

– Rzeczywiście – sucho odpowiedział pan Pickwick.

Zimna krew tego nędznika mogła podzielać dość podniecająco na gentlemana o wybuchowym temperamencie. Pan Pickwick nadludzkim wysiłkiem powstrzymał swój gniew. Ale gdy pan Perker wypisał przekaz na całą sumę, a Fogg schował go do kieszeni od kamizelki z triumfalnym uśmiechem na swoim obleśnym obliczu, który to uśmiech natychmiast znalazł odzwierciedlenie na twarzy pana Dodsona, filozof poczuł, że krew uderza mu do głowy.

– Panie Dodson! – powiedział pan Fogg, chowając notes i naciągając rękawiczki – jestem na pańskie rozkazy!

– Służę panu – odpowiedział pan Dodson wstając.

– Jestem bardzo rad – powiedział pan Fogg, ulagodzony nieco posiadaniem przekazu – że miałem sposobność poznać pana, panie Pickwick! Przypuszczam, że nie myśli pan już o nas tak niezyczliwie jak wtedy, gdyśmy się po raz pierwszy widzieli!

– Mam nadzieję! – powiedział pan Dodson tonem obrażonej cnoty. – Pan Pickwick miał sposobność poznać nas lepiej! Bez względu na to, co pan sądzi o ludziach naszej profesji, zapewniam pana, że nie czuję doń żalu ani nie chcę się mścić za uczucia, jakie uważał pan za stosowne okazać nam w naszym biurze na Freeman's Court, Cornhill, o czym raczył wspomnieć mój wspólnik.

– Nie, nie! – dodał pan Fogg tonem wybaczącym.

– Postępowanie nasze mówi samo za siebie i usprawiedliwi nasze stanowisko jak w tym, tak w każdym wypadku. Pracujemy w naszym zawodzie od lat już kilku, szanowny panie, i cieszymy się poważaniem wielu bardzo szanownych klientów. Do widzenia panu!

– Do widzenia panu, panie Pickwick! – powiedział pan Fogg. To mówiąc, włożył parasol pod pachę, zdjął rękawiczkę z prawej ręki i wyciągnął dłoń do gotującego się z gniewu pana Pickwicka.

Filozof natychmiast schował obie ręce do kieszeni i obrzucił go wzrokiem pełnym bezgranicznej pogardy.

– Lowten! – zawołał w tej chwili pan Perker. – Otwórz drzwi.

– Zatrzymaj się pan! — zawołał pan Pickwick. – Teraz ja chcę mówić.

– Mój kochany panie – przerwał mały adwokat, który przez cały ten czas stał jak na rozżarzonych węglach – zakończmy tę sprawę. Proszę pana, panie Pickwick...

– Panie! – odpowiedział żywo pan Pickwick – nikt mnie nie zmusi do milczenia. Panie Dodson – mówił dalej – pan zwrócił się do mnie z pewnymi uwagami.

Dodson odwrócił się, pochylił grzecznie głowę i uśmiechnął się.

– Tak, z pewnymi uwagami... – ciągnął dalej pan Pickwick, zadyszany. – Wspólnik pana podał mi rękę, a obaj panowie posługiwaliście się w stosunku do mnie wybaczącym, wspólnomyślnym tonem, co jest taką bezczelnością, jakiej nawet u panów nie spodziewałem się.

– Co, panie? – zapytali razem Dodson i Fogg.

– Czy wiecie, że padłem ofiarą waszych haniebnych sposobów i sztuczek? Czy wiecie, iż jestem właśnie tym, którego uwięziliście i ograbiliście? Czy wiecie, iż jesteście pełnomocnikami pani Bardell?

– Wszystko to jest nam wiadome – odrzekł Dodson.

– Wiadome! – dodał Fogg uderzając się, może przypadkiem, po kieszeni...

– Widzę, że pamięć o tym miła jest panom – powiedział pan Pickwick, usiłując uśmiechnąć się z goryczą, co mu się zresztą nie udało. – Chociaż dawno już chciałem panom dobitnie wytłumaczyć, co o nich myślę, wyrzekłbym się tej przyjemności przez wzgląd na mego przyjaciela, Perkera, gdyby nie trudny do zniesienia ton panów i ta bezczelna poufałość!... Powtarzam: bezczelna poufałość! – dodał odwracając się do pana Fogg'a ruchem tak gniewnym, że Fogg uważał za stosowne jak najszybciej cofnąć się w kierunku drzwi.

– Zastanów się pan, co mówisz! – zawołał pan Dodson, który, aczkolwiek ważniejsza osobistość od swego towarzysza, przezornie ukrył się za plecami Fogg'a i mówił nad jego głową, blade jak kreda. – Pozwól mu, niech cię obraża, Fogg! Nie odpowiadaj mu!

– Nie mam tego zamiaru – odpowiedział pan Fogg, cofając się trochę dalej jeszcze, ku wielkiemu zadowoleniu swego partnera, który w ten sposób znalazł się poza obrębem biura.

– Jesteście – mówił dalej pan Pickwick, podchwytując nić przerwanej mowy – jesteście parą doskonale dobranych złodziei, łotrów, oszustów!

– Czy to już wszystko? – wmieszał się pan Perker.

– Wszystka się w tym zawiera! – odrzekł pan Pickwick. – Łotry, oszuści!

– Dobrze, dobrze – powiedział adwokat pojednawczym tonem. – Moi kochani panowie, pan Pickwick powiedział wszystko, co miał do powiedzenia! Teraz proszę, byście wyszli. Czy drzwi otwarte, Lowten?

Lowten uśmiechnął się i potwierdził.

– Więc żegnam panów, do widzenia, do widzenia, proszę panów, proszę panów! Panie Lowten! Drzwi! – mówił mały adwokat, wypychając Dodsona i Fogg'a za drzwi. – Tędy, kochani panowie, tędy proszę, nie zatrzymujcie się, tędy, Lowten, drzwi, dlaczego nie otwiera pan drzwi?!

– Jeżeli jest prawo w Anglii – powiedział pan Dodson patrząc na pana Pickwick'a i nakładając kapelusz – zapłaci nam pan za to!

– Złodzieje! – krzyknął pan Pickwick.

– Pamiętaj pan! Drogo za to zapłacisz!

–...Łotry, oszuści! – wołał za nimi pan Pickwick, nie zwracając najmniejszej uwagi na groźby.

– Bandydzi! – wołał pan Pickwick wybiegając na schody, którymi schodzili obaj adwokaci.

– Bandydzi! – wołał pan Pickwick wyrывая się panom Perkerowi i Lowtenowi i biegnąc do okna.

Gdy cofnął głowę od okna, twarz jego była uśmiechnięta, rozpromieniona i pogodna. Spokojnie wszedł do biura i oświadczył, że wielki kamień spadł mu z serca i obecnie czuje się bardzo zadowolony.

Perker milczał przez chwilę, potem wziął niuch tabaki z tabakierki, posłał Lowtena po nowy zapas tabaki i dopiero wtedy wybuchnął śmiechem, który wstrząsał nim przez dobre pięć minut.

Gdy się wreszcie uspokoił, oznajmił, że czuje, iż powinien bardzo się gniewać, ale nie może o tej sprawie myśleć poważnie, a jak będzie mógł, to pomyśli!

– Teraz, kochany panie – powiedział pan Pickwick – musimy załatwić ze sobą rachunki!

– W taki sam sposób jak tamte? – zapytał pan Perker, na nowo wybuchając śmiechem.

– Niezupełnie – powiedział pan Pickwick, wyciągając notes i serdecznie ściskając dłoń plenipotenta. – Miałem na myśli rachunki finansowe. Zrobił pan dla mnie bardzo wiele – nigdy panu za to nie będę w stanie zapłacić! I nie chcę zapłacić! Wolę być pańskim dłużnikiem!

Po tym wstępie dwaj przyjaciele zagłębili się w bardzo poważne i zawiłe rachunki, które przedstawił pan Perker, a pan Pickwick natychmiast uregulował z oznakami wielkiej wdzięczności i życzliwości.

Zaledwie skończyli, rozległo się silne pukanie do drzwi. Nie było to zwykłe podwójne pukanie, ale nieprzerwany szereg jednostajnych uderzeń, jak gdyby pukający bez przerwy ruszał rękami lub zapomniął, co robi.

– A to co takiego? – zdumiał się Perker.

– Zdaje mi się, że pukają do drzwi! – odrzekł pan Pickwick, jak gdyby ktoś mógł mieć co do tego najmniejszą wątpliwość.

Pukający dał odpowiedź głośniejszą, niż dać mógł jakimikolwiek słowami, nie przestając pukać – coraz głośniej i coraz mocniej.

– Słowo daję! – zawołał pan Perker, chwytając za dzwonek. – Poruszymy cały gmach! Panie Lowten, słyszy pan pukanie?

– Zaraz otworzę, proszę pana! – odpowiedział dependent.

Zdawało się, że pukający słyszy odpowiedź i pragnie dać dowód, iż nie może czekać długo. Wyraził to hałasem nie do zniesienia.

– To niemożliwe! – zawołał pan Pickwick, zatykając sobie uszy.

– Spiesz się pan, panie Lowten, bo nałożą nam karę! – zawołał pan Perker.

Pan Lowten, który właśnie mył ręce w ciemnej alkwie, pobiegł do drzwi i otworzywszy je ujrział to, co opiszemy w następnym rozdziale.

Rozdział dwudziesty piąty

zawiera szczegółowe sprawozdanie z pukania oraz inne rzeczy, między innymi ciekawe dane dotyczące pana Snodgrassa i pewnej młodej damy, a pozostałe w związku z tą historią

Przedmiot, który przedstawił się oczom zdumionego dependenta, był to chłopiec – cudownie tłusty chłopiec – ubrany za grooma, stojący na słomiance, z oczyma przymkniętymi, jak gdyby spał. Pan Lowten nigdy w życiu nie widział tak pyzatego chłopca. A postawa pukającego i jego śpiąca mina były czymś wręcz przeciwnym temu, czego było można po takim pukaniu oczekiwać! Nic więc dziwnego, że się zdumiał.

– Co się stało? – spytał pan Lowten.

Dziwny chłopiec nie odpowiedział, ale kiwnął się kilka razy i wydał z siebie dźwięk podobny do chrapnięcia.

– Skąd się tu wzięłeś? – pytał dependent.

Chłopiec nie odpowiedział. Spał jak miech, ale trwał w miejscu nieruchomo.

Dependent powtórzył pytanie trzy razy i już miał zamknąć drzwi, kiedy chłopiec nagle podniósł głowę, otworzył oczy, otrząsnął się i zrobił ruch, jak gdyby znowu chciał się zabrać do pukania. Widząc otwarte drzwi obejrzał się, zdumiony, i spojrzał na pana Lowtena.

– Czego, u diabła, tak się dobijasz? – gniewnie spytał pan Lowten.

– Jak to tak? – spytał chłopiec śpiącym i niewyraźnym głosem.

– Jak pijany pocztylion! – wypalił pan Lowten.

– Bo mi pan kazał stukać, aż otworzą, żeby czasami nie zasną! – odpowiedział pyzaty chłopiec.

– Dobrze – odrzekł dependent. – Od kogo przychodzisz?

– Jest na dole.

– Kto?

– Pan. Kazał zapytać, czy pan w domu.

Pan Lowten uważał za stosowne wychylić się przez okno. Ujrzawszy w powozie starego, rzeźkiego gentlemana, dał mu znak, by przyszedł na górę. Stary gentleman lekko wyskoczył z karety.

– To twój pan, ten w karecie? – zapytał Lowten.

Chłopiec skinął głową.

Dalsze wyjaśnienia były zbyteczne, jegomościem tym okazał się bowiem pan Wardle, który wbiegł po schodach, minął Lowtena i wpadł do pokoju pana Perker.

– Pickwick! – zawołał pan Wardle. – Podaj mi rękę, mój chłopcze! Dopiero wczoraj dowiedziałem się, że osadzono cię w klatce! Jakże pan mógł dopuścić do tego, panie Perker?

– Nie mogłem nic na to poradzić, mój panie! – odrzekł pan Perker z uśmiechem i zażył tabaki. – Pan nie wie, jaki to uparciuch!

– Wiem, wiem, naturalnie! – odpowiedział pan Wardle. – Ale strasznie się cieszę, że go widzę, i nieprędko zgodzę się stracić go z oczu!

To mówiąc pan Wardle raz jeszcze uściśnął rękę pana Pickwicka, potem pana Perkera i rzucił się na fotel. Wesoła i czerwona jego twarz jaśniała jak zawsze zdrowiem i dobrym humorem.

– A to śliczne historie się tutaj dzieją! Daj no tabaki, Perker. To dopiero czasy!

– O czym myślisz? – zapytał pan Pickwick.

– O tym, że widocznie wszystkie dziewczęta, razem i z osobna, potraciły głowy. Zaraz powiecie, że to nic nowego, i chociaż może to rzeczywiście nic nowego, to w każdym razie jest to prawda.

– Chyba nie przyjechał pan po to wyłącznie do Londynu, by nam to powiedzieć, mój drogi panie? – zapytał pan Perker.

– Nie, nie tylko po to – odparł pan Wardle – chociaż to jest głównym powodem mojej podróży. Jak się ma Arabella?

– Bardzo dobrze – odrzekł pan Pickwick. – Jestem pewny, że się ucieszy, gdy cię zobaczy.

– A! Czarnooka kokietka! Sam miałem chęć ożenić się z nią i w tych wariackich czasach strugać wariata. No, ale i z tego jestem zadowolony. Bardzo mnie to cieszy.

– Skąd dowiedziałeś się o tym? – zapytał pan Pickwick.

– Rozumie się, że od moich córek. Arabella napisała do nich przedwczoraj, że potajemnie i bez zezwolenia swego teścia wyszła za mąż za obecnego swego męża, lecz pan Pickwick wyjechał, by uzyskać pozwolenie ojca na coś, czego już nie może zmienić. Usłyszawszy to uznałem, że nadarza się dobra sposobność dania małej nauki moim pannom i wskazania im, jak okropną jest rzeczą, gdy dzieci zawierają małżeństwa bez zezwolenia rodziców. Ale gdzie tam! Nie zrobiło to na nich żadnego wrażenia. Powiedziały, że daleko okropniejsze jest to, że wesele odbyło się bez druzek.

Tu stary gentleman zaczął się śmiać, a gdy naśmiał się do woli, mówił dalej:

– Ale to bynajmniej jeszcze nie wszystko. To dopiero połowa miłosnych spisków, które potworzono. Od sześciu miesięcy stąpaliśmy po minach, a teraz miny w końcu wybuchły!

– Co chcesz pan przez to powiedzieć? – zapytał pan Pickwick, blednąc. – Spodziewam się, że nie potajemne małżeństwo.

– Nie, nie – odrzekł pan Wardle. – Tak źle jeszcze nie jest!

– Więc cóż? Czy jestem zainteresowany w tej sprawie? – dopytywał się filozof.

– Mam mu odpowiedzieć na to pytanie, Perker? – spytał pan Wardle.

– Jeżeli przez to nie kompromituje pan siebie, kochany panie!

– Więc dobrze! Jesteś zainteresowany!

– Jak to? – zapytał filozof z niepokojem. – W jaki sposób?

– Z ciebie taki zapalony młodzieniec, że doprawdy boję się mówić. Ale jeżeli pan Perker zechce usiąść między nami, by zapobiec nieszczęściu, to może się odważyć.

Zamknawszy drzwi i pokrzepiwszy się nową szczyptą tabaki pana Perkera, stary gentleman rozpoczął opowiadanie w następujący sposób:

– Rzecz się ma tak: córka moja Bella... Bella, co wyszła za pana Trundle'a... wiecie?

– Wiemy, wiemy! – zawołał niecierpliwie pan Pickwick.

– Nie zrażajcie mnie na samym początku. Córka moja Bella siedła tedy koło mnie przedwczoraj wieczór, gdy Emilia poszła spać z bólem głowy po odczytaniu listu Arabelli; otóż Bella powiedziała: – Cóż myślisz o tym, ojczu? – Spodziewam się, moja kochana, że wszystko pójdzie dobrze – odpowiedziałem. A trzeba wam wiedzieć, że odpowiedziałem tak, ponieważ siedziałem przed dobrym ogniem, popijając sobie grog w spokoju ducha, a wiedziałem, że wystarczy, bym tylko czasem rzucił słówko, aby szczebiotała bez końca. Bo moje dziewczęta to żywe portrety ich nieboszczki matki, a teraz, gdy jestem stary, chętnie przesiaduję z nimi. Ich głosy i ich spojrzenia przypominają mi najszcześniejszy okres w moim życiu i na chwilę czynią mnie znów tak młodym, jakim byłem wówczas, chociaż serce już nie może

być tak lekkie. – To prawdziwe małżeństwo z miłości – zaczęła Bella po chwili milczenia. – Tak jest, drogie dziecię – odrzekłem – ale takie małżeństwa nie zawsze się udają...

– Ja twierdzę przeciwnie! – zawołał pan Pickwick z ogniem. — Zakonotuj to sobie.

– Bardzo dobrze, będziesz sobie twierdził, co ci się podoba, gdy przyjdzie na ciebie kolej, a teraz nie przerywaj.

– Przepraszam – rzekł pan Pickwick.

– Przebaczam ci – odparł pan Wardle. – Ojczy – powiedziała Bella, rumieniąc się nieco – przykro mi, że jesteś takiego zdania o małżeństwie z miłości. – Żle się wyraziłem – odrzekłem, klepiąc ją po policzku, na co tylko taki stary jegomość jak ja może sobie bezkarnie pozwolić – źle, bo i twoja matka wyszła za mąż z miłości, i ty także.

– Ja nie to miałam na myśli – przerwała Bella – chciałam pomówić z tobą, ojczy, o Emilii. Pan Pickwick drgnął.

– A tobie co znowu? – zapytał Wardle, przerywając opowiadanie.

– Nic, nic – odrzekł filozof – mów dalej.

– Nigdy nie umiałem zmyślić żadnego opowiadania – rzekł szybko pan Wardle. – Prędzej czy później musi wyjść sztydło z worka, a gdy wylezie, znacznie oszczędza to czas. Krótko mówiąc: Bella zebrała się w końcu na odwagę, by mi powiedzieć, że Emilia jest bardzo niešťczęśliwa, że od ostatniego Bożego Narodzenia prowadzi korespondencję z naszym młodym przyjacielem Snodgrassem i że w poczuciu obowiązku postanowiła z nim uciec naśladowując chwalebny postępek swej przyjaciółki. Czując jednak pewne w tym względzie skrupuły, ponieważ byłem niezłym ojcem, uznała, iż wypada zrobić mi ten zaszczyt i zapytać, czy też nie mam nic przeciwko temu, by się pobrali w sposób zwyczajny i pospolity. A teraz, mój kochany Pickwicku, jeżeli możesz doprowadzić swe oczy do ich zwyczajnych rozmiarów i poradzić mi, co mam z tym zrobić, to będę ci bardzo zobowiązany.

Ten dziwny sposób, w jaki poczciwy stary gentleman odezwał się, był zupełnie na miejscu, gdyż twarz Pickwicka wyrażała ogromne zdumienie i zmieszanie, co zrobiło bardzo komiczne wrażenie.

– Snodgrass!... Od Bożego Narodzenia? – te słowa wybiegły w końcu z ust stropionego pana Pickwicka.

– Oczywiście, że od Bożego Narodzenia – odparł pan Wardle. – Wszystko to jest dość wyraźne, a my musieliśmy nosić bardzo kiepskie okulary, jeśliśmy dotąd tego nie zauważyli.

– Naprawdę, że nie rozumiem – rzekł pan Pickwick, zamyślony – po prostu nie rozumiem.

– Ale to nietrudno zrozumieć! – zawołał jowialny Wardle. – Gdybyś był młodszy, byłbyś już dawno wtajemniczony we wszystko. A poza tym – mówił stary gentleman z pewnym wahaniem – trzeba wam wiedzieć, że ja, nie wiedząc o niczym, od czterech czy pięciu miesięcy nalegałem nieco na Emilię, by przyjęła rękę jednego z naszych sąsiadów, oczywiście, jeśli go może pokochać, bo nigdy nie zamierzałem jej zmuszać. Jestem pewny, że ona, jak zwykle dziewczyna, by podnieść własną wartość i spotęgować uczucia Snodgrassa, przedstawiła mu to w bardzo ponurych barwach i że następnie oboje doszli ostatecznie do przekonania, iż są parą okrutnie prześladowanych kochanków i że pozostaje im wobec tego tylko potajemne małżeństwo albo śmierć. Teraz pytanie: co tu zrobić?

– A cóżeś zrobił? – zapytał pan Pickwick.

– Ja?

– To znaczy, coś zrobił, gdy ci to wszystko powiedziała pani Trundle?

– O, rozumie się, że narobiłem głupstw.

– Oczywiście – wtrącił pan Perker, który słuchał rozmowy, kręcąc łańcuszkiem od zegarka, drapiąc się po nosie i okazując inne oznaki zniecierpliwienia. – To bardzo naturalne: Ale jakiego rodzaju głupstw narobił pan?

– Naprzód okropnie się rozgniewałem i tak tym przestraszyłem moją matkę, że aż się rozchorowała.

– To bardzo rozumne – zauważył pan Perker – a potem co, kochany panie?

– Zrzedłem i wściekałem się przez cały następny dzień, aż w końcu, zmęczony tym, że trapię wszystkich i samego siebie wzięłem powóz w Muggleton i przyjechałem tu pod pozorem, by Emilia odwiedziła Arabelle.

– Więc panna Wardle jest tu? – zapytał pan Pickwick.

– Oczywiście – odparł Wardle – i w tej chwili powinna być w hotelu „Osborne”, na Adelphi, jeżeli twój przedsiębiorczy przyjaciel nie porwał jej, gdym wyszedł.

– Pogodziliście się? – zapytał pan Perker.

– Wcale nie. Emilia przez cały czas robi miny i płacze, a tylko wczoraj wieczorem, między podwieczorkiem a kolacją zabrała się z wielką ostentacją do pisania listu. Ja udałem, że nie zauważyłem tego.

– Czy chcecie wysłuchać mego zdania o tej sprawie? – zapytał pan Perker, spoglądając kolejno to na zamyśloną twarz pana Pickwicka, to na niespokojne rysy pana Wardle'a i energicznie zażywając swej ulubionej tabaki.

– Naturalnie – odpowiedział pan Wardle, spoglądając na Pickwicka.

– Oczywiście – rzekł pan Pickwick.

– Otóż moim zdaniem – zaczął mały adwokat, wstając i odsuwając krzesło – najlepiej zrobicie, gdy się stąd wyniesiecie. Przejedźcie się albo przejdźcie piechotą, jak wam będzie wygodniej, boście mnie znudzili. Na przechadzce pomówcie o całej sprawie; a jeżeli od razu wszystkiego nie ułożycie, to powiem wam, co należy zrobić, gdy się zobaczymy po raz drugi.

– Naprawdę, doskonała rada! – zawołał pan Wardle nie wiedząc, czy się ma śmiać, czy gniewać.

– Ba, ba! Kochany panie! Znam ja was lepiej niż wy sami siebie – odparł pan Perker. – Wiem, żeście już wszystko sobie ułożyli.

To mówiąc, mały adwokat szturchnął tabakierką najpierw w pierś pana Wardle'a, a potem w kamizelkę pana Pickwicka, po czym wszyscy trzej poczęli śmiać się, a zwłaszcza ostatni dwaj gentlemani, którzy uścisnęli sobie ręce bez żadnego wyraźnego powodu.

– Będzie pan dziś u mnie na obiedzie, Perker! – rzekł pan Wardle.

– Nie mogę obiecywać! Nie mogę obiecywać! – odpowiedział pan Perker – ale w każdym razie wpadnę wieczorem!

– Czekam o piątej – powiedział pan Wardle. – Joe!

Dobudziwszy się Joe'ego, obaj przyjaciele odjechali powozem pana Wardle'a. Powóz ten miał z tyłu oparcie dla pyzatego chłopca, gdyby bowiem nie to humanitarne urządzenie, Joe niezawodnie wypadłby i zabiłby się na pierwszym zakręcie.

Przybywszy „Pod Jerzego i Jastrzębia” dowiedzieli się, że Arabella i jej pokojówka kazały sobie sprowadzić powóz i pojechały na Adelphi, otrzymały bowiem wiadomość od Emilii, że bawi w mieście. Ponieważ Wardle miał jeszcze interesy do załatwienia, odesłał więc powóz z pyzатым chłopcem do hotelu i kazał powiedzieć, że on i pan Pickwick przyjdą na obiad o piątej.

Obarczony tym zleceniem pyzaty chłopiec spał sobie wygodnie w powozie jak w łóżku, nie zwracając uwagi na wyboje i kałuże. Cudownym zrzędzeniem losu zbudził się sam, bez niczyjej pomocy, gdy powóz stanął. Otrząsnął się, by doprowadzić do jakiegoś takiego stanu swoje władze umysłowe, i polazł po schodach.

Otóż, czy ów wstrząs, zamiast otrzeźwić pyzatego chłopca, wprowadził zamęt do jego głowy, czy też sprawił to nagły napływ myśli i nowych idei, dość, że pyzaty chłopiec zapomniał o zwykłych ceremoniach, czy (co również jest możliwe) po prostu zdrzemnął się, idąc po schodach, wszedł bowiem do saloniku, nie zapukawszy poprzednio. Tam ujrzał natychmiast gentlemana, który siedział na kanapie i obejmował pewną młodą damę, gdy tymczasem Arabella i jej piękna pokojówka udawały, że z wielkim zajęciem wyglądają oknem. Na ten

widok pyzaty chłopiec pisnął, panie krzyknęły, a gentleman zaklął! – wszystko to odbyło się niemal jednocześnie.

– Czego tu chcesz, nędzniku? – zawołał gentleman. Nie potrzebujemy dodawać, że był to pan Snodgrass. Pyzaty chłopiec, bardzo wystraszony, zdobył się tylko na jedną odpowiedź:

– Panienko!

– Czego chcesz, głuptasie? – zapytała Emilia, odwracając głowę.

– Mój pan i pan Pickwick przyjdą na obiad o piątej – powiedział pyzaty chłopiec.

– Wynoś się! – zawołał pan Snodgrass do zdumionego chłopca.

Arabella, Emilia, pan Snodgrass i pokojówka niezwłocznie udali się na naradę w kąk pokoju i szeptali coś parę minut, gdy tymczasem pyzaty chłopiec drzemał.

– Joe – powiedziała Arabella z czarującym uśmiechem. – Jak się masz, Joe?

– Joe! – zawołała panna Emilia. – Poczciwy z ciebie chłopak! Nie zapomnę o tobie!

– Joe – powiedział pan Snodgrass, zbliżając się do zdziwionego chłopca i podając mu rękę.

– Nie poznałem cię w pierwszej chwili. Masz pięć szylingów!

– I ja ci będę winna piątkę – dodała Arabella – na rachunek dawnej znajomości! – I obdarzyła korpulentnego młodzieńca nowym czarującym uśmiechem.

Ponieważ pyzaty chłopiec myślał powoli, więc z początku zdziwił się tymi nagłymi oznakami przyjaźni i obejrzał się trwożliwie. Wreszcie twarz jego rozjaśniła się od ucha do ucha, schował do każdej kieszeni po pół koronie, a za nią całą łapę i wybuchnął końskim śmiechem; pierwszy i jedyny raz w życiu.

– Widzę, żeś nas zrozumiał! – powiedziała Arabella.

– Trzeba mu zaraz dać coś zjeść – powiedziała Emilia.

Pyzaty chłopiec o mało nie rozeźmiął się znowu, usłyszawszy te słowa. Mary poszeptala jeszcze chwilę z państwem, po czym odezwała się:

– Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, to razem zjemy obiad!

– Dobrze! – gorąco powiedział pyzaty chłopiec. – Mają tu doskonały pasztet!

Z tymi słowy pyzaty chłopak poszedł po schodach, a za nim piękna pokojówka, czarując wszystkich posługaczy i narażając się na gniew wszystkich pokojówek.

Znalazł się pasztet, o którym pyzaty chłopiec mówił z takim uczuciem, a prócz tego kawał wołowiny, półmisek kartofli i faszka porteru.

– Niech pani siada – powiedział pyzaty chłopak. – Ależ to pyszna wsuwa! Taki jestem głodny!

Rzuciwszy parę razy łakomym wzrokiem po stole, pyzaty chłopiec zajął miejsce u szczytu, Mary zaś naprzeciw niego.

– Pozwoli pani kawałek? – zapytał pyzaty chłopiec, zagłębiając w pasztet nóż i widelec.

– Kawałeczek, jeśli pan łaskaw – odrzekła Mary.

Pyzaty chłopiec ukrajał dla Mary kawałeczek, a sobie kawał pasztetu i już miał go podnieść do ust, gdy nagle z rąk wypadły mu widelec i nóż. Chłopak odsunął krzesło i opuściwszy ręce na kolana zawołał:

– Jaka pani śliczna!

Było to powiedziane głosem zachwyconym, a więc nie miało w sobie nic zatrważającego. A jednak w spojrzeniu pyzatego chłopca było coś tak kanibalskiego, że komplement ten wydał się Mary co najmniej dwuznaczny.

– Panie Joe! – zawołała Mary rumieniąc się. – Co to ma znaczyć?

Pyzaty chłopiec wolno przyjął poprzednią pozycję i w odpowiedzi westchnął głęboko. Przez chwilę milczał, zamyślony, potem pociągnął łyk porteru. Dokonawszy tego, znowu westchnął i zabrał się z zapalem do pasztetu.

– Bardzo ładna panienska ta panna Emilia! – powiedziała Mary po jakimś czasie.

Właśnie pyzaty chłopiec skończył jeść pasztet, utkwiał więc spojrzenie w Mary i odpowiedział:

– Znam ładniejszą!
– Nie może być!
– Może być! – zawołał pyzaty chłopiec z niezwykłym ożywieniem.
– Jak się nazywa?
– A jak pani?
– Mary.
– Ona tak samo – odrzekł pyzaty chłopiec. – Pani jest tą panną – pyzaty uśmiechnął się mówiąc ten komplement i zrobił coś pośredniego między „zezem” i „okiem”, co według wszelkiego prawdopodobieństwa miało być kokieteryjnym zerknięciem.
– Pan nie powinien tak do mnie mówić – zawołała Mary. – Pan tak nie myśli!
– Nie myślę? – zapytał pyzaty chłopiec. – Ale mówię!
– No, dobrze!
– Czy pani często będzie tu przychodzić?
– Nie – odrzekła Mary, potrząsając głową. – A dlaczego pan pyta?
– Och! – powiedział pyzaty chłopiec. – To szkoda! Gdyby pani nie wyjeżdżała, raczylibyśmy się doskonałymi obiadkami!
– Może czasem będę przyjeżdżać dla pańskiej przyjemności – powiedziała Mary gładząc obrus. – Jeżeli pan wyświadczy mi pewną łaskę!
Pyzaty chłopiec przeniósł wzrok z pasztetu na wołowinę, jak gdyby w jego umyśle słowo „łaska” było w ten czy w inny sposób związane zjedzeniem. Potem wyjął jedną półkoronówkę i przyjrzał się jej uważnie.
– Zrozumiał mnie pan? – zapytała Mary, patrząc mu chytrze w twarz.
Pyzaty chłopiec znów spojrzał na półkoronówkę i powiedział niewyraźnie:
– Nie...
– Panie proszę, by pan nic nie mówił starszemu panu, że tamten młody pan był na górze... I ja proszę pana o to samo!
– Tylko tyle? – spytał pyzaty chłopiec z widoczną ulgą, chowając półkoronówkę do kieszeni. – Naturalnie, że nie powiem!
– Widzi pan – tłumaczyła Mary. – Pan Snodgrass bardzo kocha pannę Emilię, a panna Emilia bardzo kocha pan Snodgrassa, ale gdyby starszy pan się o tym dowiedział, wywiózłby was wszystkich do jakiegoś zapadłego kąta i tyle byśmy was widzieli!
– Nie, nie powiem – stanowczo powiedział pyzaty chłopiec.
– Strasznie pan jest kochany – zawołała Mary. – Ale na mnie czas! Muszę iść na górę i ubrać moją panią do obiadu!
– Niech pani jeszcze nie odchodzi! – prosił Joe.
– Muszę! – odrzekła Mary. – Do widzenia, tymczasem!

Pyzaty chłopiec ze zręcznością słonia rozpostarł ramiona, by objąć i pocałować Mary. Ale ponieważ nie trzeba było wielkiej zwinności, by mu się wymknąć, piękna Mary uciekła, zanim się spostrzegł. Wtedy sentymentalny młodzieniec zabrał się do wołowiny i zjadłszy dobry funt, zasnął.

Na górze tyle miano do omówienia, tyle robiono planów ucieczki i potajemnego ślubu na wypadek, gdyby pan Wardle w dalszym ciągu trwał w okrutnym uporze, że pozostało zaledwie pół godziny do obiadu, kiedy pan Snodgrass zaczął się żegnać. Panie poszły do sypialni przebrać się, a pan Snodgrass wziął kapelusz i skierował się ku schodom. Zaledwie jednak wyszedł za drzwi, usłyszał donośny głos pana Wardle'a, a przechylwszy się przez okno klatki schodowej, ujrzał go w towarzystwie innego gentlemana. Nie znając rozkładu domu, pan Snodgrass cofnął się szybko do pokoju, który właśnie opuścił, a cofając się jeszcze dalej, trafił do sypialni pana Wardle'a i ostrożnie zamknął drzwi właśnie wtedy, gdy osoby, które dojrzał przed chwilą, weszły do bawialni. Byli to panowie Wardle, Winkle, Pickwick i Benjamin Allen – bez trudu poznał ich wszystkich po głosach.

– Całe szczęście, że się zdobyłem na tyle przytomności umysłu, by przed nimi uciec – powiedział pan Snodgrass i na palcach podszedł do drugich drzwi. – Muszą wychodzić również na korytarz, więc wymknę się niepostrzeżenie!

Ale jedna okoliczność przeszkodziła mu się wymknąć niepostrzeżenie: drzwi zamknięte były na klucz, a klucz wyjęto...

– Garson – rzekł pan Wardle, zacierając ręce. – Dziś dacie nam najlepszego wina, jakie macie!

– Podam najlepsze, proszę pana!

– A paniom powiedz, że już jesteśmy!

– Słucham pana!

Pan Snodgrass szczerze i gorąco pragnął, by damy wiedziały, że i on jest tu także! Miał zamiar szepnąć przez dziurkę od klucza: „Garson”, ale potem przestraszył się, że może przyjść niewłaściwy garson. Przypomniał sobie również, że przed paru dniami w sąsiednim hotelu znaleziono pewnego gentlemana w bardzo podobnej sytuacji (wypadek ten pod rubryką „Z policji” szczegółowo podały poranne dzienniki), usiadł więc, drżąc, na walizce.

– Na Perkera nie będziemy czekać ani minuty – powiedział stary gentleman. – Przyjdzie o piątej albo wcale nie. Więc nie warto czekać! A! Arabella!

– Moja siostra! – zawołał pan Ben Allen, obejmując ją bardzo dramatycznie.

– A, Ben! Ale jakże cię czuć tytoniem! – zawołała Arabella, krztusząc się.

– Naprawdę? – rzekł pan Benjamin Allen. – Czuć mię tytoniem? Bardzo być może.

Było to rzeczywiście bardzo możliwe, gdyż właśnie z dwunastoma studentami medycyny odbyło się w małej bawialni, gdzie był duży kominek, wielkie wspólne zebranie, na którym palono co niemiara.

– Bardzo się cieszę, że cię widzę – rzekł pan Ben Allen. – Daj ci Boże wszystko jak najlepsze!

– Ach – odrzekła młoda kobieta, nadstawiając mu twarz do pocałunku – tylko nie ściskaj mnie tak mocno, bo mi pomnisz suknie.

Po tej scenie pojednania pan Ben Allen, rozczulony portierem i cygarami, spojrział dokoła przez wilgotne okulary.

– A mnie nic się nie dostanie?! – zawołał pan Wardle, otwierając ramiona.

– Owszem – szepnęła Arabella, przyjmując pieszczoty i serdeczne gratulacje pana Wardle'a – ale pan jest zły, okrutny, bez serca. Pan jest potworem!

– A ty jesteś mała buntownica! – odparł pan Wardle tym samym tonem. – Powinien bym zabronić ci bywać w moim domu!

Osoby, które wychodzą za mąż bez pozwolenia, należy wyłączyć z towarzystwa! Ale mniejsza o to – dodał stary gentleman. – Obiad na stole! Usiądź przy mnie! Joe! Ależ ten przeklęty chłopak nie śpi!

Ku wielkiemu zdumieniu swego pana pyzaty chłopiec miał wygląd niezwykle przytomny. Oczy jego były szeroko otwarte i nie zdradzały chęci do szybkiego zamknięcia się, nic też nie nasuwało przypuszczenia, że się wkrótce zamkną. Ruchy jego były tak szybkie, że to samo mogło wzbudzić podejrzenie. Za każdym razem, gdy spojrzenie jego spotkało Arabellę lub Emilię, pyzaty chłopiec wykrzywił się i uśmiechał. Pan Wardle mógłby przysiąc, że raz nawet pyzaty chłopiec mrugnął...

Tę zmianę w zachowaniu pyzatego chłopca wywołało nagle wzbudzone poczucie ważności oraz to, że go młode damy dopuściły do tajemnicy. Uśmiechy, grymasy i mrugnięcia miały być zapewnieniem, że się na nim nie zawiodą i mogą polegać na jego dyskrecji. Jednak wszystkie te znaki raczej budziły, niż usypiały podejrzliwość, więc Arabella raz po raz dawała mu znaki głową, na co pyzaty chłopiec odpowiadał wzmożonym mruganiem, grymasami i wykrzywianiem się.

– Joe – powiedział pan Wardle, bezskutecznie przeszukawszy kieszenie. – Przynieś moją tabakierkę! Leży na sofie!

– Nie ma jej tam, proszę pana – odrzekł Joe.

– Ach! Przypominam sobie – zawołał pan Wardle – położyłem ją na toalecie dzisiaj rano! Kopnij no się do sypialni i przynieś!

Pyzaty chłopiec poszedł i wrócił z tabakierką i twarzą tak bladą, jakiej nie widziano jeszcze u tego chłopca!

– Co się stało temu chłopcu? – zapytał pan Wardle.

– Nic mi się nie stało – nerwowo odpowiedział pyzaty chłopiec.

– Widziałeś ducha koło kominka? – zapytał pan Wardle.

– A może sobie dodał ducha, pijąc? – rzekł pan Allen.

– Bodaj czy pan nie zgadł – powiedział pan Wardle. – On jest chyba pijany!

Pan Ben Allen powiedział, że Joe pewnie się upił, a że się znał na ludziach pijanych, więc pan Wardle upewnił się w swoich podejrzeniach, które męczyły go już od godziny, że pyzaty chłopak chyba się upił.

– Nie spuszczać z niego oka przez jakiś czas — powiedział pan Wardle. – Zobaczymy, czy rzeczywiście jest pijany!

Nieszczęśliwy chłopiec zamienił zaledwie kilka słów z panem Snodgrassem: pan Snodgrass prosił Joe'ego, aby go w jakiś sposób wybawił, potem kazał mu wracać z tabakierką, by zbyt długa jego nieobecność nie wzbudziła podejrzeń. Joe pokręcił się chwilę z bardzo podejrzaną miną i poszedł na poszukiwanie Mary.

Ale Mary ubrawszy swoją panią poszła do domu, pyzaty chłopak wrócił więc do pokoju jeszcze bardziej markotny niż poprzednio.

Wardle i Allen wymienili spojrzenia.

– Joe! – zawołał pan Wardle.

– Słucham pana!

– Dokąd idziesz?

Pyzaty chłopiec spojrzał beznadziejnie po wszystkich obecnych i mruknął, że wcale nie miał zamiaru wyjść.

– A, nie miałeś zamiaru, co? Podaj ten ser panu Pickwickowi – powiedział pan Wardle.

Pan Pickwick, w dobrym zdrowiu i doskonałym humorze, był niebywale miły przez cały czas obiadu. Właśnie zajęty był wielce energiczną rozmową z Emilią i panem Winkle'em; uprzejmie pochylił głowę, kurtuazyjnie, w gorączce dyskusji, kiwał lewą ręką i cały roztopił się w miłych uśmiechach. Wziął kawałek sera z talerza i miał zamiar podjąć przerwana rozmowę, gdy pyzaty chłopiec palcem wskazał poza siebie, jakby chciał coś napomknąć, przy czym wykrzywił się najszkaradniej, jak umiał.

– A to co? – zawołał zaniepokojony filozof. – Co to ma być? – Urwał, bo pyzaty chłopiec cofnął się nagle i udał – a może nie udał – że zasnął.

– Co takiego? – zapytał pan Wardle.

– Twój Joe jest dziś bardzo dziwny! – powiedział pan Pickwick patrząc niechętnie na pyzatego chłopca. – Bardzo to przykre, ale naprawdę chwilami obawiam się, czy nie dostał bziaka!

– Och, panie Pickwick! Niech pan tego nie mówi! – zawołały jednogłośnie Arabella i Emilia.

– Oczywiście, nie jestem tego pewien – ciągnął pan Pickwick wśród ogólnego milczenia i konsternacji – ale jego zachowanie, choćby względem mnie, było naprawdę niepokojące. O! – zawołał nagle pan Pickwick – przepraszam panie! Wsadził mi jakiś ostry przedmiot w tydłkę! Naprawdę staje się niebezpieczny!

– Upił się! – zawołał pan Wardle wściekłością. – Zadzwońcie! Zawołajcie służbę! Upił się!

– Nie upiłem się – ryczał pyzaty chłopiec padając na kolana, gdy pan Wardle porwał go za kołnierz. – Nie upiłem się!

– Więc zwariowałeś! To jeszcze gorzej! Zawołajcie służbę!

– Nie zwariowałem! Jestem przy zdrowych zmysłach! – zaczął wołać pyzaty chłopiec prawie z płaczem.

– Więc po jakiego diabła wpakowałeś panu Pickwickowi w łydkę jakiś ostry przedmiot? – surowo zapytał pan Wardle.

– Nie chciał na mnie patrzeć – tłumaczył pyzaty chłopiec – a ja muszę mu coś powiedzieć!

– Co chciałeś powiedzieć panu Pickwickowi? – spytało jednocześnie z tuzin głosów.

Pyzaty chłopiec spojrzął na drzwi sypialni i wytarł palcami parę łez.

– Co chciałeś powiedzieć? – pytał pan Wardle potrząsając nim.

– Czekaj pan! – zawołał pan Pickwick. – Pozwól, niech ja go wybadam. Co mi chciałeś powiedzieć, moje dziecko?

– Chciałem coś panu szepnąć! – odpowiedział pyzaty chłopiec.

– Chciałeś ugryźć pana w ucho! – zawołał pan Wardle. – Niech pan do niego nie podchodzi! Zadzwoń pan! Niech go stąd zabiorą! W chwili gdy pan Winkle miał już pociągnąć za dzwonek, powszechne zdumienie powstrzymało go od tej czynności, gdyż drzwi od sypialnego pokoju otworzyły się, a uwięziony kochanek wszedł do sali, mocno zaczerwieniony ze wstydu, i oddał ukłon całemu towarzystwu.

– Do stu piorunów! A to co? – zawołał pan Wardle puszczając kołnierz pyzatego chłopca i cofając się o parę kroków.

– Panie – rzekł pan Snodgrass – byłem ukryty w sypialnym pokoju od czasu pańskiego powrotu.

– Emilio, moje dziecko – rzekł pan Wardle tonem wyrzutu – wiesz, jak nie lubię wszelkich ukrywań i kłamstw! Na to nie zasłużyłem, doprawdy!

– Drogi ojciec – odrzekła Emilia. – Arabella wie, każdy tu wie, Joe wie, że nie przykładałam do tego ręki. Auguście! Na miłość boską, wytłumacz się!

Pan Snodgrass, któremu nie o takie posłuchanie chodziło, począł opowiadać, w jaki sposób znalazł się w tak przykrym położeniu, jak nie chcąc wywołać zatargu domowego, usiłował sam uniknąć spotkania z panem Wardle'em, jak mu się zdawało, że wymknie się przez inne drzwi, ale te były zamknięte, wskutek czego był zmuszony pozostać tu wbrew swej woli. Położenie jego było bardzo przykre, ale nie żałuje tego, gdyż korzysta teraz ze sposobności, by oznajmić zgromadzonym tu wszystkim przyjaciołom, iż głęboko i szczerze kocha córkę pana Wardle'a, że dumny jest z tego, iż może powiedzieć, że panna Emilia podziela to uczucie, że chociażby tysiące mil ich rozdzielały, choćby cały ocean toczył między nimi swe fale, on nie zapomni nigdy itd., itd.

To powiedziawszy uklonił się powtórnie, wziął kapelusz i podszedł ku drzwiom.

– Stój pan! – krzyknął Wardle. – Dlaczego, do wszystkich tysięcy...

– Fur beczek – podchwycił pan Pickwick z obawy, by nie nastąpiło coś gorszego.

– Niech będzie fur beczek – mówił dalej pan Wardle, podchwytyjąc wyrażenie – dlaczego do wszystkich tysięcy fur beczek nie powiedział pan tego naprzód mnie?

– Albo czemu mnie się nie zwierzyłeś? – dorzucił pan Pickwick.

– Mój Boże – zaczęła Arabella, podejmując się obrony – po co te wszystkie pytania? Zwłaszcza ze strony pana, panie Wardle, który, jak wiemy, kierując się swym starym i zachłannym sercem, przeznaczałeś dla Emilii pewnego znacznie bogatszego sąsiada, a który przy tym jesteś tak gwałtowny i opryskliwy, że wszyscy boją się pana oprócz mnie. Podaj pan rękę panu Snodgrassowi i każ mu, na miłość boską, dać coś zjeść, bo widzi pan, jaki jest wygłodzony! A potem każ pan przynieść te doskonałe wina, bo dopiero wtedy jest pan znośniejszy, kiedy wypije przynajmniej dwie butelki.

Pocziwy, stary gentleman lekko pociągnął Arabellę za ucho, potem ucałował ją bez najmniejszego skrupułu, wreszcie uściśnął swoją córkę z wielkim uczuciem i podał rękę panu Snodgrassowi.

W jednym punkcie – powiedział wesoło – Arabella ma niezawodnie słuszność: zadzwoń, niech przyniosą wina.

Razem z winem pojawił się pan Perker. Pan Snodgrass dostał na boku coś do zjedzenia, a potem siadł obok Emilii, już bez najmniejszej opozycji ze strony pana Wardle'a. Wieczór minął bardzo wesoło. Szczególnie pan Perker odznaczał się dobrym humorem. Opowiadał mnóstwo komicznych historii i śpiewał poważną pieśń, która zrobiła prawie tak komiczne wrażenie jak owe historyjki. Arabella była czarująca, pan Wardle bardzo jowialny, pan Pickwick bardzo spokojny, pan Ben Allen bardzo hałaśliwy, kochankowie bardzo milczący, pan Winkle bardzo gadatliwy, a całe towarzystwo bardzo ożywione.

Rozdział dwudziesty szósty

Pan Salomon Pell przy pomocy komitetu stangretów porządkuje interesy pana Wellera starszego

– Samiwelu – rzekł pan Weller zwracając się do syna nazajutrz po pogrzebie – znalazłem go. Byłem pewny, że tam być musi.

– Co znalazłeś? – zapytał Sam.

– Testament twojej macochy, Sammy, według którego należy tak zarządzić, jak ci wczoraj mówiłem, a mianowicie co do funduszków.

– Jak to, więc ci nie powiedziała, gdzie był schowany? – zapytał Sam.

– Ani pisnęła – odparł pan Weller: – Zajęci byliśmy usuwaniem naszych małych nieporozumień, a ja starałem się jakoś jej dogodzić i rozweselić ją, więc zupełnie o tym zapomniałem. Zresztą nie wiem, czybym pytał, choćbym i pamiętał – dodał pan Weller – bo to głupia rzecz, Sammy, nudzić kogoś gadaniem o majątku, gdy dana osoba leży chora. To tak jakbyś pomagając podróżnemu, który spadł z wierzchu dylizansu, wsunął rękę do jego kieszeni i pytał z westchnieniem, jak się czuje.

Wyjaśnwszy w ten obrazowy sposób swoją myśl, Weller otworzył pugilares i wydobyl z niego arkusz listowego papieru, dość brudnego i zabazgranego dziwnym pismem.

– To jest ten dokument, Sammy. Znalazłem go w małym imbryku od herbaty, na półce w bufecie. Tam zawsze chowała banknoty, zanim się z nią ożeniłem. Ze sto razy widziałem, jak podnosiła pokrywkę, by płacić rachunki. Biedna istota, mogłaby śmiało napełnić testamentami wszystkie imbryki w całym domu i nic by jej to nie zaszkodziło, bo mało używała herbaty w ostatnich czasach z wyjątkiem zgromadzeń towarzystwa wstrzeźliwości, gdzie zawsze piją naprzód herbatę, by podtrzymać ducha.

– Cóż w nim jest? – zapytał Sam.

– To, com ci już powiedział, mój chłopcze: „Przekaz na dwieście funtów szterlingów memu pasierbowi, Samuelowi, a cała reszta majątku, w każdej postaci i rodzaju, memu mężowi, panu Tony Wellerowi, którego mianuję moim wykonawcą testamentu”.

– I to wszystko?

– Wszystko. A ponieważ wszystko jest w porządku i ku memu i twemu zadowoleniu, my zaś jesteśmy jedynymi zainteresowanymi stronami, więc sędzę, że możemy najspokojniej rzucić ten świstek w ogień.

– Co robisz, wariacie? – zawołał Sam, chwytając testament w chwili, gdy ojciec, w swej nieświadomości, miał go już cisnąć do kominka. – A to piękny z ciebie wykonawca testamentu!

– Dlaczegoż by nie? – zapytał Weller, zwracając się szybko do syna z pogrzebaczem w ręce.

– Dlaczego? Dlatego, że testament musi być sprawdzony, uprawomocniony, zaprzysiężony, słowem – powinien przejść wszelkie formalności.

– Naprawdę? – zapytał Weller starszy.

Sam wziął testament, włożył go ostrożnie do kieszeni i spojrzeniem odpowiedział, że tak jest naprawdę.

– W takim razie powiem ci – zaczął znowu pan Weller, pomyślawszy chwilę – że to jest coś dla bliskiego przyjaciela kanclerza. Pell musi tu wetknąć swój nos. To jedyny człowiek do załatwienia wszelkich prawnych trudności. Nie tracąc czasu zaraz przedstawimy wszystko Trybunałowi Bankrutów.

– Nigdy nie widziałem takiej pomyłonej starej głowy! – zawołał Sam. – Ciągłe w niej się płaczą jakieś trybunały, bankruty, wszelkiego rodzaju alibi i tym podobne głupstwa. Weź lepiej porządny surdut i chodźmy do miasta załatwić całą sprawę, zamiast mówić tu o rzeczach, których nie rozumiesz.

– Bardzo dobrze, Sammy. Na wszystko się zgadzam, co prowadzi do załatwienia sprawy, ale uważaj, co ci powiem, mój chłopcze: w rzeczach prawnych nie masz jak Pell.

– Ja też nic nie mam przeciw niemu – rzekł Sam.

– A więc zaczekaj chwilę – odrzekł Weller, zapiąwszy halsztuk przed małym lusterkim wiszącym na oknie i z wielkim trudem wciągając na siebie wierzchnie ubranie. – Gdy będziesz tak stary jak twój ojciec, nie tak łatwo potrafisz wleźć w surdut jak teraz.

– Gdyby mi to trudniej przychodziło niż teraz, to niech mnie powiesz, jeżelibym go kiedy nosił – odparł Sam.

– Tak myślisz teraz – odrzekł Weller z powagą właściwą jego wiekowi – ale przekonasz się, że nabierzesz więcej rozumu, gdy nabierzesz ciała. Otyłość i mądrość, Sammy, zawsze idą w parze.

Wypowiedziawszy tę wiekopomną prawdę, będącą wynikiem długoletnich osobistych spostrzeżeń i doświadczeń, pan Weller za pomocą zręcznego ruchu ciałem zdołał zapiąć najniższy guzik u surduta, zgodnie z jego przeznaczeniem. Potem, wypocząwszy przez chwilę, by zacerpnąć oddechu, oczyścił kapelusz rękawem i oświadczył, że jest gotów.

– Ponieważ cztery głowy warte więcej niż dwie, Samiwelu – rzekł, gdy jechali do Londynu – i ponieważ majątek twojej macochy to łakoma rzecz dla gentlemiana handlującego prawem, więc weźmiemy z sobą kilku z moich przyjaciół, którzy bez trudu dadzą sobie z nim radę, gdyby pozwolił sobie ma jakąś nieprawidłowość. Weźmiemy dwóch z tych, którzy cię kiedyś odprowadzali do więzienia. To najlepsi znawcy koni, jakich kiedykolwiek w życiu moim widziałem.

– A czy tacy sami znawcy adwokatów? – zapytał Sam.

– Człowiek, który zdrowo sądzi o komach, sądzi zdrowo o wszystkim – odpowiedział Weller tak dogmatycznym tonem, iż Sam nie ośmielił się zaprzeczyć temu aforyzmowi.

Zgodnie z tą zasadą zabrano z sobą po drodze jednego pucołowatego i dwóch niezmiernie otyłych stangretów, co pan Weller uczynił zapewne w myśl tego, że otyłość i mądrość zawsze chodzą w parze. Towarzystwo udało się potem do szynku przy ulicy Portugalskiej, skąd niezwłocznie posłano do pana Salomona Pella.

Posłaniec zastał go w sądzie, lecz przy niezbyt wyteżonej pracy, bo przy zimnej przekąsce składającej się z grzanek i kurczęcia. Ledwie posłaniec oznajmił mu, po co przyszedł, pan Pell, włożywszy do kieszeni przekąskę razem z rozmaitymi dokumentami, ruszył w drogę tak zwawo, że stanął w oberży, zanim posłaniec zdołał opuścić gmach sądu.

– Gentlemani – rzekł, wchodząc do sali i dotykając kapelusza – witajcie. Mówię to nie dlatego, by wam pochlebiać, ale nie ma na świecie drugich pięciu osób, dla których bym dziś wyszedł z trybunału.

– Tyle zajęcia? – zapytał Sam.

– Po same uszy, jak mi zwykł był mawiać nieboszczyk lord kanclerz, gdy go powoływano do Izby Lordów, gdzie stawiano mu różne pytania. Nie odznaczał się on zbytnio zdrowiem, a takie pytania bardzo mu szkodziły na serce. Nieraz myślałem, doprawdy, że nie wytrzyma.

Tu Pell pochylał głowę i umilkł. Weller trącił łokciem swego sąsiada, by zwrócić jego uwagę na to, jakich wysokich znajomych ma prawnik, po czym zapytał, czy praca wywarła jakiś zły wpływ na zdrowie jego znakomitego przyjaciela.

– Nigdy nie mógł przyjść do siebie – odrzekł zapytany. – Myślę, że to go dobiło. – Pell – mawiał mi często – w jaki sposób, u diabła, możesz wytrzymać tyle pracy? Doprawdy, że to dla mnie zagadka! – Szczerze mówiąc – odpowiadałem – ja sam nie wiem. – Pell – dodawał kanclerz, wzdychając i patrząc na mnie jakby z zazdrością... ale z zazdrością przyjacielską, gentlemani, czystą, przyjacielską zazdrością, w której nie ma nic złego. – Pell – mówił – doprawdy jesteś zdumiewającym człowiekiem. – On, gentlemani! Gdybyście go znali, z pewnością bardzo byście go polubili. Przynieś mi araku za trzy pensy, moja kochana.

Zwróciwszy to ostatnie zdanie do kelnerki, pan Pell westchnął, spojrzął na swe buty, potem na sufit, wreszcie powiedział:

– W każdym razie człowiek mojej profesji nie powinien myśleć o prywatnej rozmowie, gdy wezwany jest do udzielenia pomocy prawnej. Nie mogę jednak nie nadmienić, że odkad widzieliśmy się ostatni raz, zaszedł bardzo melancholijny i oplakany wypadek.

Doszedłszy do słowa „opłakany”, pan Pell wyjął chusteczkę, ale otarł nią tylko kroplę rumu, która mu zawisła na górnej wardze.

– Czytałem o tym w „Advertiser”, panie Weller – ciągnął pan Pell. – Dobry Boże! Tylko pięćdziesiąt dwa lata... Pomyśl pan!

Smutne te refleksje zwrócone były do jegomości z cętkowaną twarzą, którego spojrzenie pan Pell pochwycił przypadkiem, na co jegomość z cętkowaną twarzą, który w ogóle miał ponury pogląd na świat, poruszył się niezręcznie na krześle i oznajmił, że o ile jemu wiadomo, rzeczywiście tak pisano. Uwaga ta, zawierająca subtelną aluzję do czegoś, na co trudno znaleźć argument, została pominięta milczeniem.

– Słyszałem, że to była piękna niewiasta, panie Weller – ciągnął pan Pell ze współczuciem.

– Tak, panie – odrzekł pan Weller, który nie bardzo lubił mówić o tej materii, uważał jednak, że adwokat, dzięki znajomości z lordem kanclerzem, musi się znać na dobrym wychowaniu. – Bardzo piękna niewiasta, panie! Była wdową, jak ją poznałem!

– To ciekawe – powiedział pan Pell, oglądając się dokoła – pani Pell była również wdową!

– To rzeczywiście bardzo interesujące! – przyznał jegomość z cętkowaną twarzą.

– Bardzo dziwny zbieg okoliczności – podjął pan Pell.

– Wcale nie dziwny – odrzekł niechętnie pan Weller. – Czy to jedna kobieta wychodzi za mąż?

– Słusznie, słusznie, panie Weller, ma pan najzupełniejszą słuszość! Pani Pell była bardzo elegancką i wykształconą niewiastą, jej maniery były przedmiotem zachwyty całego sąsiedztwa! Dumny byłem patrząc, jak ta niewiasta tańczy! W ruchach jej było coś tak solidnego i godnego, a zarazem taka lekkość! Powiadam panom – wcielenie prostoty! Ach, czasy! Przepraszam, że pana o to pytam, panie Samuele: czy pańska macocha była wysoka?

– Nie bardzo – odparł Sam.

– Pani Pell była wysoka – powiedział pan Pell. – Wspaniała niewiasta, szlachetna w każdym calu, z nosem jakby stworzonym, by rozkazywać. Bardzo była do mnie przywiązana, panowie! A jaka przy tym ustosunkowana! Brat jej matki, moi panowie, miał około ośmiuset funtów rocznie!

– Tak – powiedział pan Weller, raczej znużony tą przydługą dyskusją – a teraz przystąpimy do interesu.

Słowa te były najśłodsza muzyką dla uszu Pella. Od samego początku starał się odgadnąć, czy wezwano go tylko, by wypić szklanekę ponczu lub grogu, czy też dla oddania mu jakiego innego hołdu, a teraz wątpliwości ustąpiły, choć z jego strony nie było żadnego w tym względzie nacisku. Położył więc kapelusze na stole, a oczy mu błyszczały, gdy mówił:

– Cóż to za sprawa, hm? Czy który z gentlemanów życzy sobie ogłosić się bankrutem? Zażądamy orzeczenia sądowego, a takie przyjacielskie orzeczenie sądowe załatwia wszystko, musicie wiedzieć. My tu wszyscy żyjemy w przyjaźni.

– Podaj no mi dokument, Sammy – rzekł pan Weller do syna, a wzięwszy dokument zwrócił się do adwokata i dodał: – Żądamy wytryfikacji tego.

– Weryfikacji, kochany panie, weryfikacji – zauważył pan Pell.

– Niech i tak będzie – odrzekł Weller cierpko – weryfikacja czy wytryfikacja, na jedno wyjdzie. Jeżeli pan mnie nie rozumie, to znajdzie się drugi, co mnie zrozumie.

– Bez urazy, panie Weller – odrzekł pan Pell łagodnie. – Pan, jak widzę, jesteś wykonawcą – dodał spójrzawszy na papier.

– Tak, panie – odparł pan Weller.

– A ci gentlemani są zapewne legatariuszami? – rzekł znów Pell z uprzejmym uśmiechem.

– Nie, Sammy jest jedynym lokotariuszem – odrzekł Weller. – Ci gentlemani to moi przyjaciele, którzy przyszedli dopilnować, by wszystko było zrobione jak należy; rodzaj arbitrow.

– O! Bardzo dobrze! Nic nie mam przeciw temu. Ale prosiłbym o zaliczkę pięciu funtów, zanim zacznę. Cha! cha! cha!

Ponieważ komitet zdecydował, że pięć funtów można zaryzykować, pan Weller wypłacił żadaną sumę. Następnie wywiązała się długa dyskusja o niczym, w której pan Pell dowiódł ku ogólnemu zadowoleniu gentlemanów umiających patrzeć w przyszłość, że gdyby nie powierzono mu tej sprawy, wszystko poszłoby na opak z powodów, których nie podawał bliżej, ale które niemniej jednak były niewątpliwe. Następnie prawnik zjadł trzy kotlety z odpowiednim dodatkiem piwa i wódki – na rachunek przyszłych dochodów. Wreszcie wszyscy udali się do Doctors' Commons.

Na drugi dzień powtórzono wizytę w Doctors' Commons, gdzie miano wiele do roboty z pewnym parobkiem powołanym na świadka, który upił się i ku wielkiemu zgorszeniu prokuratora i pełnomocnika nie chciał złożyć innej przysięgi, tylko świecką. Następnego tygodnia znowu trzeba było udać się do Doctors' Commons, potem do urzędu opieki nad sierotami, potem trzeba było zrehabilitować kontrakt sprzedaży oberży, ratyfikować rzeczony kontrakt, spisać inwentarz, zjeść niemało śniadań i obiadów tudzież zrobić wiele innych rzeczy, zarówno korzystnych, jak i potrzebnych, przy czym zagryzmołono tyle papieru, że pan Salomon Pell i jego pisarek, a nawet ich niebieska torba, tak się wypełnili, iż trudno było poznać, że to ten sam człowiek, ten sam pisarek i ta sama torba, których oglądać można było przed paroma dniami w okolicach ulicy Portugalskiej.

W końcu, gdy wszystko już zostało uporządkowane, wyznaczono dzień dla sprzedaży oberży i zamienienia gotówki na papiery funduszy publicznych, co stało się za pośrednictwem maklera papierów państwowych, pana Wilkinsa Flashera Esq., w pobliżu Banku miasta Londynu. Polecił go pan Salomon Pell. Był to pod pewnym względem dzień uroczysty i zainteresowane osoby przystroili się odpowiednio. Pan Weller kazał się ufryzować, a ubranie wyczyścił ze szczególną pieczołowitością. Jegomość z cętkowaną gębą zatknął sobie w butonierce wspaniałą georginię z liśćmi, a ubrania dwóch innych przyjaciół przyozdobione były w bukiety laurowe i inne niewiędzące ziele. Wszyscy przywdziali paradne suknie, pozapinali się po samą szyję i włożyli na siebie możliwie największą ilość ubrania, co od czasu wynalezienia dyliżansów należało i należy w pojęciu stangretów do najwyższej elegancji.

Pan Pell czekał o oznaczonej godzinie w umówionym miejscu. Nawet on włożył rękawiczki i czystą koszulę, bardzo przetartą koło kołnierza i mankietów od częstego prania.

– Za kwadrans druga – powiedział pan Pell patrząc na zegar. – Jeżeli spotkamy się z panem Flasherem kwadrans po drugiej, będziemy w sam czas!

– Co byście, panowie, powiedzieli, gdybyśmy tak wstąpili na jedno piwko? – spytał jegomość z cętkowaną twarzą.

– I kawałek zimnej wołowiny – dodał drugi stangret.

– Albo kilka ostryg – poddał trzeci jegomość, ochryply i na bardzo krótkich nóżkach.
– Słuchajcie! Słuchajcie! – zawołał pan Pell. – Miałoby to być uczczeniem pana Wellera, że wszedł w posiadanie majątku! Cha, cha, cha!

– Bardzo mi przyjemnie, panowie – rzekł pan Weller. – Sammy, zadzwoń no!

Sammy usłuchał. A ponieważ z podaniem portera, wołowiny i ostryg nie zwlekano, przeto złożyło się wcale niezłe śniadanie. Że wszyscy brali w nim czynny udział, nie potrzebuję chyba mówić. Ale jeżeli kto okazał większe zdolności od innych, to właśnie stangret z ochrypłym głosem, który suto polał octem ostrygi i nie zachłysnął się nawet.

– Panie Pell – powiedział pan Weller starszy, mieszając szklanę gorącej wody z wódką (przed każdym gościem postawiono szklanę). – Panie Pell, ja sam myślałem, by jakoś uczcić ten dzień, ale Sammy szepnął mi...

Tu pan Samuel Weller, który w milczeniu pożerał ostrygi, zawołał bardzo głośno:

– Słuchajcie!

–...szepnął mi – ciągnął pan Weller starszy – że należałoby użyć tych płynów na wzniesienie pańskiego zdrowia, żeś pan, panie Pell, tak zręcznie i umiejętnie rzecz przeprowadził. Pańskie!

– Stój! – zawołał jegomość z twarzą cętkowaną. – I wszyscy niech na mnie patrzą!

To mówiąc cętkowany wstał, a za nim inni gentlemani. Cętkowany spojrział na towarzystwo i wolno podniósł rękę, po czym wszyscy obecni (nie wyłączając cętkowanego) wciągnęli powietrze i przyłożyli szklanki do warg. Cętkowany znów poruszył ręką i wszystkie szklanki wypróżniły się. Niepodobna opisać wrażenia, jakie robi podobna ceremonia. Jest ona jednocześnie poważna, uroczysta, budująca i pełna *grandeur*.

– Moi panowie – powiedział pan Pell. – Mogę tylko powiedzieć, że taki dowód zaufania jest bardzo miły człowiekowi mego zawodu. Nie chcę okazać się egoistą, panowie, ale mogę tylko powiedzieć, iż rad jestem, żeście się do mnie zwrócili: ze względu na was. Tyle tylko. Gdybyście się zwrócili do człowieka mniej wyrobionego ode mnie, zapewniam was z całą stanowczością, że znaleźlibyście się na Queen Street. Żałuję, że mój szanowny przyjaciel już nie żyje i nie może powiedzieć, jak wybrnąłem z tej sprawy. Nie mówię tego powodowany dumą, nie zawracałbym wam głowy podobnymi rzeczami! Zawsze możecie mię tu znaleźć, ale gdyby mnie tu przypadkiem nie było – oto mój adres! Przekonacie się, że żądania moje są rozsądne i niewygórowane, że nikt nie jest życzliwiej usposobiony do swych klientów, a przy tym znam się cokolwiek na swojej specjalności! Jeżeli panowie zechcą polecić mię swoim przyjacielom, będę niezmiernie zobowiązany, a oni również, gdy poznają mię bliżej! Wasze zdrowie, panowie!

To powiedziawszy, pan Salomon Pell położył przed każdym gościem pana Wellera drukowaną kartkę z adresem, po czym spojrział znów na zegar i oznajmił, że czas ruszać. Wtedy pan Weller uregulował rachunek i cała paczka – doradca, świadkowie, wykonawca testamentu i obdarowany – udali się do City.

Biuro pana Wilkinsa Flashera Esq. znajdowało się na pierwszym piętrze o trzy domy od Banku Angielskiego. Dom pana Wilkinsa Flashera Esq. był na Brixton Surrey. Koń pana Wilkinsa Flashera Esq. stał w wynajętej stajni, groom pana Wilkinsa Flashera Esq. został właśnie posłany na West End. Dependent pana Wilkinsa Flashera Esq. poszedł na obiad. Więc pan Wilkins Flasher Esq. osobiście zawołał „proszę!”, kiedy pan Pell i jego przyjaciele zastukali do drzwi.

– Dzień dobry panu! – powiedział pan Pell kłaniając się pokornie. – Chcielibyśmy załatwić z panem małą transakcyjkę.

– Proszę, proszę – zawołał pan Flasher. – Wejdźcie, panowie! Służę za chwilę!

– Dziękujemy panu – powiedział pan Pell. – Nie śpieszno nam. Niech pan siada, panie Weller.

Pan Weller usiadł na krześle, Sam na skrzyni, świadkowie usiedli, gdzie który mógł, i zabrali się do oglądania kalendarza oraz kilku ogłoszeń wiszących na ścianie z taką ciekawością, jak gdyby to były arcydzieła starych mistrzów.

– Gotów jestem założyć się o pół tuzina flaszek klaretu – powiedział pan Flasher Esq., podejmując rozmowę, którą przerwało wejście pana Pella.

Słowa te były zwrócone do szykownego młodzieńca, który nasunął kapelusz aż na prawy wąs i łapką zabijał na biurku muchy. Wilkins Flasher Esq. kołysał się na krześle bardzo zręcznie, przebijając pudełko opłatków scyzorykiem, którym co pewien czas rzucał w sam środek czerwonego opłatka, przyklepionego na etykiecie. Obaj ci panowie mieli bardzo wycięte kamizelki, bardzo wykładane kołnierze przy koszulach, bardzo niskie trzewiki, bardzo wielkie pierścionki, bardzo małe zegareczki, bardzo grube łańcuchy i bardzo wyperfumowane chustki do nosa.

– Nigdy nie zakładam się o pół tuzina, tylko o tuzin – odpowiedział tamten.

– Zrobione, Simmery, zrobione! – zawołał pan Flasher.

– Pamiętaj! – powiedział tamten.

– Oczywiście – odpowiedział pan Wilkins Flasher Esq. i wpisał to złotym ołówkiem do małego notesika, co również zrobił pan Simmery, również w małym notesiku i złotym ołówkiem.

– Widzę, że jest już wzmianka o Bofferze – zauważył pan Simmery. – Biedak. Wyrzucili go!

– Założę się o dziesięć gwinei przeciw pięciu, że sobie poderżnie gardło! – powiedział pan Wilkins Flasher Esq.

– Zrobione! – zawołał Simmery.

– Stój! – powiedział pan Wilkins. – Zmieniam zdanie! Może się powiesić!

– Doskonale! – powiedział pan Simmery, wyjmując notes i ołówek. – Godzę się i na to! Nie mam żadnych pretensji! Niech będzie i tak! Powiedzmy, popełni samobójstwo?

– To jest zabije się!

– Doskonale! – powiedział pan Simmery. – Flasher, pięć gwinei przeciw dziesięciu, że Boffer się zabije! W jakim czasie?

– Dwa tygodnie, powiedzmy! – poddał pan Flasher.

– Za długo – powiedział pan Simmery, zabijając muchę. – Powiedzmy – tydzień.

– Powiedzmy polubownie, dziesięć dni?

– Dobrze. Niech będzie dziesięć dni!

A więc zapisano do notesika, że Boffer zabije się w ciągu dziesięciu dni, w przeciwnym zaś razie Wilkins Flasher Esq. ma wręczyć Frankowi Simmery'emu Esq. sumę dziesięciu gwinei. A jeżeli Boffer zabije się w ciągu tych dziesięciu dni. Frank Simmery Esq. płaci Wilkinsowi Flasherowi Esq. pięć gwinei.

– Bardzo żałuję, że wpadł! – powiedział Wilkins Flasher. – Kapitalnie dawał jeść!

– I miał doskonałe porto – dodał pan Simmery. – Muszę posłać jutro służącego, kiedy go będą licytowali, niech kupi parę butelek dla mnie!

– Takiś sprytny! – zawołał pan Wilkins Flasher Esq. – Poślę także mojego! Założę się, że kupi lepiej i taniej!

– Zrobione!

Znowu zapisano coś w notesikach złotymi ołówkami. Pan Simmery po zabicu kilkunastu much i zrobieniu kilku zakładów pobiegł do Stock Exchange, by dowiedzieć się, co tam słychać.

Wilkins Flasher Esq. mógł już teraz wysłuchać, co mu miał do powiedzenia pan Pell, a wypełniwszy odpowiedni papier, zażądał, by całe towarzystwo poszło z nim do banku, co też uczyniono. Pan Weller i jego trzech przyjaciele przyjmowali to wszystko z największym zdumieniem, Sam zaś z obojętnością, której nic nie mogło poruszyć.

Przeszedłszy ruchliwy i gwarny dziedziniec i minawszy dwóch odźwiernych ubranych tak, że sam ich widok mógł wywołać pożar, weszli do biura, gdzie sprawa miała być załatwiona. Tu pan Pell i pan Flasher opuścili na jakiś czas towarzystwo, by zająć do urzędu opieki.

– Co to za biuro? – zapytał cętkowany jegomość pana Weller starszego.

– Biuro doradców prawnych – rzekł wykonawca testamentu.

– A cóż to za gentlemani siedzą przy biurkach? – zapytał jegomość z chrypką.

– Sądzę, że to zredukowani doradcy prawni – odrzekł pan Weller. – Czy tak, Sammy?

– Jak to, myślisz, że zredukowany doradca może żyć? – spytał Sam z pogardą.

– Skądże mam wiedzieć? – powiedział pan Weller. – Tak wyglądają. Więc któż to taki?

– Urzędnicy.

– Dlaczegoż wszyscy jedzą chleb z szynką?!

– Może to jest ich obowiązek – powiedział Sam. – Zapewne należy to do systemu, bo cały dzień tylko to robią.

Weller i jego przyjaciele zastanawiali się przez chwilę nad tą szczególną właściwością angielskiego systemu finansowego, gdy Pell i pan Wilkins Flasher Esq., powróciwszy, zaprowadzili ich do biura, na którym, na wielkiej tablicy, było napisane ogromne „W”.

– A to na co? – spytał pan Weller, zwracając uwagę pana Pella na ten napis.

– Pierwsza litera nazwiska nieboszczyka! – odrzekł pan Pell.

– Tak być nie może – rzekł stangret zwracając się do arbitrów. – To nie jest w porządku! Nasze nazwisko zaczyna się od V!

Arbitrowie wyrazili zdanie, że sprawa nie może być legalnie załatwiona pod literą „W” i niezawodnie wszystko odwlekłoby się na jaki dzień lub dwa, gdyby nie stanowcza i na pierwszy rzut oka bezceremonialna postawa Sama, który schwycił ojca za połą, wciągnął go do biura i zmusił do podpisania wszystkiego, co należało. Przy umiejętności pana Weller okazało się to pracą tak trudną i żmudną, że obecny przy tym urzędnik miał czas obrać i zjeść trzy jabłka.

Ponieważ pan Weller starszy nalegał na to, by oberża została niezwłocznie sprzedana, więc z banku poszli wszyscy na giełdę, po krótkiej zaś chwili Wilkins Flasher Esq. wrócił z czekiem na firmę Smyth, Payne i Smyth na pięćset trzydzieści funtów szterlingów, jako część renty przekazanej przez panią Wellerwą mężowi. Dwieście funtów Sama zostało przepisane na jego imię. Wilkins Flasher Esq., otrzymawszy komisowe, niedbale włożył pieniądze do kieszeni i poszedł z powrotem do biura.

Zrazu pan Weller uparł się, by wypłacono mu wszystko w suwerenach.

Ale gdy arbitrowie wyjaśnili mu, że w takim razie musiałby kupić mały worek, by miał w czym zanieść pieniądze do domu, zgodził się przyjąć sumę w banknotach pięciofuntowych.

– Mój syn – powiedział pan Weller, gdy wyszli z banku – mój syn i ja mamy dzisiaj po południu ważny interes do załatwienia, chciałbym więc zakończyć nasze rachunki. Może wstąpimy gdzieś, gdzie nam nie będą przeszkadzać.

Znaleziono zaciszny pokoik, wysłuchano sprawozdania pana Pella, wyrażono swoją o nim opinię. Sam sprawdzał rachunki, niektóre pozycje zostały zakwestionowane przez arbitrów. Ale pomimo zapewnień pana Pella, że są zbyt bezwzględni wobec niego, był to jeden z najlepszych interesów, jaki udało mu się zrobić w ciągu ostatnich sześciu miesięcy.

Po załatwieniu wszystkich formalności arbitrowie pożegnali się, gdyż musieli tej samej nocy wyjechać z miasta. Salomon Pell, widząc, że nic nie da się już wycygnąć – ani do jedzenia, ani do picia – pożegnał się przyjaźnie i pan Weller został sam z synem.

– Samiwelu! – powiedział pan Weller, chowając notes do kieszeni. – Mam tu w pugilaresie tysiąc sto osiemdziesiąt funtów szterlingów, licząc w tym już i odstępnę za dzierżawę oberży. Teraz, mój chłopcze, idźmy „Pod Jerzego i Jastrzębia”!

Rozdział dwudziesty siódmy

Ważna konferencja pana Pickwicka z Samuelem Wellerem w obecności jego ojca – Przybycie gentlemiana w tabaczkowym fraku

Pan Pickwick siedział samotnie i rozmyślał o wielu rzeczach, między innymi, w jaki sposób mógłby pomóc młodemu małżeństwu, którego niepewna przyszłość była powodem nieustannej jego troski i zmartwienia, gdy Mary wpadła szybko do pokoju i zbliżywszy się do stołu, powiedziała z ożywieniem:

– Proszę pana! Pan Samuel jest na dole i zapytuje, czy może wejść ze swoim ojcem.

– Naturalnie – odpowiedział pan Pickwick.

– Dziękuję panu – powiedziała Mary, idąc ku drzwiom.

– Sam jest tu niedawno, co? – zapytał pan Pickwick.

– Niedawno, proszę pana – zapewniła Mary gorąco. – Przyszedł przed chwilą! Powiedział, że już nie będzie prosił więcej urlop!

Mary albo spostrzegła się, że oznajmiła tę ostatnią nowinę z większym zapalem, niż wymagała tego konieczność, albo zauważyła życzliwy uśmiech na obliczu pana Pickwicka, bo nagle zamilkła. Spuściła głowę i zaczęła się przyglądać swemu malutkiemu fartuszkowi bardzo uważnie, z o wiele większym zajęciem, niż należało.

– Powiedz mu, niech zaraz przyjdzie! – powiedział pan Pickwick.

Mary, najwyraźniej bardzo zadowolona, wybiegła z pokoju.

Pan Pickwick przeszedł się parę razy tam i z powrotem, gładząc podbródek. Potem powiedział do siebie głosem melancholijnym i łagodnym:

– Ha! Będzie to najlepsza nagroda za jego wierność. Niech tak się stanie, w imię Boże. Taki już los starych kawalerów, że muszą patrzeć, jak otaczające ich osoby zawierają inne związki i oddalają się. Nie mam prawa żądać, by ze mną stało się inaczej. Nie, nie! – dodał weselej – byłoby to egoizmem i niewdzięcznością. Powinienem się cieszyć, że mi się nadarza sposobność, by się nim zająć. Bardzo się cieszę.

Pan Pickwick był jeszcze pogrążony w tych rozmyślaniach, gdy zapukano do drzwi trzy czy cztery razy, zanim pukanie usłyszał. Filozof szybko usiadł, przybrał wesoły wyraz twarzy i zawołał:

– Proszę wejść.

Po chwili ukazał się Sam Weller w towarzystwie ojca.

– Cieszę się, żeś powrócił, Samie. Jak się pan ma, panie Weller?

– Bardzo dobrze, dziękuję panu – odrzekł wdowiec. – Spodziewam się, że i panu dobrze się wiedzie?

– O, doskonale! Dziękuję panu.

– Chciałbym zamienić z panem parę słów, jeżeli może mi pan udzielić jakich pięciu minut – rzekł pan Weller.

– Dłaczegóż by nie? – rzekł pan Pickwick. – Samie, podaj ojcu krzesło.

– Dziękuję ci, Samiwelu, mam już – rzekł pan Weller, biorąc sobie krzesło. – Bardzo dziś mamy piękny dzień – dodał stary gentleman, kładąc kapelusz na podłodze, zanim usiadł.

– Bardzo piękny, jak na tę porę – odpowiedział pan Pickwick.
– Prześliczna pogoda, dawno takiej nie pamiętam – zaczął znów pan Weller. Doszedłszy do tego punktu rozmowy, dostał gwałtownego napadu kaszlu, a gdy kaszel ustał, zaczął głową i mruganiem dawać znaki, to groźne, to błagalne, swemu synowi, który uparcie ich nie dostrzegał.

Pan Pickwick zauważywszy, że stary woźnica jest zakłopotany, udał, iż bardzo jest zajęty rozcinaniem książki, i czekał cierpliwie, aż Weller wyjaśni cel swojej wizyty.

– Nigdy nie widziałem tak niezdolnego chłopca jak ty, Sammy – powiedział wreszcie wdowiec, spoglądając na syna z wielkim oburzeniem. – Nigdy w życiu.

– Cóż on zrobił? – zapytał pan Pickwick.

– Nie chce zacząć, panie. Wie dobrze, że nie umiem należycie wyrazić się, gdy trzeba powiedzieć coś szczególnego, a stoi jak słup. Widzi, że ugrzązł na samym początku drogi, że zajmuję panu jego cenny czas, robi ze mnie śmieszny obraz, że się aż wstydzę muszę, a nie chce mi pomóc ani słowem. To nie po synowsku, Samiwelu – dodał, ocierając pot z czoła – wcale nie po synowsku.

– Powiedziałeś, że chcesz mówić – odrzekł Sam – a skądże mogłem wiedzieć, że ugrzęźniesz, zanim jeszcze zaczniesz?

– Widziałeś dobrze, że nie mogę ruszyć z miejsca, że jadę złą drogą, że włożę między płyty, rowy i tym podobne historie, a nie chcesz mi podać ręki, by pomóc. Wstydzę się za ciebie, Samiwelu.

– Rzecz ma się tak, proszę pana – zaczął Samuel z ukłonem – mój ojciec podniósł swój fundusz...

– Bardzo dobrze, Samiwelu! Bardzo dobrze! – przerwał Weller, kiwając z zadowoleniem głową. – Nie miałem zamiaru być dla ciebie surowy, Sammy! Bardzo dobrze! Tak należało zacząć! Teraz dojdziemy do końca!

Pan Weller kiwnął kilkanaście razy głową dla okazania swojej wdzięczności i ze skupioną miną czekał na dalsze sprawozdanie Sama.

– Możesz usiąść, Samie – powiedział pan Pickwick widząc, że się zanosi na dłuższą rozmowę, niż przypuszczał.

Sam znowu się skłonił i usiadł. Gdy ojciec obejrzał się, ciągnął dalej:

– Ojciec podniósł pięćset trzydzieści funtów!

– Wszystko skonsolidowane – dodał pan Weller starszy.

– To nieważne, czy skonsolidowane, czy nie – powiedział Sam. – Pięćset trzydzieści funtów, tyle wynosi suma, co?

– Gadasz jak z nut. Samie – powiedział pan Weller.

– Do tego dołączył sumę ze sprzedaży oberży i domu...

– Statki, zapasy, dzierżawa oberży... – dodał Weller.

–...co stanowi razem – ciągnął Sam – tysiąc sto siedemdziesiąt funtów.

– Naprawdę? – zdumiał się pan Pickwick. – Cieszę się, że pan zrobił tak dobry interes!

– Niech pan zaczeka jedną minutę – rzekł Weller, błagalnie wznosząc rękę. – Wał dalej, Samiwelu.

– I bardzo życzy sobie – zaczął Sam z widocznym wahaniem – życzy sobie bardzo ulokować tę kwotę w pewnym miejscu, bo jeżeli będzie ją nosił przy sobie, to albo pożyczyci ją pierwszemu lepszemu, albo wyda wszystko na konie, albo zgubi gdzie pugilares w drodze, słowem – w ten czy inny sposób zrobi z siebie mumię egipską.

– Bardzo dobrze, Samiwelu – przerwał Weller z takim zadowoleniem, jak gdyby syn oddawał najwyższe pochwały jego rozsądkowi i przezorności. – Bardzo dobrze.

– Otóż z tych powodów – mówił Sam dalej, mnąc swój kapelusz – stary zebrał wszystkie pieniądze... i przyszedł tu ze mną, by powiedzieć... to jest, by ofiarować... czyli, innymi słowami...

– By powiedzieć – zawołał Weller zniecierpliwiony – że moneta ta na nic mi się nie przyda. Będę teraz regularnie jeździł dyliżansem i po prostu nie wiem, gdzie by ją podziać, chyba że będę płacił konduktorowi, by mi jej pilnował, albo włożę w jaką kieszeń w dyliżansie, co by mogło się stać pokusą dla przejeżdżających. Jeżeliby pan zechciał się nią zaopiekować, tobym był panu wielce obowiązany. Może – dodał Weller, wstając i szepcząc do ucha panu Pickwickowi – może posłuży ona do spłacenia części tej kary sądowej... Słowem, proszę, byś pan zechciał zatrzymać ją u siebie, dopóki jej nie zażądam.

To rzekłszy Weller położył swój pugilares na kolanach pana Pickwicka, chwycił za kapełusz i wybiegł z pokoju z szybkością, której nie można było spodziewać się po człowieku takiej tuszy.

– Samie! Zatrzymaj go! – zawołał pan Pickwick śpiesznie. – Biegnij i zaraz mi go tu przyprowadź! Panie Weller! Stój pan!

Sam zrozumiał, iż nie może nie usłuchać rozkazu pana Pickwicka. Pochwycił więc ojca za ramię, gdy ten chciał już schodzić na dół, i przyprowadził go z powrotem.

– Mój drogi przyjacielu – rzekł filozof, biorąc go za rękę – takie zaufanie wzrusza mię.

– Nie ma powodu, proszę pana – odrzekł Weller z uporem.

– Ale zapewniam pana, mój przyjacielu, iż mam więcej pieniędzy, niż mi potrzeba. Daleko więcej, aniżeli człowiek w moim wieku wydać może.

– Nikt nie wie, ile może wydać, dopóki nie spróbuje – filozoficznie zauważył pan Weller.

– Być może, ale ponieważ nie chcę robić takiej próby, nie mogę więc przypuszczać, by mi zabrakło pieniędzy, i proszę, byś pan wziął je z powrotem, panie Weller.

– Bardzo dobrze – odparł stary stangret z kwaśną miną. – Tylko uważaj, Samiwelu, co mówię: zrobię z tymi pieniędzmi jakiś krok rozpaczliwy, zupełnie rozpaczliwy, Samiwelu!

– Tego nie radzę! – odrzekł Sam.

Weller pomyślał chwilę, potem zapiął surdut ze stanowczą miną i powiedział:

– Wydzierzawię rogatkę.

– Co?! – zawołał Sam.

– Rogatkę – odrzekł Weller, zaciskając zęby. – Będę celnikiem przy rogatce. Pożegnaj swego ojca, Samiwelu. Resztę życia poświęcę rogatce.

Była to groźba tak straszliwa, a Weller wypowiedział ją tak stanowczo i tak głęboko był zmartwiony odmową pana Pickwicka, iż zacny filozof po krótkim namyśle powiedział:

– No, no, panie Weller, zatrzymam pańskie pieniądze. Rzeczywiście, może będę umiał lepiej ich użyć niż pan.

– Rozumie się! – odrzekł Weller wypogadzając czoło. – O to mi chodziło.

– Nie mówmy o tym więcej – odrzekł pan Pickwick, chowając pugilares do biurka. – Serdecznie jestem panu zobowiązany. A teraz niech pan usiądzie, chciałbym zasięgnąć pańskiej rady.

Wewnętrzny śmiech, wywołany przez szczęśliwe zakończenie sprawy, który nie tylko wykrzywił twarz pana Wellera, ale wprawił w drżenie jego ramiona, nogi i cały korpus (co wystąpiło wyraźnie podczas chowania pugilaresu do biurka), ustąpił miejsca najmajestatyczniejszej powadze, gdy Weller usłyszał te słowa.

Potężny stangret miał minę niezwykle myślącą, ale zarazem i zdumioną, gdy pan Pickwick zaczął w następujący sposób:

– Nie jest pan, jak sądzę, wielkim zwolennikiem małżeństwa?

Weller potrząsnął głową. Nie był po prostu w stanie przemówić, gdyż myśl, iż może jaka niegodziwa wdowa zawróciła głowę panu Pickwickowi, sparaliżowała mu język.

– Idąc tu po schodach – mówił filozof dalej – zapewne zauważył pan pewną młodą dziewczynę?

– Widziałem – odpowiedział Weller krótko.

– Co pan o niej sądzi? Mówiąc szczerze, czy podoba się panu?

– Zbudowana dobrze, więc proporcjonalna, miarę trzyma – odrzekł stangret z miną znawcy.

– Tak, tak, to ładna dziewczyna, ale co pan sądzi o jej zachowaniu z tego, co pan widział?

– Hm! Ruchy dobre, panie, posuwiste.

Pan Pickwick nie bardzo rozumiał, co Weller chciał przez to powiedzieć, ale z tonu domyślił się, iż były to ulubione wyrażenia stangreta, gdy chciał kogoś pochwalić, i dlatego był tak zadowolony, jakby otrzymał pozytywną odpowiedź.

– Ta dziewczyna bardzo mnie interesuje – powiedział pan Pickwick.

Weller odkaslnął.

– Chcę przez to powiedzieć, iż interesuje mnie o tyle, że chciałbym, by była szczęśliwa, rozumie mnie pan?

– Najzupełniej – odrzekł Weller, który nie rozumiał nic a nic.

– Dziewczyna ta jest zakochana w Samie.

– W Samiwelu? – zapytał ojciec.

– Tak.

– To rzecz naturalna – rzekł po chwili namysłu – to rzecz naturalna, ale trochę niepokojąca. Trzeba, by Sam miał się na ostrożności.

– Co pan przez to rozumie? – zapytał pan Pickwick.

– Musi uważać, by jej nic nie przyrzekać – odparł pan Weller. – Musi uważać, by w chwili czułości nie przyrzekł jej czego, co by potem mogło służyć za pretekst do procesu o złamanie przyrzeczenia małżeństwa. Z tymi rzeczami igrać nie można, panie Pickwick. Kobiety, kiedy raz na kogo zarzuca sieć, to już potem nie wiadomo, jak się wywikłać. Ani się człowiek obejrzy, a już go złapały. Ja tak samo ożeniłem się pierwszy raz, panie Pickwick, a Samiwel jest następstwem tego błędu.

– Nie bardzo mi pan dodaje tym otuchy – rzekł pan Pickwick – ale sądzę, że najlepiej załatwić tę rzecz od razu. Nie tylko ta młoda dziewczyna jest zakochana w pańskim synu, ale i Samiwel jest w niej zakochany, panie Weller.

– A to miłe rzeczy dla ojcowskiego ucha! – odezwał się pan Weller.

– Przekonałem się o tym niejednokrotnie – mówił dalej filozof, nie zważając na wykrzyknik Weller – i nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Teraz wyobraź pan sobie, że chciałbym, by się pobrali, i zająłbym się ich losem. Co pan myśli o tym, panie Weller?

Najpierw Weller skrzywił się okropnie, usłyszawszy propozycję zmierzającą do małżeństwa człowieka, którym się bądź co bądź interesował; ale gdy pan Pickwick przedstawił mu całą rzecz kładąc nacisk na fakt, że Mary nie jest wdową, stary stał się przystępniejszy, tym bardziej że Mary przypadła mu do gustu i, mówiąc nawiasem, nawet zerkał na nią wcale nie po ojcowsku. W końcu oświadczył więc, iż nie chce bynajmniej sprzeciwiać się życzeniom pana Pickwicka i zawsze z przyjemnością pójdzie za jego radą. Wtedy nasz zacny przyjaciel przywołał swego służącego.

– Samie – powiedział odkaslnąwszy – twój ojciec i ja rozmawialiśmy tu o tobie.

– O tobie, Samiwelu – powtórzył Weller tonem protekcyjnym.

– Nie jestem tak ślepy, Samie – mówił dalej filozof – by od dawna nie dostrzec, iż do pokojówki pani Winkle czujesz coś więcej niż przyjaźń.

– Słyszysz, Samiwelu? – dodał Weller równie arbitralnym tonem, co przedtem.

– Sądzę, panie – odrzekł Samiwel, zwracając się do pana Pickwicka – iż nie ma w tym nic złego, gdy młody człowiek okazuje pewne względy młodej dziewczynie, która niewątpliwie jest ładna i przyzwoita.

– Oczywiście – rzekł pan Pickwick.

– Ani odrobiny – dodał Weller głosem przyjaznym, ale poważnym.

– Nie tylko, że nie widzę nic złego w tej rzeczy tak naturalnej – zaczął znów pan Pickwick – ale chciałbym poprzeć twoje zamiary i pomóc ci. Dlatego to rozmawiałem z twoim ojcem, a ponieważ jestem zdania...

– Wobec tego, że rzeczona osoba nie jest wdową – wtrącił Weller w formie komentarza.

– I wobec tego, że osoba ta nie jest wdową – powtórzył z uśmiechem pan Pickwick – pragnę okazać ci wdzięczność za twe przywiązanie umożliwiając ci poślubienie tej dziewczyny i chcę zająć się tym, byś mógł zapewnić swej rodzinie niezależny byt. Dumny będę – mówił dalej pan Pickwick, którego głos, drżący dotąd, powrócił znów do swego normalnego brzmienia – dumny będę i szczęśliwy, gdy będę mógł twoje dalsze życie uczynić przedmiotem mej wdzięczności i żywej troski.

Przez kilka minut trwało głębokie milczenie, po którym Sam przemówił głosem cichym i przerywanym, pomimo to jednak stanowczym:– Bardzo jestem panu obowiązany za tę propozycję prawdziwie godną pana, ale nic z tego.

– Nic z tego! – zawołał pan Pickwick ze zdumieniem.

– Samiwelu? – zawołał Weller z godnością.

– Powiadam, że nic z tego – powtórzył Sam głosem nieco podniesionym. – Bo cóż by się z panem stało?

– Mój kochany chłopcze – rzekł pan Pickwick – zmiany, które ostatnio zaszły w życiu moich przyjaciół, zmieniają zupełnie i mój tryb życia w przyszłości. A przy tym starzeję się i potrzebuję wypoczynku i spokoju. Podróże moje skończyły się, Samie.

– Skąd to można wiedzieć, panie? – odparł Sam. – Teraz się panu tak wydaje, ale przypuścimy, że zmieni pan zdanie, co jest bardzo możliwe, gdyż ma pan w sobie ogień dwudziesto-pięcioletniego młodzieńca, cóż wtedy zrobi pan beze mnie? Nie, panie, to nie może być, nie może!

– Bardzo dobrze, Samiwelu! W tym, co mówisz, jest wiele racji – zauważył Weller zachęcającym tonem.

– Mówię to po długim namyśle, Samie, i z przekonaniem, że dotrzymam słowa – powiedział pan Pickwick, poważnie potrząsając głową. – Skończyłem z tamtym, nie będę już podróżował.

– Bardzo dobrze – powiedział Sam. – Tym bardziej będzie pan potrzebował kogoś, kto pana rozumie i potrafi koło pana chodzić i pana rozweselić. Jeżeli chce pan mieć bardziej obytego służącego, wolna wola, panie, niech go pan weźmie. Ale z pensją czy bez pensji, za wikt czy bez wikt, za opierunek czy bez opierunku, za pańską zgodą czy bez pańskiej zgody, Sam Weller, taki, jakim go pan wziął z gospody w Borough, zostanie przy panu. Niech będzie, co ma być, a tak będzie! A jak się to komu nie podoba, gwizdź na to!

W końcu tej deklaracji, wygłoszonej z wielkim wzruszeniem przez Sama, ojciec zerwał się z krzesła i zapomniawszy o wszelkich względach na czas, miejsce i przyzwoitość, podniósł kapelusz do góry i trzykrotnie krzyknął:

– Hura!

– Mój kochany Samie – rzekł pan Pickwick, gdy pan Weller usiadł, nieco zawstydzony swym entuzjazmem – mój kochany Samie, powinien byś też mieć wzgląd i na tę dziewczynę.

– Ja, panie, mam wzgląd na nią. Opowiedziałem jej, w jakim znajduję się położeniu, a ona przyrzekła mi czekać, aż będę się mógł z nią ożenić. Spodziewam się, iż dotrzyma słowa (gdyby nie dotrzymała, to nie byłaby kobietą, jakiej mi potrzeba, a w takim razie nie będzie czego żałować!). Pan zna mnie dawno. Jestem zdecydowany i nic nie zmieni mego postanowienia.

Któż by mógł zwalczać takie postanowienie? W każdym razie nie pan Pickwick. Bezinteresowne przywiązanie tych dwóch skromnych przyjaciół napełniało w tej chwili pana Pickwicka większą dumą i radością aniżeli dziesięć tysięcy zapewnień przyjaźni najznakomitszych osób w świecie.

W czasie gdy ta rozmowa odbywała się w pokoju pana Pickwicka, przy drzwiach oberży zatrzymał się mały jegomość w tabaczkowym fraku, a za nim szedł służący z walizeczką. Zamówiwszy sobie łóżko na noc, jegomość zapytał garsona, czy niejaka pani Winkle mieszka tutaj, na co garson odpowiedział oczywiście twierdząco.

– Czy jest sama? – zapytał jegomość.

– Zdaje mi się, że tak – odpowiedział garson. – Zaraz zawołam jej pokojówkę...

– Nie potrzebuję pokojówki – szybko zawołał jegomość. – Zaprowadź mnie do jej pokoju, nie anonsując!

– Ależ panie?

– Czyś głuchy?

– Nie, proszę pana!

– Więc słuchaj uważnie, jeśli łaska. Słyszysz, co mówię?

– Słyszę, proszę pana.

– Doskonale! Zaprowadź mnie do pokoju pani Winkle, nie anonsując!

To mówiąc staruszek wsunął garsonowi pięć szylingów i szybko spojrzał mu w oczy.

– Doprawdy, panie – powiedział garson. – Nie wiem, czy...

– I tak przecież zrobisz to, co mówię! – powiedział jegomość. – Więc lepiej zrób od razu! Oszczędzi to nam drogiego czasu!

Było coś tak spokojnego i stanowczego w mowie starca, że garson wsadził pięć szylingów do kieszeni i bez słowa zaprowadził go na górę.

– Ten pokój? – zapytał staruszek. – Możesz odejść!

Garson odszedł dziwiąc się, kto by to mógł być i czego mógł tu chcieć? Staruszek zaczął, aż garson zniknie mu z oczu, po czym zapukał.

– Proszę! – powiedziała Arabella.

– Hm, głos miły – mruknął staruszek – ale to jeszcze nic! – To mówiąc, otworzył drzwi i wszedł. Arabella, która siedziała z robótką, wstała i spojrzała na nieznajomego nieco zmieszana, ale ze zmieszaniem było jej bardzo do twarzy.

– Proszę, niech pani nie wstaje – powiedział nieznajomy, zamykając drzwi. – Pani Winkle, jeżeli się nie mylę?

Arabella skinęła głową.

– Która wyszła za męża za Nataniela Winkle'a, syna kupca z Birmingham? – mówił dalej nieznajomy, przypatrując się jej z wyraźnym zaciekawieniem.

Arabella znów skinęła głową i niespokojnie spojrzała dokoła, jakby chciała kogo przywołać na pomoc.

– Widzę, że moja wizyta dziwi panią – rzekł stary.

– Nie mogę temu zaprzeczyć – odpowiedziała młoda kobieta.

– Pozwoli pani, że wezmę sobie krzesło – rzekł nieznajomy, siadając i najspokojniej wyjmując z kieszeni okulary. – Pani mnie nie zna? – mówił dalej, wpatrując się w nią tak uważnie, że poczuła się nieswojo.

– Nie, panie – odrzekła nieśmiało.

– Tak – rzekł stary, lekko kołysząc lewą nogą. – Pani nie może mnie znać. Ale może zna moje nazwisko?

– Bardzo pana przepraszam – odpowiedziała Arabella drżąc cała, chociaż nie wiedziała dlaczego. – Czy nie zechce mi go pan przypomnieć?

– Zaraz, droga pani, zaraz – odpowiedział nieznajomy, który wciąż jeszcze nie odrywał oczu od jej twarzy. – Pani niedawno wyszła za męża?

– Tak, panie – rzekła Arabella ledwo dosłyszalnym głosem, po czym odłożyła robótkę; lecz zdenerwowanie jej jeszcze wzrosło, gdy myśl, która jej już przedtem zaświtała, zaczęła się jej narzucać coraz silniej.

– Nie zwracając uwagi mężowi swemu na to, iż wypada naprzód powiadomić o tym jego ojca, od którego w zupełności zależy? Arabella przyłożyła chustkę do oczu.

– Nie zadawszy sobie nawet tyle trudu, by się jaką boczną drogą dowiedzieć, co stary myśli o tej sprawie, która przecież i jego może w wysokim stopniu interesować? – ciągnął dalej nieznajomy.

– Temu nie mogę zaprzeczyć – rzekła Arabella.

– I nie będąc ze swej strony w stanie zapewnić mężowi dostatecznych dochodów, które by mogły być rekompensatą za środki utrzymania, jakich oczywiście nie cofnięto by mu, gdyby ożenił się w myśl życzeń jego ojca? – dodał stary gentleman. – Chłopcy i dziewczęta nazywają to bezinteresownym przywiązaniem, aż dopóki sami nie mają chłopców i dziewcząt, a wtenczas patrzą na to innym, nie tak pogodnym okiem.

Arabella gorzko płakała, a na swe usprawiedliwienie przytoczyła, że jest młoda i niedoświadczona. Tylko miłość skłoniła ją do tego kroku, a niemal od dzieciństwa pozbawiona była rad i opieki rodziców.

– To źle – zaczął znów stary, ale już łagodniejszym tonem – to bardzo źle. To było romantyczne, ale to nie jest godne człowieka interesu, to głupie.

– Ja sama jestem temu winna, tylko ja – odrzekła biedna Arabella, płacząc.

– Nonsens! Sądzę, że pani jest temu niewinna, iż on się w pani zakochał... Ale zresztą – dodał nieznajomy, wpatrując się w Arabellę – i on nie bardzo winien: bo co mógł innego zrobić?

Czy ten mały komplement, czy może dziwny sposób, w jaki go stary pan wypowiedział, czy wreszcie inny ton w stosunku do Arabelli – znacznie bardziej przyjazny niż przedtem – czy też wszystkie te trzy okoliczności razem sprawiły, że pani Winkle uśmiechnęła się przez łzy.

– Gdzie jest mąż pani? – zapytał nagle stary, chcąc ukryć uśmiech, który omal nie rozjaśnił jego twarzy.

– Spodziewam się go lada chwila... Namówiłam męża, by się trochę przeszedł dziś rano. Bardzo jest nieszczęśliwy i przygnębiony tym, że nie ma wiadomości od ojca.

– Przygnębiony? – rzekł stary pan. – A dobrze mu tak!

– Przez wzgląd na mnie – powiedziała Arabella. – A mnie znowu jest tak przykro ze względu na niego! Ja, i tylko ja, jestem odpowiedzialna za to, co się stało!

– Niech się nim pani tak bardzo nie przejmuje – odparł stary gentleman. – Dobrze mu tak. Bardzo mię to cieszy, jeśli chodzi o jego osobę.

Zaledwie stary pan wymówił te słowa, gdy na schodach dały się słyszeć kroki, które, zdawało się, i Arabella, i nieznajomy poznali od razu. Staruszek zbladł, lecz zadał sobie trud, by wyglądać spokojnie, po czym wstał, gdy pan Winkle wszedł do pokoju.

– Ojciec! – zawołał, cofając się.

– A tak, ojciec – odrzekł stary. – No, co mi masz do powiedzenia?

Pan Winkle milczał.

– Myślę, że wstydzisz się swego postępowania? – ciągnął stary dalej.

Pan Winkle wciąż jeszcze nic nie mówił.

– Czy wstydzisz się swego postępowania? – powtórzył stary. – Odpowiadaj: tak czy nie?

– Nie, ojciec – odrzekł pan Winkle obejmując Arabellę – nie wstydzę się ani za siebie, ani za moją żonę.

– Doprawdy?! – zawołał stary ironicznie.

– Przykro mi, że zrobiłem coś, czym mogłem osłabić zyczliwość ojca dla mnie, ale muszę powiedzieć zarazem, iż nie mam powodów, by wstydzić się mego wyboru, tak jak ojciec nie może mieć powodów, by wstydzić się takiej synowej.

– Daj mi rękę, Natanielu – powiedział staruszek wzruszonym głosem. – A ty chodź, niech cię uściskam, mój aniele! Bo pomimo wszystko, śliczna z ciebie synowa!

Po paru minutach pan Winkle poszedł po pana Pickwicka i przedstawił go swemu ojcu, po czym obaj gentlemani przez dobre pięć minut ściskali sobie ręce.

– Panie Pickwick – rzekł starszek otwarcie i bez ceremonii. – Serdecznie dziękuję panu za pańską dobroć dla mego syna! Jestem żywego charakteru, a gdy był pan u mnie, byłem zirytowany niespodzianą wiadomością. Teraz przekonałem się osobiście, jak rzeczy stoją, i jestem bardzo zadowolony. Czy mam pana przeprosić, panie Pickwick?

– O, bynajmniej – zawołał pan Pickwick. – Gdyż obecnie zrobił pan to, czego brakowało do mego szczęścia.

Tu nastąpiło nowe ściskanie rąk, trwające przez nowe pięć minut, oraz wzajemne komplementy, które poza tym, że były komplementami, miały tę szczególną wartość, że były szczere. Sam odprowadził ojca, jak mu nakazywał obowiązek, do „Belle Sauvage”, a wróciwszy spotkał na podwórzu pyzatego chłopca, który przyniósł list od panny Emilii Wardle.

– Słuchaj no – powiedział Joe, wyjątkowo jak na niego rozmowny. – Śliczna dziewczyna z tej Mary, co? Bardzo ją kocham.

Pan Weller nie odpowiedział ani słowa, ale nadzwyczaj zdziwiony tym, co usłyszał, zrazu wpatrywał się w pyzatego chłopca około minuty, potem wziął go za kołnierz, odprowadził do rogu ulicy, kopnął kolaniem w sposób niewinny i najzupełniej ceremonialny, po czym pogwizdując, wrócił do hotelu.

Rozdział dwudziesty ósmy

w którym Klub Pickwicka zostaje rozwiązany, a wszystko kończy się ku zadowoleniu wszystkich

Przez cały tydzień po przybyciu pana Winkle'a starszego z Birmingham pan Pickwick i Sam po całych dniach nie bywali w oberży, przychodząc tylko na obiad, a jeden i drugi mieli poważne i tajemnicze miny, zupełnie niezgodne z ich charakterem. Widoczne było, iż przygotowuje się jakiś ważny wypadek, ale gubiono się w domysłach, jakiej może być natury. Niektórzy, między nimi pan Tupman, skłonni byli przypuszczać, że pan Pickwick myśli o ożenku, lecz myśl ta została przez damy odrzucona w sposób stanowczy. Inni skłaniali się do mniemania, że nosi się z projektem wielkiej podróży i że obecnie zajęty jest przygotowaniami do niej. Temu jednak kategorycznie zaprzeczył Sam, który po krzyżowych pytaniach, zadanych mu przez Mary, oświadczył niedwuznacznie, że nowych podróży pan Pickwick nie podejmie. Wreszcie, gdy wszyscy przyjaciele przez sześć dni na próżno suszyli sobie głowy, postanowiono jednogłośnie wezwać pana Pickwicka do wytłumaczenia swego postępowania i zapytać go wprost, dlaczego tak stroni od miłego towarzystwa zdziwionych przyjaciół.

W tym celu pan Wardle zaprosił wszystkich na obiad na Adelphi, a gdy karafka dwa razy okrążyła gości, postawił to wielkie pytanie:

– Mój kochany Pickwicku! Radzi byśmy dowiedzieć się, czym mogliśmy cię obrazić, że tak stronisz od nas i poświęcasz cały wolny czas jakimś samotnym wycieczkom.

– Chcecie wiedzieć? – odrzekł pan Pickwick. – To dziwne, właśnie dziś chciałem wam to wyjaśnić. Daj mi więc wina, a zaspokoję waszą ciekawość.

Butelka obeszła kolejkę z niezwykłą szybkością, a pan Pickwick z wesołym uśmiechem spojrzał kolejno w twarze przyjaciół i tak zaczął:

– Wszystkie zmiany, jakie w naszym towarzystwie zaszły w ostatnich czasach (mówię tu o małżeństwach już zawartych oraz o tych, które będą zawarte, wraz ze skutkami, jakie to za sobą pociąga), zniewoliły mnie do pomyślenia o planie mego własnego życia w przyszłości. Postanowiłem osiąść w okolicy Londynu, w jakim zaciszu pięknym i przyjemnym. Znalazłem dom, jakiego było mi trzeba, kupiłem go i urządziłem tak, że mogę się wprowadzić, kiedy zechcę. Zamierzam przenieść się tam możliwie jak najszybciej i mam nadzieję, że będę mógł jeszcze spędzić kilka lat w tym miłym ustroniu, ciesząc się za życia towarzystwem moich przyjaciół i pewny, iż po śmierci będę żył w ich wspomnieniach.

Tu pan Pickwick zatrzymał się. Dokoła stołu przebiegł pomruk łagodny i smutny.

– Dom, który kupiłem – mówił dalej pan Pickwick – znajduje się w Dulwich, w najpiękniejszej miejscowości, jaką można znaleźć w okolicach Londynu. Mam wielki ogród, a samo mieszkanie jest urządzone nie tylko wygodnie, ale nawet, mogę powiedzieć, z pewnym wykwintem. Sami to zresztą osądzicie. Sam będzie mi towarzyszył. Za radą Perkera zgodziłem gospodynię, kobietę bardzo starą, i przyjmę jeszcze tyle służby, ile będzie mi potrzeba. Chciałbym jednak, by to moje ustronie uczczono jakąś uroczystością, którą chętnie bym u siebie widział. Jeśli mój przyjaciel Wardle nie ma nic przeciwko temu, to prosiłbym go, by

zaślubiny jego córki odbyły się w moim domu, i to w tym dniu, w którym obejmę go w posiadanie. Szczęście młodych ludzi – mówił pan Pickwick, wzruszony – było zawsze największą rozkoszą mego życia. Serce moje odmłodnieje, gdy pod moim dachem spełnią się najgorętsze życzenia moich przyjaciół.

Tu pan Pickwick znów zatrzymał się, wzruszony. Emilia i Arabella głośno płakały.

– Osobiście i pisemnie – mówił dalej filozof – porozumiałem się z naszym klubem i zawiadomiłem go o mych zamiarach. Podczas długiej mojej nieobecności zakradła się tam niezgoda. Moje usunięcie się i rozmaite inne okoliczności przyśpieszyły tylko jego rozwiązanie.

KLUB PICKWICKA JUŻ NIE ISTNIEJE

– Nigdy nie będę żałował – dodał pan Pickwick z powagą – że ostatnie dwa lata poświęciłem przestawianiu z rozmaitymi gatunkami i odmianami ludzkich charakterów. Wydawać się to może komuś rzeczą błahą – bo jest czymś zupełnie nowym. Poprzednie lata zeszyły mi na robieniu majątku i na interesach. Nie uświadamiałem sobie natenczas, że wiele z tego, na co patrzyłem, rozszerzyło moje horyzonty i zapłodniło umysł. Jeżeli niewiele zrobiłem dobrego, to sądzę, że jeszcze mniej zrobiłem złego. Dlatego przypuszczam, że u schyłku życia wszystkie moje przygody będą mi źródłem miłych wspomnień. A teraz, drodzy przyjaciele, niech was Bóg błogosławi!

To rzekłszy, pan Pickwick nalał sobie szklanekę i drżącą ręką podniósł ją do ust, a oczy jego napelniły się łzami, gdy ujrzał, iż nagle wszyscy wstali, by go uczcić.

Przygotowania przedślubne pana Snodgrassa i pana Wardle'a nie zajęły wiele czasu. Narzeczony nie miał ani ojca, ani matki, a podczas swej małoletności pozostawał pod opieką pana Pickwicka, który najdokładniej znał stan jego interesów. Rachunki złożone przez pana Pickwicka panu Wardle'owi najzupełniej zadowolili tego gentlemana, zresztą wszystkie rachunki byłyby go zadowolily, gdyż zacny człowiek miał serce przepełnione radością i weselem. Dał on Emilii piękny posag i postanowiono, że ślub odbędzie się za cztery dni. Ten krótki termin do rozpacz doprowadził trzy krawcowe i jednego krawca!

Kazawszy założyć do karety pocztowe konie, stary pan Wardle pojechał nazajutrz po swoją matkę. Kiedy z wrodzoną sobie gwałtownością zakomunikował starej damie wiadomość, natychmiast zemdląła. Odzyskawszy przytomność kazała zapakować suknię z jedwabnego brokatu i opowiedziała kilka szczegółów dotyczących ślubu najstarszej córki lady Tollinglower, która wyszła za mąż w podobnych okolicznościach. Opowiadanie zajęło koło trzech godzin i nie zostało nigdy skończone.

Należało jeszcze powiadomić o tym, co się stało, panią Trundle, ponieważ jednak była w stanie błogosławionym, mąż miał jej sam to powiedzieć, by się zbytnio nie przejęła wiadomością. Widocznie nie zaszkodziło jej to wzruszenie, gdyż natychmiast napisała do Muggleton, zamawiając sobie nową pelerynę i jedwabną suknię, przy czym oznajmiła, że będzie na weselu. Na to pan Trundle wezwał lekarza, a lekarz oświadczył, że pani Trundle wie najlepiej, jak się czuje, na co znowu pani Trundle powiedziała, że czuje się dość silna i postanowiła być na weselu; na co znowu lekarz, człowiek rozumny i dyskretny, który wiedział, co potrzeba jemu, a co innym, powiedział, że gdyby pani Trundle została w domu, to zmartwienie mogłoby jej więcej zaszkodzić niż jazda, lepiej więc niech jedzie. I pojechała. Lekarz przezornie zapisał jej pół tuzina recept na drogę na wszelki wypadek.

Gwoli większego zamieszania pan Wardle otrzymał polecenie, by wręczyć dwa liściki dwu młodym damom, które miały wystąpić jako drużny. Otrzymawszy zaproszenie, obie młode damy zaczęły desperować, że nie mają co na siebie włożyć i że nie ma również czasu, by coś zrobić.

Okoliczność ta, zdaje się, napelniła obu ojców młodych dam niesłychaną radością. Ostatecznie odświeżono stare sukienki, uszyto nowe kapelusiki i obie młode damy wyglądały tak

pięknie, jak tylko można. A ponieważ podczas ceremonii płakały w odpowiedniej chwili i cieszyły się w odpowiednim czasie, zachowanie ich wszystkim się niezmiernie podobało. W jaki sposób ubodzy krewni dostali się do Londynu, czy szli piechotą, czy przyjechali dyliżansem, czy uczepili się karety, czy nieśli jeden drugiego na zmianę, nie wiadomo. Przybyli tam jednak jeszcze przed panem Wardle'em. Pierwszymi osobami, które w ów pamiętny dzień zastukały do drzwi pana Pickwicka, byli ubodzy krewni, cali w uśmiechach i czystych kołnierzach.

Przywitano ich serdecznie, gdyż bogactwo czy ubóstwo nie grało roli dla pana Pickwicka. Nowi służący okazali się uosobieniem zręczności i ruchliwości. Z Samem trudno było rywalizować w dowcipie. Mary jaśniała urodą i pięknymi wstążkami.

Oblubieniec, który od paru dni nie wychodził z domu, pojechał na spotkanie oblubienicy do Dulwich Church w asyście pana Pickwicka, pana Bena Allena, pana Boba Sawyera i pana Tupmana. Na koźle jechał Sam Weller, ubrany w nową liberię umyślnie na ten dzień wymyśloną, z wielką kokardą w kłapie – dar pani jego serca. Przywitali ich pan Wardle, państwo Winkle, narzeczona, druhny i państwo Trundle. Po skończonej ceremonii wszyscy udali się na śniadanie do pana Pickwicka, gdzie ich już oczekiwał mały pan Perker.

Tu ostatecznie rozwiały się wszystkie chmurki. Wszystkie oblicza promieniały. Słysząc było wokół tylko życzenia i pochwały. Wszystko tu było prześliczne! Łąka przed domem, ogródek za domem, jadalnia, sypialnia, bawialnia, pralnia, a nade wszystko pokój do pracy, pełny malowideł, wygodnych foteli, starych gablotek, śmiesznych stoliczków, niezliczonych ksiąg, wielkich okien wychodzących na piękną łąkę, usianą tu i ówdzie małymi domkami skrytymi wśród drzew. A dywany, a firanki, a sofy, a fotele! Wszystko tu było tak wygodne, tak wykwintne, że nie wiadomo było, co najbardziej podziwiać!

Pośród wszystkich tych pięknych rzeczy stał pan Pickwick z twarzą opromienioną uśmiechem, któremu nikt nie był w stanie się oprzeć: ani mężczyzna, ani niewiasta, ani dziecko. Zdawało się, że pan Pickwick był najszczęśliwszy ze wszystkich: co chwila ścisnął komuś rękę – czasami dwa razy temu samemu, a kiedy nie miał kogo ścisnąć, zacierał dłonie z wyrazem niewysłowionej radości, oglądał się na każdy okrzyk zdumienia czy zadowolenia i obdarzał wszystkich uradowanym spojrzeniem.

Oznajmiono, że śniadanie podano. Pan Pickwick prowadził starą damę (która bez przerwy mówiła o lady Tollinglower) na miejsce honorowe. Wardle siadł na przeciwnym końcu stołu. Reszta – gdzie kto chciał. Sam stanął za krzesłem swego pana. Śmiech i rozmowy ustały. Pan Pickwick, odmówiwszy modlitwę, zrobił małą pauzę i obejrzał się. Łzy płyną mu przy tym z oczu łzy radości!

Niech nam wolno będzie pożegnać naszych przyjaciół w jednej z owych rzadkich chwil niczym nie zmałowanego szczęścia, które, o ile ich szukamy, zjawiają się czasem, by rozjaśnić nasze doczesne życie. Są na ziemi mroczne cienie, ale światło jest silniejsze, choćby przez sam kontrast. Niektórzy ludzie lepiej widzą w ciemności niż za dnia – jak sowy i nietoperze. My, którzy nie posiadamy takich optycznych zdolności, wolimy rzucić ostatnie spojrzenie na naszych przyjaciół w jednej z owych chwil, gdy słońce świeci najjaśniej.

Jest losem większości ludzi, którzy żyją na świecie i osiągają wybitne stanowiska, że nawiązują prawdziwe przyjaźnie i z biegiem czasu tracą je. Jest losem wszystkich autorów i kronikarzy, że tworzą wyimaginowanych przyjaciół, by stracić ich po skończeniu swojej twórczej pracy. Ale to nie wyczerpuje jeszcze miary nieszczęść, gdyż nieraz żąda się od autora, by opowiedział, co się z wszystkimi stało.

Posłuszni temu zwyczajowi, bezsprzecznie złemu, podajemy krótką biograficzną notatkę o dalszych kolejach losu gości i znajomych pana Pickwicka.

Państwo Winkle, przywróceniu przez ojca do łask, wkrótce po opisanych wypadkach przenieśli się do małego domku w odległości niecałej mili od pana Pickwicka. Pan Winkle, który

pracuje jako korespondent swego ojca w City, zmienił swój dawny strój na zwykle ubranie Anglika i wygląda obecnie, jak przystało na chrześcijanina.

Państwo Snodgrassowie osiedli w Dingley Dell, gdzie kupili sobie niewielką posiadłość, raczej dla przyjemności niż dla zysku. Pan Snodgrass bywa czasami roztargniony i dotąd uchodzi za wielkiego poetę między swymi znajomymi, chociaż wiemy, iż nigdy nic nie napisał dla podtrzymania tej opinii. Ale znamy niejedną osobistość słynną w filozofii i literaturze, i innych dyscyplinach, której wysoka wziętość nie na lepszych opiera się podstawach.

Pan Tupman, gdy przyjaciele jego pożenili się, a pan Pickwick przeniósł się do swego własnego domku, zamieszkał w Richmond, gdzie mieszkał poprzednio. Latem przechadza się po tarasie z miną młodzieńczą i ujmującą, dzięki której jest przedmiotem uwielbienia wielu dam w pewnym już wieku, zamieszkujących tę okolicę. Ale nigdy już się nikomu nie oświadczył.

Pan Bob Sawyer najpierw ogłaszał się w gazetach, a potem pojechał do Bengalu w towarzystwie pana Bena Allena. Obaj dostali posady chirurgów w Kompanii Wschodnioindyjskiej, obaj mieli po czterdzieści razy żółtą febrę, wobec czego postanowili spróbować, czy nie wyjdzie im na zdrowie pewna wstrzeźliwość. Odtąd mają się dobrze.

Pani Bardell znów odnajmuje pokoje rozmaitym kawalerom. Zarabia na tym nieźle, ale nie wytacza już procesów o złamanie przyrzeczenia małżeństwa. Adwokaci jej, panowie Dodson i Fogg, ciągle mają nawał pracy, z której ciągną wielkie dochody, i poczytywani są za najsprytniejszych między zręcznymi.

Sam Weller dotrzymał słowa i przez dwa lata był jeszcze kawalerem. Po dwóch latach, gdy gospodyni pana Pickwicka zmarła, filozof podniósł do tej godności Mary pod warunkiem, że niezwłocznie wyjdzie za mąż za Sama, co też spełniła bez szemrania. Mamy wszelkie powody przypuszczać, że związek ten nie był bezowocny, ponieważ w ogrodzie pana Pickwicka często można widzieć, jak bawi się dwóch ładnych chłopczyków.

Weller starszy jeździł dylizansem przez rok jeszcze. Potem wskutek napadów podagry zmuszony był do opuszczenia kozła raz na zawsze. Na szczęście, pieniądze powierzone panu Pickwickowi zostały tak dobrze umieszczone, że wystarczają mu na przyzwoite życie i utrzymanie w doskonałej obergerzy niedaleko Shooter's Hill. Jest tam szanowany jak wyrocznia; chępli się przyjaźnią z panem Pickwickiem i zachował niczym nie przewyższony wstręt do wdów.

Pan Pickwick wciąż mieszka w swym nowym domu. Wolne chwile poświęca porządkowaniu pamiętników, które przedstawia następnie sekretarzowi tego ongi znakomitego klubu, lub słucha, gdy mu Sam czyta głośno, i cieszy się, jak zwykle, jego uwagami, których ten nigdy nie szczędzi. Z początku nabawiały go pewnego kłopotu prośby to pana Snodgrassa, to pana Winkle'a, to pana Trundle'a, by trzymał do chrztu ich dzieci. Ale obecnie przywykł do tej ceremonii i wykonywa ją jak coś bardzo zwykłego. Nigdy nie miał powodu żałować tego, co uczynił dla pana Jingle'a. Obaj bowiem, zarówno pan Alfred Jingle, jak i pan Hiob Trotter, stali się porządnymi członkami społeczeństwa, ale za nic w świecie nie chcą powrócić na widownię dawnych swych czynów i pokus. Pan Pickwick podupadł nieco na siłach, ale umysł jego pozostał jak dawniej młodzieńczy. Często widzieć go można, jak podziwia obrazy w Dulwich Gallery lub przechadza się w pogodny dzień po okolicy. Znają go dobrze ubodzy w całym sąsiedztwie i nigdy nie omieszkają zdjąć kapelusza, gdy przechodzi. Sąsiedzi, a zwłaszcza dzieci, uwielbiają go. Co rok bywa na wielkim zebraniu rodzinnym u pana Wardle'a.

W podróży tej, jak w ogóle w każdej okoliczności, towarzyszy mu wierny Sam, gdyż między panem a sługą istnieje wzajemne i głębokie przywiązanie, które tylko śmierć rozerwie.